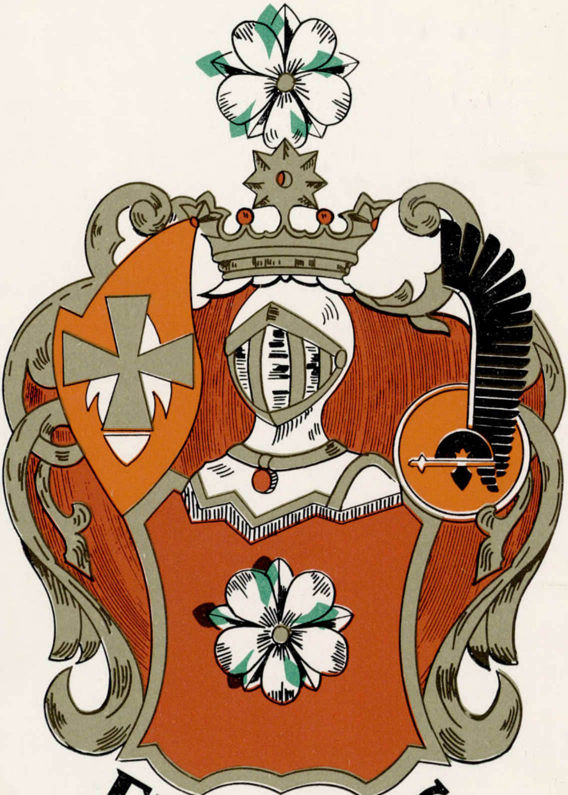
HISTORYA POLSKA w AMERYCE

X. W. KRUSZKA

VOLS. 8 - 10



EX LIBRIS

LODA and EDWARD C. ROZANSKI

HISTORYA POLSKA
W AMERYCE.

Początek, wzrost i rozwój dziejowy osad polskich w Północnej Ameryce (w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.)

Wszechstronnie opisał

X. WACŁAW KRUSZKA,

Autor dzieł: „Rzym", „Hymny Wielkopostne", „Neapol, Wezuwiusz i Pompeji", „O Piękności", „The Unbeliever", „Anarchizm" i t. d., i t. d.

Wydanie poprawione i illustrowane.

TOM VIII.

MILWAUKEE, WIS.
Drukiem Spółki Wydawniczej Kuryera.
1906.

NIHIL OBSTAT.

Green Bay, Wis., 18. Martii, 1906.

[Rev.] Ant. Wiśniewski, O. F. M.,
Censor.

IMPRIMATUR

† Seb. G. Messmer,
Archiepiscopus Milwaukiensis.

B. POLACY W ARCHIDYECEZYI MILWAUCKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

4. Parafia św. Wincentego a Paulo w Milwaukee, Wisconsin.

(założona r. 1888.)

Parafia ta założoną została w roku 1888. staraniem ks. Wincentego Lewandowskiego, w czasie, kiedy w sąsiedztwie zakładała się niemiecka parafia św. Wawrzyńca, do której siłą rzeczy byliby się przyłączyli i Polacy, gdyby nie ks. Gulski i jego ówczesny asystent śp. ks. Lewandowski, którzy temu zapobiegli założeniem nowej polskiej parafii na południowo-zachodniej stronie miasta.

Nową tę parafię św. Wincentego zorganizowało roku 1888. około 200 rodzin polskich, należących przedtem do parafii św. Jacka, która już w tym roku była zbyt przepełniona. W południowo zachodniej stronie części miasta, na narożniku 16. avenue i Mitchell ulicy, wzniosły te rodziny polskie przy pomocy parafii św. Jacka wielki gmach z cegły dwu-piętrowy, 130 stóp długi, a 60 stóp szeroki, urządzony na kościół, szkołę i dom sióstr zarazem — kosztem $30,000. Proboszcz, ks. Wincenty Lewandowski, mieszkał jeszcze w plebanii św. Jacka, skąd bądź chodnikiem bądź deptakiem tu dochodził. Następ-

nego dopiero roku 1889. wystawiono piękną i massywną plebanię, oraz jeszcze okazalszy i obszerniejszy dom dla Sióstr, tak, iż wartość całego parafialnego majątku przedstawiała już wówczas sumę $60,000.

Ks. Wincenty Lewandowski, założyciel i długoletni proboszcz tej parafii, urodził się w Lewicach w Ks. Poznańskiem 29. maja roku 1841., w miejscu, gdzie jego ojciec był rządcą dóbr hrabiego Hase-Radlitz. Kształcił się razem z dziećmi hrabiego, których nauczycielami byli OO. Jezuici; potem uczęszczał do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. W r. 1860. wstąpił do klasztoru OO. Reformatów w Wejherowie. W roku 1864. odebrał święcenie kapłańskie w Poznaniu z rąk ks. arcybiskupa Przyłuskiego. Po wybuchu „kulturkampfu'' roku 1872. i on jak wielu innych, wziął kij wędrowny do ręki i jako prawdziwy syn św. Franciszka bez pieniędzy stanął na ziemi amerykańskiej w roku 1875. Osiadł najpierw w Toledo, Ohio, gdzie założył polską parafię i wzniósł kościółek św. Antoniego i niezadługo stanął tam i drugi kościół św. Jadwigi, również za jego staraniem. Lecz gdy po 10 latach wybuchły w Toledo zaburzenia parafialne, ks. W. Lewandowski strzepał proch toledoski z nóg swoich i udał się do Milwaukee w roku 1885., gdzie objął posadę asystenta przy kościele św. Jacka. W roku 1888. zajął się energicznie zorganizowaniem parafii św. Wincentego, w której też pełnił funkcye ka-

płańskie przez z górą 10 lat, ku zadowoleniu parafian i biskupa, i tu obchodził w roku 1889. srebrny jubileusz kapłaństwa. Dopiero choroba serca spowodowała mu przykrości, bo czyniła go nerwowym i wielce drażliwym, co niektórzy przypisywali charakterowi zamiast słabości — chociaż ks. Lewandowski, gdy zdrów, był zawsze ludzkim i dobrego humoru, z powodu czego był lubiany przez wszystkich, którzy go znali. W czasie tej choroby, nie mogąc poradzić pracy parafialnej, poprosił ks. arcybiskupa o pomoc. Dano mu pomoc ale „ta pomoc stała się jego niemocą'', jak się wyraził mówca pogrzebowy. I oto w przystępie irrytacyi, ks. Lewandowski zrezygnował z probostwa św. Wincentego 7. lipca roku 1899. i zamieszkał przy kościele śś. Cyryla i Metodego, gdzie pełnił funkcye dobrowolnego wikaryusza.

Że rezygnacya ta nastąpiła wskutek intryg a nie wskutek choroby tylko, tego jasno dowodzi następujący własnoręczny list ks. W. Lewandowskiego, pisany do mnie w kilka dni po owej rezygnacyi, który brzmi dosłownie tak:

„Milwaukee, Wis., d. 16. Lipca 1899.

„Kochany ks. Wacławie:

„Piękny Apollo systematycznie kopał dołki — i ostatecznie zeżarł mnie. — Może ks. W. Kruszka raczy mnie przy sposobności odwiedzić — tedy opowiem o intrygach galicyj. szarlatana. Smutną rolę w tej sprawie odegrali pewni duchowni, okrywając się niezatartą i nigdy nie-

zmazaną hańbą. — Co mnie dziś, Tobie jutro. Niechcę zemsty; mnie zemsta, mówi Bóg. — Stoję nad grobem — chcę umrzeć po katolicku. Wasz in Chto

V. Lewandowski.''

Jakoż istotnie stał już nad grobem. Śmierć jego była nagła, ale spodziewana. Sam w przeddzień swej śmierci z naciskiem to powiedział, że śmierć go nagle porwie. Dnia 22. stycznia 1900 roku rano mając zamiar, jak mówią, jechać do Arcybiskupa z prośbą o nową posadę— wsiadł do „kary'' ulicznej na rogu Grantulicyi 8. avenue, kara ruszyła i zaraz potem w połowie drogi pomiędzy Grant i Becher ulicą dostał ataku sercowego, a gdy dojeżdżano do Mitchell ulicy, ks. Lewandowski westchnął ciężko i zakończył życie.

Po rezygnacyi ks. Lewandowskiego 7. lipca 1899. ks. arcybiskup nie dał na probostwo św. Wincentego przybyłego z obcej dyecezyi, ks. Śmietanę, ale natomiast zamianował proboszczem młodego, lecz w tej dyecezyi wyświęconego ks. Max. Dorszyńskiego.

Ks. M. Dorszyński zaraz energicznie wziął się do dzieła budowy nowej świątyni Pańskiej, bo dotychczas odprawiano nabożeństwo w górnem piętrze budynku szkolnego. Nowa świątynia, w stylu romańskim budowana, (architekt p. Kołpacki) jest 185 stóp długa, z frontu 66 stóp szeroka, a w krzyżu 88, o 2 wieżycach, z których mniejsza 132, a większa 195 stóp wyso-

ka. Cały kościół murowany z cegły wybornej. Wzniesiono tę budowę roku 1900., kosztem $70,000.

Parafia obecnie liczy około 700 rodzin. W szkole parafialnej, roku 1904. 14 Notre Damek uczyło 800 dzieci. Objęły Notre Damki tę szkołę 31. grudnia r. 1888; były wówczas 2 Siostry a 200 dzieci. Organista od roku 1900. Michał Klebański.

Majątek parafii liczą na $120,000; dług roku 1904. wynosił $83,575.

Ks. Maxymilian Dorszyński, aktualny proboszcz do roku 1905., urodził się w Milwaukee 12. października roku 1873. Po ukończeniu szkoły parafialnej św. Jadwigi, kształcił się w jezuickiem Marquette College w Milwaukee przez 7 lat, potem przez 3 lata uczył się teologii w seminaryum w St. Francis, gdzie w czerwcu roku 1897. został wyświęcony na kapłana dla archidyecezyi milwauckiej. Przez 2 lata był assystentem w parafii św. Stanisława i św. Kazimierza w Milwaukee, potem w lipcu roku 1899. objął niniejsze probostwo.

Od roku 1904., z powodu choroby ks. Dorszyńskiego, administrował parafią ks. J. Knitter, a od początku roku 1905. został aktualnym proboszczem ks. Józef Kempa, ks. Dorszyński zaś honorowym proboszczem pozostał. Ks. Józef Kempa urodził się roku 1877. w Milwaukee, kształcił się tu na Józafatowie i w St. Francis, Wis., gdzie go wyświęcono roku 1899. Był a-

systentem na Józafatowie do roku 1905., kiedy został aktualnym proboszczem na Wincentowie.

---

5. Parafia Św. Józafata w Milwaukee, Wis.

(założona r. 1888.)

Ks. Wilhelm Grutza, zostawszy po wyświęceniu w roku 1887, assystentem przy kościele św. Stanisława, niezadługo zoryentował się w sytuacyi i począł oczy zwracać ku południowej części tej parafii. Czemu nie podzielić parafii św. Stanisława, toć ona już za wielka? myślał ks. Grutza — choć parafia św. Stanisława nie była wówczas ani o połowę tak wielką, jak dziś parafia św. Józafata. I dobrze myślał ks. Grutza. I gdyby tylko tej zbawiennej myśli — podziału parafii — był konsekwentnie trzymał się w następnych swoich latach, gdy i jego parafia do olbrzymich urosła rozmiarów; zaprawdę uniknął byłby wiele kłopotów, a może i przedwczesnej śmierci.



Ks. Wilhelm Grutza.

Z wiosną roku 1888. z południowej części parafii św. Stanisława ks. Grutza utworzył nową parafię pod wezwaniem św. Józafata. W chwili zorganizowania się nowej parafii było— jak kroniki podają — już 317 rodzin polskich.

Na narożniku Pierwszej i Lincoln avenue, zaraz rozpoczął budować gmach z cegły (128x 80 stóp), którego górne piętro urządzono na kościół, a dolne na szkołę. Gmach ten był zabezpieczony, lecz wkrótce, 12. maja roku 1889., o północy spalił się do szczętu. Plebania i dom sióstr w części uniknęły pożaru. Klęska ta nie złamała energii proboszcza. Na tem samem miejscu wzniesiono niebawem nowy, jeszcze większy budynek .142x99, który kosztował $38,000 wraz z urządzeniem wewnętrznem i trzema dzwonami. W ciągu tego roku, wskutek ogromnego napływu imigrantów, wzrosła i liczba parafian do 1,003 rodzin, których ofiarami wzniesiono ów gmach, bez pomocy innych parafii, bo zysk ze sprzedaży obrazów po innych parafiach nie można nazwać pomocą.

Ks. Wilhelm Grutza myślał dawno o budowie kościoła, lecz nie w kształcie bazyliki. Na myśl bazyliki wpadł przypadkowo roku 1895. Gdy ks. Wacław Kruszka, ówczesny assystent jego, wydał drukiem i przedłożył mu książkę p. t. „Rzym'', w której podaje dokładny plan i rysunek Bazyliki św. Piotra w Rzymie, wtedy to w głowie ks. Grutzy wylęgła się myśl, którą on następującemi sło-

wy wyraził: „Rzeczywiście, muszę i ja taką bazylikę w Milwaukee wystawić!” Myśl jest rodzicielką czynu. Myśl owa przyoblekła ciało najpierw w planach i specyfikacyach, lecz niedołężnych. Architekt Brielmeier, Niemiec z Milwaukee, starał się jak najwyraźniejsze i najplastyczniejsze kształty nadać owej myśli o bazylice. Lecz że Brielmeier przedtem jeszcze żadnego kościoła nie budował, więc plany jego i rysunki nie wypadły zupełnie po myśli oryginatora.

Koszta bazyliki św. Józafata są wiadome i niewiadome, bajeczne i zagadkowe zarazem. Za życia ks. Grutzy wiadome były koszta budowy- lecz niewiadome były długi; po śmierci jego wiadome są długi, lecz znowu niewiadome są koszta budowy.. Następca ks. Grutzy przekonał się, że na bazylice ciąży $382,000 długu — z czego słusznie wnioskować należy, że budowa bazyliki kosztowała przynajmniej $500,000, bo skądby się tyle długów wzięło?

Dodaj jeszcze to, że cokolwiek ks. Grutza budował, to budował za wiedzą i zezwoleniem swego biskupa; więc nie tyle on, ile biskup był odpowiedzialny za to, co budował. Kiedy Mgr. Falconio, Delegat Apostolski w Washingtonie, zrobił w maju roku 1904. tę szyderczą uwagę: „Polacy w Milwaukee mają przecież już katedrę biskupią, ale cóż, kiedy tyle długów na niej! Fe! to nie pięknie, że Polacy tyle długów robią!” Ks. W. Kruszka mu na to odpowiedział:

„Ekscellencyo, ks. Grutza za te długi nie tyle był winien, ile biskup, który mu na nie pozwolił. Na co biskupi pozwalają na tyle długów? Od czego są episcopi czyli dozorcy?”... Ale nam Polakom obconarodowi biskupi zdają się naumyślnie pozwalać na wielkie długi, żeby potem szydzić z nas i mówić: oto Polacy nie umieją się gospodarzyć!”

Na innem miejscu zwróciliśmy już uwagę na innego rodzaju działalność ks. Grutzy, (gdyż bądź co bądź był to niezwykły człowiek), mianowicie na jego działalność w kierunku nauki i oświaty. (zob. tom III. str. 70—73. oraz tom V.) Oprócz „Wyższej Szkoły”, którą zwinięto roku 1901. istnieje, jak wszędzie, parafialna szkoła, z liczbą dzieci 1,650, największa w całem Milwaukee. Uczy tu 22 Sióstr Notre Damek. Szkołę świętego Józafata objęły Notre Damki 5. listopada, roku 1888; były wówczas 3 Siostry i 200 dzieci.

W przeciwieństwie do ks. Gulskiego, który tak umiał asystenta przykuć do siebie, że od r. 1889. do 1901. jednego i tego samego trzymał, ks. Grutza w tym samym przeciągu czasu miał ich co najmniej tuzin, tak starych jak młodych, a może więcej. Ze starych dłuższy czas tu siedział ks. Józef Horbaczewski. Ten, pełniąc obowiązki asystenta, nie tylko zapłaty nie żądał, ale jeszcze sam proboszczowi płacił i spadek zostawił, który pociągnął za sobą skandaliczne procesa. Ks. Józef Horbaczewski urodził się w

roku 1837. w gubernii Kowieńskiej na Litwie; wyświęcony roku 1860, we Wornie; w roku 1863. był w powstaniu, na którem kulka mu kawał szczęki wyrwała, tak, że odtąd bełkocąc niewyraźnie mówił; następne 16 lat bawił we Francyi; w roku 1880. przybył do Ameryki, a do Milwaukee roku 1891., gdzie umarł u ks. Grutzy roku 1895. — Równocześnie z nim bawił u ks. Grutzy przez 2 lata (1893 —1895.) ks. Paweł Szulerecki, późniejszy proboszcz parafii św. Stanisława, który unikając burzy w Chicago do ks. Grutzy jako do portu spokojnego się schronił. Na wiosnę roku 1895. ks. Paweł przeniósł się w sam czas na Stanisławowo, aby ustąpić miejsca nowowyświęconemu ks. W. Kruszce, którego ks. Grutza na profesora do swojej „Wyższej Szkoły'' zaangażował. Ks. W. Kruszka od 16. czerwca 1895. do 26. lutego roku 1896. pracował bądź jako asystent, bądź jako zastępca proboszcza w czasie długiej choroby ks. Grutzy, oprócz tego 6 godzin dziennie pełnił obowiązki profesora przy Wyższej Szkole — za co nie tylko ani mu centa nie dano, ale nadto czarną niewdzięcznością mu się odpłacano. — Asystentem od roku 1899. był ks. Józef Kempa, na którego rękach proboszcz umarł.

Ks. Wilhelm Grutza, pierwszy proboszcz i założyciel tej parafii św. Józafata, urodził się r. 1856. na Szlązku. Skończywszy zwyczajną szkołę elementarną, poświęcił się rzemiosłu kowalskiemu. Jeszcze w starym kraju będąc, jak nam



Ks. Antoni Prądzyński.

sam opowiadał, zgłosił się był do zakonu Jezuitów we Francyi, lecz ponieważ Jezuici nie chcieli go przyjąć na księdza, tylko na braciszka, nie wstąpił do nich. W roku 1876. przyjechał do Ameryki, i tu jako kowal pracował ciężko we fabryce Carnegiego (dziś milionera) w Pittsburgu, Pa. O godzinie dziewiątej wreszcie powołał go Pan Bóg do winnicy swojej. Wstąpił do seminaryum w St. Francis, gdzie od początku zaczął studya klassyczne, przeszedł filozofię i teologię. Jego pierwotnem przeznaczeniem było pracować w dyecezyi La Crosse, gdzie go biskup przyjął, lecz Milwaukee było dlań silniejszym magnesem, który go wreszcie do siebie przyciągnął. Wyświęcony roku 1887 był najpierw asystentem przy parafii św. Stanisława; potem roku 1888. zorganizował parafię św. Józafata, której proboszczem był do śmierci, przez 13 lat.

W marcu roku 1901. ks. Wilhelm zaczął chorować na krwiotok płuc. Lekarze w obawie, że grożą mu suchoty, wysłali go, po poświęceniu bazyliki do Colorado Springs w stanie Colorado, gdzie zgasł przedwczesną śmiercią, 20. sierpnia roku 1901., na ręku ks. Kempy i dra. K. Wagnera, w miesiąc po poświęceniu wiekopomnego dzieła swego, bazyliki, w której raz jedyny Mszę św. odprawił. Zwłoki jego przywieziono do Milwaukee i pogrzeb odbył się dnia 27. sierpnia z niebywałą i niewidzianą dotąd wspaniałością. X. Arcybiskup Katzer sam



Ks. Józef Knitter.

kondukt żałobny prowadził aż na cmentarz; a w kościele jeszcze, przemawiając nad zwłokami zmarłego, następcą jego publicznie z ambony zamianował ks. Prądzyńskiego, długoletniego asystenta z parafii św. Jacka.

Ks. Antoni Prądzyński, od 27. sierpnia roku 1901. proboszcz tej parafii urodził się 10. maja roku 1864. w Milwaukee; jako dziecko jeszcze przybył wraz z rodzicami do Berlina, Wis.; wyświęcony w St. Francis roku 1899., pełnił chwalebnie przez 12 lat obowiązki asystenta u ks. Gulskiego. Jest to charakter pełen słodyczy, ale i pełen mocy i siły zarazem, Oprócz ks. Kempy, pomagali mu ks. Wiktor Zaręczny, ks. W. Slisz, ks. Chylewski, ks. Knitter.

Ks. Józef Knitter, urodzony w Kruszynie w Prusach Zachodnich,, 26. listopada r. 1879., przybył do Ameryki r. 1888., studyował filozofię w Kollegium Marquette a teologię w St. Francis, Wis., gdzie wyświęcony 19. czerwca r. 1904.

---

6. Parafia ŚŚ. Cyryla i Metodego w Milwaukee.

(założona r. 1893.)

Tę parafię dźwignęła energia ks. J. F. Szukalskiego. Zorganizowawszy się w maju roku 1893., parafia bezwłocznie przystąpiła do budowy porządnego kościoła. Gruntów zakupiono pod dostatkiem na rogu American i Windlake



Ks. Jan F. Szukalski.

avenue (kilka bloków na południe od kościoła św. Jacka) i postawiono wielki i okazały kościół, z imponującą wieżą, a obok kościoła obszerny gmach szkolny z mieszkaniem dla Sióstr. Niebawem stanęła i plebania, nadbudowana r. 1901., tańsza ze wszystkich w Milwaukee, ale stosunkowo wygodna i pakowna, a przytem tak pięknym i przestronnym otoczona ogrodem jak żadna inna w Milwaukee.

Parafia od samego początku rosła i rozwijała się pomyślnie, tak liczebnie i finansowo, jak i duchowo. Pomimo, że powstała w owych ciężkich czasach, kiedy to w całym kraju paniki finansowe i bankructwa były na porządku dziennym, to jednak parafia ŚŚ. Cyryla i Metodego po chwilowej chwiejności przy żelaznej wytrwałości swojego proboszcza, stanęła wnet na pewnych podwalinach, a dziś stoi niezachwiana na silnych, jak opoka, fundamentach finansowych.

Roku 1902. wystawiono dom dla Sióstr. Szkołę objęły Notre Damki dnia 9. stycznia roku 1894.: były wówczas 4 Siostry a 280 dzieci. Roku zaś 1901. dziewięć Notre Damek uczyło tu 470 dzieci; a roku 1905. 13 Sióstr, nauczyciel p. Stefan Łukaszewicz i 1010 dzieci. Roku 1905. powiększono kościół kosztem $20,000.

Parafia liczy około 1,100 rodzin. Długu ma około $65,000.

Ks. Jan F. Szukalski, założyciel i dotychczasowy proboszcz tej parafii, urodził się w ro-

ku 1863, w Polsce, pod zaborem pruskim. W r. 1868. przybył do Ameryki wraz z rodzicami, którzy się osiedlili w Northeim, powiecie Mani-



Ks. Ludwik Jurasiński.

towoc, stanie Wisconsin. W roku 1879. wstąpił do seminaryum duchownego w St. Francis i po dziewięcioletnich studyach został tamże wyświęcony na kapłana 24. czerwca roku 1888.

Nasamprzód przeznaczono go na parafię św. Michała w Beaver Dam, potem roku 1889, powierzono mu zorganizowanie parafii śś. Cyryla i Metodego.

Ks. Szukalskiemu od początku roku 1901. dopomagał dzielnie ks. Jarzyński, roku 1902. asystentem został ks. Jan Blechacz, po nim r. 1903. ks. Zaręczny, następnie ks. Jurasiński.

Ks. Ludwik Jurasiński urodził się 24. sierpnia, 1875 roku w Kłosowie, w W. Księstwie Poznańskiem. Do Ameryki przybył z rodzicami w r. 1880. Po ukończeniu kollegium Marquette, wstąpił do seminaryum w St. Francis, Wis. Dnia 29. marca 1903 został wyświęcony na kapłana.

---

7. Parafia Św. Kazimierza w Milwaukee, Wis.

(założona r. 1894.)

Na północnej stronie miasta Milwaukee, rój z kościoła św. Jadwigi zaczął się w roku 1893.

Polacy z 13. wardy, poza rzeką i głęboką doliną, za daleko mieli do kościoła św. Jadwigi i do szkoły. Ile razy był mityng parafialny, zawsze oponowali nowym budowom, chcąc by w ich wardzie coś zrobiono. Udali się wreszcie do Arcybiskupa X. Katzera z prośbą, aby pozwolił im własny pobudować kościół. Arcybiskup przychylił się do tej prośby i tak

wszyscy mieszkający za rzeką Milwaukee odłączyli się od macierzy swojej św. Jadwigi i założyli parafię św. Kazimierza. Stara parafia spłaciła nowozorganizowanej $6,000 tytułem odczepnego. Dnia 11. lipca roku 1894. rozpoczęto w 13. wardzie budować wielki gmach z cegły kosztem $6,300, z którego górne piętro urządzono na tymczasowy kościół, a dolne na szkołę. Dnia 11. listopada tegoż r. 1894. ks. Arcybiskup poświęcił ten gmach i odtąd właściwie datujesiępoczątek parafii św. Kazimierza, jako odrębnej samodzielnej organizacyi, niezależnej od macierzystego kościoła św. Jadwigi. Było wtedy 300 familii. Odtąd nowa parafia rozwijała się pomyślnie i dziś już liczbą parafian przewyższyła starą. Podług urzędowego cenzusu roku 1902. parafia św. Kazimierza liczyła 824 familii, podczas gdy parafia św. Jadwigi podług tegoż cenzusu miała 600 familii.

Staraniem energicznego proboszcza ks. Idziego Tarasiewicza stanęła niebawem piękna i obszerna plebania. Dnia 11. lipca roku 1896. zakupiono przyległy dom na mieszkanie dla Sióstr nauczycielek. Dnia 16. września 1899 r. energia ks. Idziego, nawet chorobą nie złamana, rozpoczęła budowę pięknej i wspaniałej świątyni Pańskiej, pod którą kamień węgielny poświęcono 10. grudnia roku 1899. Nowy kościół ten, w czystym stylu gotyckim zbudowany, jest 177 stóp długi, a 76 szeroki,

o dwóch wieżach, z których jedna 130 stóp a druga narożna 200 stóp wysoka. Sklepienie środkowej nawy jest 58 stóp wysokie, bocznych 32. Kościół jest murowany z cegły, na kamiennym fundamencie. Wnętrze zawiera siedzeń 1200. Kościół z wewnętrznem urządzeniem kosztuje coś około 90,000 dolarów.

Szkołę św. Kazimierza objęły Notre Damki dnia 14. listopada 1894., były wówczas 3 Siostry a 270 dzieci. Roku zaś 1901. było 8 Sióstr a 638 dzieci; a roku 1905. 1,025 dzieci.

Asystentem tej parafii był od roku 1899 — 1902 ks. Jan Blechacz, urodzony w Milwaukee, wyświęcony roku 1899. w St. Francis.

Ks. Idzi Tarasiewicz, założyciel i dziesięcioletni proboszcz tej parafii, urodził się 29. sierpnia roku 1852. w Lipsku, Królestwie Polskiem. Ukończył gimnazyum w Augustynowie. Od roku 1873. musiał służyć we wojsku, a po odbytej służbie 1876. udał się do Rzymu, gdzie wstąpił do Zmartwychwstańców na braciszka. Kiedy w roku 1881. ks. Wincenty Barzyński odwiedził Rzym, wziął Idziego ze sobą do Chicago, posłał go potem do Berlina w Kanadzie. W kollegium św. Hieronima ukończył teologię. Dnia 12. września roku 1886. odebrał w kościele św. Stanisława w Chicago święcenia kapłańskie i pozostał przy tym kościele aż do końca roku 1889. Następnie przybył do Milwaukee i pracował jako asystent przy kościele św. Jadwigi. Wreszcie

roku 1893. zaopiekował się nowozałożoną parafią św. Kazimierza. Był czas, kiedy zdawało się, że ks. Idzi już już dogorywa, ale ks. Idzi zebrał siły i kosturem śmierć wypędził za drzwi. Wbrew wszelkim rachubom ludzkim doczekał się ukończenia nowej wspaniałej świątyni, którą ks. arcybiskup Katzer poświęcił 16. grudnia roku 1900. Wreszcie jednak nie opędził się śmierci i zmarł 18. stycznia roku 1903. Pochowany na cmentarzu Kalwaryjskim. Kazał sobie włożyć do trumny pierwszą cegłę użytą do budowy kościoła.

Ks. Tarasiewiczowi w ostatnich latach dopomagał także ks. Jan Machnikowski, który roku 1899. wybierając się do Europy, zahaczył o Milwaukee, by być bliskim łoża śmiertelnie chorego swego ojca; w październiku atoli roku 1902. przeniósł się do Detroit, Mich., a asystentem ks. Idziego został ks. A. Lex, który po śmierci został proboszczem, chociaż do dyecezyi nie należy.

8. Protestanccy Polacy w Milwaukee, Wis.

W Milwaukee jest jakie 150 familii protestanckich Polaków, pochodzących ze Wschodnich Prus od Ełka i Królewca. Są to Polacy tak zwani Mazurzy protestanccy, którzy w starym kraju byli wynaradawiani przez Niemców od lat 400, i od tyluż lat nie byli katolikami, ale albo ewangelikami albo luterana-

mi albo baptystami. Nie tworzą oni w Milwaukee żadnej odrębnej organizacyi, lecz należą do niemiecko-luterskich gmin, przeważnie do „St. Martin's Gemeinde'' i „St. Jacob's Gemeinde.'' Ich polski patryotyzm jest duchem germańskim na wskroś przesiąknięty.

Także kilkaset rodzin polskich katolickich należy w Milwaukee do niemiecko-katolickich parafii, najwięcej zaś do parafii św. Antoniego na południowej stronie, tuż pod bokiem i okiem proboszcza św. Jacka, którego parafia wylewa z brzegów, — podobnie jak w Chicago najwięcej Polaków należy do niemieckiej parafii św. Bonifacego. Ale Polacy w Chicago, uczęszczający do św. Bonifacego, przyszli już nareszcie do tego przekonania, że im się nie opłaci żywić Niemców, i dla tego odbyli już (w roku 1902.) dwa zebrania, na których zastanawiano się nad utworzeniem przy Chicago avenue nowej parafii polskiej. Kiedy to samo Historya będzie mogła powiedzieć o Polakach w Milwaukee, należących do niemieckiej parafii św. Antoniego?.... Każdy powinien się modlić i tak śpiewać i tak Pana Boga chwalić, „jak mu dziób urósł'' (wie ihm der Schnabel gewachsen ist); a więc Niemiec po niemiecku, a Polak po polsku! Gdyby wrona chciała śpiewać jak słowik, a słowik chciał krakać jak wrona — czyżby porządek Boży na świecie nie wywrócił się do góry nogami?...



Pomnik Tadeusza Kościuszki.

Park i Pomnik Kościuszki.

W roku 1890. na miejscu, gdzie obecnie Park Kościuszki, rozciągał się dziki i bagnisty las, należący do Ellera R. Colemana. W lipcu roku 1890. miasto kupiło 26 akrów za $100,000 a na urządzenie parku wydało $50,000. Park pierwotnie nosił nazwę Lincoln Avenue Park. Dopiero 20. września 1900., staraniem Polaków, miasto nadało mu urzędową nazwę Parku Kościuszki. Dnia 1. lipca 1902. powiększono park, dokupując od Colemana 11 akrów za $57,000. Park ten, choć publiczny i miejski, można powiedzieć, że jest polski, gdyż leży w centrum dzielnicy polskiej, nosi nazwę Kościuszki i ozdobiony jest pomnikiem tegoż bohatera polskiego.

Po trzyletnich zabiegach dyrekcyi Stowarzyszenia Budowy Pomnika Kościuszki i dzięki wielkiej ofiarności Polonii milwauckiej postawiono ten pomnik we wrześniu roku 1904. a odsłonięto go uroczyście w niedzielę 18. czerwca 1905. Pierwszy to konny posąg we Wisconsinie. Posąg Kościuszki, dzieło sławnego artysty włoskiego G. Trentanove, jest ulany po mistrzowsku z dwóch tylko kawałów bronzu. Kościuszko i koń są niemal podwójnej wielkości, mając około 15 stóp wysokości. Na rumaku, znakomicie modelowanym, siedzi nasz bohater, w ręce prawej wznosi dobytą szablę jakby do dania rozkazu, lewą wstrzymuje rwącego się konia. Wzrok Kościuszki,

zatopiony w dali patrzy na pole walki. Rysy naczelnika odtworzone wiernie; cała postać pełna rycerskiego animuszu, męstwa, siły, odwagi, śmiałości, a zarazem pogody i właściwej Kościuszce słodyczy. Całość porywa widza i wywiera na nim głębokie wrażenie.

Bronz zużyty na pomnik waży siedem ton (14,000 funtów). Odlew dokonany został przez firmę Galli we Florencyi według najnowszego systemu Bonawentury Collini, t. zw. „a cera Perduta."

Posąg umieszczony jest na pięknie wykonanym przez kompanię Milwaukee Monument czworograniastym granitowym piedestale, którego wysokość wynosi 15 stóp. Na frontowej stronie piedestału znajduje się wyryty napis: Tadeusz Kościuszko — *1746—†1817; na zachodniej: To the hero of both hemispheres — By the Poles of Milwaukee; na wschodniej: Bohaterowi Dwóch Światów — Polacy w Milwaukee; na południowej: A. D. 1904.

---

9. Parafia św. Wojciecha w South Milwaukee, Wis.

(założona roku 1896.)

Samo miasteczko South Milwaukee stare nie jest, więc i tutejsza polska parafia zaledwie przed kilku laty powstała.

Dziesięć mil na południe od Milwaukee

leży miasteczko South Milwaukee, a powstało ono w ostatniem dziesięcioleciu ubiegłego wieku t. j. w latach 1891 — 92 i 94.

Polacy, przeważnie w Milwaukee mieszkający, zaczęli licznie kupować loty, płacąc za nie wcale słone ceny, bo po 300 i 400 dolarów i dając mniejsze lub większe zadatki agentom za grunta, które tylko na mapach widzieli. Nic więc dziwnego, że i agenci, jeżeli nie najgorsze, to najgorzej położone, bo w dolinie na zachodniej stronie miasteczka grunta i loty dla Polaków pozostawili. Tu więc osiedlili się pierwsi parafianie jak Felix Bławat, Chybowski Jan, Panek Józef, Laskowski Jan i kilku innych.

Ponieważ Niemcy - katolicy pobudowali sobie już kościół, Polacy przyłączyli się do nich, i nawet przyczynili się pieniędzmi do budowy kościoła, zapewnieni przez Niemców, że gdy się w siłę wzmogą i własny kościół zechcą budować, otrzymają stosowną spłatę.

Ponieważ Niemcy na nowych przybyszów nie bardzo łaskawem okiem patrzeli, zwłaszcza na tych, co zbyt wiele płacić nie mogli, postanowili Polacy myśleć o własnej świątyni i w tym celu zorganizowali się we dwa Towarzystwa: św. Marcina z Pankiem Józefem, jako prezydentem na czele, i w Tow. Serca Jezusa.

Deputacya udała się do arcybiskupa, lecz ówczesny genralny wikaryusz Zeininger



Kościół św. Wojciecha w South Milwaukee.

oświadczył, że na budowę kościoła pozwolić nie można, bo za mało ludzi.

Zaczęto się coraz natarczywiej domagać u władzy pozwolenia na budowę bodaj skromnego kościołka. Gdy nadto niemiecki proboszcz przedłożył całą listę protestów, które pod fałszywym pretekstem od niektórych Polaków dostał, niby to przeciw budowie kościoła, Generalny wikary wręcz oświadczył deputatom, by dali pokój dalszym prośbom, bo nie będą uwzględnione. Skorzystali z tego tak zwani niezależni z Chicago. Zjeżdża w roku 1897 ks. Kozłowski, z ks. Zalewskim, zwołują mityng, na którym obiecują Polakom wybudować kościół, plebanię, szkołę i halę parafialną, nadto założyć bank, byleby tylko chcieli przyjąć księdza z ich ramienia.

Uwierzono obiecankom i na dwu podarowanych lotach na 16. i Manitoba avenue postanowiono pobudować kościół. Inkorporacyę zrobiono na Kozłowskiego i Zaleskiego i coś 12 dyrektorów z pośród South Milwauckich Polaków.

Naturalnie, że większość nie bardzo wierzyła owym obiecankom niezależnych i usunęła się od dalszych mityngów, lecz ziarno zasiane przyjęło się i jako owoc wydało niezgodę i podział na dwie partye.

Odpadły ks. Zaleski, wybrany przez lud proboszczem, doglądał budowy i dla powiększenia funduszów z różnymi zwolennikami u

rządzał kolekty, gdzie się dało i jak się dało. Budowa wznosiła się coraz wyżej — a gdy fundusze obiecane nie nadchodziły, ks. Zalewski widząc, że dalej trudno będzie ludzi tumanić, opuścił swoje owieczki i wyjechał do Chicago.

Osierocona parafia medytowała, co by dalej począć i skąd dostać świeżego pasterza, aż tu zjawia się niejaki Władysław Olszewski i oświadcza, że jest już prawie całym księdzem, tylko trochę nie wykończonym, gdyby więc parafianie postarali się o doświęcenie, mieliby proboszcza i młodego i świeżego, a co najważniejsze, całkiem własnego, bo za swoje pieniądze.

Projekt przypadł do smaku szczególniej kilku niewiastom, którym Olszewski się udał, te więc nakłoniły swych mężów do odbycia mityngu, i obmyślenia sposobu, jakby kandydata na księdza wykończyć.

Uchwalono jednogłośnie udać się do pseudobiskupa Vilatta do Green Bay, by dokończył święceń, a że pieniędzy Olszewski nie miał, pożyczyła partya, chcąca mieć księdza za własne pieniądze, kwotę 150 dolarów, z którą Olszewski w towarzystwie dwu delegatów do Green Bay po święcenie wyjechał. Po dwu czy trzech dniach wrócili wszyscy uszczęśliwieni i oto świeży „ksiądz'' objął swoje obowiązki. Gdy ten nie tylko długu za swe święcenia zwrócić nie chciał, bo nie miał skąd, ale

nawet domagał się pensyi jako proboszcz, wybuchło niezadowolenie, co widząc Olszewski, zamknął kościół, a nabożeństwo odprawiał dla wybranych tylko w domu niejakiego Stanisława Bondowskiego, u którego mieszkał.

Parafianie oburzeni czarną niewdzięcznością księdza za własne pieniądze zrobionego, chcieli mu klucze odebrać, a tem samem władzy dalszej pozbawić; lecz gdy im się to nie udało, zaskarżyli Olszewskiego i przez szeryfa kościół znowu pod własny zarząd wzięli. Musiał tedy „mufować" Olszewski.

Niezależny biskup Kozłowski przywołał znowu ks. Kulę, który niewiedzieć jakim sposobem u niego się znalazł, lecz ten dzięki Bogu wkrótce poznał w jakie błoto wlazł. Zaczął się starać i sam i ludzi z niego wyciągnąć i do posłuszeństwa prawowitej władzy kościelnej nakłonić.

Ludzie w gruncie serca nie źli, lecz zbałamuceni, poznali błąd swój i udali się do arcybiskupa z prośbą o przebaczenie i przyjęcie na łono Kościoła. Arcybiskup jak dobry ojciec przebaczył i ludowi i księdzu Kuli, któremu po odbyciu pokuty u Ojców Kapucynów wyrobił miejsce w dyecezyi Green Bay i przyobiecał przysłać kapłana, co też wkrótce uczynił, posełając do South Milwaukee ks. Władysława Mścisza, dotychczasowego asystenta

u ks. Rogozińskiego w parafii św. Jadwigi w Milwaukee.

Ks. Mścisz objął swoje nowe stanowisko w dzień św. Józefa 19. Marca roku 1898. Ciężkie były czasy z początku, bo nie zastał nic zgoła, tylko pusty kościół z trzema tysiącami długu i całą paczkę najrozmaitszych skarg i różnych pretensyj dłużnych.

Ks. Mścisz zamieszkał we wynajętym domu, o blok od kościoła oddalonym.

W pierwszych zaraz miesiącach zabrał się gorliwie do pracy, a że kościołek wyglądał ubogo i pusto, postarał się ks. Mścisz o zastąpienie okien zwykłych kolorowymi, które pokupili członkowie parafii. Ściany zaś kościołka przyozdobił drogą krzyżową, która kanonicznie zaprowadzoną została przez ks. B. Górala. W ostatnim czasie kościół powiększono.

Do szkoły, która również zaraz otwartą została, przyjęto kilkadziesiąt dzieci, którym nauki udziela nauczyciel świecki, będący zarazem organistą.

Ks. Władysław Mścisz, wielki domator, urodził się roku 1861. w Ulanowie w Galicyi, studyował w Rzeszowie i Lwowie, gdzie wyświęcony został roku 1883. Do Ameryki przybył roku 1895. z Galicyi (z archidyecezyi lwowskiej). Amerykański nowicyat odprawił u ks. Szukalskiego, potem był asystentem w parafii św. Jadwigi, do roku 1898.

10. Parafia Św. Rodziny w Cudahy, Wis.

(założona r. 1900.)

Nowa polska parafia w Cudahy, wiosce tak nazwanej od właściciela miejscowej rzezalni, blisko Milwaukee, została inkorporowana w połowie roku 1900. Uchwalono wtedy postawić kościół z drzewa za $3,000. Sekretarzem parafii był Wład. Maciona. Dojeżdżającym proboszczem był do lipca r. 1905. ks. Władysław Mścisz ze South Milwaukee. Do parafii należy około 130 familii. Na wiosnę roku 1901. kościół ukończono. Poświęcenie kościoła odbyło się 21. kwietnia roku 1901. W lipcu roku 1905. pierwszym stałym proboszczem został ks. Paweł Góra, dla którego też wystawiono plebanię za $3,000.

Tyle o Polakach w powiecie Milwaukee. Po za tym powiatem jest jeszcze siedm parafii polskich. Opiszemy je porządkiem czasu, w jakim powstały. Do najstarszych należą parafie w Berlinie i w Princeton, które do roku 1905, należały były do dyecezyi Green Bay

---

11. Parafia Św. Stanisława w Berlinie, Wis.

(założona r. 1873.)

Polacy w Berlinie, w powiecie Green Lake, tworzą jedną z najstarszych osad. Tu ów wszechświatowy missyonarz, ks. Buczyński, franciszkanin, już około roku 1870. wśród ro-

daków pracował, tu resztę dni swoich spędził i tu umarł, dając początek nowej parafii.

Polacy w Berlinie, tak z miasta jak z farm okolicznych, zorganizowali się w parafię roku 1873. Jest to zatem ósma z rzędu, co do wieku, parafia polska we Wisconsinie.

Następujący księża zawiadowali kolejno tą parafią: ks. Buczyński, ks. Rademacher, ks. Dr. Majer, ks. Jacek Gulski, ks. Gawik, ks. S. Wieczorek, który się przeniósł do Toledo, Ohio, i wreszcie od 1886. wiekowy ks. January Czarnowski, ex-franciszkanin, pochodzący z Prus Zachodnich.

Parafia składa się z przeszło 300 familii (znaczny procent stanowią Niemcy); posiada szkołę, w której uczą 4 Siostry Notre Damki, a do której uczęszcza około 250 dzieci. Siostry Notre Damki objęły tę szkołę 30. sierpnia roku 1890.

Kościół św. Stanisława, murowany jest z cegły, piękny, tak zewnątrz jak wewnątrz, i zajmuje panujące nad miastem położenie na wzgórzu.

---

12. Parafia Św. Michała w Berlin, Wis.

(założona r. 1894.)

Jest to pierwotnie gałąź odłamana od pnia macierzystej parafii św. Stanisława, ale gałąź nie sucha. Przyjęła się i z czasem wyrosła w drzewo rozłożyste.

Parafianie, przeważnie Kaszubi, zamieszkali po lewym brzegu „Rzeki Lisiej" (Fox River), dla różnych ważnych przyczyn odczepili się od swojej macierzy na prawym brzegu tej rzeki, i nie pytając wiele, na własną rękę pobudowali drewniany kościół. Urzędowe istnienie tej parafii datuje się od roku 1894., kiedy to w lutym zaczął sprawować urząd proboszcza ks. Możejewski. Pozostał tu coś pół roku, ale w tym czasie zdołał postawić ładną murowaną plebanię, którą następcy coraz bardziej wydoskonalili i upiększyli, a którą roku 1904. zamieniono na dom Sióstr.

A między tymi następcami wybitną w Berlinie rolę odegrał ks. Jan Gratza, który tu od 30. września 1894. aż do 1. maja 1897. rządy sprawował. W r. 1897. odbyła się tu Misya św., którą odprawił ks. W. Kruszka, z Ripon, prawiąc przez 3 dni po pięć kazań dziennie. Za rządów ks. Gratzy toczył się głośny spór o granice parafii.

Ks. biskup, sądząc widocznie, że ks. Gratza jest główną przyczyną sporu, usunął wreszcie ks. Gratzę z Berlina, przesadzając go na inne probostwo. Na tę wieść lud w płacz — obstąpił plebanię, oświadczając, że nie puści swego proboszcza. Jakoż dniem i nocą tłumy oblegały plebanię, żeby proboszcz im nie uszedł. Ks. Gratza im perswadował, że to nic nie pomoże, że on biskupa słuchać musi i chce — ale gdy próbował wyjść, gwałtem go zatrzymano i wniesiono

na rękach do plebanii napowrót. Dopiero po 2 tygodniach takiego oblężenia, udało mu się przy pomocy księdza z Ripon, podstępu użyć i z Berlina wyjechać.

Następcę po ks. Gratzy, którym był od maja 1897. do września 1899. ks. S. Woźny, przyjęto naturalnie z podejrzliwą nieufnością, ile że lud był przekonany, że nowy ich proboszcz ma nakaz od biskupa we wszystkiem ustępować ks. Czarnowskiemu. Ks. Woźny pracował jak mógł dla dobra parafii. Ulepszył plebanię. Z czasem też parafianie przekonali się, że nie sam ks. Gratza potrafi bronić granic ich parafii , lecz i każdy inny proboszcz, wiedziony instynktem samozachowawczym, toż samo uczyni. Nasi zwłaszcza Kaszubi to lud z natury dobry i ofiarny, więc i proboszczowi między nimi dobrze.

To też po księdzu Woźnym, we wrześniu 1899., przybył ks. Jan K. Bieniarz. Parafia jego liczy obecnie przeszło 200 familii (częścią niemieckich) ; ma szkołę i nauczyciela świeckiego, od roku 1904. Siostry Franciszkanki pod wezwaniem św Kunegundy z Avondale, które uczą blisko 200 dzieci.

Ks. Jan Kazimierz Bieniarz, urodził się, jak sam powiada, w Poznaniu, pod numerem 8. w narożnej kamienicy na placu św. Marcina, dnia 5. czerwca roku 1863; wychowany w Krakowie, wyświęcony u Bosych Karmelitów w Rabie (starożytnem „Jaurinium”) nad Dunajem na

Węgrzech, 29. stycznia roku 1888. Zaraz po wyświęceniu — jak sam powiada — wyjechał do Ameryki na wakacye, a po odbytych szczęśliwie wakacyach wrócił znowu do Europy. Roku dopiero 1892. przybył na stałe do Ameryki, pracował do roku 1895. w dyecezyi Marquette, a od roku 1895. w dyecezyi Green Bay.

Mil 12 na południowy wschód od Berlina jest polska parafia w Ripon, a 16 mil na południowy zachód od Berlina leży Princeton.

---

13. Parafia Św. Jana Chrzciciela w Princeton, Wis.

(założona r. 1875.)

W powiecie Green Lake, tak nazwanym od jeziora, którego woda jest barwy zielonej (green), w miasteczku Princeton nad spławną rzeką Fox w dominującem nad okolicą położeniu wznosi się wielka i wspaniała świątynia Pańska, z kamieni i cegieł murowana, z wysoką, rzekłbyś niebotyczną wieżycą w stylu gotyckim. Jest to kościół groszem polskim zbudowany pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. A co najwięcej uroku i ozdoby tej najwspanialszej w całem Princeton budowli przysparza jest to, że nie ma na niej ani centa długu. Kościół bez długu — czysty jak kryształ. Z tego względu wspanialej się przedstawia niż wszystkie

świątynie po wielkich miastach w Chicago i Milwaukee.

Polacy zaczęli tu się osiedlać około 1870 roku, a z początkiem 1875. zorganizowali się w parafią za duszpasterstwa niejakiego ks. Spechta, który od lutego do września tegoż roku ich potrzeby duchowne zaopatrywał. Wybudowali na początek mały drewniany kościółek, który do dziś dnia stoi i służy obecnie siostrom zakonnym za mieszkanie. Od września r. 1875 duszpasterzował tu ks. January Czarnowski aż do lipca 1877. po nim ks. Adam Bukowski przez dwa miesiące; następnie ks. Jan Furtowski od lipca do grudnia roku 1879. Dłużej rządził ks. Klem. Rogoziński, bo od grudnia 1879. do czerwca 1884. Jego też staraniem stanęła wygodna, murowana plebania. Nastąpił ks. E. Słowikowski, który był tu proboszczem od czerwca r. 1884. do września 1886. Na wiosnę 1887. przysłano tu ks. Wiktora Zaręcznego, który tu zaczął planować budowę nowego kościoła, ale niebawem opuścił parafię i udał się na daleki Wschód. Budową i wykończeniem wspaniałej tej świątyni, która dziś jest ozdobą miasta Princeton i całej okolicy, zajął się następca jego ks. Kwiryn Zieliński, który w Princeton pracował aż do roku 1892., kiedy ustąpił z tego posterunku.

Następcą ks. Zielińskiego był Szlązak, poczciwy ks. Ryszard Frank, od stycznia 1892. aż do swojej śmierci dnia 21. października tegoż

roku 1892. Jego śmierć, a raczej przyczyna tejże, jest dotychczas gęstą mgłą tajemniczości osłonięta. Jego śmierć była nagłą — znaleziono go nieżywego przed kościołem, ale czy naturalną czy gwałtowną, w tem tajemnica. Obywatele z Princeton i sąsiedniego Ripon, gdzie go także znano i wielce poważano, nie umieją sobie zagadkowej śmierci jego wytłomaczyć. Jego zwłoki leżą na cmentarzu niedaleko kościoła. Przebudował i urządził stary kościół na mieszkanie dla sióstr nauczycielek, do kościoła posprawiał własnym kosztem drogich kielichów i szat kościelnych i — co najważniejsza — spłacił wszystek dług ciążący na dopiero co zbudowanym kościele.

Po śmierci ks. Franka zarządzał parafią ks. J. B. Froelich przez krótki czas, aż do 10. grudnia 1892. Dnia 15. grudnia objął probostwo ks. W. Lebiecki i wytrwał na tem trudnem stanowisku aż do stycznia 1894., poczem przez dalsze dwa lata z różnem powodzeniem ks. A. Łopato, Litwin, rządził aż do lutego roku 1896. Po nim Szlązak, sławny muzyk, ks. L. Starościk, krewny śp. ks. Franka, przeszło rok w Princeton wysiedział.

Roku 1897. ks. biskup Messmer przysłał do Princeton powtórnie ks. Zielińskiego, wbrew woli niektórych parafian.

Całe dwa lata swojego powtórnego w Princeton pobytu (1897—1899) borykał się ustawicznie z przeciwną partyą. Ks. biskup roku 1899.



Ks. Zygmunt Woźny.

przesadził ks. Zielińskiego do Antigo, a na jego miejsce dał do Princeton ks. S. Woźnego.

Ks. S. Woźny, objąwszy parafię w końcu września roku 1899. oświadczył, że wszystkich będzie równo traktował. Partya niezadowolonych z czasem znikła i stopniała, jak kupa śniegu na wiosnę.

Do szkoły polskiej w Princeton, urządzonej w bezmencie kościoła, uczęszcza w najlepszym razie około 150 dzieci, których uczą trzy Siostry Franciszkanki.

Ks. Zygmunt Woźny urodzony roku 1860. w Galicyi, studyował w Wadowicach, w Krakowie, w Wiedniu, a teologię w Belgii, w Lowanium, gdzie święcenia otrzymał od biskupa Gross w roku 1885. W tym samym roku, w sierpniu, przybył do Ameryki. Pracował w Kansas w dyecezyi Leavenworth 1 rok, potem w La Salle, Ill. 4 lata, następnie w Stevens Point, Wis., 3½ lat; przeniósł się do Cleveland, O., gdzie 2 lata przebywał. Zorganizował katolicką kolonię w Stanie Mississippi w roku 1897. Zwiedził w celach naukowych Kalifornię, Oregon, Washington, Vancouver Island, Kolumbię Brytyjską i Alaskę. Przyjechał do Wisconsinu roku 1897. i objął parafię w Berlinie a roku 1899. w Princeton, gdzie dotychczas jest proboszczem; kościół ślicznie odnowił i o jego konsekracyę się postarał.

Kaplica Matki Boskiej przy źródle.

Jakie 2 mile od Princeton, po prawym brzegu „Lisiej Rzeki'' (Fox River), pośród lasu stoi kapliczka, wybudowana z czerwonej cegły w roku 1861. i poświęcona przez ówczesnego biskupa Henni'ego pod wezwaniem „Sancta Maria ad fontem.'' Powodem nadania tej nazwy „Matki Boskiej u Źródła'' temu kościółkowi była tradycya, że tam w pobliżu poświęcił Ojciec Marquette 7. czerwca roku 1673. mineralne źródło, którego wody dotąd używają okoliczni mieszkańcy z wielkim skutkiem w różnych cierpieniach. W kaplicy tej znajduje się olejny obraz, przedstawiający Ojca Marquette, zwiedzającego pod opieką Matki Boskiej owo źródło uzdrawiające, oznaczone widniejącym zdala krzyżem. Śliczna kopia tego obrazu znajduje się w sanktuaryum kościoła w Princeton.

Jest to miejsce pielgrzymkowe, atoli mało znane, bo przez niewielu uznane, jako takie, Kaplica ta od roku 1901. znajduje się pod opieką polskiego proboszcza z Princeton, ks. Woźnego, który raz na rok, 8. września, odprawia tu nabożeństwo.

Wszakże ta kaplica nie sama z siebie, ile raczej ze względu na osobliwe źródło, opodal sączące, nabiera znaczenia i wartości historycznej. Źródło to, jeśli już nie cudowne, to historyczne w każdym razie, znajduje się na przeciwległym brzegu rzeki „Fox'', wśród łąki bło-

tnistej, która jest własnością Polaka, Stanisława Bartola, nie więcej jak 500 stóp od lewego brzegu rzeki oddalone. Pierwszy z białych ludzi, który to źródło odkrył i krzyż przy niem zatknął, był missyonarz Allouez, w roku 1670. Po nim przybył tu w czerwcu roku 1673. sławny jezuicki missyonarz, Ojciec Marquette, który to źródło ku czci N. Maryi Panny poświęcił. Pisarz francuski Charlevoix opisuje to źródło szczegółowo i uważa je za wielce charakterystyczne z tego względu, że bierze ono swój początek z błotnistego bagna, a jednak zawiera wodę mineralną. Sam O. Marquette w opisach swoich podróży missyonarskich powiada o tem źródle, że zawiera wodę mineralną, nie wspomina wszakże nic o tem, że poświęcił to źródło. Brak więc autentycznego dowodu o poświęceniu tego źródła przez O. Marquette. Wzmiankę atoli o poświęceniu tegoż źródła przez O. Marquette, robią późniejsi historycy (zobacz „Historyę Północno-Zachodniego Wisconsinu” oraz „Żywot Arcybiskupa Jana Marcina Henni'ego”). Dziś wielki dębowy krzyż stoi przy tem źródle.

W tym samym powiecie Green Lake nie brak Polaków w Kingston, Markesan i Dartford; oraz w sąsiednim powiecie Marquette są Polacy w Montello i Neshkoro. W Montello zamierzają własny pobudować kościół.

14. Parafia św. Michała w Beaver Dam, Wis.

(Założona r. 1875.)

W Beaver Dam, czyli z polska w Bobrowym Grodzie, mieście w powiecie Dodge, naprzeciw jeziora, w którem kiedyś bobry (beaver) swe domki stawiały, na wyżynie stopniowo opadającego wzgórza wśród zieleni drzew wznosi się kościółek, a obok niego z jednej strony szkoła a z drugiej skromna plebania, ledwie widna z pomiędzy drzew. Jest to własność parafii św. Michała, w którą się zorganizowali roku 1875. Polacy mieszkający po części w samem mieście, po większej części po farmach rozrzuceni w promieniu 10 mil na około Beaver Dam.

Pierwsi Polacy przybyli do Beaver Dam w połowie XIX. wieku. Roku 1857 przybyli Ignacy Otto i Jan Neuman; r. 1861. przybył Michał Neumann, a r. 1862. Michał Stempniewicz, o którym powiadają, że już r. 1846. był w Milwaukee i chodził stamtąd pieszo do West Bend do spowiedzi; umarł w szpitalu w Milwaukee r. 1900., zapisawszy na kościół polski w Beaver Dam $3,000. Dalej do pierwszych osadników polskich w Beaver Dam należą: Jan Kulczyk, Ptaszyński, Maciejewski, Hoppe, Fromholz, Bartłomiej Jazgar, Stanisław Jazgar, skarbnik parafii (przybył r. 1867.), Jan Zemla, sekretarz i inni.

Około r. 1875. Polacy w Beaver Dam mu-

sieli już w dość sporą urość gromadę, skoro w tym roku, oderwawszy się od niemieckiej parafii, pobudowali swój własny murowany kościół z wyniosłą wieżą (którą niestety później r. 1893. wiatr obalił); przy kościele budynek szkolny, tudzież skromną plebanią. Pierwszym proboszczem tej parafii, który atoli w niej długo nie siedział, lecz po roku awansował do Milwaukee, był franciszkanin śp. ks. Hipolit Górski, późniejszy proboszcz św. Stanisława w Milwaukee. Wyszarzały Kalendarz z roku 1876. podaje ks. Rademachera jako proboszcza polskiego kościoła w Beaver Dam (obacz str. 105.)

Po nim nastąpił ks. Rodowicz. Następcą ks. Rodowicza był ks. Klem. Rogoziński, w r. 1877. Następnymi duszpasterzami byli kolejno: ks. Felix Dąbrowski od 1878.—1881.; ks. Zawistowski przez rok, ks. Kwiryn Zieliński od 1883.—87. Ten ostatni postawił murowaną szkołę, która do dziś stoi. Po ks. Zielińskim był tu ks. Hipolit Barański przez rok; ks. J. Szukalski, późniejszy założyciel parafii śś. Cyryla i Metodego w Milwaukee, pracował tu od 1888.—1893., z tym błogim skutkiem, że za jego energicznem staraniem wszystek dług, jaki ciężył na tej parafii, a był dość znaczny, został spłacony w całkości. Na miejsce ks. Szukalskiego w Beaver Dam przybył r. 1893. ks. Greenholz, zacny i poczciwy kapłan, lecz nie bez „ale”. Wyjechał r. 1895. Na miejsce ks. Greenholza, przybył r. 1895. z dalekiego Wscho-



Ks. Michał Wenta.

du do Beaver Dam ks. Wiktor Zaręczny, który do roku 1901. tamtejszą parafią rządził. Od września do grudnia r. 1901. parafia była bez proboszcza.

Od Bożego Narodzenia roku 1901. proboszczem w Beaver Dam był ks. Antoni Lex, którego imię zapisane jest w dziejach wielu parafii tak we Wisconsinie jak i w dyecezyi Buffalo. Ks. Lex przez kilka lat ostatnich bawił na studyach prawniczych w Rzymie, skąd roku 1901. powrócił i tę parafię tymczasowo objął. Należy właściwie do dyecezyi Buffalo'skiej. W sierpniu r. 1902. ks. Lex opuścił Beaver Dam, zostawiając parafię znowu na dłuższy czas bez pasterza. „Nie odwołałem ks. Lex'a, on poszedł sam" — (z listu Arcybiskupa Katzera). Dopiero w styczniu roku 1903. przybył tu młody, energiczny proboszcz ks. Michał Wenta.

Kiedy piszący te słowa, bawił roku 1896. w Beaver Dam przez kilka tygodni, jako tymczasowy administrator w zastępstwie chorego naówczas proboszcza, parafianie Beaver Dam-scy nosili się z myślą powiększenia kościoła i plebanii, bo jedno i drugie było dość szczupłe. I nie zaniechali tej myśli. Brakło im tylko przewodnika, któryby tę ich myśl w czyn zamienił. Wreszcie otrzymali takiego przewodnika w osobie ks. Wenty, którego energia, obaliwszy stary, dźwignęła r. 1904. nowy kościół murowany z czerwonej cegły, 125 stóp długi; wieża, w której jedyny w mieście zegar, mierzy 127 stóp.



Kościół św. Michała w Beaver Dam, Wis.

Koszta budowy $20,000. Poświęcił ten kościół arcybiskup Messmer 30. kwietnia r. 1905. Roku 1905. ks. Wenta szkołę zreformował, sprowadzając tu Siostry z Stevens Point a r. 1906. przystąpił do budowy wspaniałej plebanii.

Ks. Michał Wenta urodzony r. 1877. w Prusach Zachodnich, r. 1881. przybył do Ameryki. Studyował w Marquette College, rok słuchał filozofii w Cincinnati, O., a teologii w St. Francis, Wis., gdzie wyświęcony r. 1902. Był asystentem przy kościele św. Wincentego w Milwaukee, a w styczniu r. 1903. został tu proboszczem.

Parafia św. Michała w Beaver Dam liczyła r. 1902. podług urzędowego cenzusu 200 familii. Jest prawie tyleż dzieci w wieku szkolnym.

Od Beaver Dam 25 mil w prostej linii na północ, 84 mil koleją od Milwaukee, w powiecie Fond du Lac, leży Ripon — jak geografowie twierdzą — na najwyższym punkcie w całym Wisconsinie.

---

15. Parafia św. Wacława w Ripon, Wis.

(Założona r. 1896.)

W księgach metrykalnych tutejszej irlandzkiej parafii św. Patryka znajduję już w roku 1864. imię sławnego polskiego missyonarza, ks. Bonawentury Buczyńskiego, który w tym roku ochrzcił tu 4 dzieci polskie: Franciszek Różek, chrzestna Rozalia Jarzyńska; Magdalena Wolska, córka Jana i Anny Wasztok,

Paweł Franciszek Molik, chrzestnymi: Marcin Mantej i Zuzanna Fleming. Podpisane: „Pater Bonaventura Buczyński”. Na jednej z kart księgi metrykalnej r. 1868. widnieje „Franciszek Kruszka”. Pomiędzy r. 1864—1870. przybyli do Ripon: Andrzej Ustruk, Józef Ryszewski, Jan Wrzesiński, Jan Split, Wocknitz, Zaborowski, Suwalski; roku 1872. przybyli Karol Jankowski, Jan Nep. Ryszewski, Wojciech Surma, Juliusz Streich, Ludwik Split; roku 1876.: Kazimiera Wegner i Antoni Ros, r. 1879. Michał Ustruk — reszta później, a najwięcej około r. 1882.

Byli więc już podówczas Polacy w Ripon. A w roku 1882. było ich już mniejwięcej tyle, co dziś, to jest około 50 familii. Nie myśleli jednak o założeniu własnej parafii. Należeli do tutejszej irlandzkiej parafii św. Patryka, i z tem im było dobrze przez długi czas. Spowiedzi wielkanocnej słuchał ich ksiądz polski z sąsiedniego Berlina lub z Princeton. O ks. Wieczorku (umarł w Toledo, O.), o ks. Rogozińskim (umarł w Milwaukee), o ks. Zielińskim (dziś w Antigo), Łopacie i t. d., często wspominają; a ks. Gratzę dziś w Mt. Carmel, Pa.), który ostatni do nich dojeżdżał z Berlina, najświeżej w pamięci mają.

Dostali wreszcie, choć na krótki czas, stałego księdza polskiego. Bo oto roku 1894. tutejszy pół ajryski, pół niemiecki proboszcz, Father Goebel, (bawiący tu już od roku 1883),

przybrał do boku swego asystenta, wikarego, w osobie ks. Fabiana (obecnie w Rondout, N. Y.)

Nastała nowa era dla Polaków. „Polak nie sługa'' — mówi pieśń, i „Polak asystent'' nie „asystował'', lecz „celebrował'' w parafii. Polubili ks. Fabiana nietylko Polacy, ale i Niemcy i Ajrysze i niemal na rękach go nosili. Poczuł to niebawem Father Goebel, że grunt mu się z pod nóg usuwa, więc rozumie się „precz z takim asystentem''. I usunął go, zdaje się w czerwcu roku 1895.

Ale tem usunięciem ściągnął gromy całej parafii na swoją głowę. Gotowało się i wrzało w parafii jak w kotle. Sarkania, skargi i zażalenia szły w listach i delegacyach, jedne po drugich, do progów arcybiskupiego pałacu w Milwaukee, tak, iż ówczesny administrator archidyecezyi, ks. A. Schinner (ks. arcybiskup Katzer bawił w Europie) sam tu zjechał osobiście w celu wysłuchania skarg na ks. Goebel. To jednak w tem zamieszaniu ogólnem na pochwałę trzeba powiedzieć, że nikt się gwałtów nie dopuszczał, owszem Polacy szanowali ks. Goebla jako kapłana, oddali mu co się należy ale nie dali sobie też w kaszę dmuchać i domagali się nawzajem praw sobie przynależnych.

Gdy ks. arcybiskup wrócił z Europy, nowe skargi idą do niego, że ks. Goebel nie chce chrzcić polskiego dziecka, że Polaków nazywa „Polish cattle'' (polskie bydło) i t. p. Niejaki

J. Majewski, był zdolnym pisarzem tych listów do arcybiskupa. Ks. arcybiskup w odpowiedzi zarzuca Polakom, iż całe to zamieszanie jest winą jednego burzyciela, którego nie powinni słuchać. Lecz oni arcybiskupowi z godnością na ten zarzut odpowiadają. Następny ich list był hardy, arcybiskup nań nie odpowiada. Ks. Goebel staje się coraz zuchwalszy; na mityngu odmawia Polakom głosu. Skargi się zaostrzają. Ks. arcybiskup nie widzi innego wyjścia z tego chaosu, jak oddzielić Polaków od irlandzkiej parafii i pozwolić im utworzyć osobną polską parafię. Divide et impera.

Polakom nie chodziło o osobną parafię, ale kiedy innej rady nie było, więc propozycyę arcybiskupa, żeby utworzyć osobną parafię, przyjęli jako twardą konieczność. Dnia 29. lutego 1896 r. mieli pierwszy mityng organizacyjny, na którym stosownie do propozycyi arcybiskupa, uchwalono „polską parafię ustalić'', budować własny kościół i plebanię, i wybrano wiceprezesem Kazimierza Wegnera, sekretarzem N. Gruszczyńskiego, a kasyerem Jana Wrzesińskiego.

Oto prymitywny mityng, na którym myśl przybrała już ciało, choć bez wyraźnego organizmu. Parafia się poczęła, ale jeszcze się nie wyłoniła. Polacy najmują już osobny dom na plebanię dla przyszłego proboszcza. Urządzają ten dom jak mogą najlepiej.

Tymczasem 7. marca 1896., X. Wacław

Kruszka, bawiący podówczas w Beaver Dam, jako tymczasowy administrator parafii św. Michała (w zastępstwie chorego ks. Zaręcznego), otrzymuje list od ks. arcybiskupa Katzera następującego tenoru: „Sie sind als Rector der neu zu errichtenden polnischen Gemeinde in Ripon angestellt. Sie sollen dort eine Kirche, ein Pfarrhaus, ein Schulhaus, und Schwesternhaus bauen. Zu Reibereien wird es kommen.'' Na ten list ks. W. Kruszka odpowiedział telegraficznie ks. arcybiskupowi: „All right, all according to your orders''.

I w poniedziałek 9. marca rano przybył do Ripon. Na dworcu St. Paul przyjęli go gromadnie zebrani parafianie z Kaźmierzem Wegner na czele i w powozie odwieźli go do improwizowanej plebanii. Pokrzepiwszy się, ks. Kruszka złożył powitalną wizytę ks. Goeblowi (pierwszy raz w życiu z nim się spotykając) i uwiadomił go oficyalnie o organizowaniu nowej polskiej parafii w Ripon. Na wzmiankę o nowej parafii ks. Goebel parsknął szyderczym śmiechem. „Czy możliwe?'' rzekł. „Nie moja rzecz pytać, czy możliwe czy nie; moja rzecz jest, wypełnić rozkaz biskupi, a przynajmniej dołożyć wszelkich sił, żeby go wypełnić.'' Tego samego dnia jeszcze, ks. Kruszka z parafianami obchodził miasto wzdłuż i wszerz, celem wyszukania dogodnego miejsca pod przyszły kościół. Placów upatrzono coś 7 czy 8 — było

w czem przebierać, ale i było o co się kłócić później.

Dnia 12. marca 1896. roku odbył ks. Kruszka pierwszy mityng z parafianami w hali Lyle'a. Głównym tego spotkania celem było powitanie, zapoznanie się i zoryentowanie się w chęciach i siłach parafian. „Kościół swój chcemy mieć'' — wołano jednogłośnie. „Jeśli chcecie mieć kościół — odpowiedział ks. Kruszka — to porządny budujcie. Chcecie stawiać kościół na kształt stodoły lub kurnika, to lepiej wcale nie budujcie. Dom Boży, jeśli ma być na chwałę Bożą, to musi być piękny. Stać was na to? Coś przeszło 20 obiecało z początku dać po $100 na kościół, ale z tych później tylko 12 dało okrągłe $100 bitych, inni spuścili nieco z tonu i dali po $75.

Kilku Niemców katolików, także dzielnie dopomogli.

Dnia 29. marca roku 1896. odbył się w kościele św. Patryka „urzędowy'' massmityng t. j. tydzień naprzód w kościele zapowiedziany, za poprzedniem uwiadomieniem ks. arcybiskupa, który ks. proboszczowi nadesłał swoje „proxy.'' Na tem walnem zebraniu wybrano urzędników parafialnych: Nikodema Gruszczyńskiego na sekretarza, Jakóba Łukaszewskiego na kasyera; na radnych Andrzeja Wachowskiego i Kazimierza Wegnera. Kasyer musiał stawić kaucyi $2,000, a sekretarz $500. W dwa dni potem nadeszła od ks. arcybiskupa aprobata wyboru

urzędników. Dnia 7. Kwietnia 1896 roku została parafia inkorporowaną czyli należycie wcieloną do praw stanowych.

Dnia 30. Maja zakupiono 1 1/3 akra gruntu za $1,150 blisko dworca kolei St. Paul. Na tym placu kościół stanął.

W Piątek 12. Czerwca 1896 roku rozpoczęto wykopywać ziemię pod fundament kościoła, przyczem pierwsze sztychy ks. proboszcz uczynił, a reszty dokonali parafianie. W 2½ dnia cały sklep był wykopany.

Dnia 2. Lipca 1896 roku odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego. Ceremonii dopełnił ks. Jacek Gulski z Milwaukee, kazanie polskie miał ks. J. Gratza z Berlina, a mowę angielską wygłosił z kamienia student teologii podówczas, dziś ksiądz Vaughan.

Budowa szła raźno naprzód, pomimo przeszkód i trudności. Father Goebel, patrząc na wznoszące się ściany i wspaniałą wieżę kościoła, nie chciał wierzyć, żebyśmy ten kościół ukończyli. „Zaczęli, ale nie ukończą — mówił, potakując głową — i wrócą się jeszcze do św. Patryka". Krzątaniny i zabiegów, tak ze strony proboszcza jak i parafian, było wiele. Ale dobrzy ludzie, tak z bliska jak z daleka, przyszli w pomoc. Na szczególniejszą wzmiankę zasługują, oprócz Ripna, następujący dobrodzieje: sąsiednie parafie św. Michała w Berlinie i św. Jana w Princeton; parafia św. Stanisława w Milwaukee, parafia św. Trójcy w Chicago i

św. Michała w South Chicago; parafia św. Franciszka w Detroit; parafia Wniebowzięcia w Buffalo; Tow. Narodowe św. Kazimierza (Grupa 12. Z. N. P.) z Bay City; Tow. św. Wojciecha (Grupa 193. Z. N. P.) z South Bend; nadto jednostki, jak Jan Starszak, Stanisław Skwierawski i Franciszek Nowacki z Milwaukee, oraz architekt Bernard Kołpacki.

Wreszcie budowa kościoła miała się ku końcowi i trzeba było wypłacić kontraktorowi pełną sumę kontraktową, blisko $6,000, a tu pieniędzy tyle nie było. W innym czasie byłoby było można łatwo zaciągnąć pożyczkę, ale w Październiku roku 1896 przed wyborami prezydencyalnymi, kiedy to bito się o srebro i złoto, znikąd pożyczki ani na 10 procent dostać nie było można. Dopiero też po wyborach uzyskaliśmy pożyczkę od banku First National w Ripon.

Dnia 29. Listopada ks. proboszcz z polecenia arcybiskupa, poświęcił dolną kaplicę i bezment w nowym kościele; i odtąd już tam się nabożeństwa odprawiały, zamiast u św. Patryka. Na początku Grudnia odwiedził ks. proboszcza ks. biskup Messmer z Green Bay i nie mógł się wydziwić, że w tak krótkim czasie tak mała parafia tak piękny kościół postawiła — był on jednym z tych licznych, którzy słysząc, że w Ripon buduje się kościół, kiwali głową i mówili, że nic z tego nie będzie. Było to 10. Grudnia. Kiedy ks. biskup Messmer wszedł do wnętrza

nowego kościoła, nie było jeszcze ani ołtarza, ani ławek ustawionych. „Czy 15. Grudnia ma być poświęcenie?” zapytał. „Tak jest” — odpowiedziałem. „Nie wierzę, żebyście na ten czas byli gotowi” — odparł. A jednak byli gotowi, choć co prawda nieraz do późna w noc krzątali się parafianie.

Dnia 15. Grudnia roku 1896 ks. Arcybiskup Katzer poświęcił kościół św. Wacława. Ks. Fr. Jachimiak z Mill Creek wygłosił kazanie, ks. Adolf Nowicki z South Chicago odprawił sumę. Było wielu innych obecnych, tak świeckich jak duchownych, a wszyscy byli tego dnia pełni dobrego humoru i wesołości.

Kościół jest w stylu gotyckim zbudowany w całokształcie krzyża. Ma 100 stóp długości, a szerokości z frontu 40 stóp, w krzyżu 54 stóp, wieża wysokości 130 stóp. Cała budowa z drzewa, a tylko sklep kościoła (bezment) jest z kamienia, 12 stóp wysoki, w którym znajduje się kaplica (pod prezbiterium), dwie obszerne klasy i piec do ogrzewania kościoła. W punkcie krzyżowania się nawy podłużnej z poprzeczną, na kościele wznosi się wieżyczka ze sygnaturką. Oprócz dużej wieży i małej wieży ze sygnaturką, zakończonych krzyżem, zdobi kościół jeszcze 10 wieżyczek zakończonych różą.

Uporawszy się z budową kościoła materyalnego, ks. proboszcz wziął się energicznie „ku budowaniu ciała Chrystusowego” (Effes 4,12), t. j. kościoła duchowego. Założył Bractwo Ró-

żańcowe dla niewiast, Tow. św. Stanisława dla chłopców, Tow. św. Agnieszki dla dziewcząt, Ligę Serca Jezusowego i Tow. św. Cecylii dla panien i młodzieńców. Mężczyźni już oddawna należeli do Katolickich Rycerzy i pomimo kilkakrotnych prób, nie udało się z nich uformować osobnego polskiego towarzystwa. Potem szkoła. W braku funduszów, ks. proboszcz sam codzień od godziny 4-ej do 5-tej, po szkole publicznej, uczył i uczy dzieci czytać po polsku, młodszych co Poniedziałek, Środę i Piątek uczy z elementarza i katechizmu, starszych co Wtorek, Czwartek i Sobotę uczy historyi polskiej i biblijnej, w Niedzielę od 2—3 wszystkich katechizmu.

Na 57 polskich familii w roku 1900, było dzieci w wieku szkolnym (od 7 do 14 roku życia) 87; na 28 niemieckich familii 25 dzieci — razem na 80 familii w parafii było dzieci szkolnych 112.

W Czerwcu roku 1897 ks. Kruszka na wezwanie biskupa Messmera, zajął się organizowaniem polskiej parafii w sąsiednim Oshkosh (25 mil stąd), dojeżdżając tam przez rok i ćwierć, i pozostając przez ten czas pod jurysdykcyą dwu biskupów, greenbay'skiego i milwauckiego. Równocześnie z budową kościoła w Oshkosh budowano plebanię w Ripon, na jesień 1897 roku, tak, iż 15. Stycznia 1898 r. ks. Kruszka w niej zamieszkał. Plebanię budował niejaki Suwalski, alderman ripoński, kosztem ni mniej ni więcej

cej $1,000 (suma kontraktora $890). Na wiosnę roku 1898. ks. Kruszka, mając zawsze Ripon za punkt oparcia, rozpoczął za wiedzą biskupa dzieło organizacyi Polaków w Kenosha; ale sina zazdrość, mówiąca: „co to, on wszędzie będzie zakładał parafie?” postarała się u biskupa o zakaz dokończenia rozpoczętego dzieła. Natomiast posłano ks. Kruszkę do Ajryszów, oddając mu 7. Sierpnia 1898 roku dwie czysto irlandzkie missye w Springvale i Eldorado, zmuszając go temsamem do rezygnacyi także z polskiej parafii w Oshkosh. Teraz w obrębie parafii jego było więcej Ajryszów i Niemców niż Polaków — musiał też prawić co niedzielę kazania w polskim, niemieckim i angielskim języku. W Czerwcu roku 1900. ks. arcybiskup odjął ks. Kruszce te irlandzkie missye, zostawiając mu samą parafię św. Wacława tylko, a za przyczynę tego kroku podał ks. arcybiskup to, że „musi ratować parafię św. Patryka i dla tego do niej te missye przyłącza.”

Trzeba bowiem wiedzieć, że parafia św. Patryka, ta macierzysta parafia w Ripon, od czasu powstania polskiej parafii św. Wacława, stale podupadała. Ani do kościoła ani do kasy prawie nic nie przychodziło. Father Goebel jeszcze przez dwa lata usiłował polską parafię zgnębić, a swoją utrzymać, ale gdy widział, że to daremne, wreszcie — po 15 latach swego pobytu w Ripon — poprosił Arcybiskupa o inną posadę, bo w Ripon mu wszystko się rozlazło. Było to

w Maju w roku 1898., gdy arcybiskup był na bierzmowaniu w Ripon. Siedziało koło arcybiskupa coś 10 księży przy stole. W toku rozmowy ks. Goebel wyraził się, że w Ripon nie ma miejsca dla dwóch księży. Ks. Kruszka na to: „To niech będzie jeden”. Wtem ks. arcybiskup zagadnął: „Ale po coś Ty — rzekł, zwracając się do ks. Kruszki — zakładał tu nową parafię, kiedy tu nie ma miejsca dla dwóch księży?” — „A po coś mi, Excellencyo, rozkazał?”—zapytał się nawzajem ks. Kruszka. „Rozkazałem ci — odrzekł arcybiskup — założyć parafię, ale rozumie się, jeżeli to możliwe”. — „A czyż to nie było możliwe? — odparł ks. Kruszka — wszak stoi kościół nowy, nowa plebania, stoi nowa polska parafia!” — „Tak — odpowiedział arcybiskup — ale irlandzka przez to upadła!” — „A co mnie obchodzi irlandzka; Tyś, Excellencyo, rozkazał mi polską postawić, i stoi!” — i na tem dysputa się skończyła. Father Goebel wyjechał z Ripon, zaciągnąwszy poprzednio pożyczkę $1,300, by wypłacić sobie pensyę, bo przez ostatnie dwa lata — od czasu jak Polacy się odłączyli — parafia św. Patryka nie mogła pensyi swemu księdzu wypłacić.

Stan majątkowy polskiej parafii św. Wacława, przedstawia się jak następuje:

Kościół z ławkami, amboną, baldachimem, 3 ołtarzami, organami, 8 statuami itd., kosztuje okrągło $8,500; plebania z urządzeniem $2,000; akier i jedna trzecia gruntu wraz ze stajnią

przedstawia wartość $1,500. Razem majątku parafialnego $12,000. Na tym zaś majątku ciąży w r. 1905. dług 1) zastawiony majątkiem czyli zamorgeczowany (zahypotekowany) $1,550; 2) w notach nie zastawniczych $500. Razem $2,050.

Ks. Wacław Kruszka, założyciel i proboszcz tej parafii, urodził się 2. Marca, 1868., w Słabomierzu, powiecie Żnińskim, w Ks. Poznańskiem. W Gorzycach uczył się abecadła; innych nauk od roku 1877. w gimnazyach we Wieleniu i Wągrówcu; retoryki i filozofii w kollegiach jezuickich w Galicyi; roku 1890—1891 był professorem w jezuickim konwikcie w Chyrowie; potem studyował filozofię na Uniwersytecie Gregoryańskim w Rzymie i teologie w Krakowie; wreszcie pod koniec roku 1893 przybył via Londyn do Ameryki, gdzie w seminaryum w St. Francis ukończył studya teologii i dnia 16. Czerwca 1895. wyświęcony został dla archidyecezyi milwauckiej. Był assystentem ks. W. Grutzy, oraz professorem przy Wyższej Szkole św. Józafata, z której to posady 25. Lutego r. 1896. zrezygnował, dlatego, że ks. Grutza usunął język polski na drugi plan, dając pierwszeństwo niemczyźnie. Potem przez parę tygodni był zastępcą chorego ks. Zaręcznego w Beaver Dam. Następnie był posłany do Ripon, gdzie roku 1896. zorganizował parafię, którą dotychczas zarządza. Z Ripon, jak punktu oparcia, zorganizował roku 1897. parafię polską w Osh-

kosh, oraz roku 1898. zapoczątkował parafię polską w Kenosha. Napisał też kilka książek, jak: „Rzym'' (r. 1895.); „Hymny Wielkopostne'' (r. 1896.); „Neapol, Wezuwiusz i Pompeji'' (r. 1898.); „O Piękności'' (r. 1899.); „The Unbeliever before the Tribunal of Reason'' (r. 1900.); „Anarchizm'' (r. 1901.).

Urzędnikami parafialnymi w Ripon byli: od roku 1896—1898. Nikodem Gruszczyński, sekretarzem; Jakób Łukaszewski, skarbnikiem; radnymi Andrzej Wachowski i Kazimierz Wegner. Od roku 1898—1900. Antoni Ros, sekretarzem; Jakób Łukaszewski, skarbnikiem; radnymi J. Strzeliński i J. Wrzesiński. Od roku 1900—1902. Jan Dorsz, sekretarzem; Nikodem Gruszczyński, skarbnikiem; radnymi Karol Jankowski i Andrzej Wachowski. Od roku 1902—1904. Jan Dorsz, sekretarzem; Jakób Łukaszewski, skarbnikiem; radnymi Mikołaj Wachowski i Jan Meszczyński. Od roku 1904—1906. Marcin Binkowski, sekretarzem; Jakób Łukaszewski, skarbnikiem. Cmentarz jest wspólną własnością obydwu parafii, św. Wacława i św. Patryka.

Ripon (4,000 mieszkańców) nie tylko jest kolebką republikańskiej partyi politycznej (niedaleko kościoła św. Wacława stoi do dziś domek, w którym ta słynna partya roku 1854. się zawiązała), ale nadto i z tego słynie, że jest gniazdem rodzinnem księdza polskiego, miano-

wicie ks. F. Nowackiego, który tutaj roku 1876. światło dzienne ujrzał.

---

16. Parafia św. Kazimierza w Kenosha. — Polacy w Racine, Wis.

(Zapoczątkowana r. 1898.)

Na południe od Milwaukee, mil 24, leży Racine, a mil 35, Kenosha — obydwa miasta, położone nad brzegiem Jeziora Michigan, mają znaczną liczbę Polaków. Jeszcze śp. ks. Aug. Drążkowski, słuchając Polaków w Racine roku 1894. spowiedzi wielkanocnej, oświadczył, że jest tam dostateczna liczba Polaków do utworzenia osobnej parafii, a ks. W. Zaręczny roku 1904. na seryo zabrał się do zorganizowania parafii polskiej w Racine.

Polacy w Kenosha wyprzedzili swoich rodaków w Racine pod względem zmysłu organizacyjnego.

Organizowanie parafii w Kenoshy zostało w roku 1898. przez ks. Wacława Kruszkę, z Ripon, zapoczątkowane, lecz niedokończone. Rzecz miała się tak: Na wiosnę r. 1898 Polacy z Kenoshy zaprosili ks. W. Kruszkę do słuchania spowiedzi wielkanocnej, w porozumieniu ze swoim proboszczem (niemieckim) ks. Józefem Dreis. Gdy przybył ks. W. Kruszka, śp. ks. Dreis sam zaproponował mu organizacyę polskiej parafii w Kenosha. Podczas gdy więc rok

temu, organizując parafię polską w Oshkosh, ks. Wacław Kruszka napotkał na silną opozycyę ze strony tamtejszego proboszcza niemieckiego ks. Scholtra; to tu przeciwnie u niemieckiego proboszcza znalazł silne poparcie. Zwołano bezzwłocznie mityng organizacyjny, na którym, oprócz ks. Kruszki był obecny także śp. ks. Józef Dreis, który gorącymi słowy zachęcał Polaków do założenia własnej parafii. Naliczono już wówczas około 30 familiantów polskich (nie licząc litewskich), oraz drugie tyle kawalerów polskich, również skorych do czynu. Uchwalono na tym mityngu zawiązać polską parafię i nadać jej za patrona św. Józefa. Na sekretarza parafialnego obrano Karola Gedo, na skarbnika Józefa Kończaka, a Leona Rochnowskiego i Jana Neubauera na radnych. Ks. arcybiskup o tem wszystkiem powiadomiony, pochwalił zamiar Polaków. Skutkiem tego ks. W. Kruszka, chcąc dokończyć co zaczął, pojechał znowu wyszukać dogodne miejsce pod kościół, których to miejsc aż trzy bezpłatnie ofiarowano. Z tych trzech trzeba było koniecznie wybrać tylko jedno. W tym celu więc zwołał ks. W. Kruszka mityng, na którym większość się oświadczyła za placem północnym. Poczem, mając już w ręku „deed'' i gotowe do budowy plany, poszedł ks. Kruszka do ks. Arcybiskupa, by, pozwoliwszy już na zorganizowanie parafii, pozwolił teraz na budowę kościoła. Lecz ks. Arcybiskup na to odrzekł, że nie ma wprawdzie nic przeciwko

budowaniu kościoła polskiego w Kenoshy, lecz nie może jednak pozwolić na to, żeby ks. W. Kruszka tylko wszędzie kościoły budował, bo są inni księża, bliżej Kenoshy, którzy się tem zajmą. „A owszem — odparł ks. Kruszka — byle się tylko rzeczywiście zajęli budową kościoła polskiego w Kenosha!" Odtąd ks. Kruszka, nie chcąc wejść w zatarg z władzą kościelną, przestał się opiekować Polakami w Kenoshy. Zaopiekował się nimi, z polecenia Arcybiskupa, ks. Mścisz z South Milwaukee, lecz do budowy kościoła nie przyszło.

Dnia 12. Października roku 1901. zreorganizowano się i inkorporowano parafię p. t. św. Kazimierza i kupiono 4 loty.

Pod jesień r. 1902., rozpoczęto budowę kościoła. Dnia 9. Listopada 1902 r. kanclerz arcybiskupi, ks. A. Schinner, poświęcił kamień węgielny, przyczem kazanie powiedział ks. Michał Domachowski. Kościół, murowany z cegły, jest w stylu gotyckim czy romańskim z wieżą na froncie. Podług planów architekta H. A. Kulas z Milwaukee, kościół ma być kiedyś 126 stóp długi, a w krzyżu 56 stóp szeroki, z wieżą 130 stóp wysoką: atoli tymczasem cała budowa wynosi 70 stóp długości, a 44 szerokości, kosztem $6,676. Obywatele z Kenoshy dopomogli naszym rodakom w tem przedsięwzięciu: między innymi, G. S. Simons, fabrykant łóżek żelaznych, ofiarował na polski kościół $500.

Dnia 19. Kwietnia roku 1903 kościół po-

święcił wikary generalny ks. Schinner. Proboszczem tej litewsko-polskiej parafii został ks. Ambrozajtys, przybyły z dyecezyi Peoria. Kupiono dlań plebanię za $1,700. Roku 1904. przybył ks. Wiktor Zaręczny.

---

17. Polacy w innych osadach.

W obrębie archidyecezyi milwauckiej jest jeszcze kilkanaście osad polskich, nie zorganizowanych w parafię, jako to: Racine (60 rodzin), Fox Lake (25 rodzin), Caledonia (25 rodzin), Fond du Lac (25 rodzin), Eden (8 rodzin), North Milwaukee i Sheboygan. Ze Sheboygan pisze nam p. Wincenty Szprejda, że tam jest tylko 50 Polaków, a reszta Litwini, których, jak powiada, ma być „100 do 150 mężczyzn pracujących''.... „liczba ich by się zwiększyła przy kobietach i dzieciach'' (w liście z dnia 15. Grudnia roku 1901.).

Zresztą familie polskie w małych grupach są porozrzucane wszędzie, w każdem miasteczku, w każdej wiosce i w każdym zakątku. Wszędzie żyją, rosną i mnożą się Polacy. Tak tu we Wisconsinie, jak i w całych Stanach Zjednoczonych, trudno wyliczyć wszystkie miejsca, w których jest po kilku Polaków. Łatwiej zaiste odpowiedzieć na to pytanie, gdzie ich nie ma? aniżeli na to, gdzie są? Gdyż miejsca, gdzie nie ma ani jednego Polaka, na palcach byś policzył.

W seminaryum w St. Francis, Wis., jest profesorem ks. Bolesław Góral. Urodził się on dnia 12. marca, 1876 roku w miejscowości Królewska Wieś w parafii Zakrzewskiej powiat Złotowski, („Flatow") w Prusach Zachodnich, z ojca Antoniego i matki Apolonii z Brzóstowiczów. Do Ameryki przybył w jesieni 1889 r. Początkowe nauki pobierał w Głomsku (Glumen), a przybywszy do Ameryki, zaraz wstąpił do Seminaryum Polskiego w Detroit, Mich., gdzie pozostał aż do 1896; od tego zaś czasu aż do ukończenia nauk i przyjęcia święceń kapłańskich (18. czerwma, 1899 r.), przebywał w Salesianum, St. Francis, Wis. Po wakacyach letnich tego samego roku posłano go do tegóż seminaryum na profesora, gdzie jeszcze dotąd przebywa. Wykładał dawniej: język grecki, niemiecki, francuski i polski oraz homiletykę; obecnie zaś zajmuje się tylko językiem greckim i polskim oraz homiletyką. Kurs języka polskiego jest kompletny, w skład jego wchodzą: gramatyka, stylistyka, literatura i historya, połączone z odpowiedniemi ćwiczeniami, tak ustnemi jako też i piśmiennemi.

Ks. Bol. Góral ma jeszcze jednego brata księdzem: Józefa Joachima, należącego do Zgromadzenia X.X. Misyonarzy (św. Wincentego a Paulo); znajduje się w Galicyi (w Sokołówce, p. Bóbrka), gdzie pracuje między ludem wiejskim.



Ks. Bolesław E. Góral.

Przejdźmy do dyecezyi La Crosse'kiej, obejmującej zachodnią część Stanu.

C.) POLACY W DYECEZYI LA CROSSE.

Dyecezya La Crosse'ka utworzona w tym samym roku 1868., co Green Bay'ska. Pierwszym biskupem był (1868—81.) Michał Heiss; potem (1881.—91.) Kasper Flasch; wreszcie od roku 1892. Jakób Schwebach. Jego dyecezya na 97,000 katolików liczy 26,080 Polaków, na 132 księży — 12 polskich, na 224 kościołów — 17 polskich. Przew. ks. Andrzej Gara pierwszy z Polaków w tej dyecezyi, dostąpił zaszczytu konsultora biskupiego r. 1902. Ale oto parafie i osady polskie w tej dyecezyi, począwszy od Pine Creeku, jako najstarszej w tej dyecezyi:

1. Parafia św. Wacława w Pine Creek, Wis.

(Założona r. 1864.)

Trzecią z rzędu najstarszą we Wisconsinie parafią polską jest parafia św. Wacława pod Opieką Boskiego Serca w Pine Creek, w powiecie Trempeleau (poczta Dodge Station) na zachodnim krańcu Stanu Wisconsin (6 mil od Winony w Minnesocie). Założoną została dnia 7. Lutego roku 1864. Dwie jej młodsze o 9 lat sąsiadki są North Creek i Independence.

Pierwszy kawał gruntu pod kościół w Pine Creek'u darował niejaki Paweł Libera, a w 3

lata później, dnia 6. Czerwca roku 1867., tenże sam sprzedał parafii dalsze dwa akry za $100. Aż do roku 1866, parafia nie miała stałego proboszcza, lecz była jako missya przez sąsiednich proboszczów doglądaną.

Pierwszym w Pine Creek'u stale rezydującym proboszczem był ks. Fl. Zadziorski, który tu od roku 1866. do 1868. przebywał. Jego następca, ks. Węglikowski pozostał tu aż do roku 1871. Następne dwa lata, aż do 1873. był duszpasterzem ks. Józef Musielewicz, po którym nastąpił ks. E. Bratkiewicz, do roku 1874.

Za rządów ks. Adolfa Śnigurskiego, który z Texas przybył roku 1875. i z poręki O. Winc. Barzyńskiego tę parafię objął, wybudowano w stylu amerykańsko-doryckim, piękny kościół murowany z cegieł, 125 stóp długi, a 44 szeroki, kosztem $18,000. Był to swego czasu pono najpiękniejszy polski kościół w Ameryce. Sam ks. Adolf Śnigurski pisze o budowie tego kościoła do „Gaz. Pol. Kat." (w Maju r. 1875.) co następuje:

„W Poniedziałek z rana (10-go Maja roku 1875). zeszli się wszyscy mężczyźni, zdolni do ciężkiej pracy, do tymczasowej kaplicy na nabożeństwo. Po wysłuchaniu mszy i błogosławieństwie N. Sak., obecni opuścili święte miejsce i wyszli na pole, ażeby pierwszej dokonać pracy pod budowę nowego kościoła, to jest, wyciosać w kamieniu drogę pod ogromną górę.

Przez cały dzień rydle, siekiery i kilofy grzmiały nieustannie w górach, a pot pracujących braci naszych zaznaczał postęp uciążliwej roboty, która przy końcu dnia zostawiła drogę kompletnie wykończoną. Przez 14. i 15. Maja przekopano basement czyli sklepienie. Kościół ma być 190 stóp długi, 50 szeroki, a 24 wysoki, wieża 115 stóp. Ludzie, nie mający obecnie (r. 1875.) gotówki, co rychlej pośpieszają wystawiać swoje weksle czyli noty na pobudowanie kościoła, ażebyśmy mieli rękojmię do zaciągnięcia pożyczki; na takie weksle każdy może ryzykować. Koło nas w Winona bankierzy ściągają wielkie procenty; — więc upraszamy każdego ktoby miał do pożyczenia pieniądze od 7 do 8 procent, niech się zgłosi do ks. W. Barzyńskiego, 384 Noble ulica, w Chicago, a my mu damy wszystkie zabezpieczenia. Ks. A. Śnigurski, rektor missyi polskiej w Pine Creek.''

Dnia 21. Listopada tegoż roku 1875. kościół już był poświęcony „murowany z cegły, w stylu amerykańsko-doryckim''. Familii było wówczas 130 polskich, a 10 czeskich.

Na początku roku 1878. ks. Śnigurski wyjechał do Europy, skąd już do Pine Creeku nie wrócił, lecz objął Wojciechowo w Chicago. W Pine Creeku zastępowali go roku 1878. przez parę miesięcy ks. Wawrzyniec Spryszyński i ks. Henryk Cichocki, obaj assystenci ks. Wincentego Barzyńskiego z Chicago. Ks. Spryszyński (przybył z kraju do Chicago w Październi-

ku 1876.) pisze z Pine Creeku w Marcu 1878.: „Ks. Śnigurski, który był tutaj, zachorował i wyjechał do Europy dla poratowania zdrowia, mam go zastępować.... Mógłbym był nie jechać, ale O. Wincenty wie co robi, nie chciał porzucać tej missyi Pine Creek, która utrzymaną była dobrze przez ks. Śnigurskiego, nie chcąc tu puścić innego księdza, którychby się znalazło aż nadto, mnie wybrał... Plebania ogromna, sam jestem w całym domu, zdala od ludzi śród gór i lasów, stołuję się na wsi. Z owej to plebanii Moloch wypędził ks. Śnigurskiego, że nie mógł tu nawet sypiać, a mnie dotychczas nic jeszcze nie mówi. Ks. Śnigurski w tej missyi miał kilkoro opętanych i z tego powodu prawie zmarnował zdrowie. Kościół piękny, parafianie są po części Kaszuby i Czechy, dobrze się mają, wierzą w Boga, ale Go tak bardzo nie potrzebują.... Z Europą już się uspokoiłem całkiem. Owa zakonnica potłukła serce i poszła za mąż za mojego rodzonego brata, rozumie się, dałem im kompletną dyspensę". Dnia 1. Maja 1878. pisze z Pine Creek już ks. H. Cichocki: „Klimat tu wyśmienity bo na górach jakby w Italii albo w Tatrach, ale bieda jedna, że nie ma co jeść oprócz kawy, słoniny i kiełbasy.." — a 25. Czerwca 1878. z Pine Creek donosi, że „wyjedzie do Momence wyspowiadać rodaków."..

Podobało się Opatrzności Boskiej, że następcą ks. Śnigurskiego (a ks. Śnigurski jego) w Pine Creek'u miał zostać jeden z najbardziej

poważnych i poważanych kapłanów, ks. Dominik Majer, który opuściwszy niewdzięczne Chicago, przybył tu i z całego szeregu kapłanów, przebywających przed nim i po nim w Pine Creek'u, bodaj czy nie najdłużej pozostał na tej parafii. Ks. D. Majer objął Pine Creek roku 1878., a opuścił roku 1884., kiedy ks. Rafał Tomaszewski po nim miejsce zajął. Od roku 1887. do roku 1889. rządy proboszczowskie spoczywały w ręku ks. Romana Guzowskiego, następnie znowu w ręku ks. Tomaszewskiego, i zaś powtórnie ks. R. Guzowskiego, od roku 1891. do 1895. roku.

Roku 1891. za ks. R. Guzowskiego postawiono szkołę, obłożoną cegłą, za $2,200. Budowa szkoły była, jak zapisy parafialne pokazują, połączona z wielkimi trudnościami. Ks. R. Guzowski sam ofiarował dosyć pokaźną sumkę, jako też księża Babiński, Majer, Woźny, Zawadzki i Ługowski. Również za ks. Guzowskiego sprawiono wielki ołtarz kosztem $520, i ambonę za $160. Ks. Guzowski — jak to widać z zapisków — był to ksiądz bardzo czynny, sumienny i dobry gospodarz dla dobra parafian pracujący, chociaż, co prawda, uznania tu na ziemi za swą pracę nie doznał.

Od roku 1895. ks. Ługowski piastował urząd tutejszego proboszcza, dopóki 1. Lipca roku 1898. ks. A. W. Gara nie objął tej parafii. Za czasu tego ostatniego sprawiono organy piszczałkowe, odnowił się kościół, odnowiła się

szkoła i plebania, a nie tylko materyalnie, lecz i na duchu odnowiła się cała parafia.

Ks. Andrzej W. Gara urodził się roku 1860. w Jawiszowicach, w Galicyi, studyował w Żywicach i w gimnazyum w Wadowicach. Na uniwersytecie gregoryańskim w Rzymie pobierał nauki filozofii i teologii. W roku 1885. przybył do Stanów Zjednoczonych, gdzie w seminaryum w St. Francis, Wis., otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. arcybiskupa Heissa, dnia 24. Czerwca roku 1886. Najpierw był asystentem przez dwa miesiące u ks. Ign. Schaller'a w Marshfield, Wis. Potem przez długi szereg lat obejmował posadę proboszcza w Poniatowskim. Dobrze już zagrzawszy to miejsce, dnia 1. Lipca roku 1898. przeniósł się tu do Pine Creek'u. W roku 1902. nastąpił brat jego ks. Jakób Gara.

Parafia w Pine Creek'u składa się z około 190 familii, a stojąca pod zarządem trzech Sióstr Franciszkanek O. M. C.; szkoła polska liczy przeszło 100 dzieci obojga płci. Roku 1901. po ks. Garze nastąpił tu ks. Korczyk. Obowiązki organisty pełni p. Apolinary Watkowski.

---

2. Parafia śś. Piotra i Pawła w Independence, Wisconsin.

(Założona r. 1875.)

Na wschodnim krańcu Stanu Wisconsin,

w powiatach Buffalo i Trempeleau, w dyecezyi La Crosse, niedaleko na północ od starszej osady polskiej w Pine Creek, zorganizowały się w roku 1875. dwie nowe, będące w dość bliskiem sąsiedztwie ze sobą, mianowicie w Independence i w North Creek.

Kościół śś. Piotra i Pawła w Independence, miasteczku w powiecie Trempeleau, stanął w roku 1875., kiedy ks. H. Klimecki był tam proboszczem i tegoż roku, dnia 7. Października, został poświęcony przez Najprz. X. M. Heiss'a, ówczesnego biskupa dyecezyi La Crosse. W tym samym czasie wystawiono także skromną plebanię. Ks. Klimecki był tu dość długi czas proboszczem. Dopiero dnia 10. Maja r. 1882. zrezygnował ks. Klimecki. Od tego dnia aż do Marca następnego roku parafia była bez pasterza; zaopiekował się nią w tym czasie poważny i poważany ks. D. Majer, ówczesny proboszcz w Pine Creek'u.

Na św. Józefa, 19. marca 1883. parafia otrzymała proboszcza w osobie ks. A. Warnagiris, który aż do 30. listopada roku 1885. w Independence obowiązki duszpasterskie sprawował. Następnym proboszczem był ks. R. Tomaszewski. W marcu roku 1888. ks. R. Tomaszewski opuścił parafię, a na jego miejsce przybył ks. R. L. Guzowski, który tu urząd proboszcza piastował aż do 20. lutego roku 1890. Po odjeździe ks. Guzowskiego parafia była znowu przez blisko 7 miesięcy opuszczoną; zajął się nią ks. An-



Ks. Andrzej W. Gara.

zelm Król, proboszcz sąsiedniego North Creeku, dopóki własnego nie otrzymała proboszcza.

Przybył wreszcie dnia 3. września 1890. nowy proboszcz, ks. Aug. Babiński. Zaraz w pierwszych latach swojego tamże pobytu zaczął robić przygotowania do budowy wielkiej i wspaniałej świątyni, która dziś każdemu przejeżdżającemu koleją przez Independence imponujący sprawia widok, zajmując stanowisko panujące nad całą okolicą. Budowa tej świątyni, 131 stóp długiej, a 56 stóp szerokiej, całej z cegły i kamieni, rozpoczęła się roku 1895. a skończyła się w następnym roku, kiedy 28. października roku 1896. nastąpiło uroczyste jej poświęcenie przez Najprz. X. Schwebacha, biskupa z La Crosse. Koszta budowy wynosiły $25,000.

Parafia w Independence znajduje się w pełni rozwoju i rozkwitu. Liczy familii polskich przeszło 300, czyli około 1600 dusz. Nauki w szkole parafialnej udzielają trzy Siostry Franciszkanki. Przeciętna liczba dzieci uczęszczających do szkoły polskiej wynosi 115.

Ks. August Babiński urodził się 28. lipca roku 1855 w Łęgu w powiecie Chojnickim, w Prusach Zachodnich. Po ukończeniu szkoły elementarnej w miejscu swojem rodzinnem, uczęszczał do gimnazyum w Pelplinie i Chełmnie, Następnie, chcąc zostać lekarzem, od roku 1877. do 1880. studyował medycynę na uniwersytecie w Gryfii (Greifswald) w Pomeranii. Niebawem



Kościół i szkoła śś. Piotra i Pawła w Independence, Wis.

atoli poznał, że P. Bóg go powołał na lekarza dusz ludzkich, udał się do Lowanium w Belgii, ukończył tam zmudne studya filozoficzne i teologiczne i tamże otrzymał święcenia kapłańskie w czerwcu roku 1886. Przybył potem do Stanów Zjednoczonych, gdzie zaraz zanominowano go proboszczem parafii w Humbird, w dyecezyi La Crosse, gdzie jako duszpasterz pracował aż do maja roku 1889. Następnie przesadzono go do Junction City, gdzie został aż do września 1890., kiedy to powołano go na proboszcza do Independence. Z tej posady nie ruszył się przez przeszło 10 lat. Roku dopiero 1901. przeniósł się do West Superior, do nowozałożonej parafii. Nastąpił po nim ks. Andrzej Gara. Staraniem ks. Gary roku 1902. sprowadzono nowe organy kosztem $1,600.

Do Independence dołączona jest stacya misyjna w City Point, w powiecie Jackson.

---

3. Parafia Św. Michała w North Creek.

(założona r. 1875.)

Bliską sąsiadką parafii w Independence jest polska parafia św. Michała w North Creek (poczta Arcadia), która równocześnie z tamtą powstała roku 1875. Są to jakby dwie siostry, bliźnięta, co równocześnie na świat przyszły. W tym samym roku co w Independence, zorganizowano i tu parafię, w tym samym roku zaję-

to się budową kościoła, w tym samym biskup Heiss poświęcił i tu kościół tylko o dzień prędzej niż w Independence, bo dnia 6. października 1875. roku; a i proboszcz, który najpierw tą parafią w North Creek się zaopiekował, był ten sam, co w Independence, mianowicie ks. Hieronim Klimecki, który z swojej siedziby w Pine Creeku tu dojeżdżał i parafię św. Michała przez długie lata jako misyę swoją zaopatrywał. Po ks. Klimeckim z kolei ci sami księża, co w Independence, i tu w North Creek funkcye kapłańskie sprawowali.

Pierwszym stałym proboszczem rezydującym w North Creek'u, zdaje się, był ks. Dutkiewicz, od roku 1887.—1890., po którym nastąpił ks. Anzelm Król od 1890.—1892.

Potem jakiś czas ks. Aug. Babiński z Independence zajął się osieroconą parafią, dopóki w roku 1893. nie przybył na stałe ks. Konstantyn Frydrychowicz, który po wyniesieniu się z Mill Creek'u znalazł schronisko w North Creek'u aż do 4. lutego roku 1896. Wtedy bowiem ks. Aleksander Siwiec, awansując z asystenta na proboszcza, przyjechał z Milwaukee do North Creek'u.

Parafia rośnie i powiększa się, licząc obecnie już przeszło 120 familii.

Ks. Aleksander Siwiec, urodził się 8. lipca roku 1869. w Królestwie Polskiem, pod zaborem rosyjskim. Swoje klasyczne studya ukończył w Pinczowie i jeden rok filozofii we Włoc-

ławku. Poczem po różnych próbach u Zmartwychwstańców w Krakowie udał się do Ameryki i wstąpił do seminaryum w St. Francis, w Wisconsin. Tu ukończył teologię i dnia 15. sierpnia roku 1894. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. biskupa Schwebach'a w La Crosse. Po wyświęceniu był asystentem ks. Rogozińskiego przy kościele św. Jadwigi w Milwaukee, od 6. października 1894. do 1. lutego 1896. Nie należał on do milwauckiej dyecezyi, ale do La Crosse, to też biskup La Crosski, ks. Schwebach, powołał ks. Siwca do siebie, gdy go zapotrzebował, i powierzył jego opiece parafię w North Creek'u.

W roku 1900. ks. Siwiec dla zmiany klimatu przeniósł się na Wschód, a jego miejsce objął ks. Józef J. Miller, po tym zaś ks. F. Król, a nareszcie roku 1901. ks. Fr. Jachimiak, który w październiku r. 1902. wyjechał na dłuższy czas do New Mexico dla wzmocnienia słabych płuc swoich, a 14. września 1904. zmarł w Panna Maria, Texas.

W starym roczniku (rok 1875.) czytamy: „Parafie polskie w North Creeku i Elk Creek, niedaleko przy sobie leżące i jednego proboszcza ks. Klimeckiego mające, składają się z Górno-szlązaków.'' Na liście parafii polskich (r. 1875.) widnieje osobno North Creek, osobno Elk Creek i osobno Arcadia. Arcadia musiała być kiedyś parafią przeważnie polską. W lipcu

r. 1905. parafię w North Creek objął nowowyświęcony ks. Franciszek Pudło.

---

4. Parafia Św. Józefa w Poniatowski, Wis.

(zapoczątkowana r. 1876.)

Jak świadczą podania starszych osadników i kronika parafialna (spisana r. 1895. za rektoratu ks. A. W. Gary,)—w roku 1876. osiedlili się wśród odwiecznych borów powiatu Marathon, pomiędzy Rib Falls a Athens, którą to miejscowość nazwali pierwotnie „Gmina Polska'', następujący pionierzy: Paweł Narloch, Jan Skoczyński, Jan Błoczyński, Maciej Miłkowski, August Skoczyński, Szymon Myszka i kilku innych, a znalazłszy odpowiednią glebę dla płodów rolniczych, starali się o jaknajszybsze wykarczowanie pewnych części lasu, nie zapominając przytem w gazetach ogłaszać o swoich powodzeniach. To też z każdym miesiącem przybywali nowi osadnicy, a odwieczne bory ustępowały cięciom siekiery i żarom ognia.

Zrazu dojeżdżali tu księża z Stevens Point, a nawet aż z Arcadii (North Creeku), odprawiając msze św. w domach prywatnych. A mianowicie: w grudniu roku 1877. pierwszy odwiedził tę osadę ks. W. Bukowski z Stevens Point i odprawił mszą św. w domu Jana Literskiego; drugi raz przybył w marcu roku 1878. i odprawił missyą w tak zwanym „Court House'' (domie sądowym). W jesieni tego samego roku za-

jęto się budową kościołka z nieciosanego drzewa (loksy, kłody), której dokończono dopiero następnego roku w jesieni. W roku 1879. odbył missyą ks. Klimecki z Arcadia. W roku 1880. zmieniono tytuł osady na „Zarząd Parafii św. Józefa.'' W tym roku uchwalono, aby księdza przynajmniej trzy razy do roku sprowadzić i przystąpiono do budowy plebanii z drzewa (loksów). Ks. Klimecki z Arcadii przybył dwa razy przez rok. W roku 1882. dojeżdżał ks. Lager, Czech, z Medford, Wis.

Dopiero w roku 1883 przybył tu pierwszy stale rezydujący proboszcz ks. Jan Mączyński, Franciszkanin, i pozostał aż do wiosny roku 1885. to jest aż do chwili, kiedy mu się plebania spaliła. Za niego przystawiono tylko wieżę do kościółka. Po wyjeździe ks. Mączyńskiego dojeżdżał do roku 1886. ks. August Krogulski z Junction City, Wis. Parafianie tymczasem zajęli się budową nowej plebanii z desek (frame house), aby mogli znów mieć stałego proboszcza.

Jakoż 22. września 1886. przybył do Poniatowskiego nowowyświęcony ks. A. Gara, drugi z kolei proboszcz tej miejscowości. Tem długoletniem swojem urzędowaniem (1886—1898.), rzec można, ugruntował i ustalił byt tej parafii. Za niego wykończono i umeblowano w pierwszym roku plebanię, przystawiono zakrystyę i kościółek pięknie odnowiono. W roku 1887. parafia św. Józefa została inkorporowaną.

Ponieważ pierwszy kościółek okazał się za małym dla liczby wzrastających parafian, a nadto i upadkiem groził, poczyniono roku 1889. pierwsze kroki około budowy nowego domu Bożego.

Obok starego tedy kościółka św. Józefa rozpoczęto roku 1890. budowę nowej świątyni pod wezwaniem „Najśw. Rodziny'' — z drzewa cegłą okładanego. Z pozostałego od budowy kościółka drzewa postawiono roku 1902. szkołę parafialną. Do szkoły uczęszczało około 100 dzieci na 135 familii.

Dnia 29. czerwca roku 1898. ks. A. Gara opuścił parafię. Na jego miejsce przybył ks. T. Ługowski z Pine Creek i pozostawał tu aż do końca tegoż r. 1898. Nastąpiły nieszczęsne rządy ks. Konstantego Frydrychowicza aż do końca lutego roku 1901., które 4 miesięczne bezkróledwie za sobą pociągnęły. Dnia 27. czerwca roku 1901. objął wreszcie zarząd osieroconej parafii ks. dr. Józef Biela, który nam w marcu roku 1902. tak opisuje ostatnie smutne dzieje tej parafii:

„Z ładnego początku (tej parafii) dzisiaj dekadencya. Owoc działalności salunów i zgorszenia zasianego przez najemników a nie pasterzów. Ks. Frydrychowicz pasterzował do lutego roku 1901. i suspenzą został zmuszony do opuszczenia parafii, wywoławszy poprzednio rewolucyą w parafii, zakończoną zamknięciem kościoła przez parafian i zagwożdżeniem okien.

Pieczęć swej mądrości pozostawił ks. Frydrychowicz na drzwiach zakrystyi, które siekierą na drzazgi porąbał. Skutki pasterstwa — ruina parafii.''

Do parafii tutejszej należy missya, tuż obok, z kościółkiem św. Trójcy, licząca 30 czysto niemiecko-katolickich familii.''

Ks. dr. Józef Biela, urodził się 10. września roku 1859. w Zebrzydowicach, powiecie Wadowickim (Galicyi); studyował w Wadowicach, Krakowie i Rzymie, gdzie wyświęcony roku 1887. Żądza wiedzy kazała ks. Bieli zostać w Rzymie jeszcze 3 lata, poczem, doktoryzowany, był przez rok profesorem seminaryum duchownego we Lwowie. Ze Lwowa przeniósł się znowu do wiecznego miasta, a potem powtórnie do grodu nadpełtwiańskiego. Do Ameryki przybył 30. maja roku 1893. W kollegium Berlińskiem w Kanadzie uczył teologii i prawa kanonicznego. Po 2 latach przybył do Chicago, gdzie pracował przy parafii św. Stanisława K., św. Jadwigi i na Kantowie. Udzielał także jako profesor lekcyi w Kollegium św. Stanisława. W roku 1900. przeniósł się do dyecezyi La Crosse, i tu objął parafię w Poznaniu i w Thorpie, a od 27. czerwca roku 1901. pracował w Poniatowskim jako proboszcz. Na Wielkanoc roku 1902. ks. dr. Biela opuścił Poniatowski i przeniósł się do La Salle, Ill. Nastąpił tu ks. Józef J. Miller.

W tym samym powiecie Marathon, gdzie Poniatowski leży, znajduje się jeszcze 6 osad

polskich: Marathon City, Cassel, McMillan, tudzież Wausau, Hatley i Bevent. Trzy ostatnie należały były do roku 1905 do dyecezyi Green Bay.

---

5. Parafia Serca Jezusa w Cassel, Wis.

(Założona roku 1886.)

Nieco na południowy wschód od Poniatowskiego leżą w bliskiem sąsiedztwie: Cassel i Marathon City. Polską parafię Serca Jezusowego w Cassel, liczącą 75 familii, do roku 1902. zaopatrywał ks. z Poniatowskiego. Staraniem ks. And. Gary stanął roku 1886. kościół, kiedy było 30 familii. Roku 1901. wybudowano plebanię z cegły.

Pierwszym proboszczem, rezydującym w Cassel, został 15. czerwca roku 1902. nowowyświęcony ks. Teofil Wojak. Do Cassel należy missya w Edgar. Ks. Wojak urodził się roku 1877. w Polonii, Wis., studyował w Detroit, teologię w Allegheny, N. Y., wyświęcony w Buffalo r. 1902. Za niego spłacono w Cassel długi, sprawiono ołtarze itd.

Ks. Teofil Wojak, ur. 1878 dnia 21. lutego w Polonii, Portage Co., Wis. Do seminaryum polskiego w Detroit wstąpił 1892 roku. Po ukończeniu studyów klasycznych i filozofii w Detroit 1899. pojechał do Allegheny, New York.

na studya teologiczne. Święcenia kapłańskie otrzymał w Buffalo, 24. maja 1902 roku. W trzy



Ks. Teofil Wojak.

tygodnie potem ks. Biskup Jakób Schwebach (dyecezya La Crosse) osadził go w parafii Najśw. Serca Jezus w Town Cassel.

6. Polacy w Marathon City, Wis.

Również w Marathon City — pisze mi (r. 1900.) p. Marcin Lewandowski —Polacy mają kościół i proboszcz z Poniatowskiego tam dojeżdża co drugą niedzielę. Szkoły jeszcze nie mają. Plebanię budują.

Polacy zamieszkali na farmach w Town McMillan, Marathon Co., pobudowali r. 1904. polski kościółek. wielkości 48 przez 28; a do tego czasu mieli odprawianą mszę św. w domu p. Wojciecha Mrozińskiego. Ks. T. Wojak jest proboszczem.

---

7. Parafia św. Michała w Wausau, Wis.

(Założona r. 1887.)

W Wausau, po lewym brzegu rzeki Wisconsin, do 30 mil na północ od Stevens Point, w powiecie Marathon, Polacy założyli własną parafię we wrześniu r. 1887. Początek atoli tej osady polskiej sięga o wiele dalej wstecz. Już w roku 1869. — jak kroniki podają — był tu czynnym kapłan polski, ks. Jan Zawistowski. Polacy przez długi czas należeli do miejscowej parafii niemieckiej, aż w r. 1887. za inicyatywą ks. Łuk. Peścińskiego i aprobatą biskupa Katzera odłączyli się i utworzyli własną polską parafię p. w. św. Michała. Ks. Peściński bawił podówczas w Hullu i stamtąd prowadził dzieło organizacyjne w Wausau i doprowadził do sku-

tku. Zakupił tu 6 lotów i założył fundamenta pod kościół. Odtąd potrzeby duchowe Polaków w Wausau zaopatrywał częścią ks. Peścinski, części ks. A. Gara z Poniatowskiego.

W roku 1888. przedsięwzięto budowę kościoła, a skoro tylko bezment ukończono, zaraz w nim nabożeństwo odprawiał ks. Wiktor Lebiecki. Kościół, po ukończeniu budowy, został poświęcony przez biskupa Katzera.

Pierwszym rezydującym proboszczem był ks. Konstanty Marszałowicz, który atoli po 2 miesiącach był zmuszony zrezygnować. Nastąpił ks. Wojciech Pelczar, znany w Texas, który tu od sierpnia roku 1890. do początku 1891. ostatnie dni żywota spędził. Jego zwłoki stosownie do ostatniej jego woli, spoczywają na niemieckim cmentarzu w Wausau.

Następnie był proboszczem ks. W. Lebiecki, aż do maja roku 1892.

Po trzech miesiącach parafia otrzymała nowego proboszcza w osobie księdza Leopolda Garusa, który się tu zainkwaterował 18. sierpnia roku 1892. Zrezygnował zaś 5. kwietnia 1894.

Po czteromiesięcznem osieroceniu parafii, zawitał ks. Teofil Małkowski, w którego oczach w dzień św. Szczepana 26-go grudnia 1894. kościół św. Michała spalił się do szczętu, tylko długi na nim ciążące nie spaliły się. Był to cios straszny dla parafii. Na razie nie można było myśleć o stawianiu nowego kościoła. Polacy u-

częszczali na nabożeństwa znowu do niemieckiego kościoła. A tymczasem ks. Małkowski nie tracąc fantazyi, puścił się w świat i szybkością wichru obleciał Chicago i inne miasta, kolektując wszędzie na pożarem dotkniętą parafię swoją. I otóż rezultat jego peregrynacyi kwestarskiej był ten, że w Wausau, na miejsce spalonego stanął niebawem nowy kościół, cegłą obkładany, 100 stóp długi, a 45 szeroki, kosztem $6,134.68. Już 3-go października roku 1895. nastąpiło poświęcenie nowej świątyni przez biskupa Messmera.

Dnia 4. lutego 1897. roku na stolicy proboszczowskiej w Wausau zasiadł powtórnie ks. Leopold Garus. Ks. Garus, który od roku 1901. wycofał się już z życia czynnego, niegdyś pełen zapału kaznodziejskiego kapłan, urodził się 15. listopada roku 1833. w Bytomiu na Górnym Śląsku. Rozpoczął naukę w gnieździe rodzinnem, studyował w gimnazyum w Gliwicach. Czytał filozofię i teologię w Paryżu, pod osobistym dozorem i kierownictwem Ojców Lazarystów, i tamże wyświęcono go na kapłana dnia 26. lipca roku 1866. Na lądzie amerykańskim stanął w sam Nowy Rok 1887. i od 18. sierpnia tegoż roku pracował stale w tej części winnicy Pańskiej, która się nazywa — dyecezyą Green Bay'ską. Po ks. Garusie był w Wausau ks. J. Adamowski. Od r. 1902. proboszczem w Wausau był ks. Nikodem Kolasiński, który tu umarł

16. marca 1903. Nastąpił ks. S. Elbert, potem ks. Kula, a od roku 1905. ks. Wł. Slisz.

Parafia ta liczy około 80 familii. Ma tylko jedno bractwo św. Różańca.

---

8. Parafia Św. Floryana, w Hatley, Wis.

Jest polską missyą, przynależną do kościoła św. Michała w Wausau.

Ks. Jan Adamowski, do r. 1901. proboszcz w Wausau, w kwietniu tegoż roku, wracając do Europy, zahaczył o Milwaukee, pochodzi z dyecezyi Tarnowskiej w Galicyi, gdzie się rodził roku 1852. Studyował w Nowym Sączu, teologii słuchał w Tarnowie. Od roku 1883 do 1886. pracował w Kurytybie, Brazylii; od roku 1886—99. przebywał znowu w Galicyi, skąd roku 1899. wywędrował do Ameryki i tu bywał proboszczem w Bloomfield, N. J., w Alban, Wis. i w Wausau, Wis. nareszcie assystentem ks. Dorszyńskiego w Milwaukee, i ks. Szulereckiego, potem w Pennsylvanii.

---

9. Parafia Św. Władysława w Bevent, Wis.

(Pike Lake.)

(założona r. 1886.)

W Bevent, w townie (gminie) Pike Lake powiatu Marathon, zorganizowała się pod kierownictwem ks. Grabowskiego (później był w La Salle, Ill.) polska parafia św. Władysława

dnia 15. marca roku 1886. Następcami ks. Grabowskiego byli: ks. Jan Mosuryński, ks. Wiktor Lebiecki, ks. A. Paston, ks. Wojciech Pelczar, ks. Piotr Podlecki, który tu 4 lata dźwigał ciężar obowiązków pasterskich, dalej Ojciec Romuald Magot, który objął tę posadę w listopadzie roku 1895. W roku 1898. zajął jego miejsce ks. Stefan Kasperski, aż do roku 1901., kiedy do Pike Lake przybył ks. Właslowski, a po nim r. 1904. ks. Pociecha.

Parafia ta liczy około 800 dusz, szkoły jednak nie ma. Nowy kościół, budowany roku 1897. staraniem i kosztem ks. Magota, ma 122 stóp długości, a 50 szerokości, ma i wieżę krzyżem ozdobioną.

Nazwa „Bevent'' jest przypadkową. Miała się ta osada nazywać „Berent'', podług miasta w Prusach Zachodnich, ale urzędnik washingtoński przeczytał niewyraźne „r'' za „,v'' i w ten sposób powstała nazwa Bevent.

Do Pike Lake należy polska missya św. Floryana w Hatley, w tymże powiecie Marathon.

W sąsiednim powiecie Wood, który swą wschodnią ścianą opiera się o powiat Portage, kwitną osady polskie: w Grand Rapids, Sigel i Centralia.

10. Parafia Św. Wawrzyńca w Grand Rapids, Wis.

(Dyecezya La Crosse.)

W Grand Rapids, nad rzeką Wisconsin, w r. 1890. było około 15 rodzin polskich. W r.



Kościół i szkoła św. Wawrzyńca w Grand Rapids, Wis.

1899. ks. J. J. Miller z Junction, Wis., odwiedził parę razy Polaków tutejszych, którzy też r. 1900. zakupili 8 lotów (53x132 stóp) i poczynili pierwsze kroki około inkorporacyi nowej



Ks. J. M. Korczyk.

parafii, którą oddano pod opiekę św. Wawrzyńca, dlatego, że pierwszą ofiarę największą złożył Wawrzyniec Klepien. Opiekowali się młodą parafią ks. J. Gara z Junction, ks. St. Elbert z Plover, a od r. 1903. ks. J. Korczyk z (110 mil odległego) Pine Creek. Dnia 28. maja 1903. na posiedzeniu w budynku straży pożarnej uchwalono budować kościół i szkołę pod jednym dachem. 3. lipca 1903. wydano kontrakt na $11,700.00; 13. września ks. Van Roosmalen poświęcił kamień węgielny; 12. marca 1904 ks. Korczyk odprawił w nowym kościele pierwsze nabożeństwo. Budynek jest dwupiętrowy, z czerwonej cegły z pięknemi ozdobami kamiennemi, 90x50 stóp, zaopatrzony wodociągami, oświetleniem, kotłami do parowego ogrzewania. Na 1. piętrze 3 klasy i 3 pokoje dla sióstr; drugie służy za kościół. Parafia liczy 130 rodzin czyli 626 dusz. Siostry Franciszkanki uczą 114 dzieci.

Ks. J. M. Korczyk, urodzony 10. kwietnia 1873. w Jawiszowicach w Galicyi, studyował w Wadowicach i Krakowie, a od r. 1893. filozofię w Detroit i teologię w St. Francis, Wis. Wyświęcony r. 1897., objął rozdwojoną parafię w Poznaniu, Wis., gdzie odnowił kościół, wieżę przystawił i plebanię postawił; stąd dojeżdżał do Weyerhaeuser, gdzie inkorporowano parafię i kościół postawiono, do Strickland i do Thorp. W r. 1899. pracował we Phillips, Wis., gdzie postawił kościół a skąd zarządzał missyami w

Prentice, Kannan, Tony, Apolonia, i znowu Weyerhaeuser i Strickland. Spłacił dług w Prentice, inkorporował parafię w Tony i w Kannan, gdzie rozpoczął budowę kościoła. Zapoczątkował i inkorporował parafię w Superior, Wis. Od 7. listopada 1901. pracował w Pine Creek aż do 9. czerwca 1904., kiedy przesiedlił się do Grand Rapids. Czynny to i energiczny kapłan.

---

11. Parafia Różańca Św. w Sigel, Wis.

Polska parafia w Sigel, powiecie Wood, do roku 1883. była zaopatrywaną przez duszpasterzy z Marshfield. Jako missya, należała do Junction. Nabożeństwo odprawia się tu dwa razy na miesiąc. Od r. 1904. dojeżdża z Grand Rapids ks. J. Korczyk.

Parafia ta składa się ze 100 familii. Do tutejszej szkoły parafialnej, będącej pod kierownictwem świeckiego nauczyciela, uczęszcza około 80 dzieci. Roku 1901., wystawiono kościół, za ks. Jak. Gary.

---

12. Kościół polski w Centralia, Wis.

(postawiony r. 1900.)

Missya polska w Centralia, nad rzeką Wisconsin, niedaleko Sigel, należy także do Junction, skąd ks. Jakób Gara opiekuńcze swe skrzydła roztaczał i nad powiatem Wood.

13. Wielojęzyczna parafia we Friendship, Wis.

(założona r. 1884.)

We Friendship (Przyjaźń) stołecznem mieście powiatu Adams, (jedyny powiat, przez który nie przechodzi żadna kolej), roku 1884. pod przewodnictwem ks. Burgmeyera, podówczas proboszcza w Briggsville, połączyli się „przyjaźnie'' w jednę parafię, pod wezwaniem św. Leona: Irlandczycy, Czesi, Niemcy i Polacy razem. Tegoż roku wybudowali piękny kościół z drzewa.

Przez 10 lat należał Friendship jako missya do Briggsville. Roku 1896. przyłączono tę parafię wielojęzyczną do Pilot Knob, gdzie ks. Kasperski rezydencyę sobie stawiał.

Obecnie Friendship, tak jak i Pilot Knob, należy jako missya do Plover. Mieszana ta parafia we Friendship liczy zaledwie 20 familii, a pomimo to nie ma ani centa długu na kościele.

---

14. Parafia Św Metodego w Pilot Knob, Wis.

(założona r. 1884.)

Ta parafia polska w Pilot Knob, w powiecie Adams (ze 35 mil na południe od Stevens Point) należała pierwotnie jako missya do parafii w Briggsville. Raz na miesiąc odwiedzał ją ksiądz jakibądź.

W roku 1884. parafianie w Pilot Knob postawili sobie drewniany kościółek. Pierwszym

duszpasterzem, który tu w regularnych odstępach czasu dojeżdżał, był ks. Abb. Ten odwiedzał tę osadę aż do roku 1896.

W tym roku nastał tu ks. Stefan Kasperski kapłan r. 1895. z Królestwa Polskiego przybyły. Nie było w Pilot Knob ani plebanii, ani kościół nie był zaopatrzony w najpotrzebniejsze do służby Bożej sprzęty i szaty kościelne. Widząc, że parafia uboga, ks. Kasperski rozpoczął kwestę po innych parafiach. Przedsięwziął kwestarską podróż do Milwaukee, Chicago i Buffalo, a zebrawszy dość grosiwa, wystawił w Pilot Knob okazalszą plebanię i kościół w potrzebne sprzęty zaopatrzył. W sierpniu roku 1897. ks. Kasperski opuścił Pilot Knob. Na jego miejsce przybył we wrześniu tegoż roku ks. Piotr Kurzejka, który atoli ze względów praktycznych przeniósł swoją siedzibę do Plover, wskutek czego Pilot Knob spadł znowu do rzędu stacyi missyjnej, odwiedzanej przez księdza raz na miesiąc.

Parafia w Pilot Knob składa się z mniejwięcej 30 familii, między tymi i czeskich.

Powiat Clark, który wschodnią swą ścianą opiera się o wyżwspomniane powiaty Wood i Marathon, ma liczną osadę zwaną Poznań.

---

15. Parafia Św. Jadwigi w Poznaniu, Wis.

(założona r. 1891.)

Parafię w „Posen", (poczta Thorp), po-

wiat Clark, założyło w 1891. roku 25 familii polskich. „Pierwszych nas — pisze nam stamtąd F. Jasiński — było 12 familii, od lipca do listopada r. 1891.'' Aż do roku 1897. była odnogą parafii w Mill Creek. Dojeżdżał tu z Mill Creeku, do roku 1893., ks. Kons. Frydrychowicz, później ks. Fr. Jachimiak, dopóki w marcu roku 1897. parafia św. Jadwigi nie dostała swojego własnego proboszcza w osobie ks. K. Frydrychowicza.

Już w lipcu roku 1897. parafia w Poznaniu dostała nowego proboszcza, nowowyświęconego ks. Jakóba M. Korczyka. Ten w krótkim czasie wiele zdziałał.

Z Poznania dojeżdżał ks. Korczyk do następujących missyi: 1) św. Bernarda w Thorp, powiat Clark, gdzie już zdawna kościół stoi. 2) missyi w Weyerhaeuser, gdzie niedawno kościół postawiono i 3) missyi w Strickland, gdzie się kościół budował. Dwie ostatnie wszakże od roku 1900. miały swojego proboszcza w osobie ks. Teodora Ługowskiego, po którym Poznań i Thorp obsługiwał ks. dr. Józef Biela, do czerwca 1901. roku. Nastąpił ks. Ludwik Orlik, wyświęcony r. 1901. w Allegheny, N. Y., a pochodzący ze Szlązka, gdzie się urodził r. 1877., do Ameryki przybył r. 1897. Studyował w Turynie, w Lowanium i w Allegheny, N. Y. Za ks. Orlika przystąpiono do budowy nowego kościoła, którego kamień węgielny poświęcono roku 1904.

Także w parafii św. Bonifacego w Chetek (założona jeszcze roku 1880.) znajduje się 20 polskich familii, które długi czas zaopatrywał proboszcz z Mill Creek a później proboszcz z Poznania.

W Poznaniu jest także niezależny kościół, na którego czele stał „ksiądz" Wyszomirski. Rozdwojenie powstało tu jeszcze przed przybyciem ks. Korczyka (zatem przed r. 1897.): „kto był przyczyną — pisze nam ks. Korczyk — nie wiem; ale już był kościół niezależny, gdzie pastorował ks. Zalewski; po nim nastąpił jakiś inny pryczer. Przed mojem odejściem z Poznania liczyła parafia około 150 familii rzym. kat. polskich. Będąc zaś w maju r. 1902. w Poznaniu, widziałem, iż ks. L. Orlik ma wpisanych około 250 familii. Jest to jednak parafia silna liczebnie, ale słaba finansowo, bo farmerzy mają przeważnie po 40 akrów gruntu. Mało kto więcej ma nad 80 akrów. Słyszałem również, że niezależny pryczer już opuścił Poznań, boby był musiał z głodu zginąć.

„Niezgody powstają stąd, że tam znajdują się ludzie prawie ze wszystkich trzech zaborów. Każdy by chciał rządzić według swych zwyczajów pruskich, austryackich i moskiewskich. Z czasem to ustanie."

Parafia Poznańska liczy r. 1905. przeszło 400 familii polskich. Jest to liczebnie największa parafia polska w całej dyecezyi

Tyle o Poznaniu w powiecie Clark. Dalej

na południe od powiatu Clark, żaden z powiatów nie ma parafii polskiej, z wyjątkiem powiatu La Crosse, w którym w stolicy tegoż imienia, nad rzeką Mississippi istnieje polska parafia św. Krzyża.

---

16. Parafia Św. Krzyża w La Crosse, Wis.

(założona r. 1885.)

W stolicy biskupiej La Crosse (Krzyż) istnieje też polska parafia św. Krzyża. Założona r. 1885. Dnia 13. września roku 1885. ks. biskup Flasch poświęcił kościół św. Krzyża. Pierwszym proboszczem był ks. Jan Blaschke, były rektor czeskiej parafii. Tenże pozostał na polskiem probostwie aż do października roku 1887. Przez następny rok ks. R. L. Guzowski zarządzał tą parafią. Dalej następowali kolejno po sobie: ks. Ludwik Kałuża, od stycznia do września roku 1888; ks. Stanisław Baranowski od stycznia do czerwca r. 1889.; ks. Józef Horbaczewski od czerwca r. 1889. do marca roku 1891.; ks. Jan Prucha od kwietnia 1891. do lipca 1892.; ks. Józef Miller przez następny miesiąc; aż wreszcie w sierpniu 1892. roku przybył ks. Anzelm Król i pozostał tu przeszło 10 lat, aż do swej śmierci.

Parafia ta liczy 125 familii. Do szkoły parafialnej w której uczą dwie siostry Franciszkanki, uczęszcza 120 dzieci.

Ks. Anzelm Król, urodził się w Prusach Za-

chodnich, gdzie też odbył pierwsze swoje studya. W roku 1886. przybył do Ameryki i ukończył tu teologię, poczem 25 stycznia roku 1890. został wyświęcony. Pierwszą jego posadą był North Creek, drugą La Crosse i tam też umarł 15. listopada 1902. r. Po nim objął tę parafię ks. Ługowski, potem ks. Kamil Sierzputowski, doktor filozofii.

Ponieważ w dalszych południowych powiatach dyecezyi nie ma parafii polskich, zwróćmy się stąd na północ do powiatów Eau Claire w których są oazy polskie.

---

17. Parafia Św. Jana Kantego w Fairchild, Wis.

(założona r. 1887.)

Jakie sto mil na północ od La Crosse, w powiecie Eau Claire, jest polska osada w Fairchild, do której koleją dojeżdża ksiądz z La Crosse. Parafia tutejsza składa się z 38 familii. Kościół drewniany wystawiono tu w r. 1887., staraniem ks. Babińskiego. Kosztował około $2,000.

Dalej na północ rozciąga się nowa dyecezya Superior.

D. POLACY W DYECEZYI SUPERIOR.

Dyecezya Superior, obejmująca północno-zachodni Wisconsin, utworzona r. 1905. Pierwszym jej biskupem został ks. A. Schinner. Urząd konsultora dyecezyalnego piastuje ks. A. Babiński. Ale oto osady i parafie polskie w obrębie tej dyecezyi:

1. Parafia ŚŚ. Piotra i Pawła w Weyerhaeuser. Wis.

(założona r. 1896.)

W północno - zachodnim Wisconsinie, powiecie Rusk, dawniej zwanym Chippewa, od dorzecza Chippewa wpadającego do rzeki Mississippi, znajdują się polskie osady Weyerhaeuser i Strickland.

Osada Weyerhaeuser liczy 50 familii. Ks. K. Frydrychowicz był założycielem tutejszej parafii. Sam szedł w las z siekierą za drzewem na budowę kościoła. Budulec przygotowano, ale po założeniu fundamentów pod kościół ks. Frydrychowicz opuścił parafię. Po nim ks. Korczyk z Poznania dojeżdżał tu, 95 mil. Za niego wykończono kościołek na zewnątrz ;a za pasterstwa ks. Jakóba Gary wewnątrz. Kościółek ten budowali farmerzy sami, więc nie odznacza się architekturą. Za czasów ks. Korczyka inkorporo wano tę parafię. Ks. Jakób Gara był tu 9 mie-

sięcy proboszczem. Następnie był tu jakiś czas ks. Ługowski, znany nam z Pine Creek'u.

---

2. Kościół polski w Strickland, Wis.

O pięć mil od kościoła w Weyerhaeuser zbudowali wiarusy z Strickland tak samo kościół polski. Kościółek tutejszy na zewnątrz wykończono za ks. Jakóba Gary. Strickland liczy 20 familii polskich. „Tamto — pisze ks. Korczyk — często pieszo chodziłem torem kolejowym, bo drogi nie było pomiędzy Weyerhaeuser a Strickland, niosąc ornat i inne przybory kościelne na plecach, lub też wozili mię z jednego miejsca na drugie „hand-carą."

Ostatnimi czasy te missye zaopatrywał ks. Ludwig z Tony, Niemiec. Okolice są urocze, ale zbyt pagórkowate, prawie górzyste.

---

3. Polacy w Glenwood, Wis.

W powiecie St. Croix, graniczącym z Minnesotą, w miejscowości Glenwood Polacy r. 1902. chcieli postawić kościół, ale im biskup nie pozwolił i dla tego podobno sprowadzili ks. Klawitra.

---

4. Polacy w powiecie Price.

Powiat Price, który sąsiaduje z powiatem Rusk, słynie teraz jako wyśmienity teren kolo-

nizacyjny. Na wiosnę roku 1900. pociągi wiskonsińskiej kolei centralnej, przechodzące przez Oshkosh, przewoziły wielu Polaków z południowego Michigan i Indiany, przesiedlających się w te strony.

Do wschodniej ściany powiatu Price przytyka powiat Oneida.

---

5. Polacy w powiecie Oneida.

W Rhinelander jest kilkadziesiąt familii polskich, oraz w Three Lakes, 50 mil na północ od Antigo, znajduje się 30 familii polskich, których potrzeby duchowne, od Stycznia 1896 roku, zaopatruje proboszcz polski z Antigo. Są to zarodki przyszłych parafii.

W tymże powiecie jest parafia w Jennings.

---

6. Parafia P. Maryi w Jennings, Wis

(Założona r. 1900.)

Kilkadziesiąt mil na północ od Antigo, w powiecie Oneida, jest osada polska „Jennings''. Kolonia ta przez jakiś czas nosiła nazwę „Kościuszko'', ale od założenia poczty została przechrzczoną na Jennings dzięki handlarzowi gruntami tego nazwiska, który chciał unieśmiertelnić swoje imię, a że nikt nie podniósł protestu, więc pozostało na tem.

Pierwsi Polacy osiedlili się tu r. 1897.

Z wiosną r. 1902. pod przewodnictwem ks. Kwiryna Zielińskiego wybudowano kościół pod wezw. Narodzenia M. B., 50 stóp długi a 30 szeroki, z drzewa z podmurowaniem kamiennem, na który pan Jennings dał drzewo, a pan Jan Męcikalski 3 akry ziemi. Kosztuje $4,000. Jest 40 familii polskich.

Nad brzegami Jeziora Superior, w nadbrzeżnych powiatach Iron, Ashland i Douglas, rozsiane są oazy polskie, które teraz opiszemy, zaczynając od Ashland, miasta nad zatoką, opodal „Wysp Apostolskich'', położonego.

---

7. Parafia Najśw. Rodziny w Ashland, Wis.

(Założona r. 1899.)

Oto co pisze w Listopadzie roku 1899. sekretarz parafialny, Aleksander Kluczykowski, o tej nowozałożonej parafii w Ashland, nad brzegiem Jeziora Wyższego (Lake Superior):

„Parafia polska w Ashland istnieje od 24. Sierpnia 1899. nie jako część parafii św. Agnieszki, jak było dotychczas, lecz jako parafia osobno zorganizowana i inkorporowana wedle prawa Stanu Wisconsin pod nazwą „Holy Family's Catholic Congregation''. Polacy już od roku 1892. mieli loty kupione pod kościół, ale były w jednym końcu miasta, i chociaż pod jednym względem były dobre i wygodnie położone dla większej części ludzi, to za daleko dla in-

nych, szczególnie dla dzieci szkólnych. Dla tego postanowiła parafia kupić inne loty, wygodniej położone dla wszystkich. Obrano na zebraniu parafialnem komitet, któryby się postarał o miejsce dobre i nie za drogie. Miejsce zostało wybrane i ks. proboszcz upoważniony je kupić — 8 lotów czyli 200x140 stóp za $2,300. Dnia 1-go Października 1899. na mityngu parafialnym obrani zostali trustysi i radni: Aleks Kluczykowski sekretarzem, Jan Świontek kasyerem; A. Piniachowski, Marcin Kurzewski, Andrzej Bartol, August Gierszewski i Piotr Jakubinus, radni.

„W niedzielę dnia 19. Listopada roku 1899. ks. D. Koziołek, O. F. M., zwołał mityng i objaśnił stan kasy, jaki obecnie jest. Wykazał, że przy swojem założeniu parafia miała gotowych pieniędzy $532.00, częścią wypożyczone, a częścią u księdza. Od początku Września do Listopada 1899. parafia zebrała oprócz wyższej sumy z różnych źródeł n. p. za rent ławek, ofiara w kościele, kolekta na nowe loty i t. d. blisko $1,000. Nieco pieniędzy pożyczono na bardzo niski (2) procent, aby za loty zapłacić gotówką przed nowym rokiem (1900.)”.

W ciągu roku 1900. Polacy mieli nabożeństwa w kościele dolnym u Ajryszów każdą niedzielę i święta; za rent czyli używanie kościoła płacili $200, a to za wszystko — t. j. nauczanie dzieci, światło, opał, za używanie ornatów i in-

nych przyrządów, których jeszcze własnych nie mieli.

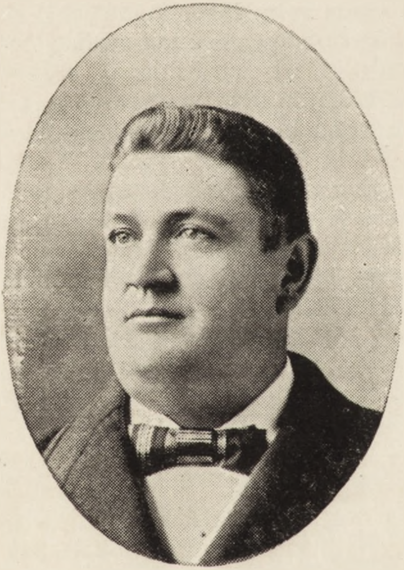
Liczba familii polskich w Ashland, razem z Litwinami i Słowakami, była około 180 w roku 1900.

W ciągu roku 1900. fundamenta szły szybko do góry, budowane z tak zwanego czerwonego kamienia wisconsińskiego (brown stone). Kościół 128 stóp długi na zewnątrz, a 54 stopy szeroki. Pod kościołem basement 11 stóp wysoki. Wieża 130 stóp wysoka. Cała budowa w stylu gotyckim. Cały koszt kościoła wynosi około $20,000, a jest to jedna z najwspanialszych świątyń w mieście. Poświęcenie tej świątyni przez biskupa Schwebach odbyło się 28. Września 1902.

Oprócz kościoła wybudowali tutejsi Polacy także i szkołę. Dolna część tejże jest także z czerwonego kamienia, a reszta z drzewa. W niej urządzono cztery klasy. Koszt całej tej budowy, kompletnie z wszelkiemi urządzeniami wynosi około $4,300. Siostry Franciszkanki, których dom macierzyński znajduje się w La Crosse, Wis., kierują nauką około 240 dzieci.

Antoni Piniachowski urodzony 13go maja 1865 roku w Gembicach Wiel. Ks. Poznańskie, do Ameryki przybył 7go Czerwca 1881 r. Pracował na farmie w stanie New York, potem we Wisconsin w tartakach a najwięcej na kolejach gdzie został formanem a potem rodmajstrem. Roku 1902 dostał nominacyę na skarbnika po-

wiatowego, od partyi rep. 1903 roku dostał urząd federacyjny „U. S. Gauger”. Zarazem utrzymuje skład towarów męzkich łokciowych trzewików itd. zajmuje się sprzedażą gruntów



A. F. Piniachowski.

na farmy i lotów, biuro notaryalne itd. W roku 1890 założył Tow. Ryc. św. Michała, Grupa Zjedn. p. o. B. S. J., obecnie jest prezesem Gr. Z. N. P. No. 120 Tow. Tad. Kościuszko.

8. Polacy w Mellen, Wis.

Coraz więcej Polaków osiedla się w tem mieście niedaleko Ashland, nad koleją Michigan Central. Łatwo bowiem znaleźć robotę w tamtejszej parowej pile i garbarni.

---

9. Polacy w Hurley, Wis.

(R. 1895.)

Z powiatem Ashland sąsiaduje powiat Iron, w którym tuż przy granicy Stanu Michigan, o kilka mil od miasta Bessemer, Mich., leży miasto Hurley.

---

10. Parafia św. Stanisława w West Superior, Wisconsin.

(Założona r. 1899.)

W północno-zachodnim kącie Wisconsinu, w powiecie Douglas, nieopodal Duluth, Minn., leży miasto Superior nad brzegiem „Jeziora Wyższego'' (Lake Superior). Tu parafia polska zorganizowana dnia 27. Maja 1899. pod imieniem św. Stanisława B. i M. przez ks. Korczyka, za staraniem proboszcza ks. A. Babińskiego. Za ks. Korczyka, który tu z Phillips dojeżdżał 150 mil, zebrano parę set dolarów i inkorporowano parafię. Trustysami byli: Tomasz Watlak, Wal. Maniak i Piotr Nadolski.

Komitet zakupił 10 lotów za $2,500 w Central Parku, w środku między East Superior a West Superior. Prezydentem parafialnym był na razie Andrzej Kolanek. Podwaliny pod parafię położyło dawniej już zorganizowane Towarzystwo św. Józefa i bracia Związkowcy.

W roku 1901. nowozałożona ta parafia otrzymała własnego proboszcza w osobie ks. Aug. Babińskiego, znanego nam z Independence, Wis.

Za rządów ks. Babińskiego stanął niebawem piękny dwupiętrowy gmach, który w Czerwcu roku 1902. został poświęcony. Na górze mieści się kościół, a na dole szkoła. Gmach ten kosztował $10,000, a dokonaniem tego dzieła chlubi się parafia nie wielka bo zaledwie 100 familii wynosząca.

Odtąd i Polacy w sąsiednim Superior City zaczęli się starać o szkołę i kościół polski, jak to zobaczymy zaraz poniżej.

---

11. Polacy w Superior City i Allouez, Wis.

(R. 1890.)

W Superior City i pobliskiem miasteczku Allouez od roku 1890. poczęli się osiedlać Polacy. Od roku 1895. przybywało Polaków coraz więcej, tak, że dziś (rok 1902.) Polonia liczy—jak nam piszą—przeszło 50 familii, oprócz kawalerów i wdowców.

Polacy poprzednio należeli, a połowa jeszcze dziś należy, do klasztoru Ojców Franciszkanów. Opłacali swe podatki regularnie, a proboszcz, niemiec, był też bardzo dla Polaków grzecznym, przyjmował dzieci do parafialnej szkoły, z której wychodziły bez słówka znajomości polskiego języka.

Na posiedzeniu, które odbyło się 23. Lutego roku 1902. u obywatela Marcina Kmicika w Allouez, uchwalono jednogłośnie zorganizować polską parafię pod imieniem św. Wojciecha. Wybrano następujący zarząd parafialny: Piotr Nadolski, prezydent; Piotr Coda, wiceprezydent; Karol Wesołowski, sekretarz; Franciszek Mirecki, kasyer; Jan Biernacki, Walenty Klimbik i Marcin Tobolski trustysi; Jan Janowski, Józef Pietrowski i Jan Tatulski — rada gospodarcza.

Roku 1902. zajął się tą parafią O. Remigiusz Berendt, polski franciszkanin.

Na tem kończymy opis Wisconsinu. Oprócz powyżej opisanych osad, znajdują się jeszcze następujące osady polskie we Wisconsinie: Stanley, Janesville, Fond du Lac, Sheboygan, Fox River, Montello, Neshkoro, Red Granite, Kilbourn, Rhinelander, Portage, Merrill, Angelica, Shawano, Lancy, Almond, Wautoma, Spalding, Three Lakes, Pelican Lake, itd., które nie wystąpiły jeszcze na widownię dziejową.

ROZDZIAŁ III.

POLACY W ILLINOIS.

Wyraz indyański „Illinois'' oznacza tyle co „wielcy mężowie''. Francuzcy misyonarze, Jezuici (O. Marquette) zwiedzili pierwsi ten kraj. „Na pytanie: coście za jedni? odpowiedzieli tutejsi Indyanie — pisze w swoim Dzienniku O. Marquette — że są „Illinois'' (wielcy mężowie) i na znak pokoju ofiarowali nam fajkę do palenia.'' Pierwszą stacyę missyjną w Illinois założono roku 1675. blisko Utica, pierwszą stałą osadę roku 1682. w Cahokia, drugą w Kaskaskia roku 1700. Terrytoryum Illinois zorganizowano roku 1809., a roku 1818. przyjęto jako ósmy z rzędu Stan. Nie ma w Illinois lasów jak we Wisconsinie. Są prerye. Na 56,000 mil kwadratowych ogólnego obszaru, ma Illinois 42,000 mil kwadratowych żyznych preryi. Głównym produktem rolnym jest tu owies, potem kukurydza (korna) i pszenica. Illinois obfituje w kopalnie węgla i tylko Pennsylvanii pod tym względem ustępuje.

W Aktach 23. Kongresu czytamy: „235 polskich uciekinierów'' (rozbitków z powstania r. 1831.) przysłało do kongresu tu memoryał, prosząc o grunta; i dnia 30. Czerwca 1834. przeszedł wniosek udzielający im **36 sekcyi rządowego gruntu w Illinois** lub w Michigan. Po 10 latach miał im być patent wydany, pod warunkiem, że istotnie zamieszkiwali i uprawiali te grunta i zapłacili minimalną cenę''. (Zobacz Acts, 23d Congress, 1st sess. 1834., pag. 153. For memorial and committee report, see Senate Documents, vol. IV., pag. 313.) Niemcy, widząc, że rząd Polakom dał grunta, w r. 1835. o to samo prosili, lecz Kongres im odmówił. (Zobacz Franz Loeher's Geschichte der Deutchen in Amerika z r. 1847., str. 281.; oraz „Collections of the State Historical Society of Wisconsin, vol. XII., page 305.)

Ogólnej ludności w Stanie Illinois jest 4,-821,550, między tymi katolików 1,037,000, a Polaków 300,000. Jest w Illinois 56 osad polskich, 49 kościołów polskich, 84 kapłanów polskich, oraz 141 grup związkowych. W Stanie tym znajdują się 4 dyecezye: Chicago, Peoria, Alton, Belleville. W dyecezyi Alton nie ma parafii polskiej. Wszystkie te 4 dyecezye w Illinois tworzą razem jedną kościelną Prowincyę Chicagoską.

A.) POLACY W ARCHIDYECEZYI CHICAGOSKIEJ.

Słynne z największej w świecie bydłobójni miasto Chicago w roku 1838. miało zaledwie jeden skład (sztor); w roku 1850. miało już 30,000 mieszkańców, w roku 1860. miało 110,000, w roku 1870. już 300,000; następnie wzrastało pomimo pożaru tak, że w roku 1880. miało 503,000 mieszkańców, a w roku 1890. około milion, dziś zaś przeszło 2 miliony mieszkańców liczy. Milionowe to miasto powstało na moczarach, przy ujściu rzeki Chicago do Jeziora Michigan. Wyraz „Chicago'' znawcy języków Indyan amerykańskich różnie tłómaczą. Według jednych oznacza indyański ten wyraz miejsce takie, gdzie żyły śmierdziele (skunkstchórze) w większych gromadach; inni znowu uczeni wyraz „Chicago'' tłómaczą na „cebulę''. W rezultacie — i jedno i drugie nie pachnie. Najkolosalniejszym w Chicago interesem jest Swifta i Spółki rzezalnia czyli tak zwane „stok-yardy'', w których mnóstwo Polaków pracuje. Interes to olbrzymi: firma ta zapłaciła r. 1900. za bydło do bicia $62,918,752, za świnie $44,380,578, za owce $10,382,165 czyli razem za żywe bydło $117,681,496. Oprócz tego otrzymali robotnicy $7,983,505, węgle kosztowały $368,382, sól $324,414, cukier $120,033, beczki do pakowania $1,053,984. pudła $139,778 puszki blaszane $279.246, papier do pakowania

$90,105, znaczki pocztowe $72,556 itd. Roczny obrót pieniężny tejże firmy wynosił 160 milionów. Zyski stosunkowo do sumy obrotowej nie były wielkie, bo wynosiły tylko $2,252,065 czyli nie zupełnie 1½ proc. od obrotowej sumy, podczas gdy zysk od włożonej w interes sumy (20 mil. dol.) wynosił 12½ procent.

Majątek kościelny dyecezyi chicagoskiej wynosił r. 1901. 35 milionów dolarów, obciążony długiem w stosunku 8 centów do dolara. Archidyecezya ta jest po nowoyorskiej największą w Stanach Zjednoczonych. Składa się z 11 różnych narodowości. Polaków jest więcej w Chicago, niż w jakiemkolwiek mieście polskiem, z wyjątkiem Warszawy. Tylko Praga ma więcej Czechów, niż Chicago.

W Chicago założono w tym samym r. 1843., co w Milwaukee, Wis., stolicę biskupią, a arcybiskupią 5 lat później niż w Milwaukee, bo roku 1880. Pierwszym biskupem chicagoskim był Wm. Quarter, 1844—49; drugim 1849—1853. Jakób Vandevelde; trzecim, 1854—58 Antoni O'Regan; czwartym 1859—70. Jakób Duggan; piątym 1870—79. Tomasz Foley; szóstym 1880—1902. Patryk Feehan, a siódmym od r. 1903. Jakób Quigley. Jego archidyecezya na 800,000 katolików liczy 250,000 Polaków, na 475 księży—63 polskich, na 276 kościołów—30 polskich. W samem mieście Chicago r. 1901. było 150 kościołów katolickich, (wszystkich kościołów różnych wyznań było 666), a między

temi jest 20 tylko polskich. W tej archidyecezyi nasz rodak ks. L. Lange piastuje od roku 1901. urząd konsultora dyecezalnego, oraz ma zaszczyt być proboszczem nienaruszalnym.

Ponieważ w polskiej historyi tej archidyecezyi najwybitnietszą rolę odegrali OO. Zmartwychwstańcy, których wpływ sięgał i poza archidyecezyą, przeto nie od rzeczy tu będzie podać charakterystykę tego nowego w kościele zgromadzenia zakonnego czyli tego „pierwszego zakonu z łona Polski'', jak to zgromadzenie jeden z OO. Zmartwychwstańców, ks. Dąbkowski, sam nazwał. Każdy bowiem zakon ma właściwą sobie cechę, która go wyróżnia od innych, i dopóki się tej cechy niepozna, dopóty nie zrozumie się i nie oceni należycie jego działalności dziejowej. Żeby zaś cechę zakonowi właściwą rozpoznać, trzeba poznać charakter jego założyciela czyli zakonodawcy. Albowiem zakonodawca wyciska piętno swej duszy na zakonie, jaki zakłada. Założycielem Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców był świecki człowiek, Bogdan Jański. Jego więc charakterystykę podamy tu na podstawie „Historyi Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego'', podług źródeł rękopiśmiennych napisanej i wydanej drukiem roku 1892. i 1893. przez Generała O. Pawła Smolikowskiego, C. R.

Po upadku powstania z roku 1830. mnoga liczba naszych powstańców, skompromitowanych politycznie, (Bogdan Jański do nich nie

należał) wywędrowała do Paryża. Smutek głęboki i boleść bezbrzeżna przepełniały serca nieszczęśliwych wygnańców. Kiedy już wszystko, mówiąc po ludzku, było stracone, kiedy siłą oręża myśleć o odbudowaniu Polski było niemożliwem, niektórzy emigranci pod przewodem Mickiewicza 19. Grudnia roku 1834. założyli wśród siebie bractwo zwane „Bracia Zjednoczeni", w celu chrześciańskim i polskim. w celu wspólnego ćwiczenia się w pobożności oraz pobudzania ku niej innych rodaków. Co Piątek zbierali się na Mszę św., a później u Mickiewicza czytali Pismo św. i rozmawiali o sposobach ratowania ojczyzny.

To bractwo „Braci Zjednoczonych" było owem jajem historycznem, które nakłuło się 17. Lutego roku 1836. — kiedy to Jański z Semeneńką i Kajsiewiczem (powstańcami) rozpoczął wspólne życie w osobnym domku—a z którego wykłuło się wreszcie w samą Wielkanoc roku 1842., zakonne „Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego".

Rozmawiając o sposobach ratowania ojczyzny, Mickiewicz razu pewnego rzekł: „Nie ma dla Polski innego ratunku, trzeba nowego zakonu. Ale kto go założy? Trzeba na to świętego? Ja? za pyszny. Ty (do Platera) zanadto arystokrata. Ty (do Zaleskiego) zanadto demokrata. Jański założy". — Jański uwierzył tym słowom i założył. Tak więc Mickiewicz podał pierwszą myśl, a w czyn i w życie

ją wprowadził Bogdan Jański. Bogdan Jański, acz świecki i żonaty, staje się zakonodawcą i założycielem Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców.

Kim był ów Bogdan Jański? O. Paweł Smolikowski C. R. w swojej „Historyi Zgr. Zmartwychwstania Pańskiego", nagromadził aż dwa grube tomy rękopisów, obracających się, jako około swej osi, około osoby Bogdana Jańskiego. Wyjmujemy tylko ustępy charakterystyczne z owej „Historyi", dla poznania tak życia tego nowoczesnego zakonodawcy jak i jego dążności i pierwszych usiłowań w kierunku założenia zakonu.

„Bogdan Jański — tak czytamy w „Historyi Zgr. Zmartw." (tom I. na str. 5. i nast.) — nie był emigrantem (t. j. nie musiał emigrować wskutek powstania). Jako jeden z najzdolniejszych uczniów uniwersytetu warszawskiego, wysłany został przez rząd w r. 1827. do Paryża, dla sposobienia się na profesora w przyszłej szkole politechnicznej. Przed wyjazdem wziął ślub z Aleksandrą Zawadzką, córką pułkownika i sąsiada rodziców, z którą znał się dawniej. Ożenił się z nią z litości — jak wyraźnie zaznacza „Historya Zm." — ratując jej dobre imię. Nie był on już wtedy wierzącym chrześcianinem, ale było w nim jednak (?) coś wyższego, jakieś idealniejsze pragnienie (!?). „Kobieta złamała całą moją wielkość" — pisze sam Jański o sobie. „Zbliżyło mnie do niej

uczucie dobre, chęć wyciągnięcia z toni. Słabość, próżność, pogarda dla towarzystwa, były na końcu jedynemi pobudkami dotrzymania jej słowa i zrobienia dobrze tej, której nie tylko nie kochałem, ale nie cierpiałem.... Poniżona duma, poniżony rozum, niemożność naprawienia błędu, ustawicznie trapiły mnie. Jednak zamiast mi posłużyć za naukę, zaprowadzić na drogę lepszą, i owszem utwierdziły mnie w złem.... Opanowały mnie naprzemian zwierzęcość i rozpacz". I dodaje, że myślał o ucieczce do Ameryki, a nawet o odebraniu sobie życia. (Tamże str. 7.) Żony nie zabrał ze sobą do Paryża. Z posłannictwem swojem, żeby się w Paryżu sposobić na profesora, także się minął. Natomiast przystał tam do sekty Saint-Simonistów. Co to za jedni ci Saint-Simoniści? Saint-Simonizm rozwinął się szybko po śmierci Henryka de Saint-Simon, roku 1825., kiedy wydano jego dzieło „Le nouveau christianisme" (Nowy chrystyanizm). Saint-Simoniści chcieli, jak socyaliści, by zniesiono własność i małżeństwo: dzieci zaraz po urodzeniu oddawane być miały obcym ludziom, aby nie znały rodziców, ani rodzice swych dzieci, a tak szczególne przywiązania by nie niszczyły równości. Była to przebrzydła sekta.

Otóż tej to sekcie Jański, mając lat 23, oddał się z całym zapałem. „Co stoi na przeszkodzie, abym żył kompletnie religijnie (to jest po saint-simonistowsku), to okoliczność, iż swo-

jej wiary (simonistowskiej) nie będę mógł publicznie wyznawać w kraju, a stąd z Polakami.... wypada mi ostróżnie wydawać się, kim jestem". (Tamże str. 9.) Saint-simoniści nie wierzyli ani w Boga, ani w duszę, byli całkowitymi materyalistami, ale ubrali sektę swą socyalną w formę religijną, bo rozumieli, że bez religii nic nie uczynią w rzeczy społecznej. Jański pisze, że wierzył w Boga, ale panteistycznego; swoją drogą życie prowadził rozpustne, wciąż się o to (w swoich Notatkach) strofuje. (Tamże str. 11.) Czuje, że skraca sobie życie, niszczy zdrowie. A pomimo tych upadków i tej niemocy pewien był siebie, pewny swojej wyższości, doskonałości; usprawiedliwiał całą swą przeszłość. Wroku 1830. Jański bawi 6 miesięcy w Londynie jako apostoł Saint-simonizmu. Aż wreszcie obmierzło mu to życie. Wróciwszy do Paryża i „przypatrzywszy się swoim zasadom w ludziach, zaczął się powoli rozczarowywać", aż wreszcie r. 1831., gdy secessya zaszła między przywódzcami Saint-simonizmu, popadł w zupełną apatyę do tej sekty, i „stawał się powoli chrześcianinem", tak powoli, że nawrócił się zupełnie dopiero w końcu roku 1834. Mickiewicz wpłynął swym przykładem na nawrócenie jego. I nie na niego samego wpłynął. Bo i Kajsiewicz opowiada o sobie, że pierwszy raz zaczął myśleć o religii wtedy dopiero, kiedy zaszedłszy raz do poety i nie zastawszy go w domu, usłyszał od odźwiernej,

że: „Pan Mickiewicz o tej godzinie w Niedzielę jest zawsze na Mszy św.”. „Uderzyło mię to” — mówi ks. Kajsiewicz. — „Jeśli Mickiewicz chodzi do kościoła, pomyślałem, to religia musi być czemś poważnem”.

Nawrócił się więc Jański. Jańskiego nazwano i słusznie „pierwszym pokutnikiem jawnym emigracyi polskiej”. Za Jańskim poszli niebawem i byli powstańcy Piotr Semeneńko w roku 1835. i Heronim Kajsiewicz roku 1836., którzy razem z Jańskim stali się współzałożycielami „Pierwszego Zakonu z łona Polski”. Pokutowali oni — jak pisze Semeneńko — „za grzechy narodu polskiego”. Pokutując sami, rzecz prosta, chcieli tego ducha pokuty i w innych zaszczepić. W tym celu założyli związek z trzech, a trzech stanowi kollegium”. „Dzień 17. Lutego roku 1836. — pisze O. Smolikowski w swojej „Historyi” — będzie na zawsze pamiętnym dla Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, bo w tym dniu położono jego fundament” — przez to, że w dniu tym Jański wraz z Semeneńką i Kajsiewiczem przenieśli się do osobnego domku na wspólne życie. Domek ten w Paryżu (przy ulicy Notre Dame des Champs pod Nr. 11.), nazwano „Domkiem Jańskiego”. To był zawiązek przyszłego „zakonu z łona Polski”.

Ale zawiązek ten — pisze „Historya Zm.” (tom I. str. 67.) — „nie miał być, według myśli Jańskiego, wyłącznie duchownym, zakonnym

klasztorem" — bo i nie mógł niem być. Jański był żonatym, a tem samem zakonnikiem być nie mógł. Mógł tylko marzyć o zakonie Adamowym. A jednak teraz marzył o jakimś zakonie wyższym. Całe postępowanie i życie Jańskiego charakteryzuje chwiejność i połowiczność. Będąc już w zakonie Adamowym, jeszcze o innym marzy, jak gdyby zakon Adamowy nie był z ustanowienia Bożego. Gdyby dziś mąż jakiś, pozostawiwszy swoją żonę w kraju, przybył do Ameryki i zamiast o sprowadzeniu żony do siebie, myślał o zakładaniu jakiegoś wyższego zakonu — co by mu ksiądz katolicki na to odpowiedział? Przyjacielu, sprowadź żonę albo wróć do niej i żyj z nią; bo to jest zakon, który Pan Bóg dla ciebie ustanowił; o innym, dopóki żona żyje, nie marz". Jański, po nawróceniu swojem, prowadził życie zresztą bardzo świątobliwe i budujące, wszędzie w bliźnich swoich rozbudzał ducha pobożności i nawoływał do pokuty, jednem słowem, stał się gorliwym i żarliwym apostołem wśród emigracyi w Paryżu. Ale nikt bez ale — a tem „ale" u Jańskiego (i po nawróceniu się jego) zaniedbanie obowiązków stanu swego, stanu małżeńskiego. Robi on sobie wyrzuty pod tym względem sam, jak to jego pisma świadczą. Jański skarży się i biada na swoją żonę, że „zamiast u Grabowskich mieszka we Warszawie i tam otwarcie się łączy z jakąś nikczemną kobietą" — ale cóż się żonie wreszcie dziwić, jeżeli

mąż ją opuścił już od lat dziesięciu? Czemu Jański jej do siebie nie przywołał albo do niej nie powrócił? Gdyby Jański był politycznie skompromitowanym emigrantem, tak jak powstańcy, to miałby jakąś wymówkę, bo miałby drogę powrotu do kraju zamkniętą. Lecz Jański emigrantem takim nie był. Był przez rząd wysłany i rząd, który go wysłał, teraz owszem go napowrót „do Warszawy wzywał, ofiarując mu korzystne miejsce'' (zobacz tom I. str. 28.); a pomimo to „Jański wolał dzielić los wychodźców i pozostał w Paryżu'' (tamże), niepomny na chrześciański obowiązek współmieszkania ze żoną, niepomny, że jej ślubował bezwarunkowo „nie opuścić jej aż do śmierci''. I gdyby to jeszcze żona bez niego mogła się była obejść, ale żona, opuszczona przez męża przez tak długie lata, popadła w najstraszniejszą nędzę moralną i materyalną. Oto jak maluje jej nędzę Alfons Kropiwnicki w liście do Jańskieko: „Po długich poszukiwaniach — pisze — nie mogłem jej wynaleść (pani Jańskiej), ale nareszcie przechodząc raz przez stajnie w pałacu Paca, zdawało mi się, żem widział kobietę do niej podobną, ale położenie tej kobiety było straszne, bo w łachmanach, obdarta, jednem słowem jak żebraczka, co w śmieciach zbiera kości na zupę rumfordzką. Bałem się przybliżyć, bo nie wierzyłem moim oczom. Pytam się: „Jak się nazywasz?'' Na te wyrazy zaczęła mocno płakać. Domyśliłem się, że ona. Wy-

pytałem o szczegóły. Na drugi dzień widziałem się z nią i z jej siostrą Teresą. Powiadano mi, że się ona utrzymuje z pielenia ogrodów, mycia podłóg, z prania, jednem słowem zostaje w nędzy. Posłałem jej całe ubranie i nieco pieniędzy, ale w parę dni przyszła powtórnie, tłómacząc się, że miała długi; dziś trzeci raz przychodzi z powodu wybierania się do Częstochowy...." I co Jański na to? „To, że się (żona jego) wybiera do Częstochowy, pociesza Jańskiego, widzi w tem krok do poprawy", posyła jej kilkaset złotych oraz kilka westchnień pobożnych, i na tem koniec. O zbliżeniu się do niej ani myśli. Że Jański jako Saint-simonista nie cierpiał małżeństwa, lekceważył sobie węzły małżeńskie i wynikające stąd obowiązki, to rzecz dla nas zrozumiała, ale, że i po nawróceniu się na katolicyzm jeszcze praktycznie lekceważył obowiązki swoje względem żony, to rzecz niewytłómaczona i objektywnie nagany godna. A i subjektywnie, w sumieniu swojem, Jański z tego powodu doznaje niepokoju i zgryzot wewnętrznych. „Cokolwiebądź — pisze do Kropiwnickiego — jestem jej mężem i gdybym jej nie zostawił tak opuszczonej, jakiem ją zostawił, możeby nie było wszystkiego złego...." Tak biada „gdybym jej nie zostawił" — a czemu ją nadal zostawia tak opuszczoną? Bo żal jego nieszczery i połowiczny; ma on „wyższe, idealniejsze pragnienie". Choć jest już związany ślubami zakonu Adamowego, jednak

pragnie innego zakonu. Jeszcze pod koniec jego życia czytamy w jednej jego notatce: „Spytać się X. Badicha co do dyspens żonatym — pozwolenie noszenia habitu''.

Że oczywiście kościół takiej dyspensy mu nie dał, więc Jański postanowił założyć zakon, który „obejmować miał i świeckich i — żonatych''. (Tom I. str. 69.) Jakiż więc główny cel takiego nowoczesnego zakonu? „Rozbudzić katolicyzm w Polsce przez emigracyę'' (tamże) — „dążyć do tego, abyśmy emigracya i naród, stali się wzorem życia chrześciańskiego we wszystkich naszych myślach, słowach i czynach''. (Tamże). Ku temu celowi wysłał Jański r. 1837. swoim kosztem Semeneńkę i Kajsiewicza do Rzymu na studya teologiczne. Nie doczekał się wszakże ich wyświęcenia na kapłanów. Umarł Jański 2. Lipca roku 1840. Umarł, lecz jego dzieło go przeżyło. Wprawdzie to dzieło jego nosi także piętno ducha jego, ducha chwiejności i połowiczności; wszelako jakie jest, takie jest i chwali twórcę swego. Opus laudat opificem. W rok po śmierci Jańskiego, roku 1841., po nader zmudnych studyach i niezliczonych trudnościach, otrzymali święcenia kapłańskie w Rzymie ks. Piotr Semeneńko i ks. Hieronim Kajsiewicz, a z początku następnego roku 1842. także ks. Edward Duński i ks. Józef Hube, pierwsze filary zakładającego się Zgromadzenia, które dopiero w niespełna dwa lata po śmierci Jańskiego,

w samą Wielkanoc czyli dzień Zmartwychwstania Pańskiego roku 1842. zorganizowało się formalnie i przybrało odpowiednią do dnia tego nazwę „Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego”. Zgromadzenie to nosi wyraźnie piętno ducha założyciela swego. Jak Jański po nawróceniu swojem, tak i synowie jego duchowni, Zmartwychwstańcy, odznaczali się zawsze i odznaczają wielką pobożnością, idealnemi pragnieniami, wyższym polotem ducha i żarliwością iście apostolską w pracy około zbawienia dusz. O ich gorliwej pracy missyonarskiej świadczą wszystkie silniejsze ogniska wychodźtwa polskiego, tak tu jak i w Europie; świadczy Paryż, świadczy Rzym, świadczą missye w Bułgaryi, świadczy Wiedeń w Austryi, świadczą missye w Texas, świadczy Chicago i zakład w Kentucky, świadczy Berlin w Kanadzie — i w kraju samym Kraków i Lwów. Atoli wzięli w spadku po swoim założycielu i tę chwiejność powołania i połowiczność ducha. Przeszło połowa synów Jańskiego, tak tu jak w Europie, po jakimś czasie opuszcza zwykle szeregi Zmartwychwstańców i prowadzi życie pół świeckie, pół duchowne. Ta połowiczność ducha przejawia się już u pierwszych uczniów Jańskiego, Semeneńki i Kajsiewicza. Zaledwie sami zaczęli się uczyć teologii, a już marzyli o uczeniu drugich księży nie tylko wśród emigracyi, ale i w Polsce. Ledwie rozpocząwszy teologię, pisze Semeneńko z Rzymu 8. Maja roku

1838: „Jeden ze środków, który nam wnet przyszedł na myśl, skorośmy zaczęli myśleć nad zaradzeniem złemu w Polsce, jest wychowanie księży. Ku temu celowi niemało baczności obracamy, odbywając nauki nasze”. (Tom II. str. 128.). Piękne to zapewne i idealne pragnienia, ale czy sami oddali się studyom teologicznym całą duszą? Oto już 29. Sierpnia roku 1838. sami wyznają, że nie. „Nie uczyliśmy się — piszą obaj, Semeneńko i Kajsiewicz, do Jańskiego — jak należało teologii, ja szczególniej ostatnich czasów zapuściłem się w historyę.... Ale było to nie w czas. Dziś za to pokutuję (chorując na oczy, która to choroba jeszcze bardziej przeszkadzała Kajsiewiczowi w naukach). Przekonaniśmy teraz mocno, że się całemi siłami nam jąć wypada teologii. Sposobność zupełnie potemu i tylko trza dobrej ochoty. Chcąc uczyć księży, trzeba wprzód samemu dobrze się nauczyć”. (Hist. tom II. str. 149.) Piękna teorya. Lecz mniejsza o to, że się w historyę zapuszczali, lecz nadto wdawali się i w wielką dyplomacyę i politykę, chcąc już jako studenci teologii reformować nie tylko kler, ale i episkopat w Polsce, jak to widocznem jest z następującego ustępu:

„Czegośmy żądali — piszą Semeneńko i Kajsiewicz do Zdzisława Zamoyskiego 8. Maja roku 1838. — są to najbardziej wiadomości prywatne, a pewne o życiu, zdolnościach, złych lub dobrych obyczajach osób w urzędach kościel-

nych, a szczególniej takich, które mogą być na biskupów przedstawione". (Tamże, str. 130.) I jak później ich synowie duchowni w Ameryce (jak zobaczymy poniżej w historyi chicagoskiej) sądzili, że władza kościelna w Chicago nie ma się na kim oprzeć, bo świeckie duchowieństwo to „mnóstwo złych księży", jak się wyraził roku 1872. ks. Kajsiewicz, C. R., to „extravagantes", jak się wyraził roku 1900. ks. Siatka, C. R., tak już wówczas, jeszcze teologii się ucząc, Semeneńko i Kajsiewicz wydawali podobne sądy o całem duchowieństwie świeckiem w Polsce: „Otóż Papież — piszą 31. Lipca roku 1838. do Jańskiego — nie ma się na kim oprzeć w Polsce. Wie bowiem doskonale, jaki duch panuje między duchowieństwem całem (wyraźnie „całem"!) w Polsce i jakie w niem rozpuszczenie obyczajów. Wie.... że przeciw niemu nakształt protestantów srożą się". (Hist. tom II. str. 147.): To uogólnianie występków pojedyńczych księży i potępianie w czambuł „całego duchowieństwa" świeckiego, było i jest bądźcobądź cechą charakterystyczną Zmartwychwstańców. Czy pochodzi to ze złej woli? Nie — nie trzeba nam zaraz złą wolę przypuszczać w bliźnich naszych. Pochodzi to z owego przesądu, wspólnego pewnie wszystkim zakonom, że poza zakonem nie ma nic doskonale dobrego, że zakonnicy wszystko dobre wzięli w monopol. Dostrzegł bystrem okiem swojem Piotr Semeneń-

ko ten przesąd w Jezuitach, kiedy 22. Listopada roku 1838. do Jańskiego tak o nich pisał: „Nimi (Jezuitami) powoduje duch Zgromadzenia, i nie mają tego miłością szerokiego serca, które nie czyni różnicy między obrzezką. Nie przypuszczają, żeby co było doskonale dobrego po za łonem ich własnem''. (Hist. tom II. str. 175.) Lecz w ten sam błąd, który Semeneńko Jezuitom zarzuca, mieli popaść i bracia jego Zmartwychwstańcy. Nomine mutato, de te fabula narratur (Horacy.). Tamże, co Piotr Semeneńko o Jezuitach pisze, rozumiej kubek w kubek to samo o Zmartwychwstańcach: „Oni (Jezuici) dzisiejszego czasu nie rozumieją, że są tak zasklepieni jak inni, i jeśli wyjmiesz Jenerała, dwu lub trzech jeszcze innych, to reszta żyje w 16. wieku, do którego wyobrażeń przyszywają rzeczy dzisiejsze.... A na co najbardziej masz zwrócić uwagę, to, że jak tylko co nie tyczy Societatem, natychmiast ręce umywają, to już do nich nie należy; możnaby powiedzieć, jeśli to tylko bez złośliwości powiedzieć można, że wzięli wszystko dobre w monopol... który Jezuita tego nie czuje, ten albo święty, albo bliskim świętego być musi.... Na sercu nam przykro, że tak są otoczeni przesądami, iż trzeba umysłu wysokiej postawy, by za ten mur wyjrzeć choćby przerwami''. (Hist. tom II. str. 177.) Oto jak się zakonnicy sami charakteryzują. Ludzka to ułomność, o której tu tylko z obowiązku historyka wspominamy, dla

lepszego zrozumienia ich działalności dziejowej wśród wychodźtwa polskiego w Ameryce.

Czyż dla tych ułomności potępiać mamy zakony wogóle albo Zgromadzenie Zmartwychwstańców w szczególe? Uchowaj nas Boże! Każdy ma swoje błędy; — tak osoba pojedyńcza jak i osoba zbiorowa, zakon, nie jest bez ułomności. Zgromadzenie Zmartwychwstańców, które wydało cały zastęp mężów dzielnych i wybitnych, tak na polu prac missyonarskich jak i na niwie literackiej, które wydało mężów tej miary, co Semeneńko, Kajsiewicz, Jełowicki, Kalinka, Pawlicki, Smolikowski, a tu w Ameryce Barzyński, Zwiardowski, Kasprzycki i wielu innych — takie Zgromadzenie całe bezwzględnie w czambuł potępiać, dla tego, że ma błędy, może tylko człowiek albo złośliwy albo uprzedzony, tak, jak znowu bezwzględnie je chwalić może tylko blagier albo pochlebca.

Lecz przystąpmy już do dziejów polskich w archidyecezyi chicagoskiej, w której OO. Zmartwychwstańcy właśnie najwybitniejszą odegrali rolę.

1. Parafia św. Stanisława Kostki w Chicago, Ill.

(Róg Noble i Ingraham ulic.).

(Założona r. 1869.)

„Ciekawa o Chicago historya". (Ks. A. Bakanowski C. R. w liście z 3. Września 1870. do Generała Kajsiewicza).

I.

Początki największej parafii. — Sherman r. 1850. — Ks. Szulak i Tow. Kostki r. 1864. — Kiołbassa a Gmina Polska r. 1866.—Umizgi Zmartwychwstańców w Lutym 1869. — Dostali kosza w Październiku 1869. — Budowa kościoła. — Ks. Juszkiewicz pierwszym proboszczem 1869.—1870. — Zmartwychwstańcy nie tracą nadziei. — Intrygi. — „Opatrznościowy" przyjazd ks. Bakanowskiego w Sierpniu 1870. — Burzy parafian. — Ks. Juszkiewicz zbity na śmierć przez zamaskowanych zbójów. — Biskup uważa Bakanowskiego za sprawcę zaburzeń.

Kiedy „Panna Marya" w Texas liczyła już 15. rok istnienia, kiedy inne kolonie w Texas, jak Bandera, św. Jadwiga, Yorktown i San Antonio posiadały już także od kilku lub kilkunastu lat polskie kościoły, kiedy od założenia Parisville w Michigan i „Polonii" w Wisconsin upłynęło już lat 14, kiedy w Milwaukee, Wis., parafia św. Stanisława Biskupa miała już 6 lat życia za sobą, kiedy nadto we Wisconsinie parafia polska w Pine Creek istniała już lat pięć, a nawet parafia w Northeim miała już rok życia za sobą, — wtedy to w roku Pańskim 1869., założoną została najstarsza w Chicago, a największa w całej Ameryce, jeśli nie na całym świecie parafia polska, pod wezwaniem św. Sta-

nisława Kostki, w północno-zachodniej dzielnicy miasta, 2½ mili w prostej linii od centrum miasta (biorąc główny gmach pocztowy za środkowy punkt miasta Chicago).

Polacy w Chicago zaczęli się osiedlać już około roku 1850., acz nie gromadnie jeszcze. Pierwszym osadnikiem polskim w Chicago ma być Antoni Smarzewski, który tu zmienił swe nazwisko na „Sherman". Przybył do Chicago w Czerwcu roku 1850., gdzie prawie cały czas przemieszkiwał przy Noble ulicy aż do śmierci swojej, we Wrześniu roku 1900. Pan Sherman —Smarzewski urodził się roku 1818., w Kcyni w Poznańskiem. Przybył do Ameryki prawie bez środków, a został jednym z najbogatszych Polaków w całych Stanach Zjednoczonych. Od sześciorga swych dzieci zostawił 27 wnuków i 15 prawnuków. (R. 1900.). Nadciągali i inni Polacy do Chicago i pomału utworzyli gromadkę. Myśl o parafii polskiej zaczęła kiełkować i zarodki jej poczęły się ukazywać dawno już przed rokiem 1869. Wszelako te zarodki po kiełkowaniu zaraz obumierały. Płód projektu był, ale umarł, zanim się urodził.

„Omne vivens ex ovo" — wszystko co żyje, powstaje z jaja — powiedział jakiś filozof. Tem jajem, z którego się wykłuła pierwsza parafia polska w Chicago, było Towarzystwo św. Stanisława Kostki, którego najwybitniejszymi członkami byli: wyż wspomniany Antoni Sherman, Józef Niemczewski, Piotr Kiołbasa, Jan

Arkuszewski, Paweł Kurr. Towarzystwo to, noszące w swojem łonie zarodek przyszłej parafii św. Stanisława Kostki, założono po pierwszy raz r. 1864., kiedy to p. Piotr Kiołbassa i ks. Leopold Moczygemba po pierwszy raz przybyli z Texas w odwiedziny do Chicago. Gdzie jest prezbiteryum kościoła św. Jana Kantego, tam na tem miejscu stał ów dom, w którem się zgromadziło na mityng organizacyjny Tow. św. Stanisława K., pod przewodnictwem jezuity ks. Szulaka.

Główny w Chicago działacz Piotr Kiołbassa urodził się 13. Października 1838., we Świbiu, pow. gliwickim na Szląsku. W roku 1855. przybył z rodzicami do P. Maryi, Texas; 9. Lutego 1862. wstąpił do wojska Stanów południowych, do kawaleryi texaskiej; 9. Stycznia 1863. wzięty do niewoli, 9. Lutego uwolniony, wstąpił do wojska Stanów północnych; 30. Listopada, 1864. złożył egzamin na kapitana kawaleryi; 5. Stycznia 1865. mianowany służył do 1. Maja, 1866.; 5. Października 1865. ożenił się u OO. Benedyktynów w Chicago z panną Pauliną Dziewior, która od samego założenia parafii św. Stan. K., aż do swej śmierci, w Marcu 1900., była jedną z wybitnych członkiń chóru kościelnego. W roku 1866. w Chicago wstąpił do policyi r. 1867. mianowany sierżantem służył do r. 1869. Od 1870—71., był w Texas nauczycielem i organistą, potem wrócił do Chicago, gdzie r. 1873. został urzędnikiem cłowym i na tym u-

rzędzie pozostał 16 lat; przez 2 lata był członkiem legislatury stanu Illinois; roku 1891. obrany skarbnikiem miasta Chicago, r. 1898. aldermanem, r. 1900. superwizorem, r. 1902. komisarzem budowy, r. 1904. komisarzem robót publicznych; r. 1903. ożenił się z panią Antoniną Otzenberg z Chojnackich; umarł 23. Czerwca 1905. roku.

„W roku 1864. znajdowało się w Chicago 25 do 30 familii polskich. Polacy przez pięć lat byli bez spowiedzi, gdyż polskiego księdza dostać nie mogli. W Lutym roku 1864. przyjechał opowiadający to (obywatel Piotr Kiołbassa) do Chicago i na prośby rodaków sprowadził z Texas W. ks. Leopolda Moczygębę. Nie potrzebujemy tu opisywać z jaką radością przyjęli ludzie polskiego kapłana i uczynili zadość wymaganiom sumienia, oczyszczając swe dusze w sakramencie pokuty św. Wtedy też, w miesiącu Marcu 1864. roku założono pierwsze towarzystwo polskie: Towarzystwo św. Stanisława Kostki.

„Gdy po dwóch latach ob. Piotr Kiołbassa przybył na stałe do Chicago, Tow. św. Stanisława K. już nie istniało. W roku 1866. zorganizowano je na nowo — a w roku 1867. zaczęto myśleć o budowie polskiego kościółka i w tym celu zakupiono 4 loty na rogu Bradley i Noble ulic. Miejsce to w owym czasie było całkiem oddzielone od miasta. Tu i owdzie wznosił się drewniany domek — a zresztą prerye, na któ-

rych nie rzadko można się było spotkać z pierwotnym mieszkańcem Ameryki, z Indyaninem. Tam zaś, gdzie dziś stoi wspaniały kościół św. Stanisława K., strzelano dzikie kaczki".

Do roku 1869. duchowne potrzeby Polaków zaopatrywał ks. Szulak, jezuita. Na początku r. 1869. liczba Polaków w Chicago urosła już do 400 familii. Dwaj polscy Zmartwychwstańcy, ks. Szymon Wieczorek i jednoręki ks. Jan Wołłowski, od r. 1868. przebywali stale w Parisville, Michigan. Otóż jeden z nich, ks. Wieczorek, z Parisville zrobił wycieczkę do stanu Iowa, gdzie, jak pisze, od 13. Lutego do 18. Marca 1869., miał missyę dla tamtejszych Polaków i Niemców. Po drodze niezawodnie dowiedział się o wielkiej liczbie Polaków w Chicago, o czem zaraz uwiadomił swego prowincyała w Kanadzie, O. Eugeniusza Funken C. R. I oto już w Kwietniu r. 1869. przybywa z missyą do Polaków w Chicago pierwszy Zmartwychwstaniec ks. Jan Wołłowski. Jakiem okiem ks. Szulak patrzał na te odwiedziny, dowiemy się potem. Ks. J. Wołłowski (w liście z „Paryża", Mich. 5. lipca 1869.) tak opisuje pierwszy swój pobyt w Chicago: „Przybywając na missyę do Chicago, liczącego przeszło 300,000 mieszkańców, znalazłem 400 rodzin polskich. Pomimo zamożności i zwyczajnej polskiej poczciwości, stan ich moralny jest bardzo zaniedbany. Przez 3 tygodnie pracowałem z całą usilnością nad dobrem ich, wyspowiadałem seciny osób. Przed

odjazdem prosili bym został u nich na zawsze, na co zwyczajnie musiałem dać odpowiedź odmowną. W każdym razie widząc dla Zgromadzenia ogromne korzyści dałem adresy WOjca (Jełowickiego) i Przew. O. Przełożonego. Przytem doradziłem by przesłali pod korektę W. Ojca ustawę ich Stowarzyszenia św. Stanisława K. Po powrocie zdałem obszerne sprawozdanie O. Eugeniuszowi (Funken).. W Chicago jest dużo do zrobienia, ta missya obiecuje na przyszłość nadzwyczajne korzyści dla Zgromadzenia, z czasem stałaby się punktem oparcia się dla wszystkich innych Missyj naszego Zgromadzenia w Ameryce. P. Piotr Kiołbassa jest jednym z najgorliwszych katolików w Chicago."

To też Piotr Kiołbassa zaraz po wyjeździe ks. Wołłowskiego z Chicago pisał 6. maja 1869. do Generała Kajsiewicza: „Jaśnie Wiel. Księże!... bądźże tak łaskaw i poszlij nam Xiędza Polskiego, któryby kościoła nam dopomógł wybudować i opiekę nad Parafią Polską by objął. Jużeśmy błagali Biskupa naszego w Chicago i niż pojechał przeszłego roku do Rzymu obiecał nam Xiędza polskiego z sobą przywieść lecz nazad przyjechał a o Xiędzu polskim nie słychać. Teraz Biskup nasz chory leży i w chorobie głupieje, (był to biskup Jakób Duggan, który dla choroby umysłowej r. 1870. usunięty z biskupstwa, umarł dopiero r. 1899.), więc nie wiemy gdzie się udać. Byliśmy u Wikaryuszów, bo ich mamy dwóch, jednego dla Irlandczyków a dru-

giego znowu dla Niemców, a my przecę Polacy iesteśmy i iesteśmy w stanie Xiędza Polskiego utrzymać w dobrym porządku, a po drugie: powinniśmy zachować narodowość Polską, bo po P. Bogu ta nam najmilszą. W Michigan tylko iest Polaków na 200 Familii.. a nas tu 400 Familii i w lepszym położeniu iak ci w Michigan... Piotr Kielbassa, No. 51. West Oak Str., Chicago.'' W Parisville, Mich. było 2 Zmartwychwstańcom za ciasno; przytem ks. Wołłowski z ks. Wieczorkiem żyli w niezgodzie; więc ks. Jan Wołłowski, zobaczywszy raz Chicago, ciągle potem tylko o niem myślał. „Ks. Jan — pisze ks. Wieczorek 21. czerw. 1869. — chciał pokazać co on potrafi chociaż lewą ręką... Wszystko byłoby szło dobrze, gdyby nie ten nieszczęśliwy pociąg ks. Jana do miasta, to też teraz znów robi, abym tu pozostał w Paryżu a on do Chicago.'' Tymczasem prowincyał O. Eug. Funken, C. R., sam osobiście zbadawszy Chicago, takie posyła 28. czerwca 1869. sprawozdanie do Rzymu: „Ks. Wołłowski jugendlich indiscret a ks. Wieczorek irascibel, te dwa charaktery nie zgadzają się; trzeba ich rozłączyć. Missya polska w Michigan nie ma przyszłości. Chicago jest dla Zachodu tem, czem Nowy York dla Wschodu, i dlatego bardzo warte, żeby na nie naszą uwagę zwrócić. Jest tam trzy do czterysta familii. Staraniem pewnego pana Piotra Kiołbassy zakupili już loty pod kościół i plebanię. Trzebaby i tam od małego zaczynać, ale do

czegoś wielkiego tu w Ameryce można dojść tylko w miastach. Benedyktyni, którzy tam mają niemiecką parafię, radzili mi korzystać ze sposobności. Administrator dyecezyi (biskup chory) wyraził swoją radość, że chcemy zająć się biednymi Polakami. Atoli zdrowem to miasto nie jest, a nazwa „Garden City'' jest ironią. Ks. Ellena (Włoch? Zmartwychwstaniec), że on po polsku nie umie, to nic, byle inny polski ksiądz przy nim był, czy to ks. Wołłowski, czy ks. Wieczorek. Ks. Ellena jest właśnie tym, któryby imponować i rządzić mógł. Biskup Melchers z Green Bay, Wis., pojechał do Rzymu, i jak mi mówiono w Milwaukee, chce także prosić O. Generała o księży polskich ze Zgromadzenia. Wprawdzie jest tam (we Wis.) wiele Polaków, ale także tylko farmerskie parafie. Lepiej, że O. Generał skieruje wzrok swój najpierw na Chicago; stamtąd można łatwo i prędko odwiedzać Wisconsin.''

Niebawem z Rzymu nadeszła pomyślna odpowiedź, gdyż już 15. czerwca 1869. P. Kiołbassa tak odpisuje ks. Jełowickiemu, C. R.: „Jaśnie Wiel. Xięże Oycze! List Wasz, W.X., odebrałem parę dni przeszło i cieszy nas wszystkich, i że tak prędko i z tak szczerą chęcią interesów naszych się podjęliście: przeto w Imieniu Związku Ś. Stanisława K. i wszystkich Polaków w Chicago odbierzcie nasze serdeczne dzięki. W paru dniach wysyłam 413 franków. W. O. Eug. Funcken, Przełożony Congr. Resur. w pół-

nocnej Ameryce, sam przez trzy dni z nami przebywał, aby się doznał, czy możnaby założyć Missyą Polską w Chic., i doświadczył się, iże takowa już dawno miała być... Polacy w Chicago bawią się jedni rzemiosłem, drudzy wyrobkami prostemi jako to, przy mularzach, cieślach, wyładowaniem Okrętu i Cugów kolei żelaznych i td. i zarabiają od $1½ na dzień do $3. Mieszkają wszyscy w jednej okolicy miasta, tak iże ich można wszystkich w krótkim czasie poznajdować. Jest tam Polaków, którzy mają już swoją własność, t. j. Domek i Lotę, już na dwie sta Familii. Ci drudzy zaś każdy patrzy, ażeby mógł każdy na czem pewnem się zasadzić... Ci Polacy, którzy stanowią Związek Św. Stanisława K., którzy pragną ażeby Kościół Kat. Polski stanął jak najprędzej, są to Polacy z Górnego Szlązka, co i Ja sam iestem, i z Poznańskiego Xięstwa, także z zachodnich Prus czyli Kaszub, bo Emigratia, ta z Wielko-Polski, albo jak Oni się nazywają Szlachtą Polską, ci wcale o religię kat. nic nie dbają... i nas głupimi chłopami i Bigotami nazywają. Ci formują Związek ten pod nazwiskiem Gmina Polska w Chicago, liczy tylko ze 10 członków. Związek Św. Stanisława K. został założony 3. Czerwca 1866. i nas było tylko 20 członków na ten czas, dzisiaj liczymy 60 członków. Każdy pobiera podczas choroby $4, dwóch członków jużeśmy pochowali. Każdy pogrzeb kosztował $45. Sprawiliśmy sobie także Chorągiew z O-

brazem Św. Stanisława K. na jednej stronie, a obraz chorego leżącego w łóżku i kapłan z krucifiksem i 2 członków w regaliach, przy nim. Więc nas kosztowała ta Chorągiew na $300. Na grunt pod Kościół jużeśmy zapłacili $650, grunt kosztuje $1700, mamy 4 lata czasu do wypłaty sumy tej... ostanie do wypłaty $1050, które lekko wypłacimy. Wszystko lekko pójdzie, bylebyśmy mieli kapłana polskiego.. W. O. Eug. Funcken był u Administratora Dyecezyi naszej w Chicago i pozwolenia się wymagał, aby Missyą dla Polaków założyć i do czego On z chęcią pozwolenie udzielił, więc nam teraz nic w drodze nie stoi.'' Tu wymienia kolonie polskie w okolicy Chicago, jako to: Peru, Ill. 25 fam., Brighton, Iowa, 30 fam., Milwaukee, Manitowoc, Stevens Point, oraz w Indiana i Missouri, i dodaje: „Mam tę nadzieję, iże jak skoro jeden punkt pryncypalny założemy, to inne się potem rozwijać będą... Możecie zawsze, Wiel. Xięże na adres mój pisma, xiążki nabożne itd. posyłać, albowiem lepiej jezdem znany w Chicago jak dużo innych. Przytem jestem w urzędzie Policyi, jakoli też Officerem armii Stanów Zj., o czem mogą poświadczyć: X. Molitor, proboszcz czeskiego kościoła Św. Wenceslawa i wszyscy zamieszkali w Chicago. Proszę przysłać kilka dzieł Polskich Literatów, ja koto Historyi Polski, dzieje Mickiewicza i naszej Literatury, bo ja bardzo lubię po polsku czytać, a po drugie nic jeszcze o Polsce nie czy-

chciał nam dać tę parafię, ale trudno.... Arcybiskup dał tam ks. Nawrockiego.... w końcu dodał, że gdy ze swymi księżmi nie będzie mógł przyjść do porządku, to znów się do nas zwróci o pomoc". Znowu O. Generał gani Ojców za to, że nie korzystają ze sposobności i nie obejmują więcej jeszcze parafii. Odpowiada 15. Lutego 1892. O. Szymon: „N. Ojciec wspomniał, żebyśmy mogli przy zdarzonej sposobności obejmować i inne parafie, a nie siedzieli na kupie, a kto obsłuży św. Stanisława? U nas roboty huk, coraz nowi przybywają emigranci; roku 1891. było chrztów 2,400". „Wielu Rusinów (około 500 familii w Chicago) jest w naszej parafii, wartoby dla nich mieć jakiego Ojca Rusina z naszego Zgromadzenia; nasz proboszcz temu przeciwny, chcąc, zdaje się, złacinniczyć Rusinów". Spowiedziom Ojcowie podołać nie mogą. „Z powodu wielkiej naszej parafii Arcybiskup dał pozwolenie, że spowiedź wielkanocną w tym roku zaczęliśmy na 2 tygodnie przed Wielkim Postem i będzie trwać 2 tygodnie po św. Trójcy (1. Marca r. 1892.) „Ojcowie wycieńczeni spowiedzią wielkanocną jak struny". „Prawie wszyscy chorzy, wycieńczeni pracą spowiedzi wielkanocnej, do której **z kartkami** przystąpiło przeszło 18,000, oprócz pobożniejszych, a jeszcze nie wszyscy byli u spowiedzi wielkanocnej. Otóż na gwałt robotników trzeba, sami upadniemy na siłach, a rady nie damy. Na gwałt dzielić

parafię.... na każdem nabożeństwie ludzie gniotą się jak śledzie w beczce, a jeszcze wszyscy pomieścić się nie mogą". (7. Lipca 1892.) „Nasi zakrystyanie obrachowali, że w ciągu 1 roku wyszło 75,000 komunikantów". „Nowa parafia (św. Jana Kantego) — pisze O. Wincenty 13. Lipca 1892. — już jest przez Arcybiskupa zatwierdzona, ale jak nie będzie nowych sił, to musi nastąpić fiasco. Spowiednica potrzebowałaby ich ciągle 6, ambona choćby ze 4. Otóż nasi najukochańsi opiekunowie (księża świeccy) o naszych trudnościach wiedzą i je osławiają z dodatkiem, że Zmartwychwstańcy tylko pieniędzy szukają i łapią ludzi (parafie, t. j. św. Stanisława, Trójcę chcą, św. Jadwigę uważają za swoją, a teraz nową też dla siebie budują), a nie myślą, aby je dobrze zaopatrzyć etc. etc. Ponieważ jako tako odpieram ich zarzuty, więc jad wyrzucają na moją osobę i mówią bardzo często i dość głośno, że gdyby tego Wincentego Barzyńskiego ci...... wzięli, toby było dobrze. Ma się rozumieć, że trzeba te słowa nie tak literalnie rozumieć, jak brzmią po wierzchu, bo mają one też różne znaczenia, jednak jest w nich jakaś **prawda dla mnie i dla Zgromadzenia nie bardzo pocieszająca**". Zaiste prawda nie bardzo pocieszająca, ale szczera! Bo czyż wobec tego, co się działo przez przeszło 20 lat, księża świeccy nie musieli świętym zapłonąć gniewem? Pole missyi chicagoskiej, na które z Texas (nikt was

„Chicago, 29. Oct. 1869. Rev. J. Wollowski, C. R.

Rev. Domine: — Nos sacerdotem ex Polonia jamdudum habemus, qui curam gentis Polonae hac in civitate exercet. Promissionem explendam Superioris Tui expectavimus. Interim Providentia bona nos adjuvavit. Tuam Reverentiam spe falli perdolemus. Vester humilis servus

J. Halligan, Adm.''

Tym „kapłanem z Polski'' był ks. Józef Juszkiewicz: on to został pierwszym proboszczem parafii św. Stanisława K. w Chicago. Kiedy więc ks. Wołłowski 1. listopada stanął w Chicago, rozczarowanie jego było niemałe! „Dnia 22. paźdz. r. b. — pisze ks. Wołłowski 10. listop. 1869. już z St. Agatha, Canada, do O. Generała Kajsiewicza — otrzymałem rozkaz od O. Eugeniusza, bym bez zwłoki zdawał rachunki O. Wieczorkowi, a sam bym się udał na mieszkanie do Chicago. Aż do przyjazdu O. Elleny miałem spełniać obowiązki zwyczajnego missyonarza w gronie rodaków, później zaś mieliśmy wejść w posiadanie tej missyi w imieniu Zgromadzenia. W. Ojciec pojmie moje chwilowe zadowolenie; niestety, wkrótce ono miało się zamienić w gorycz i całkowite rozczarowanie. Zdałem rachunki O. Wieczorkowi... przejazdem byłem w Detroit, wziąłem exeat czyli uwolnienie z dyecezyi Detroickiej. Ks. Administrator dał nadto list rekomenda-

cyjny do Administratora w Chicago... Ale zaledwie dostałem się do Chicago, do grona swoich, wnet spostrzegłem pewne ociąganie się, pewien smutek. Na me zapytanie odpowiedziano, że Księża Jezuici potrafili zniweczyć wszystkie ich życzenia, że pewien ks. polski Juszkiewicz, 60 letni starzec, objął już Missyę w Chicago za ich wszechwładnem pośrednictwem. Na razie cios był bolesny, nie wiedziałem co z sobą począć. Nazajutrz poszedłem do miejscowego Administratora, który mi to samo powiedział, że ks. Szulak S. J. robił wszystko co mógł, by osadzić ks. Juszkiewicza w Chicago, że w końcu dał się namówić i oddał mu w zarząd tutejszą polską Missyę. Po podobnym zawodzie dalszy mój pobyt w Chicago stał się niemożebnym, postanowiłem więc wrócić do Kanady i tam wyczekiwać na dalsze rozkazy. Administrator w Chicago dał mi na drogę $35.00.'' „Ks. Józef Juszkiewicz został publikowany (przez kogo?) w dziennikach katolickich Ameryki Półn. jako symoniak, suspendowany w dyecezyi Milwaukee etc. Bardzo więc być może, że w krótkim czasie zawód doznany w Chicago zostanie powetowany. Dałby to P. Bóg jest wielka dziś nadzieja''. A O. Eug. Funken nie traci też nadziei, pisze bowiem 8. listop. 1869. do O. Generała: „Z Chicago na razie nic... Myślę jednak, że nie powinniśmy Chicago całkiem z oka spuszczać, gdyż jest to punkt wyjścia do Wielkiego Zachodu. W każdym razie nie zaszkodzi-

łoby, gdyby O. Generał porozumiał się w tym względzie z Arcybiskupem Kenrick z St. Louis, ponieważ Chicago tymczasowo nie ma żadnego biskupa.'' P. Kiołbassa zaś niebawem wyniósł się do Texas, skąd następnego roku ściągnie innego Zmartwychwstańca ks. Bakanowskiego.

Poczciwy ks. Juszkiewicz jął przepraszać Zmartwychwstańców, że im taką przykrość sprawił. Na urzędowym biskupim arkuszu z nagłówkiem „Chancery Office'' Chicago 5. Novemb. 1869. pisze ks. Juszkiewicz do Generała Kajsiewicza dosłownie tak: „Illme ac Rme Dne! Powszechny głos po Europie i Ameryce, że Rmus każdemu rad podać rękę, a bardziej polskim niewolnikom 63go roku wysłańcom do Samarii i dalszych sembirskich miast przez Opatrzność Boską ze Syberyi trafiłem do Ameryki i miałem rekomendacią udać się do protekcii Rme Dne: a tu Xięża Jezuici odnieśli się, z Brazylii do Chicago wezwany zostałem przez Polaków na ich Pastora i przyjętym zostałem przez Władzę Duchowną. — 1go Novembra przybył WX Wołowski ze Zgromadzenia Rme Dne też żądając tej posady, niby miała być przyrzeczoną a że — WX Wołowski do Celebracii Mszy Śtej nie należy i do tego drugi Xiądz (Elena) co nic polskiego języka nie zna ma być deicz katolisze na to żaden nie przystał z Polaków — a tu 235 familiów w Chicago dwóch Xięży nie mogli by utrzymać i to

miemcy miserabl. Żwinogrudku byłem Proboszczem Dziekanem i Kanonikiem tam to, wszystko pozostało — dziei się Wola Boska takie to przenaczenie Polaków. — Upraszam Illme Rme Dne tu w Stolice Apostolskiej wyrobić obrazu S. Stanisława Kostka do kościoła naszego do wielkiego ołtarza i co ma kosztować łaskawie raczy donieść — przytem przepraszam Rme Dne, proszę na mnie nie mieć żalu, że ia tę posadę zająłem: bo ia niewiedziałem, że Dobrodzieie mają na prosekni, lecz tu nie ma o co ubiegać się, **dla mnie starego dziada tylko stosowna posada.** Polecając się łaskawej opiece pamięci miło pozostać na zawsze uniżonym Sługą X. Juszkiewicz, Pastor polish church, Chicago Bradle str.: Nr. 32. Westret, Ill".

Atoli słowa ks. Juszkiewicza, że ta największa w przyszłości parafia w świecie „dla mnie starego dziada tylko stosowna posada" — nie trafiły do przekonania Zmartwychwstańcom. Nie spuszczali Chicago z oka, zaglądali tam nieraz.

„Czy jest kto w Chicago, z Kongregacyi, czy nie — pisze ks. Józ. Dąbrowski z St. Francis, Wis., 2. stycznia 1870. do Rzymu—tego nie wiem. Widziałem jednego z Polaków i mówił mi, że jest ktoś z pod zarządu X. prowincyała Funken. Widziałem się z innym, ten mi mówił, że potrzeba wielka tam waszego księdza, ale się już nie troszczą, bo niezadługo przyjedzie ks. J. Dąbrowski z Rzymu. Co jest prawdą, te-

go nie wiem. W przejeździe chciałem wstąpić do Kiełbassy, szukałem go, ale znaleźć nie mogłem. Za parę tygodni pojadę do nich z wizytą.''

Pomimo tych intryg pokątnych, ks. Juszkiewicz utrzymał się jednak na stanowisku proboszcza w Chicago przez cały jeden okrągły rok, od października 1869. do października 1870. Biskup Tomasz Foley był zadowolony z niego a lud też był kontent, że ma polskiego kapłana. Niezadowolenie wśród niektórych parafian powstało dopiero gdy z początkiem sierpnia 1870. przybył z Texas do Chicago ks. Adolf Bakanowski C. R., niepowołany i nie posłany przez nikogo, tu jednak się zatrzymywał wbrew woli tak Generała jak i Biskupa chicagoskiego.

Ks. Adolf Bakanowski C. R. był od listopada r. 1866. proboszczem w Panna Maria, Texas, oraz przełożonym missyi texaskich (zobacz tom VI.) Po przeszło trzechletniej pracy w Texas, na rozkaz Generała Kajsiewicza, miał wracać do Rzymu. To się ks. Bakanowskiemu nie podobało. „Czyż nie figle?'' — odpisuje Generałowi 28. kwiet. 1870. — „W chwili rozwoju mojej missyonarskiej pracy... mam opuścić Texas!... Nie mogę tak prędko zadość uczynić woli kochanego Ojca. Długi, jakie zaciągnąłem, nie mogą być prędzej zaspokojone, jak po Nowym Roku. Przykro mi opuszczać na zawsze missyę tutejszą.'' I pozwala parafianom

wysłać do Generała sążnistą petycyę, by im go zostawił w Panna Maria! Wtem, kto przyjeżdża do Panna Maria? Oto Piotr Kiołbassa z Chicago. I nagle, na wieść o 500 familiach polskich w Chicago, zaświtała w głowie ks. Bakanowskiego nowa myśl: wrócę do Rzymu, kiedy taki rozkaz, ale niech mi po drodze wolno będzie zwiedzić północne missye w roli wizytatora! „Co do mojej podróży na północ — pisze do Generała 9. maja 1870. — proszę tak kierować żeby mi nie wypadła podczas zimy, gdyż musiałbym zaopatrzyć się w ciepło ubranie, co nienadługo by mi się przydało. Proszę przysłać papier, delegujący mnie do tego urzędu" (wizytatora)... Mamy w Pannie Maryi od kilku dni Piotra Kiołbassę z Chicago, któren od 1. czerwca obejmuje przy nas obowiązki nauciela i organisty. Czekam ostatecznej decyzyi. której zawsze pokornie się poddaję." Atoli, nie czekając „ostatecznej decyzyi", już 16. maja 1870. pisze z P. Maryi: „łamiąc wszelkie przeszkody, 15. lipca myślę stąd wyruszyć. W Chicago 500 familii." O. Generał, ma się rozumieć, nie mógł posłać ks. Bakanowskiego w roli wizytatora do Chicago; mógł do Kanady, gdzie domy Zmartwychwstańców są, ale i tego nie uczynił, owszem wyraźnie kazał mu „pominąć Kanadę" i wracać wprost do Rzymu.

Istotnie, „15. lipca 1870. ks. Bakanowski wyjechał z Panny Maryi nie bez pewnych krzyżyków" — pisze ks. Zwiardowski.

I tak ks. Bakanowski w swojej podróży „do Rzymu'' zajechał do Chicago, w pierwszych dniach sierpnia 1870. Tu, rzekłbyś, w błocie chicagoskim ugrzązł tak, że ani rusz go stąd dalej. Raz zapewnia O. Generała, że wyjedzie wnet z Chicago w dalszą podróż, to znowu pyta go się, kiedy i czy ma opuścić Chicago, a kiedy mu O. Generał nadesłał stanowczy rozkaz, by natychmiast wyjechał z Chicago, on się biedak rozchorował i wrzekomo dla choroby wyjazd z Chicago odkładał z miesiąca na miesiąc. Najkapitalniejszą wymówką, dla czego z Chicago nie może się puścić w dalszą podróż do Rzymu, była — wojna, jaka podówczas wybuchła między Francyą a Niemcami. „O. Adolf (Bakanowski) — pisze ks. Winc. Barzyński z San Antonio 5. września 70. do ks. Jełowickiego — pisał mi z drogi. iż się obawia jechać do Europy dla obecnej wojny, a nie wiem czy usłuchał moich uwag, że bać się niema czego. Jeżeliby myślał przerwać powrót do Rzymu, to niech się spyta listownie (a jeśli ma na to, telegrafem) czy mu Jenerał pozwoli i uzna jego wymówki.''
„Jestem teraz w kłopocie — pisze sam ks. Bakanowski z Chicago 18. sierpnia 1870. do O. Generała — co mam począć dalej. Skoro to prawda, co nasze dzienniki głoszą że tak źle z Francyą, niebezpiecznie puszczać się do Europy. OO. Jezuici bardzo mi odradzają jechać... Proszę drogiego Ojca jak najprędzej mię uwiadomić czy mam na to wszystko nie uważać i pu-

szczać się zaraz w dalszą podróż, czy też się strzymać, i gdzie mianowicie; wróciłbym chętnie do Texasu, a gdyby na krótki czas tylko, więc u ks. Wieczorka myślę mieć swoje domicilium. Wtedy tylko czekać będę na list drogiego Ojca, gdyby w Europie stan rzeczy się nie odmienił, inaczej 1. września, a najdalej 15. wyjeżdżam z Nowego Yorku. Już drugi tydzień jestem w Chicago, daję tu missyę ludowi polskiemu, jako o niej jest opowiem ustnie. **Nic dla nas — ks. Juszkiewicz proboszczem przysięgłym**, 600 familii polskich z różnych krain Polonii. Zbudowali piękny kościół, księdza suto opłacają, ale hardzi, popsuci, podzielili się na kilka partyi i wzajem ciągle się prześladują... Tu w Chicago także do Jezuitów zajechałem, ale dla dogodności missyi polskiej przeniosłem się do ks. Juszkiewicza, bo aż 5 mil od kościoła polskiego do Jezuitów. Z gazet w całem mieście już jestem znany jako słynny kaznodzieja. **Z Biskupem tutejszym miałem małe zajście**, przyczyny ustnie opowiem... dzisiaj bene. We Wtorek 23. b. m. wyjeżdżam stąd do Michigan, do ks. Wieczorka, i tam będę, sam nie wiem jak długo. List do mnie tam niech będzie adresowany.''

Czy wyjechał do Michigan? Gdzie tam... Dawał dalej „missye'' Polakom. Z Biskupem miał „małe zajście''. Bo Biskup widocznie przeczuwał, jaki będzie owoc tej jego „missyi.'' Dotychczas był spokój w parafii, w po-

wyższym liście ks. Bakanowski nie wspomina o żadnej „rewolucyi'' przeciw ks. Juszkiewiczowi, owszem powiada: „Nie dla nas — ks. J. proboszczem przysięgłym, suto go opłacają.'' Dopiero po skończonej „missyi'' ukazał się jej owoc. A jaki był ten owoc? opowie nam sam ks. ks. Bakanowski w swoim następnym liście 3. września 1870. do O. Generała: „Interesa tutejszej parafii jeszcze mnie w Chicago zatrzymują. Trzymałem tu z ludźmi missyę — myślałem, że po skończeniu będę mógł odjechać, ale **spadł** na mnie **inny obowiązek**, nie mniej ważny, i zatrzymał aż dotąd. Przybyłem (?) tu do Chicago w chwili bardzo smutnej, kiedy cała tutejsza **polonia podniosła rewolucyę przeciw swemu księdzu, tak że kilku zuchwałych rzucili się nawet na księdza, żeby go zbić**. Byłem więc rozjemcą (?) między nimi, strony pogodziłem, po raz pierwszy otwarliśmy kościół (?) i nabożeństwo się w nim rozpoczęło. Przy zakończeniu missyi zaprowadziłem drogę krzyżową. Teraz piszę im nową konstytucyę na cześć najsłodszych serc Jezusa i Maryi. Ta Świętego Kostki poszła niepomyślnie, a ks. Juszkiewicz nie czuje się w stanie zreformować. **Właśnie towarzystwo Kostki** w największej nienawiści ku księdzu, **bo największych ma pijaków**. Od początku źle było proponowane, dzisiaj jeszcze gorzej się gmatwa.. Parafia tutejsza rachuje 600 polskich familii, piękna zajmująca i bardzo korzystna. Ze łzami mnie

proszą, (a więc ci pijacy z Towarzystwa Kostki!), żebym z nimi pozostał, ofiarują 800 dol. na rok. ale przychody wyniosą na tysiąc z górą, więc śmiało można rachować dwa tysiące dolarów. Ks. Juszkiewicz, mimo jego najlepszego serca, w postępowaniu z ludźmi najniepraktyczniejszy, bez żadnego taktu i roztropności; tak wszystkich (rozumiej: owych pijaków!) oburzył przeciw sobie, że go już z kościoła chcieli wyrzucić. Wprawdzie i ludzie tu są różni, wielu z nich ciężko zuchwałych i brutalów, ale prędkość i gwałtowność księdza jeszcze bardziej ich do tego pobudza. Resztę opowiem ustnie... X. Juszkiewicz myśli ich opuścić i zabiera się do Texas, z kilkudziesięciu familii polskiej. Ci zaś niechcą przyjąć żadnego księdza, nie należącego do naszego Zgromadzenia. **Biskup tutejszy myśli, że ja jakieś intrygi robię**, żeby Zgromadzenie osadzić. Powiedziałem mu, że wcale tam nie idziemy, gdzie nas o to nie proszą (?). Opowiem resztę ustnie, gdyż ciekawa o Chicago historya. Listu z Rzymu spodziewam się u X. Wieczorka — teraz odwiedzę i Kanadę. Tysiąc franków do Paryża przywiozę. Szacunkiem i miłością niepospolitą od wszystkich (owych pijaków z tow. Kostki!) jestem tu uwieńczony — ze łzami proszą, żebym z nimi pozostał. Złożyli mi tu na drogę 100 dolarów." Z tego listu wynika jasno jak na dłoni. że nie Gmina Polska, nie Narodowcy, dali pierwszy zły przykład zaburzeń parafialnych,

lecz „właśnie Towarzystwo Kostki'', które „największych miało pijaków'', podniosło pierwszy w Chicago (i w całej Ameryce) parafialny bunt przeciwko prawowitemu swemu proboszczowi; że z grona tego „właśnie towarzystwa Kostki'' „kilku zuchwałych (zamaskowanych) rzucili się nawet na księdza, żeby go zbić''; że właśnie ci zbóje i „pijacy z towarzystwa Kostki'', a nie lud i parafia cała, „ze łzami prosili'' ks. Bakanowskiego, „by z nimi pozostał'' i na prośby tego „ludu'' ks. Bakanowski istotnie w Chicago pozostał; że sam Biskup Chicagoski był oburzony na takie podłe i zbójeckie postępowanie ks. Bakanowskiego. Wreszcie odpowiedź, dana Biskupowi przez ks. Bakanowskiego: „że wcale tam nie idziemy, gdzie nas o to nie proszą'' — była wprost cyniczną i bezwstydną. A kto tu Zmartwychwstańców do Chicago prosił? Czy Biskup? Nie! Czy parafia? Też nie. Zmartwychwstaniec przybył do Chicago ani proszony przez Biskupa ani posłany przez Generała; i pozostał i siedział w Chicago — na czyją prośbę? Czy Biskupa? Nie! Czy parafii? Też nie! Lecz właśnie na prośbę „największych pijaków'', którzy byli „w największej nienawiści ku księdzu'' Juszkiewiczowi, swojemu proboszczowi. A kto to sprawił, że ci pijacy ośmielili się nawet podnieść świętokradzką rękę na sędziwego kapłana, siwowłosego 60-letniego starca?

Wprawdzie w powyższym liście ks. Baka-

nowski nie powiada, że on to był sprawcą owej „rewolucyi", zakończonej obiciem ks. Juszkiewicza; pomimo to, prawda z jego listu, jak szydło z worka, na wierzch wychodzi. To samo i „Biskup myśli" — i do dziś dnia, jak nam pisze ks. Stan. Nawrocki, między ludem w Chi cago krąży podanie, że „gałgani podszczuci przez ks. A. Bakanowskiego znieważyli starowinę (ks. Juszkiewicza) i wypędzili go sromotnie". Nie można też ks. Bakanowskiemu wierzyć, że zaraz, skoro przybył do Chicago, zastał już zaburzenie w parafii, bo byłby o niem z pewnością wspominał już w pierwszym swoim liście z Chicago (18. Sierpnia.); wprawdzie sam ks. Bakanowski na uniewinnienie swoje pisze w drugim liście (3. Września), że „przybył do Chicago w chwili bardzo smutnej, kiedy cała polonia podniosła rewolucyę przeciw swemu księdzu", ale zapomina co w poprzedniem zdaniu pisał, że dopiero „**po skończonej missyi** spadł na niego **inny** obowiązek", to jest obowiązek uspokojenia wzburzonej parafii. A więc tego obowiązku, gdy przybył do Chicago, jeszcze nie miał; dopiero potem, **po** missyi, **spadł** na niego ten obowiązek. Gdyby ks. Bakanowski był **zastał już** zaburzenia w chwili przyjazdu swego do Chicago, nie byłby go z pewnością Biskup posądzał o intrygi, owszem byłby go prosił, by burzę zażegnał. Gdyby ks. Juszkiewicz był sprawcą zaburzeń, za jakiego nam ks. Bakanowski go przedstawia, byłby Biskup chęt-

nie go się chciał pozbyć, a tymczasem Biskup wprost oświadczył: „Ja z ks. Juszkiewicza jestem zadowolony i wcale innego księdza nie chcę'' — jak to sam ks. Bakanowski opowiada w następnym liście 5. Września 1870. do ks. Jełowickiego: „Już piąty tydzień pracuję w Chicago, a tyle mam pracy, iż ledwo mogę znaleźć kilka chwil czasu na odmówienie pacierzy kapłańskich.... Ks. Juszkiewicz przez swe nietaktyczne postępowanie tak jest tu znienawidzony, (przez owych „największych pijaków''), że chcieli go zabić. Dzisiaj jeżeli spokojnie go znoszą, to tylko ze względu na mnie (?), bom ich prosił, żeby przy mnie żadnych buntów nie rozpoczynali jednakże w żaden sposób nie może być tak dalej. Ksiądz w każdym czasie niepewny życia, a parafia coraz bardziej w bezład i demoralizacyę upada. W dyplomacyi swojej z ks. Juszkiewiczem już tak daleko stanąłem, że przenoszę go z Chicago do Texas, tam będzie odpowiedniejszy, gdyż są tam księża polscy, parafie wszystkie uorganizowane, a nadto on daje się powodować. Polonia w Chicago 600 familii, jakkolwiek dziś w największym bezładzie, zaręczam, że będzie najporządniejszą przy roztropnym a taktycznym księdzu. Wszyscy (ci pijacy z Tow. Kostki!) jednogłośnie pragną księży z naszego Zgromadzenia, i w tych dniach mają posłać prośbę do naszego O. Jenerała. **Z Biskupem jednakże nie możemy się porozumieć.** Ks. Jusz-

kiewicz tak go sobie zjednać potrafił, że wprost mi powiedział: **„ja z niego jestem zadowolony i wcale innego nie chcę** — a gdyby ludzie go przyjąć nie chcieli i będą tak burzyć się dalej, ja im go zabiorę, ale już więcej żadnego księdza polskiego nie dostaną". **Mnie zaś posądził o zmowę z ludźmi**.... że nawet przeciw niemu jestem itd..... Pytałem go z jakiej przyczyny tak o mnie myśli — odpowiedział: mam pewne zawiadomienie, że jesteś wizytatorem, a nawet w tym celu do nas przysłany.

Otóż na wszystko tak mu odpowiedziałem: Że dziwi mnie to mocno, żeby prostego kapłana, biednego z Texas missyonarza, tak się zlęknąć, a gdyby i tak było to z porządku rzeczy wypływa, że nim mogę być tylko w swojej i dla swojej Kongregacyi. Powiadam Ojcu, że Biskup, i cała jego kancelarya, tak mnie się zlękli, że prawdziwie sami nie wiedzieli co począć ze mną. Podaję bilet wizytny Biskupowi — zamiast jego przychodzi Jen. Wikaryusz i po długiej zemną rozmowie, powiada, że Biskup słaby, widzieć się nie może. Bardzo dobrze — mu odpowiedziałem — przyjdę inną razą—może jutro lub pojutrze będzie zdrów, i póty będę chodził, aż się z nim zobaczę. Wtedy Jen. Wikary odszedł, a za chwilę zjawia się Biskup, ale prawdziwie że zmieszany (?). Powiedziawszy mu, co wyżej, dodałem: **Oto są moje papiery, niech poświadczą, czy mogę starać się o tutejszą parafię polską**, jak równie oświadczam Pasterzo-

wi, że nigdy i nigdzie nie przyjmujemy missyi **bez poprzedniego porozumienia się z Biskupem,** a nadto, gdzie nas wprzódy nie proszą (?). W końcu rozstaliśmy się nibyto i dobrze. Zobaczymy, co dalej nastąpi. My siedźmy spokojnie, aż nas najpierw zaproszą. Jak uważam, **Biskup nie jest kontent z mojego tu pobytu** — przekona się potem. Ja tymczasem dość roztropnie się ulokowałem, zabrałem znajomość z ludźmi poważnymi, jak książe Sapieha, Dr. Piszczak, bogaty, bogobojny, a nawet i z niektórymi porządnymi familiami Amerykańskimi, gdzie właśnie Biskup bywa. Od wszystkich jestem w pięknem poważaniu i tyle mam zewsząd zaprosin, iż mi nawet nie wystarcza czasu do wizyt. I w tej chwili nie mam spokojności, ledwo pisać mogę, gwar w około i sam muszę mówić i odpowiadać.... Czekam listu z Rzymu, ale prawdziwie nie wiem, gdzie go odbiorę, być może że tutaj, oto adres: Halsted Str., cor Mitchell, Chicago".

HISTORYA POLSKA
W AMERYCE.

Początek, wzrost i rozwój dziejowy osad polskich w Północnej Ameryce (w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.)

Wszechstronnie opisał

X. WACŁAW KRUSZKA,

Autor dzieł: „Rzym", „Hymny Wielkopostne", „Neapol, Wezuwiusz i Pompeji", „O Piękności", „The Unbeliever", „Anarchizm" i t. d., i t. d.

Wydanie poprawione i illustrowane.

TOM IX.

MILWAUKEE, WIS.
Drukiem Spółki Wydawniczej Kuryera.
1906.

NIHIL OBSTAT.

Green Bay, Wis., 31 Julii, 1906.

[Rev.] Ant. Wiśniewski, O. F. M.,

Censor.

IMPRIMATUR

† Seb. G. Messmer,

Archiepiscopus Milwaukiensis.

A.) POLACY W ARCHIDYECEZYI CHICAGOSKIEJ.

1. Parafia św. Stanisława Kostki.

(Ciąg dalszy.)

Biskup nie tylko nie zapraszał do Chicago Zmartwychwstańców, ale owszem „był niekontent z pobytu Zmartwychwstańca w Chicago", pomimo to ks. Bakanowski siedzi tu i — wedle osławionej zasady: cel uświęca środki — porusza wszelkie sprężyny, by osadzić Zmartwychwstańców w Chicago. Pamiętajmy wszakże o tem, że ks. Bakanowski działał na własną rękę, bez pozwolenia Generała, nie winujmy więc całego Zgromadzenia. Dnia 14. Września 1870. pisze ks. Bakanowski z Chicago do Generała „Biskup tutejszy wreszcie przekonał się o mnie, i chętnie zatrzymuje aż do uspokojenia się w Europie (?). I owszem z rozmowy spostrzegłem, że życzy sobie, abyśmy i u Niego pracowali, wprawdzie **jeszcze niewyraźnie**, ale ze wszystkiego **wnoszę**, że wkrótce dowiem się od Niego coś więcej. Pisał do Biskupa w Texas — prosząc o zdanie o nas. Z ks. Juszkiewiczem, **dla przyzwoitości przed ludźmi**, żyjemy najpiękniej, ale to **tylko powierzchownie**.... wkrótce ma opuścić Chicago i może przeniesie się do Texas. Bardzo smutny stał się z nim przypadek. jednej nocy, przez Polaków **zamaskowanych** tak okropnie został zbity, iż ledwo ducha nie wyzionął, dzisiaj leży w łóżku chory. Sprawa

przedstawiona do sądu — **winowajców odkryć trudno.** Potem drogiemu Ojcu zakomunikuję, co Biskup mi powie, tymczasem proszę o pozwolenie pozostania tutaj aż do czasu uspokojenia się w Europie, albo przynajmniej aż do ukończenia rzeczy z Biskupem.... Lud tutejszy bardzo pragnie mnie mieć i już chcieli posłać prośbę, alem im wytłómaczył, żeby dali spokój, bo z tego nic nie będzie, ponieważ już mam miejsce przeznaczone w Rzymie, jednakże **obiecałem im, że kapłana ze Zgromadzenia dostaną** (już!..) Biskup podobnież za mną się oświadczył, ale dla pewnej polityki jeszcze nie wyraźnie.... A może przenieść tu ks. Wieczorka?.. 564 Halsted Str., cor Mitchell, Chicago". A 26. Września 1870. znowu do Generała: „**Jeszcze nie mamy nic pewnego** (a jednak już obiecał był ludziom, „że kapłana ze Zgromadzenia dostaną"). Biskup tutejszy czeka odpowiedzi z Texas, każe mi zatrzymać się aż do pewnej decyzyi. Ks. Juszkiewicz tu nie będzie, najdalej za miesiąc opuści Chicago. Wczoraj, w Niedzielę, było ogólne posiedzenie tutejszego ludu, byłem nań zaproszony, jednozgodnie wszyscy prosili i wołali, żebym z nimi pozostał.... Gdyby w tej chwili nie mieliśmy w Rzymie księdza, możeby X. Wieczorka tu przenieść? Już trzeci list z Chicago posyłam do kochanego Ojca — czekam odpowiedzi. Posyłam moją fotografię z p. Piszczakiem doktorem, a może przyszłym zmartwychwstańcem. Wprawdzie żonaty, ale

ona chętnie mu na to pozwoli. Lat ma 33, skończył uniwersytet we Wiedniu, mają jednę tylko córeczkę lat 9. Dla pewnych powodów już nie mieszkam u ks. Juszkiewicza, ale do 1. Października u tegoż doktora — od 1. będę miał pomieszkanie osobne.... Nie znam X. Wieczorka, więc lękam się jako o śmiało rzuconą propozycyę. Adres: 564 Halsted Str., cor. Mitchell, Chicago". Krótko potem, 30. Września, w dzień imienin Generała: „Obowiązki w Chicago tak mnie powikłały, żem zapomniał o napisaniu powinszowań imienin Najdr. Ojca.... Na wiązanie posyłam miłość synowską **w posłuszeństwie uwieńczoną nowemi zasługami w Chicago.** Parafię tutejszą **niby to już objąłem,** jednak tymczasowo tylko, nim przyjdzie odpowiedź z Texas do Biskupa, a z Rzymu do mnie....".

Tymczasem, w Październiku i Listopadzie 1870., nadchodziły z Rzymu listy, jeden po drugim, od Generała z rozkazem, by ks. Bakanowski czemprędzej opuszczał Chicago, a ks. Bakanowski, nic na te listy nie odpowiadał, tylko udając chorego, siedział dalej u dr. Piszczaka w Chicago, ani myśli o powrocie do Rzymu. O tem dowiadujemy się z listu ks. Wieczorka z Parisville, Mich., 25. Stycznia, 1871., do O. Generała:

„....Ci Szlązacy, ciemny i ślepy naród przynajmniej tu w Ameryce, skrzywdzili cieleśnie ks. Juszkiewicza (osadzonego przez Jezui-

tów z Chicago, przez Morawiaka ks. Szułaka), tak, że musiał opuścić Chicago, i w tym czasie (?) zjawił się ks. Bakanowski i zatrzymali go podobno gwałtem, ci sami co ks. Jana (Wołłowskiego) odepchnęli. X. Bakanowski pisał mi parę razy, że tego a tego dnia będzie u mnie, to zabawi z parę tygodni i dalej do Rzymu: kilka razy wyjeżdżałem naprzeciw niego o 40 mil odemnie, aby nie błądził po borach, ale naprózno. **Posłałem mu Ojca Przełożonego listy** i sam napisałem mu, aby co prędzej wracał do Europy, na co żadnej mi nie dał odpowiedzi. Wiem tylko od Polaków z Chicago tu przybyłych, że mu tam bardzo dobrze i że tam zostanie i jeszcze albo ja albo inny kapłan mu przybędzie do pomocy".... Wreszcie po dwumiesięcznem milczeniu, ks. Bakanowski 1. Grudnia 1870. sam tłómaczy Generałowi, dlaczego rozkazów jego nie usłuchał: „Na tyle listów moich wysłanych z Chicago do Rzymu, nie mam jeszcze żadnej odpowiedzi. Wprawdzie list pod adresem Wieczorka do Michigan posłany, odebrałem, nie mogłem jednak zaraz ztąd wyruszyć: 1) Zachorowałem na oczy, potem dostałem jakąś katarową gorączkę i musiałem mieszkać u Doktora... 2) Wyglądałem i wyglądam odpowiedzi kochanego Ojca, jak mam dalej postąpić z missyą w Chicago. Ks. Juszkiewicz już ztąd wydalony. Ludzie nas bardzo pragną, innych księży wcale nie chcą. **Biskup tutejszy jeszcze nas nie zna** — ja znowu nie ma-

jąc nic pewnego (?) od Czcig. Ojca, tymczasowo tylko zostałem tu do missyi polskiej przyjęty.... **OO. Jezuici mają polskiego kapłana i chcą tę missyę przyłączyć do siebie,** jednakże lud ich nie chce, a osobliwie tego ks. polskiego. Przyznam się, żem inaczej sądził o XX. Jezuitach jak ich tutaj poznałem w Chicago. Za wiele wtrącają się do interesów światowych. Chęć górowania, panowania, własnej chluby, obok dowcipnych i przebiegłych sposobów na korzyść własną, jakże wielkich przyczyną nadużyć, narzekań i szemrań ludzi przeciw nim!... Czekam cierpliwie i spokojnie odpowiedzi. 564 Halsted Str., cor. Mitchell''. Odpowiedź miał już, i to stanowczą, ale ta nie była po jego myśli, więc będzie czekał w Chicago, aż nadejdzie odpowiedź pomyślna. Ale jeśli nie w Rzymie, to przynajmniej w Texas znalazł ks. Bakanowski poparcie. Tak ks. Źwiardowski, C. R., jak i ks. Wincenty Barzyński C. R., radzą Generałowi zatrzymać Chicago, głównie z pobudek ziemskich. „Szkodaby było — pisze ks. Źwiardowski z P. Maryi 8. Grudnia 1870. do Generała — Chicago opuścić, z przyczyny, że więcej tam jest familii w jednem mieście, aniżeli tu w całym Texas. Dla Zgromadzenia wielką pomoc lud tamtejszy ofiaruje, bo kościół z placem i dom jeszcze chcą wybudować i oddać to Zgromadzeniu na wieczne czasy i to prawnie na osobistą własność, co dziś bez domu warto na $15,000. Otóż z tej przyczyny pisałem do O.

Adolfa (Bakanowskiego) ażeby **tam siedział na moją odpowiedzialność**.... Missyonarz musi tu (w Texas) biedę klepać.... Otóż z tej przyczyny proszę i proszę o Chicago.... bo to jedyna Polska Missya, która mogłaby najpewniej Zgromadzenie łatać, a z czasem i nowe habity sprawiać. Otóż na teraz O. Adolf niechby się tam zatrzymał. Ja z życzliwości dla Zgromadzenia i na skrzydłach tambym poleciał.... „In Chicago un Sacerdote buon economo potra dare per la Casa in Roma ogni mese 40—50 scoudi certamente....". A ks. Wincenty Barzyński z San Antonio 16. Grudnia 1870. do Generała: „Piszę i do O. Adolfa, który jest w Chicago i znalazł opatrznościowo miejsce. **Lud ma prawo**, ziemię, Kościół i już jak uznanie od Biskupa **a chce** koniecznie **ten lud**, aby to wszystko przyjęło prawnie i założyło tam swoją stacyę regularną nasze Zgromadzenie. Gdyby tacy ludzie praktyczni jak Ojcowie Starsi a choć jeden, tu przybyli i ład uczynili i założyli dom i osiedli się (foremniej jak missyjka w Texas) to Ameryka umie się opłacać kto umie roztropnie używać darów Opatrzności". Lud ma prawo, lud ten chce nas, — tak mówi ks. Barzyński teraz r. 1870: kiedy chodzi o obsadzenie parafii Zmartwychwstańcem, to lud ma prawo choćby obić i wyrzucić księdza świeckiego; ale kiedy w 4 lata potem ten sam lud na Trójcowie zażąda księdza świeckiego, wtedy, jak zobaczymy, ks. Barzyński

na inną nutę będzie śpiewał niż na „lud ma prawo''.

Pomimo wstawiennictwa XX. Barzyńskiego i Źwiardowskiego, Generał Kajsiewicz 29. Grudnia 1870. wysłał do ks. Bakanowskiego ponowny ordynans: opuścić tymczasem Chicago, aż się na przyszłej kapitule coś pewnego uradzi! Zresztą Chicago zaopatrywać może ks. Wołłowski lub ks. Wieczorek, a ty, księże Bakanowski, wracaj do Rzymu! Na to ks. Bakanowski 25. Stycznia 1871. odpowiada Generałowi, że „zatrzymanie się swoje w Chicago uważa za wolę Bożą''; że „cała polonia tutejsza, z swoim nowym kościołem, miała już runąć i rozsypać się na części'', a on ją uratował; że ks. Juszkiewicz i jezuita ks. Szulak, to łotry i intryganci, „mnie zaś P. Bóg przez rozmaite krzyże i przeciwności w Chicago nauczył świętej praktyki życia apostolskiego''; że „tu pod względem materyalnym nierównie korzystniej niż w Texas'' i „mielibyśmy nie małą stratę opuszczając to, co nas samo (?) się naprasza i narzuca''; że **„na prośby ludu''** pozostał w Chicago i „byłby nawet zawód ludziom, gdybyśmy im na tymczasem, póki na kapitule coś pewnego nie obmyślim, nie dali jakiego z naszych kapłanów.'' „Oni innych nie chcą, tylko Zmartwychwstańców... Wieczorka tu nie radzę, ani też Wołłowskiego, pierwszego dla braku wymowy kaznodziejskiej, drugiego, że prędki i bez ręki... Ks. Felix odpowiedny...

Powtarzam, że Chicago pod względem materyalnym nierównie korzystniejsze niż Texas. Pracy mam tu permultum, całą parafię organizuję na nowo od fundamentu. Różaniec już zaprowadzam. Adres 564 Halsted Str. Biskup tutejszy Zgromadzenia naszego wcale nie zna, w Rzymie nigdy nie był i jakoś bojaźliwie podejrzliwo we wszystkiem postępuje". „Ks. Juszkiewicz okradł parafian na $2,000.... chytry, przez różne protekcye, umiał sobie zjednać Biskupa, pozmyślał nawet tysiąc podpisów w prośbie do Biskupa o pozostanie tu nadal proboszczem. Gdzie trzeba było zjednać sobie przyjaźń pomocą pieniężną, i tego nie opuścił.. Miał on jeszcze do pomocy ks. Szulaka, Jezuitę, ale i ten dostał po nosie, siedzi dzisiaj spokojnie — tylko niekiedy się odezwie do mnie: „tu quis es?" — „Vox clamantis in deserto, sed non sum Christus" — respondi. Żal wielki mnie ogarnął patrząc na taką bezprawość.... i zgorszenie, jakie tu ten kapłan bez sumienia i czoła ludzkiego broił szkaradnie. Zaraz Biskupowi wszystko wyjawiłem, i po zabraniu sprawy przez niego — post factum recognitum — został od wszystkiego usunięty i zasuspendowany in perpetuum. Parafię zaraz po nim objąłem, jednakże warunkowo tylko — secundum quid. Ks. Juszkiewicz jeszcze długo potem po sądach cywilnych procesował się z ludźmi, aż w końcu i tam sprawę przegrał, wskutek czego drapnął ztąd incognito niewiadomo dokąd. Rząd tym-

czasem go poszukuje, ma być karany za krzywoprzysięstwo i za niepokój ludziom najniesłuszniej wszczęty". Wierzyłoby się temu wszystkiemu, co ks. Bakanowski pisze na ks. Juszkiewicza, gdyby tak samo nie złorzeczył świątobliwemu jezuicie ks. Szulakowi. Ks. Juszkiewicz pod koniec tegoż r. 1870. założył pierwszą parafię polską w Mt. Carmel, w Pennsylvanii, gdzie niedokładne jego rachunki spowodowały zawieruchę, wskutek której przybył napowrót do Chicago i — jak pisze nam ks. St. Nawrocki — „zamieszkał u matki aldermana Stan. Kunza. Przez pewien czas odprawiał mszę św. u św. Stanisława, co się nie podobało babom antagonistkom Kunzowej. Dokazały tyle, że ks. Barzyński raczył osobiście w domu Kunzowej zakazać mu Mszy odprawiać u św. Stanisława, za co go ta ostatnia obelżywemi słowy znieważyła. Niedługo potem ks. Juszkiewicz umarł. Taż Kunzowa pochowała go najpierw na polskim cmentarzu, a potem kazała skopać i przewieść na niemiecki cmentarz św. Bonifacego, gdzie już nie wiem, czy ma pomnik czy nie"....

Łatwo młodemu zalotnikowi odbić młodą żonę staremu mężowi. Łatwo było 30-letniemu ks. Bakanowskiemu odbić młodą parafię 60-letniemu ks. Juszkiewiczowi, ale nie tak łatwo było uzyskać ślub kościelny z tą parafią. Generał kazał ją opuścić, a Biskup patrzał na młodego kandydata „jakoś bojaźliwo podejrzliwie", jak sam ks. Bakanowski się wyraża w li-

ście 25. Stycznia 1871. Że w tę młodą parafię, mającą być największą w Ameryce, młody i energiczny ks. Bakanowski mógł wlać i wlał więcej życia i siły, niż stary ks. Juszkiewicz, to nie ulega wątpliwości. I pod tym względem przyjazd ks. Bakanowskiego do Chicago można nazwać „opatrznościowym", jak go nazwał i ks. Barzyński 16. Grudnia 1870. Jeżeli każdą, to tą tu w szczególności opiekował się P. Bóg parafią, która miała wyrość na największą i naczelną w Ameryce. Wprawdzie zatrzymanie się ks. Bakanowskiego w Chicago działo się wbrew woli Generała i Biskupa, więc było **złem** — jakżeż tedy możemy upatrywać w tem Opatrzność Boską? zapyta czytelnik. Na to odpowie nam katechizm: „Złe **dopuszcza** Pan Bóg, bo dał człowiekowi wolną wolę i **umie złe na dobre obrócić**". Albowiem myśli moje nie myśli wasze, ani drogi wasze drogi moje, mówi Pan (u Izajasza 55,8). Widzieliśmy już w liście P. Kiołbassy 6. Maja 1869., co myśleli o Polakach Wikaryusze chicagoscy, „jeden chce nas przyłączyć do Irlandczyków a drugi znowu do Niemców"; Biskup też myślał, że nawą przyszłej największej parafii polskiej w Ameryce, może pokierować byle jaki staruszek, bo polska narodowość w Ameryce skazana na zagładę. A nie inaczej myślał o nas nawet nasz rodak Generał Kajsiewicz, jak to widać z listu ks. Bakanowskiego 25. Stycznia, 1871. do Generała: „Co do zdania dr. Ojca, że **tylko sta-**

rzy potrzebują polskich księży, młodzi umieją po angielsku i niezadługo zostaną amerykanami — niezupełnie je podzielam. I owszem tu wśród obcych, narodowość każda bardziej się obudza, — dzieci wszędzie przy polskim kościele mają polskie szkoły, uczą się naprzód mowy polskiej, a potem dopiero angielskiej. I ci co już tu od lat 20 i wyżej, szukają polskiego kapłana..... Niektórzy tak są przywiązani fanatycznie do swojej mowy, że kiedy dziecko nie może nauczyć się wprzódy po polsku, to go nawet wcale nie poszle do szkoły angielskiej, bo, mówi, że przestanie być katolikiem, ...lękają się amerykańsko-katolickiej wiary. Po drugie, emigracya nigdy się nie kończy, bez przestanku nowy transport przypływa, a dla tych angielszczyzna zawsze obcą. Niedawno byłem w South Bend, Ind., dawałem tam missyę 75 familiom polskim, nowoprzybyłym z Europy, ci nawet do kościoła nie chcieli chodzić z przyczyny, że nie ma polskiego księdza. **Polska tu nie zaginie,** i owszem w tym czasie bardziej odżywia, dziennik „Orzeł Polski'' wiele ku temu pomógł i pomaga dość chlubnie''.... Więc i ks. Kajsiewicz myślał, że narodowość polska w Ameryce skazana jest na wymarcie, i dlatego, tak on jak i jego następca Generał Semeneńko, traktowali ją po macoszemu. Ale inaczej myśli Pan Bóg, którego właśnie dziełem są narodowości rozmaite. Opieka Boska nad polonią w Chicago, która miała być centrum i ogniskiem polonii

w Ameryce, jest najwidoczniejszą, pomimo, a raczej właśnie dla tych, licznych ułomności ludzkich. Narodowość polska, jako dzieło rąk Bożych, Bożej też opieki nigdy pozbawioną nie będzie; a wśród nieudolności i nieopatrzności ludzkiej tem jaśniej w dziejach ukazuje się nad nią Opatrzność Boska.

Ks. Bakanowski, pełen młodzieńczej siły i ognistej fantazyi, życie amerykańskie bardzo polubił. Do starego kraju, ani do Rzymu, za nic w świecie wracać nie chciał. Wiemy, że kiedy go Generał powołał do Rzymu, ani z biednego Texasu ruszyć się nie chciał; dopiero gdy od p. Kiołbassy usłyszał o 500 familiach w Chicago, wyruszył z Texasu niby w drogę do Rzymu, ale z tą pewną nadzieją, że gdzieś w drodze ugrzęźnie. I ugrzązł w Chicago. Stąd ani stu wołami wyciągnąć go nie było można, a cóż dopiero rozkazami Generała. W Chicago czuł się w swoim żywiole: dla swej natury żywej i ruchliwej znalazł tu obszerne pole działalności. Minął rok 1870, minęła owa obawa jego przed wojną, minął Styczeń i mijał Luty r. 1871., a on siedział, rzekłbyś, przed drzwiami kościoła, nie instalowany jeszcze na proboszcza. Dopiero 21. Lutego 1871. donosi wesołą nowinę O. Generałowi: „Tylko co wróciłem od Biskupa, kazał mi napisać do koch. Ojca, że żąda najprędzej ks. Zmartwychwstańców do missyi polskiej, i nie mniej nad dwóch. Czekać do kapituły naszej, bez księdza dla Polaków, nie obie-

cyje. Gdyby tak było, że O. na to się zgodzi proszę napisać do tutejszego Biskupa po francusku..... 564 Halsted Str.'' A 6. Marca 1871 do Gen.: „Ojcowie niech przybywają śmiało, Biskup oczekuje, i właśnie z radością, że Zgromadzenie obejmie tę missyę. Żal poczciwego ludu w Texas, ale próżne względy podobne, Zgromadzenie ze wszech miar korzystniejsze ma stanowisko w Chicago. Tu kraj i ludzie, tam sama dziczyzna i zwierzęta.... Proszę o prędszy rezultat, missyę tutejszą brać jako podarunek boży''.... 8. Marca 1871 dodaje: „raptem Texas opuścić, byłoby to niemałem zgorszeniem ludziom słabej wiary i.... źle patrzą na to tutejsi Biskupi.... Jak może im tam w Texas przeszkadzać Orzechowski i Śnigurski, tego nie rozumiem. Sami przecież objąć całą missyę w Texas nie mogą.... i cóż Biskup teraz może myśleć o nas! **Sami nie możemy, drugich do pomocy nie potrzebujemy!**''.... To i w Chicago Zmartwychwstańcy robili: sami nie mogli podołać pracy, a świeckich księży do pomocy nie potrzebowali. „Robić (tu w Chicago) kontraktu z ludźmi, nie przystoi wobec Biskupa, on sam powiedział, że Zgromadzenia żąda i o utrzymaniu nie wątpi. Dodał, że wkrótce potem zażąda polskich zakonnic i postara się o zbudowanie dla nich domu.. Można rachować około $3,000 — a jak szkołę założą, pomoc się wzmocni. Zaręczam, jeśli Bóg nam pozwoli życia, **będziem widzieli**, i nie-

zadługo, **Chicago najsławniejszem miejscem dla nas**.... OO. Jezuici pokonani. Sam Biskup kazał im siedzieć w swojem miejscu i do polskiej missyi nosa nie wtrącać. Od początku przeciw nam pracowali.... Wszystko pokonane i nasza sprawa wygrana świetnie. 564. Halsted Str.". Z Texas ciągle szły listy błagalne do Generała o zatrzymanie Chicago. Ks. Źwiardowski, po naradzie z ks. Barzyńskim, 25. Lutego 1871. pisze z P. M. do Generała: „Uważamy za stosowne prosić, aby **Chicago** jako uważane na przyszłość za **Spichrz żywności** dla Zgromadzenia, nie było opuszczone".

Nareszcie i Generał Kajsiewicz, temi ustawicznemi prośbami zmiękczony, przyjechał na wiosnę r. 1871. sam do Chicago i zgodził się na pobyt ks. Bakanowskiego w tem mieście. Dnia 18. Czerwca 1871. nastąpiło poświęcenie kościoła św. Stanisława K., przez biskupa Foley. „Kościół ten — pisze ks. Kajsiewicz — jest 95 stóp długi a 40 szeroki, kosztował $16,000" (w innym liście pisze, że $18,000; był on ten sam kościół, o którym P. Kiołbassa 17. Września 1869. pisał, że ma kosztować $6,885). „Za taką cenę możnaby było w tym kraju nawet coś obszerniejszego i okazalszego wybudować, ale wielu było radców, wiele nianiek, więc też dziecko słabowite; główna rzecz wszakże, że już jest". Przy poświęceniu kościoła „imponujący pochód z 5 kapłanów i 11 marszałkami na koniach składało 8 bractw w liczbie 2,200

mężczyzn", „mszę wykonała muzyka kościoła św. Wacława, ze zwykłem Czechom mistrzostwem, po Mszy nastąpiło bierzmowanie 300 osób". „Ks. Bakanowski odwiedził już 5 stacyi polskich poza miastem, do jego parafii należących (South Bend 75 familii, Laport 50, Peru 30, Momence 15, Lemont), naturalnie, że długo sam jeden pracy takiej podołać by nie zdołał, da Bóg rychło mu się przyśle pomocnika". „Ludzie — pisze dalej ks. Kajsiewicz — chcący Polski bez Kościoła (rozumiej: bez Zmartwychwstańców!) robili wszystko co mogli, aby się parafia polska nie zawiązała (rozumiej: pod protekcyą Zmartwychwstańców!) i protegowali złych księży (rozumiej: nie-Zmartwychwstańców!), których się mnóstwo po Stanach Zjednoczonych włóczy". A więc nie brakło wówczas księży, było ich mnóstwo, ale ci mieli to nieszczęście, że nie należeli do Zmartwychwstańców, dlatego byli źli. Jakżeż inaczej to rozumieć, skoro nawet księża Jezuici, dlatego, że nie tańczyli jak im Zmartwychwstańcy zagrali, należeli do kategoryi złych. Powtarza się więc tu w Chicago ta sama historya co w Texas: jak tam tak i tu Zmartwychwstańcy „sami nie mogą a drugich do pomocy nie potrzebują"; jak w Texas tak tu **w całem Illinois** chcą mieć jurysdykcyę nad wszystkimi księżmi. „Otóż kościół w Chicago, plebania i szkoła wykończona zupełnie — pisze ks. Bakanowski 21. Czerw. 1871., do ks. Semeneńki—

dzieło dla Zgromadzenia otwarte i rozpoczęte. Biskup tutejszy na pewno myśli, że Zgromadzenie nasze już nie opuści Chicago. Tyle od początku pracowałem, wśród tak licznych przeszkód, że wszyscy na pewno mówili: z Polaków tutejszych nic nie będzie, tylko zgorszenie rośnie, a Biskup nawet mówić i słyszeć o nich nie chciał. Teraz dopiero im wszystkim oczy się otwarły, i rzekło wielu Biskupowi: Chyba, i to tylko Zmartwychwstańcy potrafili i potrafią tym ludem zarządzić. **Są tu Jezuici,** mają księdza polskiego, ten kilka razy **od klasztoru i Biskupa do Polaków był posyłany,** dla porozumienia, tymczasem zamiast lepiej zawsze było gorzej, a w końcu już bał się im pokazać. Ja zaś kiedy otrzymałem zarząd od Biskupa nad tym ludem, i to tylko dla próby ironicznej, zaraz żądałem, żeby nikt, **a najbardziej od ks. Jezuitów,** nie wtrącał się do moich interesów, do polskiej parafii. Biskup rzeczywiście zakazał, i po dziś dzień nieprzychylnych mam dla siebie OO. Jezuitów, i to tak bardzo, że nawet pokazują na zewnątrz swoją nieprzyjaźń. Raz jeden z nich, nawet mnie z ironią uszczypnął: „Tu quis es?" Nic mu nie odpowiedziałem tylko: „Vox clamantis in deserto — parare viam Congregationis meae". Pisałem do O. Jana Wołowskiego, żeby przyjechał mi pomódz, bardzo wiele mam pracy. Adres: Bradely Corner Noble Str., N. 49. West Side" (dom Pisczaków już opuścił.). Z następnego listu

dowiemy się, czem właściwie sobie skaptował Biskupa, który przecie z początku wcale się nie zachwycał jego pobytem w Chicago; oto skaptował sobie biskupa tem, że wymógł na ludzie, że **własność kościoła i plebanii przysądzono biskupowi,** czego Jezuici byli nie uczynili bo „niewierzyli nawet biskupowi". Pisze ks. Bakan. pod koniec Czerwca 1871. do Generała (bawiącego w Kanadzie): „Biskup chorował po naszej uroczystości (poświęcenia kościoła), tak się zfatygował.... Dziękował mi jeszcze u siebie za ten cały porządek wprowadzony do parafii polskiej. „Na pewno — mówił dalej — już Polaków miałem za straconych". Dowie się drogi Ojciec tutaj, ile i jak rozmaitych starań łożyłem, nim dostałem od ludzi **prawo** kościoła i domu. Od dwóch lat już pracowali nad tem Jezuici i nie mogli go dostać. Oni tu wszystko robili sądownie na swoje imię. Nie wierzyli nikomu, ani nawet Biskupowi. **Ja tak byłem pewny wygrania swojej sprawy,** żem już naprzód pisał do Ojca o wzięciu Chicago, choć przed wszystkimi zatrzymałem to w tajemnicy — aż do wzięcia prawa w swoje ręce. Dopiero miesiąc przed święceniem wszystko sądownie zapisali Biskupowi, i zaraz Mu sam zaniosłem. Winszował z podziwieniem, **nieprzyjaciele zamilkli,** a OO. Jezuici tak nam są nieprzychylni, że nawet to okazują na zewnątrz.... **Nie wolno dziś nikomu wtrącać się do missyi polskich w całem Illinois** — już 3 pol-

skich księży tu się zgłaszali, ale wszystkich Biskup pokwitował: „niepotrzebujemy nikogo”. Jezuitom podobnież zakazał się wtrącać. Był tu ks. Masulewicz, mówił że zna naszych Ojców, jakże on starał się tu pozostać, ale Biskup nie chciał ani słyszeć o tem. Najdroższy Ojcze, tutejszy Biskup to nie texaski, na nim zupełnie we wszystkiem można polegać.... O missyi czeskiej w Chicago nie myślimy — mają swoich kapłanów i dość porządnych”.

Otóż powyższy list wyjawia nam to, co dotychczas było ukryte, to jest przyczynę, dla której Biskup Chicagoski, który z początku ks. Bakanowskiemu wręcz oświadczył: „Jestem z ks. Juszkiewicza zadowolony i nie chcę innego księdza” — później tolerował go, a wreszcie zgodził się na jego pobyt w Chicago. Przysądziwszy irlandzkiemu biskupowi własność parafii polskiej, ks. Bakanowski miał teraz pewny grunt pod nogami i mógł już śmiało marzyć o panowaniu Zmartwychwstańców nie tylko w Chicago, ale i „nad całem Illinois”. A nie tylko nad Illinois. Poznawszy raz słabą stronę amerykańskich biskupów, ks. Bakanowski sięgnął po panowanie nad Indianą i nad Michigan. „Dziś wróciłem z Detroit — pisze 22. Listopada 1871. do Generała — widziałem się tam z Biskupem i oto: wola Biskupa stanowcza mieć w Detroit XX. Zmartwychwstańców. Świeckich księży nie chce. Missya w Detroit, 350 familii, równa się Chicago-

skiej, w około pełno kolonizacyi polskich: Wyandotte, Bay City, Grand Rapids, Coldwater itd.'' Teraz ks. Bakanowski nie potrzebuje już więcej łaski przyjaciół i przyjaciółek w Chicago, zrywa nawet z Piszczakami, a natomiast 22. Czerwca 1871. przybywa P. Kiołbassa z Texas i osiedla się na stałe w Chicago. „Rozpocząłem nowe walki —pisze ks. Bakan. 7. Lipca 1871. — dotychczas biłem się z jawnymi nieprzyjaciółmi, teraz z przyjaciółmi, nawet i z Piszczakami. Ci na konto dobrej znajomości poczęli mi przepisywać prawa w postępowaniu z ludźmi, zwłaszcza ona, chociaż wychowana w klasztorze, ale ambitna in summo gradu, moja penitentka. Poczęła się wychwalać, jak ona broniła nasze Zgromadzenie, ile przyczyniła się, że tu jesteśmy itd. Mam tu jeszcze innych przyjaciół.... z Kongressowej i z Poznania, noszą tytuł „Gmina Polska'', sami massoni, w łyżce wody by nas utopili. Oni to chcieli zabić X. Wołowskiego i tryumf obchodzili, że już na zawsze Zmartwychwstańców wygnali. A oto zjawił się nowy, i wezwał znowu do walki. „Oni to **„lud namawiali, żeby nie dawać prawa kościoła Biskupowi,** tem mniej Zmartwychwstańcom''. „Nie wątpię o tem, że Biskup tutejszy odda nam tę missyę, bo czyż nie słusznie nam się należy! Dobijałem się o nią, bo było i jest o co, ta dopiero nas wesprze niemało. Chicago razem z pobliskiemi missyami przyniesie nam napewno $2,500. Polonia w Chi-

cago zwiększa się bez przestanku, dzisiaj ledwo niepołowa nie ma miejsca w kościele. A ileż jest tutaj Polaków zimnych i obojętnych dla kościoła, rachują na 100 familii.... P. Kiołbassa pozostaje tutaj, wybrany na prezydenta Towarzystwa Kostki", zakłada księgarnię. „Spodziewam się bury kapitalnej od koch. Ojca za zmarnowanie finansów, wprawdzie **nie zmarnowałem**, ale **bez żadnej ekonomii szafowałem**". Dnia 5. Sierpnia 71. do Generała: „Gdyby się udało mieć domy w Chicago i w Detroit, moglibyśmy całej północnej stronie Stanów Zjednoczonych zadość uczynić. I znowu pokusa opuszczenia Texas. Niech koch. Ojciec jeszcze pomyśli przed Panem Jezusem, a może zdecyduje się opuścić Texas na zawsze. Niech tam sobie Biskup protestuje. W Texas teraz gorzej niż na początku: początki tam były **lepsze, że się długi robiły**, a dzisiaj trzeba spłacać, kredyt zmniejszony.... Chicago pod każdym względem lepsze niż cały Texas. W przeszłym miesiącu miałem przychodu $214, rozchodu $321...." Oto zarysy przyszłej gospodarki ojców w Chicago!

III.

Barzyński pierwszy raz w Chicago r. 1871. — Bakanowski proboszczem dopiero 3. Października 1871. — Pożar Chicago. — Kontrakt z Biskupem na 99 lat. — Biskup ma ręce związane a Zmartwychwstańcy wolne. — Napływ Polaków ogromny. — Uchwalono r. 1872. budowę drugiego kościoła. — Cmentarz. — Mianowanie Niemca prowincyałem oburza ojców polskich. — Energiczny protest Bakanowskiego. — Dwulicowość ojców texaskich. — Bakanowski w Maju 1873. posunięty i usunięty.

Generał Kajsiewicz, po opuszczeniu Chicago, chciał i Texas zwiedzić. Tymczasem ks. W. Barzyński uprzedził go, sam przybył na północ i wytłómaczył Generałowi, że nie ma po co jechać do Texas. „Przybyłem do zimnego Chicago, ale do gorących serc'' — pisze 30 Sierpnia 1871. ks. W. Barzyński. U dr. Piszczaka „piję rybi olej z wiską, parową maszynką się kuruję'' — a pomimo słabości piersiowej spowiada, w niedzielę po 2 kazania prawi, ma kazania na prymicyach ks. Kończa w Milwaukee w Listopadzie 1871. itp. Atoli nie zaczęły się jeszcze wtedy rządy ks. Wincentego w Chicago, jak to mylnie sądzi ks. St. Siatka C. R., w swojem „Krótkiem Wspomnieniu'' (str. 17.). Generał pozwolił mu tylko na kilkumiesięczny wypoczynek w Chicago, a potem odesłał go napowrót do Texas — pomimo, że jeszcze 31. Października 1871. ks. Bakan. pisał do Generała: „Spodziewamy się 3 księży: Horbaczewskiego, Klawitra i Józefa Barzyńskiego; czy nie byłoby

dobrem, dać im Texas, a naszych stamtąd wycofać?"....

Ks. Bakanowski odebrał od swego Generała formalne zatwierdzenie na proboszcza w Chicago dopiero 3. Października 1871. Zaraz potem, w nocy z 7. na 8. Października, wybuchł w Chicago ów straszny pożar, o którym ks. Barzyński ze strachem pisze, że „prócz Sodomy, Gomory i zburzenia Jerozolimy, świat coś podobnego nie widział. Bogu dziękujemy, że nas wybawił od tej strasznej kary sodomskiej — tylko 50 familii polskich zgorzało. Drugi naoczny świadek pożaru, ks. Generał Kajsiewicz, tak go opisuje: „Gęsi zachowały Rzym — krowa zgubiła Chicago. Chłopak czeski doił krowę w oborze pełnej trzasek; krowa kręcąc się przewróciła lampę i zapaliły się wiory. Drewniane domki czeskie rychło zgorzały. Wiatr się zmienił o pół do 10. i popędził płomienie ku rzece; i przeniósł je za rzekę do bogatej strony miasta między dwoma ramionami rzeki i jeziorem; gdyby się wiatr nie był zmienił, cała część drewniana miasta i kolonia polska z nią, w jednej chwili byłaby poszła z dymem.. Gdy się nadto gaz zapalił i polał dachy, największe kamienne gmachy jak: Courthouse, Post Office itd. paliły się jak drewniane domki. Pozajmowały się spiritusy, kamfina itd. Z wieży naszego kościoła widziałem ogień, który jak wały wzburzonego morza podnosił się wysoko w górę, a potem rozlewał się na prawo i na lewo.

Zaczęto minami wysadzać całe zabudowane kwadraty (bloki), by przerwać przypływ tego morza płomiennego; ale i to napróżno; wicher zapalał kilka ulic naprzód.... Niejednemu się zdało, że się świat cały palił. Jedni z przerażenia, drudzy z rozpaczy, że wszystko stracili, rzucali się do rzeki lub jeziora. Mosty się zajęły, lub skręcone zostały na środek rzeki, aby się nie zajęły. Tłoczono się po ciemku (bo gazu już nie było) pod tunele rzeczne. Sparły się wozy i ludzie; krzyk, płacz, złorzeczenie, kaleczono się, zdeptywano na śmierć. Do tego przyłączyli się złodzieje i rzezimieszki. Professyoniści z New Yorku i innych miast przybyli pospiesznymi pociągami obłowić się w mętnej wodzie. Z palącego się więzienia wypuszczono wszystkich. Byli i złodzieje przebrani za policyantów. Do tego rabusie podkładali ogień, kilku ich powieszono na latarniach. Żyda, który w polskiej dzielnicy tę operacyę odbywał, kijami i siekierami na miejscu zgładzono. Naczelnik policyi w drukowanem ogłoszeniu dał na to pozwolenie, bo generał Sheridan, przybyły z wojskiem ze St. Louis, stan wojenny później dopiero ogłosił. Co do naszych Polaków, na 9 członków gminy, pięciu się spaliło. P. Dziewior, teść p. Kiołbassy, 5 domów stracił; ucierpiała też pewna liczba naszych wyrobników, którzy się potem schronili do szkoły polskiej pod kościołem. P. Majewski, emigrant z 1830. r., stracił dwoje dzieci i trzy wnuczki.

Inny Polak z Warszawy dwoje dzieci. Książęta Sapiehowie (bankierzy) nic nie ucierpieli; ogień zatrzymał się na kilka domów przed ich mieszkaniem. Sto tysięcy osób zostało bez dachu, najwięcej Niemców i Skandynawów na North Side. Ogień szalał na przestrzeni 4½ mili wzdłuż i przeszło pół mili wszerz. Znikło 18,000 budynków, a z tych 15,000 handlowych i przemysłowych. Stratę obliczają na 300 milionów dolarów". (Listy str. 371—6.)

Po pożarze, ks. Bakan. 22. Listopada 1871. donosi Generałowi, który już powrócił był do Rzymu: „Umowa nasza z Biskupem spaliła się. Teraz proszę przysłać nową, tem bardziej że po kapitule, więc może być inaczej". A 9. Stycznia 1872.: „Chicago nie upada, ale podnosi się znacznie; handel jest większy niż był przed ogniem, a za lat parę obiecują pochwalić się tem miastem w piękniejszem stroju, niż przedtem". Zaś 1. Lutego 1872.: „Oto kontrakt ułożony przez samego Biskupa, nie widziałem potrzeby dodać co więcej, kiedy Chicago i cała missya nam oddana, oczywiście, że **innych księży do tej missyi Biskup przyjąć nie może.** Jeden punkt może być z czasem dla nas pomyślny. Oto że dla słusznych przyczyn możemy kontrakt zerwać. Proponując to Biskupowi, myślałem o naszej kochanej Polsce, przyjął i zatwierdził". Biskup tym kontraktem zobowiązał się na 99 lat, a Zmartwychwstańcy? Pisze ks. Bakanowski 22. Lutego 1872: „Posy-

łam kontrakt, jak się zdaje, favorabilis na obie strony. Chociaż na czas dość długi, ale dla słusznych przyczyn możemy zerwać, nie ma strachu. Z Biskupem stoję bardzo dobrze, właśnie przy podpisaniu kontraktu winszował mi 90 lat życia i żebym tu na zawsze pozostał". Biskup, jak zobaczymy, dotrzyma tego kontraktu, zanadto literalnie i nie dopuści do Chicago żadnego księdza, którego Zmartwychwstańcy nie będą sobie życzyli; a Zmartwychwstańcy jak się będą zapatrywali na ten kontrakt, to pokazały nam już powyższe słowa ks. Bakanowskiego. Biskup miał mieć związane ręce, a oni wolne. Zobowiązali się tym kontraktem dostarczyć księży tyle, ile potrzeba będzie, a czy dostarczą? Swoich nie będą mogli czy nie będą chcieli dostarczyć, a obcych nie dopuszczą.

„Nowa polonia — pisze ks. Bakanowski 12. kwietnia 1872. — do Chicago napływa kupami, kościół nasz już za mały. Wkrótce będę myślał o nowym". Jakoż latem r. 1872. zwołał mityng w celu naradzenia się, co robić, czy budować drugi kościół, czy też istniejący powiększyć. Były w łonie parafii dwa towarzystwa, jedno stare Kostki (od r. 1864.), drugie nowe Towarzystwo św. Józefa, założone w Lutym r. 1871., składające się z młodszych emigrantów, a noszące w swem łonie, acz bezwiednie, zarodek przyszłej parafii św. Trójcy. Otóż na tym mityngu właśnie członkowie Tow. św.

Józefa nie myśleli wcale o drugim kościele, lecz owszem radzili istniejący powiększyć; atoli starsze — Towarzystwo Kostki, było temu przeciwne, podając od siebie projekt nowego kościoła i rozumując tak: „Kościół św. Stanisława dla nas, którzyśmy go zbudowali, jest dosyć duży. Przytem, dopiero cośmy go wykończyli i mamyż go znowu rozrywać, rujnować, burzyć? Lepiej niech Towarzystwo św. Józefa pobuduje sobie nowy kościół''. I tak za zgodą parafian i ks. Bakanowskiego uchwalono budować drugi kościół, ów sławny w dziejach kościół św. Trójcy, który, jak zaboczymy, przez 20 lat następnych stał Zmartwychwstańcom kością w gardle.

Polakom w Chicago było dobrze, bo mieli pracy poddostatkiem w North Western Iron Foundry (lejarni żelaza), w McCormick Factory itd. Przybywało ich coraz więcej i—rzecz prosta — umierało ich coraz więcej. Okazała się więc potrzeba własnego cmentarza, i oto czytamy w nowojorskiej „Swobodzie'' (Chicago jeszcze nie miało gazety polskiej) pod datą 18. Października 1872: „Otrzymaliśmy wiadomość o poświęceniu nowonabytego w pobliżu (o 10 mil!) Chicago gruntu w ilości 21 akrów na cmentarz polsko-czeski. Za grunt zapłacono $5,500. Processya składa się z gwardyi polskiej, której dowódzcą był major Zaręba, z towarzystw Kostki, św. Józefa i św. Wojciecha, i z czeskich, w 20 powozach; na cmentarzu

mieli mowy ks. Bakanowski po polsku i ks. Wilhelm Czoka po czesku".

W tymże roku zaszedł wypadek, który niemało napsuł krwi ks. Bakanowskiemu. Otóż z wiosną r. 1872., na kapitule OO. Zmartwychwstańców w Rzymie, postanowiono utworzyć osobną prowincyę zakonną w Ameryce. Prowincyałem, ma się rozumieć, został Niemiec ks. Eugeniusz Funken, rezydujący w Kanadzie. Tego się nie spodziewali Ojcowie polscy. Jeszcze 12. Kwietnia 1872. pisał ks. Bakanowski do Generała: „Zapewne już musi być po kapitule, spodziewamy się teraz nowin z Rzymu". I oto nowina o zamianowaniu prowincyała Niemca przychodzi od ks. Piotra Semeneńki, któremu też ks. Bakanowski 12. Lipca 1872. tak odpowiada: „Mam prosić Pana Jezusa o cześć i szacunek dla O. Funkena. Gdyby podobna sprawa nie była tak wielkiego waloru, zapewne zacząłbym tę modlitwę od śmiechu, i na śmiechu bym skończył, ale gdy jest sprawą sumienia, przeto jako gwałt moralny, odrzuciłem zupełnie. O O. Funkenie tak nisko trzymam, iż ledwo cierpię jako członka z naszego Zgromadzenia. O, jakież brudy słyszałem o nim od samego O. Jenerała!.... tego nigdy znieść nie mogę, aby podobny infamis nami rządził. Składając wota Zgromadzeniu, myślałem, że to Zgromadzenie polskie, gdzie zwierzchność polska i cel główny polski.... Oto Zgromadzenie polskie! jaki piękny wzgląd

na nas Polaków! Od 6 lat już pracujemy w Ameryce, o gorliwości naszej mogą poświadczyć nasi Biskupi, i tyleśmy u was zasłużyli, nasi Ojcowie, że oto poddaliście nas i naszą pracę pod niemców i jeszcze takich, a z nas żaden nie był godzien zostać choćby najmniejszym radcą owego prowincyała! Niniejszem tedy protestuję przeciw podobnym rządom i posłuszeństwo Funkenowi wypowiadam. O, dla Boga! nie nadużywajcie Swojej tak wielkiej, jaką macie u nas, powagi! my temu nie wierzymy i wierzyć nigdy nie chcemy".... Do tego dołączony i protest ks. Wołłowskiego i ks. Wieczorka. A i z Texas pisze ks. Winc. Barzyński 21. Sierpnia 1872. do Generała: „O. Felix dał sobie choć powierzchownie wytłumaczyć, że Prowincyał może być jakiejbądź narodowości, ale żeby niemiec miał być curatus polskich ludzi, tego nigdy nie chce zrozumieć; a i ja na razie tego zrozumieć nie mogę...." Ks. Bakanowski 15. Lipca 1872. jest w Detroit, skąd posyła O. Funkenowi zawiadomienie: „...Posłałem do Rzymu protest przeciw zamianowaniu Ciebie na prowincyała. Życzę bardzo, byś odłożył swoją urzędową wizytę do Chicago. Bo obawiam się, że taka wizyta mogła by mieć bardzo nieprzyjemne następstwa tak dla mnie jak i dla Ciebie. Dopóki nie uznam Cię za prowincyała mojego, nie mogę Cię przyjmować inaczej jak tylko jako prywatnego członka naszego Zgromadzenia". A 18. Lipca z Chicago

do ks. Semeneńki: „Wczoraj wróciłem z Detroit, dziś dołączam, że pozostaję przy tem samem (proteście), i spokojniej jeszcze, bo z zatwierdzeniem spowiednika. Tak jestem stały, że ryzykuję się na wydalenie ze Zgromadzenia. Felix i Wincenty ślepo idą i pójdą za zdaniem mojem. Wyznaję jeszcze raz, żem ich wcale do tego nie namawiał. O. Funken powszechnie nie lubiany. Będąc w Detroit dowiedziałem się od O. Jana o proteście OO. Eleny i Fennessy. Macie oczywisty dowód, iż nie jest to żadną narodową antypatyą”. I znowu 29. Lipca do O. Funken: „Oczekuję decyzyi z Rzymu, i upewniam Cię, że jeżeli to rozporządzenie nie będzie zmienione, nas pięciu Polaków wystąpi ze Zgromadzenia”. Ks. Funken z St. Agatha 6. Sierpnia 1872. pisze nie bez obawy do Generała: „Zdaje mi się, że ks. Jan Wołłowski jest duszą tego protestu; o ks. Bakanowskiego boję się; o ks. Wieczorka nie tak bardzo, do niego dziś będę pisał. Niech O. Generał pisze natychmiast do texaskich Ojców, żeby ich ratować; gdyż myślę, że ci drudzy na nich wpłyną”. Atoli ten zapał narodowy Ojców polskich wnet ostygł, solidarność polska pękła wnet i ks. Bakanowski widząc, że opuszczony przez innych Ojców sam tylko pozostał na placu boju, złożył broń i poddał się Niemcowi. Dnia 12. Grudnia 1872. pisze do Generała: „Naprzód pokornie przepraszam za tak długie milczenie, żem nic dotychczas nie odpisał na listy

Czcigodnych Ojców..... Całem sercem, całą moją istotą byłem i jestem Zmartwychwstańcem. Nigdy nie myślałem o wystąpieniu z uczuciem znalezienia prawdy życia dla siebie poza obrębem naszego Zgromadzenia.... Pokochałem Zgromadzenie jako jedyny wybrany przedmiot na świecie.... I dziś jestem tego zdania, że siła Zgromadzenia leży w posłuszeństwie.... Co się tyczy płonnej nadziei mojej na prowincyała, przyznam się, że za nią nigdy nie goniłem, lubo przykro mi bardzo, że żaden z Polaków nie należy do rady.... Z żalem serca wyznaję, że **księża w Texas odegrali przedemną rolę kompletnych faryzeuszów.** Mam ich listy u siebie, w których tak szczerze z miłością wypisywali, że w ogień i wodę na ślepo pójdą za mną, tymczasem od drog. Ojca słyszę zupełnie co innego. Po tych wszystkich aferach, dr. Ojcze, w walce jestem ciągłej, smutno mi zawsze. Do Kanady nie mam zaufania, do texaskich żal, że faryzeusze.... Tymczasem posyłam moją obedyencyę... Do O. Funkena jednak posłuszeństwa od siebie nie poszlę, niech o tem dowie się z Rzymu". Atoli Rzym kazał mu się poddać wprost O. Eugeniuszowi Funkenowi, gdyż 28. Lutego 1873. ks. Bakanowski z rozpaczliwą rezygnacyą pisze do Generała (nie wiedząc, że już Generał wtedy nie żył): „Mam więc poddać się zupełnie i to wprost od siebie napisać o tem do O. Eugeniusza..." Generał Kajsiewicz widocznie z bólem serca do-

magał się takiego upokorzenia, gdyż krótko przed swoją śmiercią ks. Kajsiewicz, jakby wyrzuty i sobie i ks. Funkenowi czyniąc, pisał w Lutym r. 1872. do O. Funkena te słowa: „a cause de Vous nous avons risque's de perdre tant de Vous!" (z powodu Ciebie zaryzykowaliśmy stratę tylu Ojców!)

Dnia 26. Lutego 1873. umarł w Rzymie Generał Kajsiewicz. Zewsząd podążeli Ojcowie do Rzymu dla obrania nowego Generała. Zaszczyt delegata z Ameryki przypadł właśnie na ks. Adolfa Bakanowskiego. A o ten zaszczyt postarał mu się właśnie jego wróg O. Funken. „Posunąć go, aby go usunąć". „Byłem tutaj wczoraj u Biskupa — pisze z Chicago 22. Maja 1873. prowincyał Funken — aby mu zakomunikować wybór ks. Bakanowskiego na „Delegatus Domus". Była to świetna okazya do wycofania ks. Bakanowskiego z Chicago. Połechtany godnością „delegata domu", ks. Bakanowski zgodził się tym razem na wyjazd do Rzymu, nie myśląc chyba o tem, że skoro raz opuści Amerykę, już nigdy do niej nie powróci. Wyjechał z Chicago wieczorem 29. Maja 1873. „pożegnawszy nas z płaczem a my jego" — i odtąd kończy się raz na zawsze jego karyera missyonarska w Ameryce.



Szkoła w Independence, Wis.

IV.

Trzeci proboszcz jednoręki ks. Wołłowski od Maja do Września 1873. — Zaczyna budować drugi kościół (św. Trójcy). Zwiardowski rozczarowany wraca do Texas. — Wołłowski wrzekomo czerni Bakanowskiego. — Dlatego Generał go usuwa z probostwa i naznacza Zwiardowskiego. — Prowincyał i cała parafia stają w obronie Wołłowskiego. — Chcą ukrzyżować Kiołbassę. — Czwarty proboszcz ks. Zwiardowski od Września 1873. do Lipca 1874. — Parafia przyjmuje go „jak wilka w owczarni". — Że się ze strachu „u Kiołbassy pod łóżkiem chował jak złodziej". — „Precz ze Zmartwychwstańcami!" — Biskup oziębłe przyjmuje Zwiardowskiego.—Ostry weredyk ks. Karol Lanz. — Polaków coraz więcej — dwa kościoły nie mogą ich pomieścić. — Stosunek do kościoła św. Trójcy niewyraźny— zaostrza się. — Funken i Zwiardowski chcą, żeby te dwa kościoły stanowiły jedną parafię.—Ojcowie Lanz i Wieczorek dążą do odrębnych parafii.—Ojców za mało, wołają o pomoc. — Lecz Generał chce całkiem wycofać ojców z Chicago w Październiku 1873. i oddać parafie księżom świeckim. — Funken i Zwiardowski opierają się temu. — Zwiardowski zbolały wraca do Texas. — Piąty proboszcz ks. Wieczorek C. R., od Lipca do Września 1874. — Generał stanowczo wycofuje ojców. — Biskup jednak zatrzymuje Wieczorka.

W Chicago następuje, od 29. maja 1873. do 18. września 1874., peryod krótkotrwałych i niestałych rządów trzech z kolei proboszczów, mianowicie: ks. Jana Wołłowskiego C. R. (od 29. maja do 15. września 1873.); ks. Feliksa Źwiardowskiego C. R. (od 15. września 1873. aż do lipca 1874.); ks. Szymon Wieczorek C. R. (od lipca do 18. września 1874.)

Ks. Jan Wołłowski pracował w parafii przy boku ks. Bakanowskiego, już od początku

listopada 1872.; pozbawiony prawej ręki nie odprawiał wprawdzie Mszy św., ale za to kazał, spowiadał i w szkole uczył. Ks. Bakanowski sam, bez pytania prowincyała Funkena, ściągnął był ks. Wołłowskiego do Chicago i w liście z 28. lutego 1873. do Generała (który już wtedy nie żył) daje temu jednorękiemu kapłanowi takie piękne świadectwo: „Jestem bardzo zadowolniony z pomocy O. Jana, przyznam, że po raz pierwszy w Ameryce dostałem pomoc pod każdym względem. Posyłam artykuł o naszej szkole, którą O. Jan zorganizował i prowadzi szczęśliwie.” To też po wyjeździe ks. Bakanowskiego, 29. maja 1873. ks. Wołłowski, z rozporządzenia prowincyała Eugeniusza Funkena, objął zarząd parafii, mając do pomocy ks. Ludwika Funkena C. R. Tymczasem już 27. maja przybył był z Texas ks. Felix Źwiardowski C. R. i „zastałem — powiada — (w liście do nowoobranego Generała Semeneńki)—rozporządzenie od O. Eugeniusza na piśmie, abym przy O. Wołłowskim pozostał do czasu dalszego rozporządzenia. Na trzeci dzień wieczorem po mojem przybyciu O. Adolf odjechał pożegnawszy nas z płaczem a my jego. Od tegoż wieczora O. Wołłowski objął zarząd parafii jako Rektor. Gdy O. Adolf odjeżdżał, widziałem , że cała parafia była spokojna, a ów Wołł. w sposób faryzejski kadził O. Adolfowi, aby go mógł jak najprędzej wykurzyć, co też i stało się. Otóż zaraz na drugi dzień poszedł na mi-

tyng, potępił O. A. powiedział im wyraźnie, że O. A. zastał w jednem łóżku razem z....a o mnie, że Zgromadzenie sobie włosy z głowy wyrywało dowiedziawszy się, że zostałem wyświęcony... Otóż widząc jak brudna sprawa zaszła, daleki jestem i chcę być od tego wszystkiego, a OO. Funkenów (których nie znam ale widzę skutki początku ich panowania) władzy nad sobą nie uznaję, i niech już raz Niemcy i fałszywi Bracia Polacy nam dadzą pokój. Dopóki O. Wołł. będzie tam a OO. Funkenowie jako Niemcy będą zwierzchnikami nad Polskimi Missyami, moja noga tam nie postanie.'' I 23. czerwca porzucił ks. Żwiardowski Chicago, wracając do Texas, gdzie — jak pisze ks. Wincenty — „nie mógł zapomnieć O. Janowi, (Wołłowskiemu) że mu stanął w drodze do Chicagoskiej Fary.'' W tym samym dniu, kiedy ks. Żwiardowski opuścił Chicago, P. Kiołbassa pisał list do ks. Bakanowskiego w Rzymie bawiącego: „Ks. Felix miał kwaśne czasy przez te 3 tygodnie w Chicago. Każdy się od ks. Jana (Wołłowskiego) umyka, oprócz Niemczeskiego. Organista Antoni Małek porzucił organistwo i stary Wieland jest na jego miejscu. Ks. Jan was, Ojcze, czerni przed parafią.''

Gdy te wszystkie skargi doszły do Rzymu, gdzie i ks. Bakanowski bawił, i łatwo bronić się mógł, ks. Jana Wołłowskiego dni w Chicago były policzone. Jowiszowe gromy spadły z wysokiego Olimpu na jednorękiego kapłana. Pio-

runujący list, pod datą 14. sierpnia 73., wysyła z Rzymu nowoobrany Generał ks. Piotr Semeneńko do ks. J. Wołłowskiego, zarzucając mu: 1o. Pobudzałeś innych do buntu przeciw prowincyałowi Funkenowi, 2o. miałeś własne pieniądze (regułą wzbronione), 3o. „Rozsiewałeś przeciwko O. Adolfowi, aby się go pozbyć z Chicago i aby on tam nie mógł wrócić, prawdziwe i czarne potwarze.'' 4o. „Starałeś się tym samym sposobem i zapewne w tym samym celu zgubić i O. Felixa... Chyba tylko jedna szalona chęć zostania proboszczem w Chicago może poniekąd to wytłomaczyć..'' Dnia zaś 17. sierpnia 73. O. Semeneńko śle i do Biskupa Chicagoskiego list, w którym po wzmiance, że po śmierci ks. Kajsiewicza on objął urząd Generała, tak pisze: „..doszliśmy do tego przekonania, że kapłan naszego Zgromadzenia, ks. Jan Wołłowski przeciw Zgromadzeniu, przeciw Regule, przeciwko urzędowi swojemu we wielu rzeczach ciężko zgrzeszył, i zasłużył, żeby go mieć za nieprawidłowego a w Zgromadzeniu nie inaczej jak na pokucie trzymać. Ażeby zaś missya chicagoska z powodu usunięcia ks. Jana W. żadnej nie poniosła szkody, zwłaszcza że O. Adolfa Bakanowskiego dla bardzo ważnych powodów, oraz dla potrzeb Zgromadzenia w Europie zatrzymać zmuszeni jesteśmy, więc zaopatrzyć ją trzeba w innego proboszcza.. A tym jest ks. Felix Źwiardowski.'' W dodatku i prowincyałowi Funkenowi oberwało się od ka-

pituły, że zrobił jednorękiego ks. Wołłowskiego nawet ad interim proboszczem parafii św. Stanisława K. w Chicago. W niedzielę 7. września ks. Wołłowski uwiadomił parafię, że musi opuścić Chicago. W kościele zawrzało jak w ulu. Parafianie murem stanęli przy swoim jednorękim proboszczu. Sążniste petycye, jedna za drugą, idą do Generała do Rzymu. Trustysi parafialni Niemczewski, Nowak, Arkuszewski, Klinger, Jałowy piszą 8. września 1873. do Generała: „Ks. Wołłowski, choć z jedną ręką, pracuje więcej niż jakoby miał jeden cztery ręce. On bowiem widząc takie mnóstwo ludu poszedł do Biskupa Foley i wyjednał że ten pozwolił na dole pod kościołem (w szkole) odprawiać Mszę... On najlepiej Polaków w Chicago postawi; nawet **teraz właśnie budują kościół polsko-katolicki** p. t. parafia św. Józefa (św. Trójcy). On chodzi, kolektuje, dopomaga i w szkole, w której ma 2 nauczycieli i 2 organistów, i jest ich 3 księży a ani centa więcej nie kosztują jak przedtem kiedy był jeden tylko.. Akcydensa od chrztów, pogrzebów itd. składa do kasy parafialnej... Dajemy uwagę Wielebnemu Panu (Generałowi) ażeby nie zważał na osobę jedną, która może w imieniu nas wszystkich rolę odgrywa przed Panem.” Nazajutrz 9. wrześ. 1873. opiekunowie kościoła wysyłają do Generała na łokciowych arkuszach drugą petycyę, w której same podpisy parafian zapełniają 12 dużych stronnic: „Objęcie zarządu

kościoła przez ks. Wołłowskiego spowodowało u wszystkich parafian, nie tylko św. Stanisława K. ale innych katolików polaków, **zamierzających dla lepszej wygody wiernych więcej kościołów budować**, nader przyjemne zadowolenie. Ks. Wołł. bez względu na dochody materyalne, przybrał do pomocy dwóch jeszcze kapłanów, tj. ks. Karola Lanca C. R. i Rafaela de Carolis C. R. i wszyscy troje żyją z tychsamych dochodów, mieszkają w jednej plebanii.. oddają nawet przynależny procent od Jura Stolae do kasy kościelnej, czego żaden poprzednik ks. J. Wołłowskiego nie uskuteczniał. Nie uczęszcza on (ks. Wołł.) do żadnych publicznych lokalów ani do domów prywatnych, ani też w plebanii nie używa żadnej posługi żeńskiej, a co wszystko tu wymienione dawnemi czasy tchnęło nieprzyzwoitym przykładem. Znamy tę hydrę i zna O. Generał, bo posłuchał głosu jej, co krótko po odejściu ks. Bakanowskiego, a zwłaszcza po oddaleniu organisty Ant. Małłek, przyjaciele tej hydry, najkłamliwsze niezawodnie oskarżenia przesłała, by tak nadal, jak było tu dotąd, mogła podług swego widzimisię być rządcą kościoła... Hydrą tą jest p. Piotr Kiołbassa, gdyż sam po odesłaniu listu do Rzymu dał się o tem słyszeć..." Dalej i najstarsze Towarzystwo św. Stanisława K. którego prezydentem dotychczas był P. Kiołbassa, pisze 23. września 1873. do Generała: „Na posiedzeniu 14. b. m. poczęliśmy użalać się, iż krzywda to dla ca-

łej parafii przez wyjście ks. Wołłowskiego. Wtem wchodzi zapalczywy Kiołbassa, gdzie go dopiero całe zgromadzenie poznało, że on jedynie tylko intryguje przeciw księżom, którzy nie umieli z nim żyć prywatnie... nie pozwoliliśmy mu mówić, musiał wyjść... Kiołbassa złożony z urzędu prezydenta zgodą wszystkich na tem posiedzeniu 120 członków.'' Hejże na Kiołbassę! Nie tylko zrzucili go z prezydentury, ale go chcieli nawet ukrzyżować! Także Gwardya Polska z Chicago 15. września 73. do Generała: „protestuje przeciw zamachom machiawelczym samoluba P. Kiołbassy...'' podpisani: Ant. i Józ. Zaremba, Niemczeski, I. Wendziński, Kunkel, Dr. Briard, Knull, Brodowski, Gawerski. I W. Dyniewicz 16. wrześ. do Generała: „Łaskawy Naczelniku Zmartwychwstańców! Przed paru laty byłem najpierwszy żebrząc na pobudowanie kościoła polskiego... ośmielam prosić o zniesienie strasznego wyroku dla całej parafii. Księgarz i Wydawca Gaz. Pol. w Ch.'' I ks. Karol Lanz C. R. jeszcze 3. paźdz. 1873. pisze do Generała cięty list w obronie ks. Wołłowskiego, i powiada bez ogródki: „Ty albo raczej Marcelina robicie co parę lat nową i ostrą regułę. My mamy ją zachowywać, a Ty ją łamiesz! Ażebym więc nie był zmuszony dłużej patrzeć na podobne rzeczy w Zgromadzeniu, postanowiłem wystąpić.'' Ks. Lanz, jak zobaczymy, wystąpił później, założył parafię w Dunkirku, N. Y., został Benedyktynem i umarł ja-

ko świątobliwy Benedyktyn. A i sam prowincyał Funken ujął się za ks. Wołłowskim, pisząc 7. paźdz. 73. do Generała: „Wasz list do Biskupa (dymisya ks. Wołłowskiego) wiele tu krwi napsuł. Dwie deputacye w Chicago przyjmowałem. Po wszystkiem, com dotychczas mógł wybadać, ks. Bakanowski nie jest niewinny; po jego odjeździe był spokój i porządek, biskup i księża i ludzie byli zadowoleni, i rana byłaby się powoli zagoiła, gdyby się było Wołłowskiego u Biskupa nie denuncyowało.''

Ks. Wołłowski jednak, pomimo, że miał tak silne poparcie, wyjechał natychmiast z Chicago i wystąpił ze Zgromadzenia, pracował odtąd jako świecki ksiądz długie jeszcze lata w Ameryce. Mówią, że potem umarł i pogrzebany został w Paryżu; a gdy trumnę jego odkopano, znaleziono w niej tylko kamienie!... Do Chicago zaś przybył ten, którego Generał Semeneńko wyznaczył, to jest ks. Felix Źwiardowski C. R. z Texas. „15. września z P. Maryi wyruszyłem a 25. przybyłem do Chicago — pisze ks. Źwiardowski z Chicago 12. paźdz. 1873. — „Ależ mój Boże! jakie mię tu przyjęcie spotkało... przyjęli mię jako wilka w owczarni, żaden prawie nie chciał mię przywitać. Ks. Karol Lanz gadał że ja już dawno w Chicago jestem i u Kiełbassy przechowuję się..i z tej przyczyny stało się między ludźmi zaburzenie, żem się im nie ukazał ale się u Kiełbassy pod łóżkiem chowam jak złodziej.. Nikogo oprócz

poczciwego Padre Rafaele na probostwie nie zastałem. O. Jan (Wołłowski) do Rzymu poje chał. O. Karol Lanz wyruszył na przejażdżkę kilkadniową, spodziewając się, że według planu ułożonego z tym potworem jednorękim mnie stąd wykurzą"... Kiołbassę „lud chciał ukrzyżować... gdy Kiołbassa oznajmił, że ja przyjadę, odrazu krzyknęli wobec obudwóch Ojców: nie chcemy go! precz ze Zmartwychwstańcami! a to wszystko O. Karolowi bardzo pochlebiało... Biskup pierwszego dnia przyjął mię dość ozięble, domagał się papierów z Rzymu po łacinie, lecz przy drugiej wizycie był łaskawszy. Sam jeden wszystko muszę robić, także i na kościół nowy (św. Trójcy) kolektować, który ma być w 1. niedzielę Novembra poświęcony." Atoli ks. Karol Lanz, acz chorowity, pomagał mu i teraz i przez następne miesiące aż do 4. maja 1874. „Muszę tu tymczasem pozostać — pisze ks. Lanz z Chic. 14. paźdz. 73. do O. Funken — ponieważ nowy kościół (św. Trój cy) już gotowy jest i ja z ks. Felixem każdej niedzieli w obydwu kościołach nabożeństwo od prawiać musimy. Nowy kościół pomieszcza o wiele więcej ludzi niż stary. Dziś ks. Felix pierwszy dzwon poświęcił. Kościół sam dopiero na wiosnę zostanie poświęcony. Parafianie byli wczoraj z ks. Felixem u Biskupa celem oddania mu tytułu własności. Ludzie nawet w obu kościołach pomieścić się nie mogą, a cóż dopiero w jednym." To też jeszcze 21. lipca pisał:

„Mamy codzień kilka pogrzebów.” Ks. Karol Lanz, ze swoim bystrym umysłem a ostrym sądem, był ciągłym postrachem dla ks. Źwiardowskiego.

Woła ks. Źwiard. 23. Października 73. do Generała: „Oto wprost ks. Karol zrobił uroczyste przyrzeczenie osobom, całego naszego Zgromadzenia wrogom, że zostanie Proboszczem nowobudującego się **oppozycyjnego** kościoła (rozumie się za wspólnem naradzeniem się z ks. Janem Wołłowskim) i że Zmartwychwstańcom podziękuje, a już pierwsze tyralierki rozpoczął: bo list do O. Prowincyała z groźbą wysłał, a gdy z tego powodu prow. Funken tu przyjechał, to w uporze stał i był nieugięty, a co gorsza, że O. Jenerała pod sąd bierze za nadużycia i niesprawiedliwości... To tylko łaska P. Boga że nie potrafi po polsku kazania powiedzieć, gdyż inaczej byłaby bieda i Zmartwychwstaniec żaden nie śmiałby ani nosa pokazać w Chicago.”

Słysząc o tem wszystkiem, co się w Chicago dzieje, Generał Semeneńko postanowił zwinąć dom zakonny w Chicago a parafie oddać w ręce księży świeckich. Z oburzeniem odpycha myśl tę ks. Źwiardowski (18. listop. 73. do Generała): „List z 30. zm. odebrałem z planem ułożonym dla wydostania mię z Czyśca-(Chicago)... Wyjść za parę miesięcy z Chicago, znaczyłoby to dla mnie wobec tutejszych i texaskich Polaków tyle co naznaczenie pokuty!”

A prowincyał Funken uspokaja Generała, że nie tak źle stoi sprawa w Chicago, pisząc stamtąd 14. listop. 73.: „Z tutejszym ludem dobrze. Dwa te kościoły nie są uważane jako macierzysty i filialny kościół, ale traktuje się je **jako siostry**, i tak jest spokój. Dobry duch panuje w parafiach. Tylko proszę O. Generała, niech nie pozwala zaś ks. Bakanowskiemu ani ks. Wołłowskiemu pisywać listów do tutejszych familii. Ks. Bakanowski niedawno pisał do pewnej familii, że na drugi rok znowu powróci do Chicago. Złe wrażenie u Biskupa zdaje się powoli zacierać”.. Prow. Funken radził O. Generałowi przysłać O. Brzezińskiego C. R. na miejsce ks. Źwiardowskiego, na co zdaje się O. Generał przystał, ale ks. Źwiardowski, usłyszawszy o tem, pisze oburzony do Generała w grudniu 1873.: „Oto i wczoraj ten jego (ks. Wołłowskiego) przyjaciel Niemczewski otrzymał zawiadomienie że: Przybędą do was dwaj zacni kapłani, ks. Wład. Witkowski i ks. Mich. Brzeziński, pierwszy jako proboszcz a ostatni jako pomocnik etc. Pytam się teraz, czemu ja o tem postanowieniu nie jestem zawiadomiony?... Teraz więc mówię, że moja translokacya nie byłaby właściwą i wywołałaby ze strony ludzi i mojej największy żal i oburzenie.” Ale prow. Funken znowu 30. grudnia, 73. do Gen: „Powtarzam moją prośbę, żeby przysłano dla Chicago ks. Michała (Brzezińskiego C. R.) i innych. Nie radziłbym przysłać tu księdza świec-

kiego; nadto biskup nie chce dla nowego kościoła (św. Trójcy) żadnego księdza, który do nas nie należy, gdyż to by sprawiło zamieszanie. **Dwa te kościoły mają stanowić jedną parafię,** a Ojcowie mogą rezydować wspólnie albo przy jednym albo przy drugim kościele, gdyż obydwa kościoły tylko o dobry rzut kamienia od siebie są odległe. Ks. Lanz jest chorowitym.''

I dla choroby wysłano ks. Lanza do Kanady, a na pomocnika ks. Źwiardowskiego przybył ks. Szymon Wieczorek C. R. w grudniu 1873. Wszelako już w lutym 1874. ks. Źwiardowski się rozchorował i zażądał napowrót ks. Lanza, bo „w nowym kościele (św. Trójcy) — pisze 15. lut. 1874. do prow. Funken — znowu rzeczy nie są w porządku, gdyż ks. Wieczorek podług swej woli wszystko urządza, prawie osobną parafię chce utworzyć, co by się sprzeciwiało woli biskupa. Skoro zaś ks. Lanz tu będzie, będą obydwaj na przemiany nabożeństwo tam odprawiać''... Jak świadczą roczniki „Gazety Polskiej'' z r. 1873., było już podówczas w Chicago około 20,000 Polaków. Pomimo to biskup Foley, choć pozwolił na dwa kościoły, nie pozwolił na istnienie dwu parafii, pozwolił na dwie stodoły, lecz tylko na jeden młyn, gdyż według kontraktu, wszystkie dusze polskie miały być mielone w jednym młynie OO. Zmartwychwstańców. Brakło jednak żniwiarzy, którzyby zboże sprzątali. „Jest to niezbędną potrzebą —pisze prow. Funken 21. lut. 1874. do Generała — że-

by O. Generał przysłał jeszcze jednego dobrego księdza dla Chicago, ale bynajmniej nie świeckiego księdza ani takiego połupieczonego tercyarza.'' Tymczasem i ks. Źwiardowski, właśnie na wielkanocną spowiedź, zrobił wycieczkę do Texas, więc ks. Lanz, mający także wkrótce do Rzymu wyjechać 22. kwietnia 1874. rżnie ostry list do Rzymu (do O. Juliana): „Smuci mię to, że wszyscy w Rzymie mogą być tak twardych serc, iż tysiące dusz chcą bez kapłana zostawić. My (t. j. ks. Wieczorek i ja, bo ks. Felix bawi w Texas) wysłuchaliśmy około 4,000 spowiedzi, a myślimy, że jeszcze drugie tyle przyjdzie; chcecie tych ludzi bez kapłana zostawić? Taką to miłość do opuszczonych dusz macie? Więc tylko dla Bułgaryi lub Galicyi macie względy i miłość? Czyście zapomnieli, że zmarły O. Generał Kajsiewicz zawarł z Biskupem w Chicago kontrakt na 99 lat, mocą którego macie kapłanów dla Chicago dostarczyć? My tu jednego dnia **mamy tyle do czynienia co wy wszyscy** w Rzymie **w jednym miesiącu** macie do roboty... Ks. Wieczorek robi co może, aby tę missyę podtrzymać. Chcecie mu w jego karyerze przeszkadzać? Mamy kościoły do wypłacenia, dostaliśmy Siostry Notre Damki z Milwaukee (4, między temi 1 Polka), czy mamy nasze dzieło, które nas tyle kosztowało, opuścić? Dawniej za ks. Wołłowskiego mieliśmy 150 dzieci, teraz już mamy 350! Za kilka dni szkoła będzie przepełniona. Jeśli więc O. Michała

Brzezińskiego przysłać **nie możecie**! to zostawcie ks. Wieczorka tam gdzie jest, bo inaczej popełnicie ciężki grzech... Sam Biskup pochwalił jego zachowanie się z ludźmi. Cóż więcej chcecie?" Ks. Lanz 4. maja 1874, opuścił Chicago a potem i Zgromadzenie...

Atoli Generał Semeneńko jeszcze bardziej się utwierdzał w zdaniu, żeby Ojców wycofać i zostawić Chicago otworem dla świeckich księży. Na to ks. Źwiardowski 6. maja 1874. do Generała: „Przepędziwszy w Texas 6 tygodni i odreperowawszy trochę zdrowie, d. 15. kwietnia głuchy na lewe ucho wyruszyłem do Chicago i tu 22. kwietnia przybyłem. O. Karol Lanz 4. maja wyjechał do Rzymu. Missyi Chicagoskiej opuszczać nie można. Narazilibyśmy się na największy kłopot z Biskupem, zadalibyśmy największą klęskę samym sobie. Czekam na miłość Boską pomocy. Ratujcie mię, bo Pan Bóg wie co się ze mną stanie, bo w głowie straszne świdrowanie a reumatyzm tak mi dokucza że aż gwałtu muszę krzyczeć. Biskup texaski nie dał mi exeatu." A prowincyał Funken do wtóru z St. Agatha 9. maja 74. basuje tak O. Generałowi: „Miałem rendezvous z ks. Felixem w Detroit. Renoma Zgromadzenia znacznie ucierpiałaby w **całej** Ameryce, gdybyśmy Chicago musieli opuścić. Cierpliwością i wytrwałością i dobrym materyałem da się w takiem mieście jak Chicago wszystko uskutecznić, czego tylko Zgromadzenie pragnąć i uzyskać może. Ale ks.

Lanz musi iść precz, i też już jest w drodze do Rzymu. Ks. Wieczorka trzeba w imię Boże tymczasowo zatrzymać jako „konieczne zło.'' Jeśli się nie da z ks. Wieczorkiem dłużej lawirować— bo dopóki O. Generał nam nie dopomoże, nie ma innego środka — natenczas poczęstuję Biskupa Chicagoskiego klarownem winem; gdyż zaufanie wzbudza zaufanie, i jestem przekonany, że on ewentualnie nawet **jednym** kapłanem Zmartwychwstańcem tymczasowo się zadowoli, chociaż to jest jego najgorętszem życzeniem, żeby nasze Zgromadzenie „wyłącznie'' opatrywało Polaków jego dyecezyi. Jeśli O. Generał dostarczy nam dobry personał, to nie ma kraju w świecie, któryby pewniejsze rokował powodzenie, jak Ameryka. Jeśli dotychczas w Ameryce nie udało się tak, jak można było sobie tego życzyć, to **nie była wina kraju, lecz personału.**'' Ale słowa te obiły się o Rzym jak groch o ścianę. Dobrego personału nie przysłano ani teraz, ani potem, bo szkoda go było dla polonii w Ameryce, którą już z góry uważano za straconą. Ks. Źwiardowski dźwigał jeszcze jakiś czas nadmierne brzemię obowiązków parafialnych. Lecz kto za wielki ciężar bierze na swe barki, ten albo pod nim upaść albo go zrzucić musi. Ks. Źwiardowski, nie chcąc upaść, zrzucił go na potężniejsze barki ks. Wieczorka, a ten następnie na jeszcze potężniejsze barki — olbrzyma. A i ten uchyla się potem pod nadmiernym ciężarem i popadał w rozmaite nieporządki

tak finansowe jak duchowe. „Wyjechać stąd muszę koniecznie — pisze ks. Źwiardowski 30. czerwca 1874. do Generała — gdyż reumatyzmy mię doprowadzają do waryacyi. Postanowiłem stąd wyjechać około ostatniego Lipca. Powtarzam więc, że tej Missyi opuścić nie można, bo przed Bogiem i ludźmi popełnilibyśmy grzech. Tu wszystko teraz jest w porządku. Proszę przysłać 2 albo 3 Ojców, wyćwiczonych w Regule zakonników, żeby z nich jeden mógł być energicznym Przełożonym, a wtedy i Kraków i Lwów niech się schowa... Na miły Bóg, proszę przysłać W. O. Stefana Pawlickiego na proboszcza z innym Ojcem lub dwoma, a możeby przy nich i Wieczorek się naprawił.'' I wrócił ks. Źwiardowski do Texas, pod koniec lipca 1874., a obowiązki proboszcza objął po nim dotychczasowy jego pomocnik ks. Szymon Wieczorek C. R.

Tymczasem Generał Semeneńko nadesłał prowincyałowi Funkenowi teraz już stanowcze i nieodwołalne rozporządzenie, by Ojców z Chicago całkiem wycofał. Prowincyał Funken tym razem już się więcej nie opierał woli O. Generała, lecz ze smutną rezygnacyą 20. sierpnia 1874. tak mu odpowiedział. „Co do opuszczenia Chicago, to muszę szczerze wyznać, że mię to bardzo bolało. Wszelako i to muszę wyznać, że jeśli nie można było lub nie chciało się przysłać statecznych mężów, to lepiej się stało, że się Chicago całkiem opuściło. Napisałem do Bis-

kupa i do ks. Wieczorka; mam nadzieję, że wszystko w spokoju, choć nie bez wielkiego upokorzenia, się odprawi.” Biskupa to postanowienie ogromnie oburzyło. „Odpowiedź od Biskupa — pisze O. Funken 9. września 74. do Generała — była twardszą, aniżeli się spodziewałem. Powiada, że go to nie tylko boli, ale jest oburzony na naszych Przełożonych; że napisze do Kardynała Franchi'ego, iż tak bezwzględnie odbieramy kapłanów tylu Polakom; a także roześle cyrkularze do amerykańskich biskupów, żeby ich przed takiem Zgromadzeniem ostrzedz. Że przeciw naszym księżom, którzy w Chicago byli, nie ma żadnych poważnych skarg, ale skarży się na Przełożonych. Że ks. Wieczorek musi przez to umówione półrocze tu pozostać; potem może robić co chce. Że skargi Przełożonych na ks. Wieczorka (jakoby on posiadał tytuł własności na loty w Radomiu, Ill.) są nieuzasadnione i że niesłusznie Zgromadzenie żądało od niego przeniesienia tytułu własności, gdyż grunt ten na kościelne cele był dany, że o tem specyalnie napisze do biskupa z Alton.” „Było to wielką niedyskrecyą — dodaje O. Funken — ze strony ks. Wieczorka, że o tem wspominał Biskupowi.” Więc ks. Wieczorek pozostał w Chicago i 15. września 1874. tak pisze do Generała: „Od 9 miesięcy jestem w Chicago, sam tylko dzięki Bogu dźwigam ciężary tej missyi... 28. sierpnia odebrałem od O. Prowincyała rozporządzenie, abym opuścił Chicago i jechał do

Kanady, ale na to Biskup nie pozwolił, owszem nakazał mi abym 6 miesięcy tu został jeśli nie wyjdę ze Zgromadzenia, dopóki on sobie nie poszuka innych kapłanów. Zatem do 1. marca (1875.) mam tu zostać. O. Prowincyał pisał mi, że mam opuścić albo Chicago albo Zgromadzenie; powiem, że z powodu tego nieporządku w Zgromadzeniu zobojętniałem i zwątpiłem w dobry skutek z Zgromadzenia...'' Tak tedy ks. Wieczorek, mając łaskę i u ludzi i u Biskupa, mógł był spokojnie długie lata siedzieć w Chicago u steru rządów największej w świecie parafii, gdyby — właśnie w owym czasie — nie wszedł mu w drogę kto inny, przysłany tu także tak, jak ks. Bakanowski, ani przez Biskupa ani Generała, lecz z dopuszczenia Opatrzności, której wyroki zawsze są niezgłębione.

V.

Ks. Wincenty Barzyński z Texas tłómaczy Generałowi, dlaczego nie należy opuszczać Chicago. — Należy naprawić zgorszenia poprzednich Zmartwychwstańców. — Nie trzeba dopuszczać świeckich księży, ani innych zakonnych, bo to są łotry nad łotrami. — Mnie tam posłać. — Barzyński przybywa do Chicago 6. Września 1874., wrzekomo „na wizytę", a w rzeczywitości na ćwierćwiekowy pobyt. — Jak wysadził Wieczorka? oskarżył go u Biskupa. — Generałowi obiecuje tu złote góry. — Tak więc szósty proboszcz ks. Wincenty Barzyński od 18. Września 1874. do 2. Maja 1899. — Generał chwilowo przystał na to, lecz więcej Zmartwychwstańców dla Chicago nie miał, tylko księży świeckich. — Pod jakiemi warunkami Prowincyał Funken przyjmuje księży świeckich do pomocy? — Na psich warunkach żaden ksiądz świecki długo ojcom nie pomaga. — Generał żąda rachunków, a Barzyński odpowiada: „nie było i nie masz co rachować". — Tytuł Zmartwychwstańcy jest tarczą zasłaniającą Barzyńskiego od wszelkich nieporządków.

Tym „opatrznościowym" mężem był ks. Wincenty Barzyński C. R., pracujący od roku 1866. w Texas, a od kilku lat już wzdychający do Chicago. Czując w sobie wolę Bożą, jeszcze w styczniu 1874., prosił Generała: „dać mi rozkaz abym do Chicago pojechał dla urządzenia missyi"; a gdy mu za to Generał dał burę, niezrażony tem 10. marca 1874. przeprasza Generała: „moje gorączkowe wyrażenie, „dać mi rozkaz abym do Chicago pojechał dla urządzenia missyi" proszę mi najpierw darować a pamiętać..." O czem Generał ma pamiętać, pisze ks. Wincenty z P. Maryi, Texas, 29. maja 1874.: „Byłem w Chicago wtedy kiedy śp. O. Jenerał

robił ów kontrakt z Biskupem w Chicago **na** lat 99, **i któż by się mógł spodziewać że ani dziesiąta część tego czasu** nie może być uważaną za prawdę? Cóż Biskupi dadzą za opinię o Zgromadzeniu, jeżeli tak ich traktować będziemy? Kto osobiście pozna interes Jezusa Chrystusa w Ameryce, pewnie nie będzie go tak lekceważył dla zgniłej Europy, tam kapłani żebrają o zajęcie a tutaj lud płacze o kapłanów 1) Wiadomo, że kapłani z Naszego Zgr. dali pewne zgorszenie w Detroit i Chicago, jeżeli więc byśmy zwinęli naszą missyę bez naprawy tego, jesteśmy obowiązani szukać innej drogi, wcale niepodobnej do naprawienia tych rzeczy. 2) Missya Chicagoska jest jedyna w Ameryce jako polska co do liczby, wiary i wagi, a sąsiaduje z Milwaukee i Detroit i innymi w bliskości, które są bardzo liczne i pragną przejść w ręce Zgromadzenia etc. 3) Główny jednak punkt, zmuszający Zgromadzenie do akuratniejszego załatwienia sprawy w Chicago jest ten, że wilki drapieżne, poświęcenie kapłańskie mające, i drudzy świeccy, strasznie otworzyli swe przeklęte paszcze i szpony ostrzą na łup... Gdyby innych kapłanów nie było, możeby Biskup Galvestoński dał ks. Józefa (Barzyńskiego)... Na wszelki przypadek proszę niniejszem o pozwolenie mi zrobienia w razie koniecznej ostateczności wycieczki missyjnej na parę miesięcy do Chicago... O. Adolf prosi mię, abym się pytał Biskupa czyby go przyjął do Texas? ale te-

go nie zrobię.'' Jakoż O. Julian z Rzymu odpisał tak, iż ks. Wincenty z Panny Maryi, Tex., 14. sierpnia 1874. uradowany woła: „Cudownie cudowne dzieła Pańskie... Chcąc nie chcąc związany byłem nadzwykłemi okolicznościami myśleć o podróży do Chicago i Detroit ale list Przew. Ojca (Juliana) stał mi się ową Gwiazdą Królewską, sądzę, że około (przed Narodzeniem) M. Boskiej będę już w Chicago, gdzie też w tym czasie ma być pewnego rodzaju sejm polski wszystkich delegatów z gmin i parafii i osad polskich rozrzuconych po naszych Stanach Zjedn. Uważam w tem Wolę Opatrzności i Maryi Królowej Polski.'' A 29. sierpnia 1874. pisze z San Antonio: „Dzisiaj otrzymałem pozwolenie Biskupa na wizytę do Chicago i za dni 10 spodziewam się tam być. Podróż moja do Chicago„ zdaje się mi, ułatwi mi finansowo podróż do Rzymu na przyszłą wiosnę.''

I tak, d. 6. wrześ. 1874. ks. Winc. Barzyński przybył do Chicago, nie z zamiarem zostania tu proboszczem, lecz, jak powiada, „na wizytę.'' Pisze ks. Wieczorek 15. września 74. do Generała: „Przybył tu ks. Wincenty z Texas jak powiada na 3 miesiące, ale ledwo tu jest dni parę, już chce uciekać (?) do Rzymu, a na swoje miejsce zaprasza ks. Moczygębę do pomocy dla mnie. Pojechał do Detroit do swego brata redaktora „Gaz. Pol. Kat.'' Ks. Barzyński tu w zimę nie wytrzyma, jest słabowity, dobry kapłan i zakonnik, ale wiele zmian ma w myślach co

chwila... Rozpoczęto budować nowy i **trzeci kościół** (św. Wojciecha) w środku Chicago, i Biskup tam dał polskiego kapłana świeckiego, ks. Klimeckiego, ex-Bernardyna, tego który miał być u mnie assystentem, lecz gdy O. Wincenty przyjechał, więc Biskup dał mu tę posadę w pośrodku miasta." Atoli już po 3ch dniach, 18. września 74. ks. Wieczorek donosi Generałowi, że O. Wincenty już siedzi na krześle proboszczowskiem: „Ks. Wincenty przybył tu do Chicago i energicznie zajmuje się missyą, w nadziei, że on tylko jeden może to wyrobić na dobre kiedyś, ale on jest słabowity i ręczę, sam nie poradzi... Nie znając mię, ks. Wincenty chciał koniecznie abym mu ustąpił przełożeństwa, rektorstwa etc. — ustąpiłem mu, ale zaraz wyjadę do Rzymu." Co się stało, że tak nagle, tak łatwo i tanio, jak Ezaw Jakóbowi, ks. Wieczorek O. Wincentemu odprzedał pierworodztwo, względnie rektorstwo swoje? Tłómaczy nam to nazajutrz, 19. września, 74. pisany list O. Wincentego do O. Generała: „Otrzymawszy list od O. Juliana, dostawszy pozwolenie od Biskupa swego, przybyłem 6. bm. do Chicago i przedstawiłem się tutejszemu Biskupowi, który z boleścią mię przyjął mówiąc: wy jesteście obowiązani tu być... Moje przybycie uspokoiło go trochę, i obiecałem mu, że jeszcze raz przedstawię Zgromadzeniu te okoliczności wszystkie wiernie, które jak z jednej strony czynią dalsze trzymanie missyi z naszej strony koniecz-

nem, tak z drugiej strony... dają wszelką rękojmię pomyślnego założenia domu regularnego... Wielka a najwierniejsza część missyi (Kaszubi) mówią, że skoro Zgromadzenie opuści missyę, zwrócą się do kościołów niemieckich. Księża świeccy będą podzieleni. Księża przybywający do Ameryki zwykle przez Paryż są często... ruiną dusz. Widząc to wszystko, jestem zmuszony zakląć Zgromadzenie, aby nie opuszczało Chicago. A gdyby Zgrom. nie mogło nic uczynić, to padnę u stóp samego Ojca św. prosząc za missyą polską na sto parafii liczącą w Ameryce aby ją ratował. O. Adolf zaczął missyę sam a tak jeden po drugim szli, bo po nim O. Jan, a po nim O. Felix, ale każdy pojedyńczy, a ci co przybyli mu później na pomoc, z gotową niezgodą przybywali bo z osobistością, ale pomimo tego lud żywi ufność a Biskup czuje konieczność i potrzebę i pragnie Zgromadzenia... Niechaj O. Jenerał pamiętać raczy, że **O. Szymon przezemnie u Biskupa oskarżony** wczoraj został wydalony z Dyecezyi, gdzie w Chicago ma wielu przyjaciół, nie wiem co mię czeka, ale robiłem to sumiennie, mówi on teraz że pojedzie do Rzymu, daj Boże, ale pełny jest ciężkich myśli ..Narażam się na ostrość klimatu. Za parę dni będę mógł posłać pierwsze $100 i tak co miesiąc najmniej po $100 posyłać na zapłacenie Domowi Rzymskiemu wydatków przesłania księży do Chicago. Jeżeli już nie można inaczej, błagam o przysłanie

3 lub 4 dobrych księży, tj. nie ze Zgromadzenia, ale jak najprędzej. Z płaczem na kolanach proszę i błagam O. Jenerała o litość nademną i nad missyą polską tysięczną! wierną, gotową ku dobremu i młodzieńczą! Gdyby można telegrafować, tobym miał większą śmiałość posłać więcej pieniędzy!" Tym sposobem O. Wincenty umiał, nie tylko Biskupa, ale chwilowo i Generała przekonać, że jego pobyt w Chicago jest użyteczny, jeżeli nie konieczny. Rozwinął odrazu śmiało swe skrzydła do lotu, jak orzeł czyhający na upatrzoną zdobycz, podczas gdy ks. Wieczorek schował się jak ślimak w skorupie samolubstwa.

Tak tedy wszedł na probostwo ks. Wincenty Barzyński C. R., szósty z rzędu proboszcz tej do olbrzymich rozmiarów rosnącej parafii. Wielki ciężar wziął O. Wincenty na swoje barki, albowiem już wtedy była to parafia wcale nie mała, gdyż, jak jej księgi metrykalne wykazują, już w ciągu roku 1873. miała 482 chrztów, czyli, podług zwykłej rachuby, 1687 familii. Odkąd zaś O. Wincenty wziął ją na swoje barki, parafia św. Stanisława K. rzekłbyś, jak owo cudowne dziecię na barkach św. Chrystofora, rosła i rosła wciąż w liczbę, a z liczbą rósł i ciężar obowiązków, przygniatając coraz bardziej O. Wincentego, ale O. Winc., karzeł co do ciała lecz olbrzym co do ducha, choć się uginał nieraz pod wzrastającym tym ciężarem, nie zrzucił go jednak ani nie upadł pod nim, a choć

upadał, to powstawał znowu. Za jego ćwierćwiekowych rządów (1874—1899) parafia do tak kolosalnych wzrosła rozmiarów, że ją za największą w świecie powszechnie uważają. Liczba chrztów w ciągu jednego roku 1893. wynosiła 2,260, zatem liczba familii 7,910.

Łącząc lwią odwagę z lisiem podstępem, O. Wincenty za jednym zamachem wysadził ks. Wieczorka z krzesła proboszczowskiego; wężowa wszakże roztropność nie kazała mu odrazu usuwać go z Chicago. „Donoszę — pisze O. Wincenty 29. września 74. do Gen. — że O. Szymona zostawiłem, aby uniknąć skandalu i tak też Biskupowi rzecz przedstawiłem, inaczej nie mogąc, ale jest to kwestyą krótkiego czasu, że O. Szymon musi opuścić Chicago.” Ks. Wieczorek zaś pisze 20. października 74. do Generała: „Zważając na bardzo wątłe zdrowie O. Wincentego... prośby tak Biskupa jak i ludzi zmusiły mnie do zatrzymania się jeszcze na parę miesięcy, dopóki inni kapłani tu nie przybędą.” Dopiero teraz ks. Wieczorek wyjawia, o co oskarżony został. „Miałem wielką nadzieję utrzymania się w samem Chicago, albo w dyecezyi Chic., — pisze ks. Wieczorek 7. listopada 1874. do O. Juliana — widziałem chęci Biskupa, ale ks. Wincenty czy przez gorliwość dla Zgromadzenia, aby wszystkie miejsca były obsadzone przez Zmartwychwstańców (co jest niepodobieństwem dla braku kapłanów) czy też przez nieroztropność powiedział Biskupo-

wi że mnie Zgromadzenie wydala ze swego grona.'' Nareszcie w grudniu 1874. ks. Wieczorek opuszcza i Chicago i Zgromadzenie, przenosząc się do Northeim, Wis., skąd 4. stycznia, 1875., pisze Generałowi: „Ks W. Barzyński zmusił mię gwałtem do opuszczenia Chicago i Zgromadzenia, nawet wbrew umowie naszej a swej solennej obietnicy. Nie cierpiał mnie, że już dawno nie należę do Zgromadzenia, że dopóki ja będę siedział w Chicago, Zgromadzenie nie przyszle kapłanów, odważył się to powiedzieć i Biskupowi i ludziom, że na Boże Narodzenie jadą, tylko czekają aż ja z domu ustąpię i dlatego wymówił mi mieszkanie, poprostu wyrzucił...''

Tymczasem O. Wincenty energicznie pracował nad utrzymaniem Zmartwychwstańców w Chicago. „Missyę tutejszą—tak przekonywał O. Generała — wzięliśmy wtedy gdy nas tutaj nikt nie prosił (boć O. Adolf tylko przypadkowo się tutaj znalazł), jakożbyśmy ją mieli opuszczać wtedy, kiedy lud i Biskup nas powołują? Wtedy gdy tu jeden ksiądz miał utrzymanie, byliśmy jakoby przeciw duchowi naszej Reguły, a dziś gdy 4 a nawet 5 kapłanów może mieć piękne utrzymanie i 2 braciszków i wszystko co potrzeba aby prowadzić (pierw zacząwszy gruntownie) dom Regularny, dziś mielibyśmy zasmucić Biskupa i skompromitować go wobec tych, przed którymi On bronił stanowczo idei naszego Zgromadzenia. Dni moje w Chicago są poli-

czone, od Biskupa texaskiego mam pozwolenie tylko na 2 miesiące; ale będę go prosił o przedłużenie exeatu, bo w Chicago moja obecność póki warunki się nie zmienią jest konieczną, choćbym miał umrzeć tutaj". A 20. Października 1874. donosi: „Przez 3 dni przeszłego tygodnia trwał Sejm z 12 księży i bardzo wielu posłów od polsko-katolickich parafii, którzy tu się w tym roku zebrali, aby utworzyć centralne Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie-Polskie." Z przybyciem O. Wincentego do Chicago, wstąpiła i w prowincyała Funkena nowa otucha. „I teraz jeszcze—pisze do Gen. 30. września 74. — byłoby mi bardzo miło, gdyby Chicago można zatrzymać, boć przecie polskie dusze są tak dobrze polskimi duszami w Chicago jak w Polsce. Gdzie Polacy, tam Polska." A 3. listopada 1874. z St. Agatha pisze do Gen.: „Barzyński nas odwiedził i dobre wrażenie na nas wywarł... Czyż miałoby być całkiem niemożliwem, Chicago zatrzymać? Wszak O. Barzyński jest niezależnym od Biskupa w Galveston, jak mi powiada." Jakoż z następnej odpowiedzi Generała zawiał inny, pomyślniejszy wiatr dla Chicago. „Z ostatniego listu — odpisuje Generałowi O. Funken 13. listopada 1874. — z zadowoleniem widzę, że w Rzymie na seryo się myśli o zatrzymaniu Chicago i już 2 księży się przeznacza, z których jeden wkrótce nowicyat kończy a drugi jako tercyarz ma współpracować. Właściwie jestem przeciwny temu poło-

wicznemu żywiołowi, jakim jest żywioł tercyarski. Ale cóż robić, kiedy zakonników nie ma dosyć. Ale ci, którzy nie są ślubami związani, powinni być **formalnie kontraktem zobowiązani**, i tak: ksiądz tercyarz powinien się piśmiennie zobowiązać 1o. przez pewien czas(2—3 lat)pracować pod bezpośredniem kierownictwem proboszcza a pośredniem prowincyała; 2o. nie opuszczać naszych Ojców, nie uwiadomiwszy ich na pół roku przedtem, chyba, że nasi Ojcowie sami go oddalą; 3o. ściśle zachować porządek domowy i bez wiedzy proboszcza nie wychodzić z domu; 4o. nie mieszać się do doczesnych interesów parafii; 5. wszystkie posługi parafialne, które się od nich zażąda, a nie inne, wypełniać (ściśle podług rytuału rzymskiego) ; 6o. wszystkie pieniądze, jakie za nie tercyarz otrzyma, sumiennie oddawać proboszczowi, nawet stypendya mszalne, a codziennie Mszę odprawiać na intencyę proboszcza. Ze swojej strony Zgromadzenie zobowiąże się takiemu tercyarzowi 1o. dać wikt, pomieszkanie, bieliznę i opiekę jak każdemu Ojcu ze Zgromadzenia; 2o. **wypłacać mu rocznie $200** na odzież i tym podobne prywatne potrzeby; 3o. nie oddalać go, jeśli w cenzurę nie popadnie, bez uwiadomienia 6 miesięcy naprzód; 4o. w razie wydalenia, jeżeli godzien, wystarać mu się o miejsce u jakiego Biskupa.”
Oto warunki, pod jakiemi świeccy księża współpracować mieli ze Zmartwychwstańcami w Chicago. Nie dziw, że choć żniwo w Chicago by-

ło bardzo wielkie a Zmartwychwstańcy rady sobie dać nie mogli, żniwiarzy im zawsze brakło, pomimo, że „mnóstwo księży'' włóczyło się po Ameryce. Chciano robotników, ale płacą z nimi rzetelnie dzielić się nie chciano. Z Rzymu przysłano istotnie kilku współpracowników, z których jednak żaden długo nie wysiedział w Chicago. O. Antoni Vaghi C. R., Włoch nie umiejący po polsku, był w tym czasie jedynym stałym „współpracownikiem'' O. Wincentego. W styczniu 1875. współpracował ks. Adolf Śnigurski, ale tylko kilka tygodni.. „Po odjeździe ks. Wieczorka, pisze O. Wincenty 15. marca 1875. — Opatrzność Boska zesłała mi pomocnika ks. Antoniego Klawiter z dyecezyi Wrocławskiej, który dotąd bawi tu i pomaga, ale od przybycia ks. Ludwika Machdzickiego stara się o inne miejsce sam dla siebie''. Ale i ks. Machdzicki długo u niego nie siedzi, bo pisze O. Wincenty 30. marca 75.: „W Chicago jestem miesiąc szósty i dotąd nie mam rzeczywistego pomocnika. O. Ant. Vaghi pomaga mi bardzo mało. Miałem nadzieję w ks. Machdzickim, ale ten ledwie wstąpiwszy w progi domu już ze skrzywioną twarzą powiedział, że nie chce być w Chicago i będzie próbował gdzieindziej, o ile czuję to dla tego, że mu się utrzymanie zbyt małe wydaje.'' A naturalnie!... Z drugiej znowu strony biskup Foley, trzymając się nazbyt skrupulatnie litery kontraktu swego ze Zmartwychwstańcami, „nikogo niechce do dyecezyi

przyjąć ani do św. Stanisława póki my tutaj jesteśmy" — pisze O. Wincenty 24. marca 75. — a chociaż „tutaj np. jest wielu księży i niektórzy są dobrzy na swojem miejscu a gdy się zastanawiam jak byśmy mogli wyjść spokojnie z Chicago, to **nie widzę innego środka, nad ten**— o posłużeniu się ks. Józefem, (Barzyńskim), który jeden mógłby mię honorowo a raczej sumiennie wybawić z niewoli Egipskiej w Chicago." Więc miał racyę ks. Wieczorek, kiedy z Northeimu 20 lutego 1875. pisał do O. Wincentego: „chciałeś abym w Chicago nie był, abyś miał miejsce dla swoich braci." Do tego — jak się żali 15. marca 1875. sam O. Wincenty — utworzyło się „biuro tryumwiratu przeciwko mnie, którego głową ks. Wieczorek, którego sercem ks. Karol Lanz a którego oczami i rękami braciszek Jan Lanz": ci w listach do Rzymu mieli O. Wincentego nazwać „Judaszem Zgromadzenia." Więc Rzym zażądał rachunków od O. Wincentego, na co znowu O. Wincenty znalazł taką genialną odpowiedź 30. marca, 1875.: „Jeżeli ja nie składałem rachunków lub nie prowadziłem drobnostkowo tychże, to 1o. setny raz powtarzam **nie było i nie masz co rachować**... 2. czy można wymagać od missyonarza rachunków drobiazgowych, gdy on nieraz pacierzy nie ma czasu lub sił odmówić?" I w dalszym ciągu, co jest najcharakterystyczniejsze, całe postępowanie swoje zasłania jakby tarczą tytułem Zmartwychwstańcy; że nie postę-

powanie jego, lecz to, iż nosi imię Zmartwychwstańcy, jest przyczyną owych zarzutów przeciwko niemu. „Opatrzność — pisze — czuwa nade mną, nad missyą i nad Zgromadzeniem — choćby tylko w tem, że imię Zmartwychwstańców **jest tarczą, do której bezbożni pseudokapłani** mierzą swe strzały. Powiadam prawdę, że stojąc na tym punkcie, jestem nie jednym ale dziesiątkiem i więcej... Jedno mię boli to trochę nieufności ze strony Zgromadzenia.''

VI.

Barzyński zamknął kościół św. Trójcy. — Generał każe mu Chicago opuścić. — Na miejsce Zmartwychwstańców przeznaczeni Reformaci. — Lata 1875—79., to dla Barzyńskiego okres tytanicznych zapasów o utrzymanie się w Chicago. — „Być czem chcieć, a zwać się Zmartwychwstańcem''. — Polonia wzrasta. — Biskup zły, że obiecana przez Barzyńskiego pomoc nie nadchodzi. — Barzyński ściąga sobie pomocników. — We Wrześniu 1876. zaczyna budować wielki kościół. — Zdaje pierwsze rachunki. — Zjawia się ks. Mielcuszny w Marcu 1877. — W Grudniu 1877. kościół ukończono zewnątrz: nabożeństwa w dolnym kościele. — Budowa i poświęcenie wielkiej plebanii 28. Listopada, 1878. — Wydatki domowe wielkie. — Hotel powszechny. — Barzyński utrzymuje brata redaktora, bo gazeta się nie opłaca. — Trzech Barzyńskich rodzaj mocarstwa. — Nowy plan Generała wycofania ojców z Chicago rozbija się o opór prowincyała Funkena. — Ubóstwianie Funkena i Barzyńskiego, a poniżanie dawniejszych ojców.

Istotnie Generał Semeneńko nie ufał O. Wincentemu, nie wierzył, żeby on sam jeden podołał pracy w tak olbrzymiej parafii, powięk-

szonej jeszcze przyłączeniem parafii św. Trójcy, której kościół O. Wincenty był zamknął. Księży zakonnych dla Chicago nie miał, bo tych potrzebował dla Bułgaryi. Próbował zasilić O. Wincentego tercyarzami, posłał mu ks. L. Machdzickiego i innych, ale z tymi, jako z „żywiołem połowicznym”, nie szło. Więc ostatecznie postanowił wycofać swoje Zgromadzenie z Chicago. Ażeby jednak zadowolić Biskupa Chicagoskiego, który pragnął mieć księży zakonnych raczej aniżeli świeckich, postarał się dla Chicago o polskich OO. Reformatów z Prus Zachodnich, a O. Wincentemu 12. kwietnia roku 1875. posłał stanowczy rozkaz, by opuścił Chicago.

Lata 1875 — 79. był to dla O. Wincentego peryod tytanicznych zapasów o utrzymanie się w Chicago. O tych zapasach pisaliśmy już w III. tomie na str. 5—36 i tam odsyłamy łaskawego czytelnika. Ks. Barzyński, opuszczony przez Rzym, ściągnął sobie w lipcu 1875. pomocników z Texas, swego brata ks. Józefa i ks. Hen. Cichockiego C. R., i przy ich pomocy i prowincyała Funkena, ostatecznie wyszedł zwycięzko z tych zapasów. Mówią, że podówczas O. Wincenty nosił się z myślą opuszczenia zakonu. Wątpimy bardzo. O. Wincenty miał świeży przykład ks. Wieczorka, którego właśnie dlatego, że opuścił zakon, biskup był zmusił do opuszczenia Chicago. Powtóre, O. Wincentemu było dogodniej i korzystniej działać pod firmą Zmartwychwstańców, gdyż, jak sam pisał, jako

Zmartwychwstaniec „jestem nie jednym ale dziesiątkiem i więcej.'' A wreszcie, jak w Texas, tak i tu O. Wincenty dążył ciągle do tego jednego celu: założyć na trwałych podwalinach dom regularny (zakonny) dla polskich Zmartwychwstańców w Ameryce i temu celowi, rzec można, podporządkowywał wszystkie inne. Jakiego zaś rodzaju Zmartwychwstańcem on był, sam to najlepiej określa w tych słowach: „O. Felix oddał się duszą i ciałem Biskupowi ale pasek chce nosić, a to treść jego zasad, **być czem chcieć a zwać się Zmartwychwstańcem.**'' Tak pisał 7. września 1875. O. Wincenty o ks. Źwiardowskim, nie myśląc, że temi słowy sam siebie opisał..

O. Wincenty, nie tylko nie myślał o opuszczeniu Chicago, ale zaraz po owym rozkazie Generała zabrał się do dzieła, które jeszcze ściślej wiążąc go z parafią, utrudniło i uniemożliwiło jego wyjazd, mianowicie, zabrał się do budowy nowego, wielkiego kościoła, oraz plebanii. Dotychczasowy kościół już roku 1872. był za mały, więc wybudowano roku 1873. opodal drugi św. Trójcy, ale i obydwa nie mogły pomieścić licznych parafian. Cóż dopiero teraz, kiedy ów drugi kościół został zamknięty? Więc 7. września 1875. O. Wincenty uwiadamia Generała: „Na zakupienie placu pod nowy Wielki Kościół w ciągu dni piętnastu przynieśli mi $3,510, a resztę należną ($8,000) wzięli na siebie. Plac ten był konieczny, Biskup życzył sobie tego i

my wszyscy. W tym miesiącu kończą dom przy kościele dla 3 księży i 2 braci i dla gości bardzo ładny, ale mówią że to tymczasem, że da Bóg później Wielki Dom zbudują. Od kilku miesięcy na sta wpisują się do parafii tj. zapisują się na istotnych parafian że chcą słuchać, płacić i łączyć się w jedną parafię. Tak dalece że ten drugi Nowy Kościół (św. Trójcy) **chcą sami** gwałtem przenieść na ten nowy plac kupiony przy św. Stanisławie (co w Chicago da się wykonać)". Atoli to przeniesienie kościoła, wobec oporu Trójcan, nie dało się wykonać, a do budowy „wielkiego kościoła" przystąpiono dc piero następnego roku 1876. Przy końcu roku 1875,. Rzym doczekał się rachunków parafialnych, posyła je prowincyał Funken, mianowicie: dochodów parafialnych w ciągu roku 1875. było $3,263, a rozchodów $2,716 włącznie z zapłatą tercyarzy, z których ks. Sklorzyk za 2½ miesiące dostał $125; ks. Śmigurski za 2 miesiące $45; ks. Ant. Klawiter za 3 miesiące $70.00; ks. Leop. Moczygęba za czas wielkanocny $50. W tymże roku było 536 chrztów, 81 ślubów, 125 pogrzebów. Polonia rosła tak, że Piotr Kiołbassa 14. marca 1876. liczy 5,000 familii polskich w Chicago. Biskup zły był na O. Wincentego, że obiecana pomoc z Rzymu nie nadchodzi. Wreszcie sam Wikaryusz Gen. ks. Źwiardowski z Texas przyjechał, aby uspokoić Biskupa, że pomoc nadejdzie, że on sam pojedzie po nią do Rzymu. Istotnie z wiosną 1876. ks. Źwiardowski

wybrał się do Rzymu, ale z niczem wrócił. Biskup Chicagoski czuł się teraz ogromnie zawiedzionym. „W Chicago — pisze 5. czerwca 1876. młody ks. Bron. Przewłocki — biedacy tam są jak trupy chodzące, wybledli i chorzy, bo ciągle mają do walczenia z bezbożnikami, którzy ich szkalują przed Biskupem a Biskup im wierzy, bo przyboczni sekretarze i cała świta są pobratani z nimi, i biedny O. Wincenty prawie nie ma zaufania u Biskupa; kiedy tam byli u Biskupa z O. Felixem, to się bardzo kłócili i mało nie przyszło do tego, że mieli wszystko porzucić i jechać z nami do Texas." W listopadzie 1876. O. Wincenty dostał z Rzymu pomocnika, ks. Wawrzyńca Spryszyńskiego, tercyarza, ale już 21. marca 1877. o nim pisze: „Ks. W. Spryszyński już jest jak wróbel na dachu i nadsłuchuje gdzieby coś znaleźć... trąbią że ja z nikim nie mogę trzymać, więc postanowiłem ks. Spryszyńskiemu lepsze utrzymanie dać jak go sam mam. Czy to jest z korzyścią dla Zgromadzenia? A więc błagam na nowo o księdza **ze Zgromadzenia**, bo tych eksperymentów już dosyć ze świeckimi księżmi." Ks. Spryszyński wysiedział u O. Wincentego aż do marca 1878. Ks. Henryk Cichocki C. R. z Chicago 10. września 1877.: „Tu praca ustawiczna od rana do wieczora tak, że i 10 kapłanów miałoby co robić. Tu możemy rozpocząć życie **wspólne**. O. Wincenty jeszcze przed Bożem Narodzeniem chce do Rzymu,

aby się z OO. porozumieć. Mówił, że nigdy tutejszej missyi opuścić nie może..."

Budowę „wielkiego kościoła za $60,000" rozpoczął O. Wincenty we wrześniu roku 1876. a 9. stycznia 1877. pisze do Rzymu: „Położyłem mocne fundamenta 200 długiego, a 80 szerokiego kościoła, fundamenta kamienne już dziś zapłacone są gotówką. Tak więc od 6. września 1874. jak stanąłem w Chicago zrobiłem następne wydatki:

Za dom murowany na mieszkanie Sióstr i dla klas wyższych $6,000; na to zapłacono $2,000.

Urządzenie wewnętrzne $1,000, na to zapłacono $500.

Zakupienie placu $11,000, na to zapłacono $5,500.

Podwyższenie jednego piętra w domu dla księży $1,000, na to zapłacono $300.

Długi na kościele obecnym nie spłacone $1,300, na to zapłacono $1,300.

Reperacya tego $300, na to zapłacono $300.

Fundamenta pod nowy kościół $4,000, na to zapłacono $3,700.

Były to pierwsze rachunki, jakie O. Wincenty zdał w Chicago. Dnia 10. kwietnia 1877 O. Wincenty donosi z wielkim strachem o zjawieniu się ks. Mielcusznego w Chicago. Zaraz potem znajdujemy pierwszy „raport złożony Biskupowi za rok ubiegły z d. 31. maja 1877."
„Parafia składa się z około 800 (?) familii, ale

około 200 innych z okolic Chicago albo ruchomych rzecby można. Chrztów było 655 (a zatem familii musiało być co najmniej przeszło 2,000!) Ślubów 67, pogrzebów 20 dorosłych, a około 300 dzieci. Do 1. komunii 100 osób, do szkoły chodzi około 500 dzieci. Dochody kościoła $3,500, księże $2,800 (ze mszami), składki parafialne $7,500 —razem $13,800. Wydatki na kościół $1,800, Biskupowi $100, seminaryum $37, Ojcu św. $100, na budowanie $4,780, na długi spłacone $3,500, na utrzymanie domu $2,000, pensye 3 księży $1,500 — razem $13,817. Wartość własności parafialnej: ziemia $17,000; budynki $19,000; ruchomości $3,500; nowy kościół za 6 tygodni będzie wart $33,000 — razem $72,500. Długi za tem: na ziemi $3,000; na budynkach $6,000; na ruchomościach $700; na nowym kościele będzie $16,500 — razem $26,200.'' Ten raport, złożony Biskupowi, posyła i do Rzymu i dodaje: „Długi te z największą łatwością mogą być wypłacone w 3 latach. Gdy przybyłem do Chicago, znalazłem własność parafialną wartości $12,000 i długu na tem $1,500. Ale nie było Domu dla Sióstr, klas dla dzieci, ani domu dla księży, ale najmowaliśmy między żydami brudny domek. A lud był podzielony przez dwa kościoły (bardzo mizerne oba) na dwa obozy.. Nie chcąc nakładać zbytecznych ciężarów na parafię, chciałem w obu kościołach zaprowadzić **jedność parafii,** ale szatan jedność zwąchał, zerwał ostatnie pozory i zaczął otwartą szyzmę,

której głową jest klika kilku niedowiarków, szynkarzy i lubiących przesiadywać w szynku, a których narzędziem jest nieszczęsny ks. Wojciech Mielcuszny.” Dnia 18. października 1877. O. Wincenty pomiędzy innemi przeszkodami, dla których nie może pisywać listów do Rzymu, wylicza: „pilnowanie robót przy budowie kościoła i prowadzenie rachunków”, przyjmowanie „nieproszonych gości, którzy w Chicago są do nieuniknienia”, i dlatego „poleciłem O. Henrykowi Cichockiemu ażeby mię zastąpił w korespondencyi comiesięcznej z domem Rzymskim”. Więc ks. Cichocki tegoż 18. Października 77. pisze do Rzymu: „Wszystkie interesa parafialne prowadzi jak najakuratniej O. Wincenty. Jest nas obecnie kapłanów 4, 2 ze Zgromadzenia, a 2 świeckich (ks. Józef i ks. Spryszyński), tudzież brat Jan Lanz (który tu był od początku). Pan redaktor Gazety Pol. Kat. Jan Barzyński u nas się stołuje. Nie jest to po zakonnemu, ale cóż robić; gazeta nie dałaby się utrzymać, gdybyśmy ją nie podpierali”.... A 15. Listopada 77.: „Proszę nie wysyłać ludzi do Ameryki na los szczęścia, inaczej sami się kompromitujemy. Mieliśmy przykład na ks. Korbutowiczu, Frydrychowiczu, Stankiewiczu i innych. Wszyscy się do nas udają, jakbyśmy byli hotelem powszechnym”. Dnia 17. Grudnia 77.: „Kościół już jest ukończony na zewnątrz.... To niezmiernie upokarza naszych nieprzyjaciół (Dyniewicza, Mielcu-

sznego i ich kliki); ci bowiem trąbią, że kościół ten kosztować będzie $100,000, że go i za 10 lat parafia nie zdoła dokończyć, a tymczasem kilka ledwo upłynęło miesięcy, a piękny stanął kościół mieszczący w sobie ze 4,000 dusz; już dach przykryty; piękny złocony krzyż zdobi kopułę nad ołtarzem; 2 wieże wspaniale się wznoszą; wewnątrz na dolnem piętrze już jest podłoga.... a to wszystko przecież nie kosztuje jeszcze i $50,000... Brat Jan Lanz bynajmniej się nie poprawił". Zaś 3. Stycznia 1878.: „W wilią Bożego Narodzenia przenieśliśmy się do (suteren) nowego kościoła z wielką okazałością (właściwy, górny kościół dopiero za parę lat będzie wewnątrz ukończony). Wydatki wielkie: $100 miesięcznie za samą kuchnię.... więc nie możemy do Rzymu nic posyłać. Ks. Spryszyński miesięcznie $50, i jeszcze z tego niekontent, szuka cudzych bogów. Ks. Józef Barzyński nie jest płatny tak jak ks. Spryszyński; jednak nie będąc obowiązany do ślubu ubóstwa, potrzebuje też pieniędzy na wydatki. Uważam, że gdyby nas było 4, ale ze Zgromadzenia, byłby wtedy inny porządek i mniej wydatków, a przy oszczędności **moglibyśmy** Ojcom posyłać **rocznie $100.** A więc do Was to należy, W. Ojcowie, zaprowadzić tu porządek klasztorny". Ukończywszy wielki kościół na zewnątrz, O. Wincenty w Sierpniu 1878. zabrał się do budowy wielkiego domu dla księży, który 28. Listopada, 1878., już był

ukończony i poświęcony. Tymczasem na zdrowiu O. Wincenty zapadał coraz bardziej. Dnia 10. Września 1878. O. Wincenty pisze z Polonia, Wis.: „Od trzech tygodni bawię tu u ks. Dąbrowskiego. Doktór mój p. Cook, homeopata najlepszy, dał mi paczkę lekarstw i kazał wyjechać z Chicago na świeże powietrze i wiejskie mleko. Ks. Dąbrowski i SS. Felicyanki, szczególnie Matka Monika, wszelkimi sposobami starają się o poratowanie zwątlonych sił moich. Dnia 20. Września skończę lat 40 mizernego życia, na każdy więc sposób czas albo o doskonalszem życiu pomyśleć albo przygotować się ostatecznie na śmierć, zdaje mi się żem zarówno obojętny na obie strony, ale jedno mi cięży na sercu t. j. zdanie sumienne sprawy z moich czynności dwunastoletnich na obszarach półdzikich nowego świata.''

Generał Semeneńko, słysząc o chorobie O. Wincentego, a nadto otrzymując ustawiczne nie tylko od ks. Mielcusznego, ale i od tak poważnych kapłanów jak ks. D. Majer itd. skargi na O. Wincentego, ułożył w tym czasie nowy plan wycofania swoich Ojców z Chicago, a zastąpienia ich świeckimi księżmi. Ze Subiaco 15. Września 1878., pisał Generał Semeneńko do prowincyała Funken: „Że ks. Barzyński (z powodu choroby i z innych powodów) Chicago opuścić musi, to nie ulega wątpliwości, czy ma wrócić do Rzymu, to pytanie; bo Rzym niezdrowy dla chorych na piersi. Lepiej mu

będzie w Texas. Pozostałby więc w Chicago ks. Henryk Cichocki sam jeden, a to nie może być, bo on nie dałby sobie rady. My tu zaś z Europy nikogo, absolutnie nikogo, nie możemy wysłać do Chicago, zwłaszcza teraz, kiedy po ucieczce 2 Ojców z Adryanapolu i po śmierci O. Alex. Szymańskiego missya bułgarska znajduje się w opłakanym stanie, która to missya tak bardzo Propagandzie leży na sercu. W takiem położeniu o ratowaniu missyi Chicagoskiej nie mogło być mowy, i nie wiedziałem innej rady, jeno Chicago porzucić. Takąż była rada O. Juliana i innych. Z wielką atoli trudnością przystawałem na taką radę, ile że Chicago jest tak ważnym punktem dla całej naszej działalności w Ameryce. Uciekłem się więc do modlitwy i przedstawiłem całą tę sprawę Duchowi św., całkiem zdecydowany opuścić Chicago, jeżeli On innej rady nie ześle. I oto, przyszła rada natychmiast. W Kolegium Polskiem (w Rzymie) bawi młody kapłan, ale już około 30 lat życia, który swój kurs właśnie ukończył celująco. Ponieważ do swej dyecezyi powrócić nie może, pytałem go, czyby nie zechciał do Chicago iść, aby tam przez 2 lub 3 lata polską parafią zawiadywać w naszem imieniu. Zgodził się na to; pisaliśmy do jego Biskupa (Chełmińskiej dyecezyi) i wczoraj także tegoż zezwolenie nadeszło. Otóż więc mam pożądanego człowieka, który zdoła nie tylko dobrze utrzymać to, co się już w Chicago zro-

biło, ale nadto i przyprowadzić wszystko do kwitnącego stanu. Oto więc rada i środek do ratowania missyi w Chicago. Zanim jednak ten nowy missyonarz do Ameryki odjedzie, chciałem z Ojcem wszystko omówić i na odpowiedź Ojca zaczekać. Ojciec ma rozważyć następujące punkta: 1-o Jeśli tego nowego missyonarza do Chicago nie poślemy, musimy Chicago opuścić. O. Wincenty musi się udać do Texas, a z nim i O. Cichocki. To bardzo dobrze będzie dla missyi w Texas. 2-o Ksiądz Maliński, bo tak się nazywa ten missyonarz, zobowiązuje się najmniej 2 lata w Chicago pozostać i w imieniu naszego Zgromadzenia, jako współpracownik, parafią zarządzać.... 4-o Co do dochodów.... ks. Maliński jest bezinteresowny i bardzo sumienny, można mu napomknąć, że to słuszna rzecz dawać rocznie dziesięcinę Domowi Rzymskiemu, a jestem przekonany, że ją prędzej od ks. Malińskiego otrzymamy niżeli od jednego z naszych Ojców w Chicago. 5-o Biskupowi trzeba otwarcie rzecz wyznać, a jeżeli się nie zgodzi, to my nie możemy inaczej jak porzucić tę missyę. Najważniejsza rzecz jest O. Wincentego przekonać, żeby nie do Rzymu, ale do Texas poszedł. Tu muszę Ojcu nadmienić, że ze strony O. Wincentego mamy powód do obawy. Ojciec dobrze wie, że ich jest trzech braci, i że rządy kościelne w swoich rękach mają, zarówno jak i katolicko-polityczną prasę. Jest to tedy rodzaj wielkiego

mocarstwa. O. Wincenty będzie może sprzeciwiał się przyjazdowi ks. Malińskiego. Toby nie wiele co znaczyło, gdyby on nie zechciał iść do Biskupa, aby tegoż źle usposobić przeciw nowemu przybyszowi. Tego należy się obawiać. Miej się więc Ojciec na baczności...”
Na to prowincyał Funken z St. Agatha 7. Października 1878. do Generała: „Po otrzymaniu listu postanowiłem zaraz udać się do Chicago. Kto wie, czy zawieruchy w Texas nie powinny być dla nas wskazówką, żeby raczej Texas opuścić niż Chicago. Niech O. Generał poradzi się O. Leopolda Moczygęby, który znowu penitencyaryuszem jest u św. Piotra”. A 20. Października 1878. pisze z Chicago: „Jestem tu od 11 dni, widziałem, słyszałem, zważyłem i rozważyłem wszystko.... A przedewszystkiem powtarzam owo: „Ceterum censeo, Chicagonem non esse delendam”.... O, gdyby O. Generał mógł tu tylko być! Nowy polski kościół będzie największy w Chicago, w romańskim stylu, kosztuje $40,000, z tego już $30,000 spłacono a ludzie chcą dać dalsze $20,000 na wewnętrzną dekoracyę. Nowy dom, to wzorowy klasztorek, 75x45 stóp, trzypiętrowy, kosztuje tylko $8,000. Trzej Ojcowie, O. Wincenty, ks. Cichocki i ks. Józef, są poczciwi i pracowici. O. Wincenty jest jak zawsze nerwowo czynnym, ale już trochę spokojniejszym, jak dawniej. Był bardzo chorym, ale już wyzdrowiał. Ludzie pokładają nieograniczone zaufa-

nie w O. Wincentym.... pobożność młodzieńców, którzy razem z O. Wincentym jeszcze o 10 godzi. wieczorem różaniec odmawiali, zbudowała mię niezmiernie.... Ale i tych trzech pracowitych kapłanów nie wystarcza, pomoc zatem jest pożądana i dlatego chętnie oczekujemy ks. Malińskiego, wszelako Zgromadzenie powinno parafię w ręku trzymać. O. Wincenty może i powinien proboszczem być i zostać. „Einem gebuehrt die Macht; der Tag hat ein Licht, tausend die Nacht'' (do jednego należy władza; dzień ma tylko jedno słońce, tysiące słońc ma noc!) — powiada szwedzki poeta. Ks. Maliński może więc tylko jako wikary być pod rektoratem O. Wincentego. Ekonomem ks. Cichocki.... Ks. Majer tu długo w Chicago nie pobawi, a ks. Mielcusznemu także wnet tchu zabraknie''. Ks. Cichocki już 13. Września 1878. pisał: „Jeżeli dacie ks. świeckiego na miejsce O. Wincentego, wtedy nastąpi tryumf panów Dyniewiczów, Mielcusznych, a parafia raz na zawsze przeszłaby w ręce księży świeckich, bo oni tego tylko chcą. Jeżeli więc nie możecie dać Ojców ze Zgromadzenia, to lepiej że nie dacie żadnych, sami sobie radzić będziemy''; a 6. Października 1878.: „O. Wincenty wrócił z Polonii prawie zdrów.... czy wiecie o tem, że tu idzie o wypłacenie tysiąców za budujący się kościół?.... gdyby O. Wincenty wyjechał, nie wypłaconoby długów i za lat 10.... O. Wincenty prosi Was na miłość Boga, abyście

go ztąd nie ruszali.... Biskup radby był wszystkie parafie Zmartwychwstańcami zaopatrzyć a do świeckiego duchowieństwa nie ma zaufania"; i znowu 9. Października 1878.: „O. Wincentemu tylko ludzie wierzą, ufają, on umie ich zachęcać do wypłaty długów.... Mamy tu nowy dom, z czasem byśmy mogli założyć tu nowicyat, mamy już nawet postulanta, Mateusza Kossakowskiego"; i znowu 17. Października 78.: „O. Prowincyał (Funken) przybył do nas 11. Października wieczorem, we wszystkiem się z nami zgadza, przeciwny jest wszelkim projektom Waszym. Bo czy podobna opuszczać najlepszą missyę Zgromadzenia? Cóż jest pewnego w Rzymie, gdzie socyalizm w każdej chwili może wybuchnąć rewolucyą? Co w Adryanopolu pewnego, skoro tam Moskale panują? Co w samej Galicyi?.... Cóż to warto, że nasi Bracia są w Ameryce rozproszeni? Tam w Texas 2, w Kentucky 3, w Kanadzie kilku. Nie lepiejby było, gdybyśmy się wszyscy zgromadzili do Chicago i stanowili klasztor?".... I tak znowu Ojcowie chicagoscy zwyciężyli zakusy Ojców rzymskich. Tryumf zapanował niemały. Po odbytej wizycie Prowincyała Funkena, którego wpływ przeważył szalę zwycięstwa na stronę Ojców chicagoskich, ułożono nawet i posłano do Rzymu stuwierszowy poemat, wychwalający na pierwszem miejscu prowincyała, potem Ojców chicagoskich, a ganiący księży świeckich:

„W wieczornej porze, jedenastej daty,
Zawitał gość do naszej chaty:
Przyjęliśmy Prowincyała
Radość dla nas niemała.
Przyznał nam słuszność Prowincyał drogi
Kazał pozostać bez wszelkiej trwogi....
Pracuje, nigdy nie ustaje
I dobry przykład niejednemu daje;
Chce robić więcej, niż zwykle może,
A ufa zawsze, że Bóg pomoże.
Takim jest dla nas O. Wincenty,
Lecz czemu dla Was tak niepojęty?
Dlaczego do Rzymu chcecie go brać,
Gdy nie możecie innego nam dać?
Tercyarzów nam tylko dajecie,
Nas widać wcale nie żałujecie....
Nie przesyłajcie świeckich kapłanów,
Nie potrzebujem takowych panów,
Co wieczorami w karty li grają
A o dom Boży wcale niedbają....

„Przesyłacie nam — skarży się ks. Cichocki 15. Listopada 1878. — ciągle nowy ciężar i kłopot. Przesłaliście nam ks. Korbutowicza, ks. Pelczara, Tokarskiego — a wreszcie malarza Żabińskiego, który nie jest Rafaelem. Dom nasz stał się prawie hotelem. Obecnie jest nas 10, miesięcznie wychodzi od $200--$300, a w kasie prawie zawsze pusto".... Niebawem Ojcowie wprowadzili się do nowego „wielkiego domu", z którego pierwszy list do Domu Rzymskiego pisze sam O. Wincenty 3. Grudnia 1878.:

„Pismo Najdr. Ojca z 17. Listopada dziś odebrałem i chcąc, aby pierwszy list mój w nowym domu naszym był listem do Naszej Kochanej Matki Domu Rzymskiego, spieszę nań z odpowiedzią: 1) wszystkie korespondencye z Rzymem odtąd obiecuję sam załatwiać, 2) pewniejsza rzecz jest żeby ks. Maliński nie przyjeżdżał do Ameryki, 3) co do O. Funken, lepiej niechaj siedzi w domu, bo nadzwyczajnej oszczędności wymaga od nas wszystko. — Dom nowy 28. Listopada został o godzinie 2. poświęcony przez Wikaryusza Gen., a Biskup i wielu księży byli temu św. aktowi obecni.... Ks. Majer opuścił Chicago, a w jego miejscu Opatrzność osadziła ks. Śnigurskiego, najszczerszego dzisiaj naszego przyjaciela. Proszę to zakomunikować O. Leop. Moczygębie".

Pozbywając się ks. Majera, O. Wincenty tryumfował coraz bardziej. Nie on, ale wrogowie jego musieli uchodzić z Chicago. A jego — ani Rzym z Chicago wysadzić nie mógł. Postać O. Wincentego rosła, potężniała, olbrzymiała w oczach ogółu. W miejscowych gazetach w owym czasie pojawiają się artykuły wynoszące O. Wincentego pod niebiosa, a poniżające równocześnie jego poprzedników. Jeden buduje wielkość swoją na ruinie drugiego. I tak chicagoska „Illinois Staats Zeitung" w nr. 17. z 20. Stycznia 1879., ogłasza światu, że: „ks. Juszkiewicz musiał uciekać do Minnesoty... ks. Bakanowski, mąż rozległej wiedzy,

posiadał talent krasomówczy, dźwięczny głos i ujmującą powierzchność. Do tych zalet duchowych, niestety, przyłączyła się także nadzwyczajna piękność ciała; był on, jak Alcybiades, najpiękniejszym mężem swego narodu. Napływ na jego kazania był ogromny; wszystkie narodowości spieszyły w niedziele do odległego kościoła, ażeby tylko widzieć i słyszeć tego „Beautiful Polish Priest”. Ma się rozumieć, płeć piękna stawiała się najliczniej. Niezliczone zaproszenia odbierał na choćby jednę godzinę nabożeństwa. I czyż można było temu pobożnemu mężowi brać za złe, że w nadziei nawrócenia jakiejś pokutnicy przyjmował owe zaproszenia? Zapewne nie. Do mnóstwa pokutnic zaliczała się także jedna polska piękność, żona miejscowego lekarza. Przedewszystkiem trzeba było tę duszę ratować. Aliści na pomocnika ks. Bakanowskiego przybył ks. Wołłowski, kłótliwy i złośliwy człowiek. Miał on tylko jedną rękę, drugą, według opowiadań ks. Wołłowskiego, mieli mu Moskale uciąć podczas powstania roku 1863.; atoli złośliwe języki powiadają, że Wołłowski mający wówczas pod swoją opieką kasę wojskową, zanadto był się oddalił od obozu, wrzekomo aby pieniądze przed Moskalami ubezpieczyć; jego rodacy wszakże nie chcieli mu uwierzyć i ukarali go ucięciem ręki. Z przybyciem tego męża skończyły się piękne dni dla ks. Bakanowskiego. Zazdroszcząc tryumfów swemu konfratrowi, ks.

Wołłowski wysłał foliałową denuncyacyę wprost do Rzymu, dokąd ks. Bakanowski musiał się stawić dla usprawiedliwienia się i już więcej nie powrócił. Ks. Wołłowskiemu za to przysiężono zemstę; nic nie pomogło, że szkołę założył, z Chicago uciekać musiał. Następca jego, ks. Źwiardowski, dlatego, że niemieckie siostry w polskiej szkole trzymał, także musiał uciekać z Chicago. Ks. Barzyński, ten wie jak ze swoimi ludźmi postępować. Jego występ publiczny przypomina często cesarza Oktawiana Augusta.... Jest jak Grzegorz VII. mężem o żelaznej sile woli, który gotów raczej zginąć aniżeli porzucić plany swoje itd.''. Musiał to pisać jeden z pochlebców O. Wincentego. Ks. Wołłowski posądzał o to niejakiego Skiereckiego i chciał go skarżyć.

Kiedy O. Kalinka, sławny historyk, miał wydać dzieło o Stanisławie Auguście, odradzano mu, dlatego, że ciężko się obrazi wiele rodzin. Ale na to odpowiedział ks. Semeneńko: „My ciągle siebie usprawiedliwiamy, a nikt z nas nie myśli, aby Boga usprawiedliwić w historyi — trzeba raz przecież usprawieliwić Opatrzność i sprawiedliwość Bożą!''



Ks. Kwiryn Zieliński.
Antigo, Wis.

VII.

Bank Parafialny przykuwa Barzyńskiego do Chicago. — Kontrola niemożliwa: za wiele i grosza i dusz — A jednak pragnie więcej. — Jego pomocnicy „tercyarze". — Moczygęba Zmartwychwstańcem od 1879.—1887. — Jak wystrychnął Barzyńskiego. — Barzyński jedyny raz w Rzymie r. 1881. — Przywozi braciszka Idziego; innej pomocy Rzym mu nie daje. — A parafia rośnie szybko. — Poświęcenie kościoła 10. Lipca, 1881. — W roku 1882. choć nie może podołać pracy, zakupuje plac pod nowy kościół św. Józafata żeby świeckim księżom drogę zagrodzić. — Księża świeccy są źli; nie popierają Gazety Zmartwychwstańców. — Wizytator Brzeska. — Raport Barzyńskiego z roku 1887. — Prace wielkie, siły słabe. — Półtora Zmartwychwstańca. — Komedya Chicagoskiej missyi. — Grozi bankructwem moralnem i materyalnem już r. 1887. — Atoli O. Wincenty tegoż roku 1887. dokupuje loty pod nowy kościół św. Jadwigi, żeby ksiądz świecki go nie uprzedził.

Ojcowie Funken i Cichocki usprawiedliwiali dalszy pobyt O. Wincentego w Chicago i uważali go nawet za konieczny, bo „gdyby O. Wincenty wyjechał, nie wypłaconoby długów i za lat 10". Ale milczeniem pokryli najważniejszą rzecz, która dalszy w Chicago pobyt O. Wincentego czyniła koniecznym. Był to tak zwany Bank Parafialny, który, jak mocny łańcuch lub kajdany, przykuwał O. Wincentego do Chicago. Wyjechałby z Chicago — ludzie zaraz rzuciliby się po pieniądze i powstałaby panika. Odda Bank następcy, to się wykryje deficyt; a jeśli tym następcą będzie ksiądz świecki, gwałtu, to cały świat się dowie o ban-

kructwie Zmartwychwstańcy Wincentego! Pisał bowiem ks. Wieczorek jeszcze 14. Listopada 1875., do Generała: „Ks. Wincenty nie był, nie jest i nie będzie zakonnikiem, on tylko używał tytułu zakonnika dla swego osobistego interesu, dla własnej familii, którą się już opasał, i dla własnej swej kieszeni; jest faktem, że do $2,500 — $3,000 ma własności w akcyach na drukarni, następnie jako Wice-prezes Banku oszczędności też ma dobrą porcyę; dalej kupił domek dla kogoś w Texas; przeszło $200 czy podarował czy pożyczył jednej kobiecie Opolskiej; brata młodego pełnego sił, który sam może się wypłacić z $700, ks. Wincenty wziął na siebie — co to za zakonnik jest? Dlatego, że wszystkie pieniądze do niego spływały i kościelne i jego własne, to też nic dziwnego, że nie może okazać kwitów ludziom, nie może czystych zdać rachunków, a pełno długów wszędzie, gdy tymczasem własna kieszeń jest napełniona i familia tłusto wygląda”.... W finansowych swoich raportach do Rzymu już i tak bardzo skąpych, O. Wincenty o dochodach i rozchodach swego Banku Parafialnego nie wspominał. W listach jego znajdujemy tylko czasem takie wzmianki, jak ta z 18. Listopada 1879.: „Lud ma pieniądze, nie wie co z niemi robić, bo banków się boi, pożyczają nam na 3 prc., a bardzo wielu bez procentu”. Ludzie więc „bojąc się banków” znosili pieniądze do banku O. Wincentego „na schowanie”, lepiej

mówmy na pochowanie, a O. Wincenty też odmówił nad temi pieniędzmi Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, — i na tem ta pogrzebowa ceremonia bankowa się kończyła. Bo że ani akuratnie ani umiejętnie tego Banku nie prowadził, to fakt, o którym czytelnik dowie się w dalszym ciągu. Wierzymy, że O. Wincenty wskutek nawału pracy w parafii nie mógł lepiej tego Banku prowadzić, ale — jeśli nie mógł, po co go prowadził? On nie tylko bankowych, ale i parafialnych i domowych rachunków w porządku trzymać nie mógł; a nie tylko to — on i czysto duchownej i duszpasterskiej pracy podołać nie mógł; on i własnym obowiązkom jako kapłan i zakonnik nie mógł zadość uczynić. Jednem słowem, ciężar nadmierny spoczywał i na jego barkach i na jego głowie i na jego sumieniu. Lecz dlatego właśnie Generał, nie mogąc mu dać pomocy, chciał go wycofać! A on? Nie tylko nie usłuchał swego Generała, ale nadto, jakby dotychczas za mało miał pracy, z szaloną lekkomyślnością rzuca się jeszcze na nowe pola pracy.

Zwłaszcza od roku 1879., odniósłszy stanowcze zwycięstwo nad tymi, którzy go chcieli wyrugować z Chicago, O. Wincenty czuł już pewny grunt pod nogami, snuł więc światowładne plany. Jego chciwość dusz ludzkich i żądza panowania była nienasyconą. Podobny w tem do łakomego farmera, który posiadając za wielkie obszary ziemi, dla braku rąk nie mo-

że jej uprawić, woli ją wszakże zostawić odłogiem aniżeli innych dopuścić do uprawy i żniwa. O. Wincenty tak chciwym był na rolę serc ludzkich, że choć wiedział to dobrze, iż Generał pomocy mu dać nie może, a on sam tyle dziesiątek tysięcy dusz w swej parafii nie zaopatrzy, jednak nie tylko trzymał tę ogromną parafię, ale i inne zagarniał. Parafie księżom świeckim i innym zakonom! Nie dość mu było Chicago, sięgał po Lemont, sięgał i po Nebraskę: „Ks. Józef — pisze 18. Października 1879. — pojechał do Nebraski jako pierwsze forpoczty naszej przyszłej, może obszernej missyi w Nebrasce''. Ba, nie dość mu było dusz polskich, bo i o zagarnięciu niemieckich marzył: „byłoby bardzo pożytecznem, gdybyśmy mieć mogli w Archidyecezyi tutejszej jakie parafie niemieckie, bobyśmy nie byli tak izolowani'' (7. Sierpnia 1882.). A przytem wołał w niebogłosy o pomoc, płakał i zaklinał i żalił się, że go Rzym opuszcza, że sam musi za dziesięciu pracować; ale Rzym na te rozpaczliwe wołania O. Wincentego zdawał się być głuchym, tak jak O. Wincenty był głuchym na rozkazy Rzymu. Bo każdy musi za swoje błędy odpokutować. Nawet ta pomoc, którą miał — zaczynała go opuszczać: ks. Józef pojechał do Nebraski 18. Października 1879., by na własną rękę pracować, więc O. Wincenty wziął Włocha O. Antoniego Vaghi, C. R.; powraca wszakże ks. Józef znowu na stałe do O. Win-

centego i 3. Stycznia 1881. prosi Generała o przyjęcie do Zmartwychwstańców; nawet brat Jan Lanz teraz porzucił Zgromadzenie, więc „musieliśmy wziąć nareszcie kucharkę”; a ks. Cichockiemu tak zbrzydło zakonne życie chicagoskie, że chciał wracać „do Galicyi choćby na furtyana” (9. Marca 1880.), i istotnie wyjechał 16. Sierpnia 1880. z Chicago, dokąd atoli znowu wrócił 16. Lipca 1881., ale 7. Sierpnia 1882. ostatecznie opuścił Chicago i Zgromadzenie i dostał probostwo w Brooklynie, skąd zawsze stały w swej niestałości po kilku latach znowu wraca do Ojców chicagoskich, aby ich z końcem r. 1887. wreszcie raz na zawsze opuścić. Przygodnych pomocników miał O. Wincenty kilkoro, ale żaden z nich długo nie wysiedział. I tak: ks. Ludwik Machdzicki wrócił tu na stałego katechetę i prefekta szkoły, 17. Czerwca, 1881., ale 30. Sierpnia 1883. — pisze O. Wincenty — „już mu się ten chleb sprzykrzył, mówi, że nie może znieść zależność”. Przybył 17. Czerwca 1881. ks. Władysław Grabowski, który „był kiedyś wikaryuszem w Krzeszowicach a przez te 3 lata w Brazylii”, ale po kilku tygodniach opuścił O. Wincentego. Przybył z Paryża 15. Lipca 1881. ks. Jan Radziejewski, były wikary ks. Szymona Kruszki we Wieleniu, ale ten już 7. Sierpnia 1882. „formuje w South Chicago nową parafię”. Z Galicyi przyjechał tu 20. Października 1882. ks. Maryan Matkowski, ale w Sierpniu 1883. już jest

u ks. Śnigurskiego na Wojciechowie. Dalej 23. Kwietnia 1884. przybył tu ks. Stanisław Baranowski z listem rekomendacyjnym od Generała, który O. Wincenty „najprzód najserdeczniej ucałował, a potem rozpieczętował", ten tercyarz bawił u O. Wincentego chyba najdłużej bo aż do Lipca roku 1888. Z zakonnych sił miał O. Wincenty w latach 1880—87. często do pomocy ks. Źwiardowskiego C. R., z Texas, ks. Franciszka Breitkopfa C. R., z Kanady jako „niezmordowanego spowiednika", oraz znany nam patryarcha ks. Leopold Moczygęba, który wystąpiwszy ze zakonu Franciszkanów r. 1879. wstąpił był w Rzymie do OO. Zmartwychwstańców a w Kwietniu 1880. przybył do pomocy O. Wincentemu, zaprowadzając tu „porządek domowy zastosowany do Rzymskiego", opiekując się „domem, braciszkami i postulantami; mamy braciszków 4, 3 polskich i 1 Włoch, i 2 kleryków". Atoli z O. Wincentym nie mógł się zgodzić i 7. Sierpnia 1882. usunął się na niemiecko-polskie probostwo do Lemont, które „może się stać piękną willą" dla Ojców. A gdy tu odebrał z Rzymu wezwanie, aby wrócił do Rzymu i złożył śluby w Zgromadzeniu, odpisał (6. Listopada 1882.), że „jest gotów, lecz chciałbym pierw czekać ordynacyi synowica mojego Leopolda"; gdy potem także O. Wincenty wzywał go do siebie, odpisał 26. Czerwca 1883.: „Należę do Was — przyjadę, ale nie chcę się kłócić z Wami. Co mam i będę miał, to będzie

należeć Zgromadzeniu. Obecnie mówiąc prawdę, nie mam w Ameryce żadnego prawdziwego przyjaciela, bo mi pomarli i ostatni Biskup Fidelis Dehl przeszłego miesiąca umarł. W kłótni nie chcę żyć".... Co było kością niezgody, wyjawia O. Wincenty 1. Września 1883.: „O. Leop. Moczygęba ma dzisiaj w swych rękach i na swoje imię na $10,000, ale nikt nie wie w jakiej intencyi i pod jakim tytułem czy pretekstem. Pewnie nas ma za zasłonę. Czuje on że się złapał, że więcej może swobody by miał u Franciszkanów i sam nie wie jak my z nim postąpimy. Ufa, że mu się uda gospodarka na swoją rękę aż do śmierci etc. Np. czy wie Ojciec, jak się wywinął z posłaniem Wam na powóz obiecanki? Oto oprócz tych $2,500, które z gazety wycofał i zarobił na nich przez obrót (zakupił grunta w Lemont i teraz sprzedaje z wielkim zyskiem ,a jednak z pożytkiem Polaków), oprócz więc tych wycofanych pieniędzy, które ja musiałem mu wrócić, miał on jeszcze kilkadziesiąt akcyi (gdyby gazeta kiedyś miała surplus, wtedyby dywidendę płaciła). Otóż te akcye oddał mi i za nie kazał wypłacić Wam na powóz. Z ochotą Wam tu wypłacę, da Pan Jezus, ale proszę z nim nigdy nie korespondować (obłudnik), tylko go odsyłać do O. Prowincyała". Ostatecznie, w Lipcu r. 1887. OO. Zmartwychwstańcy dali ks. Moczygębie dymisyę ze Zgromadzenia. Owe niby jego $10,000 był to z wszelkiem prawdopodobień-

stwem fundusz zbierany przez ks. Moczygębę na przyszłe seminaryum polskie. (Porównaj Tom II., str. 145.).

Do powyższych pomocników dodajmy jeszcze Idziego Tarasiewicza C. R. Dnia 4. Stycznia 1881. O. Wincenty sam osobiście udał się był do Rzymu (po raz pierwszy i ostatni) umyślnie w tym celu, aby u Generała wyżebrać więcej Ojców dla Chicago. Dnia zaś 3. Czerwca 1881. (w 20 godzin po śmierci ks. Mielcusznego) już wraca do Chicago i jako całą pomoc udzieloną mu przez Generała przywozi ze sobą — braciszka Idziego. Wprawdzie przyjechał z nimi także ks. Michał Brzeziński C. R., ale ten po miesiącu już wrócił do Rzymu, bo mu „w Chicago było za gorąco''. Otóż brat Idzi, posłany do Berlina w Kanadzie, uczył się tam 5 lat angielszczyzny i łaciny, filozofii i teologii, aż wreszcie 12. Września 1886, za specyalną dyspensą Ojca św. został z braciszka wyświęcony na kapłana. Odtąd ks. Idzi przez 3 lata był jakby prawą ręką O. Wincentego i dobrze mu było przy O. Wincentym, dopóki nie nadjechała nowa Karawana Apostolska z O. Szymonem Kobrzyńskim na czele.

Oto byli wszyscy pomocnicy, jakich O. Wincenty do r. 1887., t. j. do śmierci Generała Semeneńki, rzadko kiedy więcej jak 4 równocześnie miał. A w tym właśnie czasie parafia ogromnie szybko wzrastała: r. 1879. było 517 chrztów, r. 1881. już 988, następnego zaś roku

1882. aż 1,207, a r. 1887. było 1,760 — czyli że w tych 8 latach parafia z 2,000 familii wzrosła do przeszło 6,000 familii. Kościół, górny (ukończony i poświęcony 10. Lipca 1881) i dolny, nie mogły pomieścić tych tłumów. „Górny i dolny kościół ludem nabity wymaga dwóch Wielkich Nabożeństw oprócz trzech kazań. Myślcie o nas, bo księży chcą Biskupi i nasz Arcybiskup, ale **ze Zgromadzenia!**" (O. Winc. 6. Marca, 1882.) „10,000 spowiedzi wielkanocnych.. Arcybiskup obecny (Feehan) ma bardzo prosty system kiedy widzi, że jakie Zgromadzenie ma wielką missyę, a niewystarczające siły, to bierze i bez wielkich pytań rozdziela parafię etc." (A tego się bał ks. Barzyński jak ognia, i pyta:) „ale czy to będzie z pożytkiem missyi tutejszej i z korzyścią dla Zgromadzenia? Lecz z drugiej strony czy to nie będzie słuszna kara? Czyż nie prosimy, aby nam Ojcowie przysłali kogo do pomocy? dla ulgi naszym piersiom ochrypłym i wyschłym głosem już tylko krzyczącym?" (O. Winc. 7. Sierpnia 1882.) Ażeby więc przypadkiem Arcybiskup nie kazał jakiemu księdzu świeckiemu utworzyć nowej parafii, „zmuszeni zostaliśmy do kupienia ziemi i budowania wielkiego domu za $25,000 w północnej stronie parafii, nie chcąc stracić najlepszej cząstki naszej missyi i dostać już przewidzianych najgorszych sąsiadów!" (O. Winc. 30. Sierp. 1883.) „Błagam na miłość Bożą — woła ks. Idzi 31. Marca 1887. już do nowego

Generała Przewłockiego — poślijcie nam kogoś do pomocy, ale tylko **z naszego Zgromadzenia**, innych nie chcemy.... Zgromadzenie bez środków finansowych istnieć nie może, a tu jest źródło, gdzie je czerpać można, ale tylko wtenczas, kiedy będą swoi robotnicy, bo dziś cudzi zrobili, cudzi zjedli, a resztę zabrali; a my to tylko tę krówkę za rogi trzymali, aby ją inni doili''.

Z całego szeregu świadectw tak texaskich jak i chicagoskich Zmartwychwstańców wynikałoby, że świeckie duchowieństwo polskie w Ameryce, niemniej jak i jezuickie, franciszkańskie itd., to były same przeklęte duchy, a Ojcowie to święci aniołowie. Tymczasem, Bogiem a prawdą, przyganiał kocioł garnkowi, a sam jeszcze bardziej smolił. I Nemezys dziejowa, ta straszna bogini zemsty, nie dała na siebie długo czekać. Moc kierowania, nie tylko duszami, ale i opinią publiczną i patryotyzmem przywłaszczali sobie Ojcowie wyłącznie — kto tej wszechwładzy Ojców nie uznawał, ten był i wobec biskupów amerykańskich i wobec Rzymu denuncyowany jako wyklęty, „framason'', „pasibrzuch'', bezbożnik, czy on był księdzem czy cywilnym. Nawet O. Leopold Moczygęba, ledwie przyjął był pasek Zmartwychwstańców, a już tak pisał z Chicago 10. Września 1880: „Obecnie jesteśmy zmuszeni bronić ludu polskiego od zarazy żydów i framasonów, którzy pod płaszczem patryotyzmu chcieliby dostać

moc kierowania ludu.... Na nieszczęście **wiele księży polskich** pomagają im.... Organem tej bezczelnej kliki „Przyjaciel Ludu". Przez intrygi tych bezsumiennych księży (oto dlaczego „Przyjaciel Ludu" jest framasońskim!) Gazeta nasza katolicka nie może dostać takiej liczby abonentów, aby się stosownie opłaciła, przeto Redaktor były, Jan Barzyński, musiał szukać sobie innego utrzymania (mieszka teraz w Nebrasce). Na moje przedstawienie Biskup Krautbauer z Green Bay zakazał Polakom czytać „Przyjaciela Ludu" i łączyć się do Związku N. P., który framasoni formują". I w dalszym ciągu nazywa świeckich księży „duchownymi rozbójnikami" itp. Ale pomimo wyzwisk i wyklinań nieubłagana Nemezys dziejowa dosięgła Ojców i ukarała niepohamowaną ich żądzę kierowania opinią publiczną, tak jak ukarała ich nienasyconą żądzę kierowania duszami z wykluczeniem i odpychaniem innych księży tak świeckich jak zakonnych. Ksiądz Leop. Moczygęba, wiedząc, że się gazeta nie opłaca, wycofał swe pieniądze. „Gazeta teraz (t. j. ja i my) — żali się O. Wincenty 30. Sierpnia 1883. — musiała położyć O. Leopoldowi jego na niej ciążące pieniądze. Wielu jest księży polskich w Ameryce, co tysiące mają, ale na takie rzeczy jak Gazeta Katolicka nie chcą nic dać, wolą powiedzieć: ej co tam, to organ Zmartwychwstańców! Abonentów jest za mało, gdyż są inne dwie gaze-

ty sekretnie przez księży popierane. Lecz niechaj się dr. Ojciec temu nie dziwi, księża polscy w Ameryce są to zbieranina z różnych krajów". A Ojcowie chicagoscy — to byli aniołowie, którzy — nie z różnych krajów się zebrali, lecz — z nieba spadli?!

Pycha odpycha — odpychała od Ojców i księży i cywilnych. A na pomoc własnych Ojców z Rzymu daremnie Ojcowie chicagoscy liczyli, dopóki Generał Semeneńko żył i pięknem za nadobne im odpłacał. Dopiero za nowego Generała Przewłockiego dostali pomoc— ale i wtenczas nie przestała Nemezys dziejowa ścigać Ojców chicagoskich, bo ta pomoc była dla nich — niemocą. Generał Przewłocki wysłał najpierw wizytatora, ks. Tomasza Brzeskę C. R., który tu zarazem miał kolektować na missyę bułgarską. Ks. Brzeska przez lato 1887. wizytował i kolektował, O. Wincenty „nadzwyczaj dobre na mię zrobił wrażenie", a „sama parafia św. Stanisława w Chicago może być wielką pomocą stałą dla Domu Rzymskiego, tylko ją trzeba co najprędzej dobrze opatrzyć: prace wielkie, siły słabe". O. Wincenty zdał mu następujący raport: „Kościół wielki, plebania i dom Sióstr, murowane; dwa domy o 20 klasach, drewniane. Liczba familii **podtrzymujących** parafię około 3,500, czyli blisko 20,000 osób. Dzieci w szkole z górą 2,000, Sióstr 20, nauczycieli 5 i 2 kapłanów litylko dla szkoły. Chrztów rocznie nad 1,600, ślubów

300, pogrzebów do 100. Do spowiedzi wielkanocnej na 13,000 osób. Niewiast Różańcowych na 2,500; w Br. Wstrzemięźliwości na 500 mężczyzn, młodzieńców na 400, a Dziewic Róż. Żywego na 1,500; 12 towarzystw wzajemnej pomocy w przecięciu po 250 ludzi. Oprócz tego szkoła wieczorna dla dziewcząt i osobna dla chłopców. A nadto dom sierót głównie na parafii św. St. K. ciężący. Wartość ziemi należnej do parafii na $30,000, ale dzisiaj dla nas ma wartość podwójną i potrójną. Wartość budynków parafialnych na $200,000. Mamy także drugą parafię w tych ostatnich 5 latach założoną, której wartość jest między 5. a 7. częścią wartości parafii św. Stanisława K. Przychody parafialne w ciągu jednego roku 1886. były w ogólności na $60,000, a wydatki do $40,000, więc $20,000 tysięcy użyto na spłacenie długów kościoła św. Stanisława K. Ale aby zakupić koniecznie potrzebne miejsce na nowo budować się mającą szkołę, pożyczono w Banku na nowo $40,000. Więc znowu dług wrócił na $80,000. Trzeba sił olbrzymich do otrzymania stosownych rezultatów. Przychody naszego Domu w ciągu r. 1886. $10,700, a wydatki $10,350.... Od pierwszego miesiąca mego przybycia do Chicago ciągle zmuszony jestem coś budować i na wielką skalę, a wszędzie ciasno, bo emigracya się ciśnie do Chicago. Każdej niedzieli i święta są dwa razy w dolnym i dwa razy w górnym kościele Msze Wiel-

kie i kazania. Ta praca nieustająca nuży kapłanów świeckich i radzi uciekają na parafie osobne. • My zaś sami nieliczni starzejemy się coraz widzialniej.... Gdzież siły? Parafia a raczej Missya Chicagoska spoczywa **na Waszem sumieniu**". A 18. Października 1887. w liście do Assystenta Generalnego O. Tomasza Brzeski, O. Wincenty znowu woła, błaga i zaklina: „Wie Ojciec, jak to smutnie wygląda w kościele, gdy przy kilku spowiednicach stoją masy ludu i biednych niewiast, oczekując na spowiedników, a stoją uparcie godziny całe, a tu jeden ledwie lub dwóch księży przyjdą.... Któż się może dziwić jeżeli lud szemrze? Owszem, trudno nie podziwiać tej świętej cierpliwości tego biednego ludu. My z naszej strony robiliśmy coraz cięższe wysiłki, byle honor Zgromadzenia utrzymać..... Dalej więc zwlekać z przysłaniem pomocy stosownej, w osobie kilku kapłanów ze Zgromadzenia (C. R.) nie pozwala ani honor, ani sumienie, **ani finanse; dalsza tego rodzaju gospodarka grozi prędkiem bankructwem moralnem i materyalnem.** Powtarzam, wysililiśmy się do ostateczności, a dalej iść.... byłoby prostem szaleństwem i dlatego upraszamy raz jeszcze Przew. O. Assystenta, aby to co sam widział i słyszał, wiernie i otwarcie przedstawił Najp. O. Generałowi i Radnym, aby raz tę missyę św. Stanisława K. w Chicago **albo** z honorem zakończyli **albo** sumiennie się nią zajęli, bo **moje sumienie dalej**

tego stanu rzeczy znieść nie potrafi".... A swoją drogą, O. Wincenty jeszcze teraz dokupuje coraz więcej roli serc ludzkich, choć wie, że sam nie mając dziesięciu rąk, innych rąk także nie ma do jej uprawiania. (Było mnóstwo świeckich księży, ale tym wara od Chicago!) Ks. Kandyd Kozłowski, podpisujący się „tercyarzem OO. Zmartwychwstańców", pisze 5. Listopada 1887. do Generała: „Posyłam znowu msze śpiewne.... O. Wincenty kupił grunta 33 loty pod **nowy kościół polski** w Chicago, już ósmy. Nabożeństwo już się zacznie odprawiać, tylko księży nam brakuje. Kościół św. Trójcy ciągle zamknięty i przy kościele w Town Lake także nie ma księdza. Żeby tak Ojcowie z 10 młodych księży przysłali do Chicago!" Tenże 20. Grudnia 1887. posyłając znowu msze śpiewane, zaprasza Generała do Ameryki i wspomina: „O. Wincenty zrobił kolektę w swojej parafii po domach i zebrał przeszło $10,000. Aż zazdroszczę tej sumy, bo ja zaledwo dostanę w mojej parafii $1,700". Obiecana pomoc z Rzymu jeszcze nie nadchodziła, żądano najpierw pieniędzy na podróż Ojców. „Pisze O. Tomasz (Brzeska),—odpowiada O. Wincenty 15. Marca 1888. Generałowi — abyśmy na podróż księży zrobili kolektę w kościele, ale nie wiecie tam w Rzymie, że Zgromadzenia wtedy mogą jakieś pomyślne kolekty urządzać, jeżeli mają swoich kapłanów, którzy na tej missyi pracują, ale gdy lud znękany jest

łataniną duchowną o półtora Zmartwychwstańca i całkiem niezadowolony z braku księży, to trudno mu coś powtarzać po raz 20-ty, że np księża jadą, przyjadą etc., dajcie na podróż, bo to się działo kilka razy, a skutku nie było. Więc pędzimy ostatkami: jeżeli dobrych trzech, a mianowicie taki doświadczony jak **O. Szymon Kobrzyński** nie przybędzie do pomocy, to ostatecznie ta **komedya Chicagoskiej missyi** musi wziąść koniec. Posyłamy na podróż tych obiecanych Ojców 5,000 lir (są to pieniądze pożyczone i nie pierwsze)". Trafnie O. Wincenty nazwał swą missyę „komedyą"; bo czyż to nie warte śmiechu, że tak ogromną parafię, która już teraz — nie tyle za inicyatywą O. Wincentego ile — własnym swoich składowych części ciężarem rozpadła się na kilka odrębnych parafii, przez tyle lat „półtora Zmartwychwstańca" opatrywało? Lecz była to tragi-komedya, i tylko przysłowiowej cierpliwości ludu naszego zawdzięczać to należy, że nie zamieniła się prędzej jak r. 1894. w tragedyę, i że nie zamieniła się w smutniejszą jeszcze tragedyę!... Brzemię tylu dziesiątek tysięcy dusz, ciążące na sumieniu „półtora Zmartwychwstańca", dało się odczuwać najbardziej w czasie spowiedzi wielkanocnej. To też 18. Kwietnia 1888. O. Wincenty znowu woła do Generała: „o spowiedników! bo to nie żarty mieć na sumieniu odpowiedzialność za jakie 15,000 penitentów.... Nam się całkowicie nie może pomie-

ścić w głowach zamerykanizowanych, jak można tam w Europie dla kilkuset dewotów potrzebować tylu księży wobec tylu zakonów etc. Teraz obok naszej parafii zakłada się nowa parafia i ma bardzo świetną przyszłość, ale Arcybiskup nie może ani myśleć o oddaniu jej nam **wobec takiego zaniedbania** obecnej naszej missyi. Piszę to tylko, aby ktoś kiedyś nie wyrzucał mi, że nie dbałem o dobro Zgromadzenia. Już faktycznie straciliśmy taką piękną parafię św. Józafata i bardzo spokojną!.... Skąd bowiem brać spowiedników? Najemni kosztują nas bajońskie sumy. Czyż nie możecie nam pożyczyć którego z mocnych Ojców na rok, na dwa?".... Nie ma obawy żeby „ktoś kiedyś O. Wincentemu wyrzucał że nie dbał o Zgromadzenie" — owszem, każdy mu to chętnie przyzna, że dbał (po swojemu) o „Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego" **aż za wiele,** a za mało o „zgromadzenie wiernych" Chrystusowych czyli o Kościół. Ale i ten błąd każdy mu wybaczy, boć on, przypuszczamy, że w dobrej wierze, zawsze w całem swojem życiu dobro partykularnego Zgromadzenia swego identyfikował z dobrem powszechnego zgromadzenia wiernych! Był to kardynalny jego błąd, ale właśnie stąd to poszło, że świeckich czy zakonnych księży i cywilnych nie spokrewnionych duchem z partykularnem Zgromadzeniem swojem albo raczej z sobą, uważał już temsa-

mem za wyklętych z powszechnego Zgromadzenia wiernych, za wyklętych z Kościoła!

VIII.

Kobrzyński przełożonym 1888—1896. — Moszyński prokuratorem 1888—1892. — Barzyński niezadowolony z tych reformatorów. — Ich posłannictwo. — Idziego dni policzone. — Chicago wyjęte z pod jurysdykcyi Funkena. — Śmierć Funkena 1888. — Ojcowie chcieliby wszystkie parafie, a nie mają kim obsadzić. — Józef Barzyński na Jadwigowo. — Kandyd Kozłowski zły tercyarz z Józafatowa musi iść. — Lange tymczasowo. — Kobrzyński daremno żąda kasy i rachunków od Barzyńskiego. — Stan finansowy niepokoi Kobrzyńskiego. Missya chicagoska prosta fuszerka. Rachunki zda dopiero na Józafata Dolinie. — Kościół zwany fabryką. — Ludzie posądzają ojców o złodziejstwo. — Idzi wyjeżdża 2. Lutego 1889. — Gordon przybywa. — W Sierpniu 1889. Idzi wraca, ale drogę do Chicago ma zagrodzoną. — Awantury wyprawiane z Idzim. — Idzi kozłem ofiarnym za grzechy Barzyńskiego. — Kościół św. Trójcy otwarto i zamknięto w jednym r. 1889. — Idzi w Grudniu 1889. wypuszczony ze Zgromadzenia.

Nareszcie, po tylu rozpaczliwych wołaniach, w Maju 1888. jedzie z Rzymu karawana apostolska, złożona z ks. Wincentego Moszyńskiego C. R., ks. Kazimierza Skorego, C. R., i brata Ossowskiego C. R., a z tak upragnionym przez O. Wincentego ks. Szymonem Kobrzyńskim C. R. na czele. W niedzielę Świąteczną wypłynęli na morze i zaraz ogromna powstała burza. O. Szymon Kobrzyński uważa tę burzę za karę Bożą za to, że okręt w niedzielę z por-

tu wypłynął, i pełen strachu pobożnego pisze z okrętu 25. Maja 1888. do Generała: „Zdaje się, że Duch Boży, unoszący się nad wodami, zagniewany za gwałcenie tak wielkich świąt, tak silnie poburzył morze. Przyszła mi myśl prosić N. Ojca, by był łaskaw i na przyszłość na tak wielkie święta nie wyprawiał missyonarzy w drogę zwłaszcza na morze.” Ojcowie chicagoscy (t. j. O. Winc. Barzyński i O. Idzi Tarasiewicz) witali tę karawanę apostolską z wielką radością, nie wiedząc, że przyjmują w niej konia trojańskiego. O. Szymon Kobrzyński, opisując wrażenie pierwszej niedzieli w Chicago, powiada: „z nabożeństwami prawdziwa fabryka, a zawsze kościół napchany, jedni wychodzą drudzy przychodzą. Chrzty, pogrzeby, wywody itd. ciągle się odbywają”. Pierwsze imię O. Kobrzyńskiego było właściwie Karol, ale „moje imię Szymon — pisze — tak jest rozpowszechnione iż zdaje się, że i tutaj pozostanę Szymonem, wszystko mi jedno”. W jakim zamiarze przybył ten O. Szymon? czy tylko do pracy? Tak mniemali z początku Ojcowie Wincenty i Idzi. Atoli rzeczywistym zamiarem O. Szymona było, wysadzić Ojców Wincentego i Idziego z Chicago: O. Szymon miał zająć miejsce O. Wincentego, a O. Moszyński O. Idziego. Wszelako O. Wincenty Barzyński zbyt głębokie zapuścił był korzenie w Chicago. Stare drzewo trudno przesadzić. Nawet O. Idzi, choć jako młode drzewko dał się wyrwać,

jednak nie z korzeniami, te bowiem zostawił w Chicago.

Trzeba przyznać, że O. Szymon zabrał się systematycznie do wyrugowania dotychczasowych Ojców z Chicago. Najpiew odciął ich od prowincyała Funkena, który, jak wiadomo, zawsze stawał po stronie O. Wincentego, ilekroć Generał chciał wycofać tego ostatniego z Chicago. „Dom Chicagoski oddzielony od Kanady" — pisze O. Szymon 1. Czerwca 1888. O. Szymon, z rozkazu Generała, objął sam przełożeństwo nad domem chicagoskim. O. Funken też niebawem wziął się i umarł, a O. Szymon był na jego pogrzebie 26. Lipca 1888. Odtąd Ojcowie Wincenty i Idzi zdani byli całkiem na łaskę i niełaskę O. Szymona, który prawdziwie zaczął „rządzić laską żelazną" (Ps. 2,9). Dotychczas O. Wincenty figurował jako manażer na „Kropidle" (zob. Tom V.), teraz „zgadza się na złożenie tego menażerstwa", i „już parę numerów Kropidła wyszło bez jego nazwiska, dziennik jest spokojniejszy i zaprowadzona lepsza administracya". Dotychczasowi „pomocnicy", O. Franciszek Breitkopf i ks. Stan. Baranowski, ulatniają się z Chicago; a „ks. Leopold Moczygęba — pisze O. Szymon — choć młody jeszcze, nie zaniedbuje być tem, czem pokazuje jego nazwisko". Ale przedewszystkiem szło o usunięcie O. Idziego z prokuratorstwa, który był prawą ręką O. Wincentego. O. Moszyński, którego przeznaczono na prokuratora

domu, skarży się 16. Czerwca 1888. do Generała: „Dotychczas nie objąłem urzędu prokuratora. O. Idzi potrzebuje czasu na uregulowanie rachunków. Nie bardzo chętnie jestem tu widziany. O. Barzyński jest pełen dobrych chęci, ale O. Idzi, jak słyszałem, chciał wystąpić ze Zgromadzenia, dowiedziawszy się, że kto inny obejmie prokuratorstwo". „Ekonomia jeszcze bardzo kuleje — donosi O. Szymon 28. Lipca 1888. — Wprawdzie od 1. Lipca prokuratorstwo objął O. Moszyński, pensyi jednakże jeszcze doczekać się nie możemy, bo O. proboszcz (Wincenty) z O. Idzim powiadają, że muszą uregulować kasę kościelną, a i niektóre długi popłacić. Jura stolae niby są już w naszych rękach, ale i tu jeszcze jest wiele niedokładności. Dziś miałem krótką konferencyę z O. Barzyńskim i O. Idzim, w delikatny sposób oświadczyłem im, iż zdaje mi się, że moje przełożeństwo może im jest przyciężkie, ale ja przyjąłem je jedynie z posłuszeństwa: oświadczyli mi się z miłością i uległością, zwłaszcza O. Barzyński". Ojcowie Wincenty i Idzi teraz tej pomocy, jaką im Rzym przysłał, chętnieby się byli pozbyli. Ale za to O. Szymon woła teraz 3. Sierpnia 1888. do Generała o pomoc, bo „O. Idzi daleko więcej jest chory i fizycznie i moralnie niż O. Wincenty, i dla tamtego daleko więcej by się przydał wypoczynek w Rzymie i odnowienie na duchu. Prawda, że i O. Wincentemu bardzoby się przydał wypoczynek

i odnowienie na duchu, ale Jego daleko trudniej byłoby zastąpić niż O. Idziego. Trudno dojść do porządku z funduszami Zgromadzenia, ale jeżeli Ojciec nie da nam pomocy natychmiast, to trudnoby było na razie nawet O. Idziego zabierać. Co do O. Winc. Barzyńskiego, to daleko korzystniej dla nas by jeszcze z nami pozostał, gdyż bez niego nie dalibyśmy sobie rady, a i za nadto wielkie hurto byłoby pomiędzy parafianami zabierać go teraz. Wspomniałem, że O. Idziego można by dać do owej nowej parafii (św. Jadwigi), i rzeczywiście z pomiędzy naszych odpowiedniejszego dziś nie ma, ale się obawiam czy i tam później w ekonomii nie okażą się jakie niedokładności, a z człowiekiem, jak O. Idzi, choć mającym dobre serce i chęci ale łatwo się obrażającym, nie łatwa sprawa. Proszę o ludzi, ale wyrobionych zakonników, bo przy tutejszych stosunkach niebezpiecznie mieć młodych, nawet O. Kazimierz coraz bardziej przejmuje się duchem amerykańskim". „Gdybyśmy byli mieli w swoim czasie kim z naszych obsadzić św. Józafata, mielibyśmy z tą parafią zupełny spokój. Kaszubi są spokojniejsi i uczciwsi niż inni, zwłaszcza Galicyanie, jakich mnóstwo mamy w naszej parafii i ogromnie nam bruźdżą — dziś u św. Józefata ex-kapucyn ks. Kandyd Kozłowski ciągle przeciwko nam burzy, odmawia kandydatów dla Zgromadzenia, nieustanne starania robi u Biskupa by mu dał wikarego świeckiego, by się zupeł-

nie zapewnić przy tej parafii, nadto podmawia wielu świeckich księży by się u biskupa starali o nową parafię św. Jadwigi. Otóż, jak gwałtownie potrzebujemy pomocy, by z samego początku obsadzić naszymi św. Jadwigę, zwłaszcza, że ta parafia po św. Stanisławie będzie większą niż inne w Chicago. Nadto, że w tej parafii jest obecnie wiele gruntu do kupienia.... by można urządzić nowicyat, bo przy św. Stanisławie nie ma się gdzie rozszerzać. Moglibyśmy mieć wielu kandydatów, gdybyśmy mieli nowicyat tutaj". „O. Idzi parafii św. Jadwigi nie objął. „Parafię św. Jadwigi — pisze O. Szymon 29. Października 1888. — obejmuje ks. Józef Barzyński, jest on jedno z nami, więc ta parafia pozostanie później przy nas". O. Idziego stanowisko zostało już podminowane. „Prawdą jest — pisze ks. Moszyński 8. Sierpnia, 1888. do Rzymu — że Chicagoska missya może być kopalnią dla domu rzymskiego, ale nie przy takich warunkach jak obecnie. O. Idzi bruździ nam tu bardzo, gdyby go można zabrać do Rzymu, a O. Augusta Mossing tu przysłać". O. Idzi, po oddaniu prokuratorstwa ks. Moszyńskiemu, został był ekonomem. „O. Idzi jako ekonom domu zarządza braćmi i gospodarstwem; fundusze wszakże ma brać od O. Prokuratora i jemu per capita rachunki miesięczne do zapisania w księgi dawać". Skargi na O. Idziego szły do Rzymu. Dnia 21. Października 1888. O. Idzi miał list z Rzymu, w którym

mu donoszono, że został oskarżony. A 5. Listopada 1888. pisze O. Szymon do Generała: „Gdym chciał, wedle rozporządzenia N. Ojca, nacisnąć i wysłać O. Idziego, proboszcz (O. Wincenty) się opiera temu, iż sam nie będzie w stanie do porządku sprowadzić rachunków. Zabierać ich do Rzymu, przed uporządkowaniem rachunków trudno, gdyż tak porozrzucane są, iż tylko oni sami mogą jakoś dojść do ładu, mybyśmy sobie rady nie dali, i nie tylko byśmy byli narażeni na bankructwo, ale nadto obwołani za oszustów, złodziei etc. Jak sam proboszcz z O. Idzim dojdą do ładu, nie wiem, ale im, którzy tyle lat gospodarowali, łatwiej jakoś usprawiedliwić się z dochodów i wydatków, niż nam, którzy pod tym względem jesteśmy jak tabaka w rogu. Prędzej czy później Zgromadzenie odpowiadające za żywych członków, ogromnie by mogło być skompromitowane; bo choć i komitet jakieś utrzymuje rachunki, jednakże kasa w ręku księży i oni mają wszelkie rachunki dochodów i rozchodów, a więc księża muszą się usprawiedliwiać. Po wielu innych parafiach z podobnego nieporządku wiele było niejasności i niektórzy księża musieli ustąpić z miejsc swoich z opinią u ludzi, że byli złodzieje". „Dobrzeby było, gdyby Ojciec (Generał) sam przybył lub przysłał energicznego Wizytatora, któryby dopomógł wprowadzić ład w rachunkach i ekonomii, ja ciągle proszę i błagam O. Barzyńskiego, trudno mi się doprosić, on

nawet zrobił mi wymówkę, iż zanadto zachorowałem na przełożeństwo". O. Wincenty i O. Idzi nie spieszyli się z uregulowaniem rachunków, bo wiedzieli dobrze, że gdyby uregulowali rachunki, powiedziano by im: teraz was więcej nie potrzebujemy, wynoście się z Chicago! Atoli O. Idziego godzina już wybiła, Generał powołał go do Rzymu. Więc O. Wincenty 11. Listopada 1888. pisze do Generała: „O. Idzi dlatego nie może w tej chwili odjeżdżać, że byłoby to krokiem niewłaściwym. O. Idzi przeszło 2 lata prowadził rachunki z kilku departamentów różnych jako to: parafialne, szkolne, brackie, sierot, domowe, kościelne i inne drobniejsze, nie może więc wyjechać bez ich oddania w porządku właściwym. Nie mógł zaś tego zrobić dotąd, bo najprzód nie wiedzieliśmy, że go N. Ojciec powoła do Rzymu, a powtóre w tych ostatnich miesiącach zbierał kolekty po domach na nowy kościół św. Jadwigi, pracował cały miesiąc ze mną nad loteryą fantową dla sierot, a teraz znowu chodził po kolekcie na spłacenie długów kościoła św. Stanisława. Jednem słowem pracował ciężko. Nadto, wyjazd jego wobec zaniedbanych wielu prac missyjnych, jak szkoły od 2.500 dzieci i tp. jest nader zagadkowy. On jest bardzo takiem postępowaniem rozdraźniony i nie widzę przyczyny dlaczegobyśmy mieli wystawiać go na ostateczną próbę w tej chwili? a może i siebie narażać na niepotrzebne kłopoty nowe? Missya nasza jest bar-

dzo wielką, ale siły obecne tutaj użyte stosunkowo ani w połowie nie wystarczają, ot prosta fuszerka. Siły moje dość podszarpane, ale odpowiedzialność bardzo wielka". Nic nie pomogło wstawiennictwo O. Wincentego; O. Idziego telegramem odwołano do Rzymu. „Na wezwanie telegramem O. Idziego — donosi O. Szymon 26. Listopada 88. — bardzo silnie się oparł O. Wincenty Barzyński. Proboszcz (O. Wincenty) politykuje, wyszukuje rozmaite powody, by zwlekać i na czasie zyskiwać; nie chce mu się z rąk wypuszczać wszystkiego, sam rady sobie nie da, dlatego gwałtem zatrzymuje O. Idziego". I pomimo, że w tym samym czasie, w połowie Listopada 1888., przysłano z Rzymu dwóch nowych, ks. Teofila Szypkowskiego C. R. i nie umiejącego po polsku ks. Edwarda Głowackiego, C. R., O. Idzi pozostał jeszcze w Chicago. „Proboszcz (O. Wincenty) — pisze O. Szymon 3. Stycznia 1889. — ma zdolności niemałe do prowadzenia i kierowania parafią, ale jest wielkie nieszczęście, iż zanadto czuje swe zdolności, wszędzie chce być pierwszym i wszystkiem kierować, a przytem lubi i szastać pieniędzmi; sam nie ma nic wprawdzie, ale gdy co bierze, to nie zdaje się by się targował; a kto zna jego słabość, może wiele korzystać. O. Idzi, zdaje mi się i są niejakie poszlaki, iż na wszelki przypadek musi dla siebie mieć jakiś kapitalik gotowy, zapewne wielkie trudności będzie stawiał co do swego wyjazdu, ale gdy

Arcybiskup powiadomiony, o czem nie wie O. Idzi, to z Chicago będzie zmuszonym wyjechać, chyba, że się zahaczy o Kanadę, ale i tam powiadomiemy, iż go N. Ojciec powołuje do Rzymu. Tak więc, ma drogi pozagradzane. Wczoraj proboszcz otrzymał list N. Ojca, co w nim jest, nie chwali się, wspomniał mi tylko, iż ów list pokaże O. Idziemu, żeby się tamten przekonał jakiego dostał nosa za niego. Wielce zgubna jest przyjaźń O. Idziego z ks. Zaleskim". „Od Nowego Roku — pisze 9. Stycznia 1889. ks. Moszyński — przyjąć musiałem kasę kościelną, dotychczas miał ją O. Idzi. Teraz mam sposobność przekonać się, jakie to sumy wpływają z tutejszej parafii. Doprawdy, że dziwnem się wydaje jak przy takich kolosalnych dochodach można jeszcze mieć $80,000 długu na kościele. Pan Walenty, brat O. Szymona, pracuje w naszej kancelaryi, teraz porządkuje księgę ludności parafialnej; praca to zmudna, ale na niej cała maszyna ma się obracać. Przydałoby się tu jeszcze ze 6 ojców i braciszków". Przysłany przez Generała wizytator, O. Dawid Fennessy C. R., „przybył 21. Stycznia, wziął do siebie O. Idziego. Kasę coraz więcej proboszcz oddaje O. Moszyńskiemu, ale tylko od Nowego Roku, nawet Bankowe. Bank po Nowy Rok itd. trzyma proboszcz pod kluczem, czy po złożeniu rachunków O. Dawidowi odda i czy całą kasę dawną odda, zobaczymy. Wczoraj i dziś O. Dawid ma z proboszczem konferencye, nie

wiem jak się to skończy, ale myślę, że proboszcz znów dyplomatycznie kręcić będzie, by nie ze wszystkiem i dość jasno się wytłómaczyć, wątpię czy cała kasa przyjdzie pod nasz zarząd. Zupełnie dokładnych rachunków nie dostaniemy, byle tylko wykazali długi, oddali kasę, którą mają.... O wszystkich dochodach i wydatkach Bóg wie i oni sami; o tem chyba się dowiemy dokładnie na Józafata Dolinie.... Zdaje mi się, że O. Idzi, po wypróbowaniu go i poprawie, wiele rzeczy nieznanych dotąd O. Generałowi wyśpiewa"... Co do ostatniego zdania, mylił się O. Szymon, gdyż O. Idzi nie zdradził w niczem O. Wincentego, pomimo, że sam Generał obiecał nie ruszać go z Chicago jeśli tylko stanie po stronie O. Szymona, a opuści O. Wincentego. O. Idzi stał twardo przy O. Wincentym, czego nie możnaby na odwrót powiedzieć, chociaż O. Idzi nie tylko za swoje, ale i za O. Wincentego grzechy pokutować musiał. Nie mogąc dosięgnąć O. Wincentego, zemszczono się na O. Idzim jako na koźle ofiarnym.

Wizytator O. Dawid wreszcie nakłonił O. Idziego do wyjazdu i uwiadomił 24. Stycznia 1889. O. Generała: „O. Idzi wyjedzie w 8 dniach do Rzymu, przyjmijcie go z dobrocią ojcowską. Mam zupełne zaufanie w O. Barzyńskim". Nie podzielał tego zaufania O. Szymon: „O. Dawid całą sprawę rachunków prowadził sam z proboszczem sekretnie przedemną, nawet raz gdym przyszedł wtedy gdy rachunki

robili, O. Dawid prosił mię bym ich zostawił samych, tylko pokazał mi en gros rachunki dane mu przez proboszcza po angielsku i powiedział, iż mi je przyszle przetłómaczone z Kentucky”.. Rozeszła się wieść, że O. Idzi ma wyjechać. „W tych dniach — pisze ks. J. Radziejewski 29. Stycznia 1889. do Rzymu — ma wyjechać O. Idzi do Rzymu, lud się na to bardzo oburza i słusznie, bo lubi słuchać słowo Boże, a tylko O. Wincentego i O. Idziego słyszeć można w kościele, innych nie można dosłyszeć. Znam ja doskonale powody, dla których O. Idzi został do Rzymu powołany. Fałszywe oskarżenia nie powinny wywoływać nigdy fałszywych sądów. Już na samą wieść o odjeździe O. Idziego lud oburzony przyszedł na plebanię i chciał bić O. Moszyńskiego, myśląc, że on jest przyczyną odjazdu Idziego. O. Szymon jedynie tem zdołał uspokoić lud, iż mu przyrzekł solennie, że O. Idzi niedługo wróci”.... O. Szymon był w niemałym strachu i prosił był O. Dawida, by został przy nim aż do wyjazdu O. Idziego i uspokoił wzburzony lud. Atoli O. Dawid, nie chcąc pić piwa, którego O. Szymon nawarzył, opuścił czemprędzej Chicago. „Błagałem O. Dawida, by nie wyjeżdżał od nas, dopóki nie wyprawi O. Idziego, nic nie pomogło. Zaledwie wyjechał O. Dawid w sobotę, a w godzinę potem przybyła Deputacya; nazajutrz w niedzielę 27. b. m. liczniejsza ze znakomitszych parafian. Wieczorem brat Ferdynand przyniósł wiadomość, iż

wielu z zagorzalszych parafian odgrażają się, iż bić będą mnie i O. Moszyńskiego, mówili „iż teraz odwołujemy O. Idziego, a niedługo i proboszcza, wtedy i parafia się rozpryśnie; ja powiedziałem, że parafiami Pan Jezus rządzi. Doniesiono mi, iż zbiera się deputacya tak księży jak świeckich do Arcybiskupa. Zaraz nazajutrz w poniedziałek, nic w domu nie mówiąc, udałem się do Arcybiskupa, zastałem już tam ks. Wiktora Zaleskiego. Opowiedziałem Arcybiskupowi o delegacyach, on: nic nie szkodzi, niech przyjdą; on im powie, iż O. Idzi winien słuchać władzy zakonnej.... Wieczorem znów delegacya i legion „Maryi" — aby uniknąć większego zamieszania, musiałem im przyrzec, iż później będę pisał do O. Generała, że parafianie pragną mieć O. Idziego napowrót. Oto widzi N. Ojciec, jaki mi przysmak zostawił O. Dawid. O. Idzi chodząc po domach z pożegnaniem zapewne zbierze sobie dobry grosik". Widząc, jak trudno było wydostać O. Idziego, O. Szymon już teraz przestał myśleć o rugowaniu O. Wincentego z Chicago. „Wyjazd O. Idziego wiele wyjaśnił stanowisko naszych Ojców: jeśli O. Idzi takie zaufanie, miłość i szacunek pozyskał u ludzi, pracując jako kapłan zaledwie od paru lat, jakież to zaufanie i szacunek pozyskał O. proboszcz, pracując niezmordowanie i bez porównania więcej od O. Idziego lat 14; nas ludzie dopiero teraz poznają". O. Idzi 2. Lutego 1889. z Chicago wyjechał do Rzymu. A

już 30. Marca 1889. O. Wincenty do Generała: „słusznie zabraliście O. Idziego". Przyjaźń znikła jak marcowy śnieg! Ale Generał chciał O. Idziego napowrót przysłać do Chicago, gdyż już 24. Kwietnia 1889. O. Szymon do Generała: „Pisze Ojciec, iż chce nam zwrócić O. Idziego najdalej w Sierpniu, ja bardzo się obawiam, iż to jest zanadto prędko. Ojciec go nie zna, musiał się zapewne ułożyć jak szczwany lis.... i ze mną w ostatnim czasie uległego udawał, a w początkach naszego przybycia, jak mi raz wspomniał O. Barzyński, ten sam O. Idzi namawiał go, by się obydwaj trzymali za ręce, a my nic nie będziemy mogli dokazać. Na wszystkie reformy, jakie zaprowadzałem, on najwięcej przeszkód stawiał. Co do parafii św. Trójcy, to o O. Idzim ani myśleć nie można: z powodu jego rozrzutności ciągle nas posądzają ludzie o złodziejstwo, i do dziś dnia kasy kościelnej nie możemy dostać. Choć u nas ogromna bieda o księży, i O. Idzi jest bardzo obrotny.... byłoby dlań bardzo korzystnem wysłać go do Bułgaryi, by tam zaznał dobrej biedy. O. Marszałkiewicz, dobrze, niech przybędzie. Jeśli O. Gordon jest dobrym i wyrobionym zakonnikiem, proszę o niego jak najprędzej, może on korzystniej wpłynie na O. Kazimierza". A O. Moszyński 16. Maja 1889. grozi Generałowi: „z przyjazdem O. Idziego złożę mu urząd prokuratorski i o żadnych finansach nie chcę wiedzieć. Projekt, aby O. Idzi albo O. Gordon

mógł zająć parafię św. Trójcy, jest całkiem niemożebnym". Zatem projekt Generała wysłania O. Idziego z powrotem do Chicago, musiał upaść; natomiast w Czerwcu 1889. przybywa, razem z Nazaretankami i bratem T. Pieczarek, O. Gordon, na okręcie „mszę mając w matki Siedlickiej kajucie". Nowowyświęcony O. Gordon odprawił swe prymicye w Chicago i objął ekonomię domu. Tymczasem O. Idzi został w Krakowie i stamtąd 28. Czerwca 1889. pisał do O. Lewis: „O. Generał mówił mi: jeżeli ja stanę odrazu po stronie O. Szymona a opuszczę O. Barzyńskiego i tylko z O. Szymonem będę trzymał, to nigdy nie będę do Europy odwołany. Lecz piszą mi ciągle, że ty z Barzyńskim macie spisek i że ja stanowczo muszę zerwać z tą partyą. Co ty myślisz o tem? Ja nic więcej nie powiem; ale czekam, a jeśli tak samo będzie, to opuszczę zgromadzenie. Ty mię znasz!? Ja nie mogę więcej".... I oto w Sierpniu 1889. O. Idzi wraca (na własną rękę) do Ameryki. O. Szymon 27. Sierpnia 1889. do Generała: „Ojciec pisze, że O. Idzi otrzymał telegram z podpisem Victor (to Zaleski, wikaryusz ks. Radziejewskiego). Zapewne ci panowie wiele mogą działać i na swą rękę, ale nie ręczę, czy wielu rzeczy nie robią z porozumieniem się z O. Barzyńskim. O. Barzyńskiemu gospodarstwo tak niezależne O. Moszyńskiego wielce się nie podoba; proboszcz, który dawniej był panem wszystkiego, dziś tak ogromnie ści-

śniony. Otrzymawszy telegram o ucieczce O. Idziego, zaraz byłem u Arcybiskupa i drogę O. Idziemu zagrodziłem. Lecz jeśli O. Idzi będzie w Ameryce, a u nas w domu nie będzie dobrej harmonii, szczególnie z proboszczem, to kto wie czy O. Idziemu nie uda się sztuka dostać się i do Chicago, ma wielu przychylnych tak między duchowieństwem jak i świeckimi, gdy jeszcze będzie miał po swej stronie i O. Barzyńskiego, który ma największy wpływ i znaczenie u Arcybiskupa, to może mu się i udać dostać do Chicago. Oto mamy świeży dowód, jak nie ma błogosławieństwa Bożego w robieniu z braciszka księdza". Kiedy O. Idzi stanął w Chicago, kościół św. Trójcy na nowo zamknięto. „Ks. Idzi — pisze O. Szymon 3. Września 1889. — bawi w Chicago dni kilka w hotelu na 17. ulicy, blisko ks. Radziejewskiego, zaraz był zawezwany przez Jankowską i innych"; „u ks. Radziejewskiego obchodził swe imieniny, potem udał się do Milwaukee, tam księża, prawie wszyscy rozmaite exy, wystarali się o przyjęcie przez Biskupa i już miał otrzymać jakieś miejsce, gdy w tem nadszedł list O. Funkena (Ludwika) i wszystko zepsuł. Po nieudaniu się, pisali ciż księża do proboszcza, że na co prześladuje Zgromadzenie ks. Idziego, że innych nie suspendowano, tylko jego i inne rozmaite bzdurstwa. O. Barzyński pojechał do Milwaukee i nakłonił O. Idziego by pojechał do Kanady. Gdy (po drodze) przybył O. Idzi do Chicago,

wiele dziewczyn przybyło na jego powitanie, z mężczyzn nikogo nie widzieliśmy". O. Wincenty Barzyński 29. Września 1889. do Generała: „Co do historyi O. Idziego, jakkolwiek ona jest bardzo smutną i bolesną, to jeżeli Kanadę całkiem uniewinnimy, która go miała w ręku lat cztery, wtedy musimy powiedzieć, że gdyby w Domu Chicag. był choć jeden z Ojców z Zgromadzenia przy mnie nad sławnego O. Henryka Cichockiego, to może i O. Idzi nie dałby się zaczarować starej brzydkiej i głupiej babie. Nie oskarżam go tutaj o nic więcej jak o jego całkiem niestosowne do niej przywiązanie i pozwalanie sobie niepotrzebnych wizyt. Ztąd inne nieporządki. Byłem w Milwaukee i przyjąłem rozmowę z O. Idzim wobec księży milwauckich i tak go skonfundowałem za wszystkie jego niekonsekwencye, że zawstydzony postanowił wrócić do Kanady. Nie wiem czy wytrwa te pokuty, jakie by mu były bardzo potrzebne". Et tu Brute contra me — mógł zawołać Idzi. Z St. Agatha, Canada, O. Idzi 16. Września 1889. pisał do Generała, prosząc „najpokorniej o zdjęcie z niego suspenzy i uwolnienie od ślubów. Przyczyną uwolnienia od ślubów niech będą: starzy moi rodzice, potrzebujący mej pomocy". Wszelako dyspensa od ślubów nie nadchodziła, minął Wrzesień i Październik, a O. Idzi w St. Agatha zostawał w zawieszeniu. O. Teobald Spetz, C. R., pod którego kuratelą zostawał, wyraża się:

„P. Egidio e una testa dura e matta. Mi pare davvero che gli manca qualche cosa al cervello”. Ale bo też można było zwaryować. Ks. Idzi prosił, by z St. Agatha przeniesiono go do Berlina gdzieby był blisko doktora. Na to O. Teobald Spetz 11. Listopada 1889. odpowiedział mu: „Słyszę, że chcesz być w Berlinie blisko doktora. Żałuję, że O. Ludwik Funken wyraźnie zakazał nam trzymać cię tutaj. Czemu nie idziesz do Milwaukee? Tam byś miał lepszą kompanię itd.”. Ks. Idzi wziął tę ironię za rozkaz i — całkiem posłuszny — udał się natychmiast do Milwaukee, gdzie tym listem ks. Spetza do żywego poruszył księży milwauckich. „Ks. Idzi — pisze O. Szymon 22. Listopada 1889. do Generała — znowu w Milwaukee. W Kanadzie traktowali go nie po ludzku, nawet nie pozwolili komunii św. przyjmować modo laicali, przytem nie pozwolono mu przyjechać do Berlina nawet dla zobaczenia się z doktorem; był w St. Agatha na wygnaniu pod rządem jednej baby, która jak psu jedzenie mu podawała etc. — tak opowiadali z wielkiem oburzeniem księża z Milwaukee wczoraj do nas przybyli, było ich 3 i czwarty z Otis ks. Raszkiewicz, a zarazem prosili by się wstawić do Ojca, aby ks. Idziego uwolnił od Zgromadzenia i zdjął z niego suspenzę, aby tenże wpadłszy w rozpacz nie zechciał na wzór ks. Kolasińskiego zaprowadzić gdzie nowej schizmy. Jeśliby Ojciec miłosnem ojcowskiem

pismem mógł ściągnąć ks. Idziego z Ameryki do Europy, toby było najkorzystniejszem i dla nas i dla niego. Obecnie krąży po Chicago ex-Zmartwychwstaniec Henryk Cichocki i sprzedaje obrazy kościoła, szkoły etc. mającego się budować w Buffalo. Rozmaici exy, ex-Zm. Cichocki, Wieczorek etc., ex-kapucyn Kozłowski, ex-reformat Możejewski etc. etc., zdaje się ciągle podburzają parafian św. Trójcy, aby stali uparcie przy swojem. Arcybiskup dotąd stoi stale.... Na adresie niech N. Ojciec ani sam nie kładzie i drugim Ojcom zaleci by nie pisali „Resurrectionists", bo tak nazywają tych co wykradają ciała zmarłych ze cmentarzy, ale „de la Resurrection de N. J. Chr.". Tak tedy Ojcowie, którzy przedtem „zagradzali" drogi ks. Idziemu, gdzie tylko mogli, teraz wobec energicznej postawy księży świeckich spuścili z tonu. O. Żwiardowski z Chicago 1. Grudnia 1889. do Generała: „mam tu prośbę w Imię Ukrzyżowanego, Zmartwychwstałego i siedzącego po prawicy B. P. n. J. Chr., ażeby raczył jak najprędzej zmiłować się i skończyć z ks. Idzim, choćby telegramem nadesłać mu dyspenzę. Księża świeccy podali sobie ręce i przyrzekli:

Że jeżeli do Bożego Narodz. suspenza z ks. Idziego nie będzie zdjętą, to wtedy zrywają z nami na zawsze stosunki i będzie ich zadaniem ażeby każdego księdza świeckiego skierować przeciwko nam." Zmiękł i O. Szymon 2. grud.

89. do „Gen: „Z tym człowiekiem (O. Idzim) łagodnością można było więcej zrobić niż ostrem odstręczeniem. Dziś O. Teobald Spetz prosi mię, bym się postarał O. Idziego, jeśli wiem gdzie się znajduje, nakłonić by wracał do Kanady. Po takiem traktowaniu, jak go traktowali Ojcowie w Kanadzie, próżne są pokusy skłaniać go by tam jechał, tem bardziej, że go gorąco w swą opiekę wzięli księża świeccy, i nie tylko sami są nam nieprzychylni i gdzie mogą szkodzą — sam Arcybiskup, choć nam był zawsze szczerze przychylnym, dziś już nieco jest chłodniejszym dla nas. Niech więc Ojciec robi co Duch św. podyktuje z ks. Idzim.'' Teraz więc dopiero O. Generał ma robić, co Duch św., a nie co O. Szymon podyktuje. Zmiękł i O. Wincenty 10. grudnia 89. do Generała: „Z bardzo ważnych powodów ośmielam się zwrócić uwagę na to, że żadną miarą nie wypada na te nadchodzące Święta P. zostawić na szubienicy (cenzur) byłego czy przyszłego Zmartwychwstańca, mówię o ks. Idzim. Dlaczego przymuszać go do ostateczności? W Stanach Zjednoczonych od najniższego do Najwyższego, każdy łatwiej to uzna za tyranię... aniżeli za coś lepszego. Sam Episkopat tutejszy w takich razach skłonniejszy jest do łagodności.. Na tej drodze my też dzisiaj zwycięztwa nie odniesiemy... Choćby więc drogą telegraficzną niechaj N. O. spuści go z łańcucha cenzur''... I spuszczono go. Dnia 14. stycznia 1890. donosi O. Szymon: „Z ks. I-

dzim sprawa skończona, napisałem jego opiekunom do Milwaukee, że już Zgromadzenie nie ma nic do niego, że jest zależnym od Propagandy, niech sobie robią co chcą z tym fantem.” O. Idzi Tarasiewicz pracował odtąd w Milwaukee aż do swej śmierci (r. 1903.), najpierw jako asystent przez 3 lata, a potem jako proboszcz i założyciel parafii św. Kazimierza przez 10 lat.



Kościół św. Józafata w Milwaukee, Wis.

IX.

Barzyński nieusuwalny. — Zaprzepaszcza pieniądze, więc Moszyński, pokryjoma wysyła je do Rzymu, żeby przynajmiej dom rzymski miał jakąś korzyść. — Barzyńskiego czek jak przyjęty przez Generała? — Barzyński podminowany. — Moszyński ma sekretne instrukcye od Generała. — Barzyński i Kobrzyński na jednym stołku siedzą? — Długi ogromne olbrzymieją jeszcze bardziej, gdyż każdy z ojców gospodarzy na własną rękę. — Barzyński gani Moszyńskiego, a Moszyński Barzyńskiego. — Długi Banku są zagadkowe i niepokoją ojców r. 1890. — Tajemnicy długów bankowych z Barzyńskiego wydobyć nie mogą. — Wiara i Ojczyzna się nie opłacała, więc zakładają roku 1890. Dziennik Chicagoski, który ma ich wygrzebać z długów. — Dziennik własnością ojców. — Moszyński wyjeżdża r. 1892., a Kasprzycki prokuratorem. — Ten trzyma z Barzyńskim. — Nowy plan usunięcia Barzyńskiego nie udaje się, ale za to udaje się plan usunięcia Gordona. — Parafia ma półtora razy tyle ludności co miasto Lublin. — Ojcowie nie dziw że pieniądze bo i głowę tracą z nawału pracy. — Gwałtu, księży! księży! wołają — a księży świeckich odpychają, bo ci kosztują — wara innym księżom od Trójcowa! — Józafatowo obsadzają Langem, ale dlaczego? — Jaką opinię w Rzymie wyrabiają księżom świeckim. — Ojcowie wystrzegają się księży świeckich bardziej niż niewiast!.... — Expansyjna polityka ojców jest karygodną — Burmistrz musi ojców uczyć porządku. — Ojcowie pewni, że Satolli przydzieli im Trójcowo r. 1893.

Głównym powodem usunięcia O. Idziego z Chicago były niedokładności rachunkowe, za które nie tyle sam O. Idzi, ile O. Wincenty był odpowiedzialny. Ale odniósłszy takie iście Pyrrhusowe zwycięztwo nad O. Idzim, zostawiono już O. Wincentego we względnym spokoju; domagano się jeszcze od niego, choć już nie tak na

trętnie, by oddał kasę kościelną, zwłaszcza ów zagadkowy Bank Parafialny, ale wolał O. Szymon raczej ryzykować i bank i kasę, aniżeli pokusić się o wysadzenie O. Wincentego z Chicago. Wprawdzie od Nowego Roku 1889. kasa kościelna przeszła w ręce reformatorów O. Szymona i O. Moszyńskiego, ale stara kasa, tj. co wpłynęło przed rokiem 1889., oraz cały Bank, pozostał i nadal pod kontrolą O. Wincentego. Z nowej gospodarki O. Wincenty był bardzo niezadowolony: bo podczas gdy O. Idzi był prawą ręką O. Wincentego, to O. Moszyński, który po O. Idzim objął prokuratorstwo, stał się w prowadzeniu finansów głową niezależną od O. Wincentego, wydając z kasy pieniądze bez wiedzy proboszcza. Dawniej O. Wincenty, oprócz skarg i zażaleń, do Rzymu nic nie posyłał; a O. Moszyński, zostawszy prokuratorem, posłał na Dom Macierzyński w Rzymie: $3,230 w r. 1888; a $9,110 w r. 1889; zaś $12,113 w r. 1890 i tak dalej crescendo — a wszystko to po za oczami proboszcza O. Wincentego. Przeczuwał to od początku O. Wincenty instynktownie, że nowi reformatorzy zabiorą się do jego kasy, i dlatego tak niechętnie pozbywał się O. Idziego, który w jego ręku powolnem był narzędziem; czuli i reformatorzy, że głównie O. Idzi stoi im na przeszkodzie, i dlatego poruszyli wszelkie sprężyny, by go usunąć. O. Moszyński, posyłając pieniądze na Dom Rzymski, pisał 26. grudnia 1888. do Generała: „Smutna rzecz kie-

dy człowiek musi się ukrywać przed swoimi, ale niestety nie ma rady; bo gdybym chciał czynić z ich wiedzą (O. Wincentego i O. Idziego), to by mi nie pozwolili posyłać, a rezultat byłby taki, że pieniądze by poszły bez żadnej korzyści, jak niestety wiele ich tak przechodzi, niech więc choć nasz dom rzymski ma z tego pomoc.''

O. Wincenty, słysząc ustawiczne skargi, że dom rzymski potrzebuje a on mu nic nie posyła, zdobył się raz na akt heroiczny i posłał $1,000 wraz z takim liścikiem 18. grudnia 1888. do Generała: „Tutaj przesełamy check na $1,000 na rachunek studentów Chicagoskich w domu Rzymskim. X. Winc. Barzyński, C. R.'' Sumka była tak grzeczna, ale liścik niegrzeczny; dlatego sumkę O. Generał zatrzymał, ale liścik O. Wincentemu odesłał z następującą burą: „Rzym, 2. Stycz. 1889. Kochany O. Wincenty! Na odwrotnej kartce listu Twego dokumentnie najprzód stwierdzam odbiór wekslu na $1,000, za które pięknie dziękuję. Pragnę następnie, mój dr. O., przedkładając Ci przed oczy list ten Twój, może zbyt pospiesznie napisany, całą jego niewłaściwość, nie chcąc już używać innego odpowiedniejszego zapewne słowa — wykazać. Ad quid venisti koch. O. Wincenty? Wyznam Ci że podobnego pisma nie śmiałbym do najlichszego pachołka wysłać. Są pewne prawa i zasady przyzwoitości społecznej, nie mówiąc już o zakonnej... Tym Twoim listem, koch. O. Wincenty, bardzo mnie zmartwiłeś, pokazałeś

wielki brak zasad, brak dojrzałości. Słowem lekkie i zbyt gminne.'' O. Wincenty mógł sobie powiedzieć: za twoje myto kijem cię obito! Że Generał przysłał O. Szymona do Chicago po to, żeby ten zabrał się do kieszeni O. Wincentego, wynika z listu O. Szymona 29. stycznia 1889. do Generała: „Przypomina mi N. Ojciec po co byłem przysłany do Ameryki, ja o tem nie zapomniałem i nie zapomnę. Zresztą O. Idzi, chodząc po domach i żegnając się, wszędzie coś dostawał, to i może, dla złagodzenia wyroku, coś z tego Rzymowi zaofiaruje. A i O. Moszyński **kilka sumek** posłał do Rzymu. O takich dochodach, o jakich mi N. Ojciec wspominał, zdaje mi się iż nie będzie można myśleć, bo rzeczywiście długi się wykazują ogromne a zapasów żadnych, ludzie zniechęceni dziś nie są tak skorzy do dawania. Z proboszczem tak jak i O. Moszyński musimy być dość szczerze, gdyż On pracując tyle lat ma tutaj praktykę ogromną, której my dopiero się uczymy, przytem ma wielkie zaufanie u Arcybiskupa i u ludzi; będąc z nim szczerze, możem wiele zyskać, zniechęciwszy go, moglibyśmy wiele stracić.'' Ostatnie zdanie najwyraźniej pokazuje, dlaczego O. Wincentego nie należało usuwać z Chicago lecz raczej żyć na przyjaznej z nim stopie i przez palce patrzeć na bankowe jego transakcye. Z tem wszystkiem O. Wincenty był podminowanym, ale był na tyle sprytny, że wiedział o tem, i to go uratowało. „Co do tego — pisał O. Wincenty 30. mar-

ca 1889. do Generała — że Zgromadzenie nasze potrzebuje pomocy dla Domu Rzymskiego, możeby się dało co więcej zrobić, ale jakże o czem pomyśleć w takiej disharmonii jaka teraz panuje w domu naszym w Chicago. Przew. O. Szymon jest zagadkowym (co najmniej), O. Prokurator jeszcze sekretniejszym i jakoby bezpośrednio i absolutnie od N. Ojca zależącym. On posyła pieniądze do Rzymu bez najmniejszego porozumienia się ze mną. O takiego rodzaju Prokuratorstwie to w żadnym zakonie i zgromadzeniu nie słyszałem. Jakżeż więc mam N. Ojcu coś pisać lub obiecywać, **jeżeli jestem podminowanym.** Jeżeliby w każdem Zgromadzeniu tak traktowano członków po 24 latach ich służby i po 14 latach krwawych wysileń w Chicago, to idea zgromadzenia niknie na wysokościach wyższych nad ludzkie pojęcie. W domu Chicagoskim nie ma nas ani trzech ani dwóch unisono, gdzież więc jest zgromadzenie? gdzie Chrystus? Szczerości nie masz, więc też każdy się chwieje.. Starych długów na $50,000 a nowych na $20,-000." Ta niezależna gospodarka O. Moszyńskiego sprzykrzyła się nawet O. Szymonowi, zwłaszcza że — jak sam O. Szymon pisze — „niektórzy rozpuszczają wieść między ludźmi, że O. Wincenty i O. Szymon **na jednym stołku** siedzą, tylko że O. Wincenty wkłada pieniądze do kieszeni a O. Szymon odsyła do Rzymu." Ludzie widać czuli, że pieniądze gdzieś się ulatniają. „Gdyśmy (z O. Wincentym) byli u O. Moszyń-

skiego — pisze O. Szymon 27. sierpnia 1889. do Generała — i powiedzieli iż nie powinien sam bez rady działać, krótko węzłowato odpowiedział nam, abyśmy o tem pisali do O. Generała; a więc widać iż ma rozkaz, aby sam niezależnie działał. Jeśli tak jest, to N. Ojciec daruje, iż przy tylu nieprzyjemnościach i kłopotach, jakie my szczególnie dwaj, ja i proboszcz, mamy na zewnątrz, mieć takie przykrości w domu, to za wiele na nasze siły." „Co się tyczy pomagania Domowi Rzymskiemu — odzywa się coraz natarczywiej O. Wincenty 29. września 1889. do Generała — to każdy z nas czuje tego konieczną potrzebę, ale nigdy nie myślimy, aby nieroztropne wyniszczenie Domu Chicagoskiego miało pomagać Zgromadzeniu, a właśnie zbyteczne zaufanie w jednego człowieka nowiusieńkiego (O. Moszyńskiego) nie jest żadną rękojmią dla Zgromadzenia. Trzech stanowi kollegium, niekonicznie aby między nimi był Barzyński. Najw. Ojcze, dlaczegóż ta polityka, aby Prokurator prowadził jakieś sekretne rachunki? Gdzież jest duch, konstytucya i reguła Zgromadzenia? Ja oddałem o ile tylko mogłem wszystkie bieżące rachunki O. Prokuratorowi z całą nietylko szczerością ale z całą przyjemnością con amore (ale nie czyniłem tego: dla tego że widzę w tem pożytek missyi i Domu, abym się jak najmniej zajmował finansami tj. kancelaryą, ale gdybym na raz całkowicie przestał myśleć o wydobywaniu potrzebnych fun-

duszów i o potrzebach missyi, to czuję, żebym zgrzeszył ciężko. Zresztą O. Szymon, O. Feliks, i O. Moszyński mogą stanowić bardzo wyborną trójkę gospodarczą. Ale jednostce nie powierza się takich spraw. Jedno co mnie i drugich boli, to jest, że jesteśmy tak traktowani, jakby tylko sam O. Prokurator kochał, myślał i czuł dobrze dla Zgromadzenia. Żadne zakony i Zgromadzenia nie opierają się na jednostce w rachunkach i to w takich kombinacyach.'' Tak przyganiał O. Wincenty O. Moszyńskiemu, a sam co? sam trzymał dawną kasę kościelną (z przed roku 1889.) i cały bank „pod kluczem!'' To też znowu O. Moszyński 30. marca 1890. pisze: „Robią się tu rzeczy że tak powiem, „na własną rękę'', iście po amerykańsku, z dziwną zarozumiałością i pewnością siebie, nie zważając wcale że się jest śmiertelnym lecz jakby się miało kontrakt z P .Bogiem że się będzie żyło Matuzalowe lata. Dotychczas O. Przełożony (Szymon) i ja nie wiemy, jaki jest rzeczywisty stan finansowy naszej parafii, to też gdy O. Barzyński chorował, byliśmy w ogromnym strachu... musimy raz tę rzecz postawić jasno i wyraźnie, musimy zrobić porządek, bo nie jednostka, ale **całe Zgromadzenie odpowiada** za rządy tutejszej missyi... Co do długów, które mię niepokoją, to są **długi Banku**, tak zwanego **naszego**, którego urządził O. Winc. Barzyński; konieczną jest rzeczą dążyć do tego, aby prowadzenia Banku nie było''. Aby skłonić O. Wincentego do zda-

nia liczby z włódarstwa, O. Szymon wziął się już nawet na następujący dowcipny sposób: „Pewna świątobliwa osoba — pisze 20. października, 1890. — powiadomiła mię w sekrecie, iż mając widzenie N. M. P., Matka Boska rzekła jej iż O. proboszcz zakończy życie gwałtowną śmiercią i bez przygotowania... Radziłem tej osobie, aby o tem powiadomiła proboszcza, iżby to przyjął jako ostrzeżenie ze strony Boga i aby się starał swe sprawy wcześnie uporządkować. Już jest powiadomiony i zdaje się tę wiadomość z wdzięcznością przyjął.'' Ale ani święty Boże nie pomoże! Wizyta osobista O. Generała Waleryana Przewłockiego, w lecie roku 1890. także nie pomogła. „Na raz — oświadcza O. Wincenty 9. grudnia 1890. O. Generałowi — nie możemy się wykopać z tych różnorodnych śmieci nieporządków, lecz niechaj N. Ojciec nie wątpi na chwilę że Wizyta uczyniła i uczyni wiele dobrego, i ziarno zasiane w cichości wyda piękne owoce... Nie mogąc się inaczej wygrzebać z naszą gazetą „**Wiara i Ojczyzna**'', parci przez ogólne żądanie Polaków w Chicago, zaczynamy 15. bm. wydawać maluczką gazetkę codzienną **Dziennik Chicagoski**, ma to być podniesieniem całego tego gospodarstwa drukarskiego. Ryzykujemy na próbę jeden miesiąc. Ojcze, nie odrzucajcie tego małego pisklęcia, ale zróbcie nad nim krzyżyk!'' A 7. lipca 1892. O. Szymon: „O. Gordon przy drukarni złożył dowody swej energii wobec X. Domagalskiego. Chociaż niekiedy

tak jak i nasz proboszcz jest trochę za szczodry, ale do Zgromadzenia przywiązany. Rachunki drukarni, będące w wielkiem nieładzie po Śliszu i innych, sprowadził do porządku i aby nasze pieniądze wydane nie przepadły, powyciągał na nie na nasze imiona akcye, i tak jest zapisanych **akcyi 195** na nasze imiona, t. j. moje, O. proboszcza, O. Kasprzyckiego, O. Gordona — a gdy będzie Zgromadzenie inkorporowane, do czego kroki przedsięwzięto, **wszystko przejdzie na Zgromadzenie.**" Nareszcie, ów niecierpiany przez O. Wincentego prokurator O. Wincenty Moszyński 14. maja 1892. powrócił do Europy. O. Wincenty nieraz mu był przedkładał, „że dla zaprowadzenia oszczędności nie można $6,000 rocznie posyłać Domowi Rzymskiemu. Ja mu odpowiedziałem, że tego nie możemy zmienić — i O. Moszyński stale zasilał Rzym nie tylko tą, ale i dwa lub trzy razy większą sumą rocznie. A czynił to pokryjomu i O. Wincentemu, który mu wyrzucał: „na co się kryć że oszczędności posyłasz do Rzymu" — odpowiadał O. Moszyński: „Muszę się kryć nie tylko przed obcymi ale i przed swoimi, bo swoi także paplają o wszystkiem i przed wszystkimi" (2. grudnia 1889.) Dla tych realnych względów, okazywanych Rzymowi, O. Moszyński mógł słusznie w tymże liście prosić Generała: „Możeby Najdr. Ojciec wyrobił dla mnie tytuł missyonarza Apostolskiego" (tamże.)

Po O. Moszyńskim prokuratoryę objął O. Jan

Kasprzycki C. R. (od roku 1905. Generał) i już 11. października, 1892. pisze: „Prokuratorya bardzo cięży na moich barkach. Rachunki prowadzić w Chicago jeszcze by nie było tak trudno, gdyby książki rachunkowe były już w porządku, ale cóż? Książki bankowe i parafialne bardzo czysto były utrzymywane przez O. Moszyńskiego, ale ten jego system trzebaby zmienić, naprawić i ułatwić. Uregulowanie książek nastąpić musi, inaczej będzie zawsze nieporządek i nieład''...; a 6. stycznia, 93.: „Jeżeli O. Przełożony i O. Proboszcz odpowiedzialni są za wszystko, dlaczego O. Moszyński bez wiedzy O. Przełożonego i O. Proboszcza co miesiąc płacił $50 do kasy oszczędności, jeżeli to tak nazwać można... Unitis viribus, a nie za plecami tych co o wszystkiem powinni wiedzieć... Dla O. Gordona najlepszem będzie Bułgarya lekarstwem.'' O. Szymon o nowym prokuratorze 31. października, 92. tak się wyraził: „O. Kasprzycki bardzo poczciwie zastępuje O. Moszyńskiego, tylko nie ma tego hartu opierania się proboszczowi, jak miał O. Moszyński. Ojciec do pomocy Kasprzyckiemu proponuje mego brata (Walentego), zapewne możeby potrafił dopomagać, ale zkąd czasu, siedzi w całych dniach regularnie od 8. rano do 8. i nieraz 10. wieczorem nad uregulowaniem listy parafian i załatwieniem spraw parafialnych z ich książeczkami parafialnemi, utrzymywaniem listy niewiast i dziewic różańcowych. W dodatku rachuje i w rulony

zawija centy, jakie ludzie składają na nabożeństwach.'' O. Szymon ciągle radził O. Wincentego wziąć do Rzymu, przynajmniej na jakiś czas. Jeszcze 27. lipca 1891. pisał był do Generała: „Co do proboszcza naszego, jak N. Ojciec wspomniał mi podczas swego pobytu, że dobrzeby go było wziąść na kilka miesięcy dla odnowienia, rzeczywiście pokazuje się, żeby to mu bardzo było pożytecznem, możeby się trochę wyleczył z osobistej absolutnej działalności, która wielokrotnie nie na korzyść i Zgromadzenia i parafii wychodzi.'' A teraz 31. października, 1892. pisze znowu: „Bardzo się cieszę, że N. Ojciec na Kapitułę zaprasza O. Barzyńskiego, niechże Ojciec postara się, aby się odnowił na duchu, a zwłaszcza aby nabrał więcej ducha ekonomii, bo swojem roztrzepaniem i szczodrobliwością niekorzystnie wpływa na innych Ojców, szczególnie O. Gordon za wiele się przejmuje duchem proboszcza. Prosiłbym, aby O. Moszyński przed odjazdem proboszcza mógł przybyć, aby usunąć obawę parafian, że i proboszcz odjechawszy stąd, nie powróci, coby mogło spowodować zamieszanie w parafii.'' Tym czasem O. Kasprzycki swoją radą 11. listopada 1892. pokrzyżował plany O. Szymona, pisząc: „że lepiej by było, gdyby O. Generał wezwał naszego Przełożonego na kapitułę, a to z tej przyczyny, że wyjazd O. Proboszcza może dużo złego sprawić w Chicago, a mianowicie, że nie dawno pojechał Prokurator i nie wraca... Mogą

powiedzieć, że kasę okradli i wszyscy rzucą się by odebrać pieniądze z Banku.'' Stanęło więc na tem, że O. Szymona Kobrzyńskiego wezwano do Rzymu na kapitułę, a zostawiono w spokoju O. Wincentego, który tę zamianę z rezygnacyą przyjmuje, pisząc 3. grudnia, 1892. do Rzymu: „Zaiste serce się rwie tam do Was, ale P. Jezus nie uznał mię tej pociechy godnym!'' O. Szymon, widząc się zawiedzionym w nadziei wyprawienia O. Wincentego do Rzymu, starał się teraz, jak niegdyś O. Idziego, wyprawić przynajmniej tego który „za wiele przejmuje się duchem proboszcza'', to jest O. Gordona, i w tym celu wynajduje dwie „smutne wiadomości'' o O. Gordonie. „Jeden z braci O. Fr. Gordona — pisze O. Szymon 5. grudnia 1892.—na naszej ulicy niedaleko kościoła trzyma salun, otóż doszły mię wiadomości, że ten salun bratu kupił O. Gordon, o ile w tem prawdy nie wiem; druga smutniejsza wiadomość, że O. G. zrobił. . .'' I choć niewiedział „ile w tem prawdy'', to jednak radzi O. Generałowi „pod pretekstem wezwać O. Gordona by przybył na kapitułę.'' W ten sposób O. Gordon, z O. Szymonem, wyjechał 27. Grudnia 92. do Rzymu, a raz wyjechawszy, nie tak już łatwo przyszło mu powrócić do Chicago. „Gdyby nie wyjeżdżał był z Chicago, toby tych plotek nie było.'' Po wyjeździe O. Gordona, O. Kasprzycki prócz prokuratoryi i nowej parafii miał i drukarnię na swojej głowie: „Trzymać na jednym stole

ośm książek bankowych i mnóstwo parafialnych, to casem człowiek najspokojniejszy głowę traci. Teraz i drukarnią jeszcze mi głowę zawracają.'' (15. kwietnia 93.)

Rzeczywiście, w tak olbrzymiej materyalno-duchowej „fabryce'', i najspokojniejszy człowiek, choćby miał dziesięć rąk, głowę tracić musiał. Parafia św. Stanisława Kostki od samego początku wzrastała ciągle, a czy proporcyonalnie do jej liczebnego wzrostu wzrastała także liczba księży, którzyby karmili słowem Bożem te niezliczone rzesze? Do roku 1888., jak widzieliśmy, było tylko „półtora Zmartwychwstańca.'' W roku 1888., w czerwcu przybyli O. Kobrzyński, O. Moszyński i O. Skory, a w listopadzie O. Szypkowski i O. Głowacki. Podług świadectwa ks. J. Radziejewskiego, w ogromnym kościele św. Stanisława tylko O. Wincentego i O. Idziego dosłyszeć było można. Ale O. Idziego wypędzono. Więc „po wyjeździe O. Idziego — pisał O. Szymon 18. stycznia 1899. — trzeba przynajmniej jednego księdza do kazań. O. Moszyński ani głosu nie ma ani czasu; O. Skory decyduje się tylko raz na 2 tygodnie; O. Szypkowski głosu nie ma; O. Głowacki po polsku nie umie; O. Fr. Breitkopf zapada na zdrowiu, a więc do kazań jest raptem proboszcz i ja.'' Ze świeckich mieli podówczas ks. Stan. Baranowskiego, ks. Ludwika Machdzickiego i młodego ks. Leopolda Moczygębę, ale tych starali się pozbyć i pozbyli się niebawem, bo „świeccy

księża kosztują.” W ogóle księży świeckich unikano jak zarazy. Mimo to „rozchody domu są szalone, przez lipiec wydano $900, codzień mamy gości przy stole i często po 20—26 osób siada. Najmniej 4 księży potrzeba.” (8. sierpnia 1888.) Przychody domu Chicag. w roku 1889. były $19,782, a rozchodów $19,012; zaś w roku 1890. przychodów $22,022, a rozchodów aż $23,-374.

„Nawał pracy a brak księży” (29. października, 88.) „Gwałtu, księży! księży!! —woła ks. Szymon 29. stycznia 89. — „Na każdem nabożeństwie kościoły (dolny i górny) przepełnione, a każdą razą inni ludzie. Z tymi księżmi, co mamy, jak ciągnąć z tak ogromną parafią: wszak nasza prafia półtora razy ma tyle ludności co miał za naszych czasów Lublin wraz z żydami, protestantami i tp., a tam było kilka zakonów oprócz sześciu wikaryuszów przy katedrze, a tu na wszystko nas 8 kapłanów?!! żadnych innych zakonów, żadnej innej pomocy?!! Tam były szkoły rządowe na kilkuset uczniów, tu mamy szkołę parafialną na 2,500 dzieci, a zatem trzy razy tyle co miały szkoły gimnazyalne i realne w Lublinie. Mamy na głowie dwa zgromadzenia Sióstr, Notre Damek i Nazaretanek, ze szkołami, sierotami, i szkołę doroślejszych chłopców z 7 nauczycielami świeckimi. Opłaty parafian nie potrafią pokryć wszystkich kosztów szkół, sióstr, nauczycieli, trzeba dołożyć z parafialnych, bo wielu trzeba przyjmować do

szkoły bez opłaty.'' I znowu 18. lutego, 89: „Ludzi! ludzi! ludzi! Albo zostawić Amerykę i pozostawić na łup narodowców! Rozerwani pracą, nie mamy czasu prowadzić regularnie praktyk zakonnych...'' Nie dziw, że szły skargi do Rzymu. „O. Wincenty musiał zdawać obszerne sprawozdanie Arcybiskupowi w odpowiedzi na skargi przez Narodowców wysłane do Rzymu, a o to pisała Propaganda do Arcybiskupa, żądając wyjaśnienia.'' Pod naciskiem Rzymu otworzono 3. marca 1889. kościół św. Trójcy; ale myliłby się ktoby sądził, że Ojcowie nie mogąc sobie dać rady z własną parafią, dopuszczą do św. Trójcy innych księży. Rachuby Ojców pod każdym względem, i duchownym i finansowym, były złe: nie mając dosyć własnych księży, a jednak usuwając obcych, przez to nie tylko dusze, ale i dolary tracili. Łakomy podwójnie traci. „Jeżeli N. Ojciec — pisał O. Moszyński 3. Marca 1889. do Generała — chce pomocy dla domu macierzyńskiego, to musi nam dać pomoc, bo bez tego i stan finansów upada znacznie; ludzie zaczynają szemrać, że nie mają odpowiedniej pomocy, że nas za mało, że sami rady nie damy itp.; proszę wierzyć, że będzie bardzo źle z nami jeśli tak pozostaniemy''. A O. Wincenty 30. Marca 89.: „Cóż wynika z tego braku sił potrzebnych? Oto sąsiedni księża niemieccy i irlandzcy zabierają nam ludzi, jedni starszych a drudzy młodzież, i wmawiają w Biskupów, że polskie missye

bardzo mało są potrzebne. Otóż w tym czasie właśnie, kiedy po 14 latach krwawych wysileń mogłoby Zgromadzenie mieć jakąś pociechę z tych missyi, przychodzi kryzys, bo niewiadomo nawet jakim sposobem odbędziemy do końca ten czas Wielkanocny bez wystarczającej liczby spowiedników i kaznodziei. Wszystko wyciągnięte na ostatnią nutę". O. Moszyński 23. Kwietnia 89.: „Dziś u nas obchodzimy święto Zgromadzenia. Do obiadu siadło 22 osoby. Byli to księża, którzy niby nam są życzliwi, jak np. K. Kozłowski. Dziwne są okazy tutejszych księży, są ludzie weseli, ale w ich towarzystwie wcale mi nie wesoło, raczej powolnemi torturami można ich towarzystwo nazwać". O. Szymon 24. Kwietnia 1889.: „Bardzo się cieszę, iż N. Ojciec ma missyę Chicagoską na sercu, gdyby to byli mieli tak na sercu dawni nasi Ojcowie i dobrze zaopatrywali tę Missyę w dobrych i gorliwych ludzi, wszystkie polskie parafie w Chicago mogły były być w naszych rękach". „Są na parafii św. Józafata dość znaczne rachunki, które się należy oddać św. Stanisławowi, a o tych ks. Kandyd słyszeć nie chce. Ks. K. będzie zmuszony opuścić parafię św. Józafata, kogo tam dać, gdyż tak nas mało. Bardzo żałuję ks. Jana Machnikowskiego, jeśli się puści do Ameryki, tu może się zmarnować, tu trzeba mieć silne zdrowie, silne piersi, dobrą wolę do pracy, i bardzo wiele cierpliwości. Ogromnie się roz-

czaruje, gdy przybędzie do Ameryki. On dobry, o ile mi się zdaje, na pieczeniarza przy jakim księciu lub hrabi". A 13. Czerwca 89.: „Arcybiskup powiedział mi, że już jest zmęczony ks. Kozłowskim, chce mu podziękować za jego usługi i żąda od nas księdza do parafii św. Józafata. Ale cóż? nas tak mało. Przedstawimy, **jak na teraz**, księdza świeckiego, rodem Kaszubę, a więc tamtejsi Kaszubi będą może bardziej zadowoleni, gdyż wyjściem ks. Kozłowskiego wielu będzie poburzonych, bo sobie wyrobił bardzo silną partyę; o ile mi się zdaje, ten ksiądz (Lange) jest bardzo dobry i bardzo nam przychylny, **a przytem gdy jest chorowitym, będzie potrzebował naszej pomocy,** więc będziemy mieli większy **wstęp do św.** Józafata, niż mamy dzisiaj. Bieda i bieda zewsząd — z jednej strony bardzo wielu patrzy na nas zazdrosnem okiem, że tyle parafii mamy w Chicago, z drugiej strony nie mamy ludzi i dosyć i odpowiednich, byśmy wszystko sami objąć mogli. Gdyby dawniej Ojcowie byli serdeczniej się zajmowali Missyą Amerykańską, całe Chicago mogło by być w naszych rękach. Śp. O. Julian wiele szkodził, nie popierając wcale tych missyi". Zaś 29. Lipca 89.: „Co do projektu postawienia O. Źwiardowskiego u św. Józafata, to na teraz trudno; ks. Kozłowski tak burzy przeciw Zmartwychwstańcom, iż wątpię czyby chętnie którego z nas Kaszubi przyjęli.... Jeśli Arcybiskup

przyjmie O. Źwiardowskiego do św. Józafata, to O. Głowacki (nie mówiący po polsku) będzie mu mógł pomagać nawet w słuchaniu spowiedzi, bo Kaszubi umieją dobrze po niemiecku''. Oto polityka expansyjna! Taksamo „do św. Trójcy Arcybiskup innego jak Zmartwychwstańca nie da. I nie można, bo inaczej jakikolwiek ksiądz, dostawszy się do św. Trójcy, poburzyłby całą parafiię św. Stanisława. Oto widzi Ojciec, na jakim to stoim wulkanie!'' Dowodzi to, że Ojcowie w Chicago na bardzo kruchej stali podstawie. „Trzeba postawić Zgromadzenie na silniejszych fundamentach tu w Chicago — woła przezorny O. Giuseppe Halter C. R. — bo nie stoi tak silnie jak to sądzą nasi Przełożeni w Rzymie. Prawdę powiedziawszy, jeden tylko O. Wincenty potrafi dzierżyć władzę nad swoimi parafianami, ale on — nie będzie wiekował, i dlatego musi mieć pomocnika, któryby zdolen był nastąpić po nim, a powiadam otwarcie, że O. Kasprzycki jest tym jedynym w Zgromadzeniu, któryby był odpowiednim na tak ważne stanowisko''. Jakoż w rok po O. Gordonie przybył do Chicago (roku 1890.) O. Jan Kasprzycki C. R., na którym się też spełniły owe prorocze słowa O. Haltera. Ale chociażby i dziesięciu takich było przybyło, cóż to na tak olbrzymią parafię? Siłą rzeczy, t. j. nie za inicyatywą Ojców, lecz własnym swych części składowych ciężarem ta ogromna parafia rozpadła się była na odrębne

również kolosalne parafie, najpierw św. Trójcy, potem św. Józafata, następnie św. Jadwigi, a teraz r. 1890. znowu wylewała z brzegów. „Pobudowaliśmy szkołę i dom dla sierót — pisze O. Moszyński 30. Marca 1890. — teraz zaś jest projekt założenia nowej parafii (św. Jana K.), bo taki ścisk w naszym kościele, że niepodobna się pomieścić. Dziś był mityng, na którym starsi parafianie sami tę potrzebę uznali. Są tu rozmaite intrygi, chcą nam zaszkodzić i wywołać zaburzenie w parafii; ciasnota w kościele wiele się do tego przyczynia, bo wskutek ciasnoty ludzie wprost biją się przed kościołem, zdobywając sobie wejście — broń Boże, niech jaki łajdak krzyknie w kościele, że się pali. Musi się rozpocząć budowa nowego kościoła, bo w przeciwnym razie możemy mieć wiele nieprzyjemności". Ta sama ciasnota w szkole. „Że klasy u SS. Notre Damek były zanadto przepełnione, do 400 dzieci zostało przeprowadzonych do domu sierót i tam są 4 klasy dla najmniejszych dzieci". (27. Listopada 1890.) „**Co do szkoły** — donosi O. Wincenty 9. Grudnia 1890. — bawię się właśnie jej reformą, ale to pociąga koszta, **bo cała jej słabość idzie stąd**, że każda siostra czy nauczyciel w naszej szkole mają po dwa razy więcej dzieci jak mieć powinni. 21 klas na przeszło 3,000 dzieci. Jeżeli N. Ojciec chce, abym przed śmiercią mógł coś dobrego dla missyi w Chicago i dla Zgromadzenia zrobić i wyko-

pać się z długów, to proszę i błagam w Imię Niepokalanej o pomoc w kapłanach, Braciach, Nauczycielach etc". Ojcowie chicagoscy znowu, chcąc nie chcąc, posługiwali się księżmi świeckimi, jako to: ks. Grochowskim, ks. Stefanem Szymanowskim. Ale tego O. Generał sobie nie życzy: „N. Ojciec życzy — pisze O. Moszyński 10. Kwietnia 1890. — aby nie przyjmować księży świeckich do pomocy, i każe nam czekać na pomoc, która dopiero za rok być może; czyż przez ten czas mamy spokojnie czekać, póki nam parafie nie zabiorą inni księża? bo sami rady nie damy.... Robiłem wszystko co mogłem dla domu macierzyńskiego w nadziei, że dostaniemy pomoc, lecz gdy ta nie nadchodzi, muszą się zmniejszyć pomoce dla domu Rzymskiego". Nie dziwić się, że w Rzymie lichą mieli opinię o księżach świeckich, skoro naprzykład O. Szymon 15. Stycznia 1891. donosi: „Młodzi kapłani polscy w Chicago, jak ks. Wojtalewicz, ks. Małecki, ks. Szulerecki nie wielki zaszczyt robią Polakom"; i znowu 3. Marca 1891.: „ks. Słomiński, duszą i ciałem narodowiec; ks. Żyłła, obok innych wielu nieporządków, w końcu okropnie pobił swego assystenta ks. Szulereckiego, obecnie prowadzi się proces kanoniczny. A inni młodzi, ks. Małecki, ks. Szulerecki także mają swoje rozmaite sprawki.... wstyd i hańba dla Polaków". A 5. Maja 1891.: „Ks. Żyłła usunięty z Bridgeportu. Arcybiskup

chciał nam dać tę parafię, ale trudno.... Arcybiskup dał tam ks. Nawrockiego.... w końcu dodał, że gdy ze swymi księżmi nie będzie mógł przyjść do porządku, to znów się do nas zwróci o pomoc". Znowu O. Generał gani Ojców za to, że nie korzystają ze sposobności i nie obejmują więcej jeszcze parafii. Odpowiada 15. Lutego 1892. O. Szymon: „N. Ojciec wspomniał, żebyśmy mogli przy zdarzonej sposobności obejmować i inne parafie, a nie siedzieli na kupie, a kto obsłuży św. Stanisława? U nas roboty huk, coraz nowi przybywają emigranci; roku 1891. było chrztów 2,400". „Wielu Rusinów (około 500 familii w Chicago) jest w naszej parafii, wartoby dla nich mieć jakiego Ojca Rusina z naszego Zgromadzenia; nasz proboszcz temu przeciwny, chcąc, zdaje się, złacinniczyć Rusinów". Spowiedziom Ojcowie podołać nie mogą. „Z powodu wielkiej naszej parafii Arcybiskup dał pozwolenie, że spowiedź wielkanocną w tym roku zaczęliśmy na 2 tygodnie przed Wielkim Postem i będzie trwać 2 tygodnie po św. Trójcy (1. Marca r. 1892.) „Ojcowie wycieńczeni spowiedzią wielkanocną jak struny". „Prawie wszyscy chorzy, wycieńczeni pracą spowiedzi wielkanocnej, do której **z kartkami** przystąpiło przeszło 18,000, oprócz pobożniejszych, a jeszcze nie wszyscy byli u spowiedzi wielkanocnej. Otóż na gwałt robotników trzeba, sami upadniemy na siłach, a rady nie damy. Na gwałt dzielić

parafię.... na każdem nabożeństwie ludzie gniotą się jak śledzie w beczce, a jeszcze wszyscy pomieścić się nie mogą". (7. Lipca 1892.) „Nasi zakrystyanie obrachowali, że w ciągu 1 roku wyszło 75,000 komunikantów". „Nowa parafia (św. Jana Kantego) — pisze O. Wincenty 13. Lipca 1892. — już jest przez Arcybiskupa zatwierdzona, ale jak nie będzie nowych sił, to musi nastąpić fiasco. Spowiednica potrzebowałaby ich ciągle 6, ambona choćby ze 4. Otóż nasi najukochańsi opiekunowie (księża świeccy) o naszych trudnościach wiedzą i je osławiają z dodatkiem, że Zmartwychwstańcy tylko pieniędzy szukają i łapią ludzi (parafie, t. j. św. Stanisława, Trójcę chcą, św. Jadwigę uważają za swoją, a teraz nową też dla siebie budują), a nie myślą, aby je dobrze zaopatrzyć etc. etc. Ponieważ jako tako odpieram ich zarzuty, więc jad wyrzucają na moją osobę i mówią bardzo często i dość głośno, że gdyby tego Wincentego Barzyńskiego ci...... wzięli, toby było dobrze. Ma się rozumieć, że trzeba te słowa nie tak literalnie rozumieć, jak brzmią po wierzchu, bo mają one też różne znaczenia, jednak jest w nich jakaś **prawda dla mnie i dla Zgromadzenia nie bardzo pocieszająca**". Zaiste prawda nie bardzo pocieszająca, ale szczera! Bo czyż wobec tego, co się działo przez przeszło 20 lat, księża świeccy nie musieli świętym zapłonąć gniewem? Pole missyi chicagoskiej, na które z Texas (nikt was

nie powołał) sami się przerzuciliście, zbyt było rozległem dla was, ojcowie, żebyście je mogli uprawić; sami to przyznajecie i przez przeszło 20 lat daliście dowód najoczywistszy, że nie możecie tak obszernego pola uprawiać; a mimo to woleliście, żeby całe obszary tego pola leżały odłogiem i porastały w chwasty niezadowolenia, a nawet schizmy, aniżeli dopuścić innych robotników, świeckich czy zakonnych, do uprawienia tej zaniedbanej serc ludzkich roli! Czyż to nie zgroza? Że zaś lud wobec takiej gospodarki, do jakiej sami się przyznajecie, tak długo jeszcze głośnym nie wybuchł gniewem, lecz po cichu tylko szemrał, że pozwolił i pozwala jeszcze po kościołach naszych gnieść się, gorzej jak bydło w stajni, bo poprostu „jak śledzie w beczce": tego mu także za cnotę poczytać nie można, była to bowiem i jest zbytnia potulność i karygodna bo niewolnicza uległość, która bardzo łatwo przerzuca się potem w drugą ostateczność to jest w otwarty bunt i schizmę, gdyż ostateczności stykają się! Ojcowie nie brakiem, lecz zbytkiem gorliwości grzeszyli: nie mogąc uprawić pola, które posiadali, ciągle jednak jeszcze nowe wynajdywali pola do pracy. Pisze słusznie O. Kasprzycki 19. Lipca 1892.: „O. Przełożony (Szymon) przeznacza mnie na proboszcza nowej parafii św. Jana Kantego — przyślijcie pomoc, bo inaczej będzie fiasco; większa część księży świeckich przeciwko nam, ale biskupi

z nami, lecz jeżeli nie będziemy mogli obsłużyć dobrze obu parafii, to cóż będzie? Jest wielki uszczerbek dla parafii, że nasz Przełożony wyłącznie zajęty Siostrami; obowiązki w parafii powinny zająć pierwsze miejsce, bo parafii służymy po sprawiedliwości, a Siostrom z miłości tylko. Cóż tych 12 księży robi, których opłacamy? tak często powtarzają ludzie w kościele".... Było to roku 1891., kiedy „Siostry Nazaretanki po przegraniu sprawy z domem sierot zmieniły trochę swą politykę.. O. Wincenty zupełnie się od nich usunął, a więc ja jestem spowiednikiem wszystkich Nazaretanek w Chicago" — pisze O. Szymon, który chwali Nazaretanki (przeszło 70) „tutejsze Siostry Amerykańskie mają lepszego ducha i przez Rzymskie są traktowane jak niewolnice; po niektórych parafiach księża z nich niezadowoleni, bo za wielkie panie". O. Szymon zajmował się temi Siostrami, podczas gdy z parafią ojcowie rady sobie dać nie mogli. „Z budową nowego kościoła św. J. Kantego nie można się spóźnić, ani na miesiąc — pisze O. Wincenty 3. Grudnia 1892. — bo natłok w kościele św. Stanisława K. przyszedł do absurdum, tak, że policya i całe miasto mówi o tem i ostrzega nas. A w szkole mamy 3,500 dzieci, liczba anormalna i niestosowna do budynków szkolnych. Skoro księża świeccy się dowiedzieli, że Arcybiskup polecił nam zająć się tą nową parafią, oburzyli się do ostateczności i

starali się o zmianę zdania u Arcybiskupa wmawiając w niego, że nie mamy odpowiedniej liczby kapłanów do prowadzenia takiej masy ludu i że tylko z łakomstwa na dochody przyjęliśmy tę nową parafię.... Brak własnych kapłanów postawił nas w tem przykrem położeniu obecnem, i tylko wystarczająca liczba naszych pracowników (Zmartwychwstańców) może nas z kłopotów wybawić. Lat 18 to powtarzam, ale nie chciano mi wierzyć, ufajmy, że jeszcze czas naprawić to nieporządne gospodarstwo". „O! gdybyśmy mieli — woła O. Szymon — wielu takich jak O. Kasprzycki, toby tu missya bardzo dobrze stanęła". W roku 1892. przybyły też dwie nowe siły, O. Eugeniusz Sedlaczek C. R. i O. Józef Gieburowski C. R. O. Sedlaczek przejął się odrazu duchem nienawiści ku księżom świeckim, bo już 13. Listopada 1892. tak pisze: „Wystrzegam się bardzo niewiast, a więcej księży. Jedni i drudzy u mnie nie mają przystępu, jestem grzeczny, ale zawsze rezerwowy i przekonywam się, że na tem bardzo skorzystam. Księży unikam, nawet ks. Langego. Wszyscy pozornie trzymają z nami, ale w rzeczywistości dążą do tego, by Zmartwychwstańców z Ameryki wydalić. Poziom duchowny między księżmi jest bardzo niski. Niemoralność panuje tu na wysoką skalę. Bardzo wielka reforma by była potrzebna". A więc wystrzegał się bardziej księży niżeli niewiast.... I to znowu

prawda „nie bardzo pocieszająca”, ale szczera! „Ks. Kroll pisuje oszczercze korespondencye do Wiarusa, poplecznicy główni są: ks. Pyplatz, ks. Nawrocki być może choć z pewnością nie wiemy, ks. Wojtalewicz, ks. Słomiński, a i tak wychwalany ks. Lange daje się ks. Krollowi za nos wodzić. Intencye czytane ogromnie się urwały, bo tu ma swoich kolektorów ks. Łuczycki z Manitowoc, a i ks. Cichocki zagląda do swoich”. (O. Szymon 21. Listopada r. 1892.) Dnia 23. Lutego 93. O. Wincenty po raz chyba tysięczny woła do Generała, posyłając mu tysiąc dolarowy czek: „Więcej ojców! Ledwośmy żywi od pracy i wysilenia!” A 10. Marca 93. O. Kasprzycki: „Według porządku obecnego trzech z Ojców każdej niedzieli muszą binować (po 2 Msze odprawiać). Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie praca i brak sił. Do szkoły rzadko kiedy który z nas może pójść na katechizm. Jakże można dusze prowadzić po dobrej drodze, jeżeli nie ma czasu, aby dobrze zbadać w spowiedzi św. jej trudności i okoliczności do grzechu? Postępuję o ile mogę według zasady, że spowiadam wolno, a dobrze, ale gdy setki ludzi czekają na spowiedzi, z jakiemże sumieniem można nie zważać na to i robić co najprędzej?” A 13. Marca 93. O. Sedlaczek: „My pragniemy by O. Gordon już więcej Chicago nie oglądał”.... Ale — „prosimy o więcej księży dla następnych przyczyn: 1) Szkoła parafialna jest zupełnie zaniedbana,

niemoralność dzieci dochodzi do najwyższego szczytu, o tem się przekonujemy co wtorek słuchając spowiedzi dzieci szkolnych, 2) Towarzystwa młodsze rozsypują się, niemoralność wzrasta, 3) Zostały pomnożone nabożeństwa o 2 sumy, na każdem kazanie. 4) Formuje się nowa parafia, 5) Kościół św. Trójcy chcą teraz otworzyć i nam oddać, 6)Zerwaliśmy stosunki z księżmi świeckimi, nie chcemy ich pomocy; nastroiliśmy też O. proboszcza dobrze, tak, iż powiedział: dobrze, zrywam z nimi, bo wy tego chcecie. Przyklasnęliśmy wszyscy. Co się tyczy Narodowców, to i owszem, niechaj „Dziennik'' ich obrabia, takim tylko sposobem zdoła się lud obałamucony zwrócić na drogę prawdy. J. Em. Kardynał Dunajewski nie bardzo zna stosunki nasze — co on mówi, że trzeba wpływać na nich w kazaniach, spowiedziach, to każdy z nas czyni, a cóż za rezultat? To słyszą tylko kilkaset ludzi — a tysiące gdzie pozostają?''.... A cóż było przyczyną, że te tysiące nie mogły się dopchać do konfessyonału i na kazania? czy nie brak spowiedników i względna ciasnota kościoła? Wstyd, że dopiero policya musiała Ojców rozumu nauczyć, jak dać ludziom lepszą sposobność do słuchania słowa Bożego. Oto 3. Marca 1893. wyszło „Ostrzeżenie Burmistrza miasta Chicago do ks. Wincentego Barzyńskiego, proboszcza kościoła św. Stanisława Kostki na rogu Noble i Ingraham ulic. Wielebny Księże:

W tych dniach otrzymałem zażalenie, że w czasie nabożeństw niedzielnych w Waszym kościele, a mianowicie na Mszy ostatniej, taki był natłok ludzi, iż groził niebezpieczeństwem życia i własności. Doniesiono mi, że na jednem z tych nabożeństw więcej jak tysiąc ludzi znajdowało się w gankach kościelnych. Sam możesz osądzić, jak jest wielce niebezpiecznem takowe położenie rzeczy. Najmniejszy bowiem przypadek, lub ladabądź wykrzyknik, że się coś stało, jedno słowo: ogień, albo jakiekolwiek zaalarmowanie, może wywołać przestrach i spowodować utratę życia wielu osób. Dlatego więc z uszanowaniem, ale stanowczo nalegam, abyś koniecznie utrzymywał ganki kościoła i wyjścia z kościoła, czyli drzwi, całkowicie wolne i wszelkimi sposobami starał się o to, aby niedopuścić natłoku. Wyznaczyłem trzech urzędników publicznego porządku, aby ci pomagali do utrzymania warunków przepisanych przez prawo w tego rodzaju przypadkach i do zachowania potrzebnej ostrożności dla zabezpieczenia życia zbierających się w kościele ludzi. Jestem też bardzo rad z wiadomości, że w krótkim czasie masz budować nowy kościół, w którymby ludzie waszej parafii mogli znaleść odpowiednie pomieszczenie. Hempstead Washburn, mayor miasta Chicago". Wskutek tego rozporządzenia „liczbę nabożeństw w niedzielę musieliśmy powiększyć, Arcybiskup pozwolił na dwie msze późne, jedną o ½12. w ko-

ściele dolnym, drugą o ½1. w kościele górnym dla biednych, ale wszyscy muszą mieć kartki do ławek. Wszelako kosztować to będzie wiele pracy, aby każdy miał kwit do ławki, i dlatego wzięliśmy do pomocy młodego Jóźwiakowskiego. W ostatnich czasach tak wielki natłok był na sumach, iż nie można było przejść przez kościół na Asperges, tylkośmy od pół kościoła pokropili ludzi. Przytem nikt prawie nie chciał wynajmować ławek, mówiąc: iż w takim natłoku trudno się dostać do swego miejsca. Będzie więc więcej nabożeństw, ale każdy musi płacić". Z pomnożeniem nabożeństw znowu „teraz mamy większą pracę niż dawniej. Jak tu podołać?!! Nowy kościół na jesień stanąć musi. Wniosek, aby urządzić nabożeństwo w Hali teatralnej, upadł. O. Piechowski, O. Żmijewski i O. Sedlaczek trochę chorują, a ja (O. Kasprzycki) zdrów jak ryba w wodzie. Powiadam Ojcu, że jeżeli przynajmniej 3 ojców nie dostaniemy, to nic nie zrobimy. Obecnie chcąc w niedziele i u Sióstr miewać msze, to prawie **wszyscy musimy binować**. I któż to wytrzyma każdej niedzieli binować po długiem siedzeniu w sobotę w konfessyonale i potem, oprócz tego, mówić kazanie albo raczej krzyczeć, bo inaczej w kościele nie słyszą i z kazania wychodzą? Pogrzeby mamy codziennie, a chrztów ile to mamy w niedzielę? (około 50). Miesiąc lub dwa, to przy dobrem zdrowiu można sobie radzić, ale nie cią-

gle". Tymczasem w odpowiedzi na te błagalne wołania, O. Kasprzycki dostaje z Rzymu — przytyk, że pewno za wiele cygar pali i wskutek tego zapomina o regularnem przesyłaniu pieniędzy należnych Domowi Rzymskiemu. „Dziś dopiero przesyłam należytość za 2 miesiące 5,200 lir. Że regularnie rat nie odsyłałem do Rzymu, to główną przyczyną nie wpływ narkotyku cygar na pamięć, ale brak w kasie. Przed wyjazdem O. Moszyńskiego zmieniono procent z 5 na 4; obecnie mniej ludzie przynoszą na pożyczkę, a więcej odbierają; to dobrze dla nas, bo bankowe długi się powoli spłacają... Proboszcz ma strasznie dużo na głowie. W tych dniach przyjeżdża Mgr. Satolli do Chicago; nasz biskup kazał proboszczowi przygotować memoryał o kościele św. Trójcy i tą sprawą jest teraz zajęty. Trójca bądź co bądź będzie naszą".... Choć Ojcowie dobrze wiedzieli, że z tem co mają nie mogą sobie dać rady, jednak czy łapczywość czy jakaś źle zrozumiana wyższa racya stanu kazała się Ojcom na pewno spodziewać, że parafia św. Trójcy im zostanie przydzieloną. A to już chybaby Boga na niebie nie było! Jeżeli Arcybiskup chciał Trójcę oddać Zmartwychwstańcom, w ówczesnych okolicznościach, to mógł on to chcieć jedynie na tej — znanej zresztą — zasadzie, że z Polakami im gorzej tem lepiej; im gorzej dla nich, tem lepiej dla nas, bo Polacy pójdą do naszych irlandzkich lub niemieckich kościołów.

X.

Budowa wież r. 1892. i malowanie kościoła. — Jak przyszedł i poszedł Żmijewski? — Wystawa r. 1893. — Otwarcie św. Trójcy zaszkodziło ojcom i moralnie i materyalnie. — Ludzie wycofują pieniądze z banku. — Na kolekty i na msze mało dają. — Ojcowie muszą poznižać ceny ślubów i pogrzebów. — Parafianie domagają się rachunków. — Kobrzyński chce oddzielić kasę parafialną od kasy Zgromadzenia, twierdząc, że na połączeniu obu kas cierpi kasa Zgromadzenia; atoli Barzyński i Kasprzycki powstają przeciwko temu, gdyż Zgromadzenie nie traci, lecz zyska na połączeniu kas. — „Nastąpi krach moralny, a za nim finansowy, a ten napełni świat obrzydliwościami skandalu", oto prorocze słowa r. 1894. — „Będzie to słuszna kara Boża za to lekkkomyślne traktowanie Missyi". — „Farma" fuszerowana się nie opłaci. Nigdy nie było na Missyi Chicagoskiej proporcyi sił ani co do liczby ani co do gatunku" — Roku 1894. czuć burzę w powietrzu: ojcowie alarmują Rzym, przeczuwając jakąś straszną katastrofę. — Sedlaczek, chcąc zażegnać burzę, ostrzega Generała, lecz ten uważa to oskarżenie za gęsie gęganie. — Płomień schyzmy ogarnia missyę ojców z początkiem r. 1895. — Winę zaburzeń ojcowie przypisują Narodowcom, księżom świeckim, a nawet Delegatowi Ap., tylko nie sobie. — Kozłowskj to bicz Boży na ojców. — Hejże na księży świeckich! — Śmierć Generała Przewłockiego dn. 9. Maja, 1895.

W lecie 1892. zaczęto budować owe dwie wspaniałe wieże na kościele św. Stanisława — „komitet koniecznie tego wymagał, aby kościół był wykończony przed otwarciem wystawy Chicagoskiej. Domagają się i wymalowania kościoła wewnątrz, i same niewiasty Różańcowe (przeszło 3,500 członkiń) zobowiązują się

na ten cel dać każda po parę dolarów". „Malowanie kościoła — pisze na wiosnę 1893. O. Żmijewski C. R. — bardzo powoli postępuje. Artysta-malarz Żukotyński, wątpię, powiedział, bym skończył w Sierpniu przyszłego roku. Musimy się starać, mówił, abyśmy zrobili dobrze, gdyż to będzie dla nas wielką renomą w całej Ameryce, dlatego potrzeba czasu". Ale, skąd się wziął ów O. Bernard Żmijewski? czy go Generał tu przysłał? Nie, lecz prawdziwie opatrznościowo jakby z nieba spadł do Chicago. Będąc w Zgromadzeniu już od 1878. „prześladowany od swoich nieprzyjaciół, wyjechał", nikogo się nie pytając, ze Lwowa 13. Listopada 1890. i stanąwszy w Newarku, N. J., u ks. J. Machnikowskiego, prosił O. Szymona o przyjęcie do domu Chicagoskiego, gdzie go też przyjęto po odebraniu telegramu od O. Generała. O. Szymon lubi O. Bernarda bardzo i chwali go 9. Listopada 1891., że „ma zdolności kaznodziejskie, na paru jego kazaniach ludzie się popłakali, przytem lubi domu pilnować i jest dobrym zakonnikiem. Dziś młodsi Ojcowie są na niego trochę zagniewani, że mi oznajmił o sprawach O. Gordona i niejako przyczynił się do jego usunięcia z ekonomii". (O. Legrand był ekonomem przez następne lata 1891—94.) Blisko cztery lata pracował O. Bernard w owej „fabryce nabożeństw", jak O. Szymon nazwał kościół św. Stanisława K. w Chicago. „Wczoraj — pisał do Gen. 13.

Marca 1893. — choć chory, musiałem śpiewać Mszę św., gdyż dużo Mszy zapowiedzianych nie mogłoby się było odprawiać. Co robić, choć kto zachoruje, musi **choć na czworakach wstawać**, bo nie ma rady. Mszę św. śpiewałem, ale była to raczej czytana niż śpiewana". Byle „fabryka" była w ruchu, a byznes szedł! Nareszcie O. Żmijewskį popadł w niełaskę u O. Szymona, a to znaczyło wiele. „Dla O. Bernarda — radzi Generałowi O. Szymon 12-go Kwietnia 1894. — najlepiej by było, gdyby go Ojciec zawezwał do Rzymu, prawdopodobnie wyjdzie sobie. Ja myślę, że byłoby dobrze, gdyby N. Ojciec, jeśliby O. Bernard wyszedł, nie dawał mu zwolnienia ze Zgromadzenia, niechby miał kłopoty na świecie i trudności w wydostaniu sekularyzacyi, toby może i jemu posłużyło na dobre, ale szczególniej pomogłoby innym, aby nie mieli ochoty do wychodzenia ze Zgromadzenia i trzymania się w większym porządku, bo te rozmaite eksy i ich prowadzenie się na świecie jest nie dla jednego młodego wielką pokusą zakosztowania większej swobody i opuszczenia Zgromadzenia, a gdy będą mieć nie bardzo pociągający przykład z O. Bernarda, to i im może odejść pokusa naśladowania go w wyjściu ze Zgromadzenia". Chciał więc O. Szymon wyprawiać z O. Bernardem te same hece co z O. Idzim. Ale O. Generał odpowiedział na to O. Szymonowi: „Co do O. Żmijewskiego wcale się nie myślę

w to wdawać; prawdę mówiąc, on tam jest u was zupełnie nielegalnie. Gdyż do Ameryki pojechał bez posłuszeństwa, zupełnie jako ex-Zmartwychwstaniec. Żeście go wzięli, to raczej jako exa i jako takiego możecie go wydalić w każdej chwili, ja go ignoruję i nie chcę o nim wiedzieć. O. Żmijewski mógłby żądać zapłaty za czas przez który pracował w Chicago". To, zwłaszcza ostatnie zdanie, przeczytawszy, O. Szymon silił się na dowody, że ks. Żmijewskiego przyjął najlegalniej w świecie ale równocześnie starał się go czemprędzej pozbyć dla tej samej racyi „żeby zapłaty nie żądał za swoją pracę". Tak więc ks. Żmijewski półczwarta roku pracował za darmo „jako Zmartwychwstaniec", chociaż nim nie był, podług zdania O. Generała. Opuściwszy dom Chicagoski, udał się do San Antonio, Texas, skąd atoli wkrótce przeniósł się do Detroit, Mich., gdzie dotychczas zbożnie pracuje. Z Detroit 29. Października 1894 tak pisze do Generała: „W chicagoskim domu były dwa obozy, sobie przeciwne; do pierwszego należał tylko O. proboszcz i O. Sedlaczek, ja trzymał z większą stroną (O. Szymona) i było mi z tem dobrze. Jednak niebacznego mnie wciągnęli O. proboszcz i O. Sedlaczek do swego obozu, i odtąd zaczyna się dramat ze mną. Wszyscy inni powstali przeciwko mnie, tak dalece, iż nawet ze mną nie chcieli rozmawiać, a także zabronili mi wstępu do swych pokoi. Mówili otwarcie,

iż byliby szczęśliwymi, gdybym nie był w domu chicagoskim. Naraz ks. prob. Barzyński i ks. Sedlaczek godzą się z przeciwną sobie partyą i wszyscy uderzają na mnie. Gorsza jeszcze rzecz, że to, co mówili na innych przedemną, to później powiedzieli, że to ja mówiłem. Przybył O. Kloepfer w imieniu N. Ojca i rozkazał mi jechać do Berlina, Kanady (tak jak O. Idziemu); nie chciałem, gdyż tam ciągle drwią i wyśmiewają się z Polaków. Zresztą wiem dobrze od ks. Bieli, ile on tam musi od niemieckich Ojców wytrzymać, jego listy są prawdziwie rozpaczające. Widząc więc, że w Berlinie trudno będzie dla mnie żyć, postanowiłem lepiej opuścić Zgromadzenie, niżeli żyć w ciągłem zamieszaniu i niepokoju". W tymże liście prosił o exeat, ale O. Szymon 20. Grudnia 1894. taką mądrą radę daje O. Generałowi: „W moim interesie będzie sprawę tak pokierować, aby ks. Żmijewski sam wyszedł, a nie wypędzać go, aby potem nie rościł sobie do nas pretensyi o jakieś odszkodowanie, boby znalazł adwokatów". To też ks. Żmijewski jeszcze r. 1895. upomniał się o exeat. Niedoczekanie jego! Dodać tu należy, że przed nim, jeszcze r. 1891., opuścił był Chicago i Zgromadzenie także ks. Kazimierz Skory. „Teraz mamy święty spokój od nawału dawnego dziewczyn", zauważył 3. Marca 1891. O. Szymon złośliwie. Za to w r. 1893. przybyły do Chicago dwie nowe siły: ks. Flor. Matuszew-

ski C. R., (później wystąpił), i ks. Jan Piechowski C. R.

Otwarcie kościoła św. Trójcy, w Czerwcu 1893., oraz wystawa chicagoska, pogorszyły stan finansowy Ojców. „Powszechna wystawa w Chicago sprowadziła nam dużo biedy. Dużo robotników przybyło ze wszystkich stron Ameryki i świata całego do Chicago i stąd dużo, bardzo dużo Polaków chodzi bez pracy. Polacy, co byli dali swe pieniądze do nas na schowanie, teraz je odbierają, aby za nie kupić żywność lub wyjechać z powrotem do kraju''. Przez jeden miesiąc Lipiec ludzie wybrali Ojcom z Banku $26,000. O. Szymon, który był powrócił z kapituły, tak opisuje 26-go Września 1893. stan finansowy: „Kryzys u nas jeszcze nie przeszła, obecnie ojcowie chodzą po kolekcie, ale idzie bardzo niepomyślnie, w wielu miejscach nic nie dają, w wielu tłómaczą się, że należą do św. Trójcy, a w innych miejscach gdzie lat poprzednich dawali $5 i więcej, dadzą dolara, rzadko gdzie piątkę. Aby niektórych ludzi zachęcić, jednych do nieodbierania pieniędzy, a innych do składania u nas, proboszcz podniósł procent na 6 od sta, i to trochę pomogło, że możemy jako tako ciągnąć dalej. W banku na nowobudujący się kościół św. Jana K. zaciągnięto częściowej pożyczki, ale jeszcze wiele bardzo brak. Z intencyami mszalnemi także się ukróciło, raz, że z otwarciem św. Trójcy wiele intencyi tam i-

dzie, powtóre wskutek bezrobocia; w dochodach, głównie ślubach, musieliśmy ceny zniżyć, bo u św. Trójcy poznižali ceny i niektórzy szli tam ze ślubami.... rzeczywiście takie urządzenie, jak zrobił Mgr. Satolli, to wiele nam będzie przysparzać nieporządków; oni wybierają parafian co lepszych, a biedniejszych odprawiają do nas. Co do kasy, nie tylko, że mają świeckiego kasyera, jest nim Słomiński, ojciec ks. Słomińskiego, ale podobno sami księża tak są przekonani, że tak być powinno; jak oni tłómaczą Arcybiskupowi to nie wiemy. Arcybiskup przed nami się tłómaczył, że on tego nie chciał, ale Mgr. Satolli urządził...... Arcybiskup miał słuszność opierać się, aby do św. Trójcy nie dawać obcego księdza, ale tylko z naszego Zgromadzenia, aby uniknąć tych niedogodności jakie są, ale cóż robić, stało się.... Nasz O. proboszcz nie jest od tego, aby w roku przyszłym odwiedzić Rzym, coby mu się wielce przydało i wieleby mógł dać wyjaśnień Propagandzie o Polakach zwłaszcza Chicagoskich — ale trzebaby przed jego wyjazdem **uporządkować rachunki z całego czasu jego administracyi**, a tego mógłby dopełnić gdyby N. Ojciec przysłał nam O. Mosser, któregobyśmy, że tak powiem, z proboszczem zamknęli na kilka miesięcy, a samibyśmy starali się obsłużyć parafie. **Parafianie okazują gotowość do większych ofiar dla spłacenia długów, ale chcą dokładniejszych rachunków''.** A 20. Listopada,

1893.: „Aby nie wzbudzić w innych, którzy jeszcze nie odebrali swych pieniędzy, paniki, coby mogło spowodować kompletne bankructwo i upadek missyi, na wypłatę tych odbiorców nie tylko poszły fundusze parafialne, że nie było skąd brać pensyi, ale nawet i nasze jura stolae, tak, że sami zostaliśmy za parę miesięcy zadłużeni naszym dostawcom żywności itd. Na przyszłość, aby uniknąć podobnego niedoboru, tobym proponował co następuje: **Aby kompletnie oddzielić kasę parafialną od kasy Zgromadzenia** i ażeby obiedwie kasy nie były w jednem ręku, aby inny kasyer miał kasę parafialną, a inny zaufany zakonnik kasę Zgromadzenia, i aby N. Ojciec zobowiązał obydwóch proboszczów (gdyż od Bożego Narodzenia będzie 2, jeden u św. Stanisława, drugi u św. Jana K.) pod świętem posłuszeństwem, iżby co miesiąc wypłacali regularnie kasie Zgromadzenia pensye za członków pracujących przy parafii i aby wszystkie jura stolae szły do tejże kasy Zgromadzenia, to taki sposób możeby uratował Zgromadzenie od podobnego niedoboru, jaki jest obecnie; bo gdy kasa w jednem ręku, to kasyer będąc ściśnięty wypłatą długów parafialnych lub przyciśnięty naciskiem proboszcza, nie ogląda się na nic, ale wszystko wydaje. Zapewne ten sposób zabezpieczenia przychodów Zgromadzenia nie spodoba się żadnemu proboszczowi, boby pragnęli mieć władzę nad wszystkiem, dlatego uciekam

się do powagi najwyższej, do O. Generała. W księgach O. Kasprzyckiego wszystko jest zapisane pele—mele, dochody i parafialne i nasze etc., proboszczowi w to graj, bo on nie lubi segregacyi, ale wszystko chce mieć na kupie, ale to dla nas bardzo niekorzystnem, bo nie wiemy stanu parafii, sierot, szkoły, naszej kasy itd". Ta propozycya oddzielenia kasy Zgromadzenia od kasy parafialnej, inspirowana przez O. Sedlaczka, który teraz po O. Kasprzyckim (bo ten został był proboszczem Kantowa) objął prokuratorstwo z woli O. Szymona, istotnie „nie spodobała się żadnemu proboszczowi", ani O. Wincentemu ani O. Kasprzyckiemu, którzy z oburzeniem odpierają ów zarzut, jakoby na dotychczasowem połączeniu obydwu kas ucierpiała kasa Zgromadzenia, owszem przeciwnie.

Indygnacyjny list O. Wincentego, z 18. Stycznia 1894., pisany prawie cały ręką O. Kasprzyckiego, brzmi: „Ostatnie listy N. O. Generała przekonały nas, że korespondencye O. Szymona pachną za bardzo intrygą do grecko-bułgarskiej pobożności odpowiednią.... Skąd ja mogę rzucać tysiącami z funduszów Zgromadzenia, gdy wydatki, pod okiem O. Szymona robione, przewyższają corocznie nasze przychody?.... Co do tej pieczeni, to śmiało powiedzieć mogę, że ją dla siebie piecze O. Szymon, oprócz tego, że bierze swoją pensyę co miesiąc po $50 i składa na imię swego brata.... Na jaką intencyę ta skrytość, gdyż przecież od ro-

ku przeszło Dom Chicagoski daliśmy inkorporować, mieć wszystko co mieć możemy nie należy do pojedyńczych osób, lecz do wszystkich stanowiących Dom naszego Zgromadzenia w Chicago. O. Szymon nie jest zadowolony, żeśmy bratu jego Walentemu posadę dali w kancelaryi za $50 miesięcznie, a od roku za $60, ale nadto domagał się podwyższenia tejże.... Dlaczego O. Szymon pragnie sobie wyrobić jakąś partyę w Domu? a nie mając zdolności do tego, popiera lizusów i wytworzył w Domu pomiędzy ojcami obrzydliwe stronnictwa. On sam jako brat śpiący w spowiednicy i nawet na kazaniu nie może nam pomagać, zresztą najpiękniejsze godziny dnia poświęca Siostrom Nazaretankom, a tu ogromna praca w parafii złożonej z 30,000 dusz, a pomimo tego w szaleństwie swego niedołęstwa i samolubstwa chcąc okazać moc swojej grecko-bułgarskiej dyplomacyi, nie lęka się żadnego następstwa byle pokazać, że on to jest, a nie żaden proboszcz, który gospodaruje. Grecko-bułgarska pobożność jedyny sposób zbawienia Zgromadzenia i ludu. Taka obłuda sprowadzi na nas gniew Boży. On mówi o rachunkach, o zaprowadzeniu porządku, a na każdym kroku zamiast pomagać, przeszkadza. Oto czem jest O. Szymon ten specyalny kapelan Nazaretanek i nieustający Kolektor Bułgarski. Zarzuca on mi, żem ja zepsuł Idziego i O. Gordona, ale gdyby on był z Idzim obchodził się nieco wspa-

niałomyślniej, a z O. Gordonem wyraźniej, nie byłoby przyszło tak daleko. On lęka się wszystkiego w oczy, a rozmazuje poza oczy o tyle ostrzej i niesumienniej. Tylko pochlebcy są prawie nietykalni. Jeżeli więc gospodarka w Chicago pójdzie według greckiego stylu, nastąpi bardzo prędko krach moralny, a za nim jeszcze spieszniej krach finansowy, a ten napełni świat obrzydliwościami skandalu. Będzie to słuszna kara Boża za to lekkomyślne traktowanie Missyi kilkadziesiąt tysięcznej w Chicago, a traktowanie przez lat dziesiątki. Dzisiaj kościół św. Stanisława K. potrzebuje nie takiego Przełożonego niedołęgi: intryganta i malkontenta jak O. Bernard, ale ludzi pracowitych przynajmniej jednego na tysiąc dusz. Może N. O. Generał powie, a skąd dacie im utrzymanie? Odpowiadam, że żadna farma (gospodarstwo) fuszerowana się nie opłaca, gdy przeciwnie gospodarstwo dobrze urządzone przynosi obfite plony. **Nigdy nie było na Missyi Chicagoskiej proporcyi sił ani co do liczby ani co do gatunku**". Rzeczywiście, nie tylko biedne „farmy" w Texas, ale i ta największa i najbogatsza „farma" w Chicago nie opłacała się Ojcom, gdyż w najlepszych nawet czasach za O. Moszyńskiego w ciągu r. 1890. dom chicagoski miał wprawdzie dochodów $22,022, ale za to rozchodów $23,374, czyli $1,352 deficytu. Cóż dopiero w gorszych czasach, po r. 1893? Miał więc słuszność O. Wincenty, kiedy prze-

ciw O. Szymonowi obstawał przy połączeniu obu kas, gdyż kasa Zgromadzenia, — której „wydatki, pod okiem O. Szymona robione, corocznie przewyższają nasze przychody'' — lepiej na tem wychodziła od kasy parafialnej. Tak więc sprawdziły się złowrogie słowa Biskupa z San Antonio, wyrzeczone 25. Kwietnia 1872. do ks. Winc. Barzyńskiego: „Wy porzucacie Texas, a wolicie Chicago, bo w Chicago więcej płacą, a w Texas mniej, ale ja to uważam za sprzedaż rzeczy duchownych, i za to was Pan Bóg ukarze, a nigdy nie pobłogosławi!'' Deficyt był, chociaż Dom Rzymski nie dostawał tej zapomogi, do której był przywykł za O. Moszyńskiego. „Co do wspomożenia Rzymu — pisał O. Szymon 2. Grudnia 1893. — bardzo boleję, że jesteśmy w tak opłakanym stanie, iż obecnie pomódz nie możemy. Za O. Moszyńskiego ludzie znosili pieniądze do banku parafialnego, a nie odbierali nic; teraz odwrotnie. I kolekty parafialne wtedy przyniosły \$8—10,000, a w tym roku nie wiele nad \$2,000; fairy wtedy przynosiły do \$10,000, w tym roku żadnego fairu nie można urządzić. Gdy dawniej nie mogliśmy nadążyć odprawiać Mszy **śpiewanych,** obecnie **kilku** nas odprawia intencye **czytane.** Musieliśmy pospuszczać ceny ślubów i pogrzebów''. Jest rzeczą doświadczoną, że farma wielka, jeśli jej brak ludzi, nie opłaca się tak, jak farma mała, ale dobrze uprawiana. Ale Ojcowie tej prawdy prostej nie

zrozumieli. Choć na Stanisławowie „nigdy nie było proporcyi sił ani co do liczby ani co do gatunku'', oni jeszcze teraz sięgają po inne parafie w tej złudnej nadziei, że w ten sposób wybrną z bankructwa finansowego i duchownego. Tak np. ks. Langemu umarł assystent ks. Małecki, a drugi „ks. Furman poszedł objąć probostwo po ks. Krollu. Otóż ten ks. Lange nie domaga, posyłaliśmy mu O. Bernada i dalej wypadnie posyłać jednego lub drugiego ojca, tym sposobem ludzie znów się przyzwyczają do nas, i na przypadek gdyby mocniej zachorował ks. Lange, moglibyśmy go korzystnie zastąpić, a kto wie — co będzie później''. A i „ks. Józef Barzyński, na Jadwigowie, prosi także o assystenta — gdy się dostaną księża świeccy, to podobnie jak parafia św. Józafata może przepaść dla Zgromadzenia, wartoby tę parafię utrzymać dla Zgromadzenia''. (11. Stycznia 1894.) I znowu „przyjęliśmy do obsługi jeszcze 2 missye: Cragin i Mele-Rose, otwiera się trzecia w Avondale, które wiele korzyści będą mogły przynieść Zgromadzeniu, ale znów brak nam księży, aby wszystkiemu podołać!'' A przecie parafia św. Stanisława K., w której „nie było proporcyi sił'', rosła i teraz ciągle, bo: „Dotąd skonstatowaliśmy, że od kilka lat rok rocznie przeszło tysiąc dzieci rodzi się więcej niż umiera, a więc rok rocznie parafia o 1,000 przeszło dusz powiększa się''. (11. Stycznia 1894.)

Ów indygnacyjny list obojga proboszczów, O. Wincentego i O. Kasprzyckiego, wymierzony 18. Stycznia 1894. przeciw O. Szymonowi, podkopał był wpływ tegoż u O. Generała i zapoczątkował koniec panowania O. Szymona w Chicago. O. Generał najpierw kazał O. Szymonowi „udać się do Arcybiskupa i prosić o zwolnienie z urzędu Spowiednika Sióstr Nazaretanek'' (3. Marca 1894.) ; a po drugie „O. Sedlaczek otrzymawszy list O. Generała i zawiadomienie, aby żadnych urzędów na stałe nie przyjmował, bo może go Ojciec Najdroższy wezwie do Europy, w parę dni brusquement porzucił ekonomię'' — skutkiem czego stało się teraz właśnie to czego sobie O. Szymon najmniej życzył, mianowicie, że „O. proboszcz Wincenty zabrał w swe ręce kasę i rachunki i sam chce prowadzić, ja ze swej strony, o ile mogę, pilnuję i kontroluję by wszystko było zapisane, a oddzielnie sam prowadzę rachunki Zgromadzenia. Upomniałem się o nadwyżkę dla Rzymu, ale proboszcz nie dał, bo kasa bardzo biedna''. Atoli idea O. Szymona, żeby oddzielić kasę parafialną od kasy Zgromadzenia, o tyle zwyciężyła, że O. Generał posłał do Chicago O. Wilhelma Kloepfer C. R., który, zwoławszy Ojców na konferencyę, kazał jak najwyraźniej rozdzielić urząd proboszcza od urzędu Przełożonego, zamianował O. Piechowskiego kasyerem i sekretarzem parafialnym, a O. Sedlaczka wice-proboszczem. Uchwalono tak-

że — już niewiedzieć po raz który — by O. Wincenty zdał rachunki.

Z powodu tych nieporządków finansowych atmosfera w missyi chicagoskiej stawała się tak duszną i tak ciężką, że wprost czuć było w powietrzu zbliżającą się burzę parafialną. Czarne i złowrogie chmury, gromadzące się od kilku lat, w ciągu roku 1894. pojawiły się na horyzoncie. Jeszcze nie było na Jadwigowie ani w Chicago ks. Antoniego Kozłowskiego, owszem na owej konferencyi uchwalono zostawić O. Brajtkopfa C. R. przy ks. Józefie Barzyńskim, bo „mając przy parafii św. Jadwigi jednego z naszych Ojców (Brajtkopfa), ta parafia i w Arcybiskupstwie liczy się jako jedna z parafii należących do Zgromadzenia, do której, aby pozostała przy Zgromadzeniu, Arcybiskup nie daje na assystenta księdza świeckiego”. (Pisał O. Szymon 15. Lutego, 1894.) A jednak już pomruki zbliżającej się burzy parafialnej dawały się słyszeć. Ojcowie w ciągu tego r. 1894. sami słyszeli te pomruki, i dlatego jeden po drugim ślą listy alarmujące do Rzymu, żeby O. Generał czemprędzej przyjechał do Chicago i „burzę zażegnał” — żeby nie zwlekał na drugi rok, bo „byłoby to zapóźno”, pisał O. Sedlaczek; „widzimy konieczność jak najprędszego przybycia N. Ojca, aby ile możności zapobiedz mogącej nastąpić **nieprzyjemnej katastrofie** z wielką szkodą i hańbą naszego Zgromadzenia, a jeszcze **teraz** możnaby

burzę zażegnać, a na wiosnę (r. 1895.) możeby było za późno!'' — wołał O. Szymon; „obecność O. Generała jest niezbędną, bo inaczej może tutaj przyjść do poważnych zawikłań parafialnych'' — pisał O. Gieburowski. I cóż było przyczyną tych alarmujących listów do Generała w ciągu r. 1894. pisanych? Czy Kozłowski już się zbuntował? albo inni księża prześladują Ojców? albo lud już się wzburzył? Nic z tego! Spokój w około. Ale co Ojców niepokoiło i alarmowało, to owe głębokie przeświadczenie, że stoją na wulkanie własnych nieporządków finansowych, że ten wulkan, tak długie lata w uśpieniu będący, teraz zaczyna się budzić, już grunt pod nogami Ojców się chwieje i lada chwila nastąpi wybuch. Że to, a nie co innego, było przyczyną owej obawy przed jakąś „nieprzyjemną katastrofą'', tego dowodzą najwymowniej własne Ojców listy pisane w ciągu r. 1894., jeszcze przed wybuchem na Jadwigowie. Dopiero po wybuchu zaczęli Ojcowie szukać przyczyny w księżach świeckich, w Narodowcach, a nawet w Delegacie Ap. Satollim itd., tylko nie w sobie. W porozumieniu z O. Szymonem posłał O. Sedlaczek 25. Października 1894. następujące memorandum do Generała: „Nieporządek w administracyi naszej datował się od początku i żółwim krokiem idzie naprzód. N. O. Generał o tem był i jest przekonany, o czem świadczy Jego troskliwość ojcowska względem naszej Missyi,

przysełając nam Swego zastępcę w osobie Przew. O. Prowincyała Wilh. Kloepfera, ażeby zaprowadzić jakiś modus vivendi. Rezultat konferencyi zapewne został O. Generałowi przedłożony z zapewnieniem, że wszystko jest w porządku, że obawy nie masz. Możeby i tak było, **gdyby O. Wincenty się zastosował do powziętych uchwał**, lecz do dziś dnia, może i o tem częstokroć myśli, ale do pracy się nie zabiera. Długi, ciążące na parafii, są olbrzymie, a żaden parafianin o tem nie wie i nawet się nie domyśla do jakiejby cyfry doszły i ztąd różne głosy burzliwe dają się słyszeć. Otóż w tych dniach słyszałem, że jeden z przychylnych nam dotąd parafian oświadczył się przeciw nam i wypowiedział te słowa: „w krótkim czasie utracicie 40 familii wpływowych i nie będę szczędził mego wpływu, by i więcej oderwać od parafii św. Stanisława K.". Pytam go się: „Dlaczego to robisz, skąd to twoje niezadowolenie?" Odpowiada: „Jasna rzecz, że wszyscy musimy być niezadowoleni z administracyi O. Barzyńskiego; czekamy już od lat 12 na rachunki i to napróżno. Proboszcz absolutny, sam wszystko robi, sam też długi płacić będzie". W przeprowadzenie usłyszanych słów ani na chwilę nie wątpimy, z wyjątkiem może tylko O. Barzyńskiego. Dzisiaj gdzie liberalism żydowski pod batutą „Związku Narodowego" oraz „niezależnych Kościołów" pociągają całe tłumy obałamuconego ludu polskiego za

sobą, lepszych rzeczy spodziewać się nie można. Znajdujemy się w obawie jak największej i jeżeli nam pomoc z Nieba nie przyjdzie, trudno nam będzie pracować przeciw fali wezbranej. Kościół św. Trójcy cieszy się powodzeniem, parafia tamtejsza wybudowała piękny gmach szkolny i w krótkim czasie zamierza postawić wielki i wspaniały kościół. Gdyby u nas był porządek w administracyi, małobyśmy o to dbali, ale inaczej utracimy to co mamy i w dodatku wstyd i hańba. Czyż jednakowoż nie masz sposobu do wybrnięcia z ciężaru przygniatającego parafię? Według mnie, tak. Znając usposobienie naszych parafian i przytem zażywając u nich przychylności, nieraz słyszałem z ich ust, że długi musiałyby być spłacone w przeciągu nie 10, ale 5 lat, lecz także dodali i to, że tylko wtenczas „gdy O. Barzyński to do ręki nie weźmie''. Dodaję teraz z mojej strony, że WO. Wincenty jest dobrym i wzorowym kapłanem, ale ekonomem to już chyba nie. Trwoni pieniądze na rzeczy często niepotrzebne, zaciąga długi nie pytając się o to wcale parafian — jest jednem słowem pod tym względem absolutny. Tego z ludem naszym czynić nie można, nie wolno. Słyszeliśmy, że O. Generał zamyśla na drugi rok przyjechać do Chicago, według mnie byłoby to za późno. Nam potrzeba w tej chwili pomocy i porady O. Generała, dlatego też w imieniu O. Przełożonego oraz wszystkich Ojców, błagam i proszę O.

Jenerała o jak najprędszy przyjazd, wtenczas przy dobrem rozglądnieniu się w całej pozycyi i zaprowadzeniu porządku, lżej odetchniemy". Do tego dołączone i pismo O. Przełożonego Szymona: „To co O. Sedlaczek w swojem memorandum wspomina, to my wszyscy widzimy, podzielamy i widzimy konieczność jak najprędszego przybycia O. Jenerała", aby zapobiedz ogromnej katastrofie. Ostrzeżenie to Ojców, Przełożonego i wice-proboszcza, wypowiadające szczerą prawdę o proboszczu O. Wincentym, było zupełnie na czasie, wobec zbliżającej się burzy. Niestety O. Józef Gieburowski musiał zepsuć efekt słów O. Sedlaczka końcowym ustępem następnego swego listu 2. Listopada 1894. do Generała: „Obecność O. Generała jest niezbędną, bo inaczej może tutaj przyjść do poważnych zawikłań parafialnych. O. Wincenty ciągle zajęty jakiemiś rzeczami wielkiemi (?), ale nie parafialnemi. O. Wincenty w pracy, można powiedzieć, jest poza parafią. Moc spraw parafialnych zlecił O. Sedlaczkowi, a ten, myśląc, że jest proboszczem i wielkim człowiekiem, okropnie rośnie w dumie. Nie poznałby go Ojciec". Otóż wskutek końcowego tego ustępu O. Generał mógł całe owo ostrzeżenie O. Sedlaczka uważać za gęsie gęganie, chociaż, gdyby i tak było, trzeba było pamiętać, że i gęganie gęsi ocaliło Rzym. O. Generał nie tylko nie przywięzywał żadnej wagi do owych pogróżek, ale jeszcze nabrał z góry

owych ojców chicagoskich, nazywając całą ich pracę „parodyą” (poniekąd słusznie), a O. Sedlaczkowi oświadczając, że „padł ofiarą niemądrego prądu Polsko-Amerykańskiego”. To ubodło O. Sedlaczka do żywego. „Więc w myśl O. Generała nie jestem podporą Missyi? To najcięższy cios, który gromem spadł na mnie. Jeśli nie jestem podporą naszej Missyi, dlaczegóż Przew. O. Prowincyał oraz Ojcowie w Chicago mnie obrali na zastępcę Proboszcza? Cały list zniechęcił mnie w pracy. Lubię pokorę, ale nienawidzę fałszu. Od moich zasad nieodstępuję.... jeżeli byłbym zmuszony je zmienić, wtenczas poznam, że omyliłem się w powołaniu mojem, wstępując do Zgromadzenia polskiego, które wyklucza pracę narodową z łona swego”. Tak więc do reformy finansowej w missyi chicagoskiej i tym razem nie przyszło. O. Wincenty, jak dotychczas, tak i nadal mógł się zajmować „jakiemiś rzeczami wielkiemi”, tylko nie uporządkowaniem rachunków parafialnych.

Tymczasem miarka cierpliwości i Boskiej i ludzkiej już się przebrała. Burza, którą wszyscy oddawna już, nawet sami ojcowie, odczuwali w powietrzu, zwolna nadciągając zawisła wreszcie ciężarną chmurą nad missyą chicagoską i grom padł na — Jadwigowo. W nocy z soboty na niedzielę, 18. Grudnia r. 1894., świeżo-przybyły assystent ks. Józefa Barzyńskiego, ks. Antoni Kozłowski usunięty zo-

stał z Jadwigowa, bo — jak mówią ojcowie — chciał tam zostać proboszczem. Ktoby chciał ten drobny fakt uważać za przyczynę sprawczą całej schizmy, ten chyba musiałby osobistość ks. Antoniego Kozłowskiego do olbrzymich rozdymać rozmiarów, do rozmiarów jakiegoś bohatera nadziemskiej siły, gdy tymczasem był on sobie zwykłym śmiertelnikiem, który zbrodniczą ręką przyłożył tylko lont do materyału wybuchowego, nagromadzonego przez samychże Ojców. A przyłożył z dopuszczenia Bożego. Dopuścił zaś Pan Bóg ten czyn zbrodniczy, dlatego, że umiał i to złe obrócić na dobro tak ludzi jak i Zgromadzenia Zmartwychwstańców. Kozłowski — to bicz Boży, który miał Ojców wyleczyć z tych wielorakich ich nieporządków finansowych i duchownych. Nieporządki te, jak sami ojcowie przyznali, były wprost okropne, ale sami wygrzebać się z nich przez długi szereg lat nie chcieli czy nie potrafili: jak daleko byłyby te nieporządki zwłaszcza finansowe zaszły, gdyby był Pan Bóg nie użył tej chłosty? Więc ojcowie, zamiast ze złością gryść ten bicz, powinni byli z miłością synowską całować rękę karzącej ich Sprawiedliwości. Ale Ojcowie jeszcze długi czas, jak zaraz zobaczymy, z wściekłością rzucają się litylko na ten bicz i na wszystko, z czego ich zdaniem ten bicz był ukręcony. Wiedzieli, że stary ks. Józef Barzyński już teraz jest niemożliwy na Jadwigowie, wiedzieli, że własnych księży na-

zbyt nie mają, żeby nimi obsadzić jeszcze Jadwigowo, gdyż z tymi, co mieli, nie mogli podołać pracy nawet w swoich parafiach: na Stanisławowie, Kantowie, Avondale, Cragin i Mele-Rose. Z tem wszystkiem, wierni swej starej zasadzie: Salus Congregationis suprema lex esto — nie chcieli dopuścić świeckich księży do parafii św. Jadwigi. Niech kościół czyli „zgromadzenie wiernych'' na tem utraci, byle tylko „Zgromadzenie Zmartwychwstania'' nie utraciło! Zwłaszcza O. Szymon twardo stał przy tej zasadzie. W dwa dni po usunięciu Kozłowskiego z Jadwigowa, 20. Grudnia 1894., prosi Generała o więcej Ojców, bo „**każdy** ksiądz świecki, posiedziawszy kilka miesięcy, stara się kaptować ludzi (czyż nie w taki sposób Ojcowie wkradli się do Chicago w r. 1870?) i malkontentów wszędzie znajdzie i sprowadza zamieszanie, jak tego mamy świeży przykład w parafii św. Jadwigi. Ks. Józef Barzyński miał od kilku miesięcy assystentem ks. Antoniego Kozłowskiego, zdawał się ksiądz spokojny, pobożny, nawet świątobliwy i uroczyście oświadczał, że nie chce żadnego probostwa, ale całe życie chce być assystentem; nareszcie pozyskawszy sobie pewną partyę malkontentów, rozpoczął zbierać podpisy od ludzi, że go chcą mieć proboszczem, a ks. Józefa wypędzić, szczęście, że nie miał wielkiej partyi, udało się burzę na razie zażegnać, sprawa się oparła o Arcybiskupa, a ten ks. Kozłowskiemu kazał wyje-

chać, co też niezwłocznie uczynił w nocy z soboty na niedzielę, i wczoraj, w niedzielę, jedno kazanie u św. Jadwigi wygłosił O. Eug. Sedlaczek, spokojnie tłómacząc Ewangelię bez poruszania kwestyi, aby ludzi nie drażnić. Teraz, aby burzę na dobre zażegnać i innym księżom świeckim zamknąć niejako drogę do intryg, bo to oni, chcąc wydrzeć parafię św. Jadwigi od nas, podbudzili ks. Kozłowskiego do tego kroku, **musimy** dać na assystenta jednego z naszych Ojców, może i ks. Józef Barzyński będzie musiał ustąpić, bo swojem szorstkiem i nieraz za gwałtownem postępowaniem wielu sobie zniechęcił — otóż znów jeden z naszych ojców będzie **musiał** osiąść na Jadwigowie, znów uszczerbek, a **konieczny**, dla naszej parafii". Dlaczego ten mus? ta konieczność? Gdyby Ojcowie byli mieli własnych księży nazbyt, byłoby to zrozumiałem; ale mając już tak za mało księży w swoich parafiach, żeby jeszcze inne **musieli** przyjmować, któż to zrozumie? Pod tym względem nawet O. Wincenty już teraz zmiękł i chciał przyjmować księży świeckich, w braku swoich; i gdyby Jadwigowo był objął ksiądz świecki, z największą pewnością do schyzmy nie byłoby przyszło. „Przybył tu — ciągnie dalej O. Szymon — niejaki ks. Leonard ex-Dominikanin, i bardzo się przymilał, by go przyjąć na assystenta, proboszcz widząc jak jesteśmy przeciążeni pracą, że trudno wszystkiemu podołać, skłaniał się go przyjąć, ale-

śmy wszyscy się temu oparli i nie jest przyjętym. My świeckich księży boimy się jak ognia nie tylko w naszej parafii, ale i w parafii św. Jadwigi i w nowozakładającej się parafii w Avondale i w Cragin, i jak możemy ściskamy się, aby wszystko obsłużyć; ale jeśli N. Ojciec nie da nam pomocy, to będziemy zmuszeni przyjąć wielce nam szkodliwą pomoc świeckich księży. Mamy smutny przykład na parafii św. Józafata, gdy O. Wincenty nie miał Zmartwychwstańców, dał tam przysłanego z Rzymu przez naszych Ojców, podobno tercyarza naszego Zgromadzenia, ks. Kandyda Kozłowskiego, ten poburzył parafię do tego stopnia, że o Zmartwychwstańcach ani słyszeć nie chcieli i musieliśmy się zgodzić dać świeckiemu ks. Franc. Lange, który i dziś okazuje się nam niby przyjacielskim i przychylnym, ale jest wpływowym, a gdy go drudzy świeccy księża podburzą, to gdzie może buty nam szyje". W długach, zamiast z nich wychodzić, brną coraz głębiej. „Ojciec Najdr. zarzuca nam, że Chicago nie daje na wychowanie tych co ma dostatecznie. Prawda, że nie dajem tyle ile N. Ojciec żądał, t. j. $7,000 (rocznie), ale skąd tu wziąć, kiedy parafie ogromnie zadłużone, procenta pochłaniają wszystkie dochody? Św. Jan Kanty kosztuje $200,000 dotąd, z tych niespełna $40,000 spłacono, reszta pożyczka z Banku, który daje pożyczki zaledwie trzecią część wartości realności, a reszta dopożyczona

z naszej parafii czyli zaciągnięty dług na naszą parafię; i w Avondale kupiono loty, a kupno lot znów podniosło długi o $30,000. Inne missye musi Zgromadzenie (?) utrzymywać i na nie się stara o fundusz, a w pozyskaniu dusz nie wielka pociecha”.... To było kardynalnym Ojców błędem, którego i lud nie mógł im darować, że dochody z wszystkich parafii tonęły w jednej kasie na Stanisławowie, i z niej płynęły wydatki na wszystkie parafie: w ten sposób nie wiedziała żadna parafia, ani Stanisławowo nawet, jak właściwie finansowo stoi. A jeśli dodamy, że ta jedna kasa parafialna była nadto zlana z kasą Zgromadzenia i Kollegium i sierocińca i drukarni, to uzyskamy wyobrażenie o finansowem zamieszaniu Ojców. Istny Gallimathias! Powiada wyżej O. Szymon: „Inne missye musi Zgromadzenie utrzymywać”. Chyba odwrotnie — bo jak mogło Zgromadzenie utrzymywać missye, skoro, jak to już wykazaliśmy, rozchody domu Chicagoskiego przewyższały jego dochody? i O. Wincenty wprost twierdził, że Zgromadzenie „wiele winno parafiom”?

Słusznie tedy, nie tyle owe niepokoje na Jadwigowie, ile niespokojne własne Ojców sumienie nabawiało ich wielkiego strachu, jak tego dowodzi list O. Teobalda Spetza C. R., z 18. Stycznia 1895.: „U św. Jadwigi w Chicago pewien ksiądz assystent spowodował rewolucyę bardzo poważną. Niewiadomo jak się to skoń-

czy. Jeśli to raz rozpocznie się u św. Stanisława, to to będzie daleko poważniejsze wobec straszliwych warunków finansowych, w jakich św. Stanisław się znajduje. Zdawałoby się jakoby to było naszem powołaniem brać wszędzie na siebie długi". Niespokojne to sumienie nabawiało Ojców strachu, a że strach ma wielkie oczy, więc Ojcowie widzieli wszędzie swoich wrogów, w księżach świeckich, w Narodowcach, a nawet w Delegacie Ap. Satollim. „Buntownicy — pisze O. Szymon 21. Kwietnia 1895. — trzymają się swego, aby żadnego Zmartwychwstańca nie przyjąć na proboszcza do parafii św. Jadwigi, a w tem ich utrzymują, jak niektórzy z nich mówią, księża świeccy, tłómacząc im, aby przy swojem uparcie stali, a w końcu zwyciężą, że musi Arcybiskup tak zrobić jak oni chcą, i dają im otuchę urządzając dla buntowników nabożeństwa, udzielając im Sakramentów itd., przedstawiając im jednocześnie za przykład parafię św. Trójcy. I rzeczywiście, otwarcie kościoła św. Trójcy, zbyt łatwe pojednanie z kościołem ks. Kolasińskiego w Detroit, dodało odwagi burzycielom i, można rzec, otwarło drzwi do zaburzeń Kołaszewskiemu w Cleveland i innym burzycielom po innych parafiach i zaburzeniom w parafii św. Jadwigi. Na te nierozsądki JE. Delegata Satolliego użalał się przed nami Arcybiskup i wyrzekł, że Delegat tylko utrudnia rządy Biskupom. Delegat dziś się cofa od swej dawnej

polityki absolutnej „ja jestem ponad biskupami”, i dziś umywa ręce i zostawia władzę Biskupom; od sprawy ze św. Jadwigą umył ręce, chociaż z początku przyjmując delegacyę i dając im posłuchy i na ich przedstawienia dając różne Arcybiskupowi rady (np. żeby Zmartwychwstańcy nie byli na Jadwigowie), krępujące Jego swobodę w rządzeniu Dyecezyą, uzuchwalił buntowników”. Kowal zawinił, a Ojcowie ślusarza wieszają. Po co, zamiast w sobie, szukać winy aż w Delegacie? Jeżeli Ojcowie już koniecznie Delegata chcieli potępić, to powinni go byli potępić, nie za co innego tylko za to, że z braku żelaznej konsekwencyi nie postąpił odrazu z Jadwigą tak samo jak z Trójcą. Ale brać Delegatowi za złe, że dał ludziom posłuchanie? z jakiej racyi? czyżby ten lud nie miał już żadnych zgoła praw w Kościele? nawet prawa przedkładania słusznych swoich skarg i zażaleń na gospodarkę Ojców? Toby w takim razie ten lud był niewolnikiem, a niewolników nie mamy mieć w Kościele, jeśli nie mamy mieć buntowników. Bo niewolnik i buntownik, jako dwie skrajne ostateczności, całują się wzajem i rękę sobie podają: w niewolniku tkwi utajony buntownik, który przy lada sposobności staje się jawnym buntownikiem. Ojcowie, jak i inni proboszczowie, którzy mieli niewolników, mieli i buntowników. Zresztą, jak to było w roku 1870? Czy Biskup wtedy chciał Ojców

mieć w Chicago? Nie; owszem Biskup był „bardzo zadowolony z ks. Juszkiewicza i nie chciał innego”. A jednak Ojcowie pozostali w Chicago, właśnie na tej zasadzie, że lud był niezadowolony z ks. Juszkiewicza, chociaż wówczas owym „ludem niezadowolonym” była tylko szajka zamaskowanych zbójów kilku, rzucających się na życie ks. Juszkiewicza. Ale wówczas Ojcowie pisali, że „lud ma prawo” — ba, kiedy chodziło o usunięcie księdza świeckiego, a osadzenie Zmartwychwstańcy, to lud miał nawet „prawo” obicia księdza; ale teraz na Jadwigowie, kiedy chodziło o usunięcie Zmartwychwstańców, a osadzenie świeckich księży, to lud nie miał prawa nawet legalną drogą u Delegata o to się starać!? Salus Congregationis suprema lex esto — ta zasada jeszcze bardziej się przebija w dalszym ciągu listu O. Szymona do „Generała Waleryana Przewłockiego (który zapewne tego listu nie czytał, gdyż 9. Maja 1895. umarł): „Może N. O. Generał zadziwi się, dlaczego tak się upieramy przy parafii św. Jadwigi i dla uniknienia zaburzeń i św. spokoju nie odstąpim jej, **zwłaszcza, że bardzo mało mamy sił w naszych ojcach** dla obsługi parafii św. Stanisława Kostki, św. Jana Kantego, św. Jacka w Avondale i św. Stanisława Biskupa w Cragin? **Otóż dla tego,** aby uniknąć zaburzeń w innych parafiach naszych, gdybyśmy dali za wygraną u św. Jadwigi, toby znów uzuchwaliło innych

burzycieli, zwłaszcza Narodowców, bo od nich owe zaburzenia głównie wychodzą, uzuchwaliłoby księży świeckich czyhających jak kot na mysz lub wilk na owce, na nasze parafie, pragnących je rozgrabić. Wiele nas kosztuje utrzymanie św. Jadwigi, ale nasza wygrana, że się zażegna inne zaburzenia?" Z tem wszystkiem, prawda wychodzi na wierzch i Ojcowie mimowoli przyznają się do właściwej przyczyny owych zaburzeń i schizmy, bo oto teraz wreszcie: „U nas u św. Stanisława — pisze dalej O. Szymon — O. proboszcz Barzyński **po mału** przygotowuje i składa komitetowi parafialnemu rachunki ze wszystkich lat swej administracyi, zdaje się, że **pomału pomału** przyjdzie do pewnego porządku i zadowolnienia parafian. U św. Jana Kantego O. Kasprzycki od początku pilnuje porządku w rachunkach, więc ma zupełny porządek. Jako próbkę porządku kasy u św. Jana K. załączam pierwsze sprawozdanie parafialne. **Nie ma** w niem **wykazanych długów** na kościele i parafii, ale **ta przezorność potrzebna w tej chwili**, aby nie podsuwać na teraz nieprzyjaciołom i burzycielom materyału do podobnych zaburzeń.... Roboty coraz i coraz więcej przybywa, a liczba robotników nic się nie powiększa. O. Gordon jeszcze nie pożądany". Za to był pożądany mówiący słabo po polsku Włoch O. Serafino Cosimi C. R., który r. 1894. przybył Ojcom do pomocy. Nadto O. Szymon, wróciwszy z Rzymu

po wyborze nowego Generała, przywiózł ze sobą do Chicago 31. Sierpnia 1895: O. Stanisława Rogalskiego, C. R., mającego swych rodziców w parafii św. Jadwigi, O. Babskiego C. R., O. Rapacza C. R., i O. Jana Kruszyńskiego C. R. Generał Przewłocki życzył był sobie jeszcze r. 1888. i 1894. „by wspólnie z nami dla dobra Polaków pracowały w Chicago i nasze Siostry Zmartwychwstanki, ale dawniej O. Wincenty opierał się temu, przenosząc nad nie Siostry Nazaretanki, a obecnie r. 1895. „przy zamieszaniach na Jadwigowie nie można myśleć o sprowadzeniu Zmartwychwstanek, na samym wstępie mogłyby być wraz z nami narażone na wielkie nieprzyjemności". Przybyły dopiero roku 1900. „Nazaretanki Amerykańskie — pisze O. Szymon — nie są takie jak Europejskie: 1-o nie mają ducha tak arystokratycznego, 2-o nie są ślepo przywiązane do ks. Antoniego Lecherta".

XI.

Generał Smolikowski i missya Chicagoska, to nowożytny Herkules i stajnia Augiaszowa. — O duchowieństwo świeckie, jako o instytucyę Boską, bijąc ojcowie sami się rozbijali. — Generał powiększa ich siłę liczebną. — Sam przyjeżdża do Chicago r. 1896. — Usuwa Kobrzyńskiego, a mianując przełożonym samegoż Barzyńskiego, wydobywa zeń tajemnicę długów. — Spetz prokuratorem od Czerwca, 1896. — Do Banku Parafialnego ludzie złożyli przeszło $400,000, a w Banku nie ma nic. — Generał każe zamknąć Bank i spłacać długi. — Ojcowie nic z tego nie czynią. — Kto winien Bankowi, Zgromadzenie czy parafie? — Barzyński twierdzi raz, że Zgromadzenie, drugi raz, że parafie. — Generał 15. Stycznia 1897. ogłasza bankructwo i odpowiedzialność za długi bankowe zwala na Arcybiskupa. — Ojcowie drżą ze strachu, że ich Arcybiskup wypędzi z Chicago, a ludzie ich wieszać będą na latarniach miejskich. — Wreszcie gniew arcybiskupi rozbrajają przyznaniem się do winy, że to oni z Banku brali pieniądze i oni też, a nie Arcybiskup, odpowiedzialni są za długi bankowe. — Czem wystawiono drukarnię? czem płacono jej ciągły deficyt?.... Pieniędzmi z owego Banku! — Barzyński ze strachu rozchorował się.

Po śmierci O. Przewłockiego został 16-go Czerwca 1895. obrany Generałem O. Paweł Smolikowski, C. R. O. Kasprzycki, dzisiejszy jego następca, pisał był z Chicago 7. Lipca r. 1895. do Generała Smolikowskiego: „Starać się będę, żeby drogiemu Ojcu zawsze być posłusznym i dopomagać w czem będę mógł. Dałby Pan Jezus, aby za rządów dr. Ojca Zgromadzenie wzrosło w liczbę członków z prawdziwem powołaniem, abyśmy mogli podołać pracy, której mamy za wiele. W Ameryce potrzeba

dużo **PRAWDZIWYCH** Zmartwychwstańców, a nie mielibyśmy dziś schyzmy na Jadwigowie". W tem skromnem wyznaniu jest więcej sensu niż np. w takiem pyszałkowatem O. Piechowskiego: „Nasze Zgromadzenie ma tu w Ameryce wielką przyszłość, księża świeccy prowadzą złe życie, nie słuchają biskupów, biskupi przyjdą do przekonania, że zakonnicy sto razy lepsi od świeckich księży". (14. Maja, r. 1896.). Oto mała próbka, jak się urabiało opinię Rzymu o świeckiem duchowieństwie polskiem w Ameryce. Trzeba było mieć wielką dozę zarozumiałości, żeby wobec tylu śmieci we własnym domu, jeszcze tak wysoko trzymać o sobie, a tak nisko o księżach świeckich! Że i w parafiach, zarządzanych przez księży świeckich, znalazły się nieporządki i, co za tem idzie, zaburzenia, temu nie przeczymy; ale oparci na faktach stanowczo twierdzimy, że w parafiach zarządzanych przez księży Zmartwychwstańców było **stosunkowo** daleko więcej nieporządków. Jeśli nieporządnych proboszczów świeckich było, przypuśćmy, w stosunku 1 do 50, to nieporządnych (finansowo czy duchowo) proboszczów Zmartwychwstańców było co najmniej w stosunku 1 do 5; jeśli śród księży świeckich znalazł się Judasz, okradający kasę kościelną, jeden na dwunastu, to śród księży Zmartwychwstańców znalazł się jeden na dwóch, jak tego Ojcowie sami dali dowody namacalne i autentyczne. Inaczej też być nie

mogło. Powołanie, a więc i dar specyalny, do prowadzenia parafii ma w pierwszym rzędzie duchowieństwo świeckie; a tylko wyjątkowo, w braku księży świeckich, księża zakonni mają zarządzać parafiami. Ale Ojcowie z tego wyjątku chcieli zrobić regułę i, usiłując daremnie porządek Boży wywrócić do góry nogami, zamierzali wziąć w posiadanie wszystkie parafie, a księży świeckich z nich usunąć. Niebaczni Ojcowie daremno bili w ten mur duchowieństwa świeckiego. Łatwiej było głowę sobie rozbić niż ten mur obalić. Ten mur już stał wtedy, kiedy Ojców nie było, i stać będzie jeszcze wtenczas, kiedy Ojców nie będzie.

Jeżeli księża świeccy pragnęli posiadać parafie Ojców, to pragnęli posiadać tylko to, co im się z prawa i z powołania należało; tem bardziej mieli prawo domagać się tych parafii, gdy widzieli, że — jak sami Ojcowie to ciągle przyznawali — „na missyi Chicagoskiej nigdy nie było proporcyi sił ani co do liczby ani co do gatunku'', i że z tego braku dostatecznych sił powstawały coraz to większe nieporządki i zamieszania. Nowy też Generał, O. Smolikowski, bystrym swoim i przenikliwym umysłem odrazu poznał, w czem tkwi korzeń złego, że nie w owych „intrygach świeckich księży'', ale poprostu w braku sił i porządku zwłaszcza finansowego. Wytężył więc wszystkie swe siły, aby te dwie luki wypełnić. Ale jeśli pierwszą lukę, brak ojców, trudno mu było wypełnić, to

wypełnić drugą lukę, brak porządku finansowego, było prawie niepodobieństwem. Zaczem poszło, że O. Generał nosił się nawet z myślą, żeby całkiem wycofać ojców z Chicago, gdyż wtedy to właśnie, na widok owej bezdennej głębiny długów parafialnych, jaśniej niż kiedykolwiek stanęła mu przed oczy ta prawda, że jego ojcowie jako księża zakonni nie są w pierwszym rzędzie powołani, a zatem nie mają i daru specyalnego, do rządzenia parafiami.

Ażeby pierwszą lukę, brak księży, wypełnić, O. Generał zaraz po objęciu rządów, w Sierpniu r. 1895., wysłał cały zastęp młodych a dzielnych ojców: Rogalskiego, Babskiego, Rapacza, Kruszyńskiego; r. 1896. Spetza, Obyrtacza, Gordona; r. 1897. Ziembę, Dąbkowskiego i Kuzyusza; r. 1898. Siatkę; r. 1900. Zapałę i Ładonia, i tak dalej. Tak liczne karawany apostolskie, jak za rządów O. Smolikowskiego, nie nadciągały nigdy przedtem do Chicago. Pomimo to, ojcowie zawsze jeszcze uskarżali się na brak kapłanów, i słusznie, bo chociażby ci ojcowie byli mieli każdy po 10 rąk, a pięć głów, nie byliby podołali pracy w swoich olbrzymich parafiach. Żeby była proporcya sił, powinien był być, jak O. Wincenty pisał, „przynajmniej jeden kapłan na każdy tysiąc dusz"; a tymczasem był zaledwie 1 na 10,000 dusz. To też pola ogromne odłogiem leżały i chwastem porosły albo — uprawiane niemiecką ręką — dla narodowości polskiej na zawsze przepadły.

Energiczniej zabrał się O. Generał do zapełnienia drugiej luki. Chociaż i tu O. Generał tego ogromnego dołu właściwie nie zasypał, bo nie mógł, ale przynajmniej tak go pięknie ogrodził, zwracając nań uwagę i ojców i Arcybiskupa, że odtąd przestał być niebezpiecznym dla przechodzących tamtędy ojców i biskupów. O. Szymon Kobrzyński, ustanowiony przez Generała Przewłockiego r. 1888. przełożonym domu chicagoskiego, miał upominać i upominał też O. Wincentego, żeby głębiej nie kopał tego dołu długów, bo podkopie całą missyę Chicagoską, ale widzieliśmy, jaki skutek miały te upominania. Owszem, O. Wincenty, poza niedołężnem przełożeństwem O. Szymona, jakby za parawanem się ukrywał i swoje dalej robił. O. Szymon miał tylko domysły, uzasadnione wprawdzie, lecz zawsze tylko domysły o długach O. Wincentego, i temi domysłami Rzym ciągle alarmował: a Rzym chciał faktów, chciał wiedzieć konkretnie, gdzie i jak głęboki jest ten dół długów — a tego O. Szymon przez tyle lat pobytu przy boku O. Wincentego nie potrafił dociec ni wybadać. Długi, zwłaszcza Banku Parafialnego, były zawsze jeszcze grubą osłonięte tajemnicą. „Parafianin od czasów ks. Bakanowskiego”, A. W. Rudnicki pisał do Generała Smolikowskiego: „Nie uwłaczam ks. Szymonowi, jest to kapłan bardzo pobożny i przykładny, ale żaden dyplomata. Bo pozwolić na utratę Trójcy i Jadwigowa do połowy? zna-

czy tyle dla Zmartwychwstańców co utrata Metzu i Strassburga dla Francuzów, a temu winien Przełożony mimo swej najlepszej woli i myśli dla Zakonu i zbawienia dusz ludzkich. Ks. proboszcz Barzyński już się nieborak spotrzebował. Dwóch tylko mamy kaznodziejów tutaj: O. Sedlaczka i O. Obyrtacza. Młody Kosiński nie wiąże, ale ma dar wymowy. Jeden jest na Wojciechowie doskonały kaznodzieja ks. Truszyński. Najroztropniejszym ze wszech Zmartwychwstańców w Chicago jest ks. Jan Kasprzycki, ten kapłan umie własną formować opinię, zanim wypowie swoje zdanie". Podobnie pisał sam Prowincyał O. Kloepfer dn. 6 Grudnia 1895.: „O. Szymon jest dobry i święty człowiek, ale mało ma powagi i znajomości spraw amerykańskich. Ks. Jan Kasprzycki stanowiłby najlepszy wybór między wszystkimi Ojcami tutejszymi". Przeczuwał to O. Szymon oddawna, że go chcą usunąć z przełożeństwa. Po powrocie z kapituły, chcąc okazać nowemu Generałowi wielką swą troskliwość o dom rzymski, zwołał konferencyę. „Po odbytej konferencyi z proboszczami naszych parafii św. Stanisława, Jana Kantego, Jadwigi i Jacka, z powodu, że każda parafia jest potężnie obdłużona, a każden proboszcz ma na głowie te długi, prócz tego O. Winc. Barzyński **utrzymuje że Zgromadzenie wiele winno parafii** (św. Stanisława K.), co ma wykazać rachunkami — na teraz to zostało uchwalone: Że rok rocznie

mają dawać Rzymowi: parafia św. Stanisława K. z pensyi $1,000, z jura stolae $600; parafia św. Jana K. $1,000; św. Jadwiga $600; św. Jacek do niczego się nie zobowiązuje — suma $3,200". To było uchwalone, ale r. 1895. posłali Rzymowi tylko $1,450 (i to intencyi mszalnych). „U św. Jadwigi spokojnie, schyzmatycy się trzymają, budują sobie niby kościół, ale kto wie czy ten budynek wkrótce nie będzie salunem i halą do tańców" (niestety, O. Szymon tego się nie doczekał!) Ta troskliwość O. Szymona o dom rzymski nie potrafiła zamydlić oczu Generałowi. Dni O. Szymona w Chicago były policzone. Parawan trzeba było usunąć. A na miejsce O. Szymona postawić kogo? czy O. Kasprzyckiego, jak to sam prowincyał był radził? Nie, bo byłby to znowu parawan, a O. Generałowi chodziło o to, by całkiem odsłonić tajemniczą postać O. Wincentego, by wprost mógł patrzeć na O. Wincentego, na wskroś go przeniknąć i wydobyć z niego tę głęboką tajemnicę długów. Więc O. Generał zamianował przełożonym samegoż O. Wincentego, czem niezmiernie połechtał jego dumę, pozyskał jego serce tak, że O. Wincenty sam — jak zobaczymy niebawem — z łatwością odkrył Generałowi wszelkie tajemnice swych długów tak bankowych jak i parafialnych. Był to mistrzowski ciąg. „Dzisiaj o godzinie 11. z górą — pisze do Generała ucieszony O. Wincenty 9. Czerwca r. 1896. o 11. w nocy — Przew. O. Szymon, wo-

bec wszystkich Ojców C. R. w Chicago, odczytał list N. Ojca, ogłosił swoje ustąpienie z urzędu i moją nominacyę jako Jego następcy. Ja z mojej strony przyjąłem ten obowiązek i niczem niezasłużony honor. Następnie zapowiedziałem, że po obiedzie o godzinie ½2. mają się zebrać Ojcowie Radni (Kasprzycki, Sedlaczek, Spetz, Piechowski) na pierwszą naradę, bo bez nich nic robić nie myślę”. „Kassę i rachunki — oświadcza O. Szymon 29. Czerwca 96. — od połowy miesiąca ma i utrzymuje O. Andrzej Spetz, zdam mu rachunki z mojego prokuratorstwa od 1. Stycznia 1894. Z SS. Nazaretankami skończyłem; dalej prowadzą je O. Sedlaczek w głównym domie na Division, w Szpitalu i w Avondale, i ks. Józef Barzyński na Jadwigowie, Józafatowie, Wojciechowie i South Chicago”. Wyjazd O. Szymona Kobrzyńskiego z Chicago O. Wincenty tak opisuje 25. Sierpnia 1896: „Dnia 18. Sierpnia O. Szymon wyjechał i ze swoim bratem, który po wymówieniu mu miejsca w naszej kancelaryi dostał pewnego rodzaju obłędu. Miał on przez 8 lat za bardzo dobrą pensyę, jak na niego, a za mało pracy — i powiedział sobie „dobrze nam tu być”, ale trudno dzisiaj wyrzucać pieniądze. O. Szymon wyjechał z nieubłaganym żalem i nietajonym do O. Sedlaczka, a pochmurny smutek nikogo nie budujący przygniatał go o tyle gorzej o ile się godzina wyjazdu zbliżała. Parę tygodni po odjeździe O. Generała odwie-

dził niepotrzebnie SS. Nazaretanki, przedstawił im niewłaściwość takiego spowiednika jak O. Sedlaczek, mówiąc, że ich M. Przełożona Columba nie jest wiele starszą od niego..... Dodając, że on tam w Rzymie będzie się starał, aby te nieporządki (finansowe) usunąć, a może jeszcze sam tryumfalnie powróci. Słowem zrzucił maskę tego kiedyś pobożnego spowiednika i mówił jakby z gniewu i z zazdrością. Bez zgorszenia się nie obeszło.... Mamy tu u siebie Mgr. Wawrzyniaka, czyni bardzo świetne wrażenie swojemi przemówieniami na ludzi. Kongres się zbliża, ja mam do obrobienia referat o prasie katolickiej, możeby O. Generał przysłał mi trochę uwag i edyktów oficyalnych o tej sprawie, aby mój biedny referat okrasić".

Istotnie, O. Generał podówczas właśnie przygotowywał dla O. Wincentego „trochę uwag i edyktów oficyalnych", aby okrasić jego referat — nie o prasie — ale o kasie, a raczej o długach Banku Parafialnego, z któremi O. Wincenty dawno miał się załatwić, ale o których najmniej myślał, bo był zajęty ciągle „jakiemiś wielkiemi rzeczami". Generał Smolikowski od samego początku swoich rządów ciągle przemyśliwał nad tem, jakby uporządkować zaniedbane od lat długich finanse w Chicago. Ale łatwiej było Herkulesowi wyczyścić stajnię Augiaszową, niż O. Generałowi wymieść śmiecie nieporządków finansowych z missyi Chicagoskiej. Przedewszystkiem szło O. Gene-

rałowi o zamknięcie samegoż źródła wszelkich nieporządków, to jest o zamknięcie Banku Parafialnego. Czemże był ów Bank Parafialny? Była to jakby ogromna beczka w środku parafii postawiona, a opatrzona pieczęciami i proboszcza i Arcybiskupa, na znak, że parafianie mogą tam bezpiecznie wkładać swe oszczędności na schowanie. Niestety ta beczka była bez dna, więc co włożono górnym otworem, to dolnym otworem przepadło i rozmaitymi kanałami rozchodziło się niewiadomo gdzie, tak, że choć ludzie do r. 1896. włożyli tam około pół miliona dolarów, beczka okazała się najzupełniej próżną. „Beczki pełne milczą'' i nie odpowiadają dudnieniem, choć je uderzysz; ale gdy próżną beczkę uderzysz, zadudni głośno. Tak samo było z Bankiem Parafialnym w Chicago. Gdy Generał Smolikowski potrącił o tę beczkę, zadudniła tak głośno, że napełniła całe Chicago brzękiem i hałasem. Był to namacalny i najoczywistszy dowód, że owa beczka była próżną. Więc Generał całkiem rozsądnie radził, żeby wsadzić dno do tej beczki i u góry i u dołu, to jest całkiem ją zamknąć, a potem usunąć ją zupełnie z parafii, żeby ludzi dalej w błąd nie wprowadzała. Ale to było na razie niemożliwem wobec tego, że ta beczka, na znak bezpieczeństwa, miała na sobie pieczęć i proboszcza i arcybiskupa; więc czy zamknięciem czy usunięciem jej tak jeden jak drugi byłby mocno skompromitowany i wywołałoby się panikę nie

do opisania. O. Generał miał prawo kościelne i zakonne po swojej stronie, gdyż prowadzenie banku parafialnego nie zgadzało się z duchem przepisów kościelnych a tem mniej licowało z regułą zgromadzenia zakonnego. Ale od prawa do jego wykonania — jeszcze było bardzo daleko. Naciśnięto na O. Wincentego, on się chował pod infułą arcybiskupią. Trzeba bowiem znać genezę tego banku. „Ażeby mieć fundusz — czytamy w Memorandum O. Generała przedłożonem r. 1897. Radzie Generalnej w Rzymie — którymby można rozporządzać dla podjęcia i dokończenia budowli parafialnych w różnych polskich parafiach w Chicago, ks. Barzyński, proboszcz parafii św. Stanisława tamże, za wiedzą X. Arcybiskupa, przyjmował od ludzi depozyta na procenta. Stąd powstał tak zwany Bank. Bank ten tak nieumiejętnie był prowadzony — i nie dziw, bo go prowadzili księża zajęci duszpasterstwem — że długo niewiadomo było nawet, ile się z niego ludziom należy. Ks. Przewłocki, zostawszy Generałem Zgromadzenia, zaniepokojony był tym bankiem, ale go ks. Barzyński uspokajał, powiadając, że choć deficyt jest wielki, ale są zabudowania, których wartość przewyższa o wiele dług, że zresztą jest to dług parafialny, za który nie my, ale X. Arcybiskup jest odpowiedzialnym. Pomimo te zapewnienia, ks. Przewłocki wydelegował Ojców z Kanady, aby zbadali stan finansowy. Ci dokonali tego 27. Lipca r.

1894. Z raportu, jaki podali, okazuje się, że Bank winien ludziom $339,620 (dziś r. 1897. suma ta przechodzi $400,000); ale za to wartość własności kościelnej wynosi $629,000. „Po ukończeniu naszej pracy i konferencyi z ojcami — pisze ks. Kloepfer — poszedłem z O. Fehrenbachem do Arcybiskupa. Przyjął nas bardzo grzecznie, a słysząc o trudnościach finansowych, powiedział, że wizyta O. Generała będzie tu bardzo pożądana, że on (Arcybiskup) dopomoże O. Wincentemu we wszelkiej trudności finansowej; że na razie niczego się nie boi, mając na względzie dochody parafii; że trzeba pomału skończyć z depozytami ludzi; że O. Wincenty, do którego ma wielkie zaufanie, mógł był — i to prawda — mniejsze zrobić długi, lecz równocześnie i to, co zrobił, jest na chwałę dyecezyi i że skoro tylko skończy budować, parafia rozpocznie spłacać długi z łatwością". To samo X. Arcybiskup powtórzył ks. Kobrzyńskiemu, przełożonemu Missyi, który r. 1895. prosił go, aby powstrzymał ks. Barzyńskiego w wydatkach i ciągłych projektach nowych budowli, z powodu Banku, który winien, mówiąc: „Mam całe zaufanie w ks. Barzyńskim. Co on zrobi, to dobrze zrobione". „To jest moja sprawa" — powiedział o banku. Tak stały rzeczy do r. 1895".

„Zdaniem Arcybiskupa — pisał prowincyał Kloepfer jeszcze 3. Października 1895. do Generała — byłoby trudno usunąć całkowicie

bank prywatny parafii św. Stanisława K. Prócz tego, O. Wincenty nie skończył jeszcze z rachunkami św. Stanisława, i jak mówi, nie ukończy rachunków z innemi parafiami aż do Bożego Narodzenia. Z tej racyi, a zwłaszcza z uwagi na rozdraźnienie istniejące jeszcze w Chicago z powodu schizmy, prosił mię nie poruszać teraz tej sprawy. Ma on teraz odpowiedzialny komitet parafialny do pomocy, i sądzi, że w tym roku będzie mógł spłacić procenta i kilka tysięcy dolarów długu.... O. Serafin jest zakałą Zgromadzenia''. Postępowanie O. Serafina Cosimi było dla ojców podówczas co najmniej zagadkowem. Pojechał do Delegata Ap. Satolliego do Waszyngtonu wrzekomo, jak mówił, „w sprawie pewnych księży świeckich z Milwaukee'', ale wobec owego naprężenia finansowego ten wiele nie znaczący krok O. Serafina napełnił O. Wincentego wielkim niepokojem. Dnia 9. Listopada 1895. O. Wincenty wypisał O. Serafinowi oryginalne świadectwo tej treści: „Zaświadczam, że O. Serafin Cosimi C. R. przebywał w Chicago, Ill., przy kościele św. Stanisława K. ze dwa lata, a w tym czasie spał, jadł, chodził, mniejwięcej jak mu się podobało, a za to w kościele od rana a czasem po południu z pół godziny, a czasem godzinę śpiewał. X. Wincenty Barzyński, Rektor Kościoła św. Stanisława K.''. Na tem pieczęć parafialna. Strach ma wielkie oczy: wszędzie widzi szpiegów i zdrajców. Jeszcze bardziej

zaniepokoił O. Wincentego znowu „zagadkowy'' wyjazd O. Sedlaczka do Rzymu. Nacierano na niego zewsząd, by raz przecie zdał rachunki z lat włodarstwa swego w Chicago. W Maju r. 1895. „wygotował wprawdzie rachunki parafialne z lat 20, oświadczając, że parafia św. Stanisława ma tylko $174,000 długu''; ale „o długu bankowym w nich nic nie wspomniał'', grobowe zachowując milczenie. Ten bank był wielką zagadką dla ojców, a piętą Achillesową dla O. Wincentego. Zagadka ta stała się jeszcze bardziej interesującą, kiedy O. Wincenty „ku wielkiemu zdziwieniu'' Ojców wręcz oświadczył, że „cały ten dług bankowy jest na odpowiedzialność Ojców, że Zgromadzenie wiele winno parafii''. Coraz bardziej więc ojcowie nagabywali O. Wincentego o ten bank, aż biedny się rozchorował i wyjechał dla poratowania zdrowia do Arizony, skąd z Yuma 10. Grudnia 1895. pisze do Generała: „Po wielu latach życia złożonego z różnorodnych kawałków i kawałeczków, słodkie jest zaiste odetchnienie w kąciku spokojnym. Teraz zanim się ruszę z tego kąciczka, jeszcze go łzami oblać powinienem, bo nie wiem co mię dalej czeka''. Tymczasem z Kanady przybył i „cały prawie Grudzień 1895. w Chicago bawił''. O. Andrzej Spetz, który „mógłby wielkie usługi oddać ekonomii domowej''. Jakoż w Czerwcu 1896. z woli Generała, administracyę całego tego zagadkowego banku objął O. Andrzej Spetz, czło-

wiek akuratny i pilny, wielki finansista, ale jeszcze większy spekulant. O. Generał sam osobiście przyjechał do Chicago, w Maju 1896., by na miejscu zbadać tę sprawę długu bankowego, który już był doszedł do poważnej cyfry $406,-625, a o którym O. Wincenty „ku wielkiemu zdziwieniu'' Ojców twierdził, że jest „na odpowiedzialności **Zgromadzenia**'', że Zgromadzenie winno ten dług spłacić. Ta ostatnia okoliczność nie tylko ojców „zdziwiła'', ale i sami „parafianie św. Stanisława K. byli również mocno zdziwieni, wiedząc, iż tylko $174,000 są winni'', jak im to był przedłożył O. Wincenty roku ubiegłego. Badano tedy dalej: kto właściwie winien ten dług, Zgromadzenie czy parafie? Żeby Zgromadzenie było tyle winne, trudno było przypuszczać. Wtedy więc, pod naciskiem ojców, O. Wincenty wyjawił inną tajemnicę: mianowicie zmodyfikował dotychczasowe swoje zdanie, jakoby „Zgromadzenie było odpowiedzialne za cały ten dług bankowy'', a natomiast „tak się usprawiedliwił O. Generałowi ze stanu finansowego: że wprawdzie cofnąć się już nie mógł z tego, co parafii przedłożył był (że winna tylko $174,000), ale wykazał, że do Banku **od ludzi należy się** $276,000, a aktywa wynoszą $125,000 — razem więc $401,500. To w całości prawie pokrywałoby dług bankowy''. To nowe wyznanie O. Wincentego uspokoiło zupełnie ojców, bo uwolniło ich od odpowiedzialności za cały prawie ten dług bankowy. Wsze-

lako żeby na przyszłość ustrzedz się podobnych kłopotów, czytamy w temże Memorandum Generała: „Na Radzie, odbytej z Ojcami (chicagoskimi), postanowiliśmy: 1) że Bank należy zamknąć, a to tym sposobem, że się postara odebrać na razie choć z połowę tego, co Bankowi winni i Bank się zlikwiduje, zachowując resztę depozytów, któreby chcieli ludzie zostawić bez procentu, do częściowego spłacenia. Zapewniano mię, że większa część wierzycieli pozostawi swe depozyta; 2) że ani centa odtąd nie wolno z Banku na co innego obracać, a tylko na spłatę długów bankowych; 3) że administracyę Banku obejmie ks. Andrzej Spetz i co dwa tygodnie będzie mi donosił, co zrobiono w kwestyi spłaty Banku. O tem wszystkiem uwiadomiłem X. Arcybiskupa, który mi za to serdecznie dziękował, powiadając, że wiedział o Banku i o długu, ale **nie myślał, żeby ten dług był tak wielki**, i prosił, abym zalecał Ojcom, **by to wszystko trzymali w sekrecie**, aby się rzecz nie rozeszła między ludźmi''. Arcybiskup Feehan, choć zdziwił się, że dług tak wielki, nie przeraził się jednak, bo nie wiedział jeszcze, że cały ten dług on sam ma wziąć na siebie.

Powyższe tak piękne uchwały, przez samych ojców chicagoskich, wespół z Generałem, powzięte, pozostały na papierze. O. Wincenty zajmował się przyjmowaniem Szambelana Wawrzyniaka, przygotowaniem referatu na Kongres, prosząc, by go Generał jakimś „oficy-

alnym edyktem okrasił", i innemi „wielkiemi rzeczami", wobec których dług bankowy był drobnostką. Zresztą pocieszał się kopalnią złota. „Co do kopalni — pisał 25. Sierpnia 1896. — nadzieja zabłysła i ufam, że opieka św. Józefa zrobi swoje". O. Spetz zaś dno już wprawdzie do beczki wsadził, ale jak ją teraz napełnić? nad tem sobie niemało głowę łamał. Umysł jego spekulacyjny napełniał już tę próżnię w beczce bankowej dolarami to z kopalni złota to znowu z pancerza Żeglenia. I pancerz i kopalnia obiecywały wiele, ale obiecankami banku zapełnić nie było można. Obiecanką, a nie monetą, zbył O. Spetza także Arcybiskup. „Arcybiskup polecił **roztropność i milczenie,** i powtarzał, że dług jest większy niż myślał, ale mi z własnego popędu obiecał pomoc w razie kłopotu, nie monetą, lecz ułatwieniem pożyczki w razie potrzeby". (1. Lipca 1896.) Był wszakże w gronie samychże ojców niespokojny duch, który tę kwestyę finansową ciągle poruszał, duch podobny owemu „kwasowi, który wziąwszy niewiasta zakryła we trzy miary mąki, aż wszystka skwaśniała". „Z matką Kolumbą (przełożoną Nazaretanek w Chicago) planował różne rzeczy, które często mu się krzyżowały. Naraz matka Kolumba podobno wyjechała do Europy i on tak samo myślił wyjechać do Europy". Ten duch nie dał O. Wincentemu spać spokojnie. On to skusił O. Wincentego r. 1895 do zdania rachunków i przedłożenia pa-

rafianom długu ciążącego na parafii św. Stanisława K.; i O. Wincenty przedłożył parafianom, że dług ich wynosi $174,000. Ale kiedy sami parafianie „byli mocno zdziwieni, że dług ich wynosi tylko $174,000", O. Wincenty musiał żałować, że dał się skusić do takiego sprawozdania; lecz „cofnąć się już nie mógł z tego, co parafianom przedłożył był". Tak więc ów niespokojny duch — był nim wice-proboszcz O. Eugeniusz Sedlaczek — wprawił był proboszcza w kłopotliwe położenie.. I teraz jeszcze nie dawał spokoju, lecz ciągle O. Wincentego do uregulowania rachunków nakłaniał, tak, iż wreszcie O. Wincenty stracił cierpliwość i równowagę umysłu. „Wczoraj — donosi O. Spetz 18. Października 1896. — O. Sedlaczek miał sprzeczkę z O. Wincentym, po której trudno mu będzie tu dłużej pozostać. O. Sedlaczek chce do Europy wyjechać". Sam O. Wincenty pisał do Generała 16. Października 96.: „Ciężki krzyż nas gniecie, bo zgorszenie szerzone przez O. Sedlaczka w Domu i w Parafii, o ledwie, że jeszcze nie w Kościele. On ogłasza się za głównego obrońcę finansów parafialnych. Ludzie poważni i sam p. P. Kiołbassa ostrzegają nas, że mowy O. Sedlaczka o mnie sprowadzą zaburzenia i zgorszenia ciężkie. Powiedział nam w oczy, że O. Kruszyńskiemu (rektorowi Kollegium) i O. A. Spetzowi nie należy się pensya z kasy parafialnej itd. O. Sedlaczek stał się otwartym malkontentem. Ogłosił nam i lu-

dziom, że prosił O. Jenerała, aby go powołał do Rzymu. W jakim celu, to nie my o tem wiedzieć możemy. Już wybija godzina 11., ale sen nie zamyka powiek moich". I nie dziw, że O. Wincenty dostał rozstroju nerwów. Bo po co O. Sedlaczek tak nagle do Rzymu się wybiera? czy nie doniesie O. Generałowi, że ojcowie nie myślą wcale o wprowadzeniu w życie uchwał powziętych o banku parafialnym? Tymczasem O. Sedlaczek 21. Listopada 96. już był w Marzencitz, p. Neumark, Prusach Zach., skąd O. Generałowi pisze: „Zniechęciło mnie to w dalszym ciągu prowadzenie rachunków. Przejąłem się tu zasadami finansowemi O. Jenerała, chciałem ażeby były w życie wprowadzone — lecz niestety! odkładało się wszystko ad calendas graecas. Ztąd powstały nieporozumienia, trudno ażeby nie powstały, wszakże sprawa finansowa stała się sprawą najgwałtowniejszą dla Zgromadzenia. Cóż my uczynili po wyjeździe O. Jenerała? chyba to, żem skolektował od SS. Nazaretanek (które, jak zobaczymy, były Bankowi parafialnemu winne parę set tysięcy dolarów za Dom Sierot) $3,000, oraz procent, reszta idzie swoim trybem. Byłoby wiele innych spraw do zanotowania, lecz odkładam je na ustną konferencyę. Wszystko można tu naprawić i do jednego pewnego mianownika sprowadzić, lecz do tego potrzeba dwóch rzeczy: naprzód pomocy materyalnej, w jaki sposób, to ustnie pomówię; powtóre moralnej, to

jest potrzeba dobrych zakonników, z którymi możnaby życie zakonne prowadzić, a sądzę, że gdy to nastąpi, Bóg missyi Chicagoskiej błogosławić będzie. Ja wrócić pragnę do Chicago". Sam O. Andrzej Spetz nie wiedział jak wybrnąć z tych długów bankowych — jedyną drogę wyjścia upatrując w „nadzwyczajnej interwencyi Opatrzności Boskiej, której jednak trudno się spodziewać wobec duchownego także bankructwa ojców". Oto 8. Grudnia 96. pisze: „O. Wincenty będzie mógł wziąć w posiadanie św. Stanisława tylko wtedy, kiedy nasze długi będą spłacone, a to rzecz nie łatwa, bo: Avondale nie będzie mógł zacząć spłacać (bankowi) kapitału jak po 5 latach; od Trójcy nie spodziewam się niczego; od Józafata bardzo mało — i to już są $6,000 stracone, a $12,000 nie można rachować na razie. Farma w Nebrasce nie przyniesie nic, co jest stratą drugich $7,000. Loty w Avondale obliczone na $7,000, nie są w całkości spłacone i stąd więc będzie $5,000 mniej. Na lotach św. Jadwigi stoi dług $7,000, a na Drukarni morgecz $10,000; i sprzedając wszystko, co jest nie uzyskamy więcej jak $25,000 do $30,000. Więc już mamy deficytu najmniej $50,000. Dalej idzie Kopalnia Złota! z drugimi $50,000 na rachunku. Czy kopalnia coś przyniesie, albo nie, jest kwestyą czasu; wartość tam stoi; ale czy będą umieli wykorzystać kopalnię, nie wiem. Sądząc z raportu Maryańskiego, musi to być bardzo bogata Kopal-

nia. Nie myślę jednak, żebyśmy dostali $50,000 i tak więc stamtąd znowu deficyt. Wobec tego wszystkiego trzeba iść naprzód bardzo ostrożnie i nie robić nic, coby mogło wzbudzić powątpiewanie w możliwość wypłacenia wszystkiego, ażeby nie spowodować paniki; i trzeba usilnie prosić Boga o jakąś interwencyę nadzwyczajną Jego Opatrzności. Chociaż i w tę nie wierzę bardzo, gdyż brak ducha modlitwy między nami.... i dlatego jeszcze bardziej się boję bankructwa duchownego niżeli materyalnego". O Wincenty 9. Grudnia 96. krótko węzłowato opisuje cały stan finansowy tak: „Kryzys finansowa jeszcze wisi nad nami, choć już z jednej strony trochę się zmniejszyła". O. Teobald Spetz 26. Grudnia 96.: „Nie dawajcie finansów w ręce O. Wincentego. Żeby się nie stało z nim jak się stało z Mgr. McCloskey w Louisville. O. Generał niech zamianuje delegata z pełną władzą pójścia do Arcybiskupa i zażądania, aby pozwolił a) albo wystawić hypotekę na wszystkie własności zależne od Banku (parafialnego), b) albo zamknąć Bank, pozostawiając spłacenie go albo Biskupowi albo wierzycielom. Ten ostatni krok zakończyłby panowanie nasze w Chicago i indziej w Ameryce i nie powinien być uczyniony jak tylko w ostatecznej konieczności celem skończenia z bankiem. Ja nie wiem ktoby był zdolnym podjąć się tego trudnego zadania". O. Generał, z powyższych dwóch, obierze tę drugą ostateczność. Bo na-

wet O. Andrzej Spetz, któremu na Radzie powierzono administracyę Banku, nie umiał czy nie chciał dotychczas nic uczynić dla spłacenia długów bankowych; owszem uczynił teraz krok, który zamiast ułatwić, utrudnił, a nawet — zdaniem Generała — uniemożliwił spłacenie długów bankowych. „Skończyłem — pisał O. Spetz 7. Stycznia 97. — z zaciągnięciem pożyczki na św. Jana Kantego w sumie $80,000, ale nie na 4½ prc., jak się spodziewałem. Nie mogłem znaleść innej jak na 6 prc. Tą pożyczką wypłaciłem morgecz $50,000 i $2,700 noty w banku Stenslanda i w ten sposób dla nas pozostało bardzo mało. Biskup w końcu pozwolił mi był zaciągnąć pożyczkę $100,000 na parafię św. Jana K. Ale że kościół nie jest ukończony, Spółka nie chciała dać więcej jak $80,000. Z kopalnią złota nadzieja nie stracona, lecz trzeba cierpliwości, aż się spodoba kapitalistom ją odkupić''. Otóż zdaniem Generała owo „uregulowanie finansów św. Jana K. pomyślne było zapewne dla parafii, ale dla sprawy Banku było najniepomyślniejsze, bo uniemożliwiło zaciągnięcie pożyczki na św. Jana K., aby spłacić dług w Banku''.

Wobec tego Generał nie widział innej drogi wyjścia z tego labiryntu finansowego, jak chwycić się tej drugiej, przez O. Teobalda Spetza proponowanej ostateczności, to jest, ogłosić Arcybiskupowi bankructwo czyli niewypłacalność banku, umyć ręce z odpowiedzialno-

ści za cały ten dług bankowy ($404,000) i zrzucić tę odpowiedzialność na Arcybiskupa, niech On potem robi co chce. Generał bowiem sądził, że tylko parafie wyciągały pieniądze z tego Banku, a ojcowie chicagoscy nic z niego nie zaczerpnęli. Ale ojcowie w Chicago wiedzieli lepiej, jak to było, i dlatego paniczny strach ich ogarnął, kiedy teraz O. Generał ich uwiadomił, że całą odpowiedzialność za dług bankowy chce zwalić na Arcybiskupa. W te pędy O. A. Spetz wyśpiewał O. Generałowi całą prawdę, że nie tylko parafianie, ale i ojcowie czerpali z tego banku, więc niech nie spycha całej odpowiedzialności na Arcybiskupa, bo ich Arcybiskup gotów za to wypędzić z Chicago. „Co do zamiaru O. Generała — pisał O. A. Spetz 17. Stycznia 1897. — żeby pisać do Biskupa albo oświadczyć Propagandzie żeby ta zobowiązała Biskupa do wzięcia na siebie naszych długów, to niemożliwe. Podług naszych obrachunków, Drukarnia ma długu $47,000, to jest $20,-000 za dom i $27,000 za drukarnię, nie wliczając w to procentów od r. 1892., które wynoszą $2,800. Potem loty św. Jadwigi mają długu $18,000, nie licząc procentów od r. 1887., które wynoszą co rok $1,800 pojedyńczego procentu, a nadto jeszcze procent z procentu przez tyle lat! Potem są loty w Avondale z $7,000 długu i procentami od r. 1893. Potem strata na Gazecie Katolickiej $10,000 z przed r. 1888. Za to wszystko Arcybiskup nie ma żadnej odpo-

wiedzialności i to wszystko ciąży na Zgromadzeniu. Do tego dołączyć jeszcze $15,000 na kopalnię złota z procentami od r. 1894. To wszystko czyni kapitał $97,000, który nie przynosi żadnych zysków, a od którego się płaci procenta. A dochody (pensye) naszych ojców? Nie było ich tyle, żeby zapłacić procenta od $97,000, gdyż za czasów O. Moszyńskiego wysyłano do Rzymu więcej niż missya mogła była wysłać, choć dochody były wielkie. Z jednego roku znajduję dochodów $24,000, a wydatków na dom (rzymski) więcej niż $20,000, a jak wielkie były wydatki, które nie są zapisane w jego rachunkach. Na jeden fair znajduję w rachunkach wydatek $900 i słyszę, że Idzi się chwalił iż wydał jednego wieczora drugie $400! Z tych powodów sądzę, że my powinniśmy najpierw starać się uporządkować nasze rachunki, a potem odnieść się do Arcybiskupa, kiedy nasze rachunki będą w porządku, inaczej będziemy skompromitowani wobec Propagandy i wobec Arcybiskupa. Mamy nadzieję, że sprzedamy Kopalnię Złota, lecz kiedy i jak drogo, jest kwestyą... a potem pancerz brata Żeglenia.. O. Eugeniusz $4,000, O. Szymon z banku brał.. i dlatego jest taki deficyt, bo każdy brał dobry pieniądz tak, że dziś nie możemy wykazać z dowodami w ręku, gdzie się pieniądze podziały''. Mieli zatem ojcowie chicagoscy słuszny powód do obawy. Nie tyle O. Generał, ile ich własne sumienie było tego wielkiego strachu przyczy-

ną. A że strach ma wielkie oczy, więc widzieli już miecz Damoklesa wiszący nad swoimi głowami, widzieli już nie tylko gniew Arcybiskupa, ale zaciśnięte pięści ludu. „O. Andrzej Spetz — pisał O. D. Fennessy 7 Stycznia 1897, do Generała — drży ze strachu na myśl, co się stanie, gdyby mieli opuścić parafię św. Stanisława; powiada, że w takim razie wściekłość Polaków Chicagoskich byłaby tak wielką, że trupy naszych ojców zdobiłyby także latarnie uliczne tutejszego miasta. Wiesz, Ojcze Generale, że Polacy amerykańscy są straszliwi w swojej złości, namyśl się dobrze”. Niestety, nie było już czasu do namysłu, gdyż ów fatalny list O. Generała był już w drodze do Arcybiskupa Feehana. I O. Sedlaczek był już w drodze z powrotem do Chicago. Tchórzem podszyci ojcowie dopiero najedli się strachu niemało. Po co O. Sedlaczek wraca? Z pewnością O. Generał przysyła nam go na proboszcza, na miejsce O. Wincentego. I wśród popłochu ułożono natychmiast ogólny protest przeciw przyjazdowi O. Sedlaczka, i kablem go posłano do Rzymu. Ale ten kabelgram nadszedł — już po odjeździe O. Sedlaczka. Gdy O. Sedlaczek przybył do Chicago, nikt nie wyszedł na jego przywitanie, ojcowie się pochowali, nikt nie chciał z nim mówić. I ażeby O. Sedlaczka ze Stanisławowa usunąć, posunięto go z wice-proboszcza na proboszcza w Avondale. Całe to swoje przyjęcie i tę swoją „promocyę”, O. Sedlaczek na-

zwał „tragikomedyą”, która się odegrała na scenie, urządzonej przez naszych Ojców, zwłaszcza OO. Gordona i Cosimi. Chciano nawet strzelać do mnie. X. Barzyński w te same dudy dmucha, czas jednakże by był, ażeby ustąpił z areny Chicagoskiej.. Jeżeli parafia św. Stanisława K. w roku 1896. spłaciła $6,000, to moja w tem praca. To nie podobało się X. Barzyńskiemu, gdyż lud poznał się na tem, kto lepszy gospodarz: usunąć zatem rywala, była ludzka konkluzya”. Dlaczego O. Sedlaczek pojechał do Rzymu i dlaczego znowu wrócił do Chicago? wyjaśnił to list Generała do O. Assystenta, 15. Lutego, 1897.: „O. Sedlaczek wyznał mi, że chciał opuścić Chicago, bo zwątpił był o Banku i przewidywał krach. Ale gdy zbadał stan rzeczy, nabrał odwagi i nadziei. Jak mogli Ojcowie myśleć, że O. Sedlaczek wraca do Chicago na miejsce O. Wincentego?.... Z tego wszystkiego widzę tę jednę rzecz: że w Chicago wielu z naszych ojców są staremi babami, a ich głową jest O. Wincenty. Bają i słuchają bajek, i jeden robi intrygi przeciw drugiemu. I czy dziw, że lud robi to samo. Jaki pasterz, taka trzoda. Zdaje mi się także, że i Nazaretanki maczają ręce w tej sprawie. Dosyć tego! Uczyniłem i czynię teraz co mi sumienie dyktuje. Napisałem do Arcybiskupa, ponieważ nie byłoby to ani godziwą ani uczciwą rzeczą ukrywać stan Banku wobec Władzy.... Przewiduję, że O. Wincenty przed Ar-

cybiskupem wyprze się tych cyfr. Ale on mi je sam podał, gdy byłem w Chicago".

I stało się to, czego ojcowie jak ognia się bali. Z końcem Stycznia 1897. ów zapowiedziany przez Generała list z ogłoszeniem bankructwa był już w ręku Arcybiskupa Feehana, a kopia tegoż u O. Spetza. List Generała do Arcybiskupa brzmiał jak następuje (w tłómaczeniu z francuskiego): „Excellencyo! Kiedy przybyłem do Chicago dla zbadania spraw naszej missyi, widząc zły stan, w jakim się znajdował Bank parafialny św. Stanisława, nie miałem nic pilniejszego jak przedstawić tę sprawę w całej prawdzie Waszej Excellencyi. Jak Waszej Exc. wiadomo, użyłem wszelkich możliwych środków, ażeby załatwić tę sprawę Banku, i to także obecnie czynię za wiedzą i zgodą Waszej Exc. Rachunki dokładne wykazały nam, że Bank winien $404,000, a w kasie nie ma nic. Sumy, winne Bankowi, gdyby były ściągnięte, mogłyby dobrze pokryć cały ten ogromny dług, albo przynajmniej pozwolić nam zamknąć Bank i w ten sposób uniknąć zwiększania się długu o $1,500 (mniej lub więcej) każdego miesiąca. Miałem nadzieję, że to się uczyni w krótkim czasie. Ale oto już więcej jak pół roku upłynęło, a nie uczyniono nic, albo tyle co nic, a to dlatego ponieważ nie można ściągnąć sum winnych Bankowi. Dowiaduję się, że już o tem zaczynają mowy prowadzić w Chicago. Więc niebezpieczeństwo za pasem!

O. Wincenty Barzyński sam ma klucz do wszystkich rachunków, a jego zdrowie jest bardzo opłakane; trzeba tedy czemprędzej ukończyć tę sprawę Banku. Zważywszy, że ten Bank nie należy do nas, gdyż my nic z niego nie wzięli dla siebie, przeciwnie, procenta opłacaliśmy z jura stolae i z pensyi naszych missyonarzy; zważywszy, że to parafie właśnie miały profit z niego i że one to winne są Bankowi; przeto ponieważ rozchodzi się o to, aby uniknąć nie tylko wielkiego nieszczęścia dla nas drugich, lecz także wielkiego skandalu i wielkiej krzywdy dla wielu biednych ludzi i dla religii, — mam nadzieję, że Wasza Exc. zechce wziąć do serca tę sprawę i Swą powagą ureguluje ją w sposób stanowczy. Zmuszony jestem oświadczyć wobec sumienia, że ja nic nie mogę uczynić w tym względzie. Całując ręce Waszej Excellencyi itd. pokorny sługa Paweł Smolikowski, Przełożony Generalny Zgromadzenia Zmartwychwstania P. Rzym, 15. Stycznia, r. 1897". Następuje **„pro memoria"**: „Oto stan Banku w cyfrach **przybliżonych**: Bank winien ludziom $404,000. A oto co Bankowi są winni: 1-o Dom Sierot winien Bankowi najmniej $201,925. Roku bowiem 1889. wzięto z Banku $83,000. Licząc $30,125 procentów jakie Bank wpłacił, suma urośnie do $113,125. Zaciągnięto długu $35,000 i Bank płacił procenta, zatem $16,800. Ile płacono na rok za utrzymanie sierot i sióstr, musiałyby wykazać rachunki, jakie

O. Wincenty ma przedłożyć. Trzebaby także wiedzieć, ile parafia lub parafie złożyły na sierociniec. To co Bank wypłacił, ja rachuję najmniej na $60,000. Procenta od tej sumy, jakie Bank wypłacał swoim wierzycielom, urosłyby do $12,000; po 2-o parafia w Avondale winna (z procentami) $16,000; 3-o św. Jana Kantego $73,000; 4-o św. Stanisława K. $89,500; 5-o cmentarz św. Krzyża $11,000; 6-o skądinąd winni są Bankowi mniejwięcej $15,000. Razem więc $406,625. A oto są nasze Aktywa: 1) Drukarnia warta mniejwięcej $50,000; 2) Loty w Avondale $13,000; 3) loty na Jadwigowie $4,000; 4) Kopalnia Złota $50,000 — razem $117,000. Mamy nadto 100 akrów w Nebrasce". Oto list, jaki Arcybiskup odebrał od O. Generała. Łatwiej sobie wyobrazić niż opisać popłoch ojców Chicagoskich. Gdyby ktoś był bombę rzucił do ich domu, nie byłby ich tak przestraszył, jak ów list. „List ten wywołał ogromną burzę. Konsternacya i oburzenie naszych Ojców w Chicago było wielkie. A jednak cyfry moje oparte były na cyfrach, które mi dał X. Barzyński w Chicago. Jak X. Arcybiskup list mój przyjął, nie wiem, gdyż mi nań nie odpisał". Ale jak Arcybiskup przyjął to ogłoszenie bankructwa ojców, dowiemy się z następnych listów. O. Andrzej Spetz pisał 4. Lutego 1897. do Generała: „Odebrałem Jego ostatnią liścinę z owym najniefortunniejszym dodatkiem dla Arcybiskupa. Jak mogłeś (Ge-

nerale) pisać, że „my z Banku nic nie wzięli?” A czemże wystawiono Drukarnię, czem postawiono ją na nogi? czem płacono jej **ciągły deficyt?** Czem kupiono loty na Jadwigowie? Jesteśmy przedstawieni Arcybiskupowi nie tylko jako źli administratorzy, ale jako oszuści i budlerzy! Tego już za wiele i nie wiem jak się to skończy. Jestem skonfundowany w najwyższym stopniu”. A 15. Lutego: „**Arcybiskup nie chciał mię przyjąć**, ale ja nie dałem się wyrzucić i wreszcie mię przyjął, ale był bardzo rozdrażniony z początku, lecz nic nie mówił o liście, dopóki ja nie rozpocząłem. Powiedziałem mu, że wszystko wkrótce przedłożymy mu w rachunkach. To też pozwolił mi podwyższyć morgecz na św. Stanisławie o $20,-000 i w ten sposób będę mógł płacić procenta od depozytów po 4 procent. Za morgecz na św. Stanisławie płacę teraz 5 procent zamiast 6 prc., jak było dotychczas. Cierpliwością i roztropnością i modlitwą da się wszystko zrobić, gwałtownością zaś można wszystko popsuć. Dlatego proszę odprawić Nowennę za nas do św. Józefa, aby się opiekował nami i pomógł nam sprzedać kopalnię, oraz sprzedać korzystnie patent na pancerz brata Żeglenia. O. Wincenty jest chorym i musi siedzieć w celi i tam się zajmuje rachunkami. O. Gordon pracuje bardzo i dobrze się sprawuje, tylko za wiele wychodzi... Jeżeli się wystrzeżemy krachu duchownego, to nie będziemy mieli krachu mate-

ryalnego". Ma się rozumieć, wysłanie owego listu Generała do Arcybiskupa uważano za sprawkę O. Sedlaczka. „Jestem 18 lat w Zgromadzeniu — pisał O. Kasprzycki 2. Lutego r. 1897. do Generała — ale jeszcze nigdy nie doznałem takiego zmartwienia, jak dzisiaj. O. Sedlaczek chciałby wszystko robić gwałtownie i w tej błyskawicy widzi zbawienie, ale „nie w wzruszeniu Pana." (3 Król. 19,11). Do uregulowania spraw Zgromadzenia w Chicago potrzeba bardzo wielkiej roztropności i zimnej krwi, by nikogo nie obrazić i zachować pełne zaufanie i u Arcybiskupa i u ludzi. Dziś cała sprawa zepsuta przez jednego, który O. Generała oszukał. Czy na te liczby podane Arcybiskupowi, który z Ojców radnych się zgodzi? Myślę na pewno, że żaden. Dla czego Zgromadzenie trzymało przy kasie Ojca (Moszyńskiego), który tysiące i tysiące codziennie przyjmował, nie potrzebując ich, bo nic nie wypłacał, tylko na to, aby od przyjętych tysięcy później procent płacić? Dlaczego ów Ojciec nie pytał się, czy ma więcej przyjmować czy nie. Nic nie mówiąc nikomu, składał złoto i papiery w szafie i pilnował ich bez procentu najmniejszego. Gdy po O. Moszyńskim objąłem kasę, znalazłem w szafie około $20,000 może przez kilka lat leżących bezużytecznie, a od których teraz trzeba płacić ludziom procent. **Zgromadzenie wiele zawiniło**, a teraz chce to Zgromadzenie, **żeby pokutę czynił Arcybiskup**. To niesprawiedli-

wość. Biskup teraz nie będzie miał zaufania do nas i gotów całe Zgromadzenie wydalić ze swej dyecezyi. O. Wincenty ze zmartwienia zachorował. Nie wiem co będzie w Chicago, gdy O. Sedlaczek wróci; bo chłopi się strasznie burzą. Tak mam głowę nabitą tem wszystkiem, że sam nie wiem co czynić. Bądź wola Twoja! Pan Bóg wie co czyni, i jeżeli nas karze to za nasze winy”. To pokorne wyznanie z pewnością, a nie wymyślanie na narodowców, księży świeckich itd., sprawiło to, że Pan Bóg i tym razem miecz sprawiedliwości schował do pochwy. Nie tak pokornie już brzmi list zbiorowy O. Wincentego i całej Rady: „List O. Generała do Arcybiskupa o ledwie że nie zniszczył ćwierćwiekowej pracy ciężkiej i tysiącznych poświęceń członków Zgromadzenia na missyi w Chicago; list ten okrył nas wstydem i o ledwie, że nie shańbił nas na zawsze. Nie daj Boże, żeby te rzeczy miały iść w tej formie przed Propagandę lub inne sądy”. Ale zamiast sobie przypisać winę nieporządków — hejże na Soplicę, na O. Sedlaczka! „Nieszczęsny ten człowiek, szukający probostwa św. Stan. K., nie przebiera w środkach, chce całą pracę Zgromadzenia zniszczyć itd.”. A tymczasem sam O. Generał oświadczył, że O. Sedlaczek był Bogu duszę winien w całej tej sprawie. „Oświadczam jak najuroczyściej, że O. Sedlaczek nie wpłynął w niczem na wysłanie listu do Arcybiskupa. O tym liście dobrze przed jego przyjazdem pi-

sałem już radząc się do O. Assystenta i prowincyała Kloepfera. Zredagowałem go sam i dopiero przedstawiłem na Radzie Głównej — i wysłałem. Uważałem to sobie za święty obowiązek, bo ukrywanie przed władzą możliwego bankructwa, i w prawie cywilnem karze się kryminałem. W każdym razie jest rzeczą nieuczciwą, tembardziej, że dla odwrócenia katastrofy Arcybiskup może wiele dopomódz. O cyfry podane można było z Arcybiskupem dysputować; ale te cyfry są te same, które O. Barzyński podał mi w czasie mojej bytności w Chicago, w obecności całej Rady. Ja tylko konsekwetnie policzyłem zaległe procenta. Czyżby cała Rada chciała mnie była wtedy w błąd wprowadzić? Napisałem, żeśmy z Banku nic nie mieli, że korzystały tylko parafie, bo a) O. Barzyński w Chicago, w swojem sprawozdaniu finansowem, wykazywał mi, że choć Bank zadłużony na $404,000, to własności parafialne o wiele tę sumę przewyższają, utrzymując, że te pieniądze Bankowe były dobrze użyte; b) czy to com przy końcu listu podał jako „Nasze Aktywa" jest nasze, nie stoję o to, nie podawałem też jako wyraźnie nasze.... jeśli (drukarnia, loty, kopalnia,) były kupione za pieniądze z Banku, które parafianie składali, **jakiem prawem uważane są za naszą własność?** c) pensye naszych Ojców od początku do tego roku według obrachunku O. Barzyńskiego wynosiły $70,564. Nam przysyłano je przez parę

lat i to nie zawsze wszystkie. Jura stolae były tak wielkie.... gdzie się te wszystkie dochody podziały, jeśli za nie nie były kupowane Drukarnia, loty, kopalnie?".... Na te pytania O. Generała, cóż mogli Ojcowie odpowiedzieć? Najlepszą odpowiedzią mogło być: pokornie uderzyć się z celnikiem w piersi. Uczynili też to ci ojcowie, których pycha nie zaślepiała, którzy najmniej zawinili sami osobiście, a jednak winy swoich braci wzięli ochotnie na siebie, jak O. Kasprzycki, O. Andrzej Spetz i inni. Pokora niebiosa przebija. Pokora, zwłaszcza O. Spetza, i Arcybiskupa przebłagała. „Dziękuję Panu Bogu — pisał O. Kasprzycki już 17. Lutego 1897. — że Arcybiskup list O. Generała tak grzecznie przyjął i że dla nas jest takim samym i jeszcze lepszym niż dawniej. Bogu dzięki! Myśmy sądzili, że już po naszej missyi w Chicago, ale Pan Bóg inaczej obrócił. Przekonałem się, że we wielu rzeczach O. Sedlaczek jest niewinnym, i że te wszystkie intrygi przeciwko niemu od kogo innego pochodzą, ale smutna rzecz, że także od Ojców Zgromadzenia". Tylko Ojcowie Wincenty, Gordon, Cosimi, szukali jeszcze winy, zamiast w sobie, w O. Sedlaczku. O. Wincenty drżał o własną skórę: zdawało mu się na pewno, że po owym liście Generała, Arcybiskup usunie go z probostwa a zamianuje O. Sedlaczka. Bo i ludzie o tem głośno mówili w całej parafii. O. Wincenty już od miesiąca ludziom na oczy się

nie pokazywał. „Pan Jezus za pomocą choroby i doktorów zamknął mię w mojej dobrze ogrzewanej izdebce i odciął mię na miesiąc od ludzi. Czasem tylko przyniosą mi jaki dokument do podpisania. Przyjaciele O. Sedlaczka ogłaszać mieli, że on im pisał, że zostanie Proboszczem”. Ciężka obawa, jak zmora, przygniatała piersi O. Wincentego. Być zrzuconym z probostwa? na tę myśl włosy na głowie mu stawały. Wysłany komitet poszedł do Arcybiskupa, ale nie został przyjęty. To jeszcze spotęgowało obawę. Jednakże „komitetowi postawili na swojem, poszli do P. Kiołbassy i wysłali go do Arcybiskupa. Nasz Arcybiskup to ojciec, powiedział P. Kiełbassie: ta sprawa należy do Zmartwychwstańców, niech oni sami się godzą”. Dowiedział się więc O. Wincenty, że Arcybiskup nie myśli go usunąć; ale czy Generał go nie usunie? Toby Narodowcy tryumfowali, o tem powinien i Generał wiedzieć. „Drogi Ojciec (Generał) — pisze w tymże liście 10. Lutego — już zna dosyć nasz kochany, ale słaby umysłowo ludek polski, ale daleko lepiej znają go nieprzyjaciele kościoła św. i nasi. Tak zwani Narodowcy już potrafili do naszych Towarzystw parafialnych powtykać członków albo członków regularnych przerobić na swoje narzędzia, którzy świadomie czy nieświadomie nieraz robią ich robotę i intrygi. Do tego stopnia to pokolenie jaszczurcze jest przebiegłe, że już niejednego z naszych młodych

Ojców tak objechali, że ci uważali ich za niewinnych". Czy chciał O. Wincenty, żeby ci młodzi Ojcowie uważali, nie jego, lecz Narodowców za winnych bankructwa owego? Lecz obawy O. Wincentego, jakkolwiek bardzo długo go trapiły, były całkiem niepotrzebne. Bo ani Generał nie myślał go usuwać z probostwa; owszem teraz kategorycznie oświadczył: „Nieprawda, jakobym zdecydował zrzucić z przełożeństwa czy probostwa O. Wincentego, a posyłał na jego miejsce O. Sedlaczka". Wtedy dopiero O. Wincenty odetchnął lżej; lecz i w następnym liście zaczynającym się od „Odetchnąwszy nieco" nie przestaje zwalać winy ogłoszenia owego bankructwa na O. Sedlaczka: „Pragnę go miłować, ale nie kosztem Zgromadzenia. Rachunki z lat 13 z Domu Sierot robię ciągle"...... O. Sedlaczek zaś: „Na Stanisławowie wszystko zgangrenowane, ubolewamy niektórzy z Ojców nad tym stanem, ale cóż? X. Barzyński niezdolny, posługiwać się musi O. Gordonem, O. Cosimi i O. Bielą — ta trójka wszystko niweczy. Nauczyłem się być skeptykiem, nie obchodzi mię ich działanie jako jednostkę, ale nie zapominam o tem, że należę do familii, którą bronić jest moim obowiązkiem.... Dziwimy się, że są kościoły niezależne, szukamy przyczyn, zapominając o sobie. X. Barzyński pomimo swoich zalet nic przeprowadzić nie umie, każdy idzie i pracuje na swoją własną rękę. Reformy i stokroć re-

formy potrzeba. O. Generał nie uwierzysz, jaka to nędza wśród nas braci jednej matki w Chicago. Smutne to stosunki, ubolewają nad nimi Ojcowie Kasprzycki, Spetz, Kruszyński — otóż to moi bracia, z którymi uczciwie mówić można".

XII.

Jak wybrnąć z długów bankowych? Zwalić je na parafie? już za późno, bo Sedlaczek popsuł szyki. — Ojcowie wchodzą w siebie i przychodzą do przekonania, że bankructwo materyalne jest wynikiem bankructwa moralnego. — Z rozproszenia ich sił szło rozproszenie najpierw ducha potem grosza. — A jednak uprawiają i nadal zgubną politykę expansywną. — Nie dom rzymski, lecz dom chicagoski odpowiedzialny za dług. — O. Spetz daremno prosi o wsparcie pieniężne Arcybiskupa i Generała. — Jedyna nadzieja w pancerzu Żeglenia i kopalni złota. — Barzyński przyznaje, że źle jest, lecz dziękuje Bogu, że nie jest gorzej. — I umiera 2. Maja 1899. — Jego życiorys.

O reformie każdy mówił. Ale jak i czem wypełnić tę ogromną próżnię Banku Parafialnego? Generał Smolikowski uczynił swoje: ostrzegł Arcybiskupa. Arcybiskup jednak — ku wielkiemu zdziwieniu samychże Ojców — nad tem ostrzeżeniem przeszedł wnet do porządku dziennego. „Ojcowie, co się obawiali, że Arcybiskup po tym liście (Generała) gotów ich z Chicago wypędzić, pisali potem, że jeszcze dla nich łaskawszym się okazuje". Jak ten objaw „łaskawości" dla bankrutów sobie wytłóma-

czyć? Chyba temi słowami samegoż O. Wincentego, pisanemi 19. Kwietnia r. 1895.: „Niektórzy Biskupi amerykańscy kochają się w niedbalcach, sądząc, że prędzej z Polakami skończą''. Ojcowie, zachęceni „łaskawością'' Arcybiskupa, nie zamknęli Banku, jak to byli uchwalili, lecz jak dotąd tak dalej go prowadzili, chociaż samo już prawo cywilne zabrania pod surowemi karami dalszego prowadzenia banku w takich warunkach. Bank bowiem był niewypłacalny, i Ojcowie nie widzieli sposobu wybrnięcia z długu bankowego. Jedyną odtąd ich nadzieją była kopalnia złota i pancerz br. Żeglenia. Ale i ta nadzieja była znowu matką głupich. Zwalić dług bankowy na parafię św. Stanisława, nie było już można; O. Sedlaczek uniemożliwił to swoją — nieroztropnością. „O. Sedlaczek na początku roku 1896. ogłosił był drukiem rachunki parafii św. Stanisława — pisał O. Teobald Spetz 6. Kwietnia 1897.—i podał dług tegoż kościoła na $175,000, zostawiając to wrażenie, że to nasze Zgromadzenie jest odpowiedzialne za dług bankowy. Podług mego mniemania **ten czyn był czynem samobójczym** z naszej strony. Teraz zdaje mi się niemożliwem naprawić tę rzecz bez narażenia proboszcza i spółki na zarzut oszustwa i gorzej. O. Generał miał racyę, mówiąc, że O. Wincenty i O. Sedlaczek chcieli sprzyjać parafii kosztem banku, to jest kosztem naszym. Ale jak to naprawić teraz? Ja nie widzę żadnego

sposobu. Jeżeli kopalnia złota i ów pancerz nie zaważą na szali (a jest mało nadziei), to nie pozostanie nic innego jak bankructwo, jeśli nas Arcybiskup nie wyrzuci". Atoli O. Kasprzycki, nie tracący nigdy równowagi umysłu, wychodząc z tego metafizycznego pryncypium, że „co jest koniecznem to jest także możliwem", tak rozumował 29. Kwietnia 1897: „Trzeba Stanisławowo ratować wszelkimi sposobami, boć Stanisławowo jest kolebką i fundamentem wszystkich innych naszych parafii w Chicago. Kantowo i Avondale i Cragin są materyalnie połączone ze Stanisławowem, bo każda z tych parafii winna jest Stanisławowi. Gdyby Kantowo, Avondale i Cragin mogły naraz wszystko zwrócić co są winne, to i Stanisławowo mogłoby się podnieść i do bankructwa by nie przyszło, ale przeciwnie mogłoby powoli wybrnąć z błota, w jakiem dziś się znajduje. Niech O. Generał będzie mocno przekonany, że O. Andrzej Spetz pracuje bardzo dużo, aby Stanisławowo uratować i jeśli to mu się uda, to jego będzie w tem cała zasługa. Gdyby Zgromadzenie podało jakąś pomoc pieniężną O. Andrzejowi, to z pewnością udałoby mu się całą ranę zagoić. O. Andrzej ma nadzieję (w kopalni i w pancerzu!), że nawet i bez tej pomocy wybrnie zwycięsko. Czy warto ratować Stanisławowo? Jest rzeczą konieczną, bo ratując Stanisławowo, ratujemy całą missyę Chicagoską. Gdyby Stanisławowo zbankrutowało, to chyba

żaden Zmartwychwstaniec nie mógłby pozostać w Chicago. Zgromadzenie wiele czyni w naszej missyi dla tych biednych ludzi, a da Bóg, że Chicago będzie skarbem niewyczerpanym dla Zgromadzenia na zawsze. My tutaj w Chicago nie tak źle stoimy materyalnie jak raczej źle stoim moralnie i od tego musimy rozpocząć naprawę. A jakież na to lekarstwo? Nie uważam dwóch Przełożonych, bo jeden wystarczy zupełnie, ale niech ten Przełożony będzie zupełnie wolny od obowiązków proboszczowskich i niech nie mieszka ani na Stanisławowie, ani na Kantowie, ani na Jadwigowie, ani na Jackowie, ani w Cragin, gdzie mamy parafie, lecz niech zamieszka w Chicago w zupełnie oddzielnym domu poza temi parafiami i niech często odwiedza proboszczów i assystentów. Proboszcz żaden nie może podołać obowiązkom Przełożonego, bo ma za dużo do czynienia z parafianami.. Gdy tak będziemy w porządku i damy dobry przykład naszym ludziom, to i nasze nauki głoszone w kościele będą dla nich skuteczniejsze i Pan Bóg nam będzie we wszystkiem błogosławił. I kogożby dać na Przełożonego? O. Dawida Fennessy. Dom osobny dla niego możnaby tymczasem wynająć, gdzieś blisko Arcybiskupa, dopóki nie zdobędziemy się na własny. Do Ameryki nie potrzeba Ojców z doktoratami, ale dobrych robotników i zakonników, potrzeba nam więcej takich ojców Babskich, Szypkowskich, Rapaczów, Obyrtaczów. Oto

spis ojców i braci, na Stanisławowie są ojcowie: Wincenty, A. Spetz, Gordon, Gieburowski, Rapacz, Kruszyński, Cosimi, Biela, oraz bracia Żegleń, Dudziński, Alcensi, Jeszke, Piotrowski, Gorzkowski; na Jadwigowie ojcowie: Piechowski i Obyrtacz, i brat Osowski; w Avondale O. Sedlaczek i br. Góralski; na Kantowie ojcowie Kasprzycki, Matuszewski, Babski, i bracia Mierzwa, Zumpetta Janaszak. Potrzeba jeszcze na Stanisławowie trzech księży i 2 braci, na Jadwigowie 1 księdza i 2 braci, na Kantowie 1 księdza". O. Kasprzycki tylko nie śmiał na razie o więcej prosić, ale ojców potrzeba było daleko więcej, gdyż sam O. Wincenty pisał był 10. Lutego 1897. do Generała: „Chociażbyśmy mieli 4 rąk i 2 głowy każdy, nie wystarczylibyśmy do tej pracy, która nas otacza". Więc niedostatek był pod każdym względem, nietylko materyalnym i moralnym, ale i liczebnym! A jednak ojcowie, wierni swej tradycyjnej polityce zaborczej, sięgali i teraz jeszcze po inne parafie, posyłając O. Gordona na administratora do South Chicago. „Co do South Chicago — tłómaczy się z tego O. A. Spetz 12. Lipca 1897. — może ks. Nowicki nie wróci, a prosił nas o pomoc, prosząc zarazem Arcybiskupa żeby tej parafii nie dawał w ręce świeckie, gdy jemu da dymissyę, lecz żeby nam ją odstąpił i Arcybiskup bardzo był kontent z tego i pragnął bardzo byśmy wzięli ją w tymczasowy zarząd, i tak O. Wincenty przeznaczył O. Gor-

dona, który idzie tam dwa razy w tygodniu dla uregulowania rachunków i załatwienia wszystkiego co należy do zarządu. Ten czas, który tam straci, dawniej tracił na wizytach i spacerach, a tak pracuje, a św. Stanisław nic nie ucierpi i Arcybiskupowi przysługę się wyświadcza". Tak więc ojcowie, jak pieniędzmi, tak i księżmi szastali na wszystkie strony, jak gdyby i jednego i drugiego mieli za wiele. Źródłem tego marnotrawstwa sił było — duchowne bankructwo. Ale i niedostatku pod względem liczebnym, jak w poprzednich, tak i w następnych latach Ojcowie nie usunęli, przynajmniej do r. 1904., bo chociaż przybyli nowi ojcowie Ziemba, Rogalski, Dąbkowski, Siatka i Jelinek w ciągu roku 1897., Kosiński w r. 1899., Zapała i Ładoń w r. 1900., Szczypta, Saborosz i Scheppe w r. 1901., w krytycznych latach 1902. i 1903. nikt, to za to ubyli ojcowie Kuzyusz, Matuszewski, Biela, Gieburowski, Sedlaczek... Generał Smolikowski starał się tak, jak żaden inny Generał, zapobiedz i temu brakowi liczebnemu ojców, chociaż już teraz Dom Rzymski żadnej od domu chicagoskiego nie otrzymywał zapomogi. Owszem, O. Spetz żądał teraz zapomogi pieniężnej od Rzymu, chcąc, by Zgromadzenie wzięło na siebie odpowiedzialność za cały ów dług bankowy. W O. Spetzu sumienie się odezwało tak, iż teraz powątpiewał, czy godzi mu się dalej ów Bank prowadzić, jeżeli Zgromadzenie nie weźmie odpowiedzialności

za dług na siebie. „Kiedy mię przysłano do Chicago — pisał Generałowi O. Andrzej Spetz 23. Marca 1897. — byłem pod tem wrażeniem, że Zgromadzenie bierze odpowiedzialność za dług, jaki się znajdzie po obrachunku z parafiami i innymi dłużnikami Banku. Z tem przeświadczeniem podjąłem się tej pracy i w dalszym ciągu odbierałem depozyta, chociaż wobec prawa cywilnego podlegamy karze. Od jakiegoś czasu jednak mam powód do powątpiewania (czy słusznie czy nie, nie wiem) co do tego i dlatego proszę mi dać znać co O. Generał myśli w tym względzie, to jest, czy możemy spodziewać się pomocy Zgromadzenia w razie konieczności wypłacania długów, o których się wykaże, że zostały przez różnych członków Zgromadzenia zaciągnięte lub przez ich niedbalstwo powiększone. Jeśli nie będę miał pewności co do tego, w swoim czasie muszę porzucić mój urząd, gdyż nie chcę być narzędziem ruiny biednego ludu, który składa pieniądze u nas. Proszę także dać spokój z podatkiem dla Domu Rzymskiego, gdyż w obecnym stanie naszych finansów byłoby to największą niesprawiedliwością myśleć o tem lub posyłać coś do Rzymu oprócz Intencyi; tak ja się na to zapatruję i nie myślę być w błędzie. Będąc w ciągłym ucisku, często nie wiem gdzie się obrócić, aby zaspokoić biedny lud, który nie mając pracy, potrzebuje pieniędzy na życie. Drogi Ojcze, to piszę z ręką na sumieniu, poświęciwszy

się Bogu dla wybawienia naszej Missyi, bo ruina tutejsza równa się ruinie Zgromadzenia, ruinie tylu dusz i skandałom niezmiernym w kościele". I poczciwy O. A. Spetz chciał jako kozieł ofiarny wziąć wszystkie grzechy ojców chicagoskich na siebie, pokutować za nie w tem lub przyszłem życiu, ażeby odwrócić gniew Sprawiedliwości Bożej od missyi chicagoskiej. Lecz jakżeż mógł żądać, by dom rzymski brał na siebie odpowiedzialność za długi i grzechy domu chicagoskiego? To też Generał dał odpowiedź wymijającą, jak to widać z następnego listu O. Spetza 25. Kwietnia 1897. do Generała: „Odpowiedź na moje żądanie, względem odpowiedzialności Zgromadzenia za deficyt, jest wymijająca i nie wiem dlaczego, ale mojem mocnem przekonaniem jest, że Zgromadzenie jest odpowiedzialne przed Bogiem i ludźmi, ufam więc, że św. Józef znajdzie sposób uregulowania wszystkiego bez uciekania się do Rzymu o fundusze." O. Spetz, chcąc odpowiedzialność za deficyt ojców chicagoskich zwalić na całe Zgromadzenie, względnie na Główny Dom Macierzysty w Rzymie, widocznie wychodził z tego fałszywego założenia, że Missya Chicagoska była jakoby dojną krową, którą ojcowie z Chicago za rogi tylko trzymali a ojcowie z Rzymu ją doili. To mylne zapatrywanie jakiś czas podzielała także opinia publiczna w Ameryce. Tymczasem ojcowie chicagoscy sami tę krowę trzymali i doili, a

mleka Domowi Rzymskiemu, wyjąwszy lata 1888—92., wcale nie posyłali, chyba po zebraniu śmietanki, jak świadczy list Generała Smolikowskiego z 11. Marca 1903. do „Polaka w Ameryce": „X. Przewłocki, zostawszy 1887 r. Generałem Zgromadzenia, zbadawszy położenie Zgromadzenia, przyszedł do przekonania, że Ojcom naszym w Chicago, nie wiele potrzebującym, jako zakonnicy, na swoje utrzymanie, wystarczą dochody z jura stolae i ze mszy św. Postanowił tedy, by przysyłali do Rzymu swoje pensye. Rzecz to w sobie słuszna, bo zakonnicy sami muszą żyć ubogo, a nie mogą zbierać pieniędzy dla siebie, ani łożyć na krewnych, ale to wszystko, co zarabiają, muszą oddawać Zgromadzeniu. Jakiś czas tedy Chicago rzeczywiście zapomagało Dom Rzymski. Ale już przed śmiercią X. Przewłockiego to ustało, a tak dobrze ustało, że kiedym został Generałem 1895. r., już nic nie przysyłano z Chicago, a tylko intencye mszalne, które zbywały. Dopiero na kapitule 1901 r. postanowiono i zapisano w konstytucyach, by każdy Dom przysyłał wsparcie Domowi Generalnemu. A prócz tego, ponieważ przy Głównym Domie wychowywała się i kształciła cała młodzież Zgromadzenia, a każdy wie, jak wiele kosztuje utrzymanie jednego kleryka w Rzymie, wiadomem też jest, że nieraz trzeba przez długie lata łożyć na kilku, zanim się jednego kapłana dochowa, postanowiono, by na utrzymanie kleryków każdy Dom

i każda Missya pewną sumę rocznie płaciły. Na Chicago nałożono w tym celu 5,000 franków tj. 1,000 dolarów rocznie. Dotychczas i tego jednak z Chicago nie przysyłano". Z jakiej tedy racyi O. Spetz twierdził, że „Zgromadzenie (względnie Dom Generalny w Rzymie) jest odpowiedzialne przed Bogiem i ludźmi", kiedy nie Dom Generalny chicagoskiemu, lecz odwrotnie dom chicagoski był winien Domowi Generalnemu?.... Chyba jedynie dla tej racyi, że dawniejsi Generałowie (nie O. Smolikowski) zbyt przez palce patrzeli na gospodarkę O. Wincentego. Lecz w takim razie dlaczego O. Spetz pisze w dalszym ciągu: „Co się tyczy O. Wincentego, zdaje mi się, że O. Generał za ostro go sądzi. On w najtrudniejszem znajduje się położeniu i dlatego nie może ważyć każdego swego słowa z wagą w ręku. W gruncie jest to człowiek wielkiej Wiary i wielkiej ufności w Bogu a przytem jest pokorny i dobroczynny. Ma charakter gwałtowny i obraża się często, lecz nie z umysłu". Opuszczony i przez Generała, O. Spetz żeby nie utonąć w długu, chwycił się teraz oburącz pancerza br. Żeglenia, jako jedynej deski ratunki. Chociaż na ten wynalazek inni ojcowie z niedowierzaniem patrzeli i sam O. Wincenty pisał 1. Września 1897., że ten pancerz „jeszcze wiele modlitwy wymaga, aby przyniósł to czem błyszczy", to jednak O. Spetz widział w tym pancerzu coś Opatrznościowego dla zagrożonej bankructwem Missyi Chicago-

skiej. Tonący i brzytwy się chwyta, jedynie po to, by się nią pokaleczyć i jeszcze bardziej osłabić. Pancerz ów nie tylko nie wydobył ojców z toni długów bankowych, ale jeszcze głębiej ich pogrążył. Chciano ten wynalazek ofiarować najpierw Ojcu św., ale O. Spetz oparł się temu, i br. Żegleń 8. Sierpnia 1897. także do Generała: „Donoszę, że zmieniłem zdanie co do ofiarowania Ojcu św. wynalazku. A to z następnych przyczyn: 1) ażeby wynalazek przynosił jakie dochody, potrzeba jeszcze wiele nakładów i trudów, na które wątpię, aby Ojciec św. miałby się zgodzić, a jeżeli się zgodzi, to trudno, ażeby należycie był oceniony. 2) Gdyby Ojciec św. chciał sprzedać jednemu z mocarstw, obraziłby przez to drugich. 3) Przyobiecałem Sarneckiemu 10. procent za jego pracę przy Wynalazku i dalszą pracę w interesie. 4) Różne wota poczyniłem; potrzeba ażebym wykonał. 5) Muszę dług spłacić, jaki zrobiłem przez wynalezienie pancerza. 6) Mam ubogich rodziców, krewnych. Przyszła mi myśl po zastanowieniu się nad temi przyczynami, ażeby tylko dziesięcinę z wszystkich dochodów ofiarować Ojcu św. Chociaż to nie jest moje ostateczne zdanie, lecz gdy przybędę do Rzymu, to w porozumieniu się z Ojcem zadecydujemy.” Więc kiedy niedźwiedź był jeszcze w lesie, handlowano już jego skórą. A tymczasem kosztem kasy ojców chicagoskich urządzano kosztowne experymenta, dalekie podróże celem

odbycia prób i sprzedania pancerza agentom mocarstw. „Wydaliśmy tysiące dolarów — pisał O. Spetz 11. Września 1897. z Nowego Yorku — a nie mamy nic w ręku jak nadzieje, a dla zrealizowania tych nadziei potrzeba czasu i cierpliwości i potem potrzebnej roztropności żeby go utrzymać w Zgromadzeniu. Ale oto idea moja: wierzę, że **Pan Bóg podał tę myśl wynalazku bratu Kazimierzowi w celu uratowania missyi Chicagoskiej** i on mi to powiedział już cztery lata temu, że ma nadzieję przez to uratować missyę i o to modlą się nasze siostry od tak dawna i także nasze sieroty, i to co się dotychczas zrobiło nie jest naszą pracą, lecz z pewnością szczególna to pomoc Boża. Także O. Generał zeszłego roku mi był powiedział: macie kopalnię, loty i pancerz do pomocy. Dlatego wielką mi to boleść sprawiło, gdy się dowiedziałem, że O. Generał użył swego wpływu do oddania tego patentu Ojcu św. i wszystkim innym tylko nie św. Stanisławowi; lecz ufam, że Pan Bóg nie pozwoli na to, i że św. Stanisław otrzyma to co mu będzie koniecznem do jego istnienia''. Brat Żegleń 17. Września 1897. donosi z Nowego Yorku, że „podobno mu się uda utworzyć kompanię na cały świat'', i dlatego O. Spetz 23. Października pisze z Nowego Yorku: „Brat Kazimierz o ślubie ubóstwa nie ma wyobrażenia, rozrzucał tyle pieniędzy na ulicy i zaraz w Chicago chciał zacząć rozrzucać jakby był milionerem.

Co będziemy mieli z tego wszystkiego, nie wiem, lecz wszystko idzie bardzo powoli i kosztuje mnie wiele pieniędzy".

Jakoż tytaniczne te wysiłki O. Spetza, aby za pomocą pancerza i kopalni złota spłacić długi bankowe, okazały się jako „magni passus extra viam", wielkie kroki ale nie zbliżające lecz oddalające go od celu. Porządek jest duszą rzeczy, tego trzeba było przedewszystkiem przypilnować. A tymczasem „rzucamy się jak ryby na wędce, bez uwolnienia się od wszelkich nieporządków", pisał O. Kasprzycki 29. Lipca 1897., prosząc Generała, by ponownie przyjechał do Chicago i zaprowadził porządek. A O. Sedlaczek, chociaż już zgodę zawarł z Ojcami Barzyńskim i Gordonem, pisze jednak 15. Września 1897. do Generała: „Z przestrachem patrzymy się na gospodarkę O. Barzyńskiego, tem bardziej, że coraz bardziej upada na siłach, a tu nic nie skończone. Są niektórzy Ojcowie tak dalece naiwni, że chcieliby wszystkie te nieporządki milczeniem pokryć. Ależ na Boga! cóż z nami się stanie, gdy O. Barzyński zamknie oczy na zawsze? Cóż poczniemy z rachunkami, których dotąd jeszcze nie zdał, i które on tylko zdolen jest odcyfrować? Gdym wyjeżdżał do Europy roku zeszłego, był na ukończeniu rachunków z Domu Sierot; wróciłem do Ameryki, jestem już 6 miesięcy w Avondale, a rachunki jeszcze nie są ukończone. Parafia św. Jana K. czeka już 4 lata na spra-

wozdanie rachunkowe ze strony O. Barzyńskiego, ale nadaremnie czeka, a procent od 4 lat, który się należy nam, gdzie? w kałuży. Avondale czeka już lat 2 i podaremnie, a procent gdzie? tak samo w błocie. Taksamo Spółka Wydawnicza oczekuje sprawozdania, ale i tu na próżno. Chociażby tylko przypilnować O. Barzyńskiego w zajęciu się rachunkami i do doprowadzenia do ostatecznego rezultatu, już z tej strony pożądany jest przyjazd O. Generała. Prawda, że O. Barzyński nie bardzo sobie tego życzy, wiem to z własnych jego ust, chciałby, ot tak O. Generała zaprosić na kongres, a tu nie chodzi o kongres, o jakieś sprawy ogólne, ale o sprawy nasze, o których najmniej myśli O. Barzyński. List O. Generała wprawdzie niezadowolnił początkowo Arcybiskupa dzięki niektórych Ojców zabiegom, ależ w rzeczy samej chyba z tej przyczyny, iż przypuszczał, że na Stanisławowie wszystko znajduje się w wzorowym porządku, **nie otrzymując nigdy sprawozdań rocznego dochodu lub rozchodu, jak tego wymagają przepisy dyecezyi.**" Inny plan ratowania missyi chicagoskiej podawał O. Dawid Fennessy C. R.: „Myślę, jeśli można, mieć wywiad poufny z Arcybiskupem Chicagoskim w sprawie naszych długów. Może odwołując się do jego dobroci jako też do jego poczucia sprawiedliwości, gdyż dyecezya skorzystała najwięcej z tego długu, następnie do jego obaw, mógłbym nakłonić go

do udzielenia nam tyle corocznie (powiedzmy $40,000 lub $50,000) przez 4 lub 5 lat, ażeby nasi Ojcowie byli w możności wypłacić resztę długu. Nie widzę innego sposobu wyjścia z kłopotów z honorem. Co O. Generał o tem myśli?" Generał Smolikowski, rezolutny i energiczny jak zawsze, postanowił odbyć drugą podróż w celu rozwikłania tej zagmatwanej sprawy bankowej. „Niech będzie co chce, — oświadczył Radzie Generalnej w Rzymie w Listopadzie 1897. — uczyniłem to co mi sumienie nakazywało: ostrzegłem władzę (Arcybiskupa w Chicago) o możliwem bankructwie. Jeśli władza nie uważa za stosowne sama wejść w tę sprawę, nie przestanę robić co mogę, aby rzecz ratować; i dlatego znowu wyjeżdżam do Ameryki". I w Grudniu 1897. był już w Chicago. Ale finansowe sprawy missyi chicagoskiej były tak powikłane, że tworzyły istny węzeł gordyjski nie do rozwiązania; przeciąć go, Arcybiskup nie pozwalał, kazał Ojcom cierpliwie go rozplątywać; lecz im bardziej go rozplątywali, tem więcej się wikłał. „Odbywszy wizytę i sprawdziwszy rachunki — powiadał Generał po powrocie z Ameryki, w Maju 1898. — okazało się, że Dom Sierot o połowę mniej nam winien; ale za to inne wykryły się długi. Tak np. Nazaretanki nam winne $16,000; M. Wielhorska $8,500; parafie św. Trójcy $3,000; św. Józafata $3,500. Rzecz cała wystawiona X. Arcybiskupowi w niczem się nie zmienia, t. j.



Ks. Wincenty Barzyński, C. R.

że to co nam winni może prawie cały dług pokryć; reszta zaś jaka zostanie łatwo da się spłacić, jeśli potrafimy z połowę sum, którą nam winni odebrać i zamknąć Bank. X. Arcybiskup po nowem przedstawieniu rzeczy dodawał odwagi i ostrzegał, że tylko powoli i dyskretnie ta rzecz da się przeprowadzić". Tak więc ojcowie pchali dziurawą taczkę banku dalej, pocieszając się Arcybiskupiem „jakoś to będzie". Jeszcze 14. Czerwca 1898. pisał O. A. Spetz: „Ze starym długiem nie można nic zrobić na razie, co się zrobi nie wiem, ale ufam w miłosierdzie Boże" — w pancerz już nie ufa, ani w kopalnię złota, chociaż jeszcze 23. Maja 1898. donosi: „Mamy znowu kupca na kopalnię i postawiliśmy ostateczną cenę $500,-000".

A ten, który tych wszystkich kłopotów finansowych mimowoli był przyczyną, O. Wincenty Barzyński, od czasu owego ogłoszenia bankructwa zgorzkniał był i stetryczał, nie tracąc wszakże podniosłości ducha. Nikt, prócz O. Spetza, nie umie się na nim poznać ani jego ideałów ocenić. Źle bo jest z missyą chicagoską, ale „dziękujemy Bogu — pisze do Generała O. Wincenty 22. Maja 1897. — że jeszcze nie jest gorzej. Niechaj O. Generał raczy przebaczyć mojej słabości, że ja sobie czasem pozwalam pomyśleć, że w Ameryce nie masz serca, któreby bliżej przeczuwało ideały Zgromadzenia Naszego (C. R.) nad to biedne i

nędzne serce moje. Czerpałem je z serca śp. O. Kajsiewicza, O. Semeneńki i O. Juliana w czasie mego pobytu w Rzymie 18 miesięcy (w latach 1865. i 1866.) jak zaś te ideały uwydatniam, to niech Pan Jezus sądzi i przebaczyć raczy, ale młodsze generacye Ojców naszych czy nie trącą nieco zbyt szkołą Jezuitów? wiele dysput, ale gdzie Miłość? Kto jest w naszem Zgromadzeniu, któregoby młodzi nasi nie zkrytykowali i o ledwie nie potępili? Któż za to odpowie, Jezuici czy Zmartwychwstańcy? N. Ojcze, ufam że N. O. nie weźmie w gorszem znaczeniu tych słów boleści. Do kogoż mam wylać to co serce obciąża? Czasami zdaje się człowiekowi, że Bóg za wysoko, a O. Generał za daleko.... Istotnie jestem jakby samiuteńki na wielkiej puszczy. O. Andrzej (Spetz) jeszcze najbliższy sercu, bo szczególniejszy Zmartwychwstaniec, zakonność i wiara z domu rodzicielskiego czerpana daje mu cierpliwość i ufność. Dziękujmy Bogu, że nie jest gorzej, a On dawać będzie coraz lepiej". Złote zdanie, to ostatnie, i jako modlitwa skuteczniejsze do dźwignięcia podupadłej missyi niż wszelkie inne środki. O. Wincenty zawsze przeładowany pracą duszpasterką, nie mógł lepiej dopilnować rachunków. Każdy inny, na miejscu O. Wincentego, byłby albo porzucił tę missyę albo upadł pod ciężarem obowiązków. Chicago bowiem „nigdy nie miało sił odpowiednich ani co do liczby ani co do gatunku".

Nawet teraz jeszcze 14. Sierpnia 1897. O. Kasprzycki sarka: „Nie wchodzę w to, kto ma w tem winę, że Stanisławowo nie dostaje żadnej pomocy, ale powiadam, że na Stanisławowie jest za mało ojców, bo już i ludzie narzekają, że nawet do spowiedzi nie mogą się dostać. Mała liczba Ojców na Stanisławowie może wywołać niezadowolenie między ludźmi bardzo łatwo, a potem?”.... To brzemię odpowiedzialności, jakie spoczywało na barkach O. Wincentego, każdego innego przeciętnego śmiertelnika byłoby już dawno złamało. O. Wincenty dźwigał je ćwierć wieku. Dlaczego? widzieliśmy powyżej. Brak subordynacyi grał w tem wielką rolę. W Listopadzie r. 1897. poczuł się O. Wincenty tak słabym, że zaczął myśleć o testamencie. A 30. Maja 1898. pisze O. A. Spetz: „O. Prowincyał Barzyński ma się źle; lekarz mówi, że O. Wincenty może każdej chwili umrzeć. Zrobił swój testament i nadto dał mi pełnomocnictwo do wszystkich spraw w swojem imieniu. Tu i owdzie da się zauważyć mały ruch za O. Sedlaczkiem na proboszcza, lecz nieznaczny”. „Co do następcy O. Wincentego, sądzę, że tylko O. Kasprzycki jest możliwy. Na Kantowo O. Gordon”. (9. Lipca 98.). „Zniżyłem procent od depozytów do 3½ procent i w ten sposób jest nadzieja, że dojdziemy do tego, by nie iść coraz głębiej w dług”. Dnia 9. Września 1898. O. Wincenty się odzywa wyraźnie jakoby przeczuwając,

że nie doczeka już 25. rocznicy swego pobytu w Chicago: „Dzisiaj, a raczej w tym tygodniu skończyłem 24 lat w Chicago na włodarstwie przy kościele św. Stanisława Kostki. O tyle skończyłem szczęśliwie, że ostatnie 3 miesiące musiałem przebyć u wód (w French Lick blisko Louisville, Ky.) i na wakacyach i ostatecznie za łaską Bożą powróciłem odnowiony fizycznie i odświeżony umysłowo i pokrzepiony na duchu stanąłem jakoby mocniejszy do pracy na ten XXV. rok wśród Braci C. R. w Chicago. Już od 2. Września zacząłem konferencye jako Przełożony Prowincyonalny.... ufam, że jeszcze na chwałę Bożą będę mógł jakiś czas pracować. Skoro tylko zacząłem mocniej oddychać, zaraz znalazłzy się interesa do załatwienia i lud czuwał i czuwa, aby prowadzić dalej **porządek do którego się przyzwyczaił.** Prawda, że Ojcowie już są przyzwyczajeni do tego porządku w wielu rzeczach, ale kto zna ludzi to wie, że oni nieraz **więcej się przyzwyczajają do ludzi jak do porządku**". Oto jedna z tych głębokich prawd psychologicznych, jakie O. Wincenty umiał wypowiedzieć! „O. Andrzej Spetz — pisze O. Siatka 23. Listopada 1898. — przyznał, iż mimo głupstw, jakie tu zaszły, O. Wincenty zawsze jest człowiekiem wielkim. Nieraz już w tych tu czasach zachodziły kwestye trudne, a O. Wincenty zawsze znalazł radę i sposób. Nieraz uniesie się gniewem, wykrzyczy, ale zaraz

dobry. **Zawsze ma wielką ufność w Bogu i dlatego nie liczy się z pieniędzmi.** Widząc go modlącego się przed N. Sakramentem, gdzie zwykle koronkę odmawia, mimowoli łzy do ócz się cisną i większa chęć przychodzi do modlitwy". Pod koniec życia O. Wincenty doznał przynajmniej jakiejś pociechy, raz, że grom klątwy uderzył — przecie nie w niego, lecz — w Kozłowskiego, który od r. 1894. stał się piorunociągiem Stanisławowa; powtóre, że Dom Sierot, z którego długami nie mógł dojść do ładu, Arcybiskup kazał obrócić na Kollegium. W ostatnim swoim liście do Generała 2. Grudnia 1898. pisze z nietajoną radością: „Sprawa nasza czyli sprawa Pana Jezusa w missyi nam powierzonej zaczyna się rozjaśniać i podnosić. Niemało przyczynił się sam O. Generał postarawszy się o tę wielką klątwę rzuconą na Kozłowskiego przez Ojca św.; od czasu tej klątwy wściekłość istnie szatańska miota nim i jego służalcami. Pan zaś nasz Zmartwychwstały trzyma nas nie opuszcza i prowadzi.... Nadto Dom Sierot Arcybiskup kazał obrócić na Kollegium, a Dom Sierot będzie zbudowany przy Domu Przytułku dla starców i kalek itp. Rzeczy się rozjaśniają. Potrzeba tylko dziękować, czuwać i modlić się". Kolekta także się udała. „W tym roku — pisał O. Siatka 23. Listopada 1898. — chodziliśmy po kolekcie parafialnej i nadspodziewanie się udała. Zebraliśmy blisko $10,000. Kosztowało nas to

zdrowia, bo przez 3 tygodnie dzień po dniu chodziliśmy (5 księży). Ja potem 2 tygodnie cierpiałem na febrę i ból głowy". Czy te pieniądze obrócono na spłacenie długów? Gdzie tam. Ojcowie, wierni swej expansywnej polityce, choć kościołów, które mieli, obsłużyć nie mogli, zaczęli teraz budować jeszcze jeden. „Oto 30. Listopada 1898. podpisaliśmy akt zakupna wielkiego obszaru ziemi na nowo budować się mający Polski (R. K.) kościół (Maryanowo)". Niezależni, za przykładem Ojców, także zaczęli uprawiać expansywną politykę. „Przy Division ulicy, około gazowni, niezależni kupili starą fabrykę octu i tam tymczasowy urządzili kościół. Odbyło się poświęcenie. Kiedy zaczęli nabożeństwo swoje, chmara dzieci zgromadzonych tam przeszkodziła im, sypiąc gradem kamieni w okna i obrzucając błotem cały front. Powstało ogromne zamieszanie. Cała ta gromada rzucała kamieniami, wydając przytem głosy naśladujące kozła". Był to ciekawy sposób nawracania niezależnych!

Dochody Domu św. Stanisława K. w ciągu roku 1898. wynosiły $19,601 (w tem jura stolae i msze $12,228) a rozchody $18,703. Następnego roku 1899., po śmierci O. Wincentego, dochodów było $18,441 (w tem jura stolae 11,755, a pensye $5,200) a rozchodów już tylko $14,071. Drobny wypadek zdaje się przyśpieszył śmierć O. Wincentego. Oto „O. Wincenty znów powtórnie zapadł na zdrowiu — pisał O.

Siatka 1. Stycznia 1899. — a to z przestraszenia się, gdyż o mało nie zabiła go kolej uliczna. Tak się przeraził tem, że przez 2 dni (O. Gordon pisze 12. Grudnia 1898., że „przez tydzień cały”) zupełnie leżał nieprzytomny. Do tego dołączyła się jeszcze i grypa. Obecnie już lepiej się ma i wesół jak przedtem, ale lekarze zakazali mu stanowczo czemkolwiek się zajmować. W czasie jego choroby O. Kasprzycki zwołał radę, na której zamianowano O. Gordona zastępcą proboszcza”. Śmierć zbliżała się pewnym krokiem i 2. Maja 1899. pisał O. Kasprzycki do Generała:„ Spodziewam się, że Przew. Ojca już zawiadomiono drogą telegraficzną, że dziś wieczorem o godzinie 7. nasz Przew. O. Wincenty Barzyński oddał Bogu ducha. Utraciliśmy przewodnika chicagoskiej missyi. Pogrzeb śp. naszego prowincyała odbędzie się w Piątek, 5. Maja. O. Wincenty około 2 miesiące bawił w szpitalu Br. Alexyanów, bo sam pragnął wypocząć na ustroniu od parafii, a z początkiem Czerwca udać się do Rzymu, jak mu niektórzy lekarze radzili. W Sobotę tj. 29. Kwietnia wybrał się na przechadzkę ze szpitala do ks. Franc. Langego i w tym dniu zapadł podobno na zapalenie płuc. We Wtorek tj. w dzień śmierci swojej przyjął wijatyk i ostatnie olejem św. namaszczenie i od tego czasu stracił przytomność”. Do ostatnich dni — pisał O. Spetz 10. Maja 1899. — „zajmował się jeszcze wielu rzeczami i wszy-

stko go interesowało, szczególnie Memoryał. Ten przeczytano mu jeszcze w Niedzielę rano i jego ostatnie słowa wymówione z pełną świadomością były modlitwą o jedność naszych stronnictw w Ameryce i błogosławił tych, którzy pracują dla tej jedności. Jego pogrzeb był czemś zdumiewającem; rzekłbyś, że całe Chicago brało udział, że całe Chicago było w żałobie. Arcybiskup assystował przy Mszy i dał absolucyę. W dzień po pogrzebie zebraliśmy się i odczytawszy list O. Dawida Fennessy mianujący O. Kasprzyckiego tymczasowym Prowincyałem i proboszczem św. Stanisława, zamianowaliśmy zaraz O. Sedlaczka proboszczem św. Jana Kantego, a O. Babskiego następcą O. Sedlaczka w Avondale. To sprawiło ogólne zadowolenie i tego samego dnia poszliśmy do Biskupa, który to wszystko potwierdził i okazał wielkie zadowolenie, żeśmy ze wszystkiem tak prędko się uwinęli nie dając miejsca żadnym spekulacyom ani intrygom tak wewnętrznym jak i zewnętrznym. Na Kantowie panuje smutek z utraty proboszcza. Na Stanisławowie panuje radość z wyboru, jako też i wśród kleru świeckiego. Wracając do O. Wincentego, jest rzeczą pocieszającą widzieć jak był miłowany i jak nasz lud umie wyrazić tę miłość praktycznie. Ledwie gruchnęła wieść, a już kościół się napełnił ludem modlącym się za niego, dającym na msze; zaraz Siostry Różańcowe prosiły mnie, bym posłał tele-

grafem na 100 Mszy do Mentorelli, aby były odprawione prędko, żeby nie dać mu długo pokutować w czyscu; potem tu mamy codzień Msze śpiewane za niego. Także pewien adwokat irlandzki dał mi $20 na msze za niego. To wszystko napełnia mię nadzieją na przyszłość; jeśli Bóg dobry natchnął tyle dusz modlitwą za niego, to z pewnością nie pozwoli na zniszczenie jego dzieła".

Jeszcze jeden rzut oka na to dzieło O. Wincentego. W łonie jego parafii liczącej do 50,000 dusz utworzyło się około 50 towarzystw, nie licząc w to bractw, z których samo Różańcowe liczyło 4,000 członkiń. Razem było w parafii św. Stanisława K. około 14,000 ludzi obojej płci, zorganizowanych w towarzystwa i bractwa. Co za imponujący był widok, ile razy to wojsko występowało w swoich odznakach i ze sztandarami! Chór parafialny liczył około 300 członków a podzielony był na różne gałęzie, jako to: chór męski i damski, górny i dolny, chór panien, chór kolegialny i dzieci. Te różne chóry zwykle występowały oddzielnie, gdyż każdy miał wyznaczone msze, na których śpiewał. Ale przy większych uroczystościach stawały wszystkie razem pod wodzą dzielnego dyrygenta A. Kwasigrocha. Kółko Dramatyczne liczyło około 60 pań i panów. W szkole parafialnej, liczącej około 4,000 dzieci, uczyło przeszło 40 sióstr, 7 nauczycieli i 5 księży. Szkoła liczyła 40 klas o 8 stopniach

nauki (kursach). Pod opieką Sióstr dziewczęta i młodsi chłopcy; starsi zaś pod opieką świeckich nauczycieli. W czteropiętrowym gmachu szkolnym u góry była hala, w której pomieścić się mogło 6,000 osób: odbywały się w niej przedstawienia teatralne, obchody narodowe, sejmy i zebrania polityczne. Bibliotek w parafii były 4: księży, parafian, młodzieńców i bractwa. O Kollegium zob. tom III. str. 50. Ks. Wincenty Barzyński, przez niespełna ćwierć wieku proboszcz tej największej w Ameryce parafii, urodził się dnia 20. września roku 1838. w Sulisławicach w Sandomierskiem, z Józefa i Maryanny ze Sroczyńskich. Na chrzcie dano mu imię Michał, dopiero w rok później konającego matka ofiarowała św. Wincentemu (Fereryuszowi), którego obraz cudowny znajdował się w kościele Dominikańskim i dziecię wróciło do życia — odtąd nazywano go Wincentym. Ojciec Wincentego sprawował potem w Tomaszewie w Lubelskiem, obowiązki organisty, a przytem był i zegarmistrzem i rolnikiem. Mały Wincenty do szkół gimnazyalnych nie uczęszczał. Uczył go prywatnie w domu niejaki Narcyz Klembocki, emerytowany inspektor szkół okręgowych i były kapitan wojsk Polskich pod Napoleonem I. W roku 1856, stanął młody Wincenty w Lublinie na egzamin dla wstępujących na kursa filozoficzne w seminaryum dyecezyalnem i — został przyjęty. Po dwuletnim kursie filozofii prze-

szedł na kurs teologii, a dnia 28. października roku 1861. został wyświęcony. Jadąc na prymicye do domu, zaziębił się tak ciężko, że pierwsze sześć miesięcy swojego kapłaństwa u ojca przepędzić musiał w Tomaszewie. Po wyzdrowieniu został mianowany na wikaryusza do Horodła nad Bugiem, skąd po 3 miesiącach przeniesiono go na wikaryusza Kollegiaty Zamojskiej. Potem został powołanym do pracy duchownej w parafii w której się wychował, to jest w Tomaszewie, gdzie został jak najmilej przywitanym. Wiedział jakie ciężkie obowiązki miał do spełnienia. Właśnie Tomaszów był pierwszą stacyą nad granicą Austryi formujących się oddziałów powstańczych i właśnie na parę dni przed przybyciem ks. Wincentego Moskale dokonali tego strasznego mordu w Tomaszowie na 22 osobach bezbronnych; miasto zrabowano i zniszczono. Rząd Narodowy zamianował ks. Wincentego Organizatorem okręgowym i włożył nań obowiązki komisarza dostarczania broni powstańcom. Nie długo mogło się udawać ks. Wincentemu unikanie i zbywanie Moskali. Po upływie 6 miesięcy ks. Wincenty zmuszony był ratować życie swe ucieczką do Krakowa. Tam przemieszkał w ukryciu u OO. Reformatów przez 5 miesięcy, następnie został internowanym.Dni 10 przebył w Ołomuńcu, 5 miesięcy w Iglam i 5 miesięcy w Koenigram. Po 15 miesiącach rząd austryacki dał mu w końcu paszport za granicę i ks. Wincen-

ty na początku roku 1865 stanął w Paryżu. Tu nie potrzebował się długo przyglądać życiu emigracyi aby się przekonać, iż chcąc walczyć dalej z wrogami Ojczyzny, trzeba na wzór Kajsiewicza, Jełowickiego i Semeneńki, łączyć obóz duchowny. Dnia 18 września r. 1866, złożył ks. Wincenty śluby w Zgromadzeniu OO. Zmartwychwstańców i następnego dnia z błogosławieństwem Piusa IX. został posłany przez swoich przełożonych na misyę do Ameryki. Ośm lat wycierał kąty texaskie. Tu w Chicago jako proboszcz pierwszej parafii w samem ognisku polonii amerykańskiej, snuł rozległe plany i światowładne zamysły, chcąc zawładnąć całą polonią. Jego myślą przewodnią było zjednoczyć, złączyć, zlać dusze polskie w jedną parafię św. Stanisława K. (której inne miały być filiami czy kaplicami) a pieniądze polskie w jedną kasę. Miał być jeden tylko pleno titulo proboszcz i jedna parafia, jeden skarbnik i jedna kassa. Nieuniknionem następstwem tej jednostronnej jego dążności było najpierw rozbicie kassy a potem i częściowe rozbicie parafii. O. Wincenty z dwóch na pozór sobie przeciwnych praw, rządzących wszechświatem, uszanował tylko jedno a nie uszanował drugiego: uszanował tylko prawo ciężkości, centralizacyi czyli pędu dośrodkowego a ignorował prawo pędu odśrodkowego. A przecie obydwa te prawa są zarówno święte i koniecznie potrzebne do utrzymania równowagi i porządku w świecie tak

fizycznym jak moralnym. Gdyby samo prawo ciążenia i centralizacyi tylko rządziło światem, to by same kataklizmy powstały w świecie; księżyc spadłby na ziemię, a ziemia na słońce i utworzyłyby jedną wprawdzie, ale chaotyczną massę. Tożsamo w świecie moralnym; muszą się równoważyć dążności centralizacyjne z rozpędami decentralizacyjnymi, wtedy jedynie zapanuje porządek i uniknie się rozbicia i kataklizmów społecznych. I gdyby nie odporna siła polonii chicagoskiej, to zbijający, jednoczący i skupiający geniusz ks. W. Barzyńskiego byłby zebrał i skupił wszystkich Polaków chicagoskich w jedno olbrzymie ognisko parafialne i byłby w Chicago literalnie jeden tylko pasterz i jedna owczarnia, jeden tylko skarbnik i jedna olbrzymia ale pusta kassa! — Ale na szczęście ruch odśrodkowy, decentralizacyjny, zapoczątkowany przez parafię św. Trójcy, zrównoważył choć w części zbytnie zapędy centralizacyjne ks. Barzyńskiego.

XIII.

Siódmy proboszcz ks. Jan Kasprzycki od Maja 1899. do Maja 1905. — Jego Salomonowy wyrok w sprawie Sierocieńca. — Ojcowie prowadzą dalej interesa bankowe. — Brak subordynacyi mści się na nich samych. — Matka Wielhorska zabiera głos. — Stanowisko ojców wobec Kongresu, sejmu i rozporządzeń biskupich r. 1901. — Stosunki ich z duchowieństwem świeckiem naprężają się. — Wreszcie r. 1902. ojcowie chicagoscy, nie chcąc się poddać boleśnej, lecz zbawiennej operacyi, zrywają stosunki nie tylko z duchowieństwem, ale i z najwyższą swoją władzą zakonną. — „Być czem chcieć a zwać się Zmartwychwstańcem!? — życiorysy ojców.

Ks. Jan Kasprzycki C. R. od 6. maja 1899 do maja 1905 r., siódmy z rzędu proboszcz parafii św. Stanisława Kostki, był następcą i w godności prowincyała, dopóki r. 1902. tej godności nie skasowano. Cokolwiek się dzieje, nie traćmy nadzieję — i: Tyle mamy mądrości, ile mamy cierpliwości — oto dwie dewizy życia O. Kasprzyckiego. Z góry o tem wiedząc, że co jest poplątane i powikłane, przez nagłe i niecierpliwe targanie i szarpanie tylko jeszcze bardziej się wikła i plącze, zaczął spokojnie i cierpliwie, węzeł po węzełku, rozplątywać ową poplątaną sprawę długu bankowego. Jak nam już wiadomo, na liście owych długów figurował Dom Sierot z najpoważniejszą cyfrą. Arcybiskup Feehan, widząc że sierotki nigdy tego długu nie spłacą, podarował Dom Sierot Ojcom na Kollegium. Atoli prokuratorowi O. Spetzowi nie podobał się taki podarunek, na

którym więcej długów niż był wart. „Teraz — pisał O. Siatka 1. stycznia 1899.— O. Spetz chce Nazaretankom znowu sprzedać ten dom sierot, którymeśmy się tak cieszyli z O. Kruszyńskim, że się go zamieni na Kollegium. Zawsze pełno planów ma O. Spetz, które nic dobrego nie przynoszą. Br. Żegleń ciągle zajęty tym pancerzem, chociaż nie ma już żadnej nadziei, wszyscy mu tylko obiecują i na tem koniec.'' Wszelako miesiąc przed śmiercią O. Wincentego, Rada Prowincyonalna (w skład której weszli i O. Gordon i O. Kruszyński) uchwaliła „Dom Sierot obrócić po części na Kollegium, po części na tymczasową szkołę parafialną, dopóki się nie wejdzie w układy z parafią, do kogo ten dom należy''. Sprawa więc była podobna do owych dwóch niewiast: „do kogo to dziecię należy''? I oto jak po Salomonowemu O. Kasprzycki rozwikłał tę zawikłaną sprawę. „Ze Sierocińcem — pisze 3. lipca 1899. — sprawa prawie skończona. Z komitetem parafialnym rozpatrzyliśmy rachunki i długi tego zakładu i pokazało się, że jest rzeczą niemożliwą dalej ten dom utrzymywać na sposób, w jaki dotąd był utrzymywany, bo długi rok rocznie powiększały się około $3,000. Komitet parafialny sam zaproponował nam, abyśmy ten dom zamienili na Kollegium dla Zgromadzenia i wzięli tyle długu na siebie, ile ten dom ma wartości. Na to cała rada Ojców się zgodziła. Odtąd więc ten dom Sierot będzie własnością Zgromadzenia

przeznaczoną na Kollegium dla chłopców. Inny dług ciążący na Sierocińcu bierze parafia na siebie. Sierotki damy do Avondale, gdzie nasze parafie wybudują dom nie z takim komfortem dla sierot; utrzymanie sierot w Avondale nie będzie tak kosztowne i wydatki muszą się zgadzać z dochodami''. A zatem żywe dziecię (dom) przyznał Zgromadzeniu, a martwe(„inny dług'') parafianom. A kiedy parafia jeszcze obstawała przy tem, że jej się należy to żywe dziecię „Sierociniec'', O. Kasprzycki tak rozstrzygnął tę kłótnię 8 sierpnia 1899: „Na Dom Sierot wydano z Banku Zgromadzenia (inaczej „Bankiem Parafialnym'' zwanego) przeszło $100,000 i do tego nie było rzeczą wiadomą do kogo Sierociniec należał (bo należał do bezimiennego ludu, który te pieniądze do Banku złożył). Parafianie uważali go za swój, bo jakieś tam ofiary za życia śp. O. Wincentego nań złożyli, my zaś wiedzieliśmy, że Dom ten wybudowany był i po większej części utrzymywany przez śp. O. Wincentego, a zatem słusznie do Zgromadzenia należał (chyba długi jego słusznie należały do Zgromadzenia). Gdy po raz pierwszy po mojej instancyi pokazałem się na zebraniu komitetu parafialnego, zaraz zapytano się mnie, jak stoi sprawa z Domem Sierot? Odpowiedziałem chłopom krótko, że kto długi Sierocińca zapłaci, do tego ten Dom będzie należał. Ile długu jest na Sierocińcu? pytano się. Odpowiedziałem, przeszło $100,000.

Na taką moją odpowiedź wszyscy kiwali głowami. Po długich debatach pokazało się, że Parafia nie może tego długu wziąść na siebie, bo ten dom nie jest odpowiedni na użytek parafii, cóż więc było robić? Stanęło na tem, że Dom wzięliśmy na Kollegium dla Zgromadzenia za cenę $70,000, a resztę długu zapłaci parafia do naszego Banku. Tę sprawę Domu Sierot omawialiśmy szeroko na naszej Radzie prowincyonalnej, o wszystkiem wie O. Wilhelm (Kloepfer) i wszyscy Ojcowie są tego zdania, że ta sprawa zawikłana jak była nie mogła lepiej wypaść dla Zgromadzenia jak wypadła". Czyż nie Salomonowy to wyrok? Parafianie istotnie składali tysiączne ofiary na budowę Sierocińca, a teraz Ojcowie zabierają go na swoją własność i każą parafii jeszcze sobie płacić przeszło $30,000. Za co? Że parafianie istotnie „jakieś tam ofiary za życia śp. O. Wincentego składali" na budowę Sierocińca, o tem O. Kasprzycki nie mógł wiedzieć, bo go wówczas jeszcze w Chicago nie było; ta jednak nieświadomość nie zmieniała bynajmniej stanu rzeczy, faktycznie bowiem parafianie łożyli ofiary i to wielkie, jak to się okazuje z dawniejszych listów Ojców samych, naprzykład O. Moszyński C. R. 2. grudnia r. 1889, do generała pisał: „wczoraj zakończył się (dwutygodniowy) fair na korzyść domu sierot, dochodu $8,302!" itd. itd. Przyznajemy wszakże, że „dla Zgromadzenia lepiej ta sprawa wypaść nie mogła". Salus

Congregationis suprema lex esto! Ratować dom chicagoski w wszelki godziwy czy nie godziwy sposób, to było pierwszą zasadą! Bo choć Generał zwalił był ów dług bankowy na Arcybiskupa, to jednak Ojcowie chicagoscy, jak widzieliśmy, wzięli ten dług na siebie, bo musieli, inaczej byłby ich Arcybiskup wypędził. Ale o spłaceniu i zamknięciu Banku Ojcowie nie myśleli: wbrew woli Generała prowadzili ten biznes bankowy dalej. A za przykładem Stanisława szły i inne parafie przez Ojców zarządzane. Na Kantowie np. był także bank dziurawy. „Smutno na Kantowie — pisał O. Dąbkowski do Generała — dawnych depozytów parafia ma już dosyć dużo, bo trudno wprawdzie było wybudować kościół tak olbrzymi za gotówkę, ale co więcej w tym roku O. Sedlaczek przyjął jeszcze $10,000 nowych depozytów czyli innemi słowy pomnożył dług parafii. Co się z temi pieniędzmi stało, na co je zużyto, tego nie pojmuję. Co będzie, jeżeliby dalej tak iść miało... Obawiam się drugiego aktu tragedyi, która się rozpoczęła w parafii św. Stanisława K., gdzie długi parafialne, długi tak olbrzymie, włożono na Zgromadzenie''. Ale czyż Generał nie zabronił był surowo prowadzenia banku? A czy usłuchało go Stanisławowo? Nie! cóż dziwnego że za przykładem Stanisławowa poszło i Kantowo. Następstwem niesubordynacyi względem Generała była niesubordynacya względem Prowincyała. „Jakże jest rzeczą trudną — biadał

O. Kasprzycki 31. sierpnia 1899. — być Przełożonym nad zakonnikami nieposłusznymi! Często przychodzi mi na myśl, dlaczego tacy co niechcą słuchać Przełożonych pozostają w Zgromadzeniu i ślubują P. Bogu posłuszeństwo? Dobrzeby było, gdyby O. Generał napisał mi wyraźnie, że wszyscy Ojcowie w Chicago są pod juryzdykcyą moją, abym im to przeczytał, aby do tego się stosowali". Bankructwo materyalne ojców chicagoskich było tylko prostym wynikiem bankructwa moralnego. Każdy robił co chciał i brał co chciał, czyli jak O. Wincenty raz się wyraził: „Być czem chcieć a nazywać się Zmartwychwstańcem" oto zasada ojców chicagoskich. O. Wincenty był pierwowzorem i ideałem takiego chicagoskiego Zmartwychwstańca. A gdy O. Generał ostrzegał ojców by nie szli w ślady O. Wincentego, O. Kasprzycki 10. listopada 1900, odpowiadał: „Sprawy rozpoczęte przez O. Wincentego dobre (czy i bank do nich należał?) trzeba dalej prowadzić ale powoli przyjdziemy do porządku. Stanowczo nie chcemy popełniać błędów starych śp. O. Wincentego. **Całej winy co do nieporządków w Chicago nie może nikt z nas składać na O. Wincentego.** Część tej winy musi wziąść na siebie nasze Zgromadzenie". Otóż dlaczego musi Zgromadzenie? bo, powiada dalej O. Kasprzycki: „Jeżeli O. Wincentemu powierzono ogromną missyę, jaką jest missya Chicagoska, to trzeba mu było dać **zaraz** odpowiednią liczbę

robotników, z którymi mógłby wspólnie był pracować w duchu Zgromadzenia. O. Wincenty niestety początkowo był sam...'' Czy wolno się zapytać, kto i kiedy „początkowo powierzył O. Wincentemu tę ogromną missyę''? Jedynie przez brak subordynacyi pobyt ojców w Chicago był zapoczątkowany i przez brak subordynacyi był kontynuowany. Ten brak subordynacyi O. Barzyńskiego, a względnie O. Bakanowskiego, jako grzech pierworodny przeszedł potem na wszystkich ojców chicagoskich. Generał jako głowa, która myśli za całe Zgromadzenie, najlepiej wiedział, czy Zgromadzenie może się podjąć nowej missyi w Chicago, czy ma dość sił, a przekonawszy się że Zgromadzenie nie może, że nie ma dość sił, Generał odwołał i odwoływał kilkakrotnie O. Wincentego z Chicago. Czyżby miało być winą Zgromadzenia to, że O. Wincenty rozkazu swego Generała nie usłuchał? Jeżeli O. Wincenty mimo a nawet wbrew woli swego Generała pozostał w Chicago i Biskupowi swemu umiał wyperswadować, że Zgromadzenie nadeszle mu więcej ojców do pomocy, to w takim razie na nim a nie na Zgromadzeniu ciąży odpowiedzialność za wszystkie finansowe i duchowe nieporządki missyi chicagoskiej. Generałowie wprawdzie tolerowali jego pobyt w Chicago, ale nigdy wyraźnie go nie aprobowali, owszem, każdy Generał, jak widzieliśmy, chętnie by go był wycofał z Chicago, gdyby niebył się obawiał większego zła.

Jednym ze smutnych rezultatów owej niesubordynacyi O. Wincentego były właśnie owe nieporządki finansowe, ów zwłaszcza dług bankowy. Każdy to dobrze rozumie, że w tak ogromnej missyi O. Wincenty sam porządku w rachunkach dopilnować nie mógł; ale kto go posłał na tak ogromną missyę? Generał nie! Więc też słusznie Generał wzbraniał się wziąść ów olbrzymi dług bankowy na odpowiedzialność całego swojego Zgromadzenia. Odpowiedzialność tę chcąc nie chąc musieli wziąść na siebie sami ojcowie chicagoscy, jako spadkobiercy ducha O. Wincentego musieli zostać i spadkobiercami długów jego. Nie chcieli słuchać, musieli cierpieć. Generał czynił był energiczne kroki, aby ojców uchronić od bankructwa materyalnego — ojcowie go nie słuchali; Generał poczynił jeszcze energiczniejsze kroki, aby uchronić ojców od moralnego bankructwa, ale ojcowie go także nie usłuchają. Nie dziw, że Generał Smolikowski, tym brakiem subordynacyi zdegustowany, pragnął już oddawna zrezygnować z urzędu swego. „Dowiaduję się — pisał O. Kasprzycki 2. listopada 1900. do Generała — że Przew. Ojciec nie bardzo przychylny naszej missyi w Chicago, a to dla tego, że nasza missya zadłużona. Że długi są, to **żadnego z nas wina.** My staramy się, żeby o wszystkich się dowiedzieć i znaleść sposób, aby je spłacić”. Rachunki będą uporządkowane przed kapitułą. O rezygnacyi niech O. Generał wcale nie myśli,

boć tak mógłby każdy powiedzieć i ja także mógłbym zrezygnować, ale wcale o tem nie marzę. Róbmy wszystko z Bogiem, a potem nie zważajmy co się dzieje.'' I tu pociesza Generała — nie pancerzem już ale — kopalnią. „Kopalnia złota też na dobrej drodze; w tych dniach wydają dyrektorzy tejże w dzierżawę kopalnię na 2 lata i może pokaże się, że tam jest tyle złota, że wszystkie długi popłacimy.'' Gadajże Generałowi o złocie kalifornijskiem, kiedy on za długi ojców chicagoskich w samym nawet Rzymie szturchańce otrzymywał ba! żeby to od wierzyciela, ale od wierzycielki! Mianowicie Matka Wielhorska, poważna matrona polska, założycielka i Przełożona Generalna Karmelitanek w Rzymie, takim potężnym kułakiem pod sam bok Generałowi zajechała: „Upraszam O. Jenerała na podstawie 1o. Aktu notaryalnego zrobionego w Chicago przy kupnie gruntu świadczącego, że kupiony na Imię O. Kobrzyńskiego jest własnością Karmelitanek św. Brygidy — 2o. I na podstawie zaświadczenia Pana Kiołbassa że w ten grunt włożyłyśmy kapitału $7,775, co niedawno nam jeszcze zatwierdził — na tej podstawie upraszam O. Jenerała usilnie, dla zgody i sprawiedliwości, by raczył dać mi od siebie piśmienne zaświadczenie, iż: Ten grunt przeszedłszy teraz w ręce OO. Zmartwychwstańców Amerykańskich, na nim jest $7,775 włożonych poprzednio przez M. Tad. Wiel: przełożoną Karm: z klasztoru św. Bry-

gidy i należących do Zgromadzenia Karmelitanek i mających Mu być spłaconych gdy możność będzie sprzedać ten grunt. Ufam, że tak sprawiedliwe i uległe wymaganie Ojciec Najprzew. zechce uiścić, w zamian niemożności otrzymania **od O. Spetza** nie tylko na list od swego Jenerała, ale i po powtórnych staraniach Matki Prowincyalnej Felicyanek z Chicago, ani sprzedania połowy gruntu **ani pozwolenia by kto inny tem się zajął ani przystania na danie nam żadnego zaświadczenia!** Ponieważ sumienie moje i obowiązek nie pozwalają w razie śmierci zostawić moje Zgromadzenie w nieporządku co do tego interesu, ufam, że mej prośbie raczy O. Jenerał zadość uczynić, a gdyby tego nie uznał, co nad wyraz byłoby mi bolesnem, **przedstawią sprawę Świętej Kongr. BB. i RR.**, listy różne będę musiała przedstawić co wolałabym zachować, zapytując się, czy nie mamy prawa prosić o **Recu legalne** tego co nie zaprzecza się obecnie że tam posiadamy.''

Na wzór O. Wincentego, O. Kasprzycki przez całe miesiące ślęczy nad rachunkami parafialnemi, z tą różnicą, że dochodzi zawsze do jakiegoś rezultatu praktycznego, podczas gdy O. Wincenty nigdy żadnego rachunku dokończyć nie mógł. „Czas wolny od zajęć parafialnych— pisał O. Kasprzycki 8. lutego 1901. — poświęcam na to, aby jak najdokładniej zbadać stan każdej z naszych parafii, aby potem na kapitule wszystko jasno przedstawić Ojcom Radnym.

Jestem z tą pracą już tak daleko, że znam stan Stanisławowa, Jackowa, Maryanowa i Kantowa. Co do Kantowa tak się rzecz przedstawia: Porachowaliśmy wszystkie rachunki płacone ze Stanisławowa tj. z Banku na Kantowo, które wynoszą sumę $71,604.09 z tego wynika, że Kantowo winne jest nam, czyli do naszego banku, wyżej wymienioną sumę. Komitet Kantowski wie, że tę sumę ma zapłacić parafia św. Jana Kantego na Stanisławowo t. j. nam czyli raczej do naszego banku. Po zbadaniu tych rachunków z komitetem Kantowskim i po dojściu do tej słusznej i sprawiedliwej sumy $71,604.09, komitet Kantowski prosił mię, abym to przedstawił komitetowi na Stanisławowie i poprosił, aby Komitet Stanisławowski z tej sumy przyjął na Stanisławowo z kilka tysięcy. Komitet jednakże ze Stanisławowa na to się nie zgodził... Powiadam otwarcie, że jesteśmy wplątani w Chicago, ale jeżeli będziemy brali rzeczy powoli i z zimną krwią, to ze wszystkiego wyjdziemy. Ludzie są chętni nam i nam dopomogą, gdy się pozbędą długów, które jeszcze ciążą na parafiach **przez lichą gospodarkę.** Parafia św. Stanisława Kostki ma długu $118,000 (oprócz zamorgeczowanych $80,000, o których słyszeliśmy z własnych ust O. Kasprzyckiego), na pozór jest to wielka suma, ale jeżeli jeszcze przez 6 lat będziemy tak gospodarowali, jak przez 2 lata ostatnie, to po 6 latach parafia św. Stani-

sława Kostki będzie bez długu.'' „Qui vivra, verra.''

A stosunek Ojców na zewnątrz? Po śmierci O. Wincentego ojcowie coraz bardziej murem chińskim odgraniczali się od reszty duchowieństwa, jakby się bali, żeby nie wyszły na jaw te wszystkie wewnętrzne ich nieporządki. Owe biskupie rozporządzenia językowe (żeby w polskich kościołach także po angielsku kazać), dlatego że wszyscy Polacy je potępiali, ojcowie je pochwalali. Na pytanie Generała co do tych rozporządzeń i co do Kongresu, odpowiedział O. Kasprzycki 7. maja, 1901.: „Rozporządzenia ks. biskupów niemców **naród polski** przyjął bardzo gorzko, sądząc, że przez te swoje rozporządzenia owi biskupi czychają na zagładę naszej polskiej narodowości. **Wszystkie gazety polskie** w Ameryce, **wyjąwszy** Dziennik Chicagoski, pisały przeciw rozporządzeniom, do nich przyłączył się O. Sedlaczek. **My** sądzimy, że owi biskupi spełnili tylko swój obowiązek.'' A że cały „naród polski'' i „wszystkie gazety'' wystąpiły przeciwko tym rozporządzeniom biskupim, to sprawka „narodowców, patryotów bez Boga i niezależnych'', oraz „księży wychowanych w Ameryce.'' Co do II. Kongresu, to ojcowie nie mogli w nim udziału brać, bo nie oni, lecz „ks. Pitass z Buffalo zwołuje kongres do Buffalo i tam ma zapaść uchwała, aby podpisami niejako zmusić Propagandę do naznaczenia biskupa polskiego. O całej tej sprawie

co do biskupa polskiego mówiliśmy z O. A. Spetzem z naszym Arcybiskupem. Nasz arcybiskup powiedział nam, że Polacy **najwyżej** mogą podać prośbę na konferencyę wszystkich arcybiskupów w Ameryce (a więc **wyżej**, t. j. do Rzymu, nie mogli podać prośby bez obrażenia episkopatu amerykańskiego!?), aby ci między kandydatami na biskupów postawili także Polaka. Prawdą jest, że gdyby np. w Chicago sufraganem był Polak, to niezależny biskup A. Kozłowski poszedłby w duraki i ludzie by się nawrócili. Videant majores. Wyjeżdżam na kapitułę 10. czerwca, wiceprowincyałem O. Gordon. O. Sedlaczek musi ustąpić z probostwa św. Jana K., a następcą jego będzie O. Stefan Dąbkowski.'' Ojcowie, chcąc wyprzedzić czy pokrzyżować i ośmieszyć plany II. Kongresu, sami na własną rękę zamianowali już swoich kandydatów na biskupa polskiego. Na zapytanie Generała, jakiem prawem przedstawili tych kandydatów, odpowiedział wiceprowincyał O. Gordon 4. lipca 1901.: „Co do nominacyi na biskupów, nie była to nominacya, lecz tylko wstępne porozumienie się w sprawie polskiego biskupa, lecz z przyczyny czyjejś nieroztropności weszło to na złą drogę i dalsze prace zaprzestane być musiały.'' Sami więc we własnej pułapie się złapali. A 2 paźdz. 1901. O. Kasprzycki: „Kongres skończony i prawie nic poważnego na nim nie uradzono (bo tam nie było ojców!) jak Przew. Ojciec przekona się z

Dziennika Chicagoskiego (jedynego w Ameryce źródła informacyi!) Bogu dziękujemy za to, żeśmy wytrwali w postanowieniu, aby nie wziąć udziału w Kongresie, nie potrzebujemy się wstydzić jak inni.'' Dziękujemy Ci, o Boże, że nie jesteśmy jak owi celnicy — świeccy i księża biorący udział w Kongresie! I znowu 11 paźdz. 1901.: „Uczestnicy Kongresu i Sejmu Zjednoczenia sądzą, że dużo zdziałali wylawszy swoją żółć na Zmartwychwstańców.'' Na Kongresie nie było ani wzmianki o ojcach chicagoskich, a tem mniej „wylewano żółć'' na nich. Ale, jak to mówią, strach ma wielkie oczy, i na złodzieju czapka gore. „Powiadają, że Kongres i Sejm znakomicie się odbył. Kongres nie miał ani biskupa miejscowego, który nie chciał w nim wziąć udziału, ani nie otrzymał Błogosławieństwa Papieskiego.'' O. Kasprzycki mógł był wiedzieć, że Kongres, zwołany dla równouprawnienia kleru **polskiego**, z natury rzeczy nie mógł się podobać biskupom **innonarodowym**, Biskup miejscowy zaproszony nie przybył ale oświadczył wyraźnie, że przeciw naszemu Kongresowi nic nie ma. Czy to nie wystarczało? A o błogosławieństwo papieskie z tej racyi samej nie proszono wcale, gdyż, jak wiadomo, można je otrzymać tylko za pośrednictwem miejscowego biskupa, a tą drogą znowu daremne byłyby starania. „Po Bożem Narodzeniu wybierają się do Rzymu ks. Pitass, ks. Kruszka i jeden chłop do opowiedzenia całego po-

łożenia Polaków w Ameryce Propagandzie. Niech że przedstawią całą sprawę dokładnie, byle tylko nie kłamali.”... Co by mieli kłamać? Tyle mieli prawd do powiedzenia, że na kłamstwa ani czasu nie mieli, choćby ich była brała ochota do kłamania. Kłamstwem posługuje się tylko ten, któremu prawdy nie starczy albo który prawdy się boi, bo uważa ją za niebezpieczną dla siebie.

Ojcowie chicagoscy, tradycyjną pałając nienawiścią ku duchowieństwu świeckiemu, znowu w tych ostatnich czasach dawali tej nienawiści dowody bądź w Dzienniku Chicagoskim bądź w broszurce O. Siatki C. R., w której księży świeckich nazwano pogardliwie „extravagantes.” O. Generał dowiedziawszy się o tem, powołał ojców i w tym względzie do porządku; ale jak ich daremno powoływał do porządku finansowego, tak daremno powoływał ich do porządku moralno-społecznego. Ojcowie i tym razem wykręcają się sianem. „Myśl podana w liście — pisze do Generała wiceprowincyał O. Gordon 4. lipca 1901. — byśmy zaprzestali w „Dzienniku” odpowiadać na przeróżne artykuły w innych pismach pomieszczane przeciwko nam, była już poprzednio w czyn zamieniona. Wyrażenie się O. Siatki w extravagantes jest to wprost naciąganie tylko, by mieć coś przeciwko nam. O. Siatka mówił o czasach dawniejszych i trudno nawet zrozumieć, jak mogli niektórzy księża obecnie brać to do siebie,

i potem wołać, że tem obrażony został cały kler świecki". Atoli po reprymendzie Generała, ojcowie schowali na jakiś czas swoje rożki, jak ślimaki zasklepiając się w sobie samych. „Walka i przykrości doznane ze strony kilku (?) księży świeckich węzły miłości bratniej między nami tylko ścieśniły. Jako wspólnie prześladowani i oczerniani, pamiętamy więcej niż kiedykolwiek, żeśmy członkami tego samego Zgromadzenia znienawidzonego i znieważanego przez ludzi zazdrośnych. Dlatego też wspólne cierpienia i miłość nas łączy coraz bardziej jako dzieci i przykuwa do wspólnej Matki Zgromadzenia i do Ojca naszego N. Jenerała." (11. lipca, 1901.) Że i ta „miłość przykuwająca ich coraz bardziej do Zgromadzenia i Generała" była tylko nieporządnem upodobaniem w Zgromadzeniu a raczej upodobaniem w sobie samych, tego wymownie dowiedli ojcowie w latach 1902—1904., kiedy nie tylko już z duchowieństwem świeckiem ale i z najwyższą władzą swoją w Rzymie zerwali stosunki, wzbraniając się przyjąć reformę i nadesłanych przez Generała reformatorów OO. Marszałkiewicza i Kobrzyńskiego. Reforma ta miała na celu skupienie sił liczebnych, moralnych i materyalnych w Zgromadzeniu: albowiem jak rozproszenie ojców po zbyt obszernem polu pracy pociągało za sobą najpierw rozproszenie ducha zakonnego a potem roztrwonienie grosza, tak skupienie liczebne miało przywrócić skupienie i ducha i

grosza. Liczba ojców nie była nigdy dostateczną, a pomimo to szczupłe swoje siły rozpraszali coraz bardziej, rzucając się na nowe pola pracy i zakładając nowe dla siebie parafie. Proboszcz św. Stanisława Kostki (choć ta parafia tylekroć była podzielona), jak ongi tak i teraz nie mógł sobie dać rady i 8. sierpnia 1899. błagał Generała o pomoc, gdyż „w czasie wielkanocnym mieliśmy w tym roku samych kartek przeszło 15,000, a bez kartek ile to ludzi przychodzi do spowiedzi. Około 50 sióstr zakonnych trzeba co tydzień wyspowiadać. Około 700 dzieci trzeba rok rocznie przygotowywać do 1-ej komunii. Codzień trzeba śpiewać msze św., a gdy przyjdzie niedziela lub święto, trzeba nieraz binować msze śpiewane i do tego wygłaszać naukę we wielkim kościele; do tego setki chrztów, nieszpory, nabożeństwa wieczorne i nauki, odwiedzanie chorych i mityngi z Bractwami; odmówić brewiarz, odprawić medytacyę i załatwić różne interesa parafialne, to rzeczywiście jest dużo pracy i nie ma chwil na wypoczynek. I iluż robotników mamy na Stanisławowie na tę wszystką pracę? Niewięcej jak 7: OO. Spetz, Matuszewski, obecnie w Europie, Obyrtacz, Ziemba, Jelinek, Siatka i ja. Parafia św. Stanisława potrzebuje przynajmniej 10 robotników.'' O. Ładoń C. R .23. czerwca 1900. bardzo trafnie się wyraził, że „nasz kościół to prawdziwa **fabryka sakramentów świętych,** wszystko idzie na wielką skalę.'' I któżby przy-

puszczał, że ojcowie mając tak wielką „fabrykę” z tak małą liczbą robotników, założą dla siebie jeszcze jednę „fabrykę sakramentów świętych.”? A jednak — pisze dalej O. Kasprzycki — „O. Gordon niezadługo otworzy nową parafię i będzie także potrzebował pomocy a skąd ją weźmiemy, jeżeli nie z Europy? O. Kruszyński zaś ma Kollegium i małą parafię w Cragin. O. Kosiński przeznaczony także do Kollegium. Wiem, N. Ojcze, ile pracy mają Ojcowie nasi w Krakowie, bo tam około 3 lata przepędziłem i porównując pracę w Krakowie z pracą w Chicago na Stanisławowie, to jest wielka różnica, a jednak w Krakowie jest ta sama liczba Ojców co na Stanisławowie w Chicago.” Bo też Ojcowie w Krakowie expansywnej polityki nie uprawiali. U Ojców zaś w Chicago wyglądało to tak, jak gdyby naumyślnie brali na swoje barki coraz więcej parafii, żeby potem mieć wymówkę, że będąc rozproszeni po różnych parafiach nie mogą prowadzić życia wspólnego, zakonnego, klasztornego. Słabość missyi chicagoskiej leżała w rozpraszaniu sił: nawet mała liczba ojców, gdyby była skupiona w jednej lub dwóch tylko parafiach, byłaby była daleko mocniejszą i duchowo i finansowo. „Kto proch szeroko rozsypie i podpali, zrobi mały błysk bez mocy. Ale kto proch zakopie głęboko i podpali, tedy wywróci ziemię i mur z hukiem i stukiem, a ludzie mówić będą: zaiste było tam wiele prochu; chociaż było nie wiele.

ale w zakopaniu głębokiem.'' (Mickiewicz.) Nie w rozsypaniu lecz w skupieniu liczby ojców, nie w rozpraszaniu lecz w skupieniu ducha, w „głębokiem zakopaniu'' życia zakonnego leżała moralna i materyalna moc ojców. Wiedział o tem Generał Smolikowski i jego Rada Generalna w Rzymie: chcąc więc raz tamę położyć temu rozsypywaniu i rozstrzeliwaniu sił ojców, postanowili pościągać ojców z rozmaitych parafii i skupić ich wszystkich przy jednej lub dwóch a resztę parafii oddać księżom świeckim. Taka reforma była konieczną, lecz była i radykalną, gdyż podcinała sam korzeń złego: gromadząc ojców na wspólne mieszkanie w jednym lub dwóch domach, zniewoliłoby ich do wspólnego, zakonnego życia, uchraniając ich temsamem od zbytniego roztargnienia i rozproszenia ducha i, co zatem idzie, od roztrwonienia grosza. W zasadzie ojcowie chicagoscy sami uznawali taką reformę za potrzebną. Widzieliśmy, jak O. Spetz często pisywał Generałowi, że nie tyle bankructwo finansowe go przestrasza ile bankructwo duchowe ojców, z którego tamto płynie. A 31. sierpnia 1899 O. Kasprzycki pisał do Generała: „Na Radzie prowincyonalnej uradziliśmy, **aby wszystkie poboczne missye znieść,** gdyż nie mamy do tego dosyć sił, a oprócz tego narażamy się przez to na niepotrzebne nieprzyjemności ze strony księży świeckich.'' W teoryi ojcowie sami uznali, że z owego rozproszenia sił jak ze źródła płynie rozproszenie i ducha i

grosza, i że chcąc się gruntownie wyleczyć z tych różnorakich nieporządków i duchownych i finansowych, trzeba się zgodzić na odcięcie kilku parafii „pobocznych'', jak Cragin, Avondale i tp., że bez takiej operacyi gruntowna kuracya missyi chicagoskiej jest niemożliwą. Ale kiedy widzieli, że O. Generał na seryo zabrał się już do tej operacyi, pokazując im ostry scyzoryk nowej Reguły, którym zamierza odciąć te „poboczne'' missye, wtedy ojcowie chicagoscy krzyknęli: Gwałtu, co Generał robi? chce na nas operacyi dokonać? ależ to boli! I operacyi, którą sami byli uznali za potrzebną, nie chcieli się poddać ze strachu przed bólem, mając nadzieję, że i bez operacyi jakoś się wyleczą. „Rzecz rozchodzi się o parafię w Cragin — pisał O. Kasprzycki 25. paźdz. 1901. do Generała — rozdział XVI. nr. 177. naszej nowej Reguły powiada: „Na założenie nowej missyi musi być przynajmniej dwóch braci kapłanów i jeden brat laik.''... Szkodaby była bardzo wielka dla naszej missyi, gdybyśmy dla tego paragrafu w Regule mieli parafię w Cragin oddać w ręce księży świeckich. W Cragin jest obecnie 85 familii. Takich missyi, żebyśmy zaraz na początku domagali się od parafian otrzymania trzech, będzie mało, albo żadnych, bo je zabierze ksiądz świecki... Dlaczegóż nie miałoby być wolno nam w Chicago, co jest dozwolone na innych missyach? Przecież O. Szymon Kobrzyński jest tylko z jednym braciszkiem, a O

Hubert Asymans sam jest z gospodynią. Jeśli tam wolno, to i nam służy to samo prawo. Niech O. Generał dobrze się nad tą sprawą zastanowi, bo od rozstrzygnięcia tej sprawy dużo Zgromadzenie zyska.'' To zanadto trąciło zasadą wypowiedzianą przez O. Barzyńskiego: „być czem chcieć a nazywać się Zmartwychwstańcem.'' Ojcowie chicagoscy powinni byli zrzucić maskę zakonności i otwarcie wystąpić jako księża świeccy. Ale nie głupi byli to uczynić, bo pod firmą Zgromadzenia interes zwłaszcza bankowy zawsze im lepiej szedł, pod firmą Zgromadzenia znani byli i ludowi i Arcybiskupowi, zresztą pod inną firmą jak Zgromadzenie ani lud ani Arcybiskup w Chicago znaćby ich nie chciał. O tę firmę, o tę nazwę Zmartwychwstańca, chodziło ojcom chicagoskim zawsze i wyłącznie. Generałowi zaś chodziło o to, żeby tej nazwie odpowiadało życie, sposób prowadzenia i gospodarzenia się w Chicago, żeby to zaszczytne skądinąd imię Zmartwychwstańca przez dalsze nadużywanie go w Ameryce nie poszło jeszcze bardziej w poniewierkę. Źródłem nieporządków było rozproszenie sił ojców, za którem szło rozproszenie i ducha i grosza; żeby to źródło zatkać, trzeba było utrudnić ojcom przyjmowanie nowych parafii, i w tym celu w nowej Regule postawiono ów paragraf, że: „do założenia nowej missyi potrzeba przynajmniej dwóch ojców i 1 braciszka''. Atoli ten właśnie paragraf napotkał na zacięty opór ojców, któ-

rzy i nadal chcieli uprawiać zgubną politykę expansywną i przyjmować nowe parafie, chcieli, by do objęcia nowej parafii wystarczył 1 ojciec z 1 braciszkiem albo nawet — w braku tego — z gospodynią. Na to Generał oczywiście żadną miarą przystać nie mógł bez narażenia ojców nie tylko na zupełne zeświecczenie ale i rozprzężenie tak moralne jak i materyalne. Twierdzenie zaś O. Kasp., że wskutek nowej Reguły trzeba będzie niektóre parafie opuścić, było właśnie wodą na młyn reformy: chodziło przecież, nie o rozprzestrzenienie, lecz o ścieśnienie ojcom pola pracy, na którem dotychczas i tak szczupłe siły ich zbyt były rozstrzelone. Tylko rozwojem na wewnątrz, a nie na zewnątrz, można było zachwianą finansowo missyę chicagoską wzmocnić. Ale jeżeli ów paragraf, domagający się przynajmniej 2 ojców i 1 braciszka przy każdej parafii, wydawał się zbyt ostrym i radykalnym, to cóż dopiero za rwetes powstał między ojcami chicagoskimi, gdy się dowiedzieli, że samaż Stolica św., kiedy jej nową Regułę przedłożono do zatwierdzenia, jeszcze bardziej obostrzyła odnośny paragraf, żądając nie już 2 tylko, jak O. Generał chciał, ale najmniej 6, wyraźnie **sześciu** ojców i 1 braciszka przy każdej parafii! „Musi być najmniej **sześciu** Braci Kapłanów i jeden Brat laik” (zobacz rozdz. VI. nr. 183. Konstytucyi po- i zatwierdzonej Dekretem Jego Świątobliwości Leona XIII. na posłuchaniu mianem



Ks. Jan Kasprzycki, C. R.
Od r. 1905 Generał OO. Zmartwychwstańców.

przez Kardynała Prefekta Propagandy Gotti-'ego 17. lutego 1902. Dekret ogłoszony 5. marca 1902.) Na taką radykalną zmianę Reguły ojcowie nie byli przygotowani. Mocą tego dekretu Stolicy św. ojcowie, nie mając dosyć sił liczebnych, obowiązani byli opuścić nie tylko małe Cragin i Avondale, ale i Jadwigowo i Kantowo i Maryanowo, a ograniczyć się na samem Stanisławowie! Posłuszeństwo ojców, już nie Generałowi ale samejże Stolicy św., było na największą próbę wystawione. Czy się poddali wyrokowi Stolicy św.? Nie, lecz wnieśli apelacyę a Papa male informato ad Papam melius informandum. Papież źle był przez Generała poinformowany, ojcowie mieli Go lepiej poinformować. Wyrok ten Stolicy św. nie tylko uniemożliwił ojcom zakładanie nowych parafii, ale i założone już przez nich parafie kazał oddać komu? jeśli nie księżom świeckim! Jeśli utrata parafijki w Cragin, jak widzieliśmy, wydawała się ojcom zbyt bolesną operacyą, to co za szkoda była oddać „na łup świeckim księżom'' tyle innych wielkich parafii! Takiej operacyi ojcowie chicagoscy na żaden sposób poddać się nie mogli, bo by jej przeboleć nie mogli. Nie dziwimy się ojcom, że nawet dekretowi Stolicy św. się oparli, bo oni zawsze z tego założenia (fałszywego) wychodzili, że oni to w pierwszym rzędzie powołani są do rządzenia parafiami a innych księży czy świeckich czy zakonnych wypierali skąd tylko mogli. Przyszła Nemezys

dziejowa: sama Stolica św. dekretem z 5. marca 1902. nie tylko zagrodziła ojcom drogę do łatwego zajmowania nowych parafii, ale i z już zajętych ich wypierała. Że operacya taka, obcinająca że się tak wyrazimy rogi ojcom chicagoskim, wyszłaby im na zdrowie i potrzebna była do zbawienia całej ich Missyi Chicagoskiej, to sami już ojcowie w zasadzie byli przyznali, pisał bowiem proboszcz parafii św. Stanisława K. 31. sierpnia 1899.: „Na Radzie prowincyonalnej uradziliśmy, aby **wszystkie poboczne missye** znieść, gdyż nie mamy do tego dosyć sił'' — ale gdy teraz cyrulik, O. Generał, stanął przed nimi z ostrym scyzorykiem nowej Reguły, zaostrzonym jeszcze przez samąż Stolicę św., by tej zbawiennej operacyi dokonać, ojcowie przelękli się i nie chcieli się poddać operacyi jedynie z obawy przed bólem i —wstydem, wołając jak dzieci na widok lancetu operacyjnego, że Generał chce ich zarżnąć, że czyha na zagładę ich i missyi chicagoskiej, gdy tymczasem Generał miał jedynie ich zdrowie i zbawienie missyi chicagoskiej na myśli. Ojcowie też nie powinni byli się dziwić temu, że Stolica św. tak radykalną ustanowiła zmianę w ich Konstytucyi, domagając się nie już 2 ale „6 Braci Kapłanów i 1 Brata laika'' przy każdej parafii zarządzanej przez ojców. Prawda, że Stolica św. owym dekretem uniemożliwiła prawie ojcom przyjmowanie nowych parafii, gdyż bardzo mało jest takich parafii, przy których

mogłoby się utrzymać aż 6 ojców i 1 braciszek. Ale to właśnie od dawien dawna ustawodawstwo kościelne miało na celu. Kościół po wszystkie czasy trzymał się tej zasady, że nie zakonne lecz świeckie duchowieństwo powołane jest w pierwszym rzędzie do prowadzenia parafii, a zakony czynne mają jeszcze i tak zbyt obszerne pole działalności w prowadzeniu szkół, kolegiów, pism naukowych i religjnych, w dawaniu missyi ludowych i td itd. Ojcowie zaś ten starodawny, wiekami uświęcony porządek rzeczy chcieli wywrócić do góry nogami i wołali butnie: „Biskupi przyjdą do przekonania, że zakonnicy są sto razy lepsi od świeckich księży. Zgromadzenie nasze będzie wzorem, przykładem dla duchowieństwa" (z listu 14. maja 1896.). Jakim byli przykładem, zachęcającym czy odstraszającym, widzieliśmy. Na każdem innem polu mogli byli być wzorem dla duchowieństwa świeckiego, tylko nie na polu prowadzenia parafii i świeckich zwłaszcza bankowych interesów, bo do tego nie byli w pierwszym rzędzie powołani i dlatego nie mogli mieć specyalnego daru od P. Boga. W kościele Bożym „są różności posług i różności spraw." (1. Kor. 12, 5.) W prowadzeniu parafii tylko wtedy mogli byli być wzorem, kiedy pracę duszpasterską umieli połączyć z życiem wspólnem, zakonnem. Ale kiedy na wzór świeckich proboszczów prowadzili życie samotne a wspólne tylko z 1 laikiem lub z 1 gospodynią, zbierali

pieniądze dla siebie i dla krewnych, a przytem zawsze jednak chcieli nosić zaszczytną nazwę zakonnika: to było w tej połowiczności, w tej świecko-zakonności, w tem „chcieć czem być a nazywać się Zmartwychwstańcem" coś tak nienaturalnego, szpetnego i potwornego, że mimowoli każdego napełniało wstrętem i obrzydzeniem. I nic dziwnego, że duchowieństwo świeckie odwracało się od takich Zmartwychwstańców, albo jeśli żyło z nimi, to w stosunkach bardzo niewyraźnych, bo nie wiedziało z kim właściwie ma do czynienia czy z zakonnikiem czy z świeckimi. I nic dziwnego, że taka chwiejność i połowiczność groziła ciągle bankructwem to materyalnem to moralnem: nie będąc całym sobą świeckimi, ojcowie byli niezdolni do prowadzenia świeckich interesów parafialnych i bankrutowali materyalnie; nie będąc zaś całym sobą zakonnymi, ojcowie byli niezdolni do prowadzenia życia klasztornego i bankrutowali moralnie. Gdyby byli albo jednem albo drugiem, albo świeckimi albo zakonnymi, nie byliby byli zagrożeni ani bankructwem ani zerwaniem stosunków z resztą duchowieństwa i władzą najwyższą w Rzymie. Ogół polskiego duchowieństwa świeckiego w Ameryce nigdy nie żywił nienawiści ku Zmartwychwstańcom żyjącym podług reguły zatwierdzonej przez Stolicę św., ale nienawidził zawsze tych Ojców, których normą życia była ta

wstrętna zasada: „Być czem chcieć a nazywać się Zmartwychwstańcem!”

Na tem kończymy tę „ciekawą o Chicago historyę”, historyę długą bo o największej w świecie parafii, której wielkością ojcowie chicagoscy tak byli olśnieni, że z wysokości Stanisławowa — jak niegdyś bogowie z góry Olimpu — prawie z pogardą spoglądali na resztę śmiertelników duchownych i świeckich, chcąc im przodować i panować wszechwładnie. Atoli wszelka wielkość czy w dziedzinie łaski czy natury, oparta na pysze, prędzej czy później grozi ruiną. Na tem kończymy historyę ojców na Stanisławowie chicagoskim, ale na tem nie kończy się ich historya. Wszelako ciąg dalszy, jeszcze ciekawszy i — spodziewamy się — bardziej budujący, pozostawiamy następnemu historykowi, żeby i on miał coś do szperania i pisania. Ale oto jeszcze życiorysy kilku ojców ze Stanisławowa:

Ks. Jan Kasprzycki, C. R., urodzony 14go marca 1858. r. w wiosce Rozentalu przy Lubawie w Prusach Zachodnich, nauki pobierał w Nowem mieście i Chełmnie, 26. września 1879 udał się do Rzymu, gdzie wstąpił do zakonu OO. Zmartwychwstańców. 11-go października 1879. otrzymał bierzmowanie z rąk arcybiskupa Lenti, a w roku 1886. ten sam arcybiskup go wyświęcił. Prymicye odprawił na grobie św. Stanisława Kostki. Od 15. listopada 1886. do 7. sierpnia 1887. przebywał w Krakowie i we Lwo-

wie, poczem powrócił do Rzymu, gdzie 25 października 1888. mianowany został socyuszem w nowicyacie rzymskim, a 21. listopada tegoż roku promagistrem nowicyatu i prokuratorem domu OO. Zmartwychwstańców w Krakowie. W roku 1890. powołano go do Chicago i tu 24. listopada 1893. został proboszczem nowozorganizowanej parafii św. Jana Kantego, w której przez 6 lat panował. W roku 1895. ks. generał Smolikowski mianował go podprzełożonym ks. Barzyńskiego, a po śmierci tegoż roku 1899. prowincyałem i proboszczem parafii św. Stanisława Kostki. Ks. Jan Kasprzycki jest bardzo poważny, przytem łagodny, uczynny i dobrotliwy. W maju roku 1905. obrano go Generałem Zgromadzenia Zm. P. —

Ks. Andrzej Spetz, C. R., urodzony w Kanadzie blisko Berlina w roku 1858. ukończył kolegium św. Hieronima w Berlinie w roku 1876. Do Zmartwychwstańców wstąpił 1878. roku w Rzymie. Od pielgrzymów (Słowian), którzy w roku 1881. gromadnie odbywali pielgrzymkę do Rzymu na cześć ŚŚ. Cyryla i Metodego, dowiedział się, że w missyi bułgarskiej jest wielki brak kapłanów. Postanowił wtedy w Bułgaryi pracować. Życzeniom jego stało się zadość, gdyż po wyświęceniu, 4. maja 1884., r. został przeznaczony do missyi bułgarskiej. Tam od roku 1886. do 1889. był prokuratorem a r. 1889. został powołany do Rzymu na wicerektora Polskiego kolegium, gdzie go piszący tę

książkę poznał pierwszy raz jako człowieka, w którym rozum niemiecki i serce iście polskie, jako mąż z żoną przyjaźnie ze sobą żyją. W r. 1893. został wysłany do koll. św. Maryi w Kentucky, gdzie był profesorem aż do roku 1896. Od czerwca roku 1896. w parafii św. Stanisława K. sprawuje urząd prokuratora a także udziela lekcyi w kollegium św. Stanisława. Ks. Spetz jest to nie niemy Niemiec, bo mówi dobrze po polsku, nadto po angielsku, niemiecku, francusku, włosku, bułgarsku i turecku.

Ks. Jan Obyrtacz, C. R., urodzony r. 1873. w Koniówce w Galicyi, studyował w Nowym Targu i N. Sączu, w Krakowie, Lwowie i w Rzymie. Do Ameryki przybył jako dyakon roku 1895., wyświęcony w Chicago 8. grudnia tegoż roku. Pracował także przy kościele św. Jadwigi.

Ks. Józef Ziemba C. R., również w Koniówce urodzony roku 1872., studyował w Nowym Sączu, wstąpił do Zgromadzenia Zmartwychwstańców r. 1889, był we Lwowie, w Bułgaryi, wyświęcony w Rzymie 1896., studyował w Nowym Sączu, wstąpił do Zgromadzenia roku 1889, wyświęcony w Rzymie 1895, był we Lwowie 2 lata, do Ameryki przybył roku 1897.

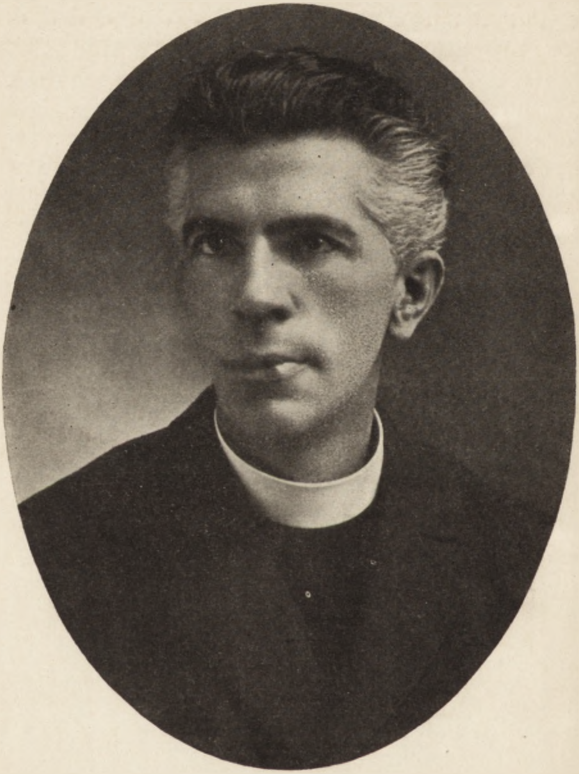
Ks. Władysław Zapała, C. R., urodzony r. 1874. w Łapanowie, w Galicyi, studyował w Nowym Sączu,, wstąpił do Zgromadzenia roku 1890., studyował we Lwowie i w Rzymie, gdzie wyświęcony roku 1897. pracował w Krakowie

przy Nowicyacie, a 2. grudnia roku 1900. stanął na ziemi amerykańskiej.

Ks. Stanisław Siatka, C. R., redaktor „Sieroty” urodzony roku 1870. w Czechówce, powiat Wieliczka, w Galicyi, studyował w Krakowie, wstąpił do Zgromadzenia r. 1889. studyował w Rzymie, gdzie go wyświęcono roku 1896. i przeznaczono na wicerektora kolegium polskiego w Rzymie. W roku 1898. przybył do Ameryki.

Ks. Feliks Ładoń, C. R., urodzony w Królestwie Polskiem roku 1870., wstąpił do Zgromadzenia roku 1890., nowicyat odbył w Krakowie, potem studyował we Lwowie, następnie w Bułgaryi wykładał wyższą matematykę i astronomię; autor książek jubileuszowych i katechizmów; po bułgarsku wydał Wyższą Matematykę i Trygonometryę; potem roku 1895. przybył do Rzymu, gdzie wyświęcony r. 1896., na nowo wrócił do Bułgaryi, aż r. 1900. przybył do Ameryki.

Notabene: Niezwykłe imprimatur udzielił J. E. Arcybiskup S. G. Messmer temu tomowi. Brzmi ono tak: „**The Imprimatur of Vol. IX. is hereby GLADLY given.**”



Ks. Władysław Mścisz, proboszcz parafii św. Wojciecha w South Milwaukee, Wis.

HISTORYA POLSKA
W AMERYCE.

Początek, wzrost i rozwój dziejowy osad polskich w Północnej Ameryce (w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.)

Wszechstronnie opisał

X. WACŁAW KRUSZKA,

Autor dzieł: „Rzym", „Hymny Wielkopostne", „Neapol, Wezuwiusz i Pompeji", „O Piękności", „The Unbeliever", „Anarchizm" i t. d., i t. d.

Wydanie poprawione i illustrowane.

TOM X.

MILWAUKEE, WIS.
Drukiem Spółki Wydawniczej Kuryera.
1907.

NIHIL OBSTAT.

Green Bay, Wis., 12 Febr., 1907.

[Rev.] Ant. Wiśniewski, O. F. M.,
Censor.

IMPRIMATUR

† Seb. G. Messmer,
Archiepiscopus Milwaukiensis.

A.) POLACY W ARCHIDYECEZYI CHICAGOSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

2. PARAFIA ŚW. TRÓJCY W CHICAGO, ILL.

540 Noble Street.

(Założona roku 1872.)

„Zapału trzeba, żeby pierwsze łamać lody;
Wytrwałości by wszystkie zwyciężać przeszkody."

Mówią, że Polakom nie brak zapału, ale wytrwałości im brak. To nieprawda. Kłam temu zadali parafianie św. Trójcy w Chicago, wszyscy Polacy, u których nie wiedzieć co więcej podziwiać, czy zapał dla sprawy słusznej, czy też wytrwałość. Przez 20 lat, od r. 1873 aż do r. 1893, ta parafia borykała się ze stokroć potężniejszym od siebie przeciwnikiem, a w tej długiej i uciążliwej walce nie uległa, nie zboczyła od drogi zbawienia, i dla tego doczekała się dni tryumfu i zwycięstwa. Podczas gdy niektóre inne parafie polskie w Ameryce za lada pokusą i przeciwnością uległy haniebnie podszeptom złego ducha i zeszły na manowce błędu i niezależności: to ta parafia św. Trójcy, pomimo, iż w nią biły niesłychane przeciwności, burze i zawieje, zawsze jednak stale i wytrwale trzymała się niewzruszonej opoki Piotrowej, Kościoła św. „Droga niepobożnych zginie" (Psalm 1, 6,), lecz

„Wielka myśl, to nasienie dębu siane w wiośnie,
Z którego, choć nie prędko, wielki dąb wyrośnie.”

Parafia św. Trójcy już w samem założeniu swojem, w samym zawiązku, musiała być, nie słabem i wątłem nasieniem, lecz prawdziwem „nasieniem dębu”. Jeszcze w powijakach będąc, jeszcze w kolebce leżąc (r. 1873), parafia ta musiała posiadać już siłę iście herkulesową, skoro, równie jak Herkules, w kolebce dusiła już węże, czyhające na jej życie. Powołano ją do życia r. 1872 i już w następnym roku nastawano na jej życie, lecz ona nie dała się uśmiercić.

Latem r. 1872 zasiano to „nasienie dębu”. A działa się ta siejba w następujący sposób.

Pierwotny kościół św. Stanisława nie był obszerny, to też w krótkim czasie dla licznie tu gromadzących się Polaków stał się za małym. Jakoż tedy latem r. 1872 zwołano walne zgromadzenie parafian w celu naradzenia się nad tem: co czynić należy, aby lud polski nie pozostawić bez kościoła. Dwa na owym mityngu przedstawione były projekta przez dwa wówczas istniejące tu stronnictwa. Z jednej strony było Towarzystwo św. Stanisława Kostki, starsze i liczniejsze, ze starszych i zamożniejszych emigrantów złożone (Sherman, Niemczewski, Kiołbassa, Arkuszewski, Piotr Kurr); z drugiej strony zasiadało Tow. św. Józefa, młodsze i mniej liczne, składające się z późniejszych emigrantów, pomiędzy którymi byli Floryan Jankowski, Józef Grajczyk, Antoni Małłek, Max, Jan i Szymon Wojtalewicze, Stanisław i Andrzej Budzbanowscy, Jan Kasprowicz,

Jan Marach i Józef Dudzik. W tych ostatnich właśnie tkwiło owo „nasienie dębu”, z którego, choć nie prędko, miał wyrość wielki dąb parafii św. Trójcy. Dęby pomału rosną. Ale wtedy jeszcze r. 1872, kiedy się zebrano na ów mityng, owo nasienie nie kiełkowało. Bo Towarzystwo św. Józefa nie myślało jeszcze o utworzeniu odrębnej parafii, owszem na owym mityngu, podało od siebie ten projekt, żeby istniejący kościołek św. Stanisława powiększyć, na co też i ks. Bakanowski, ówczesny proboszcz, przystawał. Atoli stronnictwo właśnie Towarzystwa św. Stanisława Kostki było temu przeciwne, podając od siebie projekt do budowy nowego kościoła. Tegoż stronnictwa przedstawiciele dowodzili tak: „Kościół św. Stanisława dla nas, którzyśmy go zbudowali, jest dosyć duży... Przytem, dopiero cośmy go wykończyli i mamyż go znowu rozrywać, rujnować, burzyć?... Lepiej niech Tow. św. Józefa pobuduje sobie nowy kościół. Budujcie, bracia! my wam dopomożemy, boście wy nam dopomogli!” Na ten projekt Towarzystwo św. Józefa ostatecznie się zgodziło. I wtedy to dopiero, pod zagrzewającym wpływem Tow. św. Stanisława, owo „nasienie dębu” tkwiące w Towarzystwie św. Józefa wzruszyło się i zakiełkowało.

Początkowe dzieje tej parafii, od r. 1872—1874.

Budowa nowego kościoła zapowiadała się początkowo dobrze. Najprzód bowiem ks. Bakanowski nie robił żadnej opozycyi, owszem dał do zrozumienia, że on sam wolałby przy nowym kościele, z ludźmi młodymi i skłonnymi do posłuszeństwa, spokojnie Boga chwalić, aniżeli przy starym walczyć z wytrawnymi burzycielami. Towarzystwo św. Józefa, też nie zwle-

kając, urządziło u siebie składkę i zakupiło 5 lotów pod nowy kościół, od Shelton i Bow Co, za $10,000, z których gotówką zaraz wypłacono $1,000 a resztę przyrzeczono spłacić ratami, po $1,000 rocznie. Tytuł własności („deed") od tych lotów został wypisany na imię Tow. św. Józefa. Załatwiwszy sprawę finansową, Towarzystwo następnie wydelegowało do Biskupa Foley poselstwo z prośbą, podpisaną przez wielu obywateli, o pozwolenie na budowę nowego polskiego kościoła. Pozwolenia biskup udzielił z łatwością, przyczem wyraził swoją radość z powodu, iż Polacy i na obczyźnie nie zapominają o Bogu ojców swoich i że się dzielnie biorą do dzieła na chwałę Jego.

Nowa ta parafia już się była poczęła w łonie Towarzystwa św. Józefa za sprawą, jak widzieliśmy, ojców nie innych jak Towarzystwa św. Stanisława K. I tak daleko wszystko szło pomyślnie. Ale teraz zdaje się po głębszym namyśle u Stanisława powstała reakcya i ta świadomość, że przecież głupstwo zrobili, zezwalając na poczęcie nowej parafii. Lecz co się raz stało, to się odstać nie mogło. Stało się, że nowa parafia była w poczęciu, i to za ich sprawą; więc była już, żyła już, acz w zarodku dopiero; zatem miała już prawo do bytu, prawo życia takie same jak jej macierz (parafia św. Stanisława) z której się poczęła. Więc nie można jej było już bezkarnie ze świata zgładzać, a wszelkie w tym względzie usiłowania równały się zbrodni usiłowanego dzieciobójstwa. Ale o tych elementarnych zasadach moralnych na Stanisławowie czy nie wiedziano, czy wiedzieć nie chciano. Wiedziano tylko, że się głupstwo zrobiło i to głupstwo chciano teraz we wszelki godziwy i niegodziwy sposób zatuszować. Lecz dzieciak żył i rósł, jakby na złość...

Zaczęła się wrzawa i hałas ogromny z chwilą, gdy rozpoczęto zwozić materyał budulcowy i czynić bliskie przygotowania do budowy. Wtedy to dopiero genialnie zauważono, że proponowany kościół ma stanąć za blisko kościoła św. Stanisława K., że tak bliskie sąsiedztwo ujemnie wpłynąć może na rozwój istniejącej już parafii. Z tego niby względu wystąpiono z hasłem: „Nie dawać nic na nowy kościół polski!" za którem to hasłem poszli szczególnie członkowie Towarzystwa św. Stanisława K. Kłócono się z nimi o to, wyzywano się wzajemnie, a na pewnym mityngu parafialnym przyszło nawet do niemiłego starcia między prezesem Tow. św. Józefa a prezesem Tow. św. Stanisława K. Tak więc rodziciele i projektodawcy nowego kościoła, którzy przedtem pomoc przyrzekali, stali się teraz największymi jego wrogami. Pomimo to wszystko, Tow. św. Józefa czyli parafia św. Trójcy in nucleo—pozostało przy swem przedsięwzięciu niezachwianie. Żyło, a nie dało się uśmiercić. Owszem postarało się przeszkody czynione ze strony zarządu parafii św. Stanisława K. usunąć. W tym celu wysłało do Biskupa poselstwo z zażaleniem. Wkrótce potem zjechał Biskup Foley na plebanię św. Stanisława K. a wezwawszy do siebie księży Bakanowskiego i Wołowskiego, wyraził im swoje niezadowolenie z powodu zajść awanturniczych w parafii i przykazał, aby budowie nowego kościoła żadnych przeszkód nie robili. Przyczem miał mówić: „Nie mogę pozwolić na to, aby w mojej dyecezyi przeszło 500 katolików Polaków było bez kościoła." To poskutkowało na jakiś czas. Zaprzestano wyzywać członków Tow św Józefa; nie zabraniano im już więc zbierać kolekty na nowy kościół; owszem ks. Wołowski sam zajął się jej zbieraniem.

Na wiosnę r. 1873, rączo i ochoczo wzięto się na seryo do budowy. Kontraktów żadnych na robotę nie wydawano. Członkowie Tow. św. Józefa sami budowali jak umieli. Biskup zapytał ich o tytuł, jaki ma kościół przybrać Odpowiedziano, że św. Józefa. Biskup na to: „Moje drogie dzieci, jestem temu przeciwny, gdyż w tutejszem mieście już jest jeden kościół katolicki pod tem wezwaniem.” Wtedy zaproponowano tytuł św. Trójcy z powodu, że nowe wówczas powstające Towarzystwo, które dzielnie popierało sprawę nowego kościoła, właśnie tę nazwę było sobie przybrało. Na tę propozycyę Biskup się zgodził; odtąd to drugi kościół polski w Chicago znany jest pod wezwaniem św. Trójcy.

Atoli ta zmiana nazwy nastąpiła, nie za ks. Bakanowskiego ani Wołłowskiego, lecz kiedyś później za rządów ks. Źwiardowskiego (od 15. września r. 1873 aż do lipca 1874.)—gdyż jeszcze 8. września r. 1873 w liście do Generała Semeneńki, trustysi parafialni nazywają nową parafię „parafią św. Józefa”, pisząc: „Lud bardzo jest zadowolony z ks. Wołłowskiego, bo on tylko stara się, aby jak najlepiej Polaków w Chicago postawić, nawet teraz właśnie budują kościół polsko-katolicki pod tytułem **parafia św. Józefa.** On chodzi, kolektuje, dopomaga...”

Budowie nowego kościoła nie sprzeciwiał się ani ks. Źwiardowski, który po ks. Wołłowskim 15. września r. 1873 objął rządy nad obydwoma kościołami. Drugi kościół był niezbędny. „Mamy codzień kilka pogrzebów—pisał O. Karol Lanz C. R., jeszcze 21. lipca, 1873—zeszłej niedzieli śpiewałem dwie sumy i O. Rafael w bezmencie także dwie, a jednak i tu i tam wszystko było przepełnione.”

Pod jesień tegoż roku 1873 kościół św. Trójcy był już na wykończeniu. Zaczęto radzić o jego uroczystem poświęceniu i otwarciu. Na tę uroczystość wybrano już stosowny dzień, mianowicie pierwszą niedzielę listopada, zaproszono Biskupa, sproszono wiele Towarzystw z parafii sąsiednich. Wszystko zapowiadało się dobrze. Andrzej Kurr, ówczesny „król kaszubów” w Chicago i prezydent komitetu do sproszenia gości, cieszył się z tego i ręce zacierał z radości. Aż tu—jak piorun z jasnego nieba—naraz niespodzianie ks. Źwiardowski, proboszcz parafii św. Stanisława K., ogłasza w imieniu Biskupa, że dla pewnych powodów uroczyste poświęcenie nowego kościoła w tym roku nie odbędzie się, że należy odłożyć je do przyszłej wiosny. To narobiło dużo nieprzyjemności fundatorom nowego kościoła: musieli oni odwołać swoje zaproszenia... No, ale trudna była rada—zgodzili się i na to. Prywatnie kościół już na początku lata r. 1873 został poświęcony i otwarty do użytku ogółu. Pierwsza Msza św. została w nim odprawiona przez ks. Źwiardowskiego w sam dzień Zielonych Świątek. Uroczyście kościół św. Trójcy nigdy nie był poświęcony. Dodać należy, że zanim rozpoczęto staranie o uroczyste poświęcenie, towarzystwo św. Józefa przepisało na Biskupa budynek kościelny i trzy loty, na których on się znajdował; 2 pozostałe loty zatrzymało dla siebie. Te loty w razie potrzeby postanowiono sprzedać a dochód z nich obrócić na korzyść kościoła.

Dlaczego biskup zapowiedziane już uroczyste poświęcenie kościoła odłożył na później? Przecie jeszcze 12. października r. 1873 sam ks. Źwiardowski pisze: „muszę także i na nowy kościół kolektować,

który ma być w **pierwszą Niedzielę Novembra** poświęcony"... Następny wszelako dzień 13 października był owym fatalnym dniem, w którym postanowiono odłożyć poświęcenie—bo nazajutrz dnia 14. października pisze O. Karol Lanz: „Muszę tymczasem jeszcze tu pozostać, dla tego że nowy kościół już jest ukończony a my z O. Felixem co niedzielę w obydwóch nabożeństwo odprawiać musimy. W nowym kościele daleko więcej ludzi się zmieści niż w starym. Dzisiaj O. Felix poświęcił pierwszy dzwon w nowym kościele. **Kościół sam będzie dopiero na wiosnę poświęcony**.. Wczoraj parafianie byli z O. Felixem u biskupa, aby mu tytuł własności oddać. Ludzie w obydwóch kościołach pomieścić się nie mogą; możesz więc Ojciec sobie przedstawić, ile ludu w jednym kościele być musiało..." Przyczyny, dla której kościoła św. Trójcy na razie poświęcić nie chciano, każdy się domyśli z następujących słów, pisanych przez ks. Źwiardowskiego 23. października r 1873 do Generała: „Oto teraz faryzejskie kruczki i haczyki i podłość O. Jana (Wołłowskiego) coraz to więcej i widoczniej na wierzch wychodzą; a co gorsza, że tych wszystkich interesów jest sprzysiężonym exekutorem O. Karol Lanz. Dalibóg nigdym się tego nie spodziewał. Oto wprost ks. Karol zrobił uroczyste przyrzeczenie osobom—całego naszego Zgromadzenia wrogóm—**że zostanie Proboszczem nowobudującego się opozycyjnego Kościoła** (rozumie się ze wspólnem naradzeniem się z O. Janem) i że Zmartwychwstańcom podziękuje, a już pierwsze kroki tyralierki rozpoczął: bo list do O. Prowincyała (Funken) z groźbą wysłał, a gdy z tego powodu O. Prowincyał tu przyjechał, to w uporze stał i był nieugięty..."

Ks. Żwiardowski nie chciał panowaniem się dzielić z O. Lanzem, lecz chciał niepodzielnie panować sam jako proboszcz, chciał żeby nowy kościół św. Trójcy był litylko filią czyli córką macierzyńskiego kościoła św. Stanisława. O Lanz zaś utrzymywał, że córka przerosła matkę i powinna mieć swego własnego męża, względnie proboszcza. Prowincyał Funken, chcąc załagodzić spór, po zbadaniu rzeczy orzekł, że stosunek kościoła św. Stanisława do kościoła św. Trójcy należy uważać, nie za stosunek matki do córki, lecz za stosunek starszej do młodszej siostry. I mniemając, że w ten sposób zaprowadził spokój, pisał 14. listopada r. 1873 do Generała (który już wtedy z powodu zatargu z Trójcowem chciał wycofać ojców z Chicago): „Z tutejszym ludem dobrze idzie. Obydwa kościoły traktowane są, nie jako kościół macierzysty i filialny, lecz **jako siostry**, i tak jest spokój. Panuje bardzo dobry duch w parafii. Tylko proszę Cię, nie pozwól ani ks. Bakanowskiemu ani ks. Wołłowskiemu pisać do tutejszych familii. Ks. Bakanowski pisał niedawno do jednej familii tutejszej, że na przyszły rok przyjedzie znowu do Chicago..." A o księżach świeckich niech Generał nie myśli—pisze O. Funken 30. grudnia r. 1873: „Ponawiam moją prośbę, żeby do Chicago przysłać O. Michała (Brzezińskiego C. R.) albo innego. Nie radziłbym przysłać księdza świeckiego;... nadto Biskup nie chce mieć przy nowym kościele żadnego księdza, który do nas nie należy, gdyż toby spowodowało zamieszanie. Obydwa kościoły mają stanowić **jedną parafię**, a Ojcowie mogą razem mieszkać przy jednym albo drugim kościele, gdyż oba te kościoły tylko o dobry rzut kamienia są od siebie oddalone O. Lanz jest chorowity."

Siostrzany stosunek, zaprowadzony między obydwoma kościołami, przez prowincyała Funkena, był i z natury rzeczy musiał być w dalszym ciągu powodem nieporozumień i wzajemnych podejrzywań. Znany dobrze w prawie kościelnem stosunek macierzystego kościoła do filialnego, byłby był zrozumiałym, prostym i naturalnym stosunkiem: wtedyby kościół św. Stanisława do kościoła św. Trójcy stał był w stosunku do córki, a proboszcz kościoła św. Stanisława w stosunku ojca do córki i jako ojciec byłby był słusznie rościł sobie prawo władzy ojcowskiej nad kościołem św. Trójcy jako nad córką czyli filią swoją, a córka—choć już jako dorosła chciała wyjść za mąż—bądź co bądź byłaby musiała nad sobą uznawać władzę ojcowską proboszcza kościoła św. Stanisława. Ale prowincyał Funken orzekł, że obydwa kościoły traktowane być mają, nie jako kościół macierzysty i filialny, lecz jako siostry: przez to odrazu kościół św. Trójcy wszedł w stosunek do proboszcza kościoła św. Stanisława niewyraźny i mocno podejrzany, w stosunek zakazany i nieprzyzwoity. Bo jakąż władzę mąż starszej siostry może mieć nad młodszą siostrą? czyż godziło mu się „mieszkać przy jednej albo drugiej", jak to chciał O. Funken? I czyż wypadało młodszej siostrze uznawać nad sobą władzę męża swej starszej siostry? oddawać mu swoją rękę i swój posag, to jest swoją kasę kościelną? Zaiste, że nie. Wypadało jej raczej szukać własnego proboszcza—a dopóki tego nie dostała, miała przy sobie dzielnych opiekunów, którzy jej czci i posagu bronili przed napaścią męża starszej siostry. Tymi opiekunami kościoła św. Trójcy byli podówczas: Max Wojtalewicz, Piotr Małkowski, Andrzej i Stanisław

Budzbanowski, Jan Szczech, Józef Zalewski, Marcin Smętek, Józef Grajczyk, Jan Niedźwiedzki, Józef Klatecki, Piotr Słupikowski i Jan Marach. Pod ich to opieką młodsza siostra, parafia św. Trójcy, czuła się bezpieczną; i niebawem tak pięknie się rozwinęła, tak wzrosła, rozkwitła i wykraśniała, że blaskiem swych wdzięków przyćmiła starszą siostrę, parafię św. Stanisława. Posiadała też znaczny posag, więc konkurentów miała licznych.

Między tymi, jak widzieliśmy, byli najpierw księża Wołłowski i Lanz, a teraz i ks. Wieczorek, C. R., który w grudniu r. 1873 z Michiganu przybył do Chicago. Ale wszystkich jej konkurentów ścigał nieubłagany gniew ks. Źwiardowskiego, proboszcza starszej siostry. Widząc, że i ks. Wieczorek coś nadto umizga się do „młodszej siostry", ks. Źwiardowski powołuje znowu O. Lanza do Chicago, sądząc, że gdy dwóch razem w konkury pójdzie, niebezpieczeństwo się zmniejszy. Pisze tedy 15. lutego r. 1874 do prowincyała Funkena: „Jestem chory... a nadto jeszcze w nowym kościele (św. Trójcy) wiele rzeczy jest w nieporządku, gdyż ks. Wieczorek wszystko podług swej woli urządza, prawie odrębną parafię założyć chce, coby się sprzeciwiało woli biskupa. A kiedy O. Lanz tu będzie, to obydwaj na przemiany nabożeństwo tam odprawiać będą... Nawet przy spowiedzi ks. Wieczorek bada penitentów, czy już coś dali na nowy kościół i muszą mu przyrzec że coś dadzą, wtedy ich spowiada; ale to formalny przymus; poniekąd przy każdej sposobności namawia parafian żeby **do nowego kościoła** chodzili... Skoro O. Lanz tu będzie, wszystko zaraz przyjdzie do porządku, gdyż on zna położenie rzeczy bardzo dobrze." O.

Lanz, przybywszy do pomocy, pisze 22. kwietnia r. 1874 do Rzymu: „My tu jednego dnia mamy tyle do roboty, ile wy wszyscy w Rzymie przez jeden miesiąc"; a ks. Żwiardowski 6. maja r. 1874 się skarży: „W ostatnią Niedzielę cztery kazania miałem, w Kościele Parafialnym na sumie i u św. Trójcy po sumie..." Nie dziw, że się rozchorował.

Nierząd O. Barzyńskiego, od r. 1874 do 1877.

A jednak tak on, jak i jego następca O. Winc Barzyński (od września r. 1874) o odrębnem istnieniu parafii św. Trójcy ani słyszeć nie chcieli. Koniecznie i do domu młodszej siostry zaglądać, do jej gospodarstwa się mieszać, opiekunami jej zwłaszcza posagu być chcieli. O ten posag, czyli kasę kościelną młodszej siostry, szło im najbardziej. Kasa też kościelna, jak podają drukowane „Dzieje Parafii św. Trójcy", stawała się powodem coraz większych nieporozumień. Była ona czasem u kasyera kościoła św. Trójcy a niekiedy u proboszcza kościoła św. Stanisława; bywało, że jedna część kasy, powstająca z kolekt zwyczajnych, znajdowała się u ks. proboszcza, a druga, powstająca z dzierżawy ławek, z ofiar nadzwyczajnych itd., znajdowała się u kasyera. Wyniki tego nieporządku były takie: najprzód, niewiadomem było, jak parafia stoi finansowo; potem wierzyciele parafii nie wiedzieli, od kogo właściwie mają żądać swych należności; nareszcie, obdarzono się wzajemnie nieufnością i kłócono się wciąż o kasę parafialną. Starano się to złe usunąć, ale daremnie. Wreszcie ks. Barzyński wpadł na genialny pomysł: żeby złe z parafii usunąć, znieść tę parafię, zamknąć kościół św. Trójcy! Zabić pacyenta! Gdy pacyent żyć nie

będzie, wtedy i chorować przestanie i leczyć go nie potrzeba. Tym zamiarom ochoczo przyklasnęła cała parafia św. Stanisława K., oraz wielu członków parafii św. Trójcy, którzy też na życzenie ks. Wincentego podpisali deklaracyę, że się zgadzają na zamknięcie kościoła św. Trójcy. Ci ludzie byli to atoli przeważnie nowi przybysze, którzy kościoła św. Trójcy nie fundowali; fundatorzy zaś jego prawdziwi, skoro się o powziętych zamiarach dowiedzieli, wszyscy prawie stanowczo przeciwko nim zaprotestowali, żądając przytem, aby parafia św. Trójcy miała swój odrębny, a od parafii św. Stanisława K. nie zawisły zarząd, i aby wszystkie kolekty i inne dochody parafialne były deponowane u kasyera parafialnego. To wyleczy złe. Na to wszystko jednak ks. Barzyński wcale nie zważał Przeprowadzając swój zamiar zlania obu parafii z żelazną konsekwencyą, postanowił najprzód kościół św. Trójcy, przerznąwszy go na wpół, przeprowadzić na Bradley ulicę i tam zamienić go na szkołę parafialną. Ten projekt atoli się nie udał, gdyż pozwolenie na przeniesienie budynku, z powodu protestu fundatorów jego, zostało w „City Hall" (w ratuszu) wstrzymane. Wtedy pomysłowy ks. Barzyński próbował w inny sposób cios śmiertelny zadać parafii św. Trójcy Mianowicie próbował zerwać umowę istniejącą między parafią św. Trójcy a kompanią Sheldon i Bow, od której zakupiono grunt pod kościół, a której właśnie w tym czasie, według warunków umowy należało wypłacić $1,000 kapitału, oraz $500 procentu. Kiedy kompania domagała się swego, wówczas oświadczył jej ks. Barzyński, że parafia św. Trójcy istnieć przestaje, że zrywa, acz ze stratą dla siebie, swoją umowę a kompania może robić,

co się jej podoba. Widząc, że w samej rzeczy zanosi się na zniesienie parafii, i że się na nic nie przyda czekać na spłacenie należytości, kompania wystawiła kościół i loty na publiczną sprzedaż. Sprzedaż ogłosiła w dziennikach, ale równocześnie wysłała do Andrzeja Kurr, prezydenta św. Józefa, list z zawiadomieniem, że jeżeli Towarzystwo sobie życzy, to wypełniając warunki umowy, które parafia św. Trójcy była zerwała, może ów kościół i loty na własność pozyskać. Propozycya była wyborna, warunki dogodne, to też przyjęto ofertę bez zwłoki. I znowu zamach na życie parafii św. Trójcy się nie udał. Ks. Barzyński tymczasem pracował nad daleko sięgającymi planami budowy ogromnego kościoła o dwóch piętrach, pod którego szeroko rozpostarte skrzydła opiekuńcze schronić się mieli i Trójczanie.

Parafia zaś św. Trójcy pchała dalej taczkę życia, jak mogła. Uzyskawszy prawo własności kościoła, Towarzystwo św. Józefa chciało następnie zaprowadzić w zarządzie parafialnym pożądane zmiany. Wzięto się jakoś najprzód do zreformowania kasy, tego korzenia złego. Na nic się atoli nie przydały dobre chęci, bo kiedy po nabożeństwie w niedzielę zapustną roku 1875 Józef Grajczyk wraz z innymi przedstawicielami Towarzystwa, zatrzymał kolektę w celu przelania jej do kasy parafialnej, wówczas to właśnie obrażona taką zuchwałością władza wyższa urzędownie kościół św. Trójcy zamknęła.

Władza zakonna w Rzymie w owym czasie czyniła była O. Wincentemu Barzyńskiemu poważne zarzuty i kazała mu się tłómaczyć z jego nieprawnego pobytu i postępowania w Chicago. O. Wincenty, przyparty do muru, nie wiedział, jak się wytłómaczyć

z tego, że wbrew woli Generała w Chicago pozostaje; pisze bowiem 15. marca r. 1875 do Rzymu: „Odebrawszy przedostatni list... odpisywałem przez dni parę na uczynione mi zarzuty ,ale niewidząc tej pewności, że odpowiedź moja piśmienna przekona Przewiel. Ojców. tak się znużyłem pisząc ów list, że napisawszy go położyłem mówiąc, nic to pisanie nie pomoże... i udałem się do pracy w szkole, w kościele, w domu, etc. Najwięcej jeszcze przyczyniło się do tego roztargnienie z powodu gościny ks. Śnigurskiego, który w jednym pokoju prawie ze mną mieszkał..." O. Wincenty chce koniecznie założyć dom zakonny w Chicago, pomimo, że Generał już kilkakrotnie rozkazał mu opuścić Chicago; więc pisze O. Wincenty w tymże liście: „Ma się rozumieć, że te powyższe życzenia (założenie domu zakonnego) mogą się dziwnie wydać **przy tyle razy objawionej woli** Zgromadzenia, że uważa za konieczne opuszczenie missyi Chicagoskiej... Posłuszeństwo moje... będzie jak tej która w chwili porodu umiera."

Generał Semeneńko postarał się o OO. Reformatów dla Chicago a O. Wincentemu kazał już niewiedzieć po raz który, opuścić Chicago, widząc, że do dawnych kłopotów przybył teraz jeszcze nowy kłopot z kościołem św. Trójcy. Na to jednak O. Wincenty odpowiada, że właśnie dla tego kłopotu z św. Trójcą musi pozostać w Chicago, rozumując 5. maja r. 1875 tak: „Biskup nie puści mię. Dlaczego? Bo oto przez małe czy wielkie niedbalstwo lub omyłkę O. Bakanowskiego a przez przewrotność (byłą) ks. J. Wołłowskiego został założony Nowy Kościół o kilka set kroków od św. Stanisława Kościoła Starego i jest źródłem najstraszniejszego zgorszenia między para-

fianami a nawet księżmi polskimi. Przeto J. W. Biskup ma za to pretensyę do Zgromadzenia taką, aby tę rzecz naprawić ,a więc pod tym warunkiem dał mi budować Szkołę, że oba te kłopoty biorę na swoją głowę do załatwienia a On nie będzie miał ztąd żadnego. Właśnie kiedy zaczynam goić tę strasznie delikatną ranę, Zgromadzenie mogłoby rozdraźnić ją w sposób najniebezpieczniejszy, gdyby się z Chicago wycofało..." Jak O. Wincenty „zaczął goić tę delikatną ranę", widzieliśmy: chciał zabić pacyenta, zniszczyć parafię św. Trójcy.

że już w tym roku 1875 zamknięto kościół św. Trójcy, świadczą o tem i „Dzieje Parafii św. Trójcy" i ks. Gierzyk w liście z Radomia, Ill., 12. listopada r. 1875 do Gen. Semeneńki: „Parafia w Chicago liczy około 20,000 (podług Gazety Kat.) i jakże taka ilość się może zmieścić w tej tylko kaplicy św. Stanisława? Lud pobudował drugi kościół i długo już tam nabożeństwo odprawiano, a teraz ks. Barzyński zamyka ten kościół i nie chce w nim nabożeństwa odprawiać. Parafia się nie ma rozdzielać, tak ks. Barzyński prawi—lecz czy to pieczołowitość pasterska jest? jest to po misyonarsku? Więc aby nie utracić akcydensów, to tyle i tyle ludzi mają cierpieć na duszy? **Gorliwy kapłan sam by rozdzielił parafię,** zwłaszcza kiedy kościół jest za mały; i lud to sam poczuwa, pragnie, się stara, a ks. Barzyński intryguje przeciw temu. Ach, Ojcze, nie jest to po kapłańsku i wyniknie z tego zgorszenie w Chicago nie małe. Ludzi, którzy za tem się starają, od masonów i bismarków i to z nazwiska na ambonie wykrzykiwać — ach, kiedy te ludzie całkiem od kościoła odpadną, kto będzie odpowiadał — jest to po paster-

sku? To worek milszy jak dusze? Ojcze, przestrzegam Ojca, zrób porządek i poślij innych księży a Barzyńskich odbierz, bo przyjdą czasy, że będzie za późno—lud gwałtem krzyczy na wasz zakon. Było już dosyć zgorszenia i wykrzykników w gazetach przeciw Zmartwychwstańcom—przez co całe duchowieństwo cierpi—więc lepiej Ojcze temu zapobiedz i Barzyńskich odwołać—wszakże macie dosyć innych księży, godnych, którzy tak ślepo nie pracują za zbogaceniem samego siebie i familii." Atoli wbrew powyższym dwom świadectwom, prowincyał Funken 16. stycznia r. 1876 zapewnia Generała, że „dotychczas" odprawia się nabożeństwo „w obydwóch kościołach". Czyżby więc kościół św. Trójcy zamknięto dopiero w zapusty r. 1876, a nie r. 1875? „Parafia —pisze O. Funken 16. stycznia r. 1876—składa się, jak wiesz Generale, z dwóch blisko siebie stojących kościołów Nie można z nich dwie parafie zrobić, bez wszczynania zamieszek i starć ciągłych. To od początku widziałem i mówiłem, i to było i jest stanowcze zdanie Biskupa. Stąd Biskup pozwolił na nabożeństwo w nowym kościele tylko pod tym warunkiem, że Zgromadzenie opatrzy obydwa kościoły, i jeden filią drugiego będzie albo też obydwa jako siostrzane kościoły (Schwesterkirchen) pod tymi samymi ojcami stać będą. Przeciwko temu powstawała mała partya takich ,którzy do tego kościoła chodzą, przeważnie szynkarze, a z tymi trzymali ks. Szymon (Wieczorek) i inni księża, którzy, po podzieleniu parafii, sami spodziewali się zostać proboszczami nowego kościoła. **Dotychczas** dwaj bracia Wincenty i Józef Barzyńscy **opatrują oba kościoły.**. W obu jest regularne nabożeństwo; w każdym codzień Msza; w każdym co niedzielę dwie msze, kazanie, nieszpory,

i w każdym wszelkie inne nabożeństwa wieczorne, spowiedzie, nowenny, itd. O. Wincenty pastoruje w starym, Józef w nowym kościele; jednakże zarząd spoczywa całkowicie w ręku O. Wincentego, to jest Zgromadzenia. Na nowym kościele ciężą jeszcze długi, które jednak lud zapłacić musi i zapłaci, naturalnie przy pomocy księży, którzy kolektują pieniądze. Przy starym kościele O. Wincenty wybudował wielką szkołę dla całej parafii; uczęszcza do niej 500 dzieci. Długi, ciążące na tej szkole, spadają również na całą parafię... Jest zamiarem księży i ludu, później sprzedać ten nowy kościół, którego położenie się znakomicie do kupiectwa nadaje, a potem zamiast dwóch kościołów, jeden wielki kościół dla wszystkich wybudować i tak obie części parafii zupełnie połączyć..."

Oto, na co ojcowie chcieli obrócić kościół św. Trójcy—dom modlitwy chcieli zamienić na dom kupiecki.

Zamknięcie kościoła jeszcze więcej oliwy dolało do ognia gniewu i nienawiści. Parafianie św. Trójcy rozbiegli się na wszystkie strony: jedni przystąpili do parafii św. Stanisława, inni dość liczni poszli do niemieckiej parafii św. Bonifacego; byli i tacy, co wcale przestali chodzić do kościoła; atoli wszyscy prawie wspólnie, nie upadając na duchu, czynili starania u Biskupa o otwarcie kościoła św. Trójcy. Posyłano do Biskupa jedną delegacyą po drugiej; proszono go i błagano usilnie o otwarcie kościoła, o przysłanie jakiegobądź księdza polskiego. „Nie na tośmy przecież—mówili do Biskupa—ten kościół pobudowali, nie na tośmy nasze ofiary, od ust sobie odejmując, na niego składali, aby stał bez użytku i nie

przyczyniał się do chwały Bożej i zbawienia dusz naszych."

Biskup przyznawał wprawdzie słuszność ich żądaniu; obiecywał nawet kościół św. Trójcy otworzyć i księdza polskiego im dać, ale kazał jeszcze czekać, bo—jak się tłómaczył—nie ma na razie odpowiedniego dla nich księdza. Powiadano Biskupowi, że polskich księży w Ameryce już jest dosyć dużo, że są tu polscy Franciszkanie i Jezuici i liczny zastęp świeckich, więc niech raczy jednego z nich wybrać a im dać. Na to biskup oświadczył, że życzeniem jego jest, aby kościołem św. Trójcy rządził jeden z Ojców Zmartwychwstańców (o których wiadomem było, że dążyli do zniszczenia tej parafii), a tych w Ameryce liczba niedostateczna, więc trzeba czekać, aż ich tu więcej będzie. Na takich pertraktacyach zmarnowano około 14 miesięcy bez oczywistej korzyści dla parafii św. Trójcy, a ze stratą dla OO. Zmartwychwstańców; uporczywe bowiem odwoływanie się Biskupa na „Resurrectionist Fathers" do tego stopnia zniechęciło ludzi, że wszyscy wołali:

„Nie chcemy Zmartwychwstańców, wolimy księdza świeckiego!"

Rządy ks. Mielcusznego, od r. 1877—1881.

Dnia 16 kwietnia r. 1830, urodził się w Semborówku pod Witkowem w Poznańskiem Wojciech Mielcuszny, syn Michała i Katarzyny z Lisieckich. Kształcił się w Witkowie, potem w Trzemesznie. Ukończywszy tam gimnazyum, poświęcił się nauczycielstwu. Roku 1857 wstąpił do seminaryum w Poznaniu, a roku 1860 został w Gnieźnie przez biskupa Brodziszewskiego wyświęcony na księdza. Był wika-

rym w Mroczy, w Kcyni, w Słupach, w Łobżenicy i w Kotlinie. Z Kotlina poszedł do więzienia na 9 miesięcy, dopuściwszy się „obrazy majestatu". Z więzienia wrócił do Kotlina. Wkrótce potem dostał probostwo w Siedlimowie, skąd go niebawem translokowano do Twardowa, potem do Mieściska, następnie do Łekna. Z Łekna wyjechał do Ameryki w r 1874. Tu najpierw w Nowym Yorku był proboszczem parafii św. Stanisława, ale po przeszło dwu latach pobytu wszedłszy w konflikt tak z ludźmi jak z kardynałem McCloskey'm, opuścił niewdzięczny New York.

Otóż w marcu roku 1877 zdarzyło się, że ten kapłan ks. Wojciech Mielcuszny, podróżujący z Nowego Yorku na zachód, zatrzymał się w Chicago u pana W. Dyniewicza. Znalazł on się w Chicago zupełnie tak opatrznościowo, jak O. Wincenty Barzyński r. 1874 i O. Adolf Bakanowski r. 1870; z tą różnicą, że ci ostatni, przybywszy do Chicago, ubiegali się o „starszą siostrę", zaślubioną już komuś, a ks Mielcuszny pojął „młodszą siostrę", wolną jeszcze i nie zaślubioną nikomu.

Ks. Mielcuszny miał dużo znajomych w parafii św. Trójcy. Ci skoro się dowiedzieli o pobycie jego w Chicago, zaraz zgłosili się do niego z prośbą, aby raczył objąć duszpasterstwo w ich opuszczonej owczarni. Zrazu opierał się tej prośbie, wątpiąc, czy cała parafia zgadza się na jego przyjęcie i czy Biskup nie będzie miał nic przeciw temu; potem jednak, gdy mu przedłożono listę wszystkich parafian i oświadczono, że wszyscy nietylko się godzą na objęcie przez niego parafii św. Trójcy, ale owszem usilnie go o to proszą, wówczas to ostatecznie zgodził się na ich żądanie. Poczem zaraz, jak tego porządek

rzeczy wymagał, wysłano delegacyę do Biskupa. Biskup nie dał stanowczej odpowiedzi, lecz kazał im przyjść nazajutrz razem z ks. Mielcusznym. Nazajutrz gdy się stawili przed Biskupa, jak im był przykazał, zastali go w złym humorze; mówił mało, oględnie, i na papiery, które mu ks. Mielcuszny, przedłożył, patrzał obojętnie, a wreszcie rzekł: „Nie znam ks. Mielcusznego i znać go nie chcę"—poczem salę opuścił. Te słowa biskupie pachnęły suspenzą, ale nią jeszcze nie były. Suspendował go biskup dopiero, gdy ks. Mielcuszny już dawno był apelacyę wniósł do Rzymu.

„Źle z nami"—zawołał (jak piszą kroniki) zmieszany ks. Mielcuszny—„ale jest władza wyższa nad Biskupa, jest Papież, udamy się do niego." Zgodzili się na to wszyscy. I wysłano telegram z prośbą do Propagandy. Odpowiedź otrzymano odmowną. Telegrafowano po raz drugi i znowu przyszła odpowiedź odmowna. Telegrafowano po raz trzeci; na ten telegram przyszła odpowiedź przychylna, zezwalając ks. Mielcusznemu odprawiać nabożeństwa w kościele św. Trójcy, aż do czasu kanonicznego załatwienia jego osobistej sprawy. Na zasadzie tego zezwolenia kościół św. Trójcy został otwarty. Ks. Mielcuszny po raz pierwszy odprawił w nim nabożeństwo w niedzielę palmową 24. marca roku 1877.

Co sądzić o tym kroku ks. Mielcusznego? Czy ks. Mielcuszny i jego parafianie byli „niezależnymi" czyli schyzmatykami? Uchowaj nas Boże tak sądzić! Owszem, na podstawie tych danych historycznych, jakie posiadamy, stanowczo musimy orzec, że ks. Mielcuszny miał prawo kościelne za sobą, gdy sprawował Sakramenta święte w kościele św. Trójcy.



Ks. Wojciech Mielcuszny.

Faktem bowiem jest niezaprzeczonym, że ks. Mielcuszny, skoro tylko biskup mu zagroził suspenzą, wniósł bezzwłocznie apelacyę do Rzymu, jeszcze zanim go biskup rzeczywiście zasuspendował. A taka apelacya ma skutek—jak mówią kanoniści—nietylko „in devolutivo", ale także „in suspensivo", to znaczy, taka apelacya „suspenduje" czyli zawiesza władzę biskupa nad apelującym. A jeśli biskup ks. Mielcusznego, pomimo jego apelacyi, zasuspendował, to ks. Mielcuszny mógł zgodnie z prawem kościoła, taką suspenzę najzupełniej ignorować, gdyż suspenza po wniesionej apelacyi jest żadną, bo nieważną. Tak nas wyraźnie uczy Prawo Kościelne; zobacz Smith's Elements of Ecclesiastical Law, III. nr. 3048 i następne. Może są jakie dowody na to, że ks. Mielcuszny tu w Chicago lub indziej dopuścił się jakichś wykroczeń—to jest rzecz zupełnie inna, lecz nie mamy dowodów na to, żeby był rzeczywiście suspendowanym, więc nie możemy sądzić, że był suspendowany.

O całej tej sprawie ks. Mielcuszny w swym liście do matki datowanym dnia 17. maja r. 1877, tak pisze: „Wyjechawszy tysiąc mil od New Yorku, zatrzymałem się w Chicago. Tu jest bardzo dużo Polaków, co mnie znali jeszcze tam u nas w kraju i mają trzy kościoły (trzeci—to św. Wojciecha). Lecz jeden kościół Biskup kazał zamknąć i postanowił go zniszczyć. Polacy nie chcieli na to zezwolić, bo ich dużo pieniędzy kosztuje i dopiero trzy lata jak pobudowany i należy do niego jakie pięć tysięcy dusz. Prosili mnie, abym ich ratował, com też uczynił, ale to wywołało walkę pomiędzy mną a Biskupem. W Palmową niedzielę otworzyłem za zezwoleniem Papieża ten kościół. Ludzi przybywa do mnie

co niedzielę przeszło tysiąc. Mnie dają 50 dolarów miesięcznie i akcydensa. Jestem tu teraz dwa miesiące. Śpiew mam jakby w biskupim kościele w Gnieźnie, lecz nie wiem, jak Papież sprawę moją z biskupem załatwi. Biskup mnie i moich parafian uważa jako odpadłych od kościoła, ja zaś zaprzeczam temu i ztąd walka. Ludzie trzymają ze mną mocno, bo im biskup wielką krzywdę uczynił, i jeszcze teraz tak robi, aby jakie dwadzieścia tysięcy dolarów stracili. Wielu mają po kilkaset dolarów pożyczonych na ten kościół i te mają im przepaść, przeto pomstowanie, płacz, klątwy na biskupa i na jednego księdza polskiego, co biskupowi przeciw nim i mnie dopomaga.—Takie więc jest moje położenie."

A ten „jeden ksiądz polski", O. Wincenty, tracił równowagę umysłu, kiedy się dowiedział, że jakiś nowy przybysz ks. Mielcuszny śmiał, i to za pozwoleniem najwyższej władzy kościelnej, bo Propagandy, otworzyć kościół, który on, Barzyński, był zamknął i chciał na dom kupiecki obrócić. Co za bezczelność! Więc trzeba było tego ks. Mielcusznego w najczarniejszych kolorach przedstawić i wobec ludu i wobec biskupa chicagoskiego i wobec władz rzymskich—a to ks. Barzyński doskonale potrafił. Do Rzymu 10. kwietnia r. 1877, wysyła list kilka łokci długi (12 stronic!), w którym pisze: „Od mojego przybycia do Chicago czułem, że mam do walczenia ze złym duchem w postaci chłopskiego a raczej mieszczańskiego liberalizmu... Dzisiaj chcę mówić głównie o złych a raczej zaślepionych ludziach, aby nie spóźnić się ze swojem sprawozdaniem o tym wypadku, jaki zaszedł w tym czasie w Chicagoskiej missyi. Oto niejaki X. Wojciech Mielcuszny zaczął w naszej parafii

szyzmę... Posłali telegramy do Rzymu... i ogłosili, że odebrali odpowiedź od kardynała Franchi, (ówczesnego Prefekta Propagandy): „Scribo statim ad Episcopum Chicagoviensem" (Piszę natychmiast do Biskupa Chicagoskiego). I na mocy tego telegramu otworzyli nową parafię... I posłali trzeci telegram do Rzymu: „Otwieram nabożeństwo dla uniknienia rozruchu" — ks. Mielcuszny podpisany... Zdaje się piekłu czyli **polskiemu oddziałowi piekła w Chicago,** że skoroby mię pokonali, to już będą spokojni... Ten X. Mielcuszny pochodzi z Archidyecezyi Poznańskiej, a że tutaj jest pewna część Poznańczyków, co stanowi dlań niejaką szansę, więc ogłasza, że kardynał Ledóchowski jest jego przyjacielem i popiera jego sprawę w obronie ludu uciśnionego przez Zmartwychwstańców... Ale o cobym prosił, aby kto z księży polskich, może lepiej nie Zmartwychwstaniec, opisał jak się rzecz ma z telegrafem (!) kardynała Franchi'ego i co ten telegraf (!) znaczy... i żeby biednemu ludowi wytłumaczył prawa kościoła św... ale popularnie a prędko..." Tu O. Wincenty załącza Rzymowi kopię rachunków, złożonych biskupowi za rok ubiegły, i dodaje: „Długi te z największą łatwością mogą być wypłacone w trzech latach". Potem wraca do parafii św. Trójcy: „A lud był podzielony przez dwa kościoły (bardzo mizerne oba) na dwa obozy... Nie chcąc nakładać zbytecznych ciężarów na parafię, chciałem w obu kościołach zaprowadzić **jedność parafii,** ale skoro szatan jedność zwąchał, zerwał ostatnie pozory i zaczął otwartą szyzmę, której głową jest kilku niedowiarków, szynkarzy i lubiących przesiadywać w szynku, a których narzędziem jest nieszczęsny ks. Mielcuszny."

W takich czarnych kolorach O. Wincenty przedstawiał Rzymowi sprawę kościoła św. Trójcy. Ale w Rzymie inaczej, wcale nie po myśli O. Wincentego, zapatrywano się na tę sprawę. Widać to z następnego, pełnego żółci i goryczy listu, jaki O. Wincenty 13. sierpnia r. 1877 pisze do Rzymu: „Listy z Texas otworzyły mi stanowczo oczy... t. j widzę, że przyjaciele i nieprzyjaciele są czyści ludzie i nie mają w sobie cząstki Ducha Bożego i myślą, że przysługę czynią Zgromadzeniu, iż przekręcają fakta, zamilczają najważniejsze okoliczności a czasem wprost **kłamią**... że Zgromadzenie wierzy takim i o ile oni są winni albo ja sam... to sąd Boży rozjaśni. Ja tymczasem widzę, że dalej juz nie idzie, i że jestem obowiązany wszelkiem prawem w jak najkrótszym czasie stanąć osobiście w Rzymie i zdać sprawę całą od **a** do **z** z moich kroków dziesięcioletnich w Ameryce... Otóż błagam, aby Zgromadzenie, t. j. O. Jenerał i Rada, nic nie postanowili, nic nie rozporządzali, etc., aż mnie wysłuchają! Zaręczając z góry **sumiennie**, że wizyta moja otworzy nową Erę w Missyi Amerykańskiej, jeżeli już nic więcej. Wolno każdemu mieć mię za głupiego, etc., ale czy głupi nie może być narzędziem Wszechmądrości, żaden katolik niechaj tego nie mówi. Niechajże Wiara św. przemoże nad względami ludzkimi. I albo mię wymażcie z liczby waszych członków albo mię traktujcie jako waszego członka. To jest, nie stanówcie o mnie bezemnie czyli nie potępiajcie mię nie osądziwszy a nie sądźcie nie przesłuchawszy."

O. Wincenty gorzkiego doznał zawodu. Zamiast wytłómaczyć ludowi „popularnie a prędko", że ks. Mielcuszny jest schyzmatykiem a O. Wincenty je-

dynym katolickim proboszczem, którego wszyscy w Chicago słuchać mają,—Rzym kazał jemu, Wincentemu, wynosić się z Chicago... Nawet ks. Mielcuszny ulitował się teraz nad O. Wincentym i wstawiając się za nim, taki list napisał 27. września r. 1877 do Generała Semenenki: „Z gazety Chicagoskiej polskiej w nr 50 powziąłem wiadomość, że ks. Wincenty Barzyński, rządca kościoła św. Stanisława Kostki w Chicago, odebrał od swej Władzy kilkakrotny nakaz, aby się udał do Rzymu czy też gdzieindziej. Jeśliby to miało być prawdą, to do jego przedstawień i zabiegów dołączam i ja mą pokorną prośbę, aby go Przewiel. Ojciec na dotychczasowem miejscu z następujących przyczyn pozostawił: 1) Ks. W. Barzyński z niezmordowaną, lecz nierozważną starannością zaczął budować kościół, obowiązkiem jego to wielkie dzieło do końca doprowadzić. 2) Ks. W. B., zaraz na drugi dzień po przybyciu mojem do Chicago, choć nie miałem zamiaru starać się o to miejsce, przed ks. Biskupem a następnie z tymże przed całym światem tak mię szkaradnie oczernił, że mię całkiem odarł z przymiotów kapłana katolickiego. To zmusiło mnie pozostać w Chicago i bronić mego honoru, zwłaszcza że moje świadectwa są w porządku... Prawa Boskie i przyrodzone wymagają zatem, aby ks. B. tu na miejscu, gdzie mnie tak okropnie ukrzywdził, albo czyny zdrożne prawnie mi udowodnił... albo wrócił mi wydarty honor i krzywdę wyrządzoną wynagrodził. 3) Wreszcie powinien tych wszystkich ludzi, począwszy od swoich dzieci szkolnych aż do starych stojących już nad grobem, których pobuzył na mnie, na mych parafian i innych księży, aby z nas wszędzie, gdzie nas spotkają, szydzili, naśmie-

wali się i nas wyzywali, w odpowiedni sposób z tej niechrześcijańskiej sprowadzić drogi, na którą ich tak nieroztropnie wprowadził. Potem niech tu zostanie z Bogiem, albo odejdzie na inne miejsce. Jeśli tego nie uczyni, natenczas niech krzywda moja i parafian kościoła św. Trójcy, wołająca o pomstę do nieba, ciąży na jego sumieniu a na sądzie Bożym się wykaże, czy mu wolno było nas tak złośliwie oczerniać i potępiać... 560 Noble Str." Nie tylko na sądzie Bożym; — organ OO. Zmartwychwstańców „Dziennik Chicagoski" w październiku roku 1906, z okazyi poświęcenia nowego wspaniałego kościoła św. Trójcy, sam to przyznał, że ks. Mielcuszny otworzył kościół św. Trójcy **za zezwoleniem Propagandy.** Tak to po śmierci—a za życia ks. Mielcusznego wmawiano i w lud i w księży i w biskupa, że ks. Mielcuszny jest schizmatykiem.

O. Wincentemu chodziło bardzo o to, żeby i Rzym taką opinię o ks. Mielcusznym wydał. Ale w Rzymie układano właśnie nowy plan, żeby O. Wincentego wycofać z Chicago a zastąpić go świeckim księdzem z dyecezyi chełmińskiej, ks. Malińskim (zobacz IX. tom, str. 75-78.)

Interesującym jest w tym czasie wyjazd ks. Kandyda Kozłowskiego do Rzymu. O. Cichocki, C. R., 8. lutego r. 1878, pisze: „Ks. Kozłowski wrócił..." a zaraz potem: „W sprawie kościoła św. Trójcy otrzymaliśmy niedawno **duplikat z Rzymu,** który będzie ogłoszony w przyszłym numerze Gazety Polskiej Katolickiej..." A 13. marca r. 1878, tenże donosi: „Niebawem **pan** Mielcuszny (nawet tytułu „księdza" mu odmawia!) poda do Rzymu nowe wymyślone na nas skargi... tak przynajmniej nas straszy, a pan Dy-

niewicz, Wędziński et consortes temu poklaskują, bo ich zraził i rozgniewał bardzo duplikat kardynała Franchi przesłany do naszego Biskupa i ogłoszony w „Gazecie Polskiej Katolickiej."

Tego „duplikatu" nie udało mi się odszukać. Byłem naumyślnie w Chicago: pan Smulski ma zachowane wszystkie roczniki „Gazety Pol Kat.," tylko tego właśnie rocznika z pierwszej połowy roku 1878 nie ma. Czy to nie dziwna rzecz?

Ks. Mielcuszny 6. grudnia r. 1878 pisze drugi list do Generała Semeneńki: „Przeszłego roku 27. września pisałem do Przewiel. Ojca list, na który żadnej odpowiedzi nie otrzymałem ani dotąd nie widzę żadnych skutków z przedstawień i prośb w tym liście zawartych... Otworzyłem im kościół, opierając się na prawach kościoła naszego (szczegóły w tym względzie są podane w listach z dnia 3. maja, 12. lipca i 3. grudnia roku 1877 do Propagandy; a 20. marca r, 1878 zaprzysiężone przez blisko 40 świadków w liście do św. Kongregacyi Consilii w Rzymie)... Mam ja w Rzymie zaciętych nieprzyjaciół, jak ks. L. Moczygemba i nieznany mi ks. Feliński. Był tam ks Kandyd Kozłowski z La Salle, Ill., w interesie, jak mniemam, oczernienia i pohańbienia mnie a pozyskania dla ks. Winc. Barzyńskiego i jego consortes przyjaciół i protektorów. Mniejsza o to. że mnie mogli tam zrobić i szatanem, to im jednak nic nie pomoże wobec bezstronnej Sprawiedliwości i dokonanych tu na miejscu w Chicago faktów. Ja będę wołał dla siebie i dla parę tysięcy ludu, najokrutniej uciemiężonego tu w Chicago, o sprawiedliwość: a ta nastąpić musi... Byłem i jestem kapłanem katolickim prawie 20 lat szczerze, silnie i z całem posłuszeń-

stwem przywiązany do Ojca św. do Stolicy Ap. i Wiary św. Także sprawa moja z biskupem Foley w Chicago nie może mi przecie wydrzeć kapłaństwa ani odsądzić od wiary. Próżne więc i podłe są usiłowania ks. Wincentego i jego towarzyszy kapłanów, którzy mię już w gazetach i z ambon ogłosili: Schizmatykiem, Heretykiem, Apostatą, Renegatem etc., (Gazety te są w Propagandzie)... Ludzie przy kościele św. Stanisława mnie na ulicach napadali, od chłopa wyzywali, nazwisko z szatańskim śmiechem przekręcali („Łańcuszny") i wieszać i mordować mnie chcieli i pluli, błotem i kamieniami rzucali na mnie, itd., itd. Któż ich tak ukatechizował?... A co się działo z ludźmi należącymi do mnie, to pewno wieki prześladowania chrześcian za cesarzów rzymskich coś podobnego wykazać nie są w stanie... Śmiało muszę tu zaznaczyć, że nie znajdzie na całym świecie takiego drugiego kapłana, któryby tak strasznie swoje owieczki zdemoralizował, jak to uczynili księża Barzyńscy w swojej parafii w Chicago (Dowody na to są podane w liście z d. 20.marca r. b. do Kongregacyi Consilii w Rzymie)... Chłopaki wyzywają: „Schizma, schizma! schizmatyk, Łańcuszny, Mielcuszny chłop, itd.; dnia 20. listop r. 1878, ks. Józef Barzyński na kazaniu wyzywał nas „śmierdzące schizmatyki", a dzieci tego samego dnia moich ludzi wracających z kościoła tak samo wyzywały. Ks. Wincenty po domach woła na mnie „chłop przebrany w księskie suknie..." O. Felix Żwiardowski 28. czerwca r. 1878, na kazaniu wyzywał mnie i parafian św. Trójcy od „złodziei, oszukańców, heretyków, schizmatyków i prorokował, że do roku nie dożyjemy a ja pójdę na dno piekła." Podobnie ks. Leop. Moczygemba 15. sierpnia, r. 1878, tu w Chicago."

Wyzwiska i oszczerstwa, to zwyczajna broń ojców. A charakterystycznem jest to, że swoje oszczerstwa, miotane na innych księży, lubią zawsze pozłacać „błogosławieństwem papieskiem", aby zaimponować dobrodusznemu ludowi. Więc O. Cichocki, C. R., 16. grudnia r. 1878, pisze do Rzymu błagalny list: „Czybyście nie mogli postarać się o błogosławieństwo Ojca św. dla nas? Takie błogosławieństwo byłoby dla nas niezmiernej wagi, bo gdybyśmy je ogłosili w naszej gazecie (to i po dziś ojcowie praktykują!), zamknęlibyśmy usta wszystkim naszym krzykaczom, a schyzma Mielcusznego możeby przejrzała. Błogosławieństwo to mogłoby przyjść na imię O. Wincentego... Ach, prosimy Was na miłość Boską, nie odmawiajcie nam tego szczęścia! bo to będzie na chwałę Bogu i na zbawienny pożytek wielu dusz. Proszę i o korespondencye z Rzymu do Gazety Pol. Kat."

Ks. Mielcuszny 6. lutego r. 1879 pisze trzeci i ostatni list do Generała Semeneńki: „Dnia 27. września r. 1877 pisałem i nie dostałem odpowiedzi. Dnia 6. grudnia r. 1878 pisałem i nie dostałem odpowiedzi. Lud z parafii O. Wincentego nie przestaje mię oczerniać i poniewierać ,nazywa mnie „djabłem, chłopem, łotrem, baranem i Bóg wie jak, pluje na mnie i wyzywa publicznie, a chłopacy rzucają kamieniami i błotem na mnie; na św. Szczepana 26 grudnia r. 1878, O. Cichocki wołał na kazaniu „X. Mielcuszny tak uwodzi ludzi jak Luter Marcin Niemców wursztą"; w Nowy Rok O. Wincenty wyzywał na kazaniu mnie od „schizmatyka, barana, itd..." Ja tam w Rzymie nie mam nikogo, przeto władza Przełożona nie łatwo moim przedstawieniom daje wiarę, albo całkiem je ignoruje.

Niechże tak będzie! Ja mam zaś w Bogu nadzieję, że moja sprawa rychlej czy później okaże się słuszną i sprawiedliwą."

Narodowcy i księża świeccy, zdaniem ojców, podtrzymywali tę „schyzmę" ks. Mielcusznego. Pisze O. Leop Moczygemba. podówczas Zmartwychwstaniec, w liście z Chicago 10. września 1880 do Rzymu: „Obecnie jesteśmy zmuszeni bronić ludu polskiego od zarazy żydów i framasonów, którzy pod płaszczem patryotyzmu chcieliby dostać moc kierowania ludu polskiego... Na szczęście wielu księży polskich, a mianowicie ex-zakonników, ledwie że nie publicznie im pomagają dla przeklętej zazdrości... Organem tej bezczelnej kliki „Przyjaciel Ludu"... Przez intrygi tych bezsumiennych księży Gazeta nasza Katolicka nie może dostać takiej liczby abonentów, aby się stosownie opłaciła, przeto Redaktor były, Jan Barzyński, musiał szukać sobie innego utrzymania (mieszka teraz w Nebrasce), a jego miejsce zastępuje dawny jego pomocnik. Na moje przedstawienie tej bezczelnej kliki Biskup Krautbauer z Green Bay zakazał Polakom pod jego jurysdykcyą czytać Przyjaciela Ludu i łączyć się do Związku Nar. Polskiego, który framasoni formują. Nie macie wyobrażenia, ile szkody duchownej wśród biednego polskiego ludu ta banda duchownych rozbójników poczyniła i czyni. Wychowali i podtrzymują Szyzmę najprzód w Chicago a nawet i w Stanie Wisconsin. Ta demoralizacya ciągła ludu polskiego powinna raz być zakończoną, i to jest także jedna z głównych przyczyn, dla których O. Wincenty koniecznie musi pojechać do Rzymu."

Jakoż pod koniec listopada r. 1880 O. Wincenty pojechał do Rzymu.

Kanoniczne załatwienie sprawy ks. Mielcusznego szło bardzo powoli. Niepewność jej wyniku męczyła go strasznie; pomimo to pracował dla parafii jak mógł najenergiczniej.

W rządach parafii uczestniczyli pp. J. Kowalski, J. Nowak, M. Kledzik, Jan Wojtalewicz, J. Gillmeister, Dom. Bartoszewicz, M. Kuffel, J. Grajczyk. W tym czasie spłacono loty, ozdobiono kościół wewnątrz i zewnątrz, wzniesiono dwa ołtarze, zbudowano plebanię kosztem przeszło $3,000 w roku 1879, i zaprowadzono szkołę parafialną. Nabożeństwa w tym czasie odprawiały się uroczyście, a były nadzwyczaj rzewne; ksiądz i ludzie ustawicznie nagabywani przez sąsiadów, tu swoje żale wylewali. Bóle ich koił prześliczny śpiew pp. Konstantego i Antoniego Małłków. Tymczasem biskup Tomasz Foley umarł 19. lutego r. 1879, a 10. września r. 1880 zasiadł na stolicy chicagoskiej biskup Patryk Feehan. Ten z początkiem roku 1881, za staraniem wybitniejszych duchownych i cywilnych osób, zajął się energicznie rozstrzygnięciem sprawy ks. Mielcusznego. Wszystko zdawało się zapowiadać pomyślnie. Nowy arcybiskup sprawę ks. Mielcusznego traktował bez uprzedzenia, po ojcowsku; ks. Mielcuszny ze swej strony uległ Arcybiskupowi w niektórych rzeczach, np. na żądanie jego wstrzymał się od słuchania spowiedzi. Wszystko zdaje się byłoby dobrze, gdyby był ks. Mielcuszny dobrowolnie zrzekł się parafii św. Trójcy, a przyjął pokutę—na to jednak nie chciał się zgodzić. Postanowił tu zostać wbrew woli Biskupa; starał się nawet o pozyskanie wyłącznego prawa do własności parafii, która po spłaceniu lotów została zapisaną na niego, oraz na katolickiego biskupa w

Chicago i komitet kościelny. Tem postępowaniem zniechęcił sobie parafian, którzy nie dowierzając mu więcej, zażądali od niego odpisania się od własności parafialnej. Nie mogąc go do tego nakłonić w dobry sposób, wytoczyli mu proces sądowy. On na proces odpowiedział im procesem, ze swej strony żądając od parafii dużej sumy pieniężnej odstępnego.

Kiedy tak się procesowano, dziwnem zrządzeniem Opatrzności została przerwana nić życia ks. Mielcusznego dnia 2. czerwca r. 1881, w samo południe. Przy śmierci jego nikt obecnym nie był; znaleziono go bez życia wyciągniętego na podłodze. Ta okoliczność dała powód do rozmaitych przypuszczeń co do przyczyny śmierci, narobiła nawet później dużo ambarasu; doktorzy jednak ,zrobiwszy dyagnozę, orzekli, iż przyczyną śmierci była apopleksya. Pogrzeb śp. ks. Mielcusznego za wiedzą i zezwoleniem Arcybiskupa, odbył się uroczyście w kościele św. Wojciecha i tam też na cmentarzu go pochowano.

W dzień po śmierci ks. Mielcusznego, dnia 3. czerwca rano, powrócił O. Wincenty z Rzymu do Chicago i 17. czerwca r. 1881 tak pisze: „Dziś rano minęły dwa tygodnie, jakeśmy wszyscy trzej (O. Michał Brzeziński i br. Idzi Tarasiewicz) stanęli w Chicago dość zdrowi. Pierwszym z ważnych wypadków na wstępie do Chicago była nagła śmierć X. Mielcusznego, który tknięty apopleksyą umarł na 20. godzin przed naszym przyjazdem. Zaczął on był czynić pokutę (przestał odprawiać msze i słuchać spowiedzi) i na tej zasadzie Arcybiskup pozwolił ks. Śnigurskiemu pochować go po katolicku. Śmierć ta, a więcej jeszcze wielkie długi, które pozaciągali, ażeby przeciągnąć upadek swojego odszczepieństwa, dzisiaj

odkryte, rozbiły ich zapewne ostatecznie. Lepsi powracają do jedności a herszty nie wiedzą jakby dalej wikłać..."

Długie bezkrólewie od r. 1881—1889.

Po śmierci ks. Mielcusznego komitet parafii św. Trójcy i komitet szkoły z nauczycielem p. Antonim Małłek na czele, udali się dnia 15. czerwca r. 1881, do Arcybiskupa. Arcybiskup przyjął ich uprzejmie i powiedział: „Trzymajcie szkołę w dobrym porządku, a nauczyciel, A. Małłek, niech zajmie mieszkanie w plebanii, a jak tylko mój adwokat pan Smith przeprowadzi sprawę w sądzie wyższym i uzyska czysty tytuł parafii, to zaraz przyszlę księdza, z którego będziecie zadowoleni". (Okazało się, że administrator majątku śp. ks. Mielcusznego rościł sobie prawo do własności kościelnych). Następnie arcybiskup oświadczył im, iż duchownej opieki udzieli tymczasowo ks. Szulak, jezuita. Dzień ten 15. czerwca pocieszył na duchu parafian św. Trójcy. Komitet szkoły wraz z p. A. Małłkiem, zakomunikował dzieciom w szkole o prawnem i wolą Arcybiskupa potwierdzonem prowadzeniu szkoły św. Trójcy. To oświadczenie i ogłoszenie tej wiadomości było koniecznem, z powodu, iż dzieci z przeciwnego obozu, prześladowały szkołę św. Trójcy do tego stopnia, że policya chicagoska zmuszoną była dać protekcyę szkole św. Trójcy.

Ucichło na pozór wszystko i zdawało się, iż sprawa wzięła pomyślny obrót. Prowizorowie kościoła św. Trójcy chodzili co tydzień do Arcybiskupa i starali się z nim żyć na dobrej stopie. Biskup okazywał im przychylność. Lecz krecie roboty nie ustały. Bo

oto, dnia 5. paźdź 1881, komitet był znowu u Arcybiskupa i dowiedział się, że „otwarcie kościoła i uwzględnienie najgorętszych życzeń ludu połączone jest z wielką trudnością, gdyż OO. Zmartwychwstańcy mają kontrakt na 99 lat, podpisany przez śp. biskupa Foley". Nareszcie po długich staraniach papiery posiadłości kościelnych wykończono, lecz parafianom św. Trójcy taki postawiono warunek: „Jeżeli chcecie kościół i plebanię obrócić na dom sierót albo na filię kościoła św. Stanisława K.—to papiery będą przyjęte". Komitet stanowczo odrzucił tę propozycyę, bo przyjąwszy ją, podpisałby wyrok śmierci sam na siebie i na parafię. Ponieważ zaś nieprzyjaciele starali się dowiedzieć o każdym kroku przez parafian czynionym, więc celem skuteczniejszej obrony zawiązano 14. lipca r. 1882. Towarzystwo tajemne św. Trójcy. Tak zorganizowani obrońcy, nie mogąc nic wskórać u swego Arcybiskupa, udali się teraz wprost —do Papieża.

Aż dwa, jeden po drugim, wysłali do Papieża listy: jeden d. 24. paźdź. r. 1882, a drugi 16. stycznia r. 1883—obydwa redagowane po włosku przez adwokata Ginochio. Listy te były podpisane przez 60 członków legislatury, 25 senatorów stanu Illinois oraz gubernatora, ministra oświaty, mayora miasta, i senatora kongresowego. Zebraniem tych podpisów zajął się dzielny Polak, ówczesny członek legislatury p. Antoni Klupp; on też przesłał te listy panu W. W. Astor ambasadorowi St. Zjedn. w Rzymie z dołączeniem prośby o przedłożenie takowych Ojcu św. Obrońcy parafii św. Trójcy nie poprzestając na tem, szukali nadto poparcia u osób wpływowych w hierarchii kościoła: u Mgr. Vanutelli'ego, nuncyusza pap.

w Wiedniu, oraz u Arcybiskupa Heiss'a z Milwaukee. Jakiż był rezultat tych zabiegów? Otóż ten, że poruszyły się wreszcie sprężyny i koła urzędowe w Rzymie. Ojcowie chicagoscy, O. Wincenty, O. Brajtkopf i ks. Józef Barzyński, piszą w III. niedzielę po Wielkanocy r. 1883 do Generała Semeneńki: „W tych dniach J. Eminencya kardynał Prefekt Propagandy przysłał zapytanie: co mają znaczyć te nowe skargi ludzi polskich z Chicago (św. Trójcy)? Arcybiskup wezwał mię i pytał z boleścią, co ma począć i odpisać do Rzymu?... Takie wątpliwe położenie rzeczy nie powinnoby trwać tak długo i potrzebaby koniecznie, aby Rzym ostatecznie i stanowczo zrozumiał położenie rzeczy... Właśnie Arcybiskup mówił mi, że jest naszym obowiązkiem objaśnić J. Em. Kard. Prefekta Propagandy o całej tej sprawie. Rzeczywiście jeśli tego nie uczynimy, będziemy winni przed Bogiem i Kościołem wielkiego niedbalstwa. Upraszamy więc Najprzew. Ojca aby raczył być u Jego Eminencyi i przedstawić mu jasno całe położenie... Po śmierci ks. Mielcusznego został w ołtarzu Najśw. Sakrament. Arcybiskup posyłał kilka razy księży prosząc tych ludzi, aby pozwolili konsumować Species Sacratas, lecz tego nie dopuścili... Pomimo wszystko chodzą do kościoła i do komunii św. (nie do naszego kościoła, rozumie się.)."

Arcybiskup chicagoski Feehan przy końcu r. 1883, złożył urzędową wizytę Papieżowi i po swoim powrocie z Rzymu rozpoczął nowe układy z przedstawicielami parafii św. Trójcy. Arcybiskupowi szło o to, aby kościół św. Trójcy po swojem otwarciu został filią parafii św. Stanisława K. Przedstawiciele parafii zgodzić się na to nie chcieli. Wtedy Arcybis-

kup postanowił odwołać się do ogółu parafian św. Trójcy i w tym celu kazał zwołać walny mityng na wieczór d. 23. kwiet. 1884, na który posłał swego wikaryusza Generalnego. Na tym mityngu ks. Conway (tak się nazywał ówczesny Wikary Generalny) zabrawszy głos oświadczył, że kościół św. Trójcy zostanie otwartym, ale pod warunkiem, że zostanie filią parafii św. Stanisława K. Zażądał potem odpowiedź: „Yes" albo „No". Na wniosek p. Rewerskiego wszyscy jednogłośnie odpowiedzieli: „No." Układy zerwane—Wikary Generalny opuścił mityng, a chór kościelny zaśpiewał: „Jeszcze Polska nie zginęła."

Rozpoczęto następnie nowe starania. Najprzód zaraz nazajutrz wysłano telegram do Ojca św. z uwiadomieniem co się działo na onegdajszym mityngu. Potem 11. listopada tegoż r. 1884 wystosowano prośbę do kardynała Gibbons, który odpowiedział, że nie ma juryzdykcyi nad nimi. Następnie w grudniu r. 1884 wysłano prośbę do Ojca św., na którą kardynał Symeoni odpowiedział: „udajcie się do swego Arcybiskupa" Jakoż rozpoczęto nowe pertraktacye z Arcybiskupem, zaniechano je jednak wnet jako bezowocne, o czem też zawiadomiono kardynała Symeoniego (Prefekta Propagandy) listem d. 2. paźdź. 1885.

Potem walka trochę przycichła Nastała złowroga cisza, podczas której śmierć zabrała A. Kluppa (r. 1885), A. Kurra (r. 1887), Sówkę, Budzińskiego, Górskiego, Iwickiego i Kokusa—najdzielniejszych obrońców parafii. W tym też czasie Czesi robili starania o zakupienie kościoła św. Trójcy. Owa przygnębiająca cisza trwała aż do końca r. 1888, kiedy znowu układy z arcybiskupem rozpoczęte zostały.

„O. Wincenty—donosi O. Szymon Kobrzyński, C. R., 29. października r. 1888—musiał zdawać obszerne sprawozdanie Arcybiskupowi w odpowiedzi na skargi przez Narodowców wysłane do Rzymu, a o to pisała Propaganda do Arcybiskupa, żądając wyjaśnienia..." I d. 4. stycz. 1889. Arcybiskup przyrzekł nareszcie bezwarunkowo otworzyć kościół św. Trójcy. Wręczono mu tytuł własności czyli „Deed." Na przyjęcie księdza odrestaurowano kościół i plebanię.

Rządy ks. Kobrzyńskiego, od 3. marca do 1. września 1889.

Jeszcze 18. lutego 1889 O. Kobrzyński, C. R., pisał: „Naszą obsługę kościoła św. Trójcy przyjmują (Trójczanie) jako malum necessarium (zło konieczne), bo chcieliby dostać ks. Domagalskiego."

Otwarcie kościoła i przybycie księdza zdecydowano na dzień 3. marca r. 1889 o godz. 7:30 rano. Zebrało się dużo ludzi, zjawił się też i oczekiwany ks. Szymon Kobrzyński, Zmartwychwstaniec. Zbyt wielkiej radości nie okazywali Trójczanie. Okoliczność ta, że ks Szymon był Zmartwychwstańcem, napełniała ich obawą, aby kościół ich nie stał się znowu „filią" parafii św. Stanisława.

„Nareszcie—pisze ks. Kobrzyński 11. marca r. 1889—w d. 3. marca kościół św. Trójcy, po 8 latach zamknięcia, otworzony został. Dekret Arcybiskupa taki: „Polski kościół św. Trójcy na ulicy Noble w Chicago ma być otworzony 3. marca r. 1889 i będzie nadal podlegał następującym przepisom: Będzie obsługiwany przez jednego z OO. Zmartwychwstańców, on będzie miał całkowite staranie o jego potrzeby,

stosownie do praw i przepisów Archidyecezyi. Do niego należy staranie o szkołę i prawo zatrzymania albo usuwania nauczycieli świeckich. On ma prawo zatrzymać lub usunąć organistę. Wszelkie usługi religijne będzie pełnił w tymże kościele tak samo jak i w innych quasi-parafialnych kościołach. Chicago 2. marca 1889. Feehan, Abp." O. Wincentemu Arcybiskup powiedział, by wszystko odbyć jak najspokojniej bez draźnienia ludu". W dalszym ciągu ks. Kobrzyński opisuje samo otwarcie kościoła: „Przed wielkim ołtarzem przyklęknąłem, jako preparacyę do Mszy św. odmówiłem exorcyzm (aby wypędzić djabłów!) potem Asperges, i t. d. Następnego dnia 4. marca poszedłem do kościoła św. Trójcy prywatnie zobaczyć, w jakim stanie znajduje się Najśw. Sakrament, który był w tymże kościele uwięziony przez 8 lat. Od śmierci ks. Mielcusznego N. Sakrament tu pozostawał. Arcybiskup w czasie tych 8 lat posyłał parę razy swego Wikarego Generalnego, aby zabrał z kościoła N. Sakrament, ale komitet kościelny nie dał mu tego zrobić i nie wpuścił do kościoła. Otworzywszy tabernakulum, przybrany w komżę i stółę, przy zapalonych 2 świecach, znalazłem puszkę całą prawie zczerniałą, pokrytą zbutwiałą sukienką, na korporale zbutwiałym. Otworzywszy puszkę, znalazłem w niej 6 czy 7 komunikantów, wcale nie zepsutych; puszka wewnątrz złocona, była zupełnie czystą, żadną śniedzią nie pokryta; obok puszki w melchisedechu pomiędzy szkłami, pokrytemi jakoby delikatnym mchem zielonkowatym, widać było hostyę, także nie zepsutą. Komunikanty swieżej wyglądały—mam niemałe podejrzenie, że musiał tam ktoś chyba sekretnie mieć

Mszę, może który z księży narodowców, bo wątpię, by przez 8 lat i to w kościele dość wilgotnym, jakim jest kościół św. Trójcy, w tak dobrym stanie zachował się N. Sakrament. Zamknąłem tabernakulum i kluczyk wziąłem ze sobą. Następnego dnia 5. marca miałem mszę, podczas której spożyłem stare komunikanty i hostyę—postacie nie były zepsute—tylko było czuć stęchlizną, szczególnie hostya, która nadto była miękką, przesiąkła wilgocią. Pokonsekrowałem nowe komunikanty w oddzielnym kielichu, a puszkę i melchisedech wziąłem do oczyszczenia; sukienkę i korporał zbutwiałe spaliłem. W czwartek, piątek i sobotę, 7., 8. i 9. marca było nabożeństwo expiacyjne, nauki dawał ks. Martynian Możejewski, proboszcz z Lemont. Przez post codzień, po różańcu i litanii, otwieram tabernakulum, śpiewam trzy razy po polsku. „Przepuść Panie, przepuść ludowi Twemu"—i te słowa pozwolił Arcybiskup śpiewać przy każdem błogosławieństwie N. Sakr. jako expiacyę za to więzienie Chrystusa Pana w tym kościele. Zatrzymałem organistę i nauczyciela. Kościół jest zapchany i wielu przed kościołem stoi, trzeba będzie mieć dwa nabożeństwa. Na mszy św. każdodziennie po parę set osób bywa... Musimy tę parafię sami trzymać, bo gdyby jakikolwiek ksiądz świecki się dostał, ogromnegoby zamieszania narobił w naszej parafii św. Stanisława K., bo jedna parafia w drugiej. Muszę i tu mieć pomocnika... Uważam, że tu punkt ważniejszy niż Kraków — tam mają mnóstwo duchowieństwa, a tu żniwo bardzo obfite, a robotników nie ma... Umysły spokojne—nie długo prawie zapomną o O. Idzim (Tarasiewiczu)..."

Chciano O. Idziego lub O. Gordona dać na Trój-

cowo. Ale ks. Kobrzyński 24. kwietnia r. 1889 do Generała: „Co do parafii św. Trójcy, to o O. Idzim ani myśleć nie można. Z powodu jego rozrzutności ciągle nas posądzają ludzie o złodziejstwo, i do dziś dnia kasy kościelnej (u św. Trójcy) nie mogę dostać, pomimo iż w tych dniach otrzymałem i pismo od Arcybiskupa, które ludowi udzieliłem, iż kasa winna być u księdza..." A. O. Moszyński, C. R., 16. maja 1889: „Projekt, aby O. Idzi albo O. Gordon mógł zająć parafię św. Trójcy, jest całkiem niemożebnym."

Administracya ks. Kobrzyńskiego nie cieszyła się popularnością. Brak wzajemnego zaufania wywołał wkrótce naprężenie stosunków. Kością niezgody stała się znów kasa kościelna: chciał ją mieć ks. Kobrzyński w swoich rękach, a komitet kościelny na to nie chciał przystać. „Z największą cierpliwością i wyczekiwaniem—pisze ks. Kobrzyński—przypomniałem komitetowi co do kasy, ale ci głusi... Komitet nie chciał z rąk swoich popuszczać dochodów kościoła. Poddają się pod kontrolę księdza, ale kasy nie oddadzą, bo gdy oddadzą, pójdzie ona do św. Stanisława. Odpowiedziałem, że każdy cent będzie użyty na kościół św. Trójcy, **że mnie o kasę nie chodzi,** bo gdybym nie miał kasy, miałbym mniej kłopotów, ale jeśli się upominam o kasę, **to tylko z posłuszeństwa rozporządzeniu Arcybiskupa**... Nic to nie pomogło, stali przy swoim, przytem wiele i oszczerczych rzeczy gadali na O. Wincentego, że ich okradł itp. Dałem list Arcybiskupa czytać na mityngu, nic to nie pomogło. Nadto p. Morgenstern, sekretarz Związku, tłómacząc z angielska na polskie, tłómaczył, że w tym liście Arcybiskupa jest tylko, że ksiądz ma mieć

tylko kontrolę nad funduszami a'e nie fundusze; jednakże p. Osuch, prezydent Związku Nar., któremu podałem oryginalny własnoręczny list Arcybiskupa, wyrzekł w końcu, iż nie można ukrywać, bo w liście wyraźnie stoi, iż kasa powinna być u księdza. Parafianie... że ich Arcybiskup oszukał, co innego obiecał, a co innego zrobił, itd... Nie dość na tem. Przed 4-ym lipca przyszło do mnie 2 komitetowych, Jakób Nowak, kasyer, i Jan Wojtalewicz trustys, i przedstawiwszy mi, że trzeba na wszelki przypadek kościół zaasekurować od ognia, podali mi kwit do zapłacenia asekuracyi w General and Milwaukee Co. na $4,400 (procent od tej sumy $44), w British America na $2,200 (proc. $22), w City of London na $2,200 (proc $22)—więc kwit na zapłacenie z kasy kościelnej $88 podpisałem, w nadziei, że ci jako uczciwi ludzie dowody asekuracyi przyniosą mi dla wręczenia ich Arcybiskupowi, a ci nie tylko papierów nie przynieśli, ale nawet asekurowali nie na imię Arcybiskupa, ale na swoje imię, t. j. trustysów; a gdym się upominał o papiery, powiedzieli, że parafia zadecydowała, aby były u trustysów. Długo robiłem starania, aby przerobić to ubezpieczenie: w kompanii powiedzieli, iż nie mogą zmienić, dopóki trustysi nie oddadzą poprzednich papierów... Robili wypłaty organiście i innym bez podpisu księdza; bez pytania się księdza reperowali dach na kościele, etc. Chcieli mnie znudzić, zniechęcić, abym ich porzucił ,aby potem dostali ks. Dominika Majera lub ks. Domagalskiego..."

Z takim komitetem nie szło Więc ks. Kobrzyński zwołał mityng do wybrania nowego komitetu. Powstaje Wojciech Górny i oświadcza: „Przed skoń-

czonym rokiem nikt nie ma prawa rozwiązywać komitetu.” — „Popieram” — woła Adam Kotarski; „popieram” — odzywa się Jan Grzecza, itd.

Nieporozumienie wzmagało się, aż ostatecznie zakończyło się otwartem zaburzeniem w niedzielę 1. września r. 1889 i—ponownem zamknięciem kościoła. Jak się to stało, opisuje ks. Kobrzyński 3. i 4. września r. 1889: „Dla poruszenia sumień, od niedzieli postanowiłem mieć kazania o rzeczach ostatecznych... Arcybiskup kazał ogłosić, iż On sam rozwiązuje komitet, a nim się nowy wybierze, abym ja sam z pomocą jednego z braci Zgromadzenia zbierał rent za ławki, kolektę, itd. Na ambonie powiedziałem ludziom: „że dziś na kolektę wyjdzie brat.” Zeszedłszy z ambony, kazałem bratu Andrzejowi, przybranemu w sutanę i komżę, wyjść na kolektę; tymczasem dawni kolektorzy zatrzymali go przy drzwiach zakrystyi i nie puścili na kościół. Przyszedł do mnie do ołtarza, gdym odmawiał „Credo”, pytać się co ma robić; powiedziałem mu, iż swoje zrobił, nie puścili, więc zostać; a tamci kolektę zbierali po kościele i wielu na przekór dawali jałmużnę. Opowiedziałem to Arcybiskupowi. Arcybiskup, wyczerpawszy wszystkie łagodne środki ,kazał mi ogłosić ostatni, który też wygłosiłem z ambony; mianowicie podczas kazania o sądzie ostatecznym po słowach, jakie sprawiedliwy Sędzia wyrzecze do wybranych a potem do odrzuconych, przemówiłem w następujący sposób:

„Kościół nasz św., ta czuła i tkliwa matka, nie chcąc aby kto z jej dzieci miał zaginąć wiecznie, nawołuje je zawsze do pokuty i poprawy, karci i karze dopóki czas zmiłowania. I w obecnym czasie tenże Kościół, chcąc was wyleczyć z najwyraźniejszego nie-

posłuszeństwa, jakieście okazali dla władzy duchownej, a w szczególności dla N. Arcybiskupa, a w Jego osobie dla rozporządzenia Samego Chrystusa Pana, **ogłasza niniejszą świątynię w stanie żałoby;** a że żałobie nie przystoi wesoła muzyka i śpiew, odtąd w niniejszym kościele odprawiać się będą tylko w niedzielę po dwie Msze ciche czyli czytane, a w ciągu tygodnia nie będzie żadnego nabożeństwa, ani żadnej Mszy. Nadto nie będzie przechowywany Chrystus P. w N. Sakramencie, bo nie przystoi, aby P. Jezus sakramentalnie mieszkał pomiędzy dziećmi zbuntowanemi i nieposłusznemi..."

„Chciałem dalej przedłużać kazanie, gdy wtem odezwał się głos na chórze: „Jezus, Marya, Józefie św. ratujcie nas!" Wszczął się w kościele krzyk, wrzask, złorzeczeństwa—a jeden Jakób Szatkowski rzeźnik przyszedł pod samą ambonę a zacisnąwszy pięście i wzniósłszy rękę do góry, groził mi i wrzeszczał: „przestań i zleź z ambony, bo cię za łeb zrzucimy"—i wiele innych pięści wzniosło się w górę. Wtedy widząc wyraźny bunt, zeszedłem z ambony, napastnik szedł za mną do zakrystyi i groził pięścią a wrzeszczał: „nie waż się więcej przychodzić." Potem poszedłem do ołtarza, wypuryfikowałem kielich, wypiłem ablucyę i na tem skończyło się nabożeństwo. Ktoś krzyknął: „niech żyje Polska!"—i zaczęli śpiewać na całe gardło „Boże coś Polskę." Ja zabrałem naczynia śś, zaniosłem do zakrystyi, schowałem, rozebrałem się i poszedłem do św. Stanisława.

„Oto ma, najdroższy Ojciec, obraz wychowania ludzi przez narodowców, których X. Idzi bronił, zasłaniał i przeciwko mnie powstawał, że nie umiem się z nimi obchodzić. Trójczanie wybrali adwokata Ir-

landczyka, który oświadczył Arcybiskupowi, że komitetowi rezygnują ze swych urzędów, że żadnych wyzywań nie było, że gdy ksiądz zabrał N. Sakrament, dwie kobiety zemdlały i zrobił się krzyk. Arcybiskup przyjął to tłómaczenie za dobrą monetę, a gdy dali zrzeczenie się na piśmie, kazał mi pójść do kościoła w niedzielę 8. września, mieć nabożeństwo jak zwykle i zakonsekrować N. Sakrament. Choć przewidywałem, że Arcybiskupa oszukują, i przedstawiliśmy Mu z O. Wincentym, że tylko chcą Go wyzyskać, powiedziałem: zróbmy wszystko, aby im do końca pokazać miłość, a oni sami niech się jeszcze wiecęj skompromitują. W niedzielę 8. września miałem o 8. cichą a o 10. Mszę uroczystą śpiewaną (a gdzie się podziała „żałoba?"?): tak na czytanej jak śpiewanej Mszy ciż sami starzy kolektorzy kolektowali pieniądze i zabrali, a sekretarz rentował ławki Słowem, zakpili sobie z Biskupa. Donieśliśmy to z O. Wincentym Arcybiskupowi... 13 września Arcybiskup polecił mi wybrać nowy komitet, ten ogłosić w niedzielę, i żeby ten komitet rozpoczął funkcyonować; jeśli to się nie uda, zamknie kościół. Poszedłem wieczorem do kilku lepszych parafian, ale boją się..."

Ostatecznie zamknięto kościół św. Trójcy. W liście z 12-17 września r. 1889 ks. Kobrzyński: „Do św. Trójcy Arcybiskup innego jak Zmartwychwstańca nie da. I nie można, bo inny jakikolwiek ksiądz dostawszy się do św. Trójcy, poburzyłby całą parafię św. Stanisława... Oto widzi Ojciec, na jakim to stoim wulkanie..." A 22. listop. r. 1889: „Rozmaici exy, ex-Zmartwychwstańcy Cichocki, Wieczorek, itd., ex-kapucyn Kozłowski, ex-reformat Możejewski, etc,

etc., zdaje się że ciągle podburzają parafian św. Trójcy, aby stali uparcie przy swojem. Arcybiskup dotąd stoi stale."

Trzecie bezkrólewie od r. 1889—1893.

Obrońcy parafii po raz trzeci rozpoczęli starania około otwarcia kościoła. Arcybiskup, niezadowolony z owych awanturniczych zajść, nie robił im żadnej nadziei. · Udali się więc znowu do Kardynała Simeoniego. W kilka miesięcy później dowiedzieli się, że w Baltimore bawi delegat papieski Mgr. Satolli—do niego więc wysłali pp. Antoniego Małłek i Józefa Gillmeistra, w listop. r. 1889. Mgr. Satolli odrzekł im, że nie ma żadnej juryzdykcyi do załatwienia podobnego rodzaju spraw; przyrzekł atoli, że weźmie ich petycyę ze sobą do Rzymu i tam przedłoży takową Prefektowi Propagandy Kard. Simeoniemu. Po audyencyi u Mgr. Satolliego, delegaci, za poradą księży Rodowicza i Chowańca, odwiedzili także kardynała Gibbons. Ten, tłómacząc im stosunek kardynała do praw dyecezyalnych, dodał, że kwestyą św. Trójcy mógłby się zająć jedynie za specyalnem upoważnieniem Ojca św.

W tym czasie przy szkole św. Trójcy zaszła zmiana nauczycieli w paźdz. r. 1889, miejsce p. Małłka który został obrany sekretarzem gen. Związku N. P., zajął p. Jabłoński. Podówczas liczba parafian uszczupliła się nieco, bo tak już bywa na świecie i taka jest natura ludzka, zwłaszcza polska, że mniej wytrwali zniechęcają się długiem niepowodzeniem. Tymbardziej, że przeciwnicy wmawiali w słabsze umysły, że przyszłość żadnej nadziei w łonie swem nie chowa dla onej nieszczęśliwej parafii.

Jednakowoż przeszło 60 dzieci uczęszczało do szkoły, a dzwonek kościelny po staremu wiernych na pacierze co niedzielę zwoływał. Smutny ale zarazem i pełen uroku jakiegoś widok przedstawiał się w niedzielę, gdy płonęły świece na ołtarzu, przy którym kapłana nie było, gdy lud wierny staropolskim zwyczajem korzył się przed Stwórcą śpiewając: „Święty Boże, Święty mocny...” A taka gorąca wiara w przyszłość i w sprawiedliwość Boga i w słuszność sprawy była w tych, którzy wytrwali, że gdy im zarzucano, że tak uporczywie, przy swojem obstają i bez księdza na modlitwy się schodzą, odpowiadali, że przecie Chrystus wysłucha bodajby dwóch lub trzech zebranych w Imię Jego. I Chrystus Pan zmiłował się nad opuszczoną swą gromadką.

Poselstwo do Rzymu.

Komitet postanowił teraz zapukać wprost do drzwi Ojca chrześcijaństwa, wysyłając do Rzymu specyalną delegacyę. Najstarsi i najwięcej do kościoła przywiązani parafianie wyłożyli pieniądze na koszta podróży do Rzymu. Było to w początkach lipca r. 1890, kiedy to, wydelegowani przez parafię, pp. Jabłoński i Grajczyk, puścili się w daleką i uciążliwą podróż. Ojciec św. był podówczas osłabiony i chory (upały sierpniowe), nie sposób więc delegatom było stanąć przed Jego obliczem. Udali się przeto do sekretarza Propagandy Arcyb. Jacobiniego, który ostro odezwał się do przybyłych, że wie o co chodzi i że delegaci niepotrzebny trud podjęli jadąc do Rzymu, gdyż, jak się dowiedział, nie są dobrymi katolikami. Na to mu odpowiedziano, że gdyby parafianie nie byli dobrymi katolikami, z pew-

nością nie wydawaliby tyle pieniędzy na podróż i delegaci nie podjęliby się wcale tej podróży—ale całą tę sprawę załatwionoby zupełnie inaczej. Po tym wstępie okazał ks. Arcyb. Jacobini więcej sympatyi, wypytywał się o szczegóły, zaznaczył, że trzeba się udać do kardynała Ledóchowskiego, który przecie jest Polakiem. Udali się tam. Lecz sługa ks. kard. Ledóchowskiego poprostu powiedział, że ten dostojnik kościoła absolutnie nikogo nie przyjmuje, i drzwi zamknął przed nosem delegatów.

Wieczorem tego samego dnia delegaci mieli posłuchanie u Prefekta Propagandy Simeoniego, który ich bardzo uprzejmie i po ojcowsku przyjął. Ubolewał nad położeniem św. Trójcy, lecz zaznaczył, że Propaganda niechętnie wdaje się w podobne sprawy, które miejscowy biskup powinien załatwić i prosił delegacyę, aby kilka dni zaczekała na ostateczną odpowiedź Propagandy. Audyencya ta nie wzbudziła otuchy w delegacyi, to też robiono inne kroki, aby sprawiedliwość uzyskać—niestety daremnie. Takie było uprzedzenie w sferach kościelnych dla parafii tej, strona przeciwna była tak silna i niczego nie zaniechała, aby udaremnić missyę delegatów, że Propaganda ostatecznie oświadczyła, iż pod żadnym pozorem do sprawy tej mieszać się nie chce i że ją jedynie biskup miejscowy załatwić miał.

Z tym kwitkiem delegacya powróciła do domu. Łatwo sobie wyobrazić przygnębiające wrażenie parafian. Znowu mniej wytrwali zwątpili już do reszty, pozostała tylko garstka, garstka wiernych, którzy, na wzór Abrahama „przeciw nadziei w nadzieję uwierzyli" (Rzym. 4, 18), że mieli zostać ojcami wielkiej parafii. I oto w chwili, gdy miecz zagłady, jako nad

Izaakiem, zawisł nad parafią św. Trójcy, zmiłowanie Boże zbliżyło się.

Ostateczny tryumf i zwycięstwo, w r. 1893.

Owego czasu Ameryka dostała ablegata papieskiego, któryby, zasiadając w stolicy Stanów w Washingtonie, w imieniu Papieża rozstrzygał spory kościelne w Stanach Zjednoczonych. Tym pierwszym przedstawicielem Papieża na całe Stany Zjed. był Mgr. Fr. Satolli. Do niego więc wystosował komitet par. list, na który otrzymał odpowiedź, że ablegat będzie koło 1. maja (r. 1893) w Chicago. że jednak potem na 1. maja przybyć nie mógł, komitet parafialny postanowił wysłać delegacyę do Washingtonu, aby ablegatowi osobiście sprawę przedłożyć. Posłano pp. Jabłońskiego i Binkowskiego. Mgr. Satolli przyjął ich bardzo przychylnie i wyrażając im sympatyę powiedział wiele rzeczy, będących natury delikatnej, a w końcu przyrzekł, że na początku czerwca będzie w Chicago i odprawi Mszą św. w kościele św. Trójcy.

Tak przynajmniej jedna podróż udała się. W Chicago przyjęto delegatów z entuzyazmem i rozpoczęto odnawiać kościół na przyjęcie tak dostojnego gościa. Znaleźli się i wtedy jeszcze niewierni Tomasze... jak zwykle.

O Wincenty teraz całymi dniami zajęty był sprawą św. Trójcy. Pisze ks. Kasprzycki, C. R., 22. maja 1893 do Generała Przewłockiego: „Ojcu Proboszczowi niech N. O. Generał przebaczy, że nic nie odpisuje, bo ma strasznie dużo na głowie. W tych dniach przyjeżdża Mgr. Satolli do Chicago i, jak są pogłoski, ma rozstrzygnąć sprawę o kościele św. Trójcy; nasz

Biskup kazał proboszczowi przygotować **memoryał** o kościele św. Trójcy i tą sprawą jest teraz zajęty. Jeżeli Mgr. Satolli rozstrzygnie, że kościół św. Trójcy ma być przez OO. Zmartwychwstańców obsługiwany, **a tego sądu czyli wyroku się spodziewamy,** to niech N. O. Generał pomyśli, aby nam wkrótce znowu jaką pomoc przysłać, bo nie damy sobie rady, gdyż księżom świeckim jesteśmy solą w oku!"

Dnia 31. maja r. 1893 Mgr. Satolli przybył do Chicago i pobawił tu aż do 6. czerwca. W czasie tych sześciu dni tak się umiał sprawić, że kiedy 6. czerwca opuszczał Chicago, był i wilk syty i koza cała. Zmartwychwstańcom tysiące grzeczności wyświadczył, więcej niż Trójczanom; ale podczas gdy jedną ręką głaskał Zmartwychwstańców, drugą im Trójcowo z rąk wyrywał. Posłuchajmy obu stron. Najpierw Trójczanin, p. Antoni Małłek, pobyt i działalność Mgr. Satollie'go tak opisuje:

„Gdy się zbliżył dzień oznaczony, komitet parafialny z p. Jabłońskim na czele przywitał Mgr. Satolliego na dworcu kolejowym i odwiózł go do plebanii włoskiej przy Market ulicy, gdzie zamieszkał. Wrogowie atoli nie spali, gdyż ablegat przybywszy do Chicago już był znowu uprzedzony do Trójczan. Zarzucał komitetowi, że go w błąd wprowadzono, że nie ma żadnych parafian, że tylko kilku właścicieli szynków obok kościoła życzą sobie, aby dla ich interesu kościół został otworzony, że nie ma domu dla księdza, że wszyscy powinni uczęszczać do kościoła Stanisława i kwita. Odpowiedziano na to, że przeciwnie w kościele św. Stanisława nie ma miejsca dla wszystkich, gdyż zakupiono już plac pod nowy kościół św. Jana Kantego, itp. Zdziwiło to nie mało

ablegata i wreszcie oświadczył, że namyśli się i że w kilka dni komitet znowu do siebie poprosi. Jakoż po kilku dniach gazety angielskie głosiły, że ablegat papieski wyklnie parafię św. Trójcy, jeżeli nie podda się woli biskupa. Tego samego wieczora, na wezwanie, komitet stawił się u Mgr. Satolliego i rozpoczęła się długa rozmowa trwająca co najmniej godzinę. Szala zwycięstwa przeważała się to na tę, to na ową stronę Ostatecznie jednak zdołano przekonać Mgr. Satolliego o słuszności sprawy, tak, iż wreszcie dnia 5. czerwca r. 1893., wśród licznie zebranego tłumu, Mgr. Satolli, z ramienia Papieża wysłany wszedł uroczyście do kościoła św. Trójcy, odprawił tam Mszą św. i lud polski błogosławił. Po nabożeństwie udał się na plebanię, gdzie zjadłszy śniadanie z okien przypatrywał się dzielnym krakusom i dziewczątkom w bieli, które z kwiatami u drzwi stały. Tłumy witały go i żegnały a dziewczątka rzucały mu kwiaty pod nogi. Powóz jego dawno już był znikł a tłumy jeszcze się nie rozeszły—cała Noble ulica była zapełniona. Ściskano się i płakano z radości. Był to faktycznie dzień radosny, dzień tryumfu i szczęścia dla tej prześladowanej parafii." (por. „Dzieje Parafii św. Trójcy").

Tak więc Trójczanie czuli się szczęśliwymi. Ale i strona przeciwna czuła się na razie zadowoloną z Mgr. Satolliego. Zmartwychwstańcy w chwili wyjazdu Mgr. Satolliego z Chicago byli najlepszych nadziei. Nazajutrz, 7. czerwca 1893 ks. Kasprzycki, C. R., pisał do Generała Przewłockiego: „Nie czekając na odpowiedź na mój list poprzedni, znowu Przew. Ojcu piszę, a mianowicie o pobycie Mgr. arcybiskupa Satollie'go, delegata papieskiego w Chicago. Delegat

Satolli przybył do Chicago 31. maja i zamieszkał przy włoskim kościele u zakonników Serwitów, gdzie częściej celebrował i kazał przez 3 dni. Zaraz po przyjeździe delegata do Chicago pojechaliśmy z naszym O. Proboszczem (Wincentym Barzyńskim), aby go powitać i złożyć Mu z naszej strony nasze homagium. Ponieważ Satolli wyłącznie przybył do Chicago, aby załatwić kwestyę o kościele św. Trójcy, więc też delegaci tego kościoła byli pierwsi u Niego i całą rzecz mu przedstawili o co im głównie chodzi; wysłuchał ich cierpliwie i przyobiecał im, że w poniedziałek t. j. 5. czerwca odprawi w kościele św. Trójcy mszę św. i całą sprawę załatwi. Po wysłuchaniu ich zażaleń rozmówił się z biskupem tutejszym; a gdyśmy przyszli Go przywitać, sam rozpoczął wypytywać szczegółowo O. Proboszcza o Trójcę. Może nikt mu tyle szczegółów nie opowiedział co O. Proboszcz. Po opowiedzeniu całej sprawy o Trójcy mówił z nami jeszcze długo o Rzymie, o kollegium greckiem, etc.; w końcu uczynił i naszej prośbie zadosyć, bo przyobiecał nam przybyć na procesyę Bożego Ciała, która przypada w niedzielę 4. czerwca. Nasze bractwa i Towarzystwa po południu wystąpiły z całą okazałością na przyjęcie tak wielce cenionego gościa. Dwa powozy posłaliśmy po niego, a towarzyszyliśmy Mu z kościoła Serwitów aż do nas z O. Legrandem. Najświętszy Sacrament niósł w około kościoła sam Delegat w asystencyi wszystkich naszych ojców i kilku włoskich księży i zakonników. Delegat sam powiedział, że tak uroczystej procesyi nigdzie w Ameryce nie widział... Przed odjazdem prosił, aby czterech z naszych ojców nazajutrz asystowali Mu przy Mszy św. w kościele św. Trójcy. Nazajutrz O.

Felix Żwiardowski, O. Legrand, O. Piechowski i ja pojechaliśmy powozem do kościoła św. Trójcy; delegata jeszcze nie było, więc mogliśmy na miejscu wszystko dobrze przygotować. Nadjechał Delegat a my wprowadziliśmy Go przy muzyce i biciu w dzwon do kościoła. Przed wielkim ołtarzem odprawił mszę św. cichą, a po mszy poszedł do dawnej plebanii na śniadanie i my z Nim. Przy śniadaniu Mgr. Satolli był bardzo wesół i dużo rozmawiał z nami; po śniadaniu Trójczanie ofiarowali Mu bukiet z róż, który On ofiarował zaraz Zmartwychwstańcom dla Matki Boskiej. Tak więc skończyła się ceremonia u św. Trójcy. Dnia następnego rano o 7:30 odjeżdżał Mgr. Satolli do Washingtonu, więc pojechaliśmy z O. Proboszczem na pożegnanie i towarzyszyliśmy Mu aż na dworzec. Na dworcu mówił mi, że jest rzeczą konieczną dla nas, abyśmy mieli nowicyat w Ameryce... Sprawa z Trójcą jest nie skończona. Mgr. Satolli dał warunki dla nich biskupowi i biskup ma je wykonać; zdaje nam się, że Trójca bądź co bądź będzie naszą—videbimus."

Tymczasem tegoż samego dnia, w którym ks. Kasprzycki powyższe słowa pisał, to jest 7. czerwca, 1893, Mgr. Satolli u Krzyżaków w Notre Dame, Ind., podpisał wyrok, który w przekładzie z łacińskiego brzmi tak:

„DLA KOŚCIOŁA ŚW. TRÓJCY.

„Delegat Apostolski przedstawia warunki, jakie parafia (Congregation) powiada, że przyjmie, i jakie Najprzew. Arcybiskupowi przedłoży. 1) Natychmiast kościół św. Trójcy z całą własnością w ręce Arcybiskupa ma być oddany, podług prawa kościelnego i cywilnego. 2) Ma być sporządzony dokładny wykaz

długów, jakimi tenże kościół obecnie jest obciążony. 3) Ustanowiony ma być komitet administracyjny kościoła podług prawa. 4) Proboszcz będzie mianowany przez Najprzew. Arcybiskupa. **Polacy oświadczają, że nie chcą księdza ze Zgromadzenia Zmartwychwstania. Delegat proponuje księdza ze Zgromadzenia św. Krzyża.** Ksiądz będzie pełnił **wszystkie funkcye Proboszcza** dla tych familii, które na piśmie oświadczą że są bliższe kościoła św. Trójcy i że chcą do tegoż kościoła należeć; których listę z podpisami Arcybiskupowi się poda. Nadto ksiądz będzie na skinienie Arcybiskupa. 5) Sprawozdanie z zarządu poda się Arcybiskupowi ilekroć tego zażąda. A wydatków mniej potrzebnych niech się nie robi. Po wypłaceniu długu obecnego, resztę zachować.

+Franciszek Arcybiskup Satolli,
Delegat Apostolski."

Pomyślne Rządy Księży Krzyżaków, od 11. czerwca r. 1893 aż do dziś dnia.

W Zgromadzeniu św. Krzyża, mającem główną siedzibę w tym kraju w Notre Dame, Indiana, znajdowało się podówczas kilku polskich braci zakonnych, kleryków i 3 księży, z których najstarszy wiekiem i godnością był powszechnie w South Bend szanowany ks. Walenty Czyżewski. Wiedząc o tem i znając Krzyżaków z dobrej strony, p. F. H. Jabłoński zaproponował ich Mgr. Satolliemu, a ten na Krzyżaków odrazu się zgodził i prawie przemocą parafię św. Trójcy im powierzył. Objęli ją Krzyżacy urzędownie w niedzielę 11. czerwca 1893. W opłakania godnym stanie była parafia Kasa wyczerpana do

szczętu, kredyt zrujnowany, długów przeszło $10,000, karność rozprężona. Dla zbadania sytuacyi przybył tu najpierw tymczasowo ks. Czyżewski, który po 3 tygodniach urzędowania wybrał stósownie do rozporządzenia Mgr. Satolli'ego, komitet parafialny i instalował stałego proboszcza. W skład komitetu weszli na 1 rok: D. Ekowski sekr., St. Słomiński kasyer, oraz Józef Grajczyk i P. Binkowski radnymi. Proboszczem zaś stałym został ks. Kaźm. Sztuczko, dotychczasowy asystent przy kościele św. Jadwigi w South Bend.

W obozie Zmartwychwstańców konsternacya na wieść, że Trójcowo z rąk im się wymknęło. Powyżej przytoczony wyrok czyli „Warunki Delegata", pierwszy przesłał do Rzymu ks. Eug. Sedlaczek, C. R., na ręce bawiącego właśnie w Rzymie podówczas ks. Szymona Kobrzyńskiego: „Powstrzymuje się od detalicznego sprawozdania o św. Trójcy. Wystarczą drogiemu Ojcu „Warunki Delegata" postawione dla Trójczan i korespondencya „Kuryera Milwauckiego", które w liście dołączam i o których zwrot serdecznie proszę, bo mi się na później przydać mogą... Przez otworzenie kościoła św. Trójcy **niceśmy nie stracili**— absolutnie—owszem zyskaliśmy. Już teraz dają się słyszeć pogłoski, że buntownicy starzy podnoszą swe głowy i w salunach wyrażają swe niezadowolenie z energicznego postępowania księdza. Zobaczymy co będzie dalej." A 26. czerwca r. 1893 pisał tenże ks. Sedlaczek do Generała: „Zatrzymałem się nieco z listem, gdyż czekałem na rezultat, tyczący się otwarcia kościoła św. Trójcy. Wynik jest według mnie **niekorzystny dla naszej Misyi**, gdyż cała ta **szajka** uzyskała to, czego pragnęła. **Arcybiskup Sa-**

tolli zgodził się na wszystkie punkta, które mu delegacya schyzmatyków przedstawiła. Dążeniem ich było, by z filii zrobić kościół niezależny od kościoła św. Stanisława. Na początku zdawało się, że Satolli się na ich żądania nie zgodzi—spisałem mu memorandum z r. 1873—1893, cała praca była daremna, w oczy zdawał się być nam przychylny—za oczy zaś działał zupełnie przeciwnie. Arcybiskup Feehan był muszony milczeć. Nową tę parafię zawiadowują Ojcowie ze Zgrom św. Krzyża, to nas jeszcze cieszy, bo gdyby świecki ksiądz ją był otrzymał, wtedy nie mało by było nieporządków. Parafia św. Trójcy w ten sposób została urządzona, że kto chce może doń należeć, wszakże musi podać imię, nazwisko i ulicę, na której mieszka. Wiele na tem nie utraciliśmy, gdyż są to wszystko fanatycy, którzy w ogóle do nas nie uczęszczali na nabożeństwo i dla kościoła nic nie czynili. Czy rzecz weźmie inny i lepszy obrót, o tem wątpią wszyscy. Daj Boże! by się wszystko obróciło na chwałę Jego. Przyjąłem na siebie obowiązek śledzić postępowanie tego kościoła, ztąd też utrzymuję różnej barwy gazety, by kiedyś z nich użytek zrobić... Wyspowiadaliśmy dotąd 19,000... wiele mieliśmy do pracy, bo znikąd pomocy nie żądaliśmy, gdyż poznaliśmy się już dostatecznie na księżach (świeckich), którzy w takich razach dobrzy są do kieliszka. Staramy się dobrze zorganizować tak abyśmy zupełnie zerwali stosunki z nimi... Katolicyzm będzie się mógł tylko wtedy utrzymać, jeżeli zakonnicy wezmą parafie pod swój dozór..." A ks. Szymon Kobrzyński, C. R., który tymczasem powrócił z Rzymu, pisze z Chicago 15 lipca r. 1893: „Arcybiskup mi wspomniał, że nie

wierzy w szczere nawrócenie Trójczanów; może być, że w niedalekiej bardzo przyszłości znów zrobią zaburzenie, ale wtedy na czysto będzie z nimi koniec, a przynajmniej się i inni przekonają, że **to nie nasza wina iż są tak uparci...**"

Tymczasem następne lata spokojnego, aż do dziś dnia, rozwoju tej parafii „przekonały i innych, że to była wina ojców chicagoskich iż Trójczanie byli tak uparci."

Ojcowie nadrabiali miną. Ks. Kasprzycki, C. R., 27. lipca r. 1893: „Prawie żadnego uszczerbku nie mamy z takiego na pozór mniemanego rozporządzenia niekorzystnego dla nas. **Cała hołota przeniosła się do św. Trójcy,** a my jak mieliśmy, tak i mamy wielką parafię. Chodzi tylko o to, żebyśmy mieli dosyć sił, aby wszystkim potrzebom podołać..." Ks. Wincenty Barzyński, po otwarciu św. Trójcy, udał się do cudownego miejsca św. Anny w Beaupre w Quebec na rekolekcye, i z Montreal pisał 7. sierpnia r. 1893: „Budowa kościoła św. Jana K. była już zaczęta przed tem nim Mgr. Satolli oddał kościół św. Trójcy Zgromadzeniu św. Krzyża. Otóż między parafią św. Stanisława K. a nową św. Jana K. otworzona parafia **samowolnie** przez Delegata nie tak zanadto ma wielkie pole, chociaż to Zgromadzenie (św. Krzyża) jest bogatem. Powiedziałem, że Mgr. Satolli otworzył a raczej utworzył tę parafię **samowolnie,** bo 1) otworzył ją przeciw wyraźnie określonym warunkom przez J. E. Kardynała Prefekta Propagandy F. Simeoniego; 2) pierwej zadecydował (o ile fakta pokazują) tej sprawy załatwienie aniżeli porozumiał się z Biskupem naszym; 3) **Co się tyczy nas** (którzyśmy przez lat 19 stali przy wła-

dzy Biskupiej i jedynie w obronie zasad Kośdoła i praw, że klika kilku bluźnierców i oszczerców nie ma prawa sprzeciwiać się regularnej władzy kościoła św.)—to nas ani nie miał ochoty widzieć Jego Mość Delegat Papieski, lecz z woli N. Arcybiskupa prosiłem o audyencyę, więc ją nam dał. Jednakże dla nas o ledwie że nie lepiej iż się tak stało uważam prawie za istotne zrządzenie Opatrzności Bożej to zakończenie tej tak opłakanej a przestarzałej sprawy. Bo wisiał nad nami gorszy miecz. Oto banda księży świeckich pragnęli wziąść Kościół Trójcy pod jakimbądź pretekstem i całą parafię św. Stanisława K. dzielić na kawałki po swojemu..."

Nowy pleno titulo proboszcz kościoła św. Trójcy, ks. Kazimierz Sztuczko, C. S. C., rozpoczął działać z dniem 27. czerwca r. 1893. Najpierw zajął się młodszą dziatwą, potem starszą, młodzież zorganizował w towarzystwa, dorosłych połączył w Bractwa Rożańcowe. Następnie urządził 40 godzinne nabożeństwo, podczas którego bardzo dużo osób, po długiem czysto światowem życiu, pojednało się z Bogiem w trybunale Pokuty. Do pomocy przyszli księża: U. Raszkiewicz ,W. Czyżewski, E Wóbel, St. Nawrocki, Fr. Lange i Fr. Wojtalewicz. Ze sąsiadów nikt. Zaraz z początku urzędowania stał się tu fakt, który dał dużo rozgłosu parafii św. Trójcy i ks. Sztuczce. Tym faktem było nabożeństwo przedsejmowe Związku N. P., odprawione tu d. 1. września r. 1893.

Pozyskawszy byt legalny oraz stanąwszy raz na równej drodze, parafia św. Trójcy nie cofała się wstecz, ale z dniem każdym rozwijała się i postępowała naprzód. Jej rozwój po kilku miesiącach od

otwarcia kościoła był w oczy bijącym; uwydatniało go przedewszystkiem liczne grono dzieci szkolnych zbierających się tam, gdzie pierwej były same prawie pustki. Nie wystarczyły dwie suterynowe, na szkołę przerobione sale plebanii; urządzono dwie klasy na drugiem piętrze plebanii, potem i pokój gościnny przerobiono na szkołę—ale to wszystko nie zdołało pomieścić licznie napływającej dziatwy. Dlatego na mityngu 1. lut. 1894 uchwalono budować osobny gmach szkolny. Dnia 15. maja rozpoczęto budowę tego gmachu który ma 3 piętra, jest 150 stóp długi a 50 szeroki, i mieści w sobie 1 dużą salę, 12 sal mniejszych na klasy, licząc po 60 dzieci, 3 sale do posiedzeń dla Towarzystw, 1 sala do zabawy, 2 pokoiki dla stróża i pomieszczenie dla kotła parowego do ogrzewania wszystko kosztem około 60,000. Poświęcenie tego gmachu szkolnego odbyło się 27. stycznia r. 1895.

Przy rozpoczęciu budowy szkoły zdarzył się wypadek zaznaczenia godny. Otóż Arcybiskup Patryk Feehan raczył złożyć parafii swoją pierwszą urzędową wizytę. Stało się to 31. maja 1894. Przyjęto go okazale. Całe Stanisławowo wtedy oczom swoim wierzyć nie chciało, widząc Biskupa odwiedzającego parafię św. Trójcy. Tak to „dziwnie się plecie na tym Bożym świecie..."

Na wiosnę r. 1895 budynek kościelny został o jakie 6 stóp podwyższony, przysunięty do ulicy, wzmocniony i powiększony, przez co przybrał piękniejszy kształt. Kościół podniesiony w górę a zbliżony frontem aż do samej ulicy, unosząc się nad nią, pięknie odnowioną wieżycą, wyglądał jakby zdawał się mówić do przechodniów: „Zmiłował się nademną

Pan Bóg i wydźwignął mię z poniżenia i pogardy!"

Po odniesionem zwycięstwie, życie w parafii św. Trójcy zaczęło bić coraz to żywszem tętnem. Rozwój szkoły pod względem liczby dzieci tak się przedstawia: Za czasów ks. Mielcusznego i później (od założenia szkoły r. 1877 aż do 1889) uczęszczało przeciętnie 90 dzieci do szkoły, która to liczba od r. 1889—1893 zmalała o połowę. Po otwarciu atoli kościoła w r. 1893 od razu 309 dzieci się zgłosiło; następnie r. 1894 uczęszczało już 472; r. 1895 było w szkole 530 dzieci; r. 1896 było 650; r. 1897 było 683; r. 1898 było 750—dziś przeszło 1000. Parafia liczy około 1,200 familii. Od czasu otwarcia kościoła było w przecięciu rocznie: 500 chrztów, 90 ślubów, 120 pogrzebów. Roczny dochód przeciętnie $25,000. Przy otwarciu kościoła w r. 1893 było długu okrągło $10,000.

Opiekę nad szkołą wydziału męskiego mają bracia Zgromadzenia św. Krzyża (Piotr, Czesław, Wojciech i Władysław); wydział zaś żeński pod dyrekcyą Sióstr Nazaretanek (13). Klas jest 12; stopni nauki dla chłopców jest 8, a dla dziewcząt 6. Brat Piotr był od początku i jest głównym dowódzcą całej armii wychowanków. W duszpasterstwie pomagali ks. proboszczowi Sztuczce kolejno następujący asystenci: ks. K. Truszyński, ks. Eligiusz Raczyński, C. S. C., wymowny kaznodzieja i znakomity katecheta, ks. Marciniak, C. S. C., cichy i wierny robotnik w winnicy Pańskiej, ks. Teodor Jarzyński, ks. Bonifacy Iwaszewski, wuj ks. Czyżewskiego z South Bend, urodził się w Kongresówce r. 1875, studyował w Notre Dame, Ind., a na teologię uczęszczał do uniwersytetu w Washingtonie. Wyświęcony r. 1900. Przybył r. 1905 ks. Mieczysław Szalewski, C. S. C.

Proboszcz ks. Kazimierz Sztuczko, C. S. C., za którego rządów parafia się podniosła i doszła do rozkwitu, urodził się w Mirosławiu w gub. Suwalskiej w roku 1867. Na wezwanie ks. Czyżewskiego przybył do Ameryki, wstąpił do Zgrom. św. Krzyża ,pobierał nauki w Notre Dame, Ind., i tu w roku 1891, wyświęcony został. Przez 2 lata pracował jako drugi asystent przy kościele św. Jadwigi w South Bend, poczem w roku 1893 objął parafię św. Trójcy. Ks. Sztuczko nie tylko o dusze żywych, ale i o ciała umarłych ma staranie, będąc sekretarzem cmentarza św. Krzyża i cmentarza św. Wojciecha (ks. Fr. Bobal kasyerem). Nie od rzeczy będzie tu podać ich sprawozdanie finansowe na rok 1900 i tak na cmentarzu św. Wojciecha w tym roku dochodów było: za groby $8,119, za loty $11,035; rent salonu przyniósł $400; rent cieplarni $200; dochód nadzwyczajny $5,104; gotówka z poprzednich lat $3,926—razem dochodów $28,784. Rozchody: pensya stałej służby cmentarnej $2,840; robotnikom wypłacono $4,255; długów spłacono $10,000; procenta $740; wydatki bieżące $3,891—i pomimo tych wydatków pozostało jeszcze gotówką w kasie $7,057. Na cmentarzu św. Krzyża dochodów było w roku 1900 tylko $1,482—pomimo to gotówką zostało w kasie $414. Umarli gospodarzą się nie źle!

Kiedy parafia św. Trójcy się organizowała roku 1873, wiele osób wypożyczyło rozmaite sumy pieniędzy na zakupienie lot, budowę kościoła, itp. Niefortunne losy parafii były powodem, że wierzyciele nie mogli odebrać swoich pieniędzy w oznaczonym czasie. W ostatnich latach, chociaż parafia św. Trójcy miała finansowe zasoby, aby swe długi mogła spłacić,

to przecież opierała się temu, podając za powód, że ponieważ OO. Zmartwychwstańcy w początkach tą parafią rządzili, więc też oni mieli te długi popłacić. Nareszcie wierzyciele zaangażowali adwokata N. L. Piotrowskiego. Ten nie udał się z tą sprawą do sądów świeckich, jak to poprzedni adwokaci czynili, tylko do władzy kościelnej. Sprawa ta toczyła się blisko 3 lata i od władzy chicagoskiej poszła do apostolskiego delegata do Waszyngtonu. Po długiem oczekiwaniu delegat Martinelli w obszernej decyzyi przyznał, że wierzycielom słusznie się te pieniądze należą i zawyrokował, aby połowa tego długu została zapłaconą przez parafię św. Trójcy, a druga połowa przez parafią św. Stanisława Kostki, nie ex stricta justitia, lecz ex morali aequitate. Obie parafie poddały się wyrokowi i dnia 30. kwietnia r. 1901 wyrok ten został wykonany; każdy wierzyciel odebrał swoją sumę z procentem, z czego wielka radość panowała.

Stary drewniany kościół św. Trójcy okazał się za małym i przystąpiono do budowy nowej wspaniałej świątyni murowanej, której kamień węgielny poświęcił w czerwcu r. 1905 J. Em. ks. Arcybiskup Fr. A. Symon. W październiku zaś r. 1906 nowy kościół św. Trójcy uroczyście poświęcony został przez Arcybiskupa Quigley'a.

Polacy żywiący Niemców w Chicago.

Głównie wskutek kłopotów, jakie miała parafia św. Trójcy, wielu Polaków przyłączyło się do niemiecko-katolickiej parafii św. Bonifacego. Miło nam wszakże zaznaczyć, że na początku r. 1902 (czy nie wskutek głośnej sprawy wrzesińskiej?) Polacy żywiący Niemców przy parafii św. Bonifacego odbyli

już dwa zebrania, na których zastanawiano się nad utworzeniem przy Chicago avenue, nowej parafii polskiej. Przygotowano prośbę do arcybiskupa i delegata apostolskiego, aby na utworzenie parafii dali pozwolenie. A r. 1905 istotnie założono tu nową polską parafię pod wezwaniem śś. Młodzianków, o której później jeszcze wspomnimy.

---

3. PARAFIA ŚW. WOJCIECHA W CHICAGO, ILL.

West 17th and Paulina Street.

(Założona około r. 1874.)

W promieniu kilka mil naokoło Stanisławowa przez długi czas nie śmiała żadna inna parafia kiełkować, a ta która kiełkowała, św. Trójcy, zaledwie wegetowała jak roślinka kamieniem przywalona. Dopiero gdy roku 1893. Mgr. Satolli kamień odwalił, parafie jedna po drugiej, jakby z ziemi wyrastały tuż pod bokiem Stanisławowa. Lecz dalej od Stanisławowa, o kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt mil na południe (zawsze jeszcze w obrębie miasta Chicago), parafie polskie, wolne od przygniatającego wpływu Stanisławowa, kiełkowały, rosły i rozwijały się daleko wcześniej i swobodniej.

I tak o trzy mile na południe od Stanisławowa 2½ mili na południ. zachód od środka miasta (gmachu poczt.) utworzyła się już około r. 1874 osobna dzielnica polska, nazwana Wojciechowem od parafii, która się tu zorganizowała pod wezwaniem św. Wojciecha. Pierwszym proboszczem tej parafii był ks. Klimecki. Ówczesny proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Chicago, ks. Szymon Wieczorek, C. R.,

pisał 15. września r. 1874 do Generała Semeneńki: „...Rozpoczęto budować nowy i trzeci kościół w środku Chicago, i Biskup tam dał polskiego kapłana świeckiego, ks. Klimeckiego, ex-Bernardyna, tego który miał być u mnie asystentem, lecz gdy O. Wincenty (Barzyński) przyjechał, więc Biskup dał mu tę parafię w pośrodku."

Po roku nastąpił ks. Dominik Majer (obecnie w St. Paul, Minn.) „Kalendarz" z roku 1876, pisze o tem „Wojciechowie" co następuje:

„W przeciwnej (od Stanisławowa) stronie miasta Chicago, w stronie zachodnio południowej, osiadła się także dość znaczna liczba Polaków, lecz nie mieszkają już tak ścieśniono obok siebie ani też tak liczebnie, jak na Stanisławowie. Ależ ci, zakupiwszy 3 loty (place) na rogu 17-ej i Paulina ulicy, pobudowali sobie dotąd przyziemię (basement), t. j. niższe półpiętro kościoła i tam urządziwszy sobie skromnie, ubogo, ale czysto i chędogo świątynię, chwalą Boga aż do lepszych czasów, aż ich na wybudowanie wyższego półpiętra, a zatem zupełnego kościoła, stanie. Budowla ta jest murowana z cegieł. i takim będzie cały kościół. Plebania obok ze szkołą w przyziemiu stanęła już przed rokiem, a więc roku 1875. Dzwon dość znacznej wielkości zawieszono roku bieżącego, 1876, w tymczasowo na prędce zbudowanej dzwonnicy, lecz czasu swego będzie ten Wojciech, gdyż na chrzcie św. takie mu imię dano, z wieży kościoła wzywał prawowiernych Polaków na korne modły i przypomni nie jednemu, chociaż w przybliżeniu tylko, naszego Wojciecha Apostoła w Gnieźnie.

„Rządcą tej parafii św. Wojciecha jest ks. Dominik Majer. Nauczycielem i organistą tej parafii jest p. Konstanty Małłek". (str. 99. i 100.)

Następnie podaje tenże „Kalendarz” z roku 1876, ile towarzystw polskich wówczas w roku 1876 w Chicago istniało: Powiada: „Towarzystw wszelkich istnieje w Chicago dziewięć: Te są: Gmina Polska w Chicago, Stanisława Kostki, św. Wojciecha, św. Trójcy, św. Józefa, dwa św. Krzyża, N. Serca Jezusowego i Tow. Kościuszki. Gmina Polska w Chicago i Tow Kościuszki są Tow. narodowemi. Inne 7 są kościelnemi. Wszelakoż członkowie tow. narodowych należą do tow. kościelnych i odwrotnie. Najstarszemi z tych towarzystw jest Gmina Polska i Tow. św. Stanisława Kostki, które już przeszło 11 lat istnieją” (obacz „Kronikę Polonii w Ameryce”, na str. 100.)

Ks. D. Majer, nie mogąc znieść sąsiedztwa ks. Wincentego, pożegnał Chicago z końcem r. 1878. „Ks. Majer opuścił Chicago—pisał ks. Wincenty 3. grudnia r. 1878 do Rzymu—a w jego miejscu Opatrzność N. Maryi P. osadziła ks. Śnigurskiego, najszczerszego dzisiaj naszego przyjaciela.”

Ks. Adolf Śnigurski, którego znamy już z Texas i Wisconsinu, rządził tą parafią aż do r. 1884. Krótko przed swoim wyjazdem z Chicago w liście z 1. maja r. 1884 ks. Śnigurski tak opisuje swoją działalność, oraz swoje przykrości i zawody: „Już od lat 14 pracuję z Ojcami (Zmartwychwstańcami). Po mojem pierwszem przybyciu do północnych stron r. 1875, mając zamiar powracać na dawne miejsce do Texas, lecz znalazłszy O. Wincentego w Chicago w największych trudnościach, zdecydowałem się zatrzymać, trzy miesiące pracując jak nieboże stworzenie za Pan Bóg zapłać. Później zostawszy w Wisconsinie, zawsze mu pomagałem z narażeniem się własnem. Przed

6 laty opuściwszy moją misyę w Wisconsinie, zarzekałem się że nigdy już więcej żadnej misyi polskiej nie wezmę, lecz nieszczęśliwie uległem prośbom O. Wincentego Barzyńskiego i Matki Moniki Felicyanki, przyjąłem misyę św. Wojciecha w Chicago, powiadam nieszczęśliwie, bo obecnie ten sam O. Barzyński, który przed 6 laty z płaczem mnie upominał, bym ratował misyę św. Wojciecha, tenżeż sam nie tylko że toleruje w domu swoim intrygi naprzeciwko mnie, lecz je aprobuje i sam pomaga. Przebywszy tu 6 lat, używszy wiele biedy, kłopotów i utrapienia, dał mi P. Jezus, żem się doczekał oglądać trochę owoców mojej pracy ciężkiej i mozolnej. Doczekałem się pięknego chociaż nie bardzo wielkiego kościołka, dwóch szkół, z których jedna prowadzoną jest przez cywilnego nauczyciela a druga na Bridgeporcie przez SS. Felicyanki. Gdy u św. Wojciecha były pustki, gdy w chlewku Boga chwalono, mało też było na niego ochotników. Przed trzema laty, gdy byłem w Europie, zostawiłem cały zarząd mojej misyi O. Wincentemu, lecz cóż za zdziwienie moje było, gdy powróciwszy zastałem ludność rozhukaną, rozburzoną. Dowiaduję się, badam o przyczyny, a w końcu widzę jasno, że O. Wincenty należy do całego tego Dyabelnego Wesela. Kilka tygodni przed moim powrotem z Europy (r. 1881) przybył do niego z Paryża jakiś Młokos ks. Jan Radziejewski, któremu się niezmiernie Wojciechowo podobało, a więc też nie tracąc ani jednej chwilki czasu, wziął się do roboty, jako człowiek elegancki, towarzyski potrafił on zjednać sobie opinie kobiet, których się często zapytywał: nieprawdaż że ja jestem piękniejszym od waszego proboszcza? Podczas smutnej roboty O. W.

Barzyński zachował się zupełnie biernie, jakby do niego ta sprawa nie należała; owszem proteguje intryganta i intrygi, dowodem tego jest fakt następujący: ludzie dobrej woli, widząc co robi ks. J. Radziejewski, wiedząc, że ja O. W. Barzyńskiego pozostawiłem jako osobę odpowiedzialną za parafię, napisali do niego, wyrażając całą rzecz. O. Barzyński oddał list ks. J. Radziejewskiemu, który w następną niedzielę zebrawszy radę parafialną publicznie go odczytał, z czego tak okropna powstała awantura, że ów człowiek który ten list pisał o mało że nie został zabity. Na te wszystkie awantury przybyłem z Europy i uśmierzyłem zaburzenie; lecz ów jegomość ciągle był u O. Barzyńskiego w największych łaskach i jest do dziś. Gdy już był spokój przywrócony w Parafii, on mieszkając u św. Stanisława ciągle intrygował. Zażądałem od O. Barzyńskiego sprawiedliwości, który na mój list odpowiedział tak podle, tak bezwstydnie, że sam nie wiedziałem co na to odpowiedzieć. Po upływie pół roku, za wdaniem się naszego Arcybiskupa, nastąpił kompletny spokój w parafii, skutkiem czego nasze z św. Stanisławem stosunki przyszły do pierwotnego stanu. Ks. J. Radziejewski został przez O. Barzyńskiego wysłany do South Chicago. Jedna sprawa jest ukończona, a druga następuje. Potrzebowałem księdza do pomocy, a O. Barzyński wiedział o jednym we Lwowie, o którym jak powiada miał najlepsze rekomendacye, tylko że ów ksiądz miał nieszczęście zabić człowieka. Poszedłem do Arcybiskupa, ten stanowczo odrzekł, że go nie przyjmie, com O. Barzyńskiemu zakomunikował. Potem zjawia się u nich jakiś ksiądz —i to ten sam; uważając za niepodobieństwo, aby

go O. Barzyński wbrew woli Arcybiskupa przyjął— w końcu przyjąłem go na $50 miesięcznie, stół, kwaterę i opranie. Mój ksiądz codzień idzie do św. Stanisława zaraz po Mszy i aż do 11 w nocy zostaje... wchodzi w umowę z ludźmi na Bridgeporcie, z którymi (z ks. Radziejewskim) zaczynają formować nowe towarzystwo; odmówiłem im mojej sankcyi a więc zabiegi spełzły na niczem... Po niejakim czasie ks. M. M. za wstawieniem O. Wincentego zostaje przyjęty do Dyecezyi Grand Rapids do miasta Grand Rapids na pastora Polaków... listami tu burzy i skutkiem swoich listów zburzył naprawdę część Parafii tam gdzie towarzystwo zakładał, ci ludzie chodzą do O. Wincentego, ten im bezwstydne rady daje ,szle ich do Arcybiskupa—i teraz znów ks. M. M. i ks. Kand. Kozłowski z O. Wincentem idą do Arcybiskupa..."

Tak więc nieznośne stosunki zmusiły ks. Śnigurskiego do rezygnacyi, a parafię św. Wojciecha objął r. 1884 ks. Jan Radziejewski, w którego też ręku ster rządów parafialnych spoczywał przez następne 20 lat, aż do jego śmierci r. 1904. Urodzony r. 1844 w Ks. Poznańskiem, do szkół uczęszczał w Ostrowie, Poznaniu i Rzymie gdzie go 22. maja r. 1869 wyświęcono. Jakiś czas był wikarym administratora ks. Szymona Kruszki we Wieleniu. Jako kapłan patryota, nie lubiany przez rząd pruski, wskutek praw majowych był zmuszony przenieść się do Paryża. Tu pozostał 6 lat, aż do r. 1881, kiedy ks. Wincenty Barzyński, wracając z Rzymu z wyprawy „po księży", przez Paryż przejeżdżał. Krótko potem, bo 15. lipca r. 1881, ks. J. Radziejewski przybył do Chicago, gdzie pracował przy parafii św. Stanisława K., potem w South

Chicago, gdzie r. 1882 założył parafię M. B. Niepokalanego Poczęcia. W r. 1884 objął parafię św. Wojciecha, w której przez 20 lat gorliwie pracował nad dobrem powierzonych sobie owieczek. Pomagali mu dzielnie asystenci: Sklorzyk, potem ks. K. Słomiński, były proboszcz z Joliet i Hawthorn, urodzony r. 1864 w Poznaniu, kształcony w Chicago, Berlinie (Kanada) i w Rzymie, a święcony r. 1890 w Chicago, pracował przy parafii św. Józefa, pobudował kościół w Joliet i założył parafię w Hawthorne. Potem pomagał ks. Radziejewskiemu ks. Olszewski, wyświęcony r. 1900. Umarł ks. Radziejewski jak rzadko kto umiera;—możnaby powiedzieć, jak żołnierz na posterunku, w pełnym mundurze i z bronią w ręku,—bo w chwili, kiedy wypełniał jeden z najświętszych obowiązków kapłańskich, przybrany w szaty i mając przy sobie przybory potrzebne do udzielenia choremu Sakramentu Ostatniego Namaszczenia. W środę późno wieczorem pojechał do chorego, od którego późno w nocy wrócił do plebanii, skarząc się stangretowi, że czuje się słabym i że pewnie koniec jego się zbliża. Stangret zaprowadził go do pokoju, a ponieważ wszyscy już spali, ofiarował się iść natychmiast po doktora, lecz ks. Radziejewski odradził mu, dodając, że słabość chwilowa przejdzie. Niestety nie przeszła, bo gdy w czwartek rano zajrzano do pokoju ks. proboszcza, znaleziono go siedzącego na kanapie w sutannie i komeżce bez życia. Zwłoki jego złożono w grobowcu OO. Zmartwychwstańców, których był wiernym przyjacielem.

Lecz wróćmy do parafii św. Wojciecha. Ta, z biegiem czasu, tak pięknie się rozwinęła, że jest dziś, po parafii św. Stanisława, bodaj czy nie największą.

Liczy około 12,000 dusz. Dzieci do szkoły na początku roku 1901, uczęszczało 1335, między nimi 575 chłopców i 560 dziewcząt. Uczy tam 13 Siόstr Nazaretanek; klas jest 12, stopni nauk, kursów, 8. Bractw, Dworów Leśniczych, Krakusów, Rycerzy, Husarzy, Ochotników, Kółek Dramatycznych, chórów i innych towarzystw jest w tej parafii bez liku. A we wszystkich tych organizacyach życie patryotyczne i religijne szumi i wre, aż kipi.

W szkolnej hali, w której się wygodnie pomieścić może tysiąc osób, odbywają się amatorskie przedstawienia ,obchody narodowe i rozmaite posiedzenia.

Grunta i budynki parafialne są warte dzisiaj $180,000. Wielkie długi świadczą o wielkim kredycie, jaki parafia ma. Pod światłem i sumiennem kierownictwem swego proboszcza, parafia ta rok rocznie naprzód postępuje. A proboszczem tym od roku 1904 jest ks. Kazimierz Gronkowski, któremu pomagają księża Żuchoła i Ostrowski.

---

4. PARAFIA NIEPOKALANEGO POCZĘCIA M. B. W SOUTH CHICAGO, ILL.

Exchange and 88-th Street.

(Założona r. 1882.)

Trzynaście mil w prostej linii na południowy wschód od Stanisławowa, a dziesięć od Wojciechowa, powstała w r. 1882 czwarta z rzędu polska parafia w Chicago pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny Niepokalanego Poczęcia, 12 mil na południe od środka miasta, t. j od głównej poczty. Do najstarszych parafian i założycieli kościoła należą: Michał Siuda,

Michał Ignowski, Jan Rozynek, Wojciech Furman, Marcin Wióra, Stanisław Tyma. Pierwszym proboszczem był ks. Jan Radziejewski, a następnie ks. Michał Pyplatz, którego Generał Semeneńko przysłał. Dnia 14. czerwca r. 1884 ks. Pyplatz, pisząc do Generała, „dziękuje mu za wyświadczone dobrodziejstwa. Pomimo ustawicznej pracy (bo często aż do ½12-ej a czasem nawet już po 12-ej w nocy jeszcze siedzą w konfesyonale) dość dobrem cieszę się zdrowiem i dziękuję Bogu ,że tutaj skierował nogi moje, bo ja lubię i chcę pracować podług możności."

Ciężka praca czekała tutaj ks. Pyplatza, gdyż na własnościach parafialnych ciężył dług przeszło $24,-000 i nawet plebanii nie było. Ale trudności ks. Pyplatza nie odstraszyły. Wziął się szczerze do pracy i—przyozdobił kościół w bogate paramenta i kosztowne naczynia kościelne, pobudował plebanię i halę parafialną kosztem $16,000, dokupił kilka lot pod nowy kościół i—z małymi wyjątkami—prawie wszystkie długi wypłacił. Po nim ks. Zaleski rozpoczął budowę nowego kościoła, którego tylko dolną część wystawił.

Od d. 20. września r. 1895 proboszczem jest ks. Wojtalewicz, pod którego błogimi rządami parafia się rozwija bardzo pomyślnie. Jego to energia dźwignęła z fundamentów wspaniałą świątynię, rozpoczętą jeszcze przez poprzednika; jego staraniem wnętrze kościoła tak pysznymi przyozdobiono malowidłami, jak chyba w całem Chicago nie znajdziesz; szczególnie uwagi godne są dwa olbrzymich rozmiarów ścienne obrazy, przedstawiające sceny z życia św. Stanisława Biskupa (z jednej strony wyklęcie Króla Bolesława, z drugiej śmierć męczeńska św. Stanisława). Wprost czarujący widok przedstawia

kościół wieczorem, gdy tysiące świateł elektrycznych oświetla jego wnętrze, ściany, łuki i sklepienia.

Zaledwie ks. Wojtalewicz uporał się z budową kościoła, a owo już snuje plany nowej szkoły polskiej. I oto staje na pięciu lotach przy Exchange avenue czteropiętrowy gmach szkolny z bezmentem, który to gmach mieści w sobie 22 klasy i obszerną halę. Rozmiary budynku: 110 przy 125 stóp. Wielki też czas był rozpocząć tę budowę, gdyż liczba dzieci szkolnych w tej parafii rośnie jak na drożdżach. W roku 1897 było ich 600, a pod koniec roku 1900 już około 1,000, zaś r. 1905 blisko 1500. Nauczycielkami są Siostry Zakonu św. Franciszka w liczbie 23. Od r. 1900 jedna z nich trudni się tylko udzielaniem lekcyi muzyki. Parafia liczy około 12,000 dusz i rokuje wielką przyszłość. W r. 1905 ks. Wojtalewicz wystawił nową przepyszną pleoanię. Asystenci: ks. L. Grudziński i ks. F. J. Karabasz. Parafia wylewa z brzegów i będzie trzeba nową zorganizować.

W przeszłości miała i ta parafia srogie losy i ciosy. Srogim ciosem dotknął ją Pan Bóg, gdy w roku 1894, jej pierwotny, drewniany kościół się spalił. Lecz nie ma złego, coby na dobre nie wyszło; więc jak śpiewa sławny poeta chicagoski p. Zahajkiewicz:

„Lecz i pożar straszny nie mógł
Zjeść parafian mocnej Wiary.
Bo na chwałę Wszechmocnego
Wierne, dzielne parafiany
W miast biednego drewnianego
Wznieśli kościół murowany!”

W łonie tej parafii aż się roi od towarzystw i bractw różnych. Są tu Rycerze i Legiony i Sokoły

i Chóry; a oprócz tego jest jeszcze Towarzystwo Biblioteki rara ąvis w parafiach naszych. W skład tego Towarzystwa Biblioteki wchodzą: z każdego towarzystwa 3-ch delegatów i proboszcz. Piękne jest to urządzenie, gdyż ci trzej delegaci zdają sprawę towarzystwom swoim w jakim stanie się znajduje biblioteka, oraz co jest nowego lub też co potrzeba, a przez to prawie cała parafia interesuje się biblioteką i korzysta z niej. Staraniem Towarzystw odbywają się piękne obchody narodowe i przedstawienia teatralne.

Dzielny proboszcz tej parafii ks. Franciszek M. Wojtalewicz urodził się w Zalesiu, w Prusach Zachodnich, dnia 2. grudnia roku 1861. Do Ameryki przybył r. 1869 i do pierwszej komunii św. przystąpił w pierwszym kościele polskim w Chicago u pierwszego proboszcza parafii św. Stanisława K. ks. Juszkiewicza. Do szkół uczęszczał w Chicago, potem w St. Francis, przy Milwaukee, i w St. Meinrad, Indiana. Dnia 21-go grudnia r. 1889 został wyswięcony w katedrze w Chicago przez Arcybiskupa Feehan'a. Pracował najpierw jako asystent przy tej parafii, której dziś jest proboszczem, potem był kapelanem w niemieckim domu sierót w Highbridge, Ill., następnie założył parafię w Gostyniu, tudzież w Sobieski, Ill., gdzie pracował 3 i pół roku, a od roku 1895 jest proboszczem w South Chicago, gdzie ogólnie lubiany i szanowany, z wielką korzyścią pracuje. Pomaga mu dzielny młody ks. Franciszek Jagielski.

5. PARAFIA ŚW. JÓZAFATA W CHICAGO, ILL.

228 Southport Avenue.

(Założona r. 1884.)

Piątą co do starszeństwa parafią w Chicago jest przegrodzona rzeką i kolejami od św. Stanisława, parafia św. Józafata, założona r. 1884, o milę i ćwierć, w prostej linii, na północ od Stanisławowa, a 3½ mili na zachodnią-północ od środka miasta. Pierwszym proboszczem był tu ks. Kandyd Kozłowski, podpisujący się wówczas jako „tercyarz OO. Zmartwychwstańców", posyłający stąd liczne śpiewane Msze śś. do Rzymskiego Domu. Ks. Kandyd był w spokojnem posiadaniu tej parafii, aż do przyjazdu ks. Szymona Kobrzyńskiego, C. R., do Chicago, który pisał już 18 lipca r. 1888 do Generała Przewłockiego: „Gdybyśmy byli mieli w swoim czasie kim z naszych obsadzić św. Józefata, mielibyśmy z tą parafią zupełny spokój, parafianie Kaszubi, są daleko spokojniejsi i uczciwsi niż inni, zwłaszcza Galicyanie, jakich mnóstwo mamy w naszej parafii i ogromnie nam brużdżą—dziś u św. Józefata ex-kapucyn ks. Kand. Kozłowski ciągle przeciwko nam burzy, odmawia kandydatów dla Zgromadzenia, nieustanne starania robi u Biskupa by mu dał wikarego świeckiego księdza, by się zupełnie zapewnić przy tej parafii; nadto podmawia wielu z świeckich księży, by się u Biskupa starali o nową parafię św. Jadwigi. Otóż, jak gwałtownie potrzebujemy księży, by z samego początku obsadzić naszymi św. Jadwigę..." A O. Moszyński, C. R., 22. maja r. 1889 donosił: „Gdy przyślecie O. Grochowskiego, to mógłby się zająć parafią św. Józefata; gdybyśmy mieli kogo, to Arcybiskup

X. Kozłowskiego zarazby wyforował a nam tę parafię oddał, bo on nam wiele szkodzi..." I znowu O. Szymon Kobrzyński tego samego dnia: „Są na tamtej parafii (św. Józefata) dość znaczne rachunki, które się należy oddać św. Stanisławowi, a o tych ks. Kozłowski słyszeć nie chce... Ks. Kozłowski będzie zmuszonym opuścić parafię św. Józefata, kogo tam dać, gdyż tak nas mało..."

Tak więc dni ks. Kandyda Kozłowskiego w Chicago były policzone. Kto miał po nim nastąpić? Zmartwychwstańców nie było dosyć, a zresztą zachodziła obawa, że Kaszubi nie przyjmią Zmartwychwstańca, więc trzeba było na świeckiego się zgodzić. Pierwszego tedy przedstawiono ks. Franciszka Xaverego Langego, ówczesnego asystenta na Bridgeporcie, który, choć był świeckim, jednak z trzech racyi się kwalifikował na to stanowisko, raz, że to Kaszuba, powtóre, przychylny ojcom, a po trzecie, że **był chorowity**. Pisał ks. Kobrzyński, C. R., 13. czerwca r. 1889: „Arcybiskup powiedział mi, że już jest zmęczony ks. Kozłowskim, chce mu podziękować za jego usługi i żąda od nas księdza do parafii św. Józefata. Ale cóż? nas tak mało? Przedstawimy, **jak na teraz**, księdza świeckiego, rodem Kaszubę, a więc tamtejsi Kaszubi będą musieli być zadowoleni, gdyż wyjściem ks. Kozłowskiego wielu będzie poburzonych, bo sobie wyrobił dość silną partyę; o ile mi się zdaje, ten ksiądz jest bardzo dobry i będzie nam przychylny, a przytem gdy jest chorowitym, będzie potrzebował naszej pomocy (kiedy ojcowie sami sobie pomódz nie mogli!), więc będziemy mieli większy wstęp do św. Józefata, niż mamy dzisiaj. Bieda i bieda zewsząd—z jednej strony,

bardzo wielu patrzy na nas zazdrosnem okiem (nie „zazdrosnem” lecz piorunującem, świętym gniewem płonącem!), że tyle parafii mamy w Chicago (których opatrzyć nie możemy a jednak więcej ich mieć pragniemy!—z drugiej strony nie mamy ludzi i **dosyć i odpowiednich**, byśmy wszystko sami objąć mogli..." O żądzo chciwości, nigdy nie nasycona, palisz tylko i pożerasz ojców!—Kandydatura ks. Langego widocznie nie podobała się Generałowi Przewłockiemu, gdyż zaproponował ks. Felixa Żwiardowskiego, C. R., z Texas. Ale na to ks. Kobrzyński 29. lipca, r. 1889 tak Generałowi odpowiedział: „Był tu O. Felix, chce do nas ze wszystkiem na mieszkanie. Co do projektu postawienia go u św. Józefata, to na teraz trudno 1) już jest przedstawiony Arcybiskupowi X. Lange, Kaszuba, a więc trudno odwoływać, gdyż już Arcybiskup przyjął go; 2) zdrowie ks. Felixa za słabe; 3) ks. Kozłowski tak burzy przeciw Zmartwychwstańcom, iż niewiadomo, czyby chętnie którego z nas przyjęli..." Pomimo to przedstawi tę rzecz Arcybiskupowi: „Jeśli Arcybiskup przyjmie O. Felixa do św. Józefata, to O. Edward (nie umiejący po polsku) będzie mu mógł pomagać nawet w słuchaniu spowiedzi, **bo Kaszubi umieją dobrze po niemiecku."** Atoli 27. sierpnia r. 1889 ks. Kobrzyński donosi Generałowi, że Arcybiskup chce, żeby „ do św. Józafata dać ks. Martyniana Możejewskiego, ex-Reformata” z Lemont, Ill.

I rzeczywiście dano ks. M. Możejewskiego. Ale był on tylko **jednotygodniowym proboszczem** parafii św. Józafata. Rzecz się tak miała, podług opowiadania ks. Kobrzyńskiego (w liście z 12-17. września r. 1889): „Ks. Kandyd Kozłowski ex-kapucyn robił od

dawna wojnę z Nazaretankami i ciągle dokuczał; te dokuczliwości doszły do tego stopnia, iż Arcybiskup zdecydował się go usunąć, przeniósł go więc do Lemontu, a z Lemontu dał do św. Józefata staruszka 60 letniego ks. Martyniana Możejewskiego, ex-Reformata, przybyłego do Ameryki przed 8 miesiącami z dyecezyi płockiej, w której był gdzieś proboszczem... Daliśmy dobrą opinię tak Arcybiskupowi jak Nazaretankom. Zmiana nastąpiła w jednym tygodniu... Ks. Kozłowski pojechał do Lemont w czwartek rano a ks. Możejewski przybył do św. Józafata w sobotę wieczór—przez te 3 dni ks. Kozł. tak pracował nad ks. Możejewskim, iż ten staruszek w niedzielę na kazaniu zaraz się odezwał, że widzi iż szkoła źle idzie, że te siostry nie umieją szkoły prowadzić, etc. Później w ciągu tygodnia użalał się na intrygi sióstr, które wygryzły pierwszego proboszcza a teraz i jego chcą wygryźć, etc., tak podburzył lud, iż w piątek wieczór zebrawszy się mnóstwo ludu... gwałtem wdzierali się do Sióstr, by je wypędzić. Arcybiskup dowiedziawszy się o tem wszystkiem, zawezwał ks. Lange'go, asystenta u ks. Żyłły, na Bridgeporcie, posłał go do św. Józafata na proboszcza, a staruszka usunął, który w dyecezyi już nie ma co robić. Gdyby nie było tych awantur i przygotowania ludu przeciw Zmartwychwstańcom, można było u św. Józafata umieścić O. Felixa z O. Edwardem, w dzisiejszych stosunkach nie podobna. Ks. Lange jest księdzem świeckim, Kaszubą i ma swych krewnych w parafii św. Józafata, prędzej mu się uda uspokoić umysły." Nie minęła więc ks. Lange'go parafia, pierwotnie jemu przeznaczona. „Śmierć i żona—przeznaczona"—a księdzu śmierć i parafia."

Generał Przewłocki, chociaż wiedział, że ojcowie na Stanisławowie mają pracy za wiele a księży za mało, ciągle jeszcze krzywem okiem się patrzył na to, że Józafatowo pozostaje w ręku księdza świeckiego. Dnia 9. grudnia r. 1891 ks. Kobrzyński odpowiada Generałowi: „Przystępuję do odpowiedzi na dwa ostatnie listy: O probostwie św. Józafata nie ma co myśleć, jest ks. Lange proboszczem, świecki, bardzo lubiany przez parafian... księża świeccy nie wypuszczą tego probostwa." Jakby to zbrodnią było, że **ksiądz świecki** został proboszczem! Tu masz czytelniku, przykład nienasyconej niczem chciwości mnicha, nie trzymającego się swojej reguły. Daj kurze grzędy, ona zechce wszędy—daj takiemu mnichowi jednę parafię, on będzie chciał je wszystkie zagarnąć, choćby ich zaopatrzyć nie mógł. Ojcowie i później jeszcze zęby sobie ostrzą na parafię św. Józafata. Kiedy Trójcowo wzięto im z pod nosa, pisał ks. Kobrzyński 15. października r. 1893: „Prace nam się otwierają coraz większe, oprócz Stanisława i Jana K mamy Cragin... a przytem i ks. Lange u św. Józafata jest sam, nie ma asystenta, jeden bowiem ks. Małecki umarł, drugi ks. Furman poszedł objąć probostwo po ks. Krollu, który dzięki Bogu opuścił Chicago... Otóż ten ks. Lange nie domaga, posyłaliśmy mu O. Bernarda (żmijewskiego) i dalej wypadnie posyłać jednego lub drugiego ojca (czy tych ojców mieli za wiele? Nie! lecz—) tym sposobem ludzie znów się przyzwyczają do nas, i na przypadek gdyby mocniej zachorował ks. Lange, moglibyśmy go korzystnie zastąpić a kto wie co będzie później..." Ale rachuby zawiodły ojców. Skrzypiące koło najdalej zajedzie, powiada przysłowie; i ks.

Lange, choć wątłego zdrowia, pchał taczkę życia naprzód i do dziś dnia ją pcha. A do pracy przybierał i przybiera sobie świeckich księży, jak ks. Łączyńskiego r. 1894, ks. Bolesława Nowakowskiego r. 1895, ks. Kazimierza Gronkowskiego r. 1897, później ks. S. Cholewińskiego i innych. To ma się rozumieć było zbrodnią w oczach ojców, którzy w zaślepieniu swojem mniemali, że tylko oni, a nie inni, tem mniej świeccy księża, powinni zarządzać parafiami. „Jeśli Najdr. Ojciec nie da nam pomocy—pisał ks. Kobrzyński 20. grudnia r. 1894 do Generała—to będziemy zmuszeni przyjąć wielce nam szkodliwą pomoc świeckich księży. Mamy **smutny przykład** na parafii św. Józafata, gdy O. Wincenty nie miał Zmartwychwstańców, dał tam na proboszcza przysłanego z Rzymu przez naszych ojców, podobno tercyarza naszego Zgromadzenia, ex-kapucyna ks. Kandyda Kozłowskiego; ten poburzył parafię do tego stopnia, że o Zmartwychwstańcach ani słyszeć nie chcieli i **musieliśmy się zgodzić** dać świeckiemu ks. Franciszkowi Lange, który i dziś okazuje się nam niby przyjacielskim i przychylnym, ale jest wpływowym, a gdy go drudzy świeccy księża podburzą, to gdzie może buty nam szyje...”

Z biegiem czasu ten ks. Lange, którego ojcowie byliby chętnie wysadzili gdyby tylko byli mogli (tak jak wyrzucali innych świeckich księży), został proboszczem nienaruszalnym (inamovibilis), a nawet konsultorem dyecezyalnym. Parafia św. Józafata, składająca się przeważnie z Kaszubów z pod Wejherowa, rozwinęła się bardzo pięknie pod umiejętnem kierownictwem ks. Langego, który jest nietylko rodakiem, ale i ziomkiem swoich parafian. Parafia li-

czy około 10,000 dusz, a około 15 towarzystw i bractw spaja i wzmacnia organizm tej parafii. Szkoła pod kierownictwem 8 Sióstr Nazaretanek, liczyła na początku r. 1901 dzieci 760, między nimi więcej niż połowa chłopców. Klas w szkole było 7, stopni nauk (kursów) 7. Za energicznem staraniem ks. Langego, stanęła w ostatnim czasie, pomimo klęsk i przeszkód, wspaniała nowa świątynia Pańska, która jest ozdobą całej okolicy i chlubą parafian. Owe nieszczęście w roku 1899, gdy burza szkielet żelazny kościoła w gruzy zwaliła, ani na chwilę nie zachwiało wiary parafian, a do większej ofiarności było bodźcem. Nowy kościół poświęcony został 8. czerwca r. 1902.

Kościół ten, będąc zupełnie ogniotrwałym, jest jedynym swego rodzaju w Stanach Zjednoczonych. Rozmiary tegoż wynoszą 186 stóp długości a 88 szerokości. Główne mury są 4 stopy grube—w wieżycach zaś grubość murów wynosi 6 stóp. Fundamenta wieżyc i całego frontu spoczywają na 260 dębach, po 50 stóp długich. Ciężar bowiem frontu i wieżyc sięga aż 18 milionów funtów. Boczne mury połączone są z wieżycami tak zwanemi „slip joints", dzięki czemu w całym gmachu nie ukazał się dotychczas najmniejszy rys.

Cała konstrukcya dachu jest z stali; sam dach zaś składa się z kafli (book tile) pokrytych na zewnątrz wyborową dachówką. W całym dachu i w suficie nie ma najmniejszego kawałka drzewa. Tak samo i do okien nie użyto żadnego drzewa. Szkło prosto w kamieniu jest osadzone. Posadzka jest mozaikowa. Jedną z zalet planu budowy jest ta, że filary stojąc zupełnie na boku, nie psują najpierw szyku ławek a każdemu z 1200 widzów pozostawiają wolny

widok na wszystkie 3 ołtarze. Sufit z sztukateryi w prześlicznym deseniu, spoczywa na 12 filarach, żelaznych, pokrytych t. zw. scagliola, (imitacyą marmuru) w ciemno zielonym kolorze. W murach wzdłuż kościoła i pod chórem znajduje się 14 nisz do stacyi Drogi Krzyżowej, oraz miejsca do konfesyonałów. W wieżycy po stronie ewangelii jest baptisterium czyli chrzcielnica, w drugiej zaś kapliczka.

Chór jest bardzo obszerny. Mieszczą się na nim organy, 31 stóp szerokości, a 15 głębokości, zbudowane według planu i pod dozorem prof. Singenbergera z St. Francis, Wis. Jest też tam miejsca dla 100 śpiewaków—po bokach nadto miejsca na ławki dla 200 osób.

Z boku, po stronie ewangelii dobudowano ofis parafialny z szafą żelazną w murze dla archiwów i ksiąg parafialnych. Takąż szafę umieszczono też i w zakrystyi do przechowywania rzeczy drogocennych, jako to: kielichów, monstrancyi, i t. p.

Osobliwością w budowie, wartą wzmiankowania, jest tunel (6 stóp szeroki, 7 głęboki) który prowadzi pod posadzką wzdłuż fundamentów kościoła. Służy on do wszelkich rur, jako to: ogrzewania, gazowych, wodnych, etc., jako środek wentylacyi, oraz osuszania posadzki pod całym kościołem.

Nienaruszalny proboszcz i konsultor ks. Franciszek Xawery Lange urodził się 13. grudnia r. 1857, w Domatowie, w Prusach Zachodnich. Studyował w Wejherowie i czyniąc zadość prawu pruskiemu, nosił przez 1 rok szablę przy boku. W r. 1884 przybył do Ameryki i słuchał filozofii w St. Francis, Wis., potem teologii w Baltimore, Md. Dnia 28 września r. 1888, wyświęcono go w Chicago. Po 10 miesięcznej

asystenturze na „Bridgeporcie" dnia 14. września r. 1889, objął parafię św. Józafata, gdzie lubiany i szanowany, gorliwie i sumiennie spełnia do dziś obowiązki proboszcza.

---

6. PARAFIA NIEUSTAJĄCEJ POMOCY N. M. P., W CHICAGO, ILL.

Na „Bridgeporcie", 889 32nd Street.

(Założona r. 1884.)

W tym samym roku, 1884, co Józafatowo na północ, powstała na południe od Stanisławowa, het poza Wojciechem jeszcze, na 32. ulicy nowa parafia pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny od Nieustającej Pomocy, 3½ mile na południe od środka miasta (głównej poczty). W jednem ze swoich sprawozdań ks. S. Nawrocki, teraźniejszy proboszcz tej parafii, o historyi jej założenia pisze tak: „O ile pamiętam, istniała w r. 1884, przy Farrel ulicy dwuklasowa szkoła z kapliczką, w której ks. Śnigurski z Wojciechhowa odprawiał nabożeństwo. Pokazało się jednak, że miejsce to jako kaplica nieodpowiednie, zakupiono zatem za staraniem ks. Radziejewskiego cały blok (czworobok objęty ulicami) przy 32. ulicy. Zostawiono pod kościół 14 lot, a resztę sprzedano parafianom. Sprowadzono (przemufowano) z Farrel ulicy szkołę, także stary kościół po metodystach i domek na plebanię. Wszystko to urządzono w odpowiedni sposób, tak, że kościołek mógł być poświęcony i nabożeństwo każdej niedzieli odprawiano. Dojeżdżali z nabożeństwem przez kilka miesięcy ks. Radziejewski i ks. L. Moczygęba z Wojciechowa. Parafia nie miała stałego proboszcza,

dopiero w r. 1886 od Wszystkich Świętych objął parafię ks. Jan Żyłła. Pomagali mu od czasu do czasu ks. Józef Barzyński, ks. H. Cichocki, ks. Tarasiewicz i ks. Breitkopf. Roku 1888 przybył jako stały pomocnik (asystent) ks. Nawrocki, później ks. Lange, ks. Małecki i ks. Szulerecki, a nareszcie ks. Zaręczny."

Za duszpasterstwa ks. Żyłły pobudowano piękną plebanię, a że parafia ciągle wzrastała i kościół pierwotny okazał się za szczupły, przystąpiono do wzniesienia też wspaniałej świątyni w roku 1889, którą dokończono w r. 1892 za rządów obecnego proboszcza ks. Nawrockiego, który od 3. maja r. 1891 dźwiga na swych potężnych barkach ciężki ciężar obowiązków swego powołania.

I ks. Nawrocki został tu proboszczem jedynie dla tego, że Zmartwychwstańcy podówczas nie mieli dosyć swoich księży. Tak świadczy ks. Szymon Kobrzyński 5. maja r. 1891: „Ks. Żyłła usunięty z Bridgeportu. Arcybiskup chciał nam dać tę parafię, ale trudno... nie mamy księży. Arcybiskup dał tam ks. Nawrockiego a na parafię ks. Nawrockiego wysłał ks. Zaleskiego i ks. Słomińskiego. W końcu dodał, że gdy ze swymi księżmi nie będzie mógł przyjść do porządku, to znów się do nas zwróci o pomoc." Księża świeccy—nie tylko ci, co przybyli z Europy, ale i ci, co w Ameryce zostali wyświęceni—w oczach ojców nie byli wiele co warci. Donosił ks. Kobrzyński 3. marca r. 1891 do Rzymu: „Biskupi amerykańscy, aby dostać księży, korzystają z wielkich przywilejów nadanych im z Rzymu, sami ich rozwiązują od rozmaitych nieregularności. Co do księży młodych, ks. Wojtalewicz taką sobie wyrobił opinię, że nikt go nie chce na asystenta. Ks. Słomiński, wychowa-

niec osławionego seminaryum ks. Dąbrowskiego w Detroit, duszą i ciałem narodowiec, na kazaniu u św. Wojciecha burzył... Ks. żyłła, obok innych wielu nieporządków, w kościele okropnie pobił swego asystenta ks. Szulereckiego, obecnie prowadzi się proces kanoniczny. A i inni młodzi księża, ks. Małecki i ks. Szulerecki także mają swoje rozmaite sprawki... wstyd i hańba dla Polaków." To też ks. Sedlaczek, C. R., który 13. listopada r. 1892 pisał: **„Wystrzegam się bardzo niewiast a jeszcze bardziej księży świeckich",**—stanowczo twierdził w liście do Generała 26. czerwca r. 1893, że **„katolicyzm będzie się mógł tylko wtenczas utrzymać, jeżeli zakonnicy wezmą parafie pod swój dozór."**

Kościół, ukończony staraniem ks. Stan. Nawrockiego, ze swoją kopułą i dwoma wieżami frontowemi przypomina budową kościół po OO. Cystersach w Trzemesznie—jest około 180 stóp długi, a 80 (w krzyżu zaś 100 stóp szeroki. Kopuła jego jest 187 stóp wysoka. Dach i kopuła są pokryte czerwoną dachówką, (kosztem $15,000) podczas gdy spojenia, krzyż i t. p. są z miedzi; wieże frontowe zaś miedzią są pokryte. Architektem, który go budował, był Henryk Engelbert z Detroit, a mularskiej roboty podjęli się Begrin i synowie. Roku 1903 świątynia ta została przecudnie wymalowaną wewnątrz kosztem $5,000 przez p. Czajkowskiego, i w tymże roku, 25. października, kościół został uroczyście **konsekrowany** przez Arcyb. Quigley'a, ile że długi, jakie na nim ciążyły, wszystkie zostały spłacone.

Oprócz wspaniałego kościoła, za czasów ks. Nawrockiego postawiono r. 1895 także śliczną 3 piętrową szkołę murowaną, w której znajduje się hala na

2,000 osób, i w której około 1500 dzieci pobiera naukę pod kierownictwem 19 Szkolnych Sióstr św. Józefa i nauczycieli. Dzisiaj grunta i budynki parafialne są warte ćwierć miliona dolarów. W jednym roku, 1900, parafia miała dochodu $31,771. Z tego zapłacono starego długu przeszło $20,000. Gospodarny ks. proboszcz Nawrocki, pozbywszy się wszelkich długów parafialnych, zniósł w dziennej szkole opłatę szkolnego dla dzieci ofiarnych jego parafian.

Jeżeli się zważy, że ks. St. Nawrocki w przeciągu dziesięciu lat pozbył się długu parafialnego dochodzącego blisko $100,000, to przyznać trzeba, że zdziałał wiele, bardzo wiele.

Parafia liczy około 1600 familii, a najlepsi parafianie należą do różnych towarzystw kościelnych i ci są prawdziwem błogosławieństwem parafii. Istnieją tu towarzystwa: św. Jana Kantego, św. Szczepana, św. Franciszka Ksaw., Najśw. M. P., Rycerze św. Pawła, Krakusy św. Michała, Tow. św. Józefa, Niewiast Różańc. i Dziewice Różańca św.—wszystkie te tow. podarowały do nowego kościoła śliczne okna, a w potrzebie szczerze pomagają i współpracują. Nadto w parafii jest jeszcze Chór parafialny, Kółko Dramatyczne i piękna biblioteka.

Do tego pięknego rozwoju parafii przyczynił się wielce jej energiczny proboszcz, ks. Stanisław Nawrocki, urodzony w r. 1861 w Siennie pod Wągrówcem w Księstwie Poznańskiem, uczęszczał do elementarnych szkół w Ochodzy do gimnazyum zaś w Wągrówcu. Dalsze studya odbywał (w r. 1882) w Rzymie, w St. Francis (w r. 1884) i w Baltimore, gdzie studya teologiczne ukończył. Otrzymał święcenia kapłańskie w Chicago i odprawił swoje prymi-

cye w kościele św. Stanisława K., w Boże Narodzenie 1887 roku. Przez 3 miesiące był czynnym w parafii św. Stanisława K., a potem był asystentem ks. żyłły w parafii N. M. P. od Nieust. Pom. do roku 1889, od roku zaś 1889 do 1. maja 1891 był proboszczem parafii św. Józefa (w Town of Lake.)

Pierwszym asystentem obecnego proboszcza parafii, ks. Nawrockiego był i ks. Adolf Nowicki; potem zaś ks. Teofil Małkowski i pomagał przez czas niejaki (zwłaszcza dla dobra Litwinów) ks. Kolesiński. Potem został tam asystentem ś. p. ks. Franciszek Byrgier, który był najdłużej—bo 4 lata—czynnym tam jako asystent, dopóki własnej nie objął parafii. Kiedy to się stało, pomagali ks. Nawrockiemu przez czas niejaki ks. Michał Peza i ks. Karol Votypka; regularnym zaś asystentem został następnie ks. Jan Bednarek, i z kolei ks. Jendrzejek, ks. Franc. Nowacki, ks. Kolesiński i ks. Bronisław Czajkowski. Pomagał także ks. Wawrzykowski. W ostatnich latach: ks. A. Nawrocki, brat proboszcza i ks. Alex. L. Jung. W granicach tej parafii znajduje się także polski zbór niezależny.

---

7. PARAFIA ŚW. JÓZEFA W CHICAGO, ILL.

48-th and Paulina Streets.

(Założona r. 1886.)

Siódmą z kolei wieku parafią polską w Chicago jest parafia św. Józefa, 6½ mili w prostej linii na południe od Stanisławowa, 3½ mili od Wojciechowa, a 5¼ mili od środka miasta, założona roku 1886, jeszcze dalej na południe od Stanisławowa, aniżeli

Wojciechowo i „Bridgeport". Dojeżdżał tu z początku ks. żyłła z „Bridgeportu" (2½ mili), potem rządził parafią ks. St. Nawrocki i ks. Wiktor Zaleski a obecnie od wielu lat proboszczem jest ks. Pypłacz. Ks. Pypłacz (alias Pyplatz) pracował poprzednio w So. Chicago, ale nie znalazłszy u tamtejszych parafian takiego serca, jakiego za swoje prace znaleść się spodziewał, podziękował dobrowolnie ks. arcybiskupowi za probostwo Niep. Poczęcia i przeniósł się do tej parafii św. Józefa, w której do dziś dnia miłościwie panuje. Tu także nie znalazł ks. Pyplatz wszystkiego tak, jakby sobie życzył. Kościołek był mały i nie mógł pomieścić nawet połowy parafian. Ks. Pyplatz wziął się do pracy i pobudował tymczasowo dolną część (basement) kościoła kosztem $27,-000 i urządził te katakumby okazale.

Parafia św. Józefa liczy około 1100 familii; towarzystw i bractw różnych około 18. W szkole, pod kierownictwem 15 Sióstr Felicyanek r. 1905 pobierało naukę 910 dzieci. W r. 1901 było tylko 618 dzieci szkolnych. Tak ta, jak inne parafie polskie w Chicago, rosną z każdym rokiem—rosną ale nie mnożą się.

Ks. Michał Kolumban Pypłacz, proboszcz, urodził się w Brzeczkowicach, w powiecie opolskim, na Górnym Ślązku, 28. września r. 1851 Już od najmłodszych lat marzył o tem, aby zostać księdzem i dla tego koledzy nazywali małego Michasia żartobliwie „księdzem kapelanem." Nie poszło to tak łatwo. Z niejednego pieca chleb jadał, zanim dopiął celu. Wypadki familijne zmusiły go do tego, że przerwał studya i oddał się sztuce drukarskiej—ale przy pomocy Bożej zwyciężył wreszcie wszystkie

przeciwności i stanął szczęśliwie u celu. Po ukończeniu szkół rządowych przebywał w Niemieckich Piekarach, potem w Cieszynie i we Wiedniu, a nareszcie w pustelni Montis Argentini, gdzie samotne prowadził życie. W roku 1877, został wyświęcony przez ks. biskupa amathutyńskiego śp. Antoniego Gałeckiego w Krakowie. Przeniósłszy się do Włoch, w Umbryi (Todi) i w Lombardyi (San Genesio) żył jako pustelnik zdala od zgiełku i uciech świata. Życie pustelnicze nadwątliło zdrowie ks. P., więc za wiedzą i pozwoleniem Stolicy Ap. przeniósł się do życia czynnego. W Pawii oddał się na nowo studyom teologii i medycyny, a roku 1884 przepłynął ocean i w Chicago pracował najpierw u ks. Barzyńskiego, potem jako proboszcz w South Chicago, wreszcie osiadł na tej posadzie przy kościele św. Józefa. W obyczajach surowy Kato. Jeszcze w South Chicago będąc,—jak pisze „Polak w Ameryce” z 28. stycznia r. 1889—„dziewczynę która zbłądziła skazał na pokutę oburzającą. Od 9. do 10. godziny musiała leżeć krzyżem w kruchcie, czarną okryta krepą, od której sznury trzymał jeden chłopiec każdemu z przybywających mówiąc: Oto jest pokutnica!”

Pomagali ks. Pyplatzowi w jego zbożnej pracy asystenci: ks. J. G. Jędrzejek, ks. A. C. Drewnicki; ks. Scieszka, ks. H. Pyterek, urodzony w październiku r. 1878 w Chicago, uczęszczał do szkoły parafialnej św. Stanisława K., a potem odbywał studya przez 2 lata w kolegium św. Hieronima w Kanadzie, przez rok w kolegium St Mary's w Kentucky, poczem studya teologiczne ukończył w kolegium St. Mary's w Baltimore, gdzie też otrzymał pierwsze święcenie na subdyakona z rąk J. E. ks. kardynała Gibbonsa; świę-

cenie kapłańskie otrzymał z rąk biskupa Muldoon'a w marcu r. 1903. W czerwcu r. 1906 parafię św. Józefa podzielono. Granicą nowej parafii ulica Ashland.

---

8. PARAFIA ŚW. JADWIGI W CHICAGO, ILL.

Webster Avenue and Hedwig Street.

(Założona r. 1888.)

Ta parafia (półtorej mili na północny zachód od Stanisławowa, a 4 mile w prostej linii od środka miasta), od samego początku była otoczona czułą opieką ks. Wincentego Barzyńskiego, który też strzegł jej jak oka w głowie. Zakupiono tu niezmierną przestrzeń gruntów, jak pan Zahajkiewicz w swej „Złotej Księdze" zauważa „największą przestrzeń z pomiędzy wszystkich parafii w Chicago" (str. 73.). Na tych gruntach postawiono odrazu olbrzymią murowaną przepyszną plebanię, a raczej istny pałac albo kollegium, w którem kilkunastu Zmartwychwstańców wygodnie mieszkać by mogło. Na kościół i szkołę tymczasowo sklecono budynek w kształcie ogromnej stodoły.

Grunta pod ten kościół zakupił O. Wincenty już r. 1887, jak świadczy ks. Kandyd Kozłowski „tercyarz OO. Zmartwychwstańców", który posyłając msze św. śpiewane, 5. listopada r. 1887, tak pisze do Generała: „Dziś składa nam wizyty po polskich plebaniach okrzyczana w świecie aktorka p. Modrzejewska. Obiecuje zrobić jedno przedstawienie na dochód polskich sierót w Chicago. O. Wincenty kupił grunta 33 loty pod nowy kościół polski w Chicago,

już ósmy. Nabożeństwo już się zacznie odprawiać, tylko księży nam brakuje. Kościół św. Trójcy ciągle zamknięty, i przy kościele w Town Lake także nie ma księdza. żeby tak Ojcowie z 10 młodszych księży przysłali do Chicago..." Dla braku ojców, Arcybiskup nie mógł ani myśleć o oddaniu tej nowej parafii Zmartwychwstańcom, ale pomimo to Zmartwychwstańcy nie puszczą jej z rąk. żali się O. Wincenty, 18. kwietnia r. 1888 pisze do Generała, i prosi o spowiedników, „bo to nie żarty mieć na sumieniu odpowiedzialność za jakie 15,000 penitentów. Nam się całkowicie nie może pomieścić w głowach zamerykanizowanych jak można tam w Europie dla kilkuset dewotów potrzebować tylu księży wobec tylu zakonów, etc. Teraz obok naszej parafii zakłada się nowa parafia i ma bardzo świetną przyszłość, ale **Arcybiskup nie może ani myśleć o oddaniu jej nam wobec takiego zaniedbania obecnej naszej misyi**... Piszę to tylko, aby ktoś kiedyś nie wyrzucał mi, że nie dbałem o dobro Zgromadzenia. Już faktycznie straciliśmy taką piękną parafię św. Józafata i bardzo spokojną! Skąd brać spowiedników? Najemni kosztują nas bajońskie sumy. Czyż nie możecie nam pożyczyć którego z mocnych Ojców na rok, dwa?..." Jakoż w maju r. 1888, przybyli z Rzymu trzej nowi ojcowie: Kobrzyński, Moszyński i Skory. Ks. Kobrzyński 28. lipca r. 1888 do Generała: „Z powodu wielkiej rozległości parafii formuje się nowa parafia, dla której obecnie buduje się szkoła i kościołek nad szkołą. na podobieństwo parafii św. Józafata—by nam ta parafia nie wymknęła się, trzebaby ją obsadzić zaraz naszym, o ile mi się zdaje byłby najodpowiedniejszym O. Idzi (Tarasiewicz), bo i po angiel-

sku umie, ale i jego brak bardzo da nam się czuć u św. Stanisława—proszę więc jak najprędzej wzmocnić nasze siły, bo bieda wielka... Zwłaszcza że ta parafia (św. Jadwigi) po św. Stanisławie będzie większą niż inne w Chicago. Nadto, że w tej parafii jest obecnie wiele gruntu do kupienia... by można urządzić Nowicyat, bo przy św. Stanisławie nie ma się gdzie rozszerzać... Przy św. Jadwidze będziemy mogli mieć oddzielnie domek parafialny z funduszów kościelnych, a dla nas będziemy mogli mieć oddzielny dom Zgromadzenia—ale gwałtem ludzi i ludzi!..." Jeżeli O. Idzi „zdawał się najodpowiedniejszym", trzeba go było tam dać; popchnęłoby się niezawodnie i jego i parafię św. Jadwigi na lepsze tory. Tymczasem—pisze ks. Kobrzyński 29. października r. 1888 do Generała—„parafię św. Jadwigi obejmuje ks. Józef Barzyński, jest on jedno z nami, więc ta parafia pozostanie później przy nas—do Lemontu, gdzie on był, znalazł się ex-Reformat ks. Możejewski." I ks. Moszyński, C. R., 26 grudnia r. 1888: „W pierwszych dniach grudnia była ceremonia poświęcenia kościoła św. Jadwigi. Ks. Józef Barzyński zawiaduje tą parafią, która się składa z 230 rodzin. Trzy SS. Nazaretanki zamieszkują w tej parafii i po Nowym Roku rozpoczną szkołę dla dziatwy."

Ks. Józef Barzyński, brat ks. Wincentego, był tu więc pierwszym proboszczem i przez wiele lat w pokoju i zgodzie pracował z swoimi parafianami na chwałę Boga, a dla dobra parafii. Ks. Józef był to człowiek bez zarzutu, chyba może był czasem rubaszny dla swoich parafian, ale wiadomą rzecz, że pod formą rubaszną złote serce się kryje. Ks Józef sam pracy podołać nie mógł, więc trzeba mu było

dać pomoc. Każdy się spodziewał, że pomoc wyjdzie od Zmartwychwstańców, bo ks. Wincenty, budując na Jadwigowie niezwykłych rozmiarów plebanię, już tymsamym faktem dał ostatecznie do zrozumienia, że tam zamyśla czy prędzej czy później wprowadzić swoich braci w Chrystusie. Jakoż od r. 1891 asystentem ks. Józefa był ks. Fr. Breitkopf, C. R., i tak długo był spokój. Atoli Generalowi Przewłockiemu nie podobało się to, że ks. Józef był tam proboszczem. Widać to z listu ks. Kobrzyńskiego, 9. grudnia r. 1891, do Generała: „Przystępuję do odpowiedzi na dwa ostatnie listy... co do św. Jadwigi, ks. Józefa Barzyńskiego trudno zeń wyruszać, bo gdzież go dać... można tylko nie dopuścić asystenta świeckiego księdza, dając mu pomoc od nas. Obecnie jest u niego O. Franc. Brajtkopf, który na jakiś czas przybył do Chicago; gdyby Najdr. Ojciec z nim się porozumiał i onby się zgodził pozostać u św. Jadwigi, to może byłoby na teraz najlepiej, lubi siedzieć w domu, obsługiwać parafię, a **Józef Barzyński ciągle biega za interesami i po wizytach,** toby się parafianie przyzwyczaili do naszego; młodego zaś dać i tak izolować od nas, to zdaje mi się, byłoby niebezpiecznie." Parafia rosła, więc 11. stycznia r. 1894 pisze ks. Kobrzyński: „Ks. Józef prosi także o asystenta, bo gdy się dostaną księża świeccy, to podobnie jak parafia św. Józefa, może przepaść dla Zgromadzenia, wartoby tę parafię utrzymać dla Zgromadzenia". A 15. lutego r. 1894 pisał tenże: „Mając przy parafii św. Jadwigi jednego z naszych Ojców (Breitkopfa), ta parafia i w Arcybiskupstwie liczy się jako jedna z parafii należących do Zgromadzenia, do której, aby pozostała przy Zgromadzeniu. Arcybis-

kup nie daje na asystenta świeckiego." Nie dobro dusz, lecz dobro Zgromadzenia musiało zawsze i wszędzie być najwyższem prawem. Ale kogo P. Bóg chce ukarać, temu najpierw rozum odbiera. Ojcowie, nagromadziwszy przez rozmaite swoje nieporządki, finansowe i duchowe, tyle materyału palnego, że ich misya chicagoska była jakby istną prochownią,— bali się księży świeckich jak ognia, i słusznie. A jednak ten ogień do prochowni wpuścili—i w tem był ich nierozum. Ojcowie, choć na samo Stanisławowo za mało sił mieli, pragnęli jednak posiadać jak najwięcej parafii; to fakt, z którym się kryć nie byli powinni; chętnie atoli na zewnątrz udawali, że wcale im nie chodzi o więcej parafii. I za tę chęć udawania gorzko tu na Jadwigowie odpokutowali.

O. Wincenty, dla istotnego braku swoich ojców, udając jakoby nie miał na myśli obsadzać Jadwigowa Zmartwychwstańcami, posyła ks. Józefowi świeckiego do pomocy, i to jeszcze takiego obieżyświata, którego mało co znał—posyła do pomocy ks. Antoniego Kozłowskiego. A ta pomoc stała się jego niemocą. Ks. Józef miał dobre serce dla swego asystenta, na nieszczęście, za dobre. Sam będąc szczerym i dobrodusznym, nie podejrzywał konfratra o nic złego, pozwalał mu wszystko w parafii robić. Było to w sierpniu roku 1894, kiedy piszący tę kartę wraz z dwoma księżmi chicagoskimi odwiedził plebanię św. Jadwigi. Było to w niedzielę po nieszporach. Ks. Józef z długą zatabaczoną chustką w ręku wyszedł naprzeciw i przywitał nas serdecznie. „A gdzie asystent (Antoni Kozłowski)?" Zapytał jeden z nas. „Ii... odparł ks. Józef, machnąwszy obojętnie ręką —„mój Antoni już od czterech godzin na mityngu

obrabia Siostry Różańcowe i niewiedzieć kiedy wróci.” Piszącego te słowa, ta uwaga wówczas mocno zastanowiła, a jeszcze głębiej utkwiła w pamięci, gdy po godzinie wreszcie wrócił z mityngu Różańcowego ów „Antolek”, ładny, pulchny, różowy, zalotny, mający twarz rozpromienioną słodziutkim uśmiechem. Ale pod rozkoszną trawą wąż jadowity się krył, który niebawem miał ukąsić śmiertelnie swojego proboszcza. I ukąsił. Po cichu zastawił na swego proboszcza całą sieć intryg, żeby go wysadzić, a siebie posadzić na jego miejscu. Tymczasem władza spostrzegła się i usunęła jego, Kozłowskiego, z asystentury 18. grudnia r. 1894. To wywołało na Jadwigowie brzydkie awantury, których atoli na tem miejscu tu opisywać nie będziemy, żeby nie plamić jasnych szat św. Jadwigi.

Potem zapanował względny spokój; albowiem kozły odłączyły się od owieczek. Zadowoleni parafianie pozostali przy kościele św. Jadwigi, a niezadowoleni pod przewodnictwem ks. Antoniego Kozłowskiego obrali sobie inną drogę—drogę niezależną.

Przy Luebeck ulicy pobudowali sobie szopę, którą Antoni Kozłowski 13. czerwca r. 1895 poświęcił na kościół „Wszystkich Świętych.” Otwarcie kościoła św. Jadwigi nie nastąpiło, z powodu że adwokat Kaczmarek w imieniu Dziewiora postarał się o zakaz sądowy.

Wreszcie dnia 23. czerwca r. 1895 otwarto już na dobre kościół św. Jadwigi i wprowadzono do niego nowego pasterza, ks. J. Piechowskiego, młodego Zmartwychwstańca, który odtąd aż do dziś dnia, z grubą laską pasterską w ręku, strzeże tam owieczek Chrystusowych od napaści kozłów i wilków. Trudne

zadanie na swoje barki wziął nowy proboszcz. Część dawnych parafian zdemoralizowana i otumaniona, odpadła od kościoła katolickiego. Chociaż źle było, energiczny ks. J. Piechowski nie zwątpił, lecz mówił za chicagoskim poetą Zahajkiewiczem:

> Nie ten żeglarz, co płynie po wodzie
> Nie poruszonej nic wiatrem w pogodzie,
> Lecz ten, kto fale gdy biją najtężej
> Wiosłem zwycięży!

I z zaparciem siebie, z gorliwością, wytrwałością i wiarą w dobrą sprawę i w pomoc Bożą, wziął się do pracy. Z każdym niemal dniem zbłąkane owieczki wracały do swej owczarni. I odżyła na nowo parafia św. Jadwigi, chociaż liczbą mniejsza, ale duchem i wiarą silniejsza i potężniejsza. Szalony wicher wywiał plewy, a zostawił pszenicę w gumnie św. Jadwigi... Parafia pod sprężystymi rządami J. Piechowskiego rosła i rozwijała się tak, że dziś znajduje się w kwitnącym stanie. Wybudowano wielką i wspaniałą świątynię ku czci św. Jadwigi. Parafia liczy około 1,600 familii. W łonie parafii żyje około 25 Towarzystw, liczących po kilkaset członków. Chór parafialny, od czasu, gdy dyrygentem jego został utalentowany muzyk p. Wiedeman, robił olbrzymie postępy. W parafii znajduje się także piękna biblioteka a do szkoły uczęszczało na początku roku 1901 dzieci 909, między nimi 449 chłopców i 460 dziewcząt.

A w r. 1905 było dzieci szkolnych już przeszło 1200. Oprócz 10 Sióstr Nazaretanek, jest kilku nauczycieli europejskich fachowo uzdolnionych i jeden nauczyciel języka angielskiego. Jest nawet specyalna szkoła wyższej muzyki.

Kościół św. Jadwigi z budynkami jak szkołą, halą, biblioteką, plebanią przewyższa wartość 400,-000 dolarów—zajmuje cały blok kwadratowy.

Proboszcz ks. Jan Piechowski, C. R., urodził się 22. grudnia, r. 1864 wStawiskach, w powiecie Kościerskim. Studyował najpierw w Kościerzynie, potem w Berlinie (Kanada), Rzymie i Lwowie. Wyświęcony przez biskupa Puzynę r. 1891 we Lwowie. Najpierw pracował przy kościele i internacie Zmartwychwstańców we Lwowie, potem r. 1891 przybył do Ameryki. Tu, oprócz obowiązków kapłańskich, zajmował się szkołą, będąc przez dwa lata rektorem kollegium św. Stanisława K. w Chicago. Równocześnie, kiedy w Avondale hydra schyzmy zaczęła łeb podnosić, zajął się organizacyą parafii św. Jacka. Dnia 29. czerwca, 1895 objął skołataną parafię św. Jadwigi i zaprowadził w niej ład i porządek. Ma do pomocy asystentów, także Zmartwychwstańców. Był takim pomocnikiem ks. Józef Gieburowski, C. R., urodzony 18. marca r. 1864 w Podlesiu, powiecie Bukowskim. Nauki pobierał w Poznaniu, Pelplinie i Śremie, gdzie skończył gimnazyum. Przez 4 lata potem chorował obłożnie, a następnie studyował agronomią w Proszkowie. W r. 1886 wstąpił do OO. Zmartwychwstańców. Wyświęcony na księdza, w r. 1892 przybył do Ameryki i pracował przy parafii św. Stanisława K., poczem w r. 1895 objął probostwo w Avondale. W r. 1905, na Jadwigowie było 3 asystentów: ks. T. Szypkowski, C. R., ks Józef Jelinek, C. R., i ks. Stefan Dąbkowski, C. R.,

9. PARAFIA ŚW. KAZIMIERZA W CHICAGO, ILL

West 22. and Whipple Sts.

(Założona r. 1890.)

Parafia ta (2 mile na zachód od Wojciechowa, a 4½ mili od środka miasta) założoną została r. 1890. Pierwszym jej proboszczem był znany z ciętego pióra ks. Franciszek Kroll (Król). Skarżył się ks. Szymon Kobrzyński, C. R., 21. listop. 1892: „Ks. Kroll ciągle pisuje bezecne i oszczercze korespondencye do Wiarusa, jego poplecznicy główni są: ks. Pyplatz, ks. Nawrocki być może choć z pewnością nie wiemy, ks. Wojtalewicz, ks. Słomiński, a i tak wychwalany ks. Lange daje się ks. Krollowi za nos wodzić.". Od r. 1893 proboszczem ks. Wojciech Furman. Bractw i Towarzystw, wplecionych w organizm tej parafii, jest jaki tuzin. Parafia liczy około 3,000 dusz, a do szkoły na początku r. 1901 uczęszczało 388 dzieci, między nimi 197 chłopców, dziewcząt 191. Klas jest 6, i tyleż stopni nauki. Uczyło tam 5 Sióstr Franciszkanek i jeden nauczyciel świecki. a r. 1905 uczyło 7 SS. Zmartwychwstanek. Grunta i zabudowania parafialne są warte $50,000.

Chociaż dawniej i tu zły duch próbował zasiać kąkole, to jednak dzięki energii ks. W. Furmana panuje w parafii zgoda i harmonia. Parafianie chętnie i gorliwie, pod przewodnictwem proboszcza, pracują nad podniesieniem parafii. Wystawili nowy kościół i szkołę w jednym wspaniałym gmachu, który 11. czerwca r. 1905 poświęcił biskup Muldoon.

Ks. Wojciech Furman, który niemało się przyczynił do rozwoju „Kazimierzowa", urodził się 2. kwietnia r. 1866 w Lubaskiej parafii, przy Czarnko-

wie (Ks. Poznańskie). Pierwsze nauki pobierał w domu a następnie w szkole św. Stanisława K. w Chicago, potem w Berlinie (Kanada), w Kankakee i w Seminaryum Baltimorskiem. Wyświęcony 18. marca r. 1893. Przez 6 miesięcy był asystentem przy kościele św. Józafata, potem został proboszczem „na Kazimierzowie".

Roku 1901 osiadł tu jako asystent ks. Anzelm Młynarczyk, przybyły z dyecezyi Marquette, a r. 1905 ks. Felix Nowak z dyecezyi Green Bay. Stałym asystentem ks. Furmana jest wyświęcony r. 1903 ks. Józef Kruszka.

Ks. Józef Kruszka urodził się w r. 1878 w Brzyskorzystwie pod żninem, w W. Księstwie Poznańskiem z rodziców Tomasza i Józefy ze Skibińskich Kruszka.

---

10. PARAFIA ŚW. MICHAŁA W SOUTH CHICAGO, ILL.

83. and Ontario Avenues.

(Założona r. 1892.)

Na południowej stronie sławetnego grodu Chicago, w prostej linii 10 mil na południe od środka miasta (od głównego gmachu pocztowego), pomiędzy ulicami 81-szą i 86-tą na północ i południe, pomiędzy jeziorem Michigan i koleją Baltimorską na wschód i zachód, „na Warszawie", znajduje się parafia św. Michała Archanioła, bliska sąsiadka starszej swej siostry parafii Niepokal. Poczęcia M. B. Założenie tej parafii powierzono r. 1892 ks. Adolfowi Nowickiemu, dotychczasowemu asystentowi w Chicago.

Ks. A. Nowicki opowiada z humorem dzieje początkowe tej parafii w następujący sposób: „Wyjechaliśmy na tę Warszawę (do South Chicago) razem z Janem Szostakowskim. Pogoda była iście chicagoska: kapuśniaczek—co się zowie (drobny deszcz z mgłą.) Zewsząd pustki—gdzieniegdzie domek pochylony, a dalej pola i woda, woda i pola. Oglądając się na wsze strony pomyślałem sobie: hm! toć to chyba miejsce, gdzie gęsi i kaczki ogonami się witają, boć tu ludzi jakoś nie widać. Nareszcie wylądowaliśmy szczęśliwie na 83. ulicy. Ale gdzie tu zamieszkać na tej Warszawie?—Jasiu, mówię, gdzie ja też będę mieszkał?—A jużci u mnie.—No, i rozlokowałem się u niego. Było mi tam dobrze: jeden tylko miałem kłopot: pokój, w którym sypiałem, rozminął się z piecem. Rano więc wstając musiałem pomacać i zrewidować członki, czy się czasem nie zatrzymał gdzieś jegomość mróz—musiałem przecie dbać o moje biedne kości, uważałem je bowiem za parafialne. Poczciwy zaś Jan Szostakowski wnet sprowadził mi pierzynkę, bo nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za zmarznięcie własności parafialnej. Żona jego poczciwa, robiła co mogła, aby kapłana „godnie" przyjąć i ugościć.

„Działo się to (opowiada ks. Nowicki) pewnego wtorku w końcu lutego r. 1892. Ludzie, wracając z roboty i widząc, że ja coś majstruję, poprzystawali i pytali się:—A co to, Ojcze, będzie?—Ano, kościołek będziemy budowali.—A kiedy?—A chociażby zaraz—ot, oczyśćmy plac, bo już drzewo budulcowe mamy.—Na te słowa jak ci się ludzie nie wezmą do roboty, ten ze szuflą, inni z siekierą, a nawet i piły i młotki się znalazły.—Hej, Antku, Wojtku, dokąd

tak spieszycie? pytali się ludzie, widząc dobrze sobie znajomych wyrywających co tchu po Ontario avenue, brnąc we wodzie po kostki („na Warszawie" wielka jest obfitość tego żywiołu i był wielki czas arkę Nogego tam budować). Antek się obejrzał i uśmiechnąwszy się odparł:—A no, biegnę po „tulsy" (narzędzia ciesielskie) toć to kościół będziemy stawiali!—Kościół, jaki gdzie?—A cóż to nie wieta, że nam Arcybiskup przysłał ks. Nowickiego na proboszcza? Ot, stoi tam z młotkiem i zwołuje ludzi do roboty!—Ale Antku, toć ci się chyba we łbie przewróciło, a gdzie architekt, kto kontraktor, toć bez planu budować nie można?—Antek rozśmiał się... Przyjdźta lepiej do roboty... Robota szła bez architekta.—Hej—ktoś huknął, słupki stawiać pod fundament!—I w mgnieniu oka słupki stanęły, a ot już i „brejzują .—Hej Chłopcy! woła Franciszek Mazurek na młodzież, ciągnijcie no deski co grubsze na podłogę.—Jak nie zaczną rżnąć, rąbać, ciosać i przybijać, to wnet i podłoga leży gotowa. Drugiego dnia zjawił się i kontraktor p. Ratkowski: tam coś doradził, tu coś poprawił, a widząc, że wszystko idzie jak z płatka, pokręcił wąsa i pomyślał: będzie tu biznes, proboszcz chwatki, bo młody, parafianie chętni i uczynni!... Tak więc robota wrzała. Parafianie moi, po ciężkiej pracy w „rolmili" (walcowniach żelaza) przychodzili chętnie dokończyć roboty przy kościele. I pobudowali kościołek w przeciągu trzech dni i za robotę ani centa nie wzięli. W sobotę tegoż tygodnia odprawiliśmy w nim pierwsze nasze nabożeństwo. Nie był to kościołek bardzo foremny—miał on jednak swoje zalety: tak np. dziatki szkolne mogły łatwo się uczyć na dachu jego geografii, można bo-

wiem było tam widzieć i pagórki i doliny, a w czasie deszczu były i zatoki i cieśniny.

„Gdy kościołek już stanął (mówi dalej ks. Nowicki), zacząłem przemyśliwać nad budową szkoły bo szkoła to grunt, to dusza parafii. Zwińcie nasze szkoły, a i Polonia nasza wtenczas przepadnie... W tym celu zwołałem gromadę czyli jak się to u nas mówi „mass-meeting" parafialny. Parafianie uważali, że wielkiego gmachu na szkołę budować nie trzeba, gdyż jak mówili, najwyżej będzie 250 dzieciaków. Mnie jakoś niebardzo się chciało wierzyć, żeby parafianie moi byli tak licho uposażeni w tę polską cnotę. Postanowiłem sobie pójść po kolekcie i w ten sposób naocznie się przekonać, jak się też przedstawia ta polonia dorastająca. Zacząłem więc peregrynacyę po domach: wszędzie skromniuchno, czyściuchno i dziatki pięknie ubrane. Pochwaliwszy Pana Boga, pytam: —A co, matko, dużo masz tej dziatwy? — A toć czwóreczkę, proszę Ojca Wielebnego.—Wchodzę do drugiego: A tu ile tej dziatwy będzie?—A toć sześcioro, dzięki Bogu!—Nic więc nie mówię, jeno idę dalej—a tu już jest ośmioro! Myślę sobie: no to jakoś idzie coraz wyżej. Idę dalej, aż tu patrzę jeden tylko chłopczyk i jedna dziewczynka.—Cóż mateczko, mówię, dwoje masz tylko dzieci? Ale gdzietam, proszę Ojca Wielebnego, toć pięcioro jest, jeno troje ze strachu schowały się pod łóżko.—Jakem się więc popatrzył na tę armię Józków, Władków, Bolesiów ,Magdusi, Zosi i t. d.— to aż mię strach wziął i pomyślałem: z temi czwórkami, szóstkami, osemkami i dziesiątkami żartów nie ma, trzeba się zawczasu z nimi do walki szykować; potrzeba dla nich budynku kapitalnego, szkoły dużej

i obszernej i placu do zabawy. Hej bracia, mówię więc do parafian, dokupimy loty, boć mamy tylko 6. I dokupiliśmy 12 lot i pobudowaliśmy okazały budynek, w którym na dole obszerne i wygodne klasy, a u góry wielki kościół—budynek nie na 250, lecz na 1,500 dzieciaków... Mamy też piękny plac do zabawy dla dziatek i dla musztry Towarzystw parafialnych. Jeno przyjdź i zobacz, jak ci nasza dziatwa wysypie się na plac i dalej na wyścigi, boć polska natura potrzebuje przestrzeni i wolności; lub też jak ci wszystkie Towarzystwa się wystroją i staną w szyku, a marszałek huknie: „do ręki broń, naprzód marsz!" —to cię aż ciarki przechodzą—idą, walą, a miejsca dość!

Jednośmy mieli utrapienie z kochanym naszym sąsiadem Michiganem (jezioro nad którem leży Chicago). Ten przyjaciel Neptuna płatał nam figle nie lada na gruncie parafialnym: jak ci dmuchnie—to zaraz na stopę masz wody! Burmistrz nasz i ojcowie miasta utrzymywali, że to nawet poniekąd dobrze wpływa na Polaków, bo „they are hot tempered" (są gorąco kąpani) a woda podobno wywiera zimne wrażenie. Ponieważ jednak burmistrz burmistrzem a woda wodą, sięgnąłem po rozum do głowy i udałem się do naszej kompanii (Illinois Steel Co., która tu posiada ogromne fabryki i u której Polacy pracują), oświadczając jej, że „the Polish people are a noble people, they do not want to be low." Kompania przyznała mi racyę i przysłała jakie 250 fur rozmaitych rozmaitości na „wyfilowanie" naszego gruntu, a koniec był taki, żeśmy pana Michigana zapędzili w kozi róg i odtąd już ani się poważy pokazać w naszych granicach."

Ale oprócz wód Michiganu, zalewały młodą parafię i długi, zaciągnięte na budowę olbrzymiej, wprost potwornych rozmiarów szkoły i kościoła pod jednym dachem. Trzeba teraz było się starać o „wyfilowanie" tych dziur i dołów w kasie parafialnej. W tym celu urządzono ogromny „fair" (loteryę fantową). Ponieważ takie „fairy parafialne" tu w Ameryce są czemś zwykłem, a w starym kraju czemś niezwykłem, więc dla braci naszych w Polsce umieszczamy tu barwny opis takiego „fairu", tak jak go przedstawia ks. Nowicki. „Przypomnijmy sobie—powiada ks. Nowicki—nasz pierwszy „fair". Całe South Chicago było do góry nogami: wszyscy na gwałt szykują się na zabawę.—Hej matko, woła mąż do kobiety, zanieśno kurkę, niech ks. proboszcz da na koło (loteryjne.)—Córuchno, mówi matka, weźno tę kaczkę i zanieś na „fair".—Hej chłopcy, wołają dzielni moi grosernicy, weźcie tam szynkę, parę kiełbas, beczkę śledzi i żywo na fair.—Hej barkiprzy (barkeeper, szynkarz), wołają moi poczciwi saluniści, weźcie no tego, tętowego, a o cygarach nie zapominajcie i to o tych prawdziwych hawańskich co to „ten for a quarter". No i zaczęło się pospolite ruszenie: tu niosą kury, ten króliki i gęsi, nie brak i kozy, a tu także wóz wyładowany rozmaitymi rozmaitościami, przy których niezbędny antałek a na nim zasiada sam „boss" z powagą popędzający chudą szkapę i wołając co chwila na przechodniów „look out" (baczność!) A to dokąd tak ci spieszno chłopcze?—Na „fair" parafialny—odpowiada zuchwało i rusza dalej. A tu na fairze, przy kole, stoi już Antek i huśta niemiłosiernie kurę a potrząsając nią w powietrzu woła: Hej bracia! piękna jak was ko-

cham kaczuszka, waży 12 funtów i pół, ledwie ją udźwignąć mogę, dziesięć centów klapka! dziś bowiem ks. proboszcz kazał puścić bardzo tanio. Klapki rozebrano natychmiast i któraś z parafianek zamiast kaczki naturalnie wygrywa—kurę. Spostrzegła się nieboraczka po niewczasie. Ale to nic, toć takie figielki często się na fairach płatają.—Hej bracia, woła znowu Antek, patrzcie-no złoty zegarek, kosztuje 37 dolarów i pół, jak mamę kocham, 25 centów klapka! (Mówiąc prawdę zegarek wart był 7 dolarów, Antek w wielkim ferworze resztę dodał niechcący). Beczki piwa itp, dostarczają również obfite źródło dochodu. I tak zabawa idzie aż do późnej nocy—dwunasta bije—powiadam więc parafianom, że już dość na dzisiaj, jutro przyjdziemy znowu i zabierzem się na spoczynek." (Taki fair trwa zazwyczaj dłużej niż tydzień). Pracował też na „fairze" gorliwie kochany i zacny ks. Wład. Lipski, (później proboszcz w Cincinnati) ówczesny mój wikary. Dusza to człowiek i businessman dobry... Ale około pierwszej w nocy, kiedym był w pierwszym śpiku, a tu naraz trrr... budzę się, zrywam się na równe nogi, zapaliłem świeczkę i pędzę na schody. Tutaj taki widok mi się przedstawił: biedny mój kasyer ks. Lipski po szczęśliwie odbytej peregrenacyi po wysokich schodach z góry na dół leży sobie na podłodze i odpoczywa po ciężkich trudach fairowych. Pytam się czy się nie potłukł, ale poczciwiec nie myślał już o sobie, wołał tylko, aby prędzej zebrano centa, które rozsypał, boć to (powiada) parafialne... Ale, ale, mówiąc o ks. Lipskim—nie mogę i kochanego braciszka pominąć, boć to oni razem do mnie przyjechali. Brat Bazyli, to persona w parafii nie lada:

jest on zakrystyanem i inżynierem od „bojlerów” (pieców parowych do ogrzewania), klucznikiem, ogrodnikiem i farbiarzem, wszystkiem!

„Fairy” takie odbywały się r. 1892, 1893, 1895, 1896, i przyniosły w tych latach razem $7,013 czystego zysku.

Parafia św. Michała liczy około 8,000 dusz, i prawie cała ujęta jest w liczne bractwa i towarzystwa: i tak, zaczynając od najmłodszych; „Kindergarten” czyli ogródek freblowski, liczący do 150 dzieci, związany jest w Tow. św. Anioła Stróża; Tow. Dzieci Maryi; św. Stanisława K.; Bronisławy; 3 Różańcowe Bractwa; Arcybractwo Oblicza P. Jezusa; Tow. św. Michała Arch., najstarsze w parafii, najwięcej się przyczyniło do założenia parafii (zarząd: Jan Szarafin, Mich. Godziński, And. Makowski, Jan Chemma, Ign. Wegner, Jan Janiak); Tow. św. Marcina; św. Stanisława B.; Tadeusza Kościuszki, ma piękną bibliotekę; „Zgoda”; nadto pięć „umundurowanych” Towarzystw: Rycerzy N. M. P.; Rycerzy św. Kazimierza; Krakusów, Gwardya Kościuszki, Strzelcy Królowej Korony Polskiej. Istnieje i chór parafialny i Kółko Dramatyczne.

Do szkoły chodziło na początku r. 1901, dzieci 650, a mianowicie 324 chłopców i 326 dziewcząt. Klas jest 10, stopni nauki 5. Uczy 11 Sióstr Nazaretanek. W r. 1905 było 385 chłopców i 425 dziewcząt.

Grunta i zabudowania parafialne są warte około $100,000, a mianowicie grunta $14,000, kościół, szkoła i plebania (budowana w oryginalnym stylu średniowiecznego zamku rycerskiego), kosztuje $60,000; urządzenie wewnętrzne kościoła, szkoły i plebanii $28,000. Dług parafialny na początku r. 1901 wyno-

sił $53,183. Rocznego dochodu ma parafia około $20,000.

Roku 1897 ks. Adolf Nowicki wyjechał za interesami do Rosyi; a gdy powrócił, osiadł w Nanticoke, Pa., gdzie dotychczas jest proboszczem.

Tu zaś w South Chicago proboszczem od r. 1897 jest ks. Paweł Rhode, wyświęcony r. 1894 w St. Francis, Wis. Asystentem ks. J. Zwierzchowski, a od r. 1904 ks. Jan Lanc.

OO. Zmartwychwstańcy i tę parafię powziąć chcieli. Pisał ks. Andrzej Spetz 12. lipca r. 1897: „Co do South Chicago nie można było uczynić więcej, aby pomódz ks Nowickiemu. On może już nie wróci i prosił był Arcybiskupa o pomoc i ażeby ta pomoc od nas wyszła, błagając zarazem, żeby tej parafii nie dawał w ręce świeckich, ale by nam ją dał; i Biskup był bardzo zadowolony z tego i bardzo pragnął, byśmy objęli tymczasowy zarząd, i w ten sposób O. Wincenty przeznaczył tam O. Gordona..."

11. PARAFIA ŚW. JANA KANTEGO W CHICAGO, ILL.

Na rogu ulic Front i Carpenter.

(Założona r. 1892.)

W rok przed otwarciem św. Trójcy powstało Kantowo, wykrojone ze Stanisławowa. Kościół św. Jana Kantego jest ze wszystkich kościołów w Chicago położony najbliżej centrum miasta, bo tylko 1⅛ mili (w prostej linii) od głównego gmachu pocztowego. Na tem miejscu, gdzie dziś się znajduje presbite-

ryum kościoła św. Jana K., stał niegdyś dom, w którym, pod przewodem ks. Szulaka, zorganizowało się najstarsze w Chicago polskie Towarzystwo św. Stanisława K. (r. 1864), z którego później wyłoniła się parafia św. Stanisława K.

Utworzenie tej parafii św. Jana K. miało raz na zawsze zapobiedz otwarciu św. Trójcy, ale nie zapobiegło; owszem przyczyniło się do jej otwarcia. Stanisławowo wylewało z brzegów na wszystkie strony. Na około Stanisławowa, siłą rzeczy, tworzyć się musiały nowe sadzawki, nowe parafie. A ojcowie Zmartwychwstańcy ryby łowić chcieli wszędzie—chociaż na samem Stanisławowie absolutnie pracy podołać nie mogli. Ale nie dziwmy im się: do obejmowania coraz więcej parafii mieli oni podówczas zachętę z góry, od samego Gen. Przewłockiego. Dowodzi tego list ks. Kobrzyńskiego, C. R., pisany 15. lutego r. 1892 do Generała: „Najdr. Ojciec wspomniał, żebyśmy mogli przy zdarzonej sposobności obejmować i inne parafie a **nie siedzieli na kupie** (czego właśnie reguła zakonna wymaga!), a któż obsłuży św. Stanisława?... Długi ogromne, trudno zakładać nową parafię, bo znów trzebaby nowe zaciągać długi—tymczasem u nas roboty huk, coraz nowi przybywają immigranci—w r. 1891 było chrztów 2,400..." (proszę sobie wyobrazić, w jednym roku w jednej parafii św. Stanisława tyle chrztów!) Atoli, chcąc niechcąc, nową parafię utworzyć musieli, bo—pisał ks. Kobrzyński, 7. lipca r. 1892—„na gwałt dzielić trzeba parafię—na każdem nabożeństwie **gniotą się jak śledzie w beczce**, a jeszcze wszyscy pomieścić się nie mogą. **Ale rozdzielenie parafii nie umniejszy naszych prac..."** Pewno, że nie. Więc co? czy ojco-

wie oddadzą innym księżom tę nową parafię? Ani mowy o tem. „W obrębie nowej parafii—pisze tenże tamże—najwięcej jest Galicyanów, którzyby chcieli mieć wszystkie posługi a nic na kościół nie dawać, trzeba więc dać im człowieka energicznego, a do tego, zdaje mi się, będzie najodpowiedniejszym O. Gordon...” A 13. lipca r. 1892 O. Wincenty donosi: „Nowa parafia już jest przez Arcybiskupa zatwierdzona, ale jak nie będzie nowych sił, to musi nastąpić nowe fiasko. Spowiednica potrzebowałaby ich ciągle 6—ambona choćby ze 4.—Otóż nasi najukochańsi opiekunowie o naszych trudnościach wiedzą i je osławiają, z dodatkiem, że **Zmartwychwstańcy tylko pieniędzy szukają i łapią ludzi** (parafie, t. j. św. Stanisława, Trójcę chcą, św. Jadwigę uważają za swoją), a teraz znowu też dla siebie budują, a nie myślą aby je opatrzyć, etc., etc. Ponieważ jako tako (czyli lada jako!) odpieram ich zarzuty, więc jad wyrzucają na moją osobę i mówią bardzo często i dość głośno, że gdyby tego Wincentego Barzyńskiego ci... wzięli, toby było dobrze. Ma się rozumieć, że trzeba te słowa nie tak literalnie rozumieć, jak brzmią po wierzchu, bo mają one też różne znaczenia, jednak jest w nich jakaś **prawda dla mnie i dla Zgromadzenia nie bardzo pocieszająca**...” Tak więc sam ks. Wincenty przyznał tu, że to jest prawdą, iż „Zmartwychwstańcy tylko pieniędzy szukają i łapią parafie ,a nie myślą aby je dobrze opatrzyć.” Uznał to w teoryi, ale w praktyce i nadal tej uznanej prawdzie będzie się sprzeciwiał.

Proboszczem nowej parafii został ks. Jan Kasprzycki, C. R., ten sam, który później po śmierci ks. Wincentego r. 1899 objął jego probostwo i prowin-

cyalstwo, a r. 1905 został Generałem Zmartwychwstańców. „O. Przełożony (Kobrzyński)—pisał ks. Kasprzycki 19. lipca r. 1892.—przeznacza mnie na proboszcza nowej parafii św. Jana Kantego. Przysłać pomoc ,bo inaczej będzie fiasco; większa część księży świeckich przeciwko nam, ale biskup z nami, lecz jeżeli nie będziemy mogli obsłużyć dobrze obu parafii, to cóż będzie?..." Cóż będzie? To Delegat Papieski otworzy św. Trójcę, i da ją innym, jak to rzeczywiście następnego roku uczynił, i w ten sposób choć trochę ojcom ulżył. Ale, zamiast Delegatowi być wdzięcznym za tę przysługę, ojcowie jeszcze szemrali na niego. Tymczasem, dopóki Trójca była zamkniętą, „z budową nowego kościoła—pisał 3. grudnia r. 1892—nie można się spóźnić ani na miesiąc, bo natłok w kościele św. Stanisława przyszedł do absurdum, tak że policya i całe miasto mówi o tem i ostrzega nas, abyśmy się zastanowili na co się narażamy, że lada panika za tysiące ofiar możemy się stać odpowiedzialnymi. A w szkole mamy 3,500 dzieci, liczba anormalna i niestosowna do budynków szkolnych. Sumy pieniędzy już są zaangażowane w tej Nowej Parafii (Kantego)... Skoro księża świeccy się dowiedzieli, że Arcybiskup polecił nam t. j. Zgromadzeniu zająć się tą nową parafią, oburzyli się do ostateczności i starali się o zmianę zdania u Arcybiskupa, wmawiając w niego, że nie mamy odpowiedniej liczby kapłanów do prowadzenia takiej masy ludu i że **tylko z łakomstwa na dochody przyjęliśmy tę nową parafię**..." A z jakiejże innej racyi, jeśli nie z łakomstwa? Przecież O. Wincenty sam przyznał, że to prawda, choć „nie bardzo pocieszająca dla Zgromadzenia". „Brak własnych kapłanów

postawił nas w tem przykrem położeniu obecnem, i tylko wystarczająca liczba naszych pracowników (C. R.) może nas z kłopotów wybawić. Lat 18 to powtarzam, ale nie chciano mi wierzyć, ufajmy że jeszcze czas naprawić to nieporządne gospodarstwo." Na „brak własnych kapłanów" ojcowie się skarżą, a jednak już 6. stycznia r. 1893 ks. Kasprzycki pisze do Rzymu: „Dla O. Gordona najlepszem będzie Bułgarya lekarstwem"; zaś 10. marca r. 1893: „W nowo zakładającej się parafii mieszkają ludzie najwięcej z Galicyi i mnie pragną mieć proboszczem, bo myślą, że ja jestem Galicyaninem;" a 15. kwietnia r. 1893: „Myśl, żeby O. Breitkopf (C. R.) został proboszczem, prawie jest niepodobna." Z tem wszystkiem śmieli jeszcze ojcowie wyciągać ręce po Trójcę i gniewać się potem, że im Delegat jej nie dał. Jak ów dzieciak, który mając już pomarańcze w jednej i drugiej ręce, gniewał się, że ojciec dał jeden pomarańcz także jego bratu.

Dopiero 3. września r. 1893 poświęcono kamień węgielny pod kościół św. Jana Kantego. Pomimo ogólnej biedy w kraju, mury wznosiły się coraz wyżej, i stanął kościół z kamienia, trwały, massywny, zdający się urągać całym wiekom przyszłości. „O. Kasprzycki (z O. Floryanem Matuszewskim)—pisze O. Kobrzyński 15. lutego r. 1894—jest w ogromnych długach w nowozałożonej parafii; wszystkie dochody, jakie ma z parafii, oddaje wierzycielom i robotnikom." A 8. czerwca r. 1894 pisze tenże: „Pensyi obecnie nie mamy skąd brać. Budowanie nowego kościoła (św. Jana Kantego), pod który **sam grunt,** na którym stały nędzne wprawdzie domy, ale już w mieście, a więc słono kosztował, **przeszło $100,000,** a

budowa przeszło drugie tyle... A była to dopiero budowa bezmentu czyli dolnego kościoła: już wtedy „św. Jan Kanty kosztował przeszło $200,000; zapłacono dotąd niespełna $40,000 reszta pożyczka w Banku, który daje pożyczki zaledwie trzecią część wartości realności, a reszta dopożyczona z naszej parafii, czyli zaciągnięty dług na naszą parafię (św. Stanisława K.)". (O. Kobrzyński 20. grudnia r. 1894) Ale o tym długu parafianie nic wiedzieć nie mieli, bo tak nakazywała wyższa dyplomacya, zwłaszcza, że podówczas kozłowszczyzna na Jadwigowie głowę podniosła. „U św. Jana K. — pisał O. Kobrzyński 21. kwietnia r. 1895—kościół dolny wykończony i już przeszło od roku regularne nabożeństwa się odprawiają; że O. Kasprzycki od początku pilnuje w rachunkach, więc ma zupełny porządek. Jako próbkę porządku kasy u św. Jana K. załączam pierwsze sprawozdanie parafialne. **Nie ma w niem wykazanych długów** na kościele i parafii, ale ta przezorność potrzebna w tej chwili, aby nie podsuwać na teraz nieprzyjaciołom i burzycielom materyału do podobnych zaburzeń. Komitet parafialny wie o długach." Dnia 7. stycznia r. 1897 O. Andrzej Spetz donosi, że miał od arcybiskupa pozwolenie zaciągnąć $100,000 długu na św. Jana K., lecz że kościół ten jeszcze nie był ukończony, więc uzyskał tylko $80,000 pożyczki, i to nie na 4½ procent, jak się spodziewał, lecz na 6 procent.

O. Kasprzycki pilnował swojej parafii: „Stanisławowem—pisał 29. kwietnia 1897—zajmuję się bardzo mało i najszczęśliwszym byłbym, gdyby mi nic stamtąd nie komunikowano." We wrześniu tegoż roku dostał do pomocy O. Stefana Dąbkowskiego, C.

R., który przybył do Chicago 1. września r. 1897 wraz z bratem Pawłem Szafrańskim. „Z O. Stefana Dąbkowskiego—pisze O. Kasprzycki 11. listopada r. 1897 do Generała Smolikowskiego—jestem zadowolony. O. Generał niech przyjeżdża do Ameryki zaraz. Sprawa finansowa z Arcybiskupem musi być czy prędzej czy później załatwiona. Czyż nie lepiej załatwić ją i uregulować teraz, kiedy ten Arcybiskup nam sprzyja i O. Wincenty może ustnie razem z O. Generałem tę rzecz z Arcybiskupem załatwić?... Missyę Chicagoską powinniśmy utrzymać, bo z niej i P. Bóg będzie miał chwałę i Zgromadzenie nasze pomoc."

Dopiero 14. czerwca r. 1898—jak donosi O. A. Spetz—„u św. Jana Kantego rozpoczęto roboty celem ukończenia kościoła"; a O. Wincenty 2. grudnia r. 1898: „Kościół św. Jana Kantego został wykończony i za 10 dni będzie przez Arcybiskupa święcony"; a O. Spetz 8. grudnia r. 1898: „W przyszłą Niedzielę będzie poświęcenie kościoła św. Jana Kantego, i jeśli będzie pogoda, zrobimy demonstracyę, która w zdumienie wprawi całe Chicago." Tak tedy za rządów O. Kasprzyckiego „Kantowo" wzrosło do poważnych rozmiarów. Stanął kościół massywny, zorganizowało się blisko 30 Towarzystw, a osobliwie na wzmiankę zasługuje „Kółko Dramatyczne", które, dzięki umiejętnej i serdecznej pomocy ks. Floryana Matuszewskiego, C. R., stanęło bardzo wysoko. Zapewne zdziwi się niejeden czytelnik „starokrajski", że tu często ,na czele „Kółka Dramatycznego" stoi osoba duchowna. Odpowiemy na to: Takie towarzystwa dramatyczne, nie są tu zakładane po to, aby się bawić i czas przyjemnie spędzać, ale są one poprostu szkołą dla starszej młodzieży. Przy pomocy teatral-

nych przedstawień uczy się młodzież języka polskiego, zapoznaje się z literaturą (zebrania literackie, odczyty, deklamacye,) umoralnia się i nabywa większej ogłady towarzyskiej.

Prócz Kółka Dram. i chóry śpiewackie na Kantowie rozwinęły się szybko, dzięki energicznemu dyrygientowi p. Kwasińskiemu.

Śmierć O. Wincentego, dnia 2. maja r. 1899, spowodowała ogólne zmiany na missyi ojców chicagoskich. W dzień po pogrzebie O. Wincentego, następcą O. Kasprzyckiego na Kantowie został wbrew swoim rachubom, O. Eugeniusz Sedlaczek, któremu asystowali O. Wincenty Rapacz i O. Biela. Prócz tego, pomagał ks. Sedlaczkowi dzielnie młody ks. Stefan Dąbkowski, autor broszury p. t. „Pierwszy zakon z łona Polski", który r. 1901 został proboszczem tej parafii. X. Sedlaczek wystąpił ze Zgromadzenia.

Ks. Sedlaczek zaraz z początku nie czuł się swojsko na Kantowie. Już 24. lipca r. 1899, a więc w półtora miesiąca po objęciu tej parafii, pisał był do Generała: „W tych dniach wyczytałem nowinę z „Pielgrzyma"... jakoby Zgromadzenie nasze przyjęło missyę w południowej Ameryce... Pierwsza myśl, która rzuciła mi się przed oczy, była ta, ażeby Najdr. O. Jenerałowi przedłożyć moją gotowość poświęcić się tamtejszej Polonii dla dobra ich dusz i Zgromadzenia. Obeznany ze stosunkami Amerykańskimi, posiadając pewną biegłość w organizowaniu ludzi w jedno ciało, wielką mógłbym dać przysługę O. Lutrzykowskiemu, który według powyższej wiadomości jest przełożonym tej nowej missyi. Mam wprawdzie pokaźną parafię (Kantowo już wtedy liczyło przeszło 10,000 dusz), i można wiele dobrego zdziałać—ale

ja tego uskutecznić nie potrafię, a to dlatego, iż brzemię długów przygniata me barki i chęci do pracy odbiera." Na to Generał radził się prowincyała O. Kasprzyckiego, który znowu nie wiele miał przeciwko temu, żeby ks. Sedlaczka wyexpedyować do Południowej Ameryki. Pisał bowiem O. Kasprzycki 31. sierpnia r. 1899 do Generała: „Najdr. Ojciec obawia się, czybyśmy w Chicago na to się zgodzili, aby O. Eugeniusz (Sedlaczek) wyjechał do Curityby. Zdaniem mojem, i może i wszystkich Ojców, byłoby może bardzo dobrze, gdyby O. Eugeniusz, znający już stosunki amerykańskie, pojechał do Curityby, ale na miejsce Jego potrzebowalibyśmy znowu jakiego z młodszych Ojców." I już wtedy O. Kasprzycki miał gotowego następcę po. O. Sedlaczku, bo pisze dalej: „Gdyby to nastąpiło, uważałbym O. Stefana Dąbkowskiego za najodpowiedniejszego na proboszcza parafii św. Jana K. O. Stefan kocha Zgromadzenie i jest oszczędny... powtóre O. Stefana bardziej ludzie kochają, a z tego wynika, że i więcej i prędzej dają ofiary na kościół... O. Sedlaczek może pracować w Chicago i nie chcemy się go pozbyć, chociaż jest bardzo zmienny; jeżeliby Najdr. Ojciec koniecznie potrzebował go na nową missyę, to tylko na jego własne życzenie mógłby go Ojciec odwołać, dając na jego miejsce innego. Tutaj u nas wiele mówią o missyi w Brazylii i mówią, że koniecznie powinniśmy przyjąć, aby Polaków obronić przed niezależnymi w Curitybie." To ostatnie chyba ironią było.

We wzrastającej ciągle parafii św. Jana Kantego brzemię obowiązków parafialnych O. Sedlaczkowi coraz bardziej ciążyło: „Przy wzrastającej niemal z każdym dniem liczbie parafian,—pisze O. Sedlaczek

24. kwietnia r. 1900 do Generała—udałem się z prośbą do Przew. O. Prowincyała (Kasprzyckiego), ażeby mi się wystarał o trzeciego asystenta (ks. Biela już 20. stycznia r. 1900 wystąpił był ze Zgrom.), jednakże—mówił—on sam puka do Rzymu o pomoc. Trzech Ojców w parafii św. Jana K. stanowczo nie wystarczy. Obarczony sprawami finansowymi, oraz sprawami parafian, często nie mogę być w kościele, ażeby dopomódz dwom asystentom w słuchaniu spowiedzi, etc." Prosi o O. Stanisława Rogalskiego, C. R., który z Berlina, Kanady, przybywszy, od stycznia w Chicago bawił za poradą lekarzy. W owym też czasie wytoczył był wielką kulubrynę przeciw O. Sedlaczkowi jego własny asystent O. St. Dąbkowski, który pisał tak do Generała: „Smutno i nad wyraz smutno u nas na Kantowie! Dawnych depozytów parafia ma już dosyć dużo... a w tym roku O. Sedlaczek przyjął jeszcze 10,000 nowych depozytów, cyli innemi słowy, o tyle pomnożył dług parafii. Co się z tymi pieniędzmi stało, na co je zużyto, to nie pojmuję. Co będzie, jeżeliby dalej tak iść miało... O. Dawid pisał do mnie, abym wykazał dokładnie rachunki parafialne; lecz ja nie mogę w danych warunkach nic więcej odpowiedzieć, jak tylko to, ażeby był łaskaw zażądać sprawozdania od O. Sedlaczka, gdyż się obawiam, pisałem do O. Dawida, drugiego aktu tragedyi, która się rozpoczęła w parafii św. Stanisława K., gdy długi tak olbrzymie, włożono na Zgromadzenie. Tego się tutaj znowu lękam. Teraz, jeszcze czas, ażeby wykazać dokładnie parafianom, ile mają długów, ale gdybyśmy tę sprawę ciągle odkładali, mogłoby już potem być za późno..."

Pomału zbliżał się koniec panowania O. Sedlaczka. O. Stefan Dąbkowski, jak było do przewidzenia, został jego następcą. „Wyjeżdżam na kapitułę 10. czerwca—pisał O. Kasprzycki 7. maja r. 1901 do Generała—wiceprowincyałem będzie O. Gordon. O. Sedlaczek musi ustąpić z probostwa św. Jana K., a następcą jego będzie O. Stefan Dąbkowski. Jedno wielkie głupstwo popełniliśmy, żeśmy O. Sedlaczka proponowali Arcybiskupowi na probostwo św. Jana K., ale stało się i teraz z większym kłopotem trzeba to naprawić. Error corrigitur, ubi apprehenditur." Wstąpiwszy nagle na zbyt wysokie stanowisko, łatwo zawrotu głowy się dostaje. O. Stefan Dąbkowski, C. R., z powodu słabości niezadługo ustąpić musiał z probostwa ,które po nim objął mały ciałem lecz wielki duchem O. Stanisław Rogalski, C. R., mający r. 1906 do pomocy 4 asystentów: OO. Winc. Rapacz, C. R. J. Szczypta, C. R., L. Filipski, C. R., i Bron. Cieślak, C. R. Dusz w parafii św. Jana K. było już r. 1897 około 10,000. Na początku r. 1901 uczęszczało do szkoły parafialnej 1,042 dzieci między nimi 550 chłopców a 492 dziewcząt. Klas było 13, stopni nauki 7. Uczyło tam 15 Sióstr de Notre Dame. Siostry na „Kantowie" czynią znakomite postępy a w parafii panuje wzorowa zgoda, jedność i harmonia.

„Kantowo" szczyci się tem, że posiada największy dzwon kościelny w całem mieście Chicago. (waży 6,000 funtów).

12. PARAFIA ŚW. STANISŁAWA BISKUPA I MĘCZ. W CRAGIN.

53rd Court and Belden Avenue.

(Założona r. 1893.)

Kościół ten, w granicach miasta, oddalony jest 4½ mili (w linii prostej) na zachód od Stanisławowa, a 6¾ mili od środka miasta.

Ojcowie, poniósłszy przez utratę Trójcowa sromotną klęskę, byli w żalu nieutuleni. Trzeba było ich pocieszyć i ich apetyt na więcej parafii jakokolwiek zaspokoić. I oto jako solamen victis, dla pociechy, dostała im się w udziale—missya w Cragin. W miesiąc po otwarciu św. Trójcy, 15. lipca r. 1903, donosi O. Kobrzyński: „Arcybiskup poruczył nam Missyę w Cragin, nie bardzo daleko za Humboldt parkiem, gdzie mają kupiony grunt Karmelitanki Rzymskie—Matka Wielhorska już sprzedała (atoli zobacz co do tej sprzedaży tom IX.)—zakłada się tam nowa kolonia irlandzko-niemiecko-polska, dojeżdża tam co niedzielę O. Teofil, już jest tam zbudowany mały kościołek z drzewa." A 15. października r. 1893 pisze tenże: „Prace nam się otwierają coraz większe, oprócz Stanisława i Jana Kantego mamy Cragin." Tak więc, zamiast wzmacniać zajęte już placówki, ojcowie przyjmują nowe odległe parafie i rozpraszają swoje siły. „Ks. Józef Barzyński—pisze O. Kobrzyński 11. Stycznia r. 1894—prosi także o asystenta; gdy się dostaną księża świeccy, to Jadwigowo podobnie jak parafia św. Józefata może przepaść dla Zgromadzenia, wartoby tę parafię utrzymać dla Zgromadzenia. żniwo wielkie, ale robotników mało." Czy więc nie lepiej było posyłać O. Teofila na Jadwigo-

wo, zamiast do Cragin? Ale łakomy jest nigdy nienasycony, sięga po coraz więcej, nie myśląc, że zamiast zyskać, dwa razy na tem traci. Jadwigowo gwałtem potrzebuje pomocy ojców, ale zamiast je opatrzyć swojemi siłami, ojcowie posyłają tam obcego przybysza ks. Antoniego Kozłowskiego, a sami, gnani nienasyconą żądzą posiadania coraz więcej parafii, rzucają się na nowe pola pracy w Mele-Rose i Avondale. Właśnie jakby w przeddzień wybuchu na Jadwigowie, oprócz Cragin, biorą dwie nowe parafie na siebie. Dnia bowiem 8. listopada r. 1894 O. Kobrzyński donosi z tryumfem o zdobyciu dwóch nowych placówek: „Mamy do obsługi jeszcze dwie missye: Cragin i Mele-Rose—otwiera się trzecia missya w Avondale, gdzie osławiony ks. Kołaszewski z Cleveland chce założyć znów schyzmatycki narodowy kościół, tam loty kupione i zaczyna się budować kościół: na dziś te missye prawie nic nam nie przynoszą materyalnie, ale później te missye mogą być i znacznemi parafiami, które wiele korzyści będą mogły przynieść Zgromadzeniu, **ale znów brak nam księży, aby wszystkiemu wydołać.**". Otóż w tym „braku księży" tkwił sęk, a w sęku dziura, jaką Kozłowski wywiercił na Jadwigowie. Ojcowie poszli zażegnać małą schizmę w Avondale, aby tem rozpraszaniem swoich sił wywołać jeszcze większą schizmę na Jadwigowie. Tę swoją żądzę posiadania coraz więcej parafii ojcowie usprawiedliwiają bojaźnią przed księżmi świeckimi. „My świeckich księży, zwłaszcza ex-zakonników—pisał O. Kobrzyński 20. grudnia r. 1894—boimy się jak ognia nie tylko w naszej parafii, ale w parafii św. Jadwigi i w nowozakładającej się parafii św. Jacka w Avondale i św. Stanisława Biskupa i M. w Cragin,

i jak możemy sciskamy się, aby wszystko obsłużyć.. " Szkoda tylko, że P. Bóg nie dał ojcom po 10 rąk i po 5 głów każdemu.

Po O. Teofilu, od r. 1894 dojeżdżał do Cragin O. Piechowski, który powinien był iść już wtedy na słabo zaopatrzone Jadwigowo; a ojcowie mogli byli śmiało oddać Cragin ks. Antoniemu Kozłowskiemu lub jakiemukolwiek księdzu świeckiemu. Polscy księża świeccy nie byli znowu tak straszni, jak sobie ojcowie wyobrażali. Byli może straszni, kiedy mieli się wysługiwać ojcom jako asystenci. Ale bo też kler świecki nie jest powołany do służenia klerowi zakonnemu, lecz przeciwnie. żądać od księży świeckich, by zakonnikom, ślubującym ubóstwo, wysługiwali się jako panom swoim i proboszczom, to było stanowczo za wiele. Pomoc księży świeckich, w roli asystentów, z natury rzeczy musiała wyjść na szkodę ojców: stąd częsta wzmianka w listach ojców o „wielce szkodliwej pomocy księży świeckich."

O. Piechowski obsługiwał Cragin aż do lata 1895, kiedy objął na pół pożarem schizmy zniszczoną parafię św. Jadwigi. Do Cragin zaś dojeżdżali: O. Józef Gieburowski, C. R., a później O. J. Kruszyński, C R., Potem już nie dojeżdżał, lecz stale zamieszkał jako proboszcz w Cragin O. Floryan Matuszewski, C. R., aż do paźdz. r. 1901, kiedy ze Zgromadzenia wystąpił. Położenie Cragin jest bardzo piękne i malownicze, nic też dziwnego, że ojcowie do Cragin bardziej się przywiązali niż do własnej reguły. Czy odstąpić od Cragin, czy od reguły ,to stało się swego czasu kwestyą zasadniczą. O. Kasprzycki 25 paźdź. r. 1901 pisał był do Generała w tej „kwestyi zasadniczej", jak ją nazwał, co następuje: „Rzecz rozchodzi

się o parafię w Cragin. Rozdział XVI. Nr. 177 naszej nowej Reguły (specimimis causa) powiada: „ażeby nową missyę można założyć, potrzeba koniecznie dwóch kapłanów i jednego braciszka." Dotąd zanim ks. Floryan Matuszewski na własną rękę nie wziął parafii w Cragin, zawsze ktoś ze Stanisławowa dojeżdżał do Cragin. Przez to trzech ojców stracili zdrowie. Dziś parafia ta tak się wzmogła, że mogłaby 1 Ojca i 1 brata utrzymać, ale nie trzech, bo nawet i mieszkania dla nich nie ma. Dojeżdżać trudno, nikt nie chce, a i na cóż mamy zdrowie tracić niepotrzebnie? Dla czegóż nie miałoby być wolno nam w Chicago, co jest dozwolone na innych missyach? Przecież O. Szymon Kobrzyński jest tylko z jednym braciszkiem, a O. Hubert Asymaus sam jest z gospodynią. Jeżeli tam wolno, to i nam służy to samo prawo. Niech Najdr. Ojciec dobrze się nad tą sprawą zastanowi, bo od rozstrzygnięcia tej sprawy dużo Zgromadzenie zyska. Gdybyśmy mieli braciszków, którzyby umieli grać na organach i uczyć w szkole, tobyśmy i do Cragin zaraz mogli odpowiednią liczbę braci wysłać, ale skąd ich wziąć? Cragin już od lat jest w naszych rękach i powinniśmy go utrzymać, jeżeli mamy się zajmować parafiami, jak nam Reguła nasza wskazuje. Niechże więc nam wolno będzie do Cragin wysłać 1 Ojca i 1 braciszka tymczasem, a jak będzie miejsce i więcej pracy, poszlemy jeszcze 1 księdza lub braciszka. Szkodaby była bardzo wielka dla naszej missyi, gdybyśmy dla tego paragrafu w Regule mieli parafię w Cragin oddać w ręce księży świeckich. W Cragin jest obecnie 85 familii i blisko 100 dzieci w szkole; ludzie są z naszych parafii z Chicago. Takich missyi, żebyśmy zaraz na początku

domagali się od parafian utrzymania trzech, będzie mało, albo żadnych, bo je zabierze ksiądz świecki. Jeżeli na nowe missye Reguła nie pozwala mniej niż 3, to dla tej missyi w Cragin Najdr. Ojciec może zrobić wyjątek..." Ale O. Generał nie mógl robić takich wyjątków, bo Stolica św. nie pozwalała. Stolica św. żądała, nie już 3, ale nawet 6 do objęcia parafii. Brakło ojców, lub parafia nie mogła tylu utrzymać? Oddać ją księdzu świeckiemu. Lecz to ojcom chicagoskim się nie podobało, i stąd nastąpiło naprężenie, a nawet zerwanie stosunków z Rzymem.

W r. 1897 parafia w Cragin liczyła około 400 dusz, posiadała Towarzystwo św. Stanisława B. i M., a zabudowania i grunta parafialne były warte około $11,-000. Do szkoły na początku r. 1901 uczęszczało 56 dzieci; uczyła je świecka nauczycielka w 1 klasie o 3 stopniach nauki. W roku 1906, za rządów O. Jana Obyrtacza, C. R., podaje „Catholic Directory" 175 dzieci w szkole, i trzy Siostry nauczycielki z III zakonu św. Franciszka. Parafia więc spotężniała.

---

13. PARAFIA ŚW. JACKA W AVONDALE.

826-846 W. George Street.

(Założona r. 1894.)

Kościół św Jacka stoi (3¾ mili na północny-zachód od Stanisławowa, a 6 mil od środka miasta) frontem do Milwaukee avenue; na tej milami ciągnącej się ulicy był to pierwszy i jedyny kościół; drewniany o 2 piętrach, 90 stóp długi, a 50 szeroki, na dole szkoła a u góry kościół.

Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Gdyby nie niezależni, nie byłoby tu kościoła tak prędko. Roku 1894 kilka miesięcy przed wybuchem Kozłowszczyzny na Jadwigowie, wysłannik niezależnego ks. Kołaszewskiego z Cleveland, „ks." Radziszewski otumanił lud w Avondale i założył zbór schyzmatycki. „Otwiera się trzecia missya w Avondale—pisał O. Kobrzyński 8. listopada 1894—gdzie osławiony ks. Kołaszewski z Cleveland chce założyć znów schyzmatycki narodowy kościół..." a 20. grudnia: „w Avondale kupiliśmy loty i budujemy kościół, broniąc lud przed schyzmą Kołaszewskiego (który tam postawił „ks" Radziszewskiego). Ale kupno lot znów podniosło długi o 30,000... (loty w Avondale kosztowały $7,000)... Inne missye musi Zgromadzenie utrzymywać i na nie się stara o fundusze a w pozyskaniu dusz nie wielka pociecha... a tutaj mamy tysiące dusz... i wiele więcej dusz korzystałoby z naszej pracy Apostolskiej, gdybyśmy mieli więcej robotników a gorliwych... Najdr. Ojciec (Generał) życzy sobie, by wspólnie z nami dla dobra Polaków pracowały w Chicago i nasze Siostry Zmartwywstanki. Otóż O. Jan Piechowski pragnie mieć je..." Oprócz kościoła wybudowano i plebanię, a pierwszym proboszczem został O. Piechowski. „W Avondale—pisze O. Kobrzyński 21. kwietnia r. 1895—od Bożego Narodzenia r. 1894 regularnie odprawia nabożeństwa O. Piechowski, który obsługuje i Cragin, tak, że co niedzielę jednę Mszą ma w Avondale a drugą w Cragin, inaczej trudno się urządzić, gdy nas za mało, że co Niedzielę trzech lub czterech a niekiedy i pięciu muszą binować (po 2 Msze odprawiać), roboty coraz i coraz więcej przybywa a robotników liczba nic się

nie powiększa." A 31. sierp. 1895: „O. Józef Gieburowski proboszczuje w Avondale i Cragin... Dzisiaj, przy zamieszaniach, jakie były na Jadwigowie i jakie się dzieją w Buffalo obecnie i przy naprężeniu po innych parafiach, nie możem myśleć o sprowadzeniu Zmartwychwstanek, na samem wstępie mogłyby być wraz z nami narażone na wielkie nieprzyjemności. Na Avondale ludzie dopominają się dla szkoły o Siostry Nazaretanki..."

Po O. Gieburowskim, na początku r. 1897, proboszczem w Avondale został O. Eugeniusz Sedlaczek, C. R. Stało się to wtedy, kiedy ks. Sedlaczek po swoim zagadkowym wyjeździe do Rzymu (zobacz tom IX) powrócił znowu do Chicago. Podówczas Generał Smolikowski w swojem ogłoszeniu bankructwa zaznaczył, że parafia w Avondale winna jest Bankowi Parafialnemu (na Stanisławowie) $16,000 a wartość lotów w Avondale podaje na $13,000. O. Sedlaczka zrobiono proboszczem w Avondale jedynie dlatego, aby go nie mieć na Stanisławowie: posunięto go, aby go usunąć. Ojcowie nie chcieli wcale mieć O. Sedlaczka w Chicago i telegraficznie wysłali nawet protest do Rzymu przeciw jego powrotowi do Chicago. Ale—pisze O. Kasprzycki 17. lutego r. 1897.—„Opatrzność Boska widocznie chciała, że nasz telegram przyszedł zapóźno do Rzymu i O. Eugeniusz (Sedlaczek) przyjechał do Ameryki. Ojcowie wszyscy na Stanisławowie sprawili mu afront tem, że wysłali po Niego brata Kazimierza na dworzec, a sami poszli na spoczynek. Brat Kazimierz wskazał Mu pokoik. Mówił mi O. Eugeniusz, że całą noc nie spał zastanawiając się nad zimnem i chłodem Ojców względem niego... Z rozmowy z O. Eugeniuszem

wyniosłem to przekonanie, że we wielu rzeczach O. Eugeniusz jest niewinnym, i że te wszystkie intrygi przeciw Niemu od kogo innego pochodzą, ale smutna rzecz, że także od Ojców Zgromadzenia... O. Eugeniusz, zniechęcony do pracy na Stanisławowie, udał się do Arcybiskupa z O. Andrzejem (Spetz) i tenże Arcybiskup oddał mu parafię w Avondale". O. Sedlaczka wysłano czemprędzej do Avondale, z obawy, by się nie ogłosił proboszczem na Stanisławowie. Zaczęły obiegać pogłoski—pisze O. Wincenty Barzyński 10. lutego r. 1897—„jakoby przyjaciele . Eugeniusza ogłaszać mieli, że on im pisał, że zostanie Proboszczem... Arcybiskup znając coś zbytecznie, że dzisiaj wśród Polaków zamieszania parafialne są jakoby w modzie, powiedział O. Andrzejowi, aby powiedział O. Eugeniuszowi, że ma zająć miejsce proboszcza w Avondale. W razie gdyby O. Eugeniusz tego nie przyjął, ma się zatrzymać w St. Mary's, Kentucky, ale ma przyjść osobiście do Niego i z Nim się rozmówić. O. Eugeniusz przyjął Avondale..." Ale jak? „Jakby na pośmiewisko—pisze sam 4. marca r. 1897 —zrobiono mię proboszczem parafii św. Jacka... wskutek podłej i nikczemnej intrygi urządzonej przez księży Gordona i Cosimi... W gronie tak niskich i podłych współbraci żyć dalej nie mogę." A 30. marca r. 1897: „...Na Stanisławowie wszystko zgangrenowane... X. Barzyński niezdolny, posługiwać się musi OO. Gordonem, Cosimi i Bielą—ta trójka wszystko niweczy. O reformie zakonnej ani mowy... Nauczyłem się być skeptykiem... Trójka hultajska używa przemocy X. Gieburowskiego w Avondale, intryguje po chłopsku, przyjmuje tych chłopów u siebie na Stanisławowie... jak mi to opowiedział X. W.

Barzyński... Dziwimy się, że są kościoły niezależne, szukamy przyczyn, zapominając o sobie... Smutne to stosunki, ubolewają nad nimi OO. Kasprzycki, Spetz, Kruszyński—otóż to moi bracia, z którymi uczciwie mówić można, in quibus dolus non est." A 13. kwietnia r. 1897: „Ubocznie dowiaduję się, że proboszczowie św. Jadwigi i św. Stanisława nie łaskawem okiem się patrzą na Rzym—dlaczego? non datur effectus sine causa." Zaś 19. lipca r. 1897: „Jestem pokrzywdzony... zajęcie, jakiem mię z łaski obdarzono, nie odpowiada mojemu charakterowi. Missya moja, wobec Boga i sumienia sądząc, jest skończona w Ameryce. Dusza moja pragnie innego świata, świata rzeczywistości a nie utopii. Błagam o zlitowanie się nad biedną duszą moją..." I prosi, by go wzięto do Europy. Donosi, że w przeciągu 5 miesięcy spłacił $1,000 długu parafialnego. Nareszcie 15. września r. 1897 pisze O. Sedlaczek: „Przyszło do ostatecznego porozumienia między mną a O. Barzyńskim i O. Gordonem. Zostaję na miejscu. Z przestrachem patrzymy się na gospodarkę O. Barzyńskiego... O. Barzyński nie tak prędko mi zapomni moje odkrycie w olbrzymim deficycie bankowym i dlatego uważa mnie za niebezpiecznego dla siebie—jak sumienie mi nakazywało, tak uczyniłem. O. Gordon zaś obawiał się, że go z jego posady zastępcy proboszcza wyruguję—tak jeden jak i drugi podaremnie się strachali."

W ciągu r. 1898 w parafii w Avondale były 4 śluby, 3 pogrzeby i 54 chrzty; dochodu było $4,943 (w tem piknik, fair i loty $1,403, kolekta w kościele $825, kolekta parafialna $962, ławkowe $876, szkoła $598); a rozchodu było $3,101 (w tem pensya pro-

boszcza i organisty $744, a pensye Sióstr $700). O. Sedlaczek ogłaszał drukowane sprawozdanie roczne, ale o długach w tych sprawozdaniach nie ma wzmianki. Śmierć zbliżała się do O. Barzyńskiego; oglądano się za jego następcą. Jeszcze 30. maja r. 1898 pisał O. A. Spetz: „O. Barzyński ma się źle... tu i owdzie agitacya za O. Eugeniuszem na proboszcza... Myślę, że tylko O. Kasprzycki może być proboszczem (na Stanisławowie), a na Kantowie O. Gordon." Atoli po śmierci O. Barzyńskiego proboszczem na Kantowie został O. Sedlaczek, z początkiem maja r. 1899. Avondale zaś objął O. Jan Babski, C. R., który i dotychczas tam rządzi i za którego to czasów parafia ta pięknie się rozbudowała i wzrosła tak, że już r. 1904 liczyła około 400 rodzin. Chociaż już r. 1897, jak p. Zahajkiewicz podaje, parafia ta liczyła około 2,000 dusz i ujęta była w liczne bractwa, towarzystwa, chóry i kluby teatralne, a kościół przyozdobiony był pięknem malowidłem artysty-malarza p. Żukotyńskiego. Do szkoły na początku r. 1901 uczęszczało 182 dzieci, a uczyły 3 SS. Nazaretanki; roku zaś 1905 było już w szkole samych chłopców 196, a dziewcząt 182—pod dozorem 5 SS. Nazaretanek. W chwili powstania tej parafii r. 1894, nie liczna garstka Polaków była rozrzucona po mało zaludnionych ulicach; dziś ulice przytykające do kościoła są już zabudowane i zamieszkane przeważnie przez polskie rodziny, które parafii rokują świetną przyszłość.

Ks. Jan A. Babski, C. R., urodzony w Niemczech, studyował w Lubawie, Prusach Zachodnich. Teologii słuchał we Lwowie i w Rzymie, poczem pracował gorliwie jako asystent na „Kantowie." W r. 1906 jego staraniem wystawiono na Jackowie nowy kościół

i szkołę pod jednym dachem, kosztem $65,000. Nowy ten gmach na rogu ulic Wolfram i Lawndale ave.; jest (od strony Wolfram ulicy.) 75—82 stóp szeroki i (od strony Lawndale ave.) 156 stóp długi; poświęcony został 16. grudnia r. 1906. Gmach ten składa się z trzech pięter. W środkowem znajduje się kościół obszerny i piękny; na górnem 8 klas szkolnych a na dole kilka sal na zgromadzenia towarzystw, z których jedna około 80 stóp długa, mieści też scenę do przedstawień.

W Avondale istnieje polski dom Sierót i Starców. Sierociniec r. 1901 liczył 102 sierotek: z tych 12 chłopców i 14 dziewcząt powróciło do rodziców, do ojca lub matki, 3 chłopców i 4 dziewczęta wzięły obce familie; jeden chłopiec poszedł do Kollegium św. Stanisława K.; jedna dziewczyna umarła. Pozostało na początku r. 1901 wszystkich sierotek 67. Dom przytułku św. Józefa z początku r 1901 liczył 40 starych, z tych 28 niewiast i 12 mężczyzn. Następujące parafie przyczyniają się do utrzymania tego Domu Sierót i Starców: Stanisławowo, Kantowo, Jadwigowo, Jackowo, Maryanowo i Stanisławowo w Cragin. Przychodu w roku 1900 było około $7,000 i prawie tyle rozchodu.

---

14. PARAFIA M. B. CZĘSTOCHOWSKIEJ W HAWTHORNE.

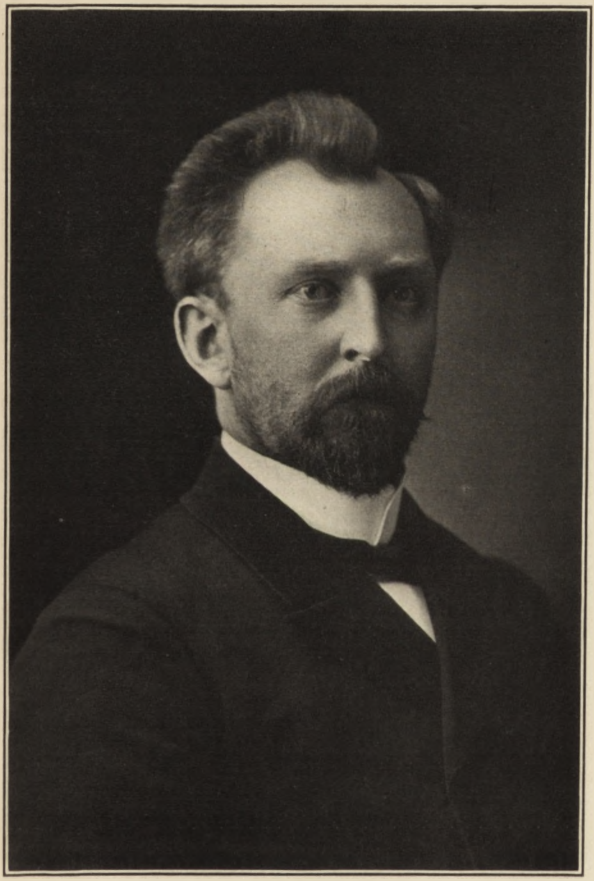
30-th Street and Linden Avenue.

(Założona r. 1895.)

Na przedmieściu chicagoskiem zw. „Cicero", w dzielnicy Hawthorne, 4½ mili na zachód od Wojcie-

chcwa, a 6¾ mili na zachód od środka miasta, założoną została w maju r. 1895 parafia pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej. Pierwszym proboszczem i założycielem był ks. Słomiński, po nim nastąpił r. 1899 ks. L. T. Wyrzykowski. W ostatnich latach za rządów ks. B. Czajkowskiego zaprowadzono porządek w szkole, sprowadzono Polskie Siostry św. Józefa (sześć), finansami zawiadowano tak, iż ładną sumkę w krótkim czasie odłożono na nowy kościół. Na początku r. 1901 do szkoły chodziło 50 dzieci (1 nauczyciel świecki), a r. 1905 było już dzieci 230. Roku 1897 grunta i zabudowania parafialne szacowano na $10,000.

Prof. Dr. Władysław Aug. Kuflewski w Chicago, urodził się w Jaroszewie w Księstwie Poznańskiem, z rodziców Augusta i Salomei z Kalacińskich Kuflewskich, dnia 26. Maja r. 1870. Do Ameryki przybył w kwietniu r. 1886, uczęszczał do dziennej, potem wieczornej wyższej szkoły; wstąpiwszy do apteki, uczęszczał do „Chicago College of Pharmacy" złożył świetny egzamin jako „registrowany aptekarz", wstąpił na wydział medyczny i po 5-ciu kursach dostaje dyplom doktora medycyny dnia 3-go kwietnia r. 1894 w Chicago College of Physicians and Surgeons; w roku 1895 był lekarzem Szpitala Polskiego. 22-go maja r. 1896 został obrany naczelnym lekarzem Zw. Nar. Polskiego, który to urząd piastuje obecnie; w roku 1897 Dr. Kuflewski zostaje docentem chirurgii, a dnia 4. marca r. 1898 został profesorem chirurgii w Chicago Clinical School, gdzie wykłada chirurgię dwa razy tygodniowo. 7-go lipca 1899 mayor miasta Chi-



Prof. Dr. W. A. Kuflewski.

cago, mianuje Dr. Kuflewskiego dyrektorem Biblioteki Miejskiej, w r. 1900 został wice-prezesem Biblioteki Miejskiej. 2-go stycznia r. 1901 prezes rady powiatowej Jan Hauberg, powołuje Dr. Kuflewskiego jako chirurga Szpitala Powiatowego; 7. lipca 1902 mayor miasta Carter Harrison mianuje Dr. Kuflewskiego „Radcą szkół publicznych" a 12-go sierpnia r. 1902 gubernator Richard Yates mianował Dr. Kuflewskiego chirurgiem 2-go regimentu stanowej milicyi. Dr. Kuflewski jest prezesem Biblioteki Związkowej; członkiem Am. Med. Ass.; Chicago Medical Society; Illinois Med. Soc., Stowarzyszenia Polskich Lekarzy i członkiem Chicagoskiego Atletycznego Klubu i wielu innych naukowych towarzystw.

---

15. PARAFIA ŚŚ. AP. PIOTRA I PAWŁA W CHICAGO, ILL.

38-th and Paulina Streets.

(Założona r. 1895.)

W roku 1900 latem wybrałem się w odwiedziny do tych „progów Apostołów."

Proszę sobie wyobrazić: tam w dali, poza cuchnącą rzeką Chicago, „stockyardy" dymiły tak, że gdybyś kilka z Wezuwiuszów obok siebie postawił, nie kopciłyby tak straszliwie—a tu, u „progu Apostołów", jak gdyby na farmie, ciągnęły się obszerne pola, zielone od kapuścianych głów, a wśród tych głów kapuścianych był czworobok, odgrodzony parkanem, w którym wznosił się prostokątny budynek piętrowy z sygnaturką—był to kościół śś. Apostołów Piotra i

Pawła. Mieścił się w tym budynku, kosciół na dole, szkoła i plebania, u góry, i mieszkanie dla nauczyciela—wszystko pod jednym dachem.

Parafia ta (2½ mili na południe od Wojciechowa, a 4¼ mili od środka miasta) założoną została staraniem ks. Radziejewskiego przez ks. Pawła Rhode. Liczyła wtedy około 1,000 dusz. Do szkoły uczęszczało tu, na początku roku 1901, w sam raz 75 dzieci, a mianowicie 45 chłopców i 30 dziewcząt. Uczył jeden świecki nauczyciel w jednej klasie; stopni nauki 4. Istniało kilka Towarzystw, a między innymi Towarzystwo św. Cecylii, które zwłaszcza pod kierownictwem ks. Nowakowskiego, zawołanego muzyka urządzało tu często wieczorki muzyczno-wokalne. Pierwszym proboszczem był ks. Paweł Rhode, ówczesny asystent na Wojciechowie. Przez 2 lata dojeżdżał tylko, a trzeciego już zamieszkał tam. Po nim proboszczem był tam od roku 1897 ks. Bolesław Nowakowski, pasierb sławnego w Chicago adwokata Kl. Belińskiego, urodzony 12. grudnia roku 1871, we wsi Kraczkach blisko Nakła w Poznańskiem. Trzy miesiące miał gdy go do Ameryki przywieziono. Elementarne nauki pobierał w parafii św. Wojciecha w Chicago, potem kształcił się u OO. Jezuitów w Kollegium św. Ignacego, a wreszcie od roku 1887 w St. Francis, Wis., gdzie wyświęcony został 16. czerwca w roku 1895. Był najpierw asystentem ks. Langego na Józefatowie, poczem awansował na proboszcza parafii śś. Apostołów. Odznacza się, obok cnót kapłańskich, wielkiem zamiłowaniem do śpiewu i gry na różnych instrumentach, dętych i rżniętych. Od grudnia r. 1901 jest proboszczem w Sobieski, Ill., a na jego miejsce przybył tu z Kankakee ks. Max Kotecki.

Przy ulicy Charleston nie można było budować kościoła, gdyż kompania tramwajowa wykupiła wszystkie grunta. Ks. Kotecki znalazł jednakowoż drogę wyjścia: zakupił 17 lot na rogu ulic 38-mej i Paulina, tam w 1903 roku pobudował śliczną plebanię, a trzy lata później, tj. r. 1906 rozpoczął budowę nowego kościoła, który z całem urządzeniem kosztować ma $80,000. Front świątyni z kamienia, reszta z polerowanej cegły. Kościół, 152 stopy długi i 72 szeroki, ma 1,100 siedzeń.—Parafia św. Piotra i Pawła posiadała r. 1906 przeszło 500 rodzin, przeważnie młodych. Do szkoły, w której uczyło pięć Sióstr Felicyanek, uczęszczało 250 dzieci. Asystentem w tej kwitnącej parafii był ks. Jan Wyszyński.

---

16. PARAFIA M. B. ANIELSKIEJ W CHICAGO, ILL.

Bloomingdale Road and N. Hermitage Avenue.

(Założona r. 1899).

„Maryanowo" leży w środku między Stanisławowem a Jadwigowem, 3¼ mili na północny-zachód od środka miasta. Założył tę parafię roku 1899 ks. Gordon, C. R., zarządca „Dziennika Chicagoskiego". Energia ks. Gordona dźwignęła w tymże roku olbrzymi gmach, 225 stóp długi, a 90 stóp szeroki. Proszę sobie to wyobrazić! Cały gmach massywny, z ciemnoczerwonej cegły, w stylu renesansowym budowany. Na dole, w parterze, mieści się obszerna hala, objętości 1,000 siedzeń, oraz inne sale posiedzeń dla przeróżnych towarzystw. Foresterzy mają osobną salę

z tajemniczą komórką wstępną czyli przedsionkiem. Ponad tym parterem jest 12 klas szkolnych, przedzielonych szerokim korytarzem. Na najwyższem piętrze znajduje się kościół, mający 1,200 siedzień. Presbiteryum wymalował własnoręcznie ks. proboszcz Gordon, wcale udatnie i gustownie. W tym samym gmachu mieści się i mieszkanie proboszcza, oraz Sióstr. Gmach ten kosztował $65,000. Gruntów zakupiono dwa całe bloki, z których jeden wyprzedaje parafia lotami. Obydwa te bloki gruntu, czyli 50 lot, kosztowały $60,000. Długu, zastawionego majątkiem parafialnym, ciężyło w r. 1901 na tej młodej parafii $35,-000.

Parafia liczyła wtedy około 800 familii, dzieci do szkoły uczęszczało 700, których uczą Siostry Zmartwychwstanki (8).

Granice tej parafii są: North avenue od południa, Hermitage avenue od północy, od wschodu Chicago River a od zachodu nie ma granic. Na Maryanowie nigdy słońce nie zachodzi.

Ks. Franciszek Gordon, C. R., urodził się 29. sierpnia r. 1860 w Tryszczyniu w powiecie Bydgoskim, Księstwo Poznańskie. Do szkół uczęszczał w Bydgoszczy. Do Ameryki przyjechał 1. grudnia roku 1881, a w roku 1882 uczęszczał do Kollegium P. Maryi w Kentucky. Od roku 1884 do r. 1885 był nauczycielem świeckim przy szkole św. Stanisława K. w Chicago. W roku 1885 poszedł do Rzymu, gdzie wstąpiwszy do OO. Zmartwychwstańców, słuchał teologii na Uniwersytecie Gregoryańskim. Wyświęcony 20. kwietnia r. 1889. Od 27. czerwca r. 1889 do 28. grudnia roku 1892, pracował przy parafii św. Stanisława K. w Chicago, będąc przytem zarządcą „Dziennika

Chicagoskiego". W r. 1892 znowu poszedł do Rzymu, a stamtąd do Krakowa, Lwowa, aż w końcu r. 1893 przełożeni wysłali go do Adryanopola w Turcyi, gdzie był profesorem. Dla poratowania zdrowia powrócił do Rzymu r. 1894. Stamtąd posłano go na prokuratora do Krakowa. Niebawem znowu go odwołano do Rzymu na wice-prokuratora domu macierzystego. Wreszcie r. 1896 jako prywatny sekretarz ad latus ks. Generała Smolikowskiego, przybył z nim do Chicago i tu pozostał ponownie w parafii św. Stanisława K., a zarazem wybrany został zarządcą Polskiej Spółki Wydawniczej i „Dzien. Chic.", który to urząd dotychczas piastuje. Ks. Gordon odznacza się szczególnie w pracy nad zorganizowaniem młodzieży obojga płci. O założonej przezeń „Macierzy Polskiej" pisaliśmy już na innem miejscu.

W zbożnej pracy ks. Gordonowi dopomagał ks. T. Szypkowski, C. R.

Od r. 1905 proboszczem asystentem O. F. Repiński, C. R.

---

17. GENEZA NIEZALEŻNYCH CZYLI TAK ZWANEJ KOZŁOWSZCZYZNY W CHICAGO, ILL.

Luebeck Avenue.

(Początek r. 1895.)

Duch niezależny jeszcze przed Kozłowskim pokutował po kątach różnych parafii chicagoskich. „Zaburzenia i bunty parafialne—jak nam trafnie powiedział jeden z prostego ludu—jest to sprawka nie naszego ludku, tylko dworskich fagasów i miejskich wycieruchów", którzy, mając „wyszlifowane języki" w

oczach naszego ludku uchodzą za uczałych i mądrali. Tacy to szubrawcy wszywają się w zaufanie naszego ludku. Niejaki taki łotrzyk przypuszczał atak i do tych samych księży, chcąc żyć ich kosztem, a że mu się nie dało księdza oszukać, wnet pogróżki i dalej do gazet. Nasz ludek, skoro tylko wyczyta brudny artykuł na swego księdza, z początku przejmuje się zgrozą i zaraz uwierzy, co tam gazeciarz wydrukuje". Młode społeczeństwo, jak młody szampan, ustawicznie musuje.

Ale te „fagasy i wycieruchy miejskie" niceby nie wskórały, gdyby na czele ich ruchu nie stanął jakiś wykolejony ksiądz. Ztąd najprawdziwsze w świecie jest owo stare przysłowie łacińskie, że „omne malum a clero". Na czele ruchu niezależnego w Chicago stanął świeżo przybyły (r. 1894) do Ameryki ks. Antoni Kozłowski, młody a gładki na twarzy kapłan. Antoni jako braciszek z klasztoru puścił się do Jerozolimy, aby tam Turków nawracać. Ale gdy Turcy młokosowi skórę wygarbili, powrócił do Włoch i tu w Taranto, przez arcybiskupa Petrus Jorio 15. sierpnia r. 1885 został wyświęcony pono „ad solam Missam", ponieważ w teologii nie był kuty ani na przednie nogi. Pomimo to genialny ks. Barzyński ustanowił go r. 1894, asytentem przy kościele św Jadwigi w Chicago, nietylko „ad solam Missam", ale „ad omnia." Od lat kilku był tu proboszczem brat ks. Wincentego, ks. Józef Barzyński, kapłan świecki. Jego nowy asystent, Kozłowski, z początku wywiązywał się ze swych obowiązków należycie. Jak to mówią, ślepemu i głuchemu natura daje węch lepszy i czucie delikatniejsze; tak i Kozłowski, choć wielkich nauk nie posiadał, miał za to spryt i węch nielada. Wę-

sząc na wszystkie strony, już we wrześniu tegoż roku 1894 zawiązał nieszlachetną intrygę—po cichu. Młody asystent chodził od domu do domu, burzył przeciw proboszczowi, szeptał do ucha słowa uzasadnionych zresztą zarzutów, i w ten sposób wytwarzał sobie powoli własną „partyę”. Zyskani przez niego popleczniccy zaczęli zbierać podpisy pod jakąś petycyę; objaśniono, że to jest prośba, ażeby ks. Kozłowskiego nie usuwano z posady asystenta—w istocie atoli, aby usunięto z probostwa ks. Józefa Barzyńskiego. W ten sposób podpisało petycyę paruset obałamuconych. Petycyę przedłożono ks. Arcybiskupowi Feehan. Arcybiskup, przekonawszy się, że przeciw ks. Józ Barzyńskiemu nie ma żadnych zarzutów, że tę petycyę podyktowała intryga Kozłowskiego, zamiast Barzyńskiego, usunął Kozłowskiego z parafii. „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada”. A nawet zabronił Arcybiskup Kozłowskiemu sprawować jakiekolwiek funkcye kapłańskie w obrębie swej archidyecezyi, jako nowemu przybyszowi, który jeszcze nie był przyjęty do dyecezyi.

Kozłowski pozornie do tego się zastosował. Usunął się z plebanii a nawet z Chicago wyjechał. Ale „kwas” po sobie w Chicago zostawił. A „nie wiecie, iż trochę kwasu wszystko ciasto zakwasza?” (św. Paweł do Koryntyum 5,6). W parafii św. Jadwigi nastąpiło złowrogie wrzenie, fermentowanie, które wzruszało się i wzbierało stopniowo, aż po nowym roku 1895, wylało z brzegów w owych styczniowych i lutowych zaburzeniach (zobacz opis parafii św. Jadwigi.) Kozłowski, na czele niezadowolonych parafian św. Jadwigi, udał się do Washingtonu do Delegata Ap. Mgr. Satolli'ego. Lecz Delegat nie dał mu

posłuchania. Jak opisuje O. Sedlaczek, C. R., (który miał w tej sprawie audyencyą u Mgr. Satollie'go 17. kwietnia r. 1895), sekretarz Delegacyi Apostolskiej miał się wyrazić:

„Gdy ostatni raz był tutaj ksiądz Kozłowski, Jego Eks. Satolli nie przyjął go, raz dla tego, iż całą tę sprawę zdał na Arcybiskupa chicagoskiego, a powtóre dla tego, że pierwsza delegacya opozycyjna, gdy przybyła do J. Eks. Delegata Apost., skarżyła się na J. Barzyńskiego, nagliła o jego usunięcie z probostwa św. Jadwigi i wyraźnie zapewniła, że w tem nie ma żadnego zamiaru, aby ksiądz Kozłowski miał objąć tę parafię. Otóż gdym (mówi Sekretarz) zobaczył na czele ich delegacyi ks. Kozłowskiego, rzekłem doń: „I ty, księże, nie wstydzisz się narażać J. Eks. Del. Apostolskiemu? wszak ksiądz nie chciałeś tej parafii —i teraz ośmielasz się stawać przed Delegatem?" A sam Mgr. Satolli tak powiedział: „Sprawa cała jest skończona, ja z nią nic nie mam do czynienia. Komitetu, który się stawił z ks. Kozłowskim na czele, nie przyjąłem i nigdy podobnej delegacyi z ich strony nie przyjmę." (Zobacz rocznik „Dziennika Chicagoskiego" z 20. kwietnia r. 1895.) Twierdzą niektórzy, że Kozłowski faktycznie nie wyjechał z Chicago, lecz że zamieszkał w obrębie parafii św. Jadwigi u jednego ze swoich zwolenników i z ukrycia kierował rozruchami i prowadził dalej robotę intryg i podżegania przez tajemne mityngi i „conciliabula", na których projektowano owe zamachy i gwałty. Inni jednak, między tymi dawniejsi jego konfratrzy, stanowczo utrzymują, że Kozłowski na seryo opuścił Chicago i nie myślał nigdy powrócić. Będąc bez posady, szukał miejsca i chleba po innych dyecezyach. Pojechał na-

wet do Texas, by tam objąć jakąś parafijkę i mieć z czego żyć. Kozłowski wysadzony z Jadwigowa na bruk, nie gonił wtedy za żadnymi ideałami, ani za „niezależnymi", on gonił poprostu za chlebem. Gdyby był w Texas znalazł chleb, byłby tam siedział do dziś. Ale nieszczęście chciało, że gdziekolwiek się obrócił, do któregokolwiek miejsca przybył, wszędzie ścigany był, jak dzikie zwierzę, przez listy gończe wysyłane z Chicagoskiego Stanisławowa. Głód najgorszym doradcą, a w szczególności Polak, jak głodny, to zły. Widząc, że jest banitą, ża żaden biskup posady mu nie da, postanowił wrócić do Chicago i tam rzucić się w objęcia ludu, jedynie, aby zabezpieczyć swój byt, a nie umrzeć z głodu. „Na kilka dni przedtem, zanim to (ta schizma) stało się jawnem i głośnem—tak świadczy Szczęsny Zahajkiewicz w swej „Złotej Księdze", str. 58.,—mieliśmy sposobność rozmawiać w hali Pułaskiego przy szklance piwa, z tym Kozłowskim który część ludu z parafii św Jadwigi sprowadził z prawej drogi. i oddał na pastwę schizmy. Powiedział on nam wtedy, że go żaden biskup katolicki przyjąć nie chce, a więc z tej przyczyny postąpi tak, „aby mógł żyć". Dwóch świadków innych było też przy tem oświadczeniu. Dość ożywiona dysputa doprowadziła tylko do tego, że ex-ksiądz K. nie myśli znowu tak źle i że tylko tak się wyraził"...

Kozłowski tak się wyraził jak myślał. Kozłowski pracował i pracuje „dla chleba, nie dla nieba"—propter esum, non propter Jesum. Jego myśli wyżej nie sięgały, jak tylko, aby zaspokoić żołądek—o zaspokojeniu sumienia nie myślał, bo go nie miał. O tych słowach Chrystusa Pana „Nie samym chlebem żyje człowiek"... nie myślał; jego przednią myślą było

zaspokojenie brzucha. Tego jedynie szukał i to też jedynie znalazł—na zatracenie swojej duszy; bo nie darmo mówi św. Paweł: „których koniec, zatracenie, których Bóg jest brzuch" (Fil. 3, 19). Wróciwszy na Jadwigowo, Kozłowski przyłożył do dotychczasowych buntów parafialnych formalną pieczęć schizmy z wiosną roku 1895. Przy Luebeck ulicy, opodal kościoła św. Jadwigi, na tak zwanych później „koźlich preryach", pobudował szopę, którą 16. czerwca r. 1895 na tymczasowy kościół sam własną ręką poświęcił. Następnie 11. sierpnia 1895 położył kamień węgielny pod swój zbór p. t. „Wszystkich Świętych". Dnia 29. września roku 1895 ks. Arcybiskup Feehan rzucił publiczną klątwę na Kozłowskiego. A kiedy Kozłowski następnie przyjął święcenie „biskupie" 21. listopada r. 1897 w Bernie w Szwajcaryi z rąk starokatolickiego biskupa Edwarda Herzoga (w asystencyi Gerarda Gula z Holandyi i Teodora Webera z Bonn w Niemczech, tudzież i w obecności p. Leischmana, posła Stanów Zjednoczonych w Szwajcaryi)—wtedy Jego Świętobliwość Leon XIII, Papież, na audyencyi dnia 26. kwietnia r. 1898 rozkazał, aby Jego imieniem przez dekret św. Kongregacyi Rozkrzewienia Wiary do wiadomości podano, że fałszywy biskup Kozłowski wpadł w klątwę większą, Rzymskiemu Papieżowi w konstytucyi „Apostolskiej Stolicy" zastrzeżoną—który to dekret we wszystkich polskich kościołach w Ameryce ogłoszono ludowi z ambony. To było koniecznem, bo Kozłowski—jak inni niezależni prowodyrzy—zamydlał ludowi polskiemu oczy, twierdząc kłamliwie, że od wiary katolickiej nie odpadł, że jest kapłanem i biskupem katolickim, i że Papież go uznaje a tylko ajryscy biskupi go uznać nie chcą. W

ten sposób nasi niezależni okrywali się płaszczem katolickim, a lud prosty i nieoświecony dał się bałamucić. Głupich nie trzeba siać, oni sami rosną. Bo gdzie tu rozum, mówić: „Jestem katolik, ale katolik niezależny?" Takiej wiary dotychczas nie było i nie ma na świecie. Katolik może być tylko ten, który uznaje władzę ustanowioną od Papieża, zaś czcze gadaniny, że uznaję Papieża a biskupa nie, są poprostu głupstwem, którego żaden człowiek, mający rozsądek, wypowiedzieć nie zechce, zrobi to tylko półgłowek lub człowiek przewrotny.

Kozłowski, wszedłszy raz na pochyłą drogę, staczał się po niej coraz niżej. W roku 1900 wziął nawet udział w zjeździe protestanckich biskupów we Fond du Lac, Wis., i to razem z prawosławnym archirejem Tychonem z San Francisco. Kozłowski przez ten fakt udowodnił, że zdradził dwie święte i wielkie dla narodu naszego sprawy. Zdradził naród polski przez zaprzyjaźnienie się z Moskalami i zdradził religię, która była religią ojców naszych i uznaną przez Konstytucyę 3go maja za panującą. Odtąd przestał być nie tylko katolikiem, ale i Polakiem i słusznie pisma polskie piszą go „Kozłowskij".

Liczba niezależnych w Chicago wynosi 7,000 do 8,000 dusz. Zborów 3 czy 4.

Sam atoli Kozłowski w swoim „Memoryale do biskupów episkopalnych", w którym prosił o przyjęcie do episkopalnego kościoła (zobacz „The Living Church," z 27. września r .1902 r.), podaje liczbę niezależnych, podległych jego juryzdykcyi, na 80,000 dusz, 13,000 dzieci szkolnych, 25 kościołów i 25 szkół ,oraz 26 księży. Do swoich parafii zalicza: 6 w Chicago, 1 w South Chicago, 1 w Milwaukee, 1 w

Fall River, Mass., 1 w Baltimore Md., 1 w Filadelfii, 1 w Cleveland, 1 w Dureya, Pa., 1 w Lowell, Mass., 1 w Bayonne, N. J., 1 w Hegewisch, Ill., 1 w Thorpe, Wis., 1 w Plymouth, Pa., 1 w Jersey City, N. J., 1 w Wilkesbarre, Pa., 1 w Buffalo, N. Y., 1 w Bedford, N. Y. i w Brooklyn, N. Y., Następujących księży wylicza jako podległych swojej juryzdykcyi: Blazowski, DeAndrea (żonaty), Dynia, Gawrychowski, Harliczko, Jakimowicz (żonaty), Kabelka, Klawiter, Kołaszewski, Lechowski, Mirski, Papoń, Pitzak, Pluciński, Pryski, Radziszewski, Rosicki, Szumowski, Telachowski, Tolpa, Tomaszewski, Trzepierczyński, Veara (zonaty), Winters, Wyszomierski, Ziombiński—tudzież Siostry. św. Antoniego 28-40 Frankfort Str. Chicago, Ill." (zobacz episkopalny organ „The Living Church" tamże.)

Ks. Antoni Kozłowski umarł w Chicago 15. stycznia r. 1907.

---

18. PARAFIA ŚW. SALOMEI W KENSINGTON, ILL.

118th Street and Indiana Avenue.

(Zapoczątkowana r. 1894.)

Na południowych i południowo-zachodnich krańcach a raczej wypustkach olbrzymiego Chicago rozsiane są osady polskie w miasteczkach: Kensington, West Hammond (Sobieski), Pullman i West Pullman —dalej Hegewisch—wszystkie w obrębie tego samego Chicago.

Parafia św. Salomei w Kensington zaczęła się organizować r. 1894. Dojeżdżał do niej swego czasu

(zdaje się pierwszy) ks. Truszyński z Trójcowa, potem także ks. Raczyński i ks. Wojtalewicz. Było tam wtedy około 80 familii polskich, lecz r. 1900 liczba urosła do przeszło 200 familii. W tym też roku 1900 parafia dostała stałego proboszcza w osobie młodego i energicznego ks. Gronkowskiego, byłego asystenta na Józafatowie.

Z przybyciem ks. Gronkowskiego parafia rozwinęła się świetnie. Kościołek, którego budowę rozpoczęto jeszcze r. 1893, dawno był już wykończony, ale dopiero za staraniem ks. Gronkowskiego został w jesieni r. 1900 uroczyście poświęcony. Najstarszem towarzystwem w parafii jest Tow. św. Stanisława K., które sprawiło dla kościoła prześliczny ołtarz, a Tow. Wniebowzięcia N. Maryi Panny z West Pullman ofiarowało złoty kielich Ks. proboszcz założył Bractwo Różańca św., składające się z (r. 1900) z 6 róż niewiast. Nowozałożone Tow. św. Wojciecha także w liczbę członków rośnie jak na drożdżach. Nadto dwie loty parafia dokupiła i plebanię pobudowała.

Proboszcz ks. K. Gronkowski, urodzony r. 1867 w Prusach Zachodnich, studyował w seminaryach w Baltimore, Md., i w St. Francis, Wis., gdzie r. 1897 otrzymał święcenia kapłańskie. Jest to ruchliwy i przesiębiorczy kapłan.

Po nim w grudniu r. 1904 nastąpił ks. F. J. Jagielski. W szkole 3 Polskie Siostry św. Józefa uczą 120 dzieci.

Do Kensington należy missya św. Izydora w Blue Island.

19. POLACY W PULLMAN, ILL.

W Pullman istnieje polskie Towarzystwo „Robotnik”, które na rocznem posiedzeniu w grudniu r. 1900 obrało następujący zarząd: Fr. Szafrański, prezes; K. Jung, wice-prezes; K. Budziński, kasyer; F. Dąbrowski, sekr.*prot.; J. Dorański, sekr. fin.

Nadto istnieją tu inne towarzystwa, jak „Postęp”, grupa 500 Z. N. P., do którego zarządu w grudniu r. 1900 obrani: A. Czerwiński, T. Dąbrowski, J. Bogowicz, J. Iglewski, L. Majewski i W. Alwin. Od r. 1899 Tow Śpiewu im. B. Dembińskiego należące do Związku Śpiewaków P. w A., którego zarząd: J. Bogowicz, T. Dąbrowski, Józ Bogowicz, Ig. Smoliński, F. Śmietanka, B. F. Zalewski. Dalej Tow. Śpiewu „Harmonia” mieszany chór przy kościele św. Salomei w Kensington i należące do Z. Śp. P. w A., zarząd: Paweł i F. Andryerka, St. Żukowski, L. Kłosowski, St. Mixtacki, I. N. Nowicki. Wreszcie Tow Polek im. Emilii Plater, grupa 7 Związku Polek, którego zarząd składał się z pań: A. Dorańska, W. Świniarska, M. Szymańska, M. Iglewska, T. Przybylska.

Polacy w Pullman i okolicy zajmują niepoślednie miejsce pomiędzy rzemieślnikami wszelkich gałęzi w tej na cały świat znanej fabryce eleganckich pasażerskich wagonów kolejowych „Pullman.”

---

20. PARAFIA WNIEBOWZIĘCIA W WEST PULLMAN.

123d St. and Parnell Avenue.

(Założona r. 1902.)

Tu, na 123-ciej ulicy miasta Chicago, było r. 1893 pięciu Polaków. Z czasem przybyło ich więcej, i zało-

żono najpierw Towarzystwo pod nazwą Wniebowzięcia N. M. Panny, które r. 1902 liczyło 62 członków i miało ładną sumę w kasie; a potem zorganizowano parafię pod tąż samą nazwą. Opiekował się nimi ks. K. Gronkowski z Kensington (na 118 ulicy), do którego parafii należeli. Dnia 12. lutego 1902 zakupili grunt pod kościół za $2,500.00, które już 20. października następnego roku wypłacili. Pierwszy ich proboszcz, ks. A. Koytek, odprawił pierwsze dla nich nabożeństwo 8. listopada r. 1903.

Do West Pullman należała missya Chicago Heights

---

21. POLACY WE WIOSCE POZNAŃ (West Harvey).

(Zorganizowana r. 1900.)

Polska ta wioska Poznań zorganizowaną została r. 1900, przez znanego polskiego Włocha księdza Serafina Cosimi, ze Zgrom. OO. Zmartwychwstańców. Pod przewodnictwem tego kapłana odbyły się wybory urzędników i jednogłośnie zostali obrani: burmistrzem ks. Serafin Cosimi, C. R., a „trustysami" (mężami zaufania): Han. Peets, Józ. Gierzewski, Serafin Kaja, Jakób Bulczak, Fr. Mech i Fr. Rodweder. Zadaniem nowego zarządu jest: naprawienie chodników i zaprowadzenie latarń na rogach ulic.

Ks. Serafin Cosimi, C. R., urodził się 22. sierpnia r. 1867 w Rzymie. Do OO. Zmartwychwstańców wstąpił r. 1883. Studya ukończył w Rzymie w uniwersytecie Gregoryańskim. Doktoryzował się w akademii św. Tomasza. Wyświęcony r. 1890, r. 1891 pojechał do Turcyi ,gdzie w Adryanopolu był profesorem

łaciny i śpiewu. W r. 1892 przybył do Chicago, by pracować wśród Polaków, których był wielkim przyjacielem. Choć Włoch, znał literaturę i historyę polską dokładnie a na obchodach miewał mowy w języku polskim i to z takim zapałem, jakby i jego ojczyzna była Polska. Poza obowiązkami kapłańskimi, oddawał się muzyce, którą znał doskonale i lubił bardzo. Był to miły i sympatyczny ksiądz.

Z powodu wielkiej znajomości jego języków i łatwości wyrażenia się w nich, powierzono mu w Chicago zorganizowanie i prowadzenie parafii N. M. P. z góry Karmel na rogu 63-ej i Page ulic, gdzie mając parafian różnej narodowości, prawił im kazania w językach: włoskim, polskim i angielskim naprzemian. Umarł r. 1906.

---

22. PARAFIA ŚW. ANNY.

S. Leavitt St. and 18. Place.

(Założona r. 1903.)

Ta parafia wyrosła z parafii św. Wojciecha. Jej założyciel i proboszcz ks. K. T. Słomiński już, zanim osobny kościół stanął, z początkiem r. 1903 zaczął odprawiać w sali parafialnej przy kościele św. Wojciecha osobne nabożeństwa dla tych, których przydzielono do nowej parafii św. Anny. Annowianie hojnie składali ofiary na kościół i już w pierwszym roku cztery założyli towarzystwa: dwa męskie i dwa żeńskie.

Wiel. ks. Kazimierz Słomiński przystąpił w dniu 29. kwietnia, 1903 do stawiania gmachu 142 stóp długiego, 75 szerokiego, z kamienia, cegły i żelaza, kosz-

tem $100,000. Plany sporządził architekt R. Berlin, robotami kierował kontraktor M. Rauen i oto stanął gmach okazały, w którym na dolnem piętrze mieści się kościół, całkiem wykończony, z pięknym ołtarzem, oświetlony elektrycznością. Na drugiem piętrze znajduje się 7 obszernych sal szkolnych. Na trzeciem hala teatralna na 1,500 osób i 3 hale mniejsze na mityngi Towarzystw . Na czwartem piętrze znajdują się mieszkania dla Wiel. Sióstr Nazaretanek. Poświęcenie tego gmachu odbyło się 8. listopada r. 1903.

23. PARAFIA ŚW. FLORYANA W HEGEWISCH.

Na ulicy 133-ej i Green Bay Avenue.

(Założona r. 1905.)

Założyciel i proboszcz tej parafii: ks. Fl. W. Chodniewicz. Poświęcenia kościoła św. Floryana dokonał biskup Muldoon 22. października r. 1905.

Osada polska w Hegewisch jest starą. Był tu ks. Król. Już r. 1890 dojechał tu z Elby, Nebr., ks. Jakimowicz i do Stołu Pańskiego przystąpiło 300 osób.

23. PARAFIA ŚŚ. MŁODZIANKÓW.

457 W. Superior Street.

(Założona r. 1905).

W tymsamym czasie, w październiku r 1905, powstała w północno-zachodniej części miasta, w okolicy Trójcowa i Stanisławowa, nowa parafia, z początku także pod wezwaniem św. Floryana, której atoli

imię niebawem zmieniono na śś. Młodzianków. Założycielem i proboszczem tej parafii ks. Jan Zwierzchowski, który poprzednio był asystentem na Wojciechowie przez parę miesięcy a przez 5 lat przy kościele św. Michała w South Chicago. Zakupiono dla tej parafii śś. Młodzianków już gotowe gmachy: kościół, piękną szkołę i plebanię. Dnia 15 października r. 1905 odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne w hali szkolnej przy ulicy West Superior i Bickerdike. Zebrało się przeszło 200 Polaków. Ks. J. Zwierzchowski zagaił posiedzenie i odczytał list arcybiskupi, zezwalający na otwarcie parafii. Wybrano siedmiu parafian do pomocy proboszczowi. Wielu Polaków, którzy dla różnych przyczyn (zobacz wyżej rozdział „Polacy żywiący Niemców", po parafii św. Trójcy) należeli byli do niemieckiej parafii św. Bonifacego, przyłączyło się teraz do tej nowej parafii polskiej. Energiczny proboszcz ks. J. Zwierzchowski zajął się zaraz założeniem szkoły, towarzystw, itd., sprowadził ołtarze, ławki, ambonę, itd. Ceremonii poświęcenia kościoła i wspaniałej szkoły dopełnił Arcybiskup Quigley w niedzielę 10. grudnia r. 1905.

POMNIK KOŚCIUSZKI W PARKU HUMBOLDTA.

Staraniem i kosztem polonii chicagoskiej, jak i w ogóle polonii amerykańskiej, stanął r. 1904 wspaniały pomnik konny Tadeusza Kościuszki w Parku Humboldta w Chicago. Twórcą tego pomnika jest pan Kazimierz Chodziński, urodzony w r. 1861 w Łańcucie, w Galicyi.

Tyle o Polakach w granicach miasta Chicago.

Po za Chicago, ale jeszcze w obrębie archidyecezyi chicagoskiej, znajdują się następujące parafie polskie: cztery, Lemont, Posen ,West Hammond i Chicago Heights leżą jeszcze w obrębie tego samego powiatu Cook, w którym Chicago leży; a sześć w bliższych i dalszych powiatach.

---

24. PARAFIA ŚŚ. CYRYLA I METODEGO, W LEMONT, ILL.

(Założona r. 1883.)

Kilkanaście mil na południowy zachód od Chicago, ale jeszcze w tymsamym co Chicago powiecie Cook, ponad słynnym kanałem chicagoskim, łączącym jezioro Michigan z rzeką Mississippi, i co zatem idzie, z Zatoką Meksykańską, leży miasteczko Lemont, w którem wysoko na wzgórzu wznosi się kościół polski pod wezwaniem słowiańskich Apostołów, śś. Cyryla i Metodego. Położenie malownicze i dominujące. Z wielkim trudem przyszło mi r. 1896 w dzień skwarny wdrapać się po stromych i spadzistych ścieżkach do plebanii; ale za to trudy te wynagrodził mi piękny a rozległy widok, jaki z progów plebanii otwierał się oczom moim na miasto i okolice. Plebania, cała w zieleń utulona, miły chłód dawała a hojność i gościnność iście staropolska ks. Kandyda Kozłowskiego wywołała złudzenie, jakobym gdzieś nad brzegami Wisły lub Odry, wstąpił w progi wiejskiego dworku.

Polacy osiedlili się w Lemont około r. 1870, jeśli nie wcześniej. Ks. Bakanowski, C. R., pisał z Chicago

1 sierpnia r. 1871 do swego Generała: „Na kilka dni chcę pojechać do Lemont, proszą Polacy."

Parafię tu założył r. 1883 ks. Leopold Moczygęba, sławny misyonarz Texaski, który był jej pierwszym proboszczem. Należał on wtedy do OO. Zmartwychwstańców i O. Wincenty Barzyński, C. R., posłał go do Lemont już poprzedniego roku 1882, kiedy Polacy jeszcze wchodzili w skład tamtejszej parafii niemieckiej. Jakie pobudki skłoniły O. Wincentego do posłania ks. Moczygęby do Lemont, tłómaczy on to w liście z 7. sierpnia r. 1882: „O. Leopold jest tymczasowo w Lemont, gdzie są Polacy i Niemcy. Dwie pobudki skłoniły mię do tego kroku: 1) żeby było bardzo pożytecznem ,gdybyśmy mieć mogli w Archidyecezyi tutejszej jakie parafie niemieckie, bobyśmy nie byli tak izolowani, 2) zaś że Lemont jest tak blisko Chicago, mielibyśmy gdzie się schronić przed skwarem miasta na jakiś mały czasem odpoczynek; jest to piękna willa..." Ks. Moczygęba 3. sierpnia 1882 tak opisuje Lemont: „Tutejsza parafia liczy 300 familii polskich a 125 niemieckich, lecz kościół, szkoła i plebania do Niemców należą, a Polacy są tylko tolerowani, a więc trzeba polski kościół budować. Obecnie zbieram cenzus polskiej ludności, a to tylko można czynić wieczorem. Okolica Lemontu i powietrze jest przekrasne i może się stać Villiageturą dla Ojców św. Stanisława Kostki w Chicago..." Dnia zaś 23. listopada r. 1882 pisze ks. Moczygęba, że na odpuście św. Stanisława Kostki w Chicago Arcybiskup pontyfikował i przyobiecał mu, że „na przyszły rok odłączy Polaków od Niemców i jedni i drudzy będą mieli własny kościół. Wtedy polska parafia będzie liczyć w samym Lemont 240 familii a w przyległych miejscowoś-

ciach Joliet (50-60 familii) i Braidwood (100 familii) blisko 2,100 osób... Jestem 57 lat stary... Polacy w Lemont są po większej części z parafii św. Stanisława Kostki z Chicago..." A 6. listopada r. 1882 donosił tenże ks. Moczygęba: „Ja tu w Lemont mam zupełny spokój pomiędzy Niemcami i Polakami, bo znam oba narody... Towarzystwo tutejsze śś. Cyryla i Metodego liczy 100 członków..."

Istotnie r. 1883 ks. Moczygęba zorganizował Polaków w Lemont w osobną parafię i donosi O. Wincentemu, z którym nie na najlepszej zaczyna żyć stopie, dnia 26. czerwca r. 1883, o poświęceniu kamienia węgielnego pod szkołę polską. Stosunki ks. Moczygęby z O. Wincentym naprężały się coraz bardziej, i 11. października r. 1887 wizytator O. Tomasz Brzeska, C. R., pisze: „Arcybiskup Chicagoski... kontent, że O. Moczygębę oddalamy, którego tolerował litylko dlatego, że należał do naszego Zgromadzenia. O. Ludwik da mu exeat, jakie **naprzód pokaże O. Wincenty Arcybiskupowi** a potem je wręczy O. Moczygębie..."

W Lemont z łaski O. Wincentego nastąpił ks. Stanisław Baranowski, który, przybywszy do Chicago, 23. kwietnia r. 1884, pisał był do Generała Semeńki: „Ojciec Wincenty to chodząca dobroć, to prawdziwy syn miłujący Cię Ojcze. Łaskawy list rekomendacyjny od drogiego Ojca, gdym mu oddał, najpierw najserdeczniej ucałował i dopiero rozpieczętowawszy i przeczytawszy rzekł: „słowa naszego drogiego O. Generała są dla mnie święte"—i odtąd otacza mię taką dobrocią i życzliwością, że często

boję się, by tego nie było zanadto. Księży teraz przy naszym kościele jest nad komplet... więc zdaje się iż mnie poszlą na jakąś polską missyjkę... błagam, Ojcze drogi, wyciągnij Twe święte ręce i pobłogosław mię, wiernego syna w Chrystusie, a błogosławieństwo Twe na skrzydłach italskich zefirów i morskich Boreaszów przyjdzie do mnie i umocni mię..."

Pracował także w Lemont ks. Józef Barzyński, a od stycznia r. 1889, świeżo z kraju przybyły, ks. Martynian Możejewski, ex-reformat, staruszek 60-letni, którego już we wrześniu tegoż roku 1889 ojcowie chicagoscy przenieśli niefortunnie do parafii św. Józafata w Chicago (zobacz powyżej) chcąc się pozbyć ks. Kandyda Kozłowskiego. Wtedy to, we wrześniu r. 1889 przybył do Lemont ks. Kandyd Kozłowski, który do dziś dnia tam jest proboszczem, gdzie ojcowie willę chcieć mieli.

Dawniej liczyła parafia trzy i pół tysiąca dusz, ale gdy ustała praca w kamieniołomach i gdy kanał skończono, liczba dusz w parafii stopniała do dwóch tysięcy. Bardzo pokaźna liczba uczniów i uczennic uczęszcza do szkoły, gdyż 420 dzieci. Szkołą zajmuje się 6 Sióstr Felicyanek i proboszcz. W organizm parafii wpleciono około 10 towarzystw i bractw, z których najliczniejsze Tow. śś. Cyryla i Metodego (200 członków). Nie brak i Rycerzy (św. Kazimierza) w uniformach.

W Lemont znajduje się biblioteka, składająca się z przeszło 1,000 tomów (własność proboszcza), która otwartą jest do użytku parafian i szkoły.

Parafia ta już od roku 1893 nie posiada ani centa długu i ma nawet w kasie małe oszczędności. Rara-avis biały kruk w Ameryce.

Ks. Kandyd Kozłowski, długoletni proboszcz tej parafii, urodził się w Warszawie 25. marca r. 1836 r. z Andrzeja i Józefy. Ojciec jego był emerytowanym oficerem z armii polskiej. Do gimnazyum i na filizofię uczęszczał ks. Kandyd w Warszawie, teologii słuchał w Bononii we Włoszech. Wyświęcony r. 1863. Jako kapelan w powstaniu (pod Zdanowiczem i Franckowskim i pod Langiewiczem) został skazany na śmierć przez Moskali. Ale tam w księgach niebieskich nie była mu jeszcze zapisana śmierć. To też udało mu się przebić przez granicę do Galicyi, gdzie go bardzo dobrze przyjęto. Przez całych 5 lat pracował przy parafiach w Galicyi, poczem zapragnął Wschód odwiedzić. W charakterze missyonarza udał się do Azyi do Palestyny, poczem w tym samym charakterze bawił także przez rok w Egipcie. W r. 1872 przybył do Ameryki i miał missye w Nowym Yorku. Wskutek intryg Niemców musiał przenieść się do Cincinnati, gdzie założył parafię r. 1872. Po pięcioletniej pracy, na wezwanie biskupa Tomasza Foley, przeniósł się na parafię do La Salle, Ill., skąd po 7 latach przybył do Chicago, by zorganizować parafię św. Józafata. Tu pracował lat 4 a od r. 1889 bawi w Lemont—najdłużej ze wszystkich miejsc swego pobytu. Ks. Kandyd jest to kapłan o szczerozłotem a szerokiem sercu i niemniej szerokim umyśle, obejmującym wszelkie gałęzie wiedzy, sztuki i nauki. Po za obowiązkami kapłańskimi zna i zajmuje się bardzo chętnie malarstwem, rzeźbiarstwem i architekturą. Jestto wielki domator, lubiący samotność, która — według Mickiewicza — jest mędrców mistrzynią." Nie gardzi też piórem, gdyż do tej pory wydał dla ludu książki: „Antychryst,"

„Przeniesienie Domku Loret", „Sobieski pod Wiedniem", „Św. Mikołaj" (dramat) „Powstanie 63-go roku." (tragedya).

---

25. PARAFIA ŚW. KRZYŻA W JOLIET, ILL.

(Zorganizowana r. 1892.)

Za Lemont, w sąsiednim powiecie Will, kilkanaście mil dalej nad kanałem chicagoskim, w słynnym z więzienia stanowego mieście Joliet, na stoku wzgórza w zielonkawem otoczeniu stoi kościół polski św. Krzyża, przy którym w osłoniętej winnymi latoroślami plebanii piastował do r. 1901 urząd proboszcza ks. B. Pawłowski. Nigdy nie zapomnę smaku tamtejszych domorosłych winogron, jakimi mię przy gościnnem przyjęciu poczęstowano (r. 1896).

Około r. 1880 było tu już około 30 familii polskich. A r. 1882 było 50—60 familii polskich, jak świadczy ks. Leopold Moczygęba w liście z 3. sierpnia r. 1882. „Także w Joliet staram się założyć Towarzystwo polskie"—pisał tenże znowu 6. listop. r. 1882.

Polacy należeli wówczas do parafii niemieckiej przy którym kościele był, zdaje się ks. D. Kozłowski (obecnie w Ashland, Wis.) Zanim parafia powstała, powstały najpierw towarzystwa. Gromadząc się u ob. W. Grabusa, powzięto myśl założenia Tow. Narodowego Tadeusza Kościuszki, roku 1890, którego prezydentem ob. J. Byczyński. Później założono kościelne Tow. św. Stanisława B. i M., którego prezydentem ob. I. Szafrański.

Roku 1892 Tow św. Stanisława poruszyło myśl budowania polskiego kościoła, poparło ją i towarzystwo Kościuszki. Dopomógł dzielnie i ks. Kandyd Kozłowski z Lemont, Ill. Pierwszym proboszczem został ks. Kazimierz Słomiński, za którego kupiono 4 loty i pobudowano kościołek nie wielki, lecz schludny. Polonia zaczęła wzrastać: założono trzecie Tow. św. Krzyża. Nieco później zakupiono 5 akrów gruntu na polski cmentarz. W r. 1897 założono Towarzystwo św. Józefa, którego prezydentem Józef Łukasz.

Po ks. Słomińskim był przez 5 lat proboszczem ks. B. Pawłowski, za którego parafia się podwoiła. Kupiono piękną plebanię z pięknym ogrodem i zaczęto budowę nowego kościoła, kosztem $25,000, który wykończył jego następca ks. Franciszek Józef Jagielski, przybyły tu r. 1901. Nowy kościół stoi na pięknem wzgórzu pomiędzy pięknemi drzewami i sprawia nadzwyczaj miłe i przyjemne wrażenie swojem urządzeniem wewnętrznem, a zewnątrz na daleką przestrzeń imponuje swoją okazałością. Po ks. Jagielskim nastąpił ks. Wojciech S. Olszewski, który powiększył ilość siedzeń w kościele (510), odnowił plebanię, pozyskał błąkających się Rusinów dla polskiej parafii, oraz Litwinów (30 rodzin) przygarnął do siebie. Parafia liczy około 300 familii. Na początku nie było tu żadnego byznesu polskiego, tylko klasa robotnicza, dzisiaj są już różne byznesa.

---

26. PARAFIA ŚW. ANDRZEJA W SOBIESKI, ILL.
(West Hammond.)

Miasteczko West Hammond, którego stacya pocztowa nosi nazwę „Sobieski", szczyci się polską

parafią św. Andrzeja. Parafia będzie miała około 40 familii. Do szkoły przy kościele św. Andrzeja, na początku r. 1901 uczęszczało 155 dzieci, między nimi 84 chłopców i 71 dziewcząt. Klas było 3, 6 stopni nauki i dwie nauczycielki świeckie i jeden świecki nauczyciel. W roku zaś 1905 sześć Sióstr Franciszkanek uczyło 350 dzieci. Do r. 1901 proboszczem był tu ks. Byrgier.

Ks. F. S. Byrgier, zawołany muzyk i pedagog, już w doświadczonym wieku został księdzem.

Urodził się w r. 1847, w Prusach Zach. Uczęszczał do gimnazyum w Chełmnie. Na uniwersytecie studyował inżynieryę. Następnie był inżynierem w służbie niemieckiej Przybywszy do Ameryki r. 1884, przez rok bawił w New Yorku, pracując we fabrykach, potem w Chicago pełnił obowiązki organisty w parafii św. Wojciecha. Poczuwszy powołanie do stanu kapłańskiego, wstąpił do seminaryum w St. Francis, Wis. Wyświęcony r. 1892, był najpierw asystentem na „Bridgeporcie", potem proboszczem par. śś. Piotra i Pawła, nareszcie w Sobieski, gdzie umarł na zapalenie płuc d. 15. grudnia r. 1901.

Po jego śmierci objął to probostwo ks. Bolesław Nowakowski, który z parafii śś. Piotra i Pawła tu się przeniósł.

---

27. PARAFIA ŚW. STANISŁAWA W POSEN, ILL.

P. O. Blue Island.
(Założona r. 1900).

Polski kościół poświęcono tu 19. maja r. 1901. Parafią zarządzał tymczasem ks. Gronkowski, proboszcz z Kensington, Ill.

Później nastąpił stały proboszcz ks. S. Szczygieł. Parafia ta pierwotnie była pod wezwaniem św. Izydora.

---

28. PARAFIA NIEPOKALANEGO POCZĘCIA, W ELMHURST, ILL.

W tymsamym powiecie Du Page, w miejscowości Elmhurst, jest polsko-niemiecka parafia, której proboszczem jest ks. Jan Żyłła, pochodzący z pod Wejherowa na Kaszubach. Parafia liczy około 150 rodzin, przeważnie niemieckich. Stary drewniany kościół, jeden z najstarszych w okolicy miasta Chicago, zgorzał do szczętu r. 1898.

---

29. PARAFIA PANNY MARYI W DOWNERS GROVE, ILL.

(Missya w Waukegan.)

W powiecie Du Page, o kilkanaście mil na zachód od Chicago, znajduje się parafia polska pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny w miasteczku Downers Grove. Proboszczem był tu ks. F. M. Chodniewicz, potem ks. L. T. Wyrzykowski. W szkole tamtejszej, małej dotychczas, bo małą jest parafia, na początku r. 1901, było 20 dzieci, między nimi 12 chłopców i 8 dziewcząt. Uczy tam nauczyciel cywilny w 1 klasie o 3 stopniach nauki.

Do tej parafii należy polska missyjna parafia św. Krzyża w Waukegan, mieście położonem nad brzegiem jeziora Michigan, na północ od Chicago, w powiecie Lake.

30. PARAFIA ŚW. STANISŁAWA B. I M., W KANKAKEE, ILL.

(Założona r. 1900.)

O jakie 50 mil na południe od Chicago, jest osada polska w mieście Kankakee, w powiecie tejże samej nazwy.

Polacy tutejsi, w liczbie około 70 familii, należeli dawniej do parafii niemieckiej. Dopiero w r. 1900 wzięli się energicznie do dzieła, zakupili plac pod kościół i poprosili swego Arcybiskupa z Chicago o księdza, któryby się zajął zorganizowaniem nowej parafii.

W jesieni r. 1900 przyjechał tu młody i energiczny ks. Max Kotecki, były asystent na „Warszawie." Z końcem r. 1901 objął tę parafię ks. F. Nowacki, rodem z Ripon, Wis., który umarł w styczniu r. 1906. Następcą jego został ks. Edward A. Kowalewski, urodzony 13. października r. 1877 w Ławicach, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Jako małoletni przybył z rodzicami do Ameryki r. 1881 i wzrastał od lat czterech życia w Chicago. Kształcił się u XX. Jezuitów w Chicago i w Seminaryum St. Mary's w Baltimore, gdzie teologiczne studya ukończył, i tam otrzymał pierwsze święcenia na subdyakona z rąk J. E. ks. kardynała Gibbons, a w sobotę, dnia 28-go marca roku 1903, ostateczne święcenia kapłańskie z rąk Najprzew. ks. Biskupa Muldoon, w katedrze chicagoskiej. Był z początku asystentem ks. J. Radziejewskiego.

Parafia w Kankakee ma szkołę polską w której 1 świecki nauczyciel uczy około 50 dzieci.

Polacy w Momence, Ill.

Ks. Bakanowski, C. R., pisze 6. marca r. 1871, że w Momence (w powiecie Kankakee) było wówczas 15 familii polskich, które odwiedził.

---

31. PARAFIA RÓŻAŃCA ŚW. W NORTH CHICAGO, ILL.

(Założona r. 1904.)

W North Chicago, w powiecie Lake, nad koleją Northwestern (jedna stacya przed Waukegan) mieszkało r. 1904 około 100 rodzin polskich, które dotychczas uczęszczały na nabożeństwo do kościoła słowackiego, znajdującego się w pobliżu, ale dawno pragnęły założyć własny kościół i usilne o to robiły starania. Na kościół polski nietylko grunt już obrali, ale także rozpoczęto już budowy około fundamentu i pierwszego piętra. W roku 1904 przybył tu jako pierwszy proboszcz ks. Jan G. Jędrzejek i odrazu zdobył sobie zaufanie i szacunek, nie tylko parafian, ale i wszystkich mieszkańców miasteczka. Polacy w tym roku mieli tu mały kościołek, a pod nim szkołę i mieszkanie dla proboszcza.

---

32. POLACY W BRAIDWOOD I MAYWOOD, ILL.

(r. 1889.)

Kronika z r. 1889 podaje Braidwood, w powiecie Will, jako osadę polsko-litewską; a w Maywood—pisze „zakłada się parafia, 200 Polaków już kupiło loty.”

O Braidwood pisze ks. Leop. Moczygęba już 3. sierpnia r. 1882, że było tam wtenczas 100 familii polskich; a 6 listopada 1882 pisze: „Założyłem Towarzystwo św. Jana w Braidwood."

---

33. PARAFIA ŚW. JÓZEFA W CHICAGO HEIGHTS, ILL.

W fabrycznem miasteczku Chicago Heights, w powiecie Cook, Polacy, których przed kilku laty była tu liczba mała, dziś stanowią znaczną część ludności, posiadają własny kościół, którego pasterzem jest Wiel. ksiądz Fr. Grześ, szkołę, prowadzoną przez Wiel. Siostry Zmartwychwstania Pańskiego, cztery towarzystwa, a mianowicie: Towarzystwo Br. Pom. Kazimierza Pułaskiego, Towarzystwo kościelne św. Józefa, Towarzystwo Sokołów Polskich i Tow. św. Marcina, nadto bractwa różańcowe i chór.

B.) POLACY W DYECEZYI PEORIA.

Dyecezya Peoria utworzona r. 1877, zatem parafia polska w La Salle należała swego czasu do dyecezyi chicagoskiej. Pierwszym i jedynym dotychczas biskupem tej dyecezyi jest Jan Spalding, od r. 1877, ze sufraganem O'Reilly od r. 1900. Dyecezya ta na 112,000 katolików liczy 15,300 Polaków, na 170 księży—8 polskich, na 206 kościołów—10 polskich. Ale oto parafie i osady polskie w tej dyecezyi:

---

1. PARAFIA ŚW. JACKA W LA SALLE, ILL.

(Założona r. 1874.)

Miasto La Salle, noszące nazwę słynnego francuzkiego odkrywcy i pioniera La Salle, (który z towarzyszami przybył r. 1680, w okolicę Peoria i zbudował tu fortecę Creve Coeur), leży nad rzeką Illinois, sto mil w południowo-zachodnim kierunku od Chicago, w powiecie tej samej nazwy La Salle, w bardzo pięknem i nieco pagórkowatem otoczeniu. Na zachodniej stronie graniczy z bliźnięcem miasteczkiem Peru, a z innych stron otaczają je pola uprawiane przeważnie kukurydzą. La Salle liczy 12,000 mieszkańców, których może przeszło połowa katolików, a tych blisko połowa Polaków. Niemal cały zarząd miasta spoczywa w ręku katolików, burmistrzem Wacław Panek, członek Związku N. Polskiego, alderman Jan Tutaj, itd. Jest tu około 800 rodzin polskich: są tu przeważnie robotnicy, pracujący w hutach cynku i kopalniach węgla, z wyjątkiem kilkunastu salunistów i przemysłowców. Każda rodzina,

oprócz może 50 familii, ma swój dom i ogród i należy do stowarzyszenia budowlanego. Robotnik zarabia tutaj od $1.25 do $3.00 dziennie.

Początek tej osady polskiej datuje się od r. 1870. Ks. Bakanowski, C. R., 25 stycznia r. 1871 pisze, że: „w South Bend, Ind. (75 familii), w Laporte, Ind. (50 familii) i w La Salle—w tych trzech miejscach jest około 200 familii polskich.”... czyli w La Salle 75 familii. W r. 1874, kiedy osada liczyła już 150 familii polskich, założono tu parafię polską im. św. Jacka. O założeniu tej parafiii pisze p. Róża Waloch, z domu Klimek, co następuje:

„Przybyłam z rodzicami do La Salle 14. maja r. 1872 r. W 4 tygodnie potem odbył się ślub mój z Janem Pyszką w kościele niemiecko-katolickim w sąsiednim Peru. Wprawdzie był już w La Salle kościół polski zbudowany przez Polaków i Niemców, ale nie było jeszcze przy nim księdza. Dopiero później przyjechał ksiądz niemiecki. Polacy życzyli sobie, aby nabożeństwo odprawiało się raz po polsku, a drugi raz po niemiecku, ale Niemcy nie chcieli ani słyszeć o polskiej mowie. Pamiętam dobrze, bo patrzałam często na to, jak Polacy w kościele podczas kolekty na tacę nie centy, lecz papierowe pieniądze kładli, ciesząc się, że mają swój kościół. Aż tu naraz Niemcy podburzyli swego proboszcza. I tak po nabożeństwie, zaprosiwszy wszystkich do podpisu, proboszcz przemówił do nich w następujący sposób: „Wy Polacy siedźcie cicho z waszą mową. Nie macie wiele znaczenia w starym kraju, to też i tutaj mało znaczy wasza mowa.” Słowa te boleśnie dotknęły Polaków. Najbardziej je wziął sobie do serca ob. Antoni Pyszka, który tak się odezwał: „Bracia kochani! wpraw-

dzie pieniądze Polaków są dobre, ale mową naszą pomiatają. Tak dłużej być nie może. Udajmy się do Najprze. ks. Biskupa." I udali się do biskupa Foley w Chicago, bo wówczas La Salle należało jeszcze do dyecezyi chicagoskiej. Biskup wysłuchał ich prośby."

Dnia 22. lutego r. 1874, na rozkaz biskupi, przybył ks. Erazm Bratkiewicz i zorganizował polską parafię św. Jacka. Niemcy musieli pod naciskiem biskupim, spłacić Polakom $900 odczepnego. „Niemcy wtedy ze złości aż skakali"—mówi kronika. Zabrano się do budowy własnego kościoła. „Ci co mieli swe własne domy, ofiarowali po $50, a ci co byli na komornem po $30." Tymczasem nabożeństwo polskie odprawiało się w szkole irlandzkiej. Zakupiono grunta za $2,000 i pobudowano wnet obszerny kościół z drzewa za przeszło $7,000, który w październiku r. 1875 został poświęcony. Kościół był o 3 nawach, 80 stóp długi, 42 szeroki, z wieżą 100 stóp wysoką. Był to najpiękniejszy kościół w La Salle—„najpiękniejszy, bo bez żadnych długów" dodaje nie bez racyi kronikarz. Pierwszy to był kościół pod wezwaniem św. Jacka. Położywszy pierwsze podwaliny pod parafię, i założywszy szkołę parafialną, ks. Bratkiewicz w lutym r. 1877 musiał ją opuścić „znieważony zuchwalstwem parafian."

W tym samym miesiącu r. 1877 przybył z Cincinnati na jego miejsce ks. Kandyd Kozłowski, były kapucyn i powstaniec. Po jego przybyciu r. 1877 powstało Bractwo Różańcowe dla niewiast które z biegiem czasu tak rozkwitło i rozkrzewiło się, że dziś 21 bujnych krzaków różowych tworzy jeden wielki ogród różowy. On też uczynił pierwsze kroki do urzeczywistnienia pomysłu założenia Domu Sierót

Polskich w La Salle, który w czerwcu r. 1877 zaczęto budować a w październiku tegoż roku ukończono. Dom ten pod opieką Sióstr Felicyanek, mieścił 14 pokojów, był o 2 piętrach, 56 stóp długi a 30 szeroki. Budowa ta kosztowała blisko $4,000. W roku 1879 znajdowało się tam 38 sierót. Dla braku dostatecznego utrzymania, w roku 1882 dom sierót z La Salle został przeniesiony do Polonii, Wis., gdzie dotąd istnieje pod opieką Sióstr Felicyanek. Ks. Kandyd dla parafii zatrzymał dom, zabudowania, 3 loty frontowe z ogrodzeniem, ofiarując za to sierotom $500. Pozostałe 7 lot sprzedano po $220, tak, że ogólny dochód stąd przyniósł domowi sierót w Polonii, Wis, $2,400.

Po wyjeździe sierót, w paźdz. r. 1883 i ks. Kandyd Kozłowski wyjechał z La Salle do Chicago.

Na jego miejsce w grudniu r. 1883 przybył ks. Józef Barzyński, lecz już w lipcu r. 1884 „dla własnych interesów opuścił parafię dobrowolnie". W styczniu r. 1885, objął parafię ks. Stanisław Baranowski. Ten odrazu zaprowadził rząd absolutnie monarchiczny, koncentrując w swoim ręku wszelką władzę. Nie chcąc zezwolić na wybryki dawnych komitetów i prowizorów, uzyskał od biskupa rozporządzenie, mocą którego skasowano „wszelkie komitety i prowizorów." Rachunki zaś miały być prowadzone wyłącznie przez księdza, a „radzie kościelnej do rachunków nic nie było." „Książek rachunkowych posiadać nie mogą, bo tego wymaga godność kapłańska, by w niej zaufanie mieli." „Ich obowiązek— pisze dalej kronika parafialna—zawiera się w zbieraniu kolekty po kościele... Kasa kościelna ma być w szafie u księdza, który sumiennie ma ją utrzymać. Chyba ksiądz sam chce prowizorom kasę oddać..." „Po kolędzie cho-

dzi po domach, według starego zwyczaju, śpiewając strofkę „W żłobie leży," poświęcając i życząc dobrego—a otrzymuje dolara, albo pół, od każdej familii. W r. 1885 ksiądz obszedł z kolędą 400 familii. Po kolędzie idąc bierze ze sobą 2 chłopców co do Mszy św. służą; a co gdzie dostaną to ich."

Dnia 17. maja r. 1886 ks. Stan. Baranowski „pojechał niby na wakacye, dla poratowania zdrowia" i nie wrócił, jego miejsce zajmował ks. Leopold Garus, za którego urzędowania „odbyła się publiczna procesya Bożego Ciała" pod gołem niebem. Ks. Garus atoli już 12. sierpnia tegoż roku musiał zrezygnować z parafii a jego miejsce zajął ks. Zygmunt Woźny, „będąc aktualnie nominowany przez Biskupa.." Ten w reorganizacyi parafii poszedł jeszcze dalej niż jego poprzednik ks. Baranowski. Wydał prawa: „od chrztu płaci się $2.00; za mszę śpiewaną $3.00; z katafalkiem i wigiliami $5.00; za zapowiedź zaraz $1.00; za ślub bez mszy $7.00; ze mszą $10.00; za mowę pogrzebową $5.00; za zaprowadzenie ciała z domu do kościoła i odprowadzenie na cmentarz $6.00; za nabożeństwo przy ciele $5.00; za powóz na cmentarz $1.50; od wywodu, po chrzcie jako też i po ślubie 25c.; jeżeliby było żądane światło dla umarłego do domu, to za 6 świec i lichtarzy $2.50; podzwonne za 6 razy umarłemu $1.50, a jeżeliby więcej dzwoniono, to każdorazowo 25c.; do ślubu zapala się 6 świec darmo, za każdą więcej zapłać 5c." Proboszcz ma pokryć służbę kościelną z funkcyi kościelnych z wyjątkiem pogrzebów, gdzie strona interesowana musi zapłacić i służbę kościelną i dochody przynależne za pogrzeb kościołowi: tak że z największego pogrzebu ma zostać na czyste proboszczowi $16, a strona inte-

resowana ma złożyć oprócz tego u proboszcza na organistę, na dziada kościelnego, za miejsce na cmentarzu, za podzwonne i światło. Dochody organisty z pogrzebów i innych funkcyi kościelnych—dodaje kronika— „były często przyczyną największych zaburzeń i rozruchów parafialnych." A obostrzono je później jeszcze za ks. Klawitra jako to zobaczymy.

Dnia 1. lutego r. 1887 ks. Woźny „wyjechał dla poratowania nadwątlonego zdrowia" do Kalifornii, skąd wrócił 21. lipca tegoż roku. Zastępował go ks. Wojciech Sulek z Chicago.

W sierpniu r. 1889 ks. Woźny wyjechał ponownie na 3 miesięczne wakacye, a w tym czasie zastępował go ks. Grochowski. Po powrocie ks. Woźnego większość parafian życzyła sobie ks. Grochowskiego. Ks. Grochowski atoli musiał parafię opuścić, z czego powstały zamieszki w parafii i wielkie niezadowolenie. W ostatnią niedzielę r. 1890 (w niedzielę po Bożem Narodzeniu) po mszy św. o 8-mej rano, jak tylko wyszli ludzie z kościoła, zatliła się podłoga nad piecem (boilerem) przy wielkim ołtarzu. Ogień tak szybko się rozprzestrzenił, iż kościół spalił się do szczętu; szkody było przeszło $30,000. Ten pożar był alarmem do zaburzenia w parafii. Malkontenci, niezadowoleni z gospodarki ks. Woźnego, rozpuścili pogłoskę, jakoby ks. Woźny sam kościół podpalił, a w co „łatwowierni i złośliwi uwierzyli." Więc w 2 tygodnie potem, 15. stycznia r. 1891 ks. Woźny „zniechęcony zuchwalstwem parafian" opuścił La Salle i objął parafię w Cleveland, Ohio.

Na miejsce ks. Woźnego niezwłocznie przybył ks. Grabowski, który wziął się energicznie do budowy nowego kościoła. Dnia 5 lipca r. 1891 położono ka-

mień węgielny pod nową świątynię, i w przeciągu roku stanęła najpiękniejsza w całej dyecezyi świątynia Pańska, na fundamencie z ciosu, z pięknej i trwałej cegły w stylu gotyckim z dwoma pięknymi smukłymi wieżami: 164 stóp długa z frontu 76 szeroka, wieże 184 stopy wysokie—kosztem $60.000 Dnia 24. sierpnia r. 1892 odbyło się przy udziale licznego kleru, uroczyste poświęcenie kościoła, podczas którego ks. biskup Spalding z Peoria wypowiedział te pamiętne słowa:

„Nie jestem prorokiem—mówi—ale to mogę wam przepowiedzieć, że Polacy odegrają piękną rolę w kościele katolickim w Ameryce. Katolicyzm robi tu kolosalne postępy... Emigracye innych narodów jak np. Niemców, Francuzów, Włochów, Szwedów itd., coraz się zmniejszają. Nastała prawdziwie epoka emigracyi słowiańskiej: Polaków, Czechów, Litwinów i Słowaków. Ponieważ zaś Polacy w przeważnej są tu większości, czeka ich tu piękna przyszłość, odegrają oni kiedyś przy swej mocnej wierze, przywiązaniu do kościoła i patryotyzmie, piękną rolę—i zaręczam wam, że tu w Ameryce zacznie się druga historya polska."

Na początku lipca r. 1894 ks. Władysław Grabowski „znieważony zuchwalstwem parafian" po ciężkiej i mozolnej pracy opuścił kościół, który jego energia dźwignęła. Największem złem którego ks. Grabowski się dopuścił, było to, że „nie pozwolił komitetowi do wszystkiego nosa wtykać" i nie zawsze słuchał komitetowych. Niezadługo potem umarł przedwczesną śmiercią (24. lutego r. 1896 w Polonii, Wis.) Po ks. Grabowskim przybył osławiony ks. Antoni Klawiter, dziś niezależny. Ten nie miał nic

spieszniejszego jak zaprowadzić na nowo kontrakt przyjęty za rządów ks. Woźnego i Sułka, obostrzył go i uzyskawszy podstępnie aprobatę biskupią zarekordował go sądownie. Kontrakt ten „był przez kilka lat następnych kością niezgody, przyczyną nieporozumień między proboszczem a parafią, powodem różnych kłótni parafialnych, burd i zaburzeń; mianowicie za pobytu ks. Tyszki z powodu tego kontraktu było dużo zgorszenia i obrazy boskiej." (Kronika). Ks. Klawiter był w La Salle zaledwie pięć tygodni, kiedy „uciekł o północy ścigany przez policyą."

Nastał po nim 10. sierpnia, ks. Apolinary Tyszka. Czasy jego krótkiego panowania należały do najburzliwszych, na czem parafia dużo ucierpiała. Dnia 26. grudnia r. 1895 „znieważony zuchwalstwem parafian" musiał zrezygnować, a jego miejsce objął 20. stycznia r. 1896 ks. Sikorski z Peru, ale już 12. września tegoż roku „znieważony zuchwalstwem parafian" musiał parafię opuścić.

Dopiero następca ks. Józef Barzyński, były proboszcz na nieszczęśliwem Jadwigowie w Chicago, rozpoczął w La Salle erę spokojnych i miłościwych rządów. Pracował tu gorliwie i spokojnie od września r. 1896 aż do 15. marca r. 1899. Czynił dużo dla parafian. Niemal wszystkie swe dochody ofiarował parafii. Płacił ze swej kieszeni procenta od pożyczek parafialnych i czynił co mógł dla skołatanej zaburzeniami i niezgodą parafii. W r. 1899 zrezygnował, ażeby objąć urząd kapelana Sióstr Nazaretanek w Chicago. Dnia 15. marca r. 1899 przybył ks. Dr. B. M. Skulik który „dotąd parafią tą ku największemu zadowoleniu Biskupa i parafian zarządza." W niespełna jednym roku „spłacił $6,000 długu, odrestaurował ple-

banię, zakupił 1 lotę przy plebanii, założył bibliotekę i zakupił 500 książek, założył 5 towarzystw, do których należy około 600 członków, między innymi tow. wojskowe dla chłopców od lat 10 do 16 tak zwanych „żuawów papieskich" albo „kadetów św. Bernarda."

Szkoła polska w La Salle założona została w drugim roku rządów ks. Bratkiewicza. Od samego początku uczyły w niej Siostry Felicyanki. Stara szkoła mieściła się w dwóch starych budynkach, podzielona na 8 klas. Uczęszczało tylko 650 dzieci. Uczyło ich 8 sióstr. Ruchliwy i przedsiębiorczy ks. Skulik zabrał się do budowy nowego gmachu szkolnego, kosztem $30,000.

Nowa szkoła polska w La Salle, poświęcona 8-go grudnia r. 1901, 3 piętrowa, jest 120 stóp długa, 60 stóp szeroka i 70 stóp wysoka. W bezmencie są dwie dość obszerne hale, które służą kościelnym Towarzystwom dla posiedzeń, dwie hale dla dzieci szkolnych, jedna dla rozmaitych potrzeb i kręgielnia. Na pierwszem piętrze znajduje się 6 klas, 32—25 stóp każda; biblioteka, czytelnia i muzeum na drugiem piętrze; na trzeciem piętrze znajduje się obszerna hala, estrada, oraz obszerna galerya.

Do nowej szkoły uczęszcza dzieci z górą 700; uczy 12 Sióstr Felicyanek. Własność z końcem r. 1900 parafialna wynosiła: kościół z urządzeniem i aparatem $75,000; dwie stare szkoły $5,000; plebania $5,000; 7 lotów $10,000; cały zaś dług zaciągnięty u pani Hattie Green $15,000.

Po wybudowaniu nowej szkoły własność parafialna wzrosła.

Ks. Dr. Bernard Marya Skulik urodził się 20. sierpnia r. 1867 w Szopienicach na Górnym Szlązku.

Uczył się gramatyki łacińskiej prywatnie u ks. Klemana w Mysłowicach a równocześnie uczył się tokarstwa i mechaniki, przyczem nogę złamał. Przez rok chodził do szkoły w Krakowie, potem udał się do Rzymu, gdzie rok mieszkał w kolegium św. Józefa a 3 lata w kolegium Gregoryańskiem dell'Anima jako prefekt i równocześnie uczył się w seminaryum w Rietti (Perugia), gdzie go wyświęcono 19. grudnia, 1891. Jeszcze studentem będąc, ks. Skulik założył „Stowarzyszenie Stolicy Mądrości", mając na celu przeciwdziałanie złej prasie, do którego—jak sam pisze, od razu przystąpiło 5 kardynałów, 18 arcybiskupów i biskupów. Lecz pomimo to dla braku poparcia nie mógł wiele zdziałać". Doktoryzował się w Rzymie r. 1893 i w tym też roku przybył do Ameryki. Tu pracował w słowackich parafiach w Passaic, N. J., w Shamokin i Mt. Carmel, Pa., gdzie pobudował kościółki, a równocześnie wydawał aż 4 gazety, dwie po polsku, 1 po angielsku i 1 po włosku. Zbankrutowawszy wkrótce z kretesem, udał się do South Chicago, gdzie u ks. Nowickiego przez 3 miesiące znalazł przytułek, potem 3 miesiące siedział u ks. Zaleskiego, następnie 6 miesięcy u ks. Radziejewskiego. Wreszcie dostał parafię w Brighton, Iowa, lecz stąd przeniósł się do Milwaukee, gdzie osiadł przy ks. Grutzy i wydawał mu tygodniówkę „Katolik". Wreszcie r. 1899 dostał tłuste probostwo w La Salle, z którego kontent i zadowolony. O honorach i tytułach i dyplomach ks. Skulika niepodobna pisać, boby ich na wołowej skórze nie spisał. Wyjmiemy tu na chybił trafił co sam o sobie pisze: „posiada 5 brewów papieskich, 3 dyplomy jako członek 3 najwyższych papieskich akademii, 1 dyplom na członka korespondenta Stowarzy-

szenia Antimasońskiego" itd. itd. Dzieł wydał co niemiara, mianowicie: 21 w polskim języku, 2 w słowackim, 5 w niemieckim, 11 we włoskim, 3 po łacinie i 3 po angielsku.

Parafia św. Jacka wydała 2 księży polskich: ks. Władysława Bobkiewicza (proboszcza w Rutland, Ill.), i ks. Feliksa Kieruj (prob. w Detroit, Mich.)

---

2. PARAFIA ŚW. WALENTEGO W PERU, ILL.

(Założona r. 1892.)

Nie zastawszy proboszcza w La Salle, pojechałem „karą" elektryczną do sąsiedniego miasteczka Peru, gdzie u ks. Truszyńskiego gościnnego doznałem przyjęcia. Ks. Kazimierz Truszyński, w którym powaga łączy się z urodą, urodził się w Wilnie na Litwie, 10. sierpnia r. 1868. Nauki elementarne i średnie pobierał w mieście rodzinnem; zaś w filozofii i teologii „kształcił się za granicą", przeważnie w Krakowie i Rzymie. Przybywszy do Ameryki, wstąpił do Krzyżaków w Notre Dame, Indiana. Tam został wyświęcony na księdza 20. kwietnia r. 1894, poczem na krótki czas objął posadę asystenta przy kościele św. Trójcy w Chicago. Roku 1895 przybył do Peru na proboszcza i dotychczas chwalebne tu sprawuje rządy. Jest to kaznodzieja miodopłynnej wymowy. Od r. 1901 jest prezydentem Wykonawczego Wydziału II. i III. Kongresu Polsko-Katolickiego. Parafia, której jest proboszczem, liczy około 400 rodzin, a do szkoły uczęszcza około 350 dzieci. Dnia 16. marca r. 1901 umarł w Peru ks. Augustyn Szklarzyk, który od r. 1899 gościł u ks. Truszyńskiego. Ks. Szklarzyk

urodził się na Szlązku r. 1840. Wyświęcony r. 1865, przybył do Ameryki r. 1873, pracując odtąd gorliwie wśród rozmaitych tutejszych kolonii polskich. Był on jednym z naszych kapłanów pionierów, którym Opatrzność przeznaczyła dzieło zakładania i organizowania parafii polskich w Ameryce. Potem głównem jego polem działalności była dyecezya Grand Rapids (w stanie Michigan), w której prawie wszystkie parafie polskie swój początek i rozwój zawdzięczają jego gorliwej działalności. Dla polskiej parafii w Bay City, Mich., gdzie przebywał przez czas dłuższy, zdziałał szczególnie wiele. Później, straciwszy słuch, tak bardzo potrzebny kapłanowi do słuchania spowiedzi, zrzekł się dobrowolnie duszpasterstwa i przeniósł się do Chicago na Wojciechowo. Tu przez kilka lat bawił u ks. Radziejewskiego jako gość i pracował gorliwie, zwłaszcza na kazalnicy.

Osada polska w Peru jest tak starą jak w La Salle. Ks. Bakanowski już 6 marca 1871 wspomina że w Peru jest 30 familii polskich. Peru jedną też z La Salle parafię tworzyło i jedne dzieje i koleje miało.

Osobna parafia w Peru powstała dopiero za czasów ks. Grabowskiego, kiedy tenże przystąpił do budowy nowego kościoła w sąsiednim La Salle (r. 1892). Ks. Sikorski był w Peru pierwszym proboszczem. Dojeżdżał tu jakiś czas ks. Papoń, obecnie w Menominee, Mich. W r. 1898 stary drewniany kościołek okazał się za małym, dlatego zbudowano nowy z cegły.

Przy nowym kościele stanął również nowy murowany gmach szkolny—wszystko staraniem ks. Tru-

szyńskiego. Na szkole widnieje, wyryty w kamieniu, piękny napis:

„Tu, tam i wszędzie
Polak Polakiem zawsze będzie.”

3. POLACY W OGLESBY, ILL.

(r. 1900.)

Blisko Peru, w Oglesby, ks. Wład. Bobkiewicz r. 1900 zorganizował polsko-irlandzką parafię. Za staraniem ks. W. Bobkiewicza stanął piękny kościół drewniany dla Polaków i katolików innej narodowości. Kościół ma 72 stóp długości, 36 szerokości i 60 stóp wysokości a kosztuje $3,600. Miejsce na którem kościół stoi, jest w bardzo pięknem położeniu.

4. POLACY W STREATOR, ILL.

W Streator, powiecie La Salle, spora liczba Polaków należy do niemieckiej parafii.

5. PARAFIA ŚŚ. PIOTRA I PAWŁA, W SPRING VALLEY, ILL.

(Założona r. 1891.)

W nowem miasteczku Spring Valley, w powiecie Bureau, tylko o 5 mil od La Salle, powstała parafia litewsko-polska. Kościół z drzewa wybudowali Litwini wraz z Polakami, kościół bardzo piękny, zaopatrzony we wszystko co do chwały Bożej i nabożeństwa po-

trzebne, a wszystko w dobrym guście. Poświęcenie tego kościoła odbyło się 24. sierpnia roku 1892 po południu — tego samego dnia, którego nowy kościół w La Salle poświęcono — a odbyło się z pompą. „Dwa pociągi, każdy po 8 wagonów pasażerskich, przywiozły bractwa i towarzystwa. Przy pochodzie po mieście przygrywały 4 orkiestry. Najlepiej, bo dziarsko wyglądali nasi Ułani polscy z La Salle. Miło było patrzeć na obroty tego plutonu w polskich ułańskich mundurach. Po poświęceniu kościoła ks. Biskup Spalding wraz z duchowieństwem zajął miejsce na przygotowanej pod ogromną jabłonią estradzie obok kościoła, a ks. Kolesiński Syberyak (prob. par. litewskiej z Chicago) wypowiedział piękne kazanie po litewsku i po polsku. Po nim ks. Biskup miał mowę angielską, którą pięknie zakończył słowami : „Różność narodowości w jedności wiary— oto siła i piękna przyszłość kościoła katolickiego w Ameryce". (Z roczników „Wiary i Ojczyzny"). Potem, na wyraźne życzenie ks. biskupa, jeszcze ks. Domagalski przemówił, pobudzając braci „w słowach natchnionych miłością ojczyzny" do tej „świętej zgody Litwinów z Polakami, których nasi praojcowie w jeden złączyli naród." Po uroczystości, Polak p. Reinke, ugościł całe duchowieństwo staropolską gościnnością. Ludność Spring Valley pracuje w wielkich kopalniach węgla.

Proboszczem tej parafii był ks. M. Peża. Pierwszym proboszczem był ks. Papoń, obecnie w Menominee, Mich. Staraniem proboszcza ks. Antoniego Drewnickiego stanęła roku 1901 piękna szkoła parafialna, kosztem $3,500. Mieści 3 klasy i mieszkanie dla Siòstr III. Zakonu św. Franciszka (z Avondale),

które uczą tamtejsze dzieci od września roku 1901. Uczęszcza 130 dzieci.

Ks. Antoni Drewnicki, urodzony 31. sierpnia r. 1857 w Silberkopf, powiecie Raciborskim na Górnym Szląsku, studyował w Raciborzu potem w zakonie Białych Benedyktynów wyświęcony w Padwie r. 1885. do Ameryki przybył r. 1899, był asystentem u ks. Pyplatza, potem tu w Spring Valley, skąd przeniósł się do Greenbush, Minn.

Po nim nastąpił w Spring Valley ks. M. Piechota, za którego w grudniu r. 1906 kościół się spalił.

6. PARAFIA NAJŚW. SERCA W RUTLAND, ILL.

O 20—30 mil na południe od La Salle leżą, tworząc niejako trójkąt, trzy osady polskie: Rutland, Minonk i Toluca. Rutland jest stolicą—proboszcza. Proboszczem w Rutland jest od roku 1894 młody i nadzwyczaj czynny i gorliwy ks. Władysław Bobkiewicz. Gdy przybył do Rutland, plebanii nie było, więc zaczął kolektować na budowanie plebanii, która też stanęła w sierpniu r. 1895 kosztem $2,000. Kościół potrzebował restaurowania i za staraniem ks. Bobkiewicza odnowiono go r. 1896. W następnym zaś roku zajął się opuszczoną missyą w Lostant, gdzie także kościół odnowił i upiększył. Potem w listopadzie roku 1899 dostał jeszcze jednę parafię do zawiadywania, mianowicie w Minonk, o której poniżej powiemy.

Ks. Władysław Bobkiewicz urodził się w La Salle, Ill., 12 lutego 1869 roku. Chodził do szkoły publicznej przez rok, dopóki polskiej szkoły nie wybu-

dowano. Skończywszy 13 lat, wyjechał do seminaryum w St. Francis, Wis, i tam pozostał, aż kurs teologiczny skończył r. 1891. Będąc atoli za młody do święceń, udał się do polskiego seminaryum w Detroit, gdzie się uczył polskiego języka i gdzie wyświęcony został 19. grudnia r. 1891. Odprawił prymicye swoje w La Salle, w kościele św. Patryka (kościół polski wówczas leżał w gruzach). Przez 5 miesięcy bawił w Nebrasce, gdzie zamieszkał w Pilźnie i stamtąd opatrywał 4 parafie, 2 polskie, 1 niemiecką i 1 irlandzko-niemiecką. Poczem biskup Spalding powołał go do swojej dyecezyi, posyłając go do mięszanej parafii w Hennepin z missyami w Mt. Palatine i Bureau Junction. Po 2-letniej pracy na tych missyach objął posadę proboszcza w Rutland, 26. października, 1894, gdzie dotychczas zostaje, mając do pomocy księdza Peter E. Hand.
parafian."

7. POLACY W WENONA, ILL.

Nie brak i Polaków w Wenona, w powiecie Marshall.

8. PARAFIA ŚW. BARBARY W MINONK, ILL.

(Założona r. 1899.)

Początek tej osady (w powiecie Woodford) sięga .r 1882. Wtedy już Polacy zaczęli tu osiedlać się na dobre z zamiarem pracowania nad wydobywaniem węgla z głębokości pięciuset stóp. W pierwszych początkach zarabiały niektóre familie po sto dolarów i wyżej miesięcznie, więc kto był oszczędnym, w krót-

kim czasie ułożył znaczną sumę pieniędzy, ci zaś, którzy się źle gospodarzyli, do dziś dnia albo mało albo nic nie zaoszczędzili. Wnet też Polacy zaczęli kupować loty i stawiać sobie własne domy, a przytem zamyśliwali o założeniu parafii, zwłaszcza, że właściciel kopalni przyrzekł dać miejsce pod kościelne budynki i pewną zapomogę w pieniądzach. To też w kronikach parafii św. Jacka w La Salle znajdujemy następującą notatkę: „Gdy 1. czerwca r. 1886 ks. Leop. Garus (z La Salle) był w Peoria po oleje śś., ks. Biskup oświadczył mu, że bardzoby pragnął otworzyć parafię w Minonk: będzie tam 13. i 14. czerwca w dzień Zielonych Świątek i zamyśla wtedy rzecz tę załatwić.” Lecz zamysły te z „błahych przyczyn” spełzły na niczem. Polacy jeszcze długo musieli się wysługiwać ajrysko-niemieckiej parafii.

Dopiero gdy wilki drapieżne zakradły się do owczarni w Minonk, posłano im polskiego pasterza do obrony, mianowicie przy końcu r. 1899 przybyli tu niezależny ks. Dynia ze swym przybocznym pomocnikiem Pociechowskim i swoją sprytnością (z której słyną na całą Amerykę) zjednawszy sobie niemal wszystkich Polaków założyli polską parafię M. B. Częstochowskiej, nie wymieniając pod czyją jurysdykcyą ta parafia ma pozostać—później dopiero, gdy byli siebie pewni oznajmili, że pod ks. Kozłowskiego z Chicago. Ale wtedy też w jednej chwili ich zabiegi spełzły na niczem. Albowiem widząc to niektórzy dobrze myślący udali się z prośbą o pomoc do ks. biskupa w Peoria, który zaraz przeznaczył gorliwego kapłana ks. Wł. Bobkiewicza z Rutland na pasterza zagrożonej przez wilków owczarni Chrystusowej. Ks. Bobkiewicz, odpędziwszy wilków, powaśnio-

nych parafian starał się wszelkimi środkami pogodzić i wkrótce doprowadził do najlepszej harmonii, prócz kilku, którzy widząc, że nie będą mogli rej wodzić, powrócili do irlandzkiej parafii św. Patryka. Pozostali t. j. 70 familii na czele z ks. proboszczem, kupili stary kościół metodystów i odrestaurowali go tak, że wygląda jak nowy. Jest w nim przeszło 200 siedzeń. Poświęcono go ku czci św. Barbary.

Założono i szkołę polską. Z początku uczęszczało przeszło 50 dzieci, przy końcu roku szkolnego 1900 r. blisko 80. Nauczycielem jest p. S. M. Bystrzyński. Czas był na szkołę polską. „Niemieccy Franciszkanie z siostrami niemkami przeszwarcowali tu przeszło 100 polskich dzieci na niemców przy swoich 50."

9. POLACY W TOLUCA, ILL.

Toluca, w sąsiednim powiecie Marshall, jest tylko małem miasteczkiem, liczącem 2,000 mieszkańców; leży od Chicago 113 mil a posiada kopalnię węgla, w której pracuje 600 górników, mianowicie Włochów, Litwinów, Polaków, Chorwatów i Słowaków. Polskich familii jest tu 20.

Oprócz Polaków tutaj zamieszkuje przeszło 100 Litwinów; jest to naród spokojny, dąży do oświaty, zakładają tu różne towarzystwa narodowe; Litwini założyli klub Litewsko-Polski.

POLACY W PEORIA, ILL.

W stolicy biskupiej Peoria, nad rzeką Illinois, Polaków jest tylu, iżby mogli utrzymać własnego

księdza Ale pewien dygnitarz w Peoria raczył zauważyć, że „nigdy nie pozwoli na to, aby takie pl.... jak Polacy, posiadali własną parafię w jego mieście". Relata refero.

---

11. POLACY W BRIMFIELD, ILL.

Że i w Brimfield, w powiecie Peoria, Polacy już dawno osiedli, o tem świadczy stary kalendarz z r. 1876, który Brimfield umieszcza na liście osad polskich, podając imię proboszcza: ks. K. Winsierski (na str. 106.)

Są Polacy także w Kewanee, powiat Henry, w Calumet, i indziej.

---

12. PARAFIA POLSKA W KEWANEE, ILL. (r. 1906.)

W czerwcu r. 1906 ks. Bobkiewicz zakładał tu polską parafię z polecenia biskupa Spaldinga.

C.) POLACY W DYECEZYI ALTON.

W tej dyecezyi (założonej r. 1857) nie ma żadnej parafii polskiej. Są atoli osady polskie mniej lub więcej liczne w Granite City, w Venice (powiat Madison), i w Madison, Ill., istnieje polskie Towarzystwo Wł. Jagiełły, grupa Z. N. P. 402.

W Venice jest Tow. św. Józefa, należące do Zw. N. P. W Venice i Madison jest około 400 Polaków, pracujących we fabrykach i rzezalniach. Są także Polacy w Quincey, Ill. W Granite City 600 Polaków. Z Venice pisze Edmund Gronikowski w maju r. 1902, że tamtejszy proboszcz kościoła św. Marka (ks. Kaenders) chce sobie sprowadzić do pomocy wikarego Polaka. Dojeżdżał tu ksiądz polski z zakonu św. **Franciszka**, Ojciec Dezyderyusz, O. F. M.

Biskup Ryan z Alton, żadnego polskiego księdza nie chce, chociaż księża irlandzcy sami proszą o kapłanów polskich. Dawniej, kiedy biskupem w Alton był, nie Irlandczyk, lecz Niemiec Juncker (od r. 1857 —1867), inaczej bywało: ten prosił podówczas o kapłanów polskich, jak świadczy Generał Hieronim Kajsiewicz, C. R., w swoich listach. Byli bowiem już podówczas liczni Polacy w dyecezyi Alton. Oto co pisze ks. Kajsiewicz, C. R.: „Podczas rekollekcyi dla proboszczów (dawanych w sierpniu r. 1865 w Montreal, w Kanadzie, przez ks. Kajsiewicza) **ks. biskup z Alton** (w Illinois południowym) prosił mnie o missyonarzy polskich, mówiąc, że miał parę księży świeckich Polaków i Czechów, ale że się im w końcu znudziło, i poszli sobie dalej w świat. Niestety! Słowianie jego musieli już popsuć się po miastach. Nie tail, że Czesi o religię nie dbają, a Polacy nie tędzy,

i nic na utrzymanie księdza, szkoły i kościoła dawać nie chcą, więc jeżeli księża polscy nie będą umieli po niemiecku lub po angielsku, utrzymać się nie potrafią." (A co? czy nie ładny pretext do germanizacyi i anglizacyi Polaków?) „Gdybym—pisze dalej ks. Kajsiewicz—nie dostał missyonarzy waszych, mówił (biskup z Alton), będę im radził i nasuwał, aby się przyłączyli do Anglików lub do Niemców, bo inaczej dzieci ich całkowicie dziko wyrosną a na nic pójdą. Odpowiedziałem, że na razie nie mam missyonarzy do dania, i że przy obecnem zniszczeniu Polski nie mogę nawet spodziewać się pomocy do ich wychowania. Wszakże ściśnięte miałem serce, ile że wiem, iż po innych stanach, w Ohio, Missouri, itd., są rozproszeni Polacy w podobnym stanie opuszczenia się i opuszczenia. Myślałem, modliłem się i postanowiłem powiedzieć parę sermons de charite, w nadziei zebrania dosyć aby jeden z naszych księży miał o czem objechać te Stany, po których mieszkają Polacy, i wyspowiadał ich, i dzieci do pierwszej komunii przygotował... Kwesta jakkolwiek—jak mi zewsząd zaręczano—nadzwyczaj obfita, przyniosła tylko 140 dolarów, a w kościołku biskupim 24: więc niedostateczna na cel przezemnie zamierzony, ale wszystko dobre co Bóg daje przez dobrych ludzi..." (Listy, str. 220—22.) Natomiast, następnego r. 1866 ojcowie Zmartwychwstańcy objęli missye polskie w Texas.

Nie udało nam się wybadać, którzy to „księża świeccy Polacy" byli podówczas w dyecezyi Alton (i czy byli?), którzy to byli—jak twierdził biskup Juncker—„że się im w końcu znudziło i poszli sobie dalej w świat."

D.) POLACY W DYECEZYI BELLEVILLE.

Dyecezya Belleville, utworzona z Altońskiej r. 1887, obejmuje południowy cypel Stanu Illinois. Pierwszym i jedynym dotychczas biskupem jest Jan Janssen. Jego dyecezya na 50,000 katolików liczy 10,000 Polaków, na 100 księży, 12 polskich, na 100 kościołów—10 polskich. Ale oto poszczególne parafie i osady polskie w tej dyecezyi.

---

1. PARAFIA ŚW. MICHAŁA W RADOMIU, ILL.

(Założona r. 1875.)

Het daleko na południowym cyplu Stanu Illinois w dyecezyi Belleville o przeszło 400 mil na południe od Chicago a około 100 mil na południowy wchód od St. Louis, w powiecie Washington leżą w trójkąciku blisko siebie trzy osady polskie: Radom, Dubois i Sheller. Panuje tu już klimat całkiem inny od północnego, klimat południowy, w lecie gorący, w zimie łagodny.

Kolonia polska w Radomiu powstała około roku 1873, wyrastając nagle, jak grzyb po deszczu. W pomiętych szpargałach i foliałach rocznikowych, w archiwum p. Smulskiego, znaleźliśmy o początkach tej osady następujące wiadomości: „Nie ma jeszcze 3 lat—piszą z Radomia pod datą 25. stycznia r. 1876—„kiedy pierwsza partya Polaków zakupiła nie wielkie przestrzenie gruntów, a zaledwie dwa lata mijają, gdy przybysze pobudowali mieszkania, a już Radom wzrosło tak, że około 450 osób a wkrótce do 600 familii będzie. Niedługo ukończony będzie kościół i szkoła. Spółka kolejowa Illinois Central wspaniało-

myślnie postępowała sobie względem Polaków, i nie ma wątpliwości, że ci co od niej zakupili grunta, nie stracą na tem..." (Rocznik Gaz. Pol. Kat.") Tamże czytamy: „Na południe od Radomia, 12 mil od Radomia a o dwie mile na zachód od Tamaroa, nad koleją Tamaroa and Chester, zakłada się nowy centralny punkt: „Kalisz..." Tego jednak „Kalisza" na mapie i w „Catholic Directory" nadaremnie szukaliśmy.

Pierwsze nabożeństwo katolickie odprawił w Radomiu r. 1873 ks. Karol Klocke z Du Quoin, Ill. Parafia pod wezwaniem św. Michała Archanioła zorganizowała się tu następnego r. 1874, kiedy pierwszy mały kościołek pobudowano. Pierwszym proboszczem był przez 4 miesiące ks. Musielewicz, przeznaczony przez biskupa Baltes z Alton (dyecezya Belleville'ska dopiero 1887 r. powstała.)

Założycielem tej osady, tym, który jej dał nazwę polską „Radom", był zmarły w czerwcu r. 1901 Jan Bazyli Turczyn, ur. r. 1822, weteran krymskiej wojny, w której brał udział jako generał rosyjski. Do Ameryki przybył podczas wojny domowej (1863) i brał w niej czynny udział. Został bryg. generałem. Pod starość popadł w wielką nędzę i żył z ofiar ubogich kolonistów polskich aż do czasu, gdy kongres parę lat temu przypomniał o jego zasługach położonych na polu bitwy pod wodzą Shermana i wyznaczył mu pensyę $50 miesięcznie. Był Turczyn niesłychanie zdolnym skrzypkiem. Zostały po nim cenne skrzypce przeszło 270 lat stare, robione przez sławnego Gaspare de Solo.

Współzałożycielem Radomia był także p. Mikołaj Michalski.

Z roczników „Gazety Polsk. Kat." (obacz Rocznik III.) dowiadujemy się, że roku 1875 bawił tu jako duszpasterz ks. Teodor Gieryk, ten sam, którego w rok potem (1876) widzimy w Berlinie, Wis. (porównaj „kronikę" z roku 1876.) Po nim w Radomiu był znany nam już z Chicago jednoręki ks. Jan Wołłowski, w roku 1876. W tym czasie nieraz zaopatrywali parafię ks. Klocke i ks. M. Tieniel, O. F. M. z Teutopolis, Ill.

W roku 1877 biskup Baltes z Alton oddał parafię Radomską pod opiekę OO. Franciszkanów z niemieckiej prowincyi Serca Jezusa z St. Louis, i parafia ta kanonicznie potwierdzona przez Rzym istnieje do dziś dnia pod opieką tych ojców.

Klasztor franciszkański OO. Reformatów w Radomiu stanął r. 1877. A oto przełożeni i proboszczowie, jacy rządzili kolejno i klasztorem i parafią: O. Dezydery Liss, O. F. M., od r. 1877—1881; O. Marek Thienel, O. F. M., od r. 1881—1882, umarł w Cleveland r. 1904; O. Urban Stanowski, O. F. M., od 1882—1885, później ex-monachus i wielki proboszcz w St. Louis; O. Leon Brandys, O. F. M., od 1885—87, bardzo lubiany przez wszystkich, umarł w Radomiu 7. maja 1887; O. Cebulla, O. F. M., od 1887—1894; O. Łukasz Mieżowski, O. F. M., od 1894 aż do naszych czasów. Tym proboszczom pomagali następujący ojcowie: O. Szneider Thomas, O. F. M. (1878—1881; O. Urban Stanowski, O. F. M. (1881—82.); O. Anastazy Czech, O. F. M. (1882) tylko 3 miesiące; umarł w szpitalu w Omaha, Nebr., bardzo lubiany przez ludzi, był proboszczem w Duncan, Nebr. przez 14 lat i dziekanem dyecezyi Omahaskiej dekanatu Columbus; dalej O. Cyryl Augustyński, O. F. M., (1882—1885); O. Da-

mian Koziołek, O. F. M. (1885—87), bardzo popularny osobliwie na Bald Hill, Ill., małej stacyjce, doglądanej przez niego z Radomia; następnie pracowity O. Łukasz Mieżowski, O. F. M. (1887—1894), dojeżdżał do Dubois, gdzie wybudował dom sióstr, szkołę i kupił rolę na cmentarz; potem O. Władysław Czech, O. F. M., (1894—95) pobudował w Dubois plebanię; O. Teobald Kałamaja O. F. M. (1895—96); O. Rembert Stanowski, O. F. M., (1896—98), sprowadził piękne 2 wielkie dzwony do Dubois. Wreszcie O. Remigiusz Berendt, O. F. M., Missyonarz Apostolski od r. 1898 aż do naszych czasów. W r. 1902 przybył tu także O. Menander Jaroszewicz, O. F. M., który po 5 miesięcznej pracy w Radomiu i Sheller został sparaliżowany.

Radomska okolica i parafia jest jedną z najpiękniejszych na farmach. Parafia posiada piękny kościół, plebanię murowaną za $10,000, dom dla sióstr za $9,000, szkołę za $8,000, wielki dom dla dzieci, które się stołują, i wielką salę na przedstawienia. Najwięcej pobudowano za sprężystych rządów O. Łukasza Mieżowskiego. W Radomiu wszystko po polsku— młodzi i starzy mówią po polsku. Z Polaków adwokatem, sędzią i pisarkiem obwodowym (Township), oraz agentem kolei Illinois Central jest Michał Pawłowski; J. Klix konstablem a syn Teodor poczmistrzem; Jan Dawicki i Nikrant budowniczymi. W szkole uczy 5 Sióstr Notre Damek około 200 dzieci.

---

2. PARAFIA ŚW. KAROLA W DUBOIS, ILL.

(Założona r. 1876).

Cztery mile od Radomia leży Dubois. Kolonia polska w Dubois—pisze tamtejszy proboszcz ks. Ce-

rański—pierwotnie „Colonia” nazwana, datuje się od czasów pruskiego kulturkampfu czyli praw majowych. Osada to rolnicza. Przed Polakami okolice te—same stepy i bory—zamieszkiwali Yankesi i około 20 katolickich rodzin niemieckich, którym nabożeństwo raz na miesiąc odprawiał ks. Karol Klocke z Du Quoin (15 mil na południe od Dubois) w prywatnym domie starego osadnika Niemca Marcina Kuhn. Do nich więc nasi pierwsi przybysze się przyłączyli, słuchając słowa Bożego w języku niemieckim. Gdy zaś liczba naszych ziomków się powiększyła, ks. Karol Klocke zajął się w r. 1876 wybudowaniem domu Bożego. Polacy, dopiero co przybyli, dzielnie mu dopomagali w budowie. Opowiadał mi jeden parafianin —pisze ks. Cerański—że tego samego dnia, co przybył, zostawił żonę i dzieci w namiocie pod rozłożystym dębem a sam pospieszył dźwignąć w górę belki i wiązania kościoła. Tak tedy stanął kościół, 75 stóp długi, 36 szeroki, bez wieży, w którym po raz pierwszy ks. Karol Klocke odprawił mszę w trzecią niedzielę adwentu, 16. grudnia r. 1877. Kościół wewnątrz nie był tynkowany, jedyne ławki stanowiły deski poukładane na próżnych sądkach od piwa.

Ks. Klocke zarządzał parafią do r. 1878. Po nim przez cały rok dojeżdżał ks. L. Riesen z Pinckneyville, również Niemiec. Dopomagał mu ks. Jan Wołłowski bez ręki, którą stracił od kul wroga, walcząc w powstaniu r. 1863. O tym ks. Wołłowskim (zobacz tom IX, str 36—43) krążyły długi czas sprzeczne wieści co do jego śmierci i pogrzebu. Pewną atoli rzeczą jest, co tu nam pisze ks. Józef Cerański: „Ks. Wołłowski przebywał r. 1876 w Radomiu, Ill., a następnie (r. 1877) osiadł na farmie, którą sobie kupił o

3 mile na zachód od Tamaroa (odległego 6 mil na południe od Dubois). Pozostał na swej farmie aż do śmierci, którą spowodowały niesprawiedliwe procesy nieprzyjaciół jego dnia 17. stycznia r. 1884. Ostatnie Sakramenta udzielił mu ks. Klocke. Pochowany zaś jest na cmentarzu katolickim w Du Quoin, Ill." W r. 1901 ks. Klocke i ks. Cerański wystawili mu piękny kamienny pomnik na jego grobie.

On to właśnie, ks. Wołowski, postarał się dla Dubois o polskiego stałego kapłana, O. Dezyderyusza Lissa, O. F. M. Od tego więc czasu rządzą w Dubois OO. Franciszkanie z Radomia, Ill., aż do r. 1898. O. Dezyderyusz Liss pierwszy rządził do r. 1881; a gdy ten wyjechał do starego kraju, nastąpiły burzliwe rządy O. Urbana Stanowskiego, O. F. M., któremu dopomagał O. Markus Thiener, O. F. M. O. Urban sprawił ławki, a następnie wewnątrz kościoła dał wystawić sanktuaryum, zamiast je zewnątrz kościoła przybudować,—przez co umniejszył kościół o 20 stóp. Z tego powstało niezadowolenie. O. Urban, aby niejako dać satysfakcyę, kazał potem wystawić kaplicę 8 mil na południowy wschód od Dubois, tak zwane Bald Hill, kościół zaś w Dubois chciał dać rozerznąć na wpół, by jedną połowę zostawić Niemcom a drugą przenieść na farmy dla Polaków. Nieporozumienie do tego stopnia doszło, że kościół został zamknięty 12. kwietnia r. 1883 wrzekomo za to, że długu, zaciągniętego przez O. Urbana na wybudowanie owego sanktuaryum i owej kaplicy, parafianie zapłacić nie chcieli. Wszelako parafianie zebrali natychmiast potrzebną kwotę $1219, ulokowali ją w banku i za pośrednictwem ks. Klockego biskup im znowu kościół otworzył 30 września r. 1883.

A proboszczem został teraz O. Anastazy Czech, O. F. M., który jednak zarządzał parafią tylko przez 4 miesiące, gdyż nie mógł się porozumieć ze swoim przełożonym zakonnym O. Urbanem. Nastąpił w Dubois O. Cyryl Augustyński, O. F. M., ale i temu O. Urban, jako przełożony, utrudniał rządy. Pomimo to O. Cyryl spłacił długi, upiększył kościół, a dopiero po 2 latach był przez O. Urbana zmuszony opuścić Dubois. Za następcy jego, O. Damiana Koziołek, O. F. M., znowu z przyczyny O. Urbana kościół został zamknięty po raz drugi, tym razem na dwa lata. Przyczyna była ta, że parafia i jej proboszczowie (O. Anastazy, O. Cyryl i O. Damian) chcieli budować szkołę przy kościele w Dubois, a temu się sprzeciwiał O. Urban jako przełożony zakonny, który chciał pobudować szkołę na farmach około 5 mil od Dubois, jak poprzednio uczynił na Bald Hill.

Po smutnem dwuletniem bezkrólewiu, 11. września r. 1887 kościół został znowu otwarty przez O. Sebastyana Cebulę, O. F. M., który w miejsce O. Urbana został przełożonym i proboszczem w Radomiu. O. Urban wystąpił z zakonu. Rządził teraz parafią w Dubois ks. Łukasz Mieżowski, O. F. M., przez 7 lat, od 1887—1894. Błogie i roztropne były jego rządy. Zakupił miejsce na cmentarz własny, ogrodził kościół i wybudował szkołę tuż przy kościele, tak jak chcieli parafianie, a nie gdzieś na farmach, jak chciał O. Urban. W dwóch latach stanął budynek szkolny, o 2 klasach, 56 stóp długi a 26 szeroki; stanął i dom dla Sióstr Notre Damek, które do dziś dnia tam uczą (5 Sióstr, 100 dzieci.)

Od r. 1894 dojeżdżał z Radomia i zarządzali parafią w Dubois, najpierw O. Władysław Czech, O. F. M.,

potem r. 1895 O. Teobald Kałamaja, O. F. M., a w końcu O. Rembert Stanowski, O. F. M., brat O. Urbana. Atoli parafianie coraz natrętniej domagali się stałego, t. j. na miejscu w Dubois zamieszkałego proboszcza. Temu żądaniu Ojcowie zadość uczynić nie mogli, gdyż reguła przepisuje im wspólne życie. Aby więc parafian odwieść od takiego żądania, posłali do Dubois O. Remigiusza Berendta, O. F. M. Ale i to nic nie pomogło. O. Remigiusz piorunował z ambony przez 6 niedziel, a parafianie obstawali przy swojem żądaniu. O. Remigiusz też zamknął poczet OO. Franciszkanów jako zarządców parafii w Dubois.

Dnia 16. lipca r. 1898 ku zadowoleniu i wielkiej radości całej parafii a ku niezadowoleniu i ostrej krytyce OO. Franciszkanów, rządy parafii Duboiskiej przeszły pod berło świeckiego kapłana, nowowyświęconego młodego ks. Józefa Cerańskiego. Od tego czasu parafia Duboiska zaczęła się rozwijać na dobre, albowiem jeszcze roku nie upłynęło a już z niej wyłoniła się nowa parafia, 10 mil na wschód, w Sheller: ta dostała się pod rządy OO. Franciszkanów w miejsce utraconego Dubois; ubyło przez to parafii Duboiskiej 25 familii. Dwa lata potem utworzyła się druga parafia, 8 mil na zachód, w Poznaniu: tę wziął ksiądz świecki; ubyło przez to parafii Duboiskiej 45 rodzin dosyć zamożnych. W roku 1903 wyłoniła się z Dubois trzecia parafia, 6 mil na południe, w Tamaroa. Pomimo tych nowo utworzonych parafii nie znać wielkiego uszczerbku w parafii macierzystej, gdyż stary kościół jak był za mały przedtem tak był i potem. Przystąpił więc ks. Cerański do budowy nowej większej świątyni, murowanej z cegły, zebrawszy $2,000 na ten cel już r. 1902. Powiększył też plebanię, kosztem $1,200.

Gdyby ta parafia była miała od początku proboszcza w Dubois zamieszkałego, byłaby dziś o wiele dalej postąpiła tak pod względem moralnym jako też finansowym. Parafia na początku r. 1903 liczyła 150 familii polskich i 18 niemieckich (według innych 250 polskich i 30 niemieckich).

Ks. Józef Cerański, dotychczasowy proboszcz, urodzony 2. września r. 1873 w Penskowie, w Królestwie Polskiem, przybył z rodzicami do Ameryki mając lat 6. Uczył się w szkole publicznej w powiecie Marathon, Wis., następnie w szkole wyższej w Wausau, Wis.; w seminaryum polskiem w Detroit ukończył studya klasyczne, a w St. Francis, Wis., filozofię i teologię. Wyświęcony 19. czerwca r. 1898 i odprawiwszy prymicye w Cassel, Wis., przybył zaraz do Dubois.

3. PARAFIA ŚW. BARBARY W SHELLER, ILL.

(Założona r. 1898.)

W sierpniu r. 1898 założono tę parafię 15 mil od Radomia w powiecie Jefferson. Jest to misya, należąca do Radomia. Polacy pobudowali tu około r. 1896 najpierw szkołę polską, która służyła zarazem za kaplicę i nabożeństwo odprawiało się co drugą niedzielę. „Kaplica ta—piszą pod datą 25. listopada r. 1899,— „Kuryer Pol."—była pobudowana wśród farmerów, ponieważ żadnej kolei ani miasteczka poblisko nie było, a teraz kolej została pobudowana w okolicy naszej i założone małe miasteczko Sheller; to jest dwie i pół mile na wschód od szkoły."

Staraniem O. Remigiusza Berendta, O. F. M., proboszcza tej parafii, i O. Mieżowskiego, O. F. M.,

przełożonego z Radomia, stanął piękny kościół, 77x 33 stóp, który poświęcono 9. listopada r. 1899. Budowniczymi byli Jan Dawicki i Jan Nykrant z Radomia. Józef Bok z Radomia dał $100 na figurę św. Barbary i $100 na dzwony. W szkole, 45x22 stóp, nauczycielką Ottilia Dresler, oraz organistką. Liczba rodzin 40. Grunt pod kościół, 2 akry, podarowany przez panią Sheller; a Adolf Gajewski podarował 2 akry na cmentarz odległy pół mili od kościoła. Nabożeństwo w Sheller odprawia co drugą niedzielę założyciel i dotychczasowy rządca tej parafii O. Remigiusz Berendt, O. F. M., albo inny Franciszkanin, gdy O. Berendta nie ma w domu, a często go nie ma, gdyż daje missye po całych Stanach Zjednoczonych.

O. Remigiusz (imię chrzestne Franciszek) Berendt, O. F. M., urodzony 3 grudnia r. 1863 w Łasinie, powiat grudziądzki, w Prusach Zach., z Augustyna i Łucyi Brockiej, chodził do szkoły miejscowej przez 8 lat, w r. 1877 przybył z rodzicami do St. Joseph, Mo.; wyświęcony 24. czerwca r. 1895 w klasztorze franciszkańskim w St. Louis, Mo., pracował jako kapłan w Clover Bottom, Mo.; od 1896—98 jako proboszcz w Duncan, Nebr., a od r. 1898 do naszych czasów w Sheller i Tamaroa, Ill., z wyjątkiem od sierpnia r. 1902 do stycznia r. 1903, kiedy obsługiwał Polaków i Słowaków w Superior, Wis. W połowie roku 1898 wyższa władza zamianowała go missyonarzem dla ludu polskiego w Ameryce, z rezydencyą w Radomiu, Ill.; i od tego czasu O. Remigiusz rozwinął niezwykłą działalność missyonarską i zasłynął jako jeden z najgorliwszych i najdzielniejszych misyonarzy, jakich polonia amerykańska miała.

4. PARAFIA M. B. NIEUSTAJĄCEJ POMOCY W POZNANIU, ILL.

(Założona r. 1901.)

Jest drugą córką macierzy Duboiskiej, Poznań (Posen) leży w tymsamym co Radom i Dubois powiecie Washington, 9 mil na zachód od Dubois. Śliczna ta parafia ma 125 rodzin; posiada kościół, szkołę, plebanię i dom dla sióstr. Około 100 dzieci uczą tu 3 Polskie Siostry św. Józefa ze Stevens Point, Wis. Założycielem i proboszczem tej parafii jest ks. Andrzej Janiszewski, pracowity kapłan.

---

5. PARAFIA W NASHVILLE, ILL.

W Nashville, 7 mil od Poznania, jest mały kościołek; nabożeństwo dwa razy w miesiącu. Dawniej dojeżdżał tam z Poznania ks. A. Janiszewski, później niemiecki kapłan z Okawville, Ill. Parafia mieszana, w której Polacy i Niemcy większość stanowią.

---

6. PARAFIA NIEPOK. POCZĘCIA N. M. P. W TAMAROA, ILL.

(Założona r. 1902.)

Jest trzecią córką macierzy Duboiskiej. Tamaroa leży w powiecie Perry, 6 mil na południe od Dubois. Było tutejszym Polakom za daleko do Dubois, więc 8 grudnia r. 1902 wybrany komitet (Aug. Dziubek, Wal. Kwiatkowski, Tom. Matulewicz i Mich. Rolewicz), za poradą ks. J. Cerańskiego, kupił 6 lotów



Kościół w Tamaroa, Ill.

(lot 100x150 stóp) na wschodniej stronie miasteczka. Atoli dopiero r. 1905, dnia 13. czerwca, ks. J. Cerański w asystencyi ks. Stern'a poświęcił i położył kamień węgielny pod kościół; a wkrótce potem wzniósł się piękny w stylu gotyckim kościół cegłą obkładany, 97 stóp długi a 36 szeroki, z wieżą sterczącą ponad dach 40 stóp. Ozdobne okna podarowali parafianie i proboszcz. Kościół kosztuje $4,500. Pierwsze w nim nabożeństwo odprawił ks. J. Cerański w Boże Narodzenie r. 1905. Poświęcenie odbyło się na wiosnę r. 1906. Do parafii należy 41 rodzin, rozproszone po farmach; w miasteczku sami prawie Yankesi, którzy się bogacą z Polaków. W ostatnim czasie zarząd tej parafii przeszedł w ręce OO. Franciszkanów, względnie O. Remigiusza.

7. POLACY W ASHLEY, ILL.

Miasteczko Ashley, 3 mile od Radomia, ciągnie zyski z polskich farmerów. Kościoła katolickiego żadnego tam nie ma, jadą do Radomia. Kilku Polaków tam mieszka i ma składy.

8. POLACY W RICE, ILL.

Niedaleko Rice, 18 mil od Radomia, mieszka 15 farmerów polskich, którzy należą do niemieckiej parafii w Todd's Mill, Ill. Zwykle 2 lub 3 razy dojeżdża tam O. Remigiusz.

9. POLACY W PINCKNEYVILLE, ILL.

Miasto dosyć wielkie, 20 mil od Radomia Jest tam jeden katolicki kościół, 80 rodzin katolickich, z

tych 11 polskich farmerów. Trzy razy do roku dojeżdża tu O. Remigiusz.

---

10. POLACY W DU QUOIN, ILL.

Jest tam, 20 mil na południe od Radomia, wielki katolicki kościół, ale nie polski. Kilka rodzin polskich, do których dojeżdża ks. Ceranski.

---

11. POLACY W CENTRALIA, ILL.

Miasto, 18 mil na północ od Radomia. Kilkanaście polskich familii, Szlązaków. Pracują w kopalniach. Dojeżdża tu także O. Remigiusz.

---

12. POLACY W ASSUMPTION, ILL.

Jest tam, 80 mil na północ od Radomia, od 12—15 rodzin polskich, do których od r. 1898 dojeżdża O. Remigiusz.

---

13. POLACY W CHESTER, ILL.
(r. 1865.)

O Polakach w Chester, w powiecie Randolph, nad rzeką Mississippi, znajdujemy już wzmiankę roku 1875. Mianowicie Jan Barzyński kładzie tego roku na listę stałych osad polskich także Chester, Ill. (obacz Rocznik III. „Gaz. Pol. Kat.").

Polacy z Ks. Poznańskiego przybyli tu już r. 1863: jest ich 68 rodzin, większa część farmerów. Wszelako polskiego kościoła nigdy nie mieli i nie mają, a młode pokolenie się angliczy. Jest tam kilku dobrych wiarusów, ale nie śmiałych. Dwa razy do

roku dojeżdża do nich O. Remigiusz, powie kazanie i kilku starych wysłucha spowiedzi, i po wszystkiemu. Missyonarz nieraz wspomina im polskie obyczaje i język — jednem uchem wysłuchają, drugiem wypuszczą. W Chester mogłaby być najstarsza i najpiękniejsza parafia—ale cóż, kiedy Polacy kontentowali się niemieckim kapłanem, a dzisiaj nie dbają, bo też dziś większa część z nich po polsku nie mówi.

---

14. POLACY W MT. VERNON, ILL.

Miasto 18 mil na wschód od Radomia. Kilka familii polskich.

---

15. POLACY W GOSTYNIU, ILL.

(r. 1892.)

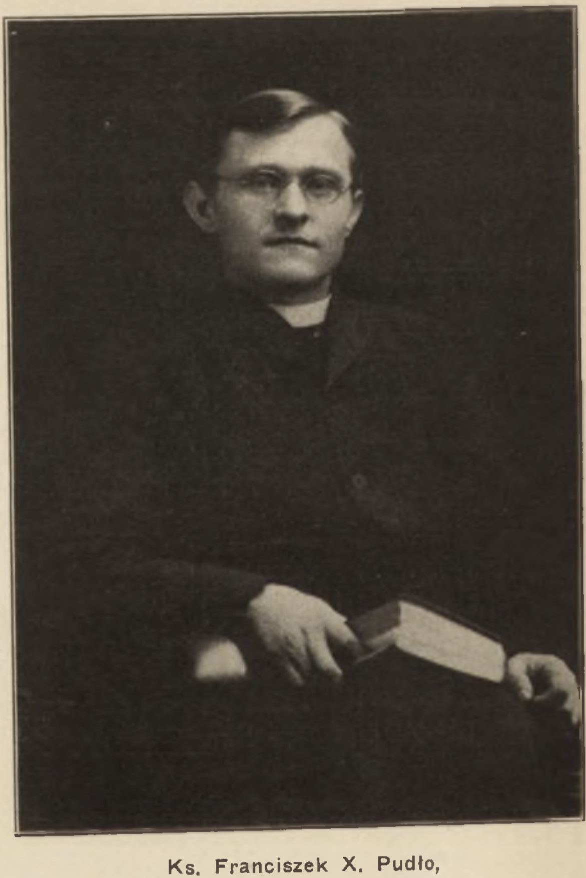
Istnieje tu od r. 1892 „Towarzystwo Matki Boskiej Gostyńskiej" jako grupa 200 Zw. Nar. Pol.

---

16. PARAFIA ŚW. WOJCIECHA W EAST ST. LOUIS, ILL.

(Założona r. 1904.)

Nowy kościół polski znajduje się przy 7mej i Summit ulicy. Proboszczem ks. Szymon Nawrocki.



Ks. Franciszek X. Pudło,

Ks. Franciszek X. Pudło,

proboszcz parafii św. Jadwigi w Poznaniu, Wis., 2. listopada, 1868 roku urodzony w Miechowicach Wielkich, w dyecezyi tarnowskiej, w Galicyi, kształcił się w wiosce rodzinnej, pomagał ojcu pracować w roli, służył dwa miesiące przy wojsku w Tarnowie. W r. 1894 przybył do Chicago. Tutaj szukał pracy i znalazł ją. Sprowadził z Europy swego brata Michała. Udał się na studya najpierw do Quincey, Ill., potem do seminaryum w Detroit, gdzie ukończył kurs klasyczny. Kurs filozoficzny odbył w St. Paul, Minn., na koszt ks. J. Walczaka, a teologię ukończył w St. Louis, Mo. Wyświęcony 2. czerwca r. 1905, mianowany został proboszczem najpierw w Poniatowskim, Wis., potem w Poznaniu, gdzie dokończył budowy nowego murowanego kościoła, rozpoczętego za poprzednika ks. Orlika. Ks. Pudło kolektował na ten kościół w Milwaukee, Chicago, itd. Parafia jego r. 1906 liczy 400 familii (porównaj tom VIII., str. 99). Czynny i przedsiębiorczy to kapłan.



Kościół w Thorp, (Poznań), Wis.